

# **INDIANA JONES™**

**POWRACA**



**INDIANA JONES  
I POSZUKIWACZE  
ZAGINIONEJ ARKI**

**INDIANA JONES  
I ŚWIĄTYNIA  
ZAGŁĄDY**

**INDIANA JONES  
I OSTATNIA  
KRUCJATA**

Wydawnictwo Dolnośląskie

**INDIANA JONES™**

Campbell Black

CAMPBELL BLACK

*INDIANA JONES*

# I POSZUKIWACZE ZAGINIONEJ ARKI

(INDIANA JONES AND THE RAIDERS OF THE LOST ARK)

Tłumaczenie: Barbara Kocowska



Wydawnictwo  
Dolnośląskie

Wydawnictwo Dolnośląskie: 2008

# Spis treści

## **INDIANA JONES I POSZUKIWACZE ZAGINIONEJ ARKI**

### INDIANA JONES POWRACA

#### *Karta redakcyjna*

*Rozdział I. Ameryka Południowa, rok 1936*

*Rozdział II. Berlin*

*Rozdział III. Connecticut*

*Rozdział IV. Berchtesgaden, Niemcy*

*Rozdział V. Nepal*

*Rozdział VI. Wykopaliska Tanis, Egipt*

*Rozdział VII. Kair*

*Rozdział VIII. Kair*

*Rozdział IX. Wykopaliska Tanis, Egipt*

*Rozdział X. Wykopaliska Tanis, Egipt*

*Rozdział XI. Morze Śródziemne*

*Rozdział XII. Wyspa na Morzu Śródziemnym*

*Epilog. Waszyngton, D.C.*

## **INDIANA JONES I ŚWIĄTYNIA ZAGŁADY**

*Rozdział I. Ze smoczej paszczy*

*Rozdział II. Takie jest życie*

*Rozdział III. Święty kamień*

*Rozdział IV. Pałac Pankot*

*Rozdział V. Niespodzianka w sypialni*

*Rozdział VI. Świątynia zagłady*

Rozdział VII. ... W ognistą otchłań

Rozdział VIII. Ucieczka

Rozdział IX. Na krawędzi

## **INDIANA JONES I OSTATNIA KRUCJATA**

Rozdział I. Pustynny pościg

Rozdział II. Cyrkowe sztuczki

Rozdział III. Wojna domowa

Rozdział IV. Przemierzając Atlantyk

Rozdział V. W kampusie

Rozdział VI. Tablica krzyżowca

Rozdział VII. Notatnik

Rozdział VIII. Rzymskie cyfry

Rozdział IX. Grób rycerza

Rozdział X. Śmiercionośni agenci

Rozdział XI. Apartament Donovana

Rozdział XII. Zamek Brunwald

Rozdział XIII. Zdradzony

Rozdział XIV. Palące pragnienia

Rozdział XV. Berlińskie fajerwerki

Rozdział XVI. Akrobaci

Rozdział XVII. Przeciwstawne siły

Rozdział XVIII. Konfrontacja

Rozdział XIX. Jeden przeciwko wielu

Rozdział XX. Szlak

Rozdział XXI. Trzy próby

Rozdział XXII. Trzeci rycerz

## Rozdział XXIII. Koniec krucjaty

# ***INDIANA JONES POWRACA***

Wydawnictwo Dolnośląskie

*Indiana Jones i poszukiwacze zaginionej Arki*

**CAMPBELL BLACK**

Na podstawie scenariusza Lawrence'a Kasdana.  
Oparte na pomysły George'a Lucasa i Philipa Kaufmana.

*Indiana Jones i świątynia zagłady*

**JAMES KAHN**

Na podstawie scenariusza Willarda Huycka i Glorii Katz.  
Oparte na pomysły George'a Lucasa.

*Indiana Jones i ostatnia Kruczata*

**ROB MACGREGOR**

Na podstawie scenariusza Jeffrey'a Boama.  
Oparte na pomysły George'a Lucasa i Menno Meyjesa.

Tytuł oryginału

*The Adventures of Indiana Jones (Indiana Jones and the Raiders of the Lost Ark, Indiana Jones and the Temple of Doom, Indiana Jones and the Last Crusade)*

Ilustracja na okładce

Drew Struzan

Redakcja

Urszula Hamkało

Korekta

Anna Kurzyca

Redakcja techniczna

Adam Kolenda

*Indiana Jones and the Raiders of the Lost Ark* copyright © 1981 by Lucasfilm Ltd.  
& ® ™ where indicated

*Indiana Jones and the Temple of Doom* copyright © 1984 by Lucasfilm Ltd.  
& ® ™ where indicated

*Indiana Jones and the Last Crusade* copyright © 1989 by Lucasfilm Ltd.  
& ® ™ where indicated

All Rights Reserved.

This translation published by arrangement with Ballantine Books, an imprint of Random House  
Ballantine Publishing Group, a division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish edition by Publicat S.A. MMVIII

ISBN 978-83-245-8630-1

Wrocław 2008

Wydawnictwo Dolnośląskie  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
oddział Publicat S.A. w Poznaniu

tel. 071 785 90 40, fax 071 785 90 66  
e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)  
[www.wydawnictwodolnoslaskie.pl](http://www.wydawnictwodolnoslaskie.pl)



# Rozdział I.

## Ameryka Południowa, rok 1936

Dżungla była ciemnozielona, tajemnicza, groźna. Odrobina światła słonecznego w postaci bladej, mlecznej poświaty przesączała się przez wysoką zaporę gałęzi i poskręcanych lian. Powietrze - lepkie i gęste - tworzyło ścianę wilgoci. Ptaki wrzeszczały przeraźliwie, jakby nagle schwytano je w jakąś ogromną sieć. Połyskujące owady przemykały pod stopami, zwierzęta posapywały i postękiwały w zaroślach. Pierwotny charakter tego miejsca nadawał mu cech świata zagubionego, miejsca niezbadanego i nieprzebitego - słowem: końca świata.

Ośmiu ludzi przebijało się wolno wąskim szlakiem, zatrzymując się od czasu do czasu, by odciąć zwisający pęd liany lub niebezpiecznie kołyszącą się gałąź. Przodem szedł wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce i filcowym kapeluszu z szerokim rondem. Za nim podążało dwóch Peruviańczyków, którzy ostrożnie przebiegali wzrokiem dżunglę, i pięciu niespokojnych Indian Keczua, zmagających się z parą osłów, objuczonych ekwipunkiem i zapasami.

Człowiek idący na czele grupy nazywał się Indiana Jones. Był muskularny w sposób przywodzący na myśl atletę niekoniecznie u schyłku kariery. Z czoła i po policzkach spływały mu strużki potu, a kilkudniowy ciemnoblonde zarost ocieniał twarz, która niegdyś mogła uchodzić za przystojną i fotogeniczną, teraz jednak wokół oczu i kątek ust widoczne były drobne zmarszczki; nadawały wyraz siły i głębi temu prawie gwiazdorskiemu obliczu. Mogło się wydawać, że bogactwo doświadczeń zaczęło powoli kształtować jego wygląd.

Indy Jones nie poruszał się z taką samą ostrożnością jak obaj Peruwiańczycy - jego pewność siebie sprawiała, że to on wydawał się rdzennym mieszkańcem tych terenów. Ale pozorna swoboda nie osłabiała jego czujności. Wiedział wystarczająco dużo, by od czasu do czasu prawie niepostrzeżenie obrzucić szybkim spojrzeniem otaczającą dżunglę, jakby spodziewał się w każdej chwili zagrożenia. Nagły upadek gałęzi czy trzask spróchniałego drzewa były sygnałami, wskazaniem jego czujnika niebezpieczeństw. Czasem się zatrzymywał, zdejmował kapelusz, ocierał pot z czoła i zastanawiał się, co bardziej go martwi: wilgoć czy nerwowość Keczua. Za każdym razem z podnieceniem porozumiewali się w swoim języku, który przypominał Indy'emu krzyk dzikich ptaków, zamieszkujących nieprzebyte gąszcz liści i strefę powracających mgieł.

Skierował wzrok na obu Peruwiańczyków, Barrancę i Satipo, i zdał sobie sprawę, jak dalece w gruncie rzeczy im nie ufał, a jednocześnie jak bardzo był zdany na nich, jeśli miał zdobyć to, czego szukał w dżungli.

*Co za banda, pomyślał. Dwóch podejrzanych Peruwiańczyków, pięciu przerażonych Indian i dwa uparte osły. A na czele całej grupy ja, nadający się raczej na drużynowego skautów.*

Indy odwrócił się do Barranki i choć był pewien, że zna odpowiedź, zapytał go:

– O czym rozmawiają Indianie?

Barranca wydawał się poirytowany.

– A o czym oni zawsze gadają, *señor* Jones? O kłątwie. Zawsze o kłątwie.

Indy wzruszył ramionami i spojrzał do tyłu na Indian. Rozumiał ich przesady i wierzenia, i w pewnym sensie nawet im współczuł. Kłątwa - starodawna kłątwa świątyni wojowników Chachapoya. Indianie Keczua

wzrastali w jej cieniu. Była nieodłącznym składnikiem systemu ich wierzeń.

– Powiedz im, żeby byli spokojni, Barranca - nakazał. - Nic złego im się nie stanie.

Balsam słów. Czuł się jak szarlatan aplikujący choremu nieznanemu lek. Skąd u diabła ma wiedzieć, czy nic im się nie stanie?

Barranca patrzył na niego przez chwilę, a potem ostro przemówił do Indian, którzy na chwilę ucichli - była to cisza stłumionego strachu. Indy ponownie odczuł współczucie: zdawkowe słowa pociechy nie mogły przełamać wielowiekowego przesądu. Z powrotem włożył kapelusz i ruszył wolno ścieżką, otoczony wonią dżungli, zapachami tego, co rośnie i tego, co gnije, starego truchła pokrytego robactwem, próchniejącego drewna, obumierającej roślinności. *Znam lepsze miejsca na ziemi, pomyślał, jest wiele przyjemniejszych miejsc.*

A potem przywołał myśl o Forrestalu, wyobrażając go sobie przemierzającego przed laty ten sam szlak, wyobrażając sobie podniecenie, jakie w nim rosło w miarę zbliżania się do świątyni. Ale Forrestal, mimo że był świetnym archeologiem, nie powrócił z wyprawy. Wszelkie sekrety, jakie mogły być ukryte w świątyni, nadal tam były. Biedny Forrestal. Śmierć w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku to kiepski koniec. Nie o takim końcu Indy marzył dla siebie.

Ruszył dalej ścieżką, a za nim jego grupa. Dżungla w tym miejscu porastała kanion, szlak przecinał jego zbocze jak stara blizna. Rzadkie mgły unosiły się teraz z dna kanionu i wiedział, że z upływem dnia zgęstnieją. Mgła zostanie uwięziona w dolinie jakby była siecią utkaną przez same drzewa.

Ogromna ara, barwna jak tęcza po burzy, wrzasnęła wśród zarośli i wzbiła się ku gałęziom drzew, aż wzdrygnął się zaskoczony. A Indianie

znów się rozjazgotali, dziko gestykułując i poszturchując się wzajemnie. Barranca odwrócił się i uciszył ich ostrym poleceniem, ale Indy wiedział, że coraz trudniej będzie utrzymać nad nimi jakąkolwiek kontrolę. Czuł ich strach tak namacalnie jak wilgoć otulającą jego własne ciało.

Zresztą Indianie mieli mniejsze znaczenie niż rosnąca w nim nieufność do Peruwiańczyków. Zwłaszcza do Barranki. To było instynktowne. Rodzaj intuicji, na której zawsze polegał, przecucie towarzyszące mu przez całą drogę. Ale teraz odczuwał je mocniej. Wiedział, że poderznąliby mu gardło za garść fistaszków.

*Już niedaleko* - powiedział sobie w duchu.

I gdy zdał sobie sprawę, jak blisko świątyni się znajdował, jak był blisko bóstwa Chachapoyów, poczuł znajomy przypływ adrenaliny: spełnienie marzenia, dawno złożonej samemu sobie przysięgi, ślubowania z czasów, gdy był zaledwie początkującym archeologiem. To było jak powrót w czasie, cofnięcie się o piętnaście lat do znajomego odczucia zadziwienia i potrzeby poznawania ciemnych miejsc historii, miejsc, które jako pierwsze podniecały go w archeologii. *Marzenie*, myślał dalej. *Marzenie, przybierające kształt, zmieniające się z mglistej wizji w coś dotykającego*. A teraz odczucie bliskości świątyni przenikało go do szpiku kości.

Zatrzymał się i ponownie zaczął nasłuchiwać pogawędki Indian. Oni też wiedzieli. *Wiedzą, jak blisko już jesteśmy. I to ich przeraża*. Ruszył dalej. Wśród drzew ledwie było widać przerwę w zboczu kanionu. Szlak był prawie niewidoczny: pochłoneńy go pnącza, zarosło pękate zielsko płożące się po korzeniach - korzeniach, które wyglądały jak pędy wypuszczone przez jakieś niezwykle nasiona dryfujące przypadkowo w przestrzeni i kielkujące za sprawą kaprysu. Indy wyrąbywał sobie przejście wymachując ramieniem z taką siłą, że nóż o szerokim ostrzu przedzierał się przez zielone przeszkody jak przez papier. *Cholerna dżungla. Nie można pozwolić*

*pokonać się przyrodzie, nawet w jej najniezwykłej, najbardziej perwersyjnej postaci.* Gdy się znowu zatrzymał, ociekał potem i bolały go mięśnie. Ale czuł się dobrze, patrząc na zmasakrowane rośliny i poranione korzenie. I wtedy zdał sobie sprawę z obecności gęstniejącej mgły. Nie zimnej mgły, nie chłodu, ale czegoś stworzonego z samego soku dżungli. Nabrał powietrza w płuca i ruszył w głąb przejścia.

Gdy dotarł do końca szlaku, głęboko odetchnął.

Była tam.

Tam, w oddali, otoczona grubymi drzewami.

*Świątynia.*

Przez moment czuł się obezwładniony przypomnieniem niezwykłego splotu wydarzeń poczuciem ciągłości, *continuum*, które sprawiło, że ktoś taki, jak Indiana Jones żył w 1936 roku i oglądał budowlę wzniesioną dwa tysiące lat wcześniej. Nabożny szacunek. Zachwyty. Uczucie pokory. Ale żadne z tych określeń nie oddawało wiernie tego stanu. Nie było odpowiedniego słowa, by opisać jego podekscytowanie.

Przez chwilę nie mógł wypowiedzieć słowa.

Po prostu wpatrywał się w budowlę i podziwiał energię włożoną we wzniesienie takiej konstrukcji w sercu bezlitosnej dżungli. A potem został gwałtownie przywrócony do rzeczywistości okrzykami Indian i odwrócił się, by zobaczyć, jak jeden z nich pędzi z powrotem ścieżką, którą przyszli, pozostawiając osły. Barranca wy dobył pistolet i składał się do strzału w plecy uciekającego Indianina, ale Indy schwycił go za przegub, lekko skrzył rękę i zmusił Peruwiańczyka, by odwrócił się do niego twarzą.

– Nie - powiedział.

Barranca popatrzył oskarżycielsko na Indy'ego.

– To tchórze, *señor* Jones.

– Nie są nam potrzebni - powiedział Indy - i nie ma potrzeby ich zabijać.

Peruwiańczyk przypiął pistolet do boku, spojrzął na swego towarzysza imieniem Satipo i ponownie popatrzył na Indy'ego.

– Jeśli nie będzie Indian, *señor*, kto będzie niósł zapasy? W naszych ustaleniach z panem, moich i Satipo, nie było mowy o pracy fizycznej, prawda?

Indy obserwował Peruwiańczyka, ciemny chłód w głębi jego oczu. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak tamten się uśmiecha. Nie umiał sobie wyobrazić, by światło znalazło drogę do duszy Barranki. Indy przypomniał sobie podobne, martwe oczy: oczy rekina.

– Zostawimy zapasy. Gdy znajdziemy to, po co przyszliśmy, wrócimy przed zmrokiem do samolotu. Nie potrzebujemy już zapasów.

Barranca bawił się pistoletem.

*Lubi pociągać za spust*, pomyślał Indy. Trzech zabitych Indian nie zrobiłoby na nim najmniejszego wrażenia.

– Odłóż broń - powiedział Indy. - Nie lubię pistoletów, Barranca, chyba że to ja trzymam palce na spuście.

Barranca wzruszył ramionami i rzucił spojrzenie Satipo. Dało się wyczuć między nimi pewien rodzaj porozumienia. Wybiorą właściwy moment, Indy był tego pewien. Wykonają ruch w odpowiednim momencie.

– Zatknij go po prostu za pas, okej? - poprosił Indy. Spojrzął przelotnie na pozostałych dwóch Indian nadzorowanych przez Satipa. Na ich twarzach malował się nieziemski strach, wyglądali jak żywe trupy.

Indy odwrócił się w stronę świątyni, wpatrując się w nią i rozkoszując chwilą. Mgły gęstniały wokół niej, jakby przyroda sprzysięgła się, aby na zawsze dochować tajemnicy.

Satipo schylił się i wydłubał coś z kory drzewa. Podniósł rękę w kierunku Indy'ego. Na otwartej dłoni leżała mała strzałka.

– To Hovito - powiedział Satipo. - Trucizna jest jeszcze świeża - trzy dni, *señor* Jones. Na pewno nas śledzą.

– Gdyby wiedzieli, że tu jesteśmy, już by nas zabili - spokojnie odpowiedział Indy.

Wziął strzałę. Proste, ale skuteczne. Myślał o Indianach Hovito, ich legendarnej dumie, historycznym przywiązaniu do świątyni. Byli na tyle przesądni, by trzymać się od niej z daleka, ale z pewnością wystarczająco zazdrośni, by zabić każdego, kto do niej wejdzie.

– Chodźmy - powiedział. - Skończmy to.

Musieli ponownie wyrąbywać sobie drogę, ciąć i rąbać splątane liany, wyszarpywać płożące się pędy, wyskakujące spod stóp jak ukryte wnyki. Indy zatrzymał się spocony. Opuścił swobodnie nóż wzdłuż biodra. Kącikiem oka zauważył, jak jeden z Indian odciąga potężną gałąź.

Krzyk sprawił, że odwrócił się gwałtownie z nożem gotowym do użycia. Popędził w stronę gałęzi, za dzikim wrzaskiem Indianina, dokładnie w chwili, gdy Keczua - nadal krzycząc - skoczył w głąb dżungli. Drugi Indianin poszedł w ślady tamtego, objijając się w panice o obrośnięte lianami gałęzie i ostre pnącza. I obaj zniknęli. Indy z nożem w garści chwycił gałąź, która tak przeraziła Indian. Był gotów zadać cios temu czemuś, co ich wystraszyło, cokolwiek by to było. Odsunął gałąź.

Dostrzegł ją w kłębie unoszącej się mgły.

Wyrzeźbiona w kamieniu, ponadczasowa, z obliczem, przypominającym bladą, nocną zjawę stała rzeźba demona Chachapoyów. Patrzył przez chwilę, świadom złośliwego wyrazu kamiennej twarzy i zdał sobie sprawę, że ma przed sobą strażnika świątyni, którego zadaniem było odstraszać każdego, kto mógłby przechodzić tą drogą. *Dzieło sztuki*, przemknęło mu przez głowę i szybko pomyślał o jego twórcach, ich systemie wierzeń, rodzaju religijnej czci, która mogła być źródłem inspiracji dla czegoś tak

straszego, jak ta rzeźba. Zmusił się do podniesienia ręki i poklepania demona po ramieniu.

A potem zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze, co było bardziej przerażające niż kamienna twarz. Bardziej niesamowite.

Cisza.

Niezwykła cisza.

Nic. Żadnych ptaków. Żadnych owadów. Żadnego powiewu wiatru wzbudzającego poszum drzew. Absolutna cisza, jakby to miejsce było martwe. Jakby wszystko zostało zadławione, uciszone przez jakąś bezbożną, destrukcyjną siłę. Przetarł ręką czoło. Zimny pot. *Duchy*, pomyślał. *W tym miejscu jest pełno duchów*. Taka cisza mogła panować przed dziełem Stworzenia.

Oddalił się od kamiennej rzeźby, a za nim podążyli obaj Peruwiańczycy; wydawali się wyraźnie przygnębieni.

– Co to jest, na Boga? - zapytał Barranca.

Indy wzruszył ramionami.

– Jakiś stary bożek. Cóżby innego? W każdej chacie Chachapoyów taki musi być obowiązkowo, nie wiedzieliście?

Barranca spojrzał ponuro.

– Czasem traktuje pan to bardzo lekko, *señor Jones*.

– A jest inny sposób?

Mgła podpełzała, kłębiła się, jakby odpychała trzech mężczyzn wstecz. Indy przebijał ją wzrokiem patrząc w stronę wrót świątyni, prymitywnych, ale wyszukanych fryzów, które z upływem czasu uległy potędze przyrody i zniknęły w plątaniu gałęzi, liści i pędów. Jego uwagę silniej przykuwało jednak samo ciemne wejście, okrągłe i otwarte jak usta trupa. Pomyślał o Forrestalu przekraczającym ten próg jak wrota śmierci. Biedaczysko.

Barranca wpatrywał się w wejście.



– Jak mamy panu zaufać, *señor* Jones? Nikt nigdy nie wyszedł stąd żywy. Dlaczego mielibyśmy pokładać naszą wiarę właśnie w panu?

Indy uśmiechnął się do Peruwiańczyka.

– Barranca, Barranca, musisz się nauczyć, że nawet nędzny *gringo* [(hiszp.) - obcy, Europejczyk lub Amerykanin, nie-Indianin.] czasem mówi prawdę.

I wydobył z kieszeni koszuli zwinięty kawałek pergaminu. Spojrzał w twarze Peruwiańczyków. Miały jednoznaczny wyraz: malowała się na nich chciwość. Indy zastanawiał się, komu poderżnięto gardło, by tych dwóch drani mogło wejść w posiadanie drugiej połowy planu.

– To, Barranca, powinno wzmocnić twoją wiarę - powiedział i rozłożył pergamin na ziemi.

Satipo wydobył podobny kawałek pergaminu z kieszeni i przyłożył go obok. Krawędzie pasowały idealnie. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Indy zdawał sobie sprawę, że próg czujności został osiągnięty i czekał w napięciu, aż coś się wydarzy.

– No cóż, *amigos* [(hiszp.) - przyjaciele] - powiedział - jesteśmy współnikami. Mamy, że tak powiem, wspólne potrzeby. Między nami leży kompletny plan świątyni. Mamy coś, czego nie miał nikt inny. A teraz, zakładając, że ten filar oznacza narożnik...

Nim zdołał dokończyć zdanie, zauważył jak na zwolnionym filmie, że Barranca sięga po pistolet. Zobaczył, jak chuda ciemna ręka zaciska się na kolbie srebrzystej broni - i w tym momencie wykonał ruch. Ruchy Indiany Jonesa były tak szybkie, że Peruwiańczyk nie mógł nadążyć. Indy z zamglonym wzrokiem odwrócił się plecami do Barranki i sięgając do tyłu pod kurtkę na plecach wydobył zwinięty skórzany bicz. Dłoń mocno zacisnął na rękojeści. Jego ruchy stały się płynne, zmieniły się w harmonijny i pełen gracji pokaz siły, gotowości i równowagi. Bicz i ramię wydawały się jednością, swoim wzajemnym przedłużeniem. Zamachnął się,

bicz przeciął powietrze i owinał się wokół nadgarstka Barranki. Potem Indy pociągnął w dół, mocniej, i broń wypaliła w ziemię. Przez moment Peruwiańczyk stał osłupiały. Gapił się na Indy'ego ze zdumieniem, mieszaniną zaskoczenia, bólu i nienawiści, przeżuwając z goryczą to, że został przechytrzony i upokorzony. A potem, gdy bicz wokół nadgarstka opadł, Barranca odwrócił się i popędził w ślad za Indianami w głąb dżungli.

Indy zwrócił się do Satipa, który uniósł obie ręce.

– *Señor*, proszę - zawołał - nic nie wiedziałem o jego planach. Był szalony. Szalony człowiek. Proszę, *señor*, uwierz mi.

Indy przyglądał mu się przez chwilę, potem skinął głową i podniósł oba kawałki planu.

– Możesz opuścić ręce, Satipo.

Wygląd Peruwiańczyka zdradzał ulgę. Satipo sztywno opuścił ramiona.

– Mamy plan, więc na co czekamy? - zapytał retorycznie Indy.

I skierował się do wejścia do świątyni.

Unosił się w niej zapach przeszłości, zatrzymana woń wielu wieków ciszy i ciemności, wilgoci wnikającej tu z dżungli, rozkładających się roślin. Woda skapywała ze sklepienia, przeciskając się przez mchy, którymi zdążyło porosnąć. Przejście zdawało się szeptać szmerem pazurków gryzoni. A powietrze.. Powietrze było zaskakująco chłodne, nietknięte światłem słońca, ukryte na zawsze w cieniu. Indy kroczył przed Satipo nasłuchując echa ich własnych kroków. *Dziwne dźwięki*, pomyślał. *Zakłócenie spokoju umarłych*. I na moment ogarnęło go uczucie, że znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, jak intruz, szabrownik, ktoś, kto zamierza zburzyć coś, co zbyt długo pozostawało w spokoju.

Znał dobrze to uczucie. Nie lubił go, bo było jak konieczność zabawiania nudnych gości na skądinąd całkiem przyjemnym przyjęciu. Obserwował ruchy własnego cienia w świetle niesionej przez Satipa pochodni.

W miarę wnikania głębiej do wnętrza świątyni przejście skręcało wielokrotnie. Od czasu do czasu Indy zatrzymywał się i w blasku pochodni spoglądał na plan, starając się zapamiętać szczegóły rysunku. Chciało mu się pić, zaschło mu w gardle, język palił z pragnienia, ale nie chciał się zatrzymywać. Słyszał jak pod czaszką tyka mu zegar, a każde tyknięcie wskazówki mówiło: *nie masz czasu, nie masz czasu...*

Mężczyźni omijali półki wyrzeźbione w ścianach. Od czasu do czasu Indy zatrzymywał się i oglądał położone na nich przedmioty. Przetrzasał je, wybierał ze znanstwem niektóre z nich i chował do kieszeni, inne odrzucał. Drobne monety, delikatne naszyjniki, wyroby garncarskie na tyle małe, by móc je unieść. Wiedział, co jest cenne, a co bezwartościowe. Ale to wszystko było niczym w porównaniu z tym, po co tu przyszli - posągiem bóstwa.

Poruszał się teraz szybciej, a Peruviańczyk za jego plecami starał się dotrzymać mu kroku. Nagle Indy zatrzymał się gwałtownie.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytał Satipo takim głosem, jakby jego płuca płonęły.

Indy nie odpowiedział, stał bez ruchu, prawie nie oddychając. Satipo, zaskoczony, zbliżył się do niego o krok i chciał dotknąć jego ramienia, ale także się zatrzymał, a podniesione ramię zamarło w pół gestu.

Wielka czarna tarantula nieopisanie wolno pełzła w górę pleców Indy'ego. Czul jej odnóża w miarę jak posuwała się w stronę nagiej skóry szyi. Czekał, czekał przez chwilę, która wydawała się wiecznością, aż poczuł potworne zwierzę na ramieniu. Czul przerażenie Satipa, czuł

pragnienie tego człowieka, by krzyknąć i podskoczyć. Wiedział, że musi wykonać szybki, ale spokojny ruch, aby Satipo nie uciekł. Jednym płynnym gestem Indy przerzucił rękę nad ramieniem i odrzucił owada w ciemność. Z ulgą wznowił marsz, ale w tej samej chwili usłyszał westchnienie Satipa i odwrócił się. Zobaczył, jak dwa pająki spadają na ramiona Peruwianczyka. Instynktownie Indy zamachnął się w ciemności biczem i zrzucił oba owady na ziemię. Szybkim ruchem nadepnął je i rozgniół pod butami.

Satipo pobladł, wydawało się, że zemdleje. Indy złapał go za ramię i podtrzymał przez chwilę, by ten odzyskał siły. A potem archeolog wskazał na niewielką komorę w głębi korytarza, oświetloną pojedynczym promieniem słońca wpadającym przez otwór w sklepieniu. Zapomniał o pająkach. Indy wiedział, że przed nimi czają się inne niebezpieczeństwa.

– Wystarczy, *señor* - wyszeptał Satipo. - Wracajmy.

Indy jednak milczał. Spoglądał w kierunku komnaty, a jego umysł już pracował. Wyobrażenia pomagała mu wczuwać się w umysły ludzi, którzy tyle wieków temu stworzyli to miejsce. *Na pewno chcieli chronić skarb świątyni, myślał. Chcieli zbudować zapory, pułapki, aby zagwarantować, że żaden obcy nigdy nie dotrze do serca sanktuarium.*

Zbliżył się nieco do wejścia, poruszając się z instynktowną ostrożnością łowcy, który z daleka wietrzy niebezpieczeństwo, wyczuwa zagrożenie, nim jeszcze pojawią się jego oznaki. Schylił się, obmacał podłogę i wyczuł gruby wystający pień. Wyrwał go i cisnął w głąb komnaty.

Przez ułamek sekundy nic się nie działo. A potem dał się słyszeć lekki, zgrzytliwy dźwięk, odgłos pękania. Wydawało się, że ściany komnaty rozwierają się, gdy potężne metalowe szpikulce, jak szczęki niewyobrażalnego rekina, zwały się w środku pomieszczenia. Indiana Jones uśmiechnął się, doceniając zręczność budowniczych świątyni, przemyślność tej potwornej pułapki. Peruwianczyk zaklął pod nosem i

przeżegnał się. Indy właśnie miał się odezwać, gdy dostrzegł coś nabitego na wielkie szpikulce. Potrzebował tylko ułamka sekundy, by rozpoznać, co zostało przebite ostrym metalem.

– Forrestal.

W połowie szkielet. W połowie trup. Twarz groteskowo zachowana dzięki niskiej temperaturze w komnacie, z widocznym wciąż wyrazem bolesnego zaskoczenia, jakby miała pozostać niezmienną przestrogą dla każdego innego intruza pragnącego wejść do komnaty. Forrestal przebity na wysokości klatki piersiowej i łędźwi, z plamami zakrzepłej czarnej krwi na ubraniu, plamami śmierci. *Boże, pomyślał Indy. Nikt nie zasługuje na coś takiego. Nikt.* Na moment ogarnął go smutek.

Indy na sekundę przymknął oczy, potem wszedł do komnaty, zdjął szczątki mężczyzny z ostrzy i położył na ziemi.

– Znał go pan? - zapytał Satipo.

– Tak, znałem go.

Peruwiańczyk ponownie się przeżegnał.

– Myślę, *señor*, że chyba nie powinniśmy iść dalej.

– Chyba taki drobiazg nie odebrał ci odwagi, co Satipo? - spytał Indy i zamilkł na dłuższą chwilę. Obserwował, jak metalowe ostrza cofają się powoli w stronę ścian, z których się wysunęły. Podziwiał prosty mechanizm tego urządzenia - prosty i śmiercionośny.

Indy uśmiechnął się do Peruwiańczyka, dotykając jego ramienia. Mężczyzna pocił się obficie i drżał. Indy wszedł w głąb komnaty, uważając na szpikulce i obserwując ich ostrza chowające się w ścianach. Po chwili, sapiąc i poszeptując pod nosem, Peruwiańczyk poszedł w jego ślady. Przeszli przez komnatę i zanurzyli się w prosty korytarz długości około piętnastu metrów. Na końcu przejścia widać było drzwi oświetlone wpadającym z góry światłem słonecznym.

– Jesteśmy blisko - powiedział Indy - tak blisko.

Nim złożył plan, przyjrzał mu się jeszcze raz, zapamiętując szczegóły. Ale nie ruszył od razu. Oczami przebiegał otoczenie w poszukiwaniu kolejnych pułapek i zagrożeń.

– Wydaje się bezpiecznie - szepnął Satipo.

– I tego właśnie się obawiam, przyjacielu.

– Jest bezpiecznie - powtórzył Peruwiańczyk. - Chodźmy.

Satipo, nagle pobudzony, postąpił krok do przodu.

Potem się zatrzymał, a jego prawa stopa obsunęła się po załomie podłoga. Poleciał do przodu z krzykiem. Indy wykonał szybki ruch, schwycił Peruwiańczyka za pas i pociągnął go w tył w bezpieczne miejsce. Satipo upadł na ziemię, dysząc ciężko.

Indy spojrział w dół na podłogę, na którą nastąpił Peruwiańczyk. Pajęczyna. Gęsta sieć pradawnej pajęczyny, pokryta warstwą kurzu, tworząca złudzenie podłogi. Pochylił się, podniósł kamień i wrzucił w dół przez warstwę pajęczyn. Nic, żadnego dźwięku, nawet echa.

– Daleka droga - mruknął Indy.

Satipo, bez tchu, milczał.

Indy spojrział ponad pajęczynami w kierunku oświetlonych drzwi. Jak pokonać tę przestrzeń, przejść ponad studnią, skoro nie ma podłogi?

Odezwał się Satipo.

– Myślę, że teraz zawrócimy, *señor*, dobrze?

– Niedobrze - odpowiedział Indy. - Myślę, że pójdziemy dalej.

– Jak? Na skrzydłach? To ma pan na myśli?

– Aby latać, nie musisz mieć skrzydeł, przyjacielu.

Wyciągnął bicz i spojrział w górę na sklepienie. Z sufitu wystawało kilka belek. Mogą być spróchniałe, pomyślał. Z drugiej strony mogą być wystarczająco mocne, by utrzymać jego ciężar. Warto było spróbować. Jeśli

się nie uda, pośle posągowi bóstwa pożegnalny pocałunek. Zamachnął się biczem w górę, patrząc, jak owija się wokół belki, potem uwiesił się na rękojeści, badając siłę zaczepienia.

Satipo potrząsnął głową.

– Nie. Jest pan szalony.

– Masz lepszy pomysł, przyjacielu?

– Bicz nas nie utrzyma. Belka trzaśnie.

– Boże, zachowaj mnie od pesymistów - powiedział Indy. - Zachowaj mnie od niedowiarków Po prostu mi zaufaj, człowieku. Po prostu rób to samo, co ja, okej?

Indy zacisnął obie dłonie na biczu, pociągnął jeszcze raz, po czym rzucił się powoli w powietrze, pamiętając cały czas o złudzeniu podłogi pod stopami, o ciemności studni, leżącej pod warstwami pajęczyn i kurzu, świadom, że belka może pęknąć, bicz zsunąć się z niej, a wtedy...Ale nie miał czasu rozważać tych ewentualności. Kołysał się, ściskając bicz, czując ruch powietrza na twarzy. Kołysał się do momentu, gdy poczuł pewność, że znalazł się za przeciwległą krawędzią studni, po czym opuścił się na solidne podłoże. Popchnął bicz z powrotem w kierunku Peruwiańczyka, który wymamrotał coś po hiszpańsku, co - Indy był tego pewien - brzmiało jak modlitwa. Przemknęło mu przez myśl pytanie, czy gdzieś pod dachami Watykanu istnieje patron podróżujących na biczu.

Spojrzał na Peruwiańczyka, który wylądował obok.

– Mówiłem ci, prawda? Lepsze niż podróż autobusem.

Satipo się nie odezwał. Nawet w przytłumionym świetle Indy dostrzegł jego bladość. Ujął rękojeść bicza i wcisnął ją w szczelinę w ścianie korytarza.

– To na powrót - powiedział. - Nigdy nie kupuję biletu w jedną stronę, Satipo.

Peruviańczyk zadrżał, gdy przechodzili przez oświetlone słońcem drzwi do obszernego, sklepionego pomieszczenia, w którego suficie znajdowały się otwory wpuszczające pasma światła na podłogę z czarnych i białych płytek. Nagle Indy dostrzegł po przeciwnej stronie komnaty coś, co zaparło mu dech, napełniło go nabożnym szacunkiem, uczuciem przyjemności, której nie umiał opisać.

Bóstwo.

Ustawiony na czymś w rodzaju ołtarza, emanujący jednocześnie dumą i słodyczą, złoty posąg połyskiwał w blasku pochodni, lśnił w słońcu, przenikającym przez sufit. Bóstwo.

Bóstwo wojowników Chachapoya.

Odczuwał podniecenie wywołane obezwładniającą radością, pragnienie, by przebiec przez komnatę i dotknąć jego piękna - piękna otoczonego niebezpieczeństwami i pułapkami. A jaką pułapkę przygotowano na koniec? Jakie niebezpieczeństwo otaczało sam posąg?

– Wchodzę - powiedział.

Peruviańczyk także widział teraz posąg i nic nie mówił. Wpatrywał się w figurkę z wyrazem chciwości, który zdradzał, że był nią tak owładnięty, iż nie liczyło się nic poza chęcią zdobycia posążka. Indy przez chwilę obserwował swego towarzysza. *Widział posązek. Widział jego urodę. Nie można mu ufać.* Satipo miał właśnie przekroczyć próg, gdy Indy go powstrzymał.

– Pamiętasz Forrestala? - zapytał.

– Pamiętam.

Spojrzał na wyszukany wzór czarno-białej posadzki, rozmyślając nad precyzją układu. Z boku wejścia znajdowały się dwie starodawne pochodnie w zardzewiałych metalowych stojakach. Wyciągnął rękę, ujął jedną z nich, starając się wyobrazić sobie twarz ostatniego człowieka, który



mógł trzymać tę właśnie pochodnię. Czas - nigdy nie przestawało go zdumiewać, że pospolite przedmioty trwały przez wieki. Zapalił pochodnię, spojrzął na Satipa, potem schylił się i niezapalonym końcem nacisnął jeden z białych kafelków. Postukał w niego. Solidny. Nie ma echa, nie ma dudniącego odgłosu. Bardzo solidny. Potem stuknął w jeden z czarnych kafelków.

To się stało szybciej, niż zdołał cofnąć rękę. Hałas, dźwięk jakiegoś przedmiotu przelatującego w powietrzu, gwizd wywołany prędkością ruchu i niewielka strzała wbiła się w korpus pochodni. Cofnął rękę. Satipo głośno wypuścił powietrze z płuc, a potem wskazał ręką w głąb pomieszczenia.

– Wyleciała stamtąd. Widzi pan ten otwór? Stamtąd wyleciała strzała.

– Widzę także setki innych otworów - powiedział Indy. Cała komnata była podziurawiona jak plaster miodu, a w każdym otworze kryła się strzała, uwolniona do lotu naciskiem na czarny kafelek.

– Zostań na miejscu, Satipo.

Peruviańczyk wolno odwrócił twarz.

– Jeśli pan nalega.

Z zapaloną pochodnią Indy ruszył ostrożnie w głąb komnaty, unikając czarnych kafelków, przechodząc ponad nimi i stawiając stopy na białych, bezpiecznych. Był świadom własnego cienia na ścianach komnaty rzucanego przez światło pochodni, świadom śmiertelnych otworów w ścianach, kryjących strzały, widocznych teraz w półmroku. Jego uwagę skupiał jednak głównie posąg bóstwa. Z każdym krokiem jego proste piękno stawało się coraz wyraźniejsze, przyciągał jego hipnotyczny blask, tajemniczy wyraz oblicza. *Dziwne, pomyślał, niewiele ponad dziesięć centymetrów wysokości, dwa tysiące lat, bryła złota z wyrzeźbionym obliczem, które trudno uznać za mile. Dziwne, że ludzie są gotowi tracić dla*

*mego głowę i zabijać. Skoncentruj się na kafelkach, nakazał sam sobie. Tylko na kafelkach. Nic ponadto. Nie strać tu czujności.*

Pod stopami, rozciągnięty na białym kafelku i przebity strzałami, leżał martwy mały ptaszek. Indy popatrzył na niego, przez moment czując mdłości, owładnięty myślą, że ktokolwiek zbudował świątynię i zaplanował pułapki, był z pewnością na tyle sprytny, by nie ograniczyć ich do czarnych kafelków: jeden biały kafelek z pewnością został użyty jak dzoker w talii.

Co najmniej jeden.

A jeśli było ich więcej?

Zawahał się, nagle zlany potem, czując ciepło wpadającego z góry słońca i gorąco płomienia pochodni na twarzy. Ostrożnie ominął martwego ptaka i patrzył na białe kafelki dzielące go od posągu, jakby każdy z nich był potencjalnym wrogiem. *Czasami, pomyślał, sama ostrożność nie wystarczy. Czasem nie zdobywa się nagrody, wahając się, nie podejmując ostatecznego ryzyka.* Ostrożności musi towarzyszyć szczęście - ale wtedy trzeba w jakiś sposób zdawać sobie sprawę ze swoich atutów. Widok posągu ponownie przyciągnął jego uwagę. Hipnotyzował go. I był świadom obecności za plecami Satipa, który obserwował go od drzwi i niewątpliwie planował jakiś podstęp.

*Zrób to, nakazał sobie. Do diabła! Zrób to i niech szlag trafi ostrożność!*

Poruszał się z wdziękiem tancerza. Wykonywał ruchy z dziwaczną elegancją człowieka przeciskającego się między ostrzami. Każdy kafelek był teraz potencjalną miną, kluczem do piekła.

Pochylił się i przeszedł nad czarnymi kafelkami, czekając na gwizd strzał wypuszczonych pod wpływem ciężaru jego ciała. A potem znalazł się bliżej ołtarza, bliżej posągu bóstwa. Nagroda. Tryumf. I ostatnia pułapka.

Znów się zatrzymał. Jego serce waliło dziko, puls tętnił, krew płonęła w żyłach. Pot spływał z czoła i zalewał oczy, oslepiając go. Otarł twarz

grzbietem dłoni. Jeszcze kawałek, pomyślał. Nieco ponad metr.

I kilka kafelków.

Ruszył powoli, unosząc i opuszczając nogi. Jeśli zachowanie równowagi było kiedykolwiek ważne, to właśnie teraz. Bóstwo wydawało się go przyzywać, zachęcać.

Jeszcze krok.

I jeszcze jeden.

Wysunął do przodu prawą nogę, dotykając ostatniego białego kafelka przez ołtarzem.

Udało się. Zrobił to. Wydobył z kieszeni butelkę z alkoholem, zdjął zakrętkę i pociągnął solidny łyk. *Zasłużyłeś na to*, szepnął sam do siebie. Potem schował butelkę i popatrzył na bóstwo. *Ostatnia pułapka*, pomyślał. *Co to będzie? Ostatnie niebezpieczeństwo.*

Myślał długo próbując w wyobraźni wejść w sposób rozumowania ludzi, którzy stworzyli to miejsce i skonstruowali zabezpieczenia. Okej, ktoś przychodzi, by ukraść posąg bóstwa, co znaczy, że musi on zostać podniesiony z kamiennego, wypolerowanego postumentu. Musi zostać fizycznie zabrany.

Co wtedy?

Jakiś mechanizm pod posągiem wyczuwa brak ciężaru i wyzwala - co? Kolejne strzały? Nie, to musi być coś bardziej niszczycielskiego. Coś jeszcze bardziej śmiertelnościowego. Ponownie się skupił. Jego myśli galopowały, nerwy pulsowały. Schylił się i zlustrował podstawę ołtarza. Były tam okruchy kamienia, pył i grys nagromadzone przez wieki. *Może*, pomyślał. *Być może...* Wydobył niewielką sakiewkę z kieszeni, otworzył, wysypał drobne monety i zaczął ją napełniać kamykami i pyłem. Zważył ciężar w dłoni. *Może*, pomyślał ponownie, *jeśli zdołasz to zrobić*

*dostatecznie szybko. Może uda ci się zrobić to tak szybko, by oszukać mechanizm, jeśli faktycznie na tym polegała ta pułapka.*

Jeśli, jeśli, jeśli. Za dużo hipotez.

Wiedział, że w innych okolicznościach oszczędłby, uniknął konsekwencji tak wielu niewiadomych. Ale nie tu i nie teraz. Wyprostował się, ponownie zważył sakiewkę, zastanowił się, czy jej ciężar był równy ciężarowi posążka i poczuł nadzieję, że tak jest. Potem szybkim ruchem schwycił posążek i opuścił sakiewkę na jego miejsce na wypolerowanym postumencie.

Nic. Przez chwilę nic się nie działo.

Wpatrywał się w sakiewkę i w posąg bóstwa w dłoni i nagle zdał sobie sprawę z dziwnego, odległego dźwięku, szumu, jakby wprowadzono w ruch ogromną maszynę, odgłosu czegoś budzącego się z długiego snu, trzasków, jęków i ryków narastających w przestrzeni świątyni. Wypolerowany postument nagle zapadł się w dół - dziesięć, piętnaście centymetrów. A potem dźwięk się nasilił, stał się ogłuszający i wszystko zaczęło drżeć, kołysać się, jakby fundamenty tego miejsca rozpadały się, pękały i rozsypywały, a cegły i kawałki drewna łamały i kruszyły.

Odwrócił się i popędził z powrotem po kafelkach w stronę drzwi najszybciej jak potrafił. A hałas, jak gniewny grom, narastał, grzmiał i rozchodził się echem przez stare korytarze, przejścia i komnaty. Posuwał się w stronę Satipa, który stał w drzwiach z wyrazem absolutnego przerażenia na twarzy.

Teraz już wszystko drżało, poruszało się, cegły sypały się z góry, a ściany zapadały. Gdy dobiegł do drzwi, odwrócił się, by zobaczyć, jak skała wali się na kafelkową podłogę, wypuszczając bezładnie tysiące nieprzydatnych już strzał do wnętrza komnaty.

Satipo, ciężko oddychając, podszedł do bicz a przrzucił ciało na drugą stronę studni. Gdy znalazł się na przeciwległej krawędzi, spojrział przez chwilę na Indy'ego.

*Wiedziałeś, że ten moment nadejdzie,* pomyślał Indy.

*Czułem to, wiedziałem, a teraz, gdy to się stało, co mogę zrobić?* Obserwował, jak Satipo zdejmuje bicz ze ściany i zwija go w rękę.

– Umowa, *señor*. Wymiana. Posążek za bicz. Pan mi rzuci posążek, a ja panu bicz.

Indy nasłuchiwał odgłosów zniszczenia za plecami i obserwował Satipa.

– Jaki pan ma wybór, *señor Jones*? - zapytał Satipo.

– A jeśli wrzucę posążek do studni, przyjacielu? Za wszystkie trudy zostanie ci wtedy tylko bicz, prawda?

– A co właściwie ma pan za swoje trudy, *señor*?

Indy zadrżał. Hałas za nim wciąż narastał, czuł, jak świątynia drży, podłoga zaczęła się kołysać. Bóstwo, pomyślał. Nie mógł tak po prostu wrzucić go w otchłań.

– W porządku, Satipo. Posążek za bicz. - I cisnął figurkę w stronę Peruwiańczyka. Patrzył, jak Satipo chwyta posążek, wkłada go do kieszeni i rzuca bicz na podłogę.

Satipo uśmiechnął się.

– Jest mi naprawdę przykro, *señor Jones*. *Adios* [(hiszp.) - żegnaj]. I powodzenia.

– Nie jest ci bardziej przykro niż mnie - krzyknął Indy, patrząc jak Peruwiańczyk znika w ciemności. Cała budowla, jak żądne zemsty bóstwo dżungli, zatrzęsała się z nową siłą.

Usłyszał dźwięk kolejnych sypiących się kamieni, załamujących się filarów. Klątwa bóstwa, pomyślał. Było jak na poranku filmowym, jak na filmie oglądanym przez dzieciaki z otwartymi buziami w sobotnie

popołudnie. Była tylko jedna rzecz, którą mógł zrobić. Tylko jedna. *Musisz skoczyć. Musisz wykorzystać swoją szansę i skoczyć ponad studnię i mieć nadzieję, że siła ciężenia będzie ci sprzyjać. Za tobą wali się piekło, a przed tobą jest przeklęta otchłań. Więc skacz, rzuć się w ciemność i trzymaj sam za siebie kciuki.*

*Skacz!*

Nabrał głęboko powietrza i rzucił się w pustkę ponad studnię, tak mocno do przodu, jak tylko zdołał. Nasłuchiwał świstu powietrza wokół siebie. Modliłby się, gdyby miał taki zwyczaj, o to, by nie pochłonęła go ciemna nicość pod nogami.

Teraz opadał. Impet skoku osłabł. Spadał. Miał nadzieję, że spada na drugą stronę studni.

*Ale tak nie było.*

Czuł, jak ciemność, stęchła woń i wilgoć podnoszą się od dna i wyciągnął ręce w poszukiwaniu czegoś do uchwycenia, jakiejś krawędzi, czegokolwiek. Poczuł, jak końce palców wbijają się w krawędź studni, kruchą krawędź, i próbował podciągnąć się w górę, podczas gdy krawędź ustępowała pod naciskiem, a luźne kamienie sypały się w ciemną otchłań. Zakołysał nogami, zacisnął dłonie, szamotał się jak ryba wyrzucona na brzeg, by się wydostać, sięgnąć czegokolwiek, co mogłoby zapewnić mu bezpieczeństwo. Prężąc ciało, stękając i bijąc nogami o ściany studni walczył, by się podciągnąć. Nie mógł pozwolić, by zdradziecki Peruwiańczyk odszedł z posążkiem bóstwa. Ponownie zakołysał się i wierzgnął, rozejrzał za jakąkolwiek podporą, która pomogłaby mu wydźwignąć się ze studni. Czymkolwiek. A świątynia nadal się rozpadała jak żaloszny słomkowy kapelusz gnany podmuchem huraganu. Odchrząknął, wbił palce w krawędź nad głową, wyteżył mięśnie, aż wydało mu się, że się

rozpadną, a żyły popękają, i podciągnął się, nie zważając na trzask pękających pod ciężarem ciała paznokci.

*Mocniej, pomyślał.*

*Spróbuj mocniej.*

Napierał, a pot oślepiał go, nerwy zaczęły drgać. *Coś pęknie, pomyślał. Coś nie wytrzyma i wtedy przekonasz się, co znajduje się na dnie studni.* Przestał napierać i starał się zebrać ponownie siły, zmobilizować słabnącą energię, po czym od nowa zaczął się wspinać centymetr po centymetrze.

W końcu mógł przerzucić nogę przez krawędź studni, przetoczyć się przez nią na stosunkowo bezpieczne miejsce - podłogę, która drżała i w każdym momencie groziła zapadnięciem.

Podniósł się chwiejnie na nogi i spojrzał w głąb korytarza, w którym zniknął Satipo. Poszedł w stronę komory, w której znaleźli szczątki Forrestala. Do komnaty pik. Izby tortur. I nagle Indy zdał sobie sprawę, co się stanie z Peruviańczykiem, nagle uświadomił sobie jego okrutny los, zanim jeszcze usłyszał echo potwornego krzyku w skalnym tunelu. Nasłuchiwał chwilę, schylił się i sięgnął po bicz, a potem popędził w kierunku komnaty. Satipo wisiał pod jedną ze ścian, przyszpilony do niej jak groteskowy, ogromny motyl w kolekcji szaleńca.

– *Adios, Satipo* - szepnął Indy, po czym wyrwał posążek z kieszeni trupa, przemknął między ostrzami i popędził korytarzem.

Przed sobą widział wyjście, krąg światła i kępę grubych drzew. Ale grzmiący odgłos narastał, wypełniał uszy i mózg, wibrował w całym ciele. Odwrócił się, zdumiony widokiem wielkiej, toczącej się w jego kierunku masy, która nabierała coraz większej prędkości w miarę posuwania się do przodu. Ostatnia pułapka, pomyślał. *Chcieli mieć pewność, że nawet jeśli komuś uda się wejść do świątyni, nawet jeśli ktoś zdoła uniknąć wszystkich ukrytych w niej pułapek, i tak nie wyjdzie stąd żywy.* Pognał przed siebie.

Pędził jak szalony w stronę wyjścia, a wielki głaz toczył się za nim w ciasnym korytarzu. Rzucił się głową naprzód w prześwit wyjścia i zdołał wylądować w' gęstej trawie na ułamek sekundy przed tym, jak kamień uderzył w obramowanie wejścia i na zawsze zamknął dostęp do świątyni.

Wyczerpany, bez tchu, leżał na plecach.

*Za blisko na odpoczynek, skarcił sam siebie. Chciał zasnąć. Nie pragnął niczego więcej, jak tylko zamknąć oczy, pogrążyć się w ciemności snu, przynoszącego ulgę i odprężenie, pozbawionego majaków. Mogłeś tam zginąć tysiąckrotnie, przemknęło mu przez myśl. Mogłeś zginąć więcej razy, niż grozi to człowiekowi podczas całego życia. A potem uśmiechnął się, usiadł i zaczął obracać w rękach posążek bóstwa.*

*Ale warto było, pomyślał. Warto.*

Patrzył na złotą figurkę.

Patrzył na nią także wtedy, gdy dostrzegł nad sobą cień.

Cień poderwał go do pozycji siedzącej. Spojrzał ukośnie w górę. Dwaj wojownicy z plemienia Hovito z twarzami pomalowanymi groźnie w barwy wojenne patrzyli na niego z góry, trzymając długie bambusowe dmuchawki pionowo jak oszczepy. Ale to nie obecność Indian była w tej chwili przedmiotem troski Indy'ego. Był nim widok białego mężczyzny w stroju podróżnym i korkowym kasku. Przez długą chwilę Indy milczał, dopuszczając w pełni do świadomości jego tożsamość. Mężczyzna w korkowym kasku uśmiechnął się lodowatym, śmiercionośnym uśmiechem.

– Belloq - powiedział Indy.

*Akurat on, ze wszystkich ludzi na świecie.*

Indy na moment oderwał wzrok od twarzy Francuza, spojrział w dół na posąg bóstwa, który wciąż trzymał w rękach, a potem w ślad za wzrokiem Belloqa popatrzył na skraj dżungli, gdzie w szeregu stało jeszcze około



trzydziestu Indian Hovito. Obok nich stał Barranca. Gapił się w dal za plecami Indy'ego z idiotycznym, pełnym chciwości uśmiechem. Uśmiech nagle zmienił się w wyraz zaskoczenia, a potem, jeszcze szybciej, w grymas, w którym Indy rozpoznał oznakę nadchodzącej śmierci.

Indianie po obu stronach zdradzieckiego Peruwiańczyka puścili jego ramiona i Barranca upadł twarzą do ziemi. Jego plecy były najeżone strzałami.

– Mój drogi doktorze Jones - przemówił Belloq - ma pan skłonność do dobierania sobie nieodpowiednich przyjaciół.

Indy nie odpowiedział. Patrzył, jak Belloq sięga po posążek i wyjmuje mu go z dłoni. Przez chwilę oglądał go z lubością, obracając na wszystkie strony z wyrazem głębokiego uznania na twarzy.

Belloq lekko skinął głową w geście sugerującym niestosowną w tych okolicznościach grzeczność, wyszukane maniery.

– Mógł pan sądzić, że zrezygnowałem. Ale po raz kolejny okazuje się, że nie ma takiej rzeczy, która znalazłaby się w pańskim posiadaniu, a której ja nie mógłbym odebrać.

Indy spojrzał w kierunku wojowników.

– A ci Hovito sądzą oczywiście, że pan odda im bóstwo?

– Właśnie - odrzekł Belloq.

Indy się roześmiał.

– Cóż za naiwność z ich strony.

– Sam pan to powiedział - zauważył Belloq. - Gdyby władał pan ich językiem, mógłby im pan oczywiście to przekazać.

– Oczywiście - powtórzył Indy.

Obserwował, jak Belloq odwraca się do grupy wojowników i podnosi posążek bóstwa, a oni w odpowiedzi, jakby wyćwiczonym, zdumiewająco zgranym ruchem padają na twarze. Zapadła chwila nieoczekiwanej ciszy,

moment prymitywnego religijnego hołdu. *W innych okolicznościach, pomyślał Indy, mogłoby to wyrzucić na mnie wystarczająco mocne wrażenie, by zostać na miejscu i patrzeć.*

W innych okolicznościach, ale nie w tej chwili.

Uniósł się wolno na kolana, popatrzył na plecy Belloq, rzucił jeszcze jedno szybkie spojrzenie na rozciągniętych na ziemi wojowników - i już pędził w kierunku drzew, czekając na chwilę, gdy Indianie się podniosą, a powietrze zgęstnieje od strzał wypuszczanych z dmuchawek.

Zanurkował między drzewa w momencie, gdy usłyszał za plecami krzyk Belloq, prawdopodobnie w języku hovito, i zaczął przedzierać się przez zarośla ku rzece i miejscu, w którym czekał hydroplan. *Biegnij. Biegnij, nawet jeśli nie masz już w sobie ani odrobiny energii. Znajdź jakieś rezerwy.*

*Po prostu pędź przed siebie.*

I wtedy usłyszał strzały.

Usłyszał, jak przecinają powietrze ze świstem i sykiem, tworzącymi melodię śmierci. Biegł zygzakiem, przemykając zakosami wśród zarośli. Z tyłu słyszał odgłos łamanych gałęzi i deptanych roślin, gdy Hovito puścili się za nim w pościg. Nagle poczuł się osobliwie oddzielony od własnego ciała; poruszał się niezależnie od własnej fizyczności, niezależnie od absurdalnych potrzeb mięśni i ścięgien, przebijając się z automatyzmem, wynikającym z podstawowych instynktów życia. Od czasu do czasu słyszał uderzenia strzał w korę drzew, przerażone bicie skrzydeł ptaków podrywających się z gałęzi, krzyk zwierząt uskakujących spod nóg rozpędzonych prześladowców. *Biegnij*, nakazywał sobie bez przerwy.

*Biegnij, jak długo zdołasz, a potem biegnij dalej. Nie myśl. Nie zatrzymuj się.*

*Jeszcze się z tobą policzę, Belloq, pomyślał.*

*Jeśli z tego wyjdę.*

Pędził - nie wiedział jak długo. Dzień zaczął blednąć.

Zatrzymał się, spojrział w górę na słabe światło, przeciskające się przez gęstwinę koron drzew i rzucił się w stronę rzeki. Najbardziej na świecie pragnął usłyszeć żywy dźwięk płynącej wody, a zobaczyć - czekający na niej hydroplan.

Skręcił ponownie i ruszył przez prześwit, w którym znalazł się nagle pozbawiony osłony drzew. Przez moment prześwit zdawał się groźny, nagle cisza zmierzchu niesamowita.

A potem usłyszał krzyki Hovito i przesmyk wydał mu się środkiem jakiejś osobliwej tarczy strzeleckiej. Rozejrzał się wokół siebie i dostrzegł ruch kilku postaci, poczuł powiew powietrza od dwóch lecących w jego stronę oszczepów - i już znowu pędził ze wszystkich sił w stronę rzeki. Biegając rozważał: *Nie uczą sztuki przetrwania na zajęciach z archeologii, do metodologii wykopalisk nie dodają poradnika, jak przeżyć.*

I z całą pewnością nie ostrzegają przed knowaniami Francuza nazwiskiem Belloq.

Zatrzymał się ponownie i nasłuchiwał odgłosów Indian za plecami. A potem dobiegł go inny dźwięk, który go zachwyił, wprowadził w ekstazę. Ruch szybko płynącej wody, szelest i szmer fal. *Rzeka!* Jak daleko mogła być? Nasłuchiwał znowu, chcąc być pewny i ruszył w kierunku, z którego dolatywał dźwięk, z nową energią, naładowanymi bateriami. Szybciej, zręczniejszy, energiczniej. Przebijając się przez chłuszczące zarośla, ignorował skałczenia i otarcia. Szybciej, zręczniejszy, energiczniej! Dźwięk narastał. Szum wody.

Wybiegł spomiędzy drzew.

Tam.

U podnóża skarpy, za pasem nieprzyjaznej roślinności, była rzeka.

Rzeka i hydroplan kołyszący się w rytmie płynącego nurtu. Nie umiał wyobrazić sobie przyjemniejszego widoku. Poszedł kawałek wzdłuż skarpy i zorientował się, że droga w dół przez zarośla do samolotu jest trudna. Ale nie miał czasu na szukanie łatwej. Musisz wspiąć się skarpą do miejsca, w którym tworzy urwisko i skoczyć stamtąd do wody. *Skoczyć*, pomyślał. *A, co tam. Czym jest jeszcze jeden skok.*

Wspinał się, świadom sylwetki człowieka siedzącego na jednym ze skrzydeł daleko w dole. Indy dotarł do miejsca prawie dokładnie nad hydroplanem, spojrzął w dół, a potem zacisnął powieki i wykonał krok w pustkę poza krawędzią skarpy.

Wpadł do letniej wody niedaleko skrzydła, zanurkował pod powierzchnię, gdy porwał go prąd, wynurzył się oślepiiony i zaczął z wysiłkiem zbliżać się do hydroplanu. Mężczyzna na skrzydle wstał, gdy Indy złapał za wspornik i wydźwignął się z wody.

– Zapalaj silnik, Jock - krzyknął. - Zapalaj!

Jock szybko ruszył wzdłuż skrzydła i wpadł do kokpitu, gdy zdyszany, wyczerpany Indy padał na fotel w kabinie pasażerskiej. Zamknął oczy i nasłuchiwał szmeru silników, gdy hydroplan muskał powierzchnię wody.

– Nie spodziewałem się, że wpadniesz tak niespodziewanie - powiedział Jock.

– Oszczędź sobie żartów, dobrze?

– Mamy kłopoty, chłopie?

Indy'emu chciało się śmiać.

– Przypomnij mi, żebym ci coś powiedział.

Leżał na plecach z zamkniętymi oczami i miał nadzieję, że nadejdzie sen. Ale nagle uświadomił sobie, że hydroplan stoi w miejscu. Usiadł gwałtownie i przechylił przez oparcie do pilota.

– Nie zaskoczył - powiedział Jock.

– Nie zaskoczył? Dlaczego?

Jock wykrzywił twarz.

– Ja tylko latam tym przeklętym pudłem. Ludziom się wydaje, że każdy Szkot musi być jakimś cholernym mechanikiem, Indy.

Przez okno Indy widział, jak Hovito wchodzą do płytkiej wody. Dziesięć metrów, już tylko pięć. Byli jak groteskowe, rzeczne duchy, które wstały z dna, by pomścić jakieś dawne świętokradztwo. Unieśli ramiona i dziesiątki oszczepów pofrunęły w kierunku kadłuba samolotu.

– Jock...

– Cholera, staram się, Indy. Staram się.

– Myślę, że powinienes się bardziej starać - powiedział z lodowatym spokojem Indy.

Oszczepy trafiły w samolot, uderzając w skrzydła i kadłub jak grad kamieni.

– Mam go - powiedział Jock.

Silniki ożyły leniwie dokładnie w chwili, gdy dwaj Hovito dopłynęli do samolotu i uczepili się skrzydła.

– Zaskoczył - stwierdził Jock. - Zaskoczył.

Samolot sunął do przodu, a potem zaczął się unosić niezdarnie ponad powierzchnię wody. Indy obserwował, jak dwaj wojownicy stracili równowagę i wpadli do wody niby dziwne stwory z dżungli.

Samolot unosił się nad wierzchołkami drzew, potrącając podwoziem korony, strasząc ptaki i wyganiając je z kryjówek w kierunku zachodzącego słońca. Indy roześmiał się i zamknął oczy.

– Prawdę mówiąc - odezwał się Jock - nie sądziłem, że ci się uda.

– Nigdy w to nie wątpiłem - odpowiedział Indy i uśmiechnął się.

– Odpręż się, chłopie. Prześpij się. Zapomnij o tej cholernej dżungli.

Przez chwilę Indy pozostawał w pół drogi między jawą i snem. Ulga. Rozluźnienie mięśni. Dobre samopoczucie. Mógłby przez długi czas rozkoszować się tymi doznaniem.

A potem coś przesunęło się po jego biodrze. Coś powolnego, ciężkiego.

Otworzył oczy i zobaczył boa dusiciela, owijającego się groźnie wokół jego uda. Skoczył na równe nogi.

– Jock!

Pilot obejrzał się i uśmiechnął.

– Nic ci nie zrobi, Indy. To Reggie. Nie skrzywdziłby nawet muchy.

– Zabierz go ode mnie, Jock.

Pilot sięgnął do tyłu, pogłaskał węża, a potem wrzucił go do kokpitu obok siebie. Indy obserwował, jak wąż odpełza od niego. Stare poczucie obrzydzenia, nieopisane przerażenie. Niektórzy odczuwali je w obecności pajaków, inni szcurów, jeszcze inni w zamkniętych pomieszczeniach. W jego wypadku był to odrażający widok i dotknięcie węża. Potarł złane znowu potem czoło i zadrżał, czując nagle przykry chłód mokrej odzieży.

– Po prostu trzymaj go z daleka ode mnie - powiedział. - Nienawidzę węży.

– Zdradzę ci pewien sekret - rzekł Jock, - Przeciętny wąż jest znacznie miłszy niż przeciętny człowiek.

– Wierzę ci na słowo - powiedział Indy. - Ale trzymaj go z daleka ode mnie.

*Wydaje ci się, że nic ci już nie grozi, i nagle boa dusiciel ma ochotę owinąć się wokół twojego ciała. I to wszystko w ciągu jednego dnia, pomyślał.*

Przez chwilę wyglądał przez okno i obserwował, jak nad bezkresną dżunglą nieuchronnie zapada ciemność. *Zachowaj swoje tajemnice, myślał Indy. Możesz je zachować.*

Nim zapadł w sen, ukołysany szumem silników, poczuł nadzieję, że już wkrótce jego ścieżki znów skrzyżują się ze ścieżkami Francuza.

## Rozdział II.

### Berlin

W biurze przy Wilhelmstrasse oficer w czarnym mundurze SS - absurdalnie mały człowieczek nazwiskiem Eidel - siedział przy biurku, wpatrując się w stos kartonowych teczek ułożonych równiutko na blacie. Dla Dietricha - gościa Eidla - było jasne, że stosy teczek służyły małemu człowieczkowi jako rekompensata: dzięki nim czuł się wielki, ważny. *W tych czasach wszędzie tak jest*, pomyślał Dietrich. *Ocenia się człowieka i jego wartość na podstawie ilości papierów, które jest w stanie zgromadzić, liczby pieczętek, do których używania jest upoważniony.* Dietrich, który lubił uważać się za człowieka czynu, westchnął w duchu i spojrzał w kierunku okna, zaciągniętego jasnobrązową roletą. Czekał, aż Eidel się odezwie, ale oficer SS milczał przez cały czas, jakby to milczenie miało być miarą tego, co sam uważał za własne znaczenie.

Dietrich spoglądał na portret Fuhrera wiszący na ścianie. Gdy przychodziło co do czego, nie miało znaczenia, co się sądzi o kimś takim jak Eidel - miękkim, przylepionym do biurka, pompatycznym, zamkniętym w nędznym gabinecie - bo Eidel miał bezpośredni dostęp do Hitlera. Więc słuchasz i się uśmiechasz, i udajesz, że jesteś mniej ważny. Eidel był zresztą członkiem wewnętrznego kręgu, elitarnej grupy prywatnych gwardzistów Hitlera.

Eidel wygładził mundur, który wyglądał jak świeżo odebrany z pralni. Odezwał się.

– Mam nadzieję, że wyjaśniłem panu znaczenie tej sprawy, pułkowniku?  
Dietrich skinął głową. Czuł zniecierpliwienie. Nienawidził biurokracji.



Eidel podniósł się, wspiął na palce jak człowiek, który sięga do umieszczonego wysoko uchwyty, wiedząc, że go nie dosięgnie, po czym zbliżył się do okna.

– Fuhrer koncentruje się na zdobyciu tego konkretnego przedmiotu. A gdy się na czymś koncentruje, to oczywiście...

Eidel przerwał, odwrócił się, spojrzął na Dietricha. Wykonał ruch ręką oznaczający, że cokolwiek przemknęło przez myśl Fuhrerowi, było niepojęte dla ludzi niższych rangą.

– Rozumiem - powiedział Dietrich, bębniąc palcami w wieko teczki.

– Istotne jest znaczenie religijne - powiedział Eidel. - Nie chodzi rzecz jasna o to, że Fuhrer miałby być szczególnie zainteresowany żydowskimi pamiątkami jako takimi - zamilkł, uśmiechając się dziwnie, jakby ta myśl była szalenie zabawna. - Jest raczej zainteresowany *symbolicznym* znaczeniem tego obiektu, rozumie pan.

Dietrichowi przemknęło przez myśl, że Eidel kłamie, coś ukrywa. Trudno było sobie wyobrazić, by Fuhrer był zainteresowany czymkolwiek ze względu na wartość symboliczną. Wpatrywał się w niewyraźną depeszę, którą Eidel pozwolił mu przeczytać kilka minut wcześniej. Potem ponownie spojrzął na portret Hitlera, którego twarz była ponura, pozbawiona uśmiechu.

Eidel odezwał się na modłę małomiasteczkowego profesora uniwersytetu.

– Dochodzimy do kwestii wiedzy fachowej.

– Owszem - potwierdził Dietrich.

– Dochodzimy zwłaszcza do kwestii wiedzy archeologicznej.

Dietrich nic nie powiedział. Wiedział, do czego zmierza ta rozmowa. Wiedział, czego od niego oczekują.

Odezwał się.

– Obawiam się, że to leży poza moim zasięgiem.

Eidel uśmiechnął się lekko.

– Ale ma pan kontakty, jak rozumiem. Ma pan kontakty z największymi autorytetami w tej dziedzinie, nie mylę się?

– To kwestia dyskusji.

– Nie mamy czasu na taką dyskusję - stwierdził Eidel. - Nie jestem tu, by spierać się o definicję autorytetu, pułkownika. Jestem tu, podobnie jak pan, by wykonać określony ważny rozkaz.

– Nie musi pan tego przypominać akurat mnie - odpowiedział Dietrich.

– Wiem - powiedział Eidel, opierając się o blat biurka. - I rozumie pan, że mówię o pewnym znanym panu autorytecie, którego doświadczenie w tej konkretnej dziedzinie zainteresowań będzie dla nas nieocenione. Prawda?

– Francuz - stwierdził Dietrich.

– Oczywiście.

Dietrich milczał przez chwilę. Czul się trochę niepewnie. Jakby oblicze Hitlera besztalo go za wahanie.

– Francuza trudno znaleźć. Jak każdy najemnik, traktuje cały świat jak miejsce zatrudnienia.

– Kiedy słyszał pan o nim ostatnio?

Dietrich wzruszył ramionami.

– Chyba w Ameryce Południowej.

Eidel obserwował wierzch dłoni, szczupłych i bladych, a jednak pozbawionych delikatności, jak ręce kogoś, kto nie sprostał ambicjom zostania wirtuozem fortepianu. Odezwał się.

– Może pan go znaleźć. Rozumie pan, co mówię? Rozumie pan, skąd pochodzi ten rozkaz?

– Mogę go znaleźć - potwierdził Dietrich - ale ostrzegam pana...

– Niech mnie pan nie ostrzega, pułkownika.

Dietrich poczuł, że zaschło mu w gardle. Ten mały, nadęty głupek zza biurka. Z radością udusiłby go, wcisnął mu te jego teczki w gardło, aż by się nimi zadławił.

– Dobrze więc. Zwracam panu uwagę. Francuz jest drogi.

– Nie mam zastrzeżeń - powiedział Eidel.

– A jego wiarygodność pozostawia wiele do życzenia.

– Tym pan się zajmie. Chodzi o to, pułkowniku Dietrich, by pan go znalazł i przyprowadził do Fuhrera. Ale trzeba to zrobić szybko. Trzeba to zrobić, jeśli rozumie pan, co mam na myśli, na wczoraj.

Dietrich wpatrywał się w cień na oknie. Czasem ogarniało go przerażenie na myśl, że Fuhrer otoczył się lokajami i głupcami pokroju Eidla. To zwiastowało pewne zaburzenia w kwestii osądu ludzi.

Eidel uśmiechnął się, jakby bawiło go zakłopotanie Dietricha. Po chwili się odezwał.

– Czas ma oczywiście znaczenie. Są rzecz jasna inni zainteresowani. Ci inni nie reprezentują głównych interesów Rzeszy. Czy wyrażam się jasno?

– Jasno - odpowiedział Dietrich. Pomyślał przez chwilę o Francuzie. Wiedział, nawet jeśli nie powiedział tego Eidlowi, że Belloq był właśnie w południowej Francji. Perspektywa współdziałania z nim przerażała go. Była w Belloqu jakaś cienka warstwa, która osłaniała jego brutalność, egoizm, brak szacunku dla filozofii, wiary, polityki. Jeśli zasady służyły jego własnym interesom, Francuz uwzględniał je. Jeśli nie, odrzucał.

– Innymi zainteresowanymi zajmiemy się, jeśli się pojawią - mówił Eidel. - Nie powinien się pan nimi kłopotać.

– Więc tak ich potraktuję - stwierdził Dietrich.

Eidel podniósł depezę i spojrzał na nią.

– To, o czym rozmawialiśmy, nie może wyjść poza ściany tego pokoju, pułkowniku. Nie muszę panu tego mówić, prawda?

– Nie musi pan - powtórzył poirytowany Dietrich.

Eidel powrócił na swoje miejsce i spoglądał na rozmówcę ponad stosem teczek. Przez chwilę milczał. A potem udając zaskoczenie tym, że Dietrich siedzi naprzeciw, zapytał:

– Pan jeszcze tutaj, pułkowniku?

Dietrich złapał teczkę i wstał. Trudno było nie czuć nienawiści do tych błaznów w czarnych mundurach. Zachowywali się, jakby cały świat do nich należał.

– Właśnie wychodziłem - powiedział.

– *Heil Hitler!* - powiedział Eidel, podnosząc w faszystowskim pozdrowieniu wyprostowane sztywno ramię.

Od drzwi Dietrich odpowiedział mu tymi samymi słowami.

## Rozdział III.

### Connecticut

Indiana Jones siedział w swoim pokoju w Marshall College. Właśnie zakończył pierwszy w tym roku akademickim wykład z archeologii i wszystko poszło gładko. Zawsze szło gładko. Uwielbiał uczyć i wiedział, że potrafi przekazywać swoją pasję studentom. Ale teraz był niespokojny i ten niepokój go denerwował. Bo dokładnie wiedział, czego chce.

Indy położył nogi na biurku, z premedytacją przewracając kilka książek, potem podniósł się i przeszedł po pokoju. Nie postrzegał go teraz jako przytulnego miejsca, którym zwykle był, jako azylu i kryjówki, ale traktował jak pustelnię kogoś obcego z dalekich stron.

*Jones, przywołał sam siebie do porządku.*

*Indiana Jones, zmądrzej wreszcie.*

Przedmioty wokół niego wydawały się zmieniać znaczenie. Wielka mapa ścienna Ameryki Południowej stała się surrealistyczną mozaiką, wytworem sztuki dadaistów. Gliniana replika bóstwa wyglądała nagle głupio i brzydko. Podniósł ją i otoczył myślami. *Dla czegoś takiego narażasz życie? Musisz być nieźle stuknięty. Kompletny świr.*

Trzymał replikę posążku i wpatrywał się w nią nieobecny spojrzeniem. Ta szalona miłość do starożytności wydała mu się nagle bezbożna, nienaturalna. Obłądne zaślepienie odczuciem historii - bardziej odczuciem niż sensem - autentyczna potrzeba, by wyciągnąć rękę i dotknąć jej, zrozumieć ją za pośrednictwem pozostałości i przedmiotów, zmagać się z widmami dawno umarłych artystów i rzemieślników, widzieć cienie rąk tworzących te przedmioty, palców, które dawno temu zmieniły się w szkielety i rozpadły w proch. *Ale nigdy nie zostały zapomniane, nigdy nie*

*zostaną tak naprawdę zapomniane, jak długo ty żyjesz ze swoimi irracjonalnymi pasjami.*

Przez chwilę poczuł dawne uczucie podniecenia, jakie opanowywało go w czasach studenckich. Kiedy to było? Piętnaście lat temu? Szesnaście? Dwadzieścia? To nie miało znaczenia, dla niego czas był czymś innym niż dla większości ludzi. Czas był czymś, co odkrywało się za pośrednictwem pogrzebanych w nim sekretów - świątyń, ruin, pod zwałami skał, kurzu i piasku. Czas rozciągał się, stawał elastyczny, tworząc zdumiewającą świadomość tego wszystkiego, co żyło w przeszłości, w powiązaniu z tym, co istniało współcześnie. A śmierć była zasadniczo pozbawiona znaczenia w świetle tego, co pozostawało po człowieku.

Nieistotna.

Pomyślał o Champollionie trudzącym się nad kamieniem z Rosetty, o zdumieniu, które towarzyszyło ostatecznemu odcyfrowaniu starożytnych hieroglifów. Pomyślał o Schliemannie, który odnalazł Troję. O Flindersie Petriem rozkopującym predynastyczne cmentarzysko w Nagadzie. O Wooleyu, odkrywcy królewskiej nekropolii w irackim Ur. O Carterze i lordzie Carnavonie, pochylających się nad sarkofagiem Tutanchamona.

Tam się to wszystko zaczęło. W tej świadomości odkrycia, która była jak oko intelektualnego cyklonu. Ten cyklon porwał cię, zmiotł i przeniósł w przeszłość w swoistym wehikule czasu, który mógłby być wynalazkiem autorów science-fiction. Twoim własnym wehikule czasu, osobistej linii lotniczej w żywą przeszłość.

Zakołysał w dłoni replikę posągu bóstwa i spojrzał na nią, jakby miał przed sobą osobistego wroga. *Nie, pomyślał, sam jesteś swoim największym wrogiem, Jones. Zostałeś wyrolowany, bo miałeś dostęp do połowy planu z papierów Forrestala - i dlatego, że rozpaczliwie pragnąłeś zaufać dwóm opryszkom, którzy dysponowali drugą połową.*

*Dureń.*

A Belloq? Belloq był prawdopodobnie jego przeciwieństwem. Belloq dysponował niezawodną umiejętnością dostrzegania szybkich szans. Belloq zawsze dysponował tą zdolnością - jak węże, których się panicznie boisz. Pojawiać się niepostrzeżenie spod skały jak pełzający drapieżca, sięgający zawsze po zdobycz, której sam nie upolował.

W jego świadomości ukształtował się obraz Belloqa - szczupła, atrakcyjna twarz, ciemne oczy, uśmiech maskujący przebiegłość.

Pamiętał inne spotkania z Francuzem. Pamiętał studia podyplomowe, na których Belloq wykuwał sobie drogę do nagrody Towarzystwa Archeologicznego pracą na temat stratygrafii - której podstawy Indy rozpoznał jako swoje dzieło. I w jakiś sposób Belloq popełnił plagiat, zdołał znaleźć do niej dostęp. Indy nie mógł niczego udowodnić, bo uznano by to za przejaw zazdrości, zachowanie psa ogrodnika.

1934. Przypomnij sobie lato tego roku, pomyślał.

1934. Czarne lato. Spędził wiele miesięcy, planując wykopaliska na pustyni Rub al-Chali w Arabii Saudyjskiej. Miesiące pracy i zabiegania o fundusze, składanie w całość strzępów informacji, przekonywanie, że instynkt go nie zawodzi, że w tym jałowym miejscu znajdzie pozostałości koczowniczej kultury sprzed czasów Chrystusa. I co się stało?

Przymknął oczy.

Nawet teraz to wspomnienie wywoływało gorycz.

Belloq był tam przed nim.

Belloq prowadził wykopaliska.

Prawdą jest, że odkrył niewiele znaczących znalezisk, ale nie to było istotne.

Istotne było, że Belloq znowu go okradł. I on znów nie wiedział, jak dowieść tej kradzieży.

A teraz posązek.

Indy podniósł wzrok, otrząsnął się z zamyślenia, gdy wolno otworzyły się drzwi.

Pojawił się Marcus Brody z ostrożnym wyrazem twarzy. Ta ostrożność mieszała się z troską. Indy uważał Marcusa, kuratora z Muzeum Narodowego, za swego najlepszego przyjaciela.

– Indiana - Brody odezwał się cicho.

Zagadnięty wyciągnął w jego stronę rękę z posążkiem, jakby chciał mu go ofiarować, po czym cisnął figurkę gwałtownie do stojącego w kącie kosza na śmieci.

– Miałem w rękach oryginał, Marcus. Prawdziwą rzeźbę.

Indy usiadł na krześle, zamknął oczy i intensywnie masował powieki.

– Mówiłeś mi, Indiana. Mówiłeś mi już - powiedział Brody. - Zaraz po powrocie. Pamiętasz?

– Mogę ją odzyskać, Marcus. Mogę ją odzyskać. Doszedłem do tego. Belloq musi ją sprzedać, prawda? Więc gdzie będzie próbował ją sprzedać, co?

Brody spojrzał na niego pobłaźliwie.

– Gdzie, Indiana?

– Marakesz. To jest to miejsce.

Indy wstał i pokazał ręką posążki na swoim biurku. Były to przedmioty zabrane ze świątyni, drobiazgi, które zdołał zgarnąć w pośpiechu.

– Zobacz, muszą być coś warte, Marcus. Muszą być warte wystarczająco dużo, żebym zdobył pieniądze na podróż do Marakeszu, prawda?

Brody prawie nie spojrzał na przedmioty na biurku. Zamiast tego położył rękę na ramieniu Indy'ego w geście przyjaźni i troski.

– Muzeum kupi je, jak zwykle. Nie ma co do tego wątpliwości. Ale o bóstwie porozmawiamy później. Na razie chcę, żebyś się z kimś spotkał. Ci



ludzie odbyli daleką drogę, żeby się z tobą zobaczyć, Indiana.

– Co za ludzie?

– Przyjechali z Waszyngtonu - odpowiedział Brody. - Specjalnie na spotkanie z tobą.

– Kto to jest? - zapytał cicho Indy.

– Są z wywiadu wojskowego.

– Skąd? Czy mam jakieś kłopoty?

– Nie, wydaje mi się, że wprost przeciwnie. Wygląda na to, że to oni potrzebują twojej pomocy.

– Jedyna pomoc, która mnie interesuje, to zdobycie forsy na podróż do Marakeszu, Marcus. Te rzeczy muszą być coś warte.

– Później, Indiana, później. Najpierw chcę, żebyś się spotkał z tymi ludźmi.

Indy stanął przed mapą Ameryki Południowej.

– Tak - powiedział. - Spotkam się z nimi. Spotkam się, jeśli to dla ciebie takie ważne.

– Czekają w sali wykładowej.

Wyszli na korytarz.

Ładna, młoda dziewczyna pojawiła się przed Indym. Niosła stos książek i starała się wyglądać rzeczowo, jak intelektualistka. Twarz Indy'ego rozjaśniła się na jej widok.

– Profesorze Jones... - zaczęła.

– Eee...

– Miałam nadzieję na konsultacje - powiedziała nieśmiało patrząc na Marcusa Brody'ego.

– Taaak, jasne, Susan, pamiętam, że mieliśmy porozmawiać.

Wtrącił się Marcus Brody.

– Nie teraz. Nie teraz, Indiana.

I zwrócił się do dziewczyny.

– Profesor Jones musi wziąć udział w *ważnej* konferencji, moja droga. Skontaktuj się z nim później.

– Tak - wymamrotał Indy. - Wrócę w południe.

Dziewczyna pokryła rozczarowanie uśmiechem i odeszła korytarzem. Indy patrzył w ślad za nią, podziwiając jej nogi, krągłość łydek, smukłość kostek. Poczuł, jak Brody ciągnie go za rękaw.

– Ładna. Na twoim zwykłym poziomie, Indiana. Ale później, dobrze?

– Później - powtórzył Indy, zdecydowanie odwracając wzrok od dziewczyny.

Brody pchnął drzwi do sali wykładowej. W pobliżu katedry siedziało dwóch oficerów w mundurach. Na dźwięk otwierania drzwi jednocześnie odwrócili głowy.

– Jeśli to komisja poborowa, to już byłem w wojsku - powiedział Indy.

Marcus Brody popchnął go w stronę krzesła na katedrze.

– Indiana, chciałbym ci przedstawić pułkownika Musgrove'a i majora Eatona, którzy przylecieli z Waszyngtonu, żeby się z tobą spotkać.

Odezwał się Eaton.

– Miło nam pana poznać. Wiele o panu słyszeliśmy, profesorze Jones. Doktor archeologii, znawca wiedzy tajemnej, zdobywca niezwykłych zabytków.

– Można tak powiedzieć - stwierdził Indy.

– Zdobywca niezwykłych zabytków brzmi intrygująco - powiedział major.

Indy spojrzał na Brody'ego, który odezwał się.

– Jestem pewien, że wszystkie działania profesora Jonesa na rzecz naszego muzeum są ściśle zgodne z wytycznymi Międzynarodowej Konwencji Ochrony Zabytków.

– O, jestem o tym przekonany - powiedział major Eaton.

A Musgrove dodał.

– Jest pan człowiekiem o wielu talentach, profesorze.

Indy wykonał lekceważący gest dłonią. Czego chcieli ci faceci?

Major Eaton kontynuował.

– O ile wiem, studiował pan u profesora Ravenwooda na Uniwersytecie Chicago?

– Tak.

– Czy wiadomo coś panu o jego obecnych zajęciach?

*Ravenwood*. To nazwisko obudziło wspomnienia z siłą, która nie podobała się Indy'emu.

– Plotki, nic więcej. Słyszałem, że jest bodaj w Azji. Nie wiem.

– Jak wiemy, byliście panowie dość blisko ze sobą?

– Taak - Indy potarł policzek. - Byliśmy przyjaciółmi... Ale nie spotykamy się od lat. Obawiam się, że zdarzyło się coś, co mogliby panowie nazwać rozbratem.

*Rozbrat*, pomyślał. To łagodne określenie. Rozbrat - raczej kompletna katastrofa. I przyszła mu na myśl Marion, niepożądane wspomnienie, coś, co musiał wydobyć z głębszych pokładów świadomości. Marion Ravenwood, dziewczyna o cudownych oczach.

Oficerowie zaczęli szeptać między sobą, ustalając coś. Potem Eaton odwrócił się z uroczystym wyrazem twarzy i powiedział:

– To, co teraz powiemy, jest poufne.

– Jasne - odpowiedział Indy. Ravenwood. Co starszy pan miał wspólnego z tą kruchą kombinacją? I kiedy ktoś przejdzie do rzeczy?

Głos zabrał Musgrove.

– Wczoraj jedna z naszych europejskich placówek odebrała niemiecki komunikat przesłany z Kairu do Berlina. Zawarta w nim wiadomość

wyraźnie wzbudziła podniecenie niemieckich agentów w Egipcie.

Musgrove spojrział na Eatona, oczekując dalszego ciągu opowieści, tak jakby każdy z nich mógł zdradzić tylko pewną część informacji.

Eaton podjął wątek.

– Nie wiem, czy nie powiem panu teraz czegoś, o czym pan już wie, profesorze Jones, jeśli wspomnę, że naziści przez ostatnie dwa lata wysyłali ekipy archeologów w różne miejsca świata...

– Nie uszło to mojej uwadze.

– Oczywiście. Wydaje się, jakby gorączkowo poszukiwali wszelkich możliwych do zdobycia obiektów sakralnych. Hitler, jak informują nasze raporty wywiadowcze, jest opętany obsesją okultyzmu. Wiemy, że ma nawet osobistego wróżbitę, o ile to właściwe słowo. Wygląda na to, że akurat teraz na pustyni na obrzeżach Kairu są prowadzone jakieś ściśle tajne wykopaliska.

Indy skinął głową. Czuł się senny. Wiedział o - wydawałoby się nieograniczonym - zainteresowaniu Hitlera przeszłością, przemianą ołowiu w złoto, poszukiwaniem eliksiru i czym tam jeszcze. Wystarczy rzucić jakąś nazwę i, jeśli brzmi dostatecznie dziwacznie, ten szalony facecik z wąsami na pewno się zainteresuje.

Indy obserwował, jak Musgrove wyjmuje z aktówki arkusz papieru. Przytrzymał go przez chwilę i powiedział:

– Ten komunikat zawiera pewne informacje na temat działań na pustyni, ale nie wiemy, jaki z nich zrobić użytek. Sądzymy, że pan zrozumie ich znaczenie.

I podał arkusz Indy'emu. Wiadomość brzmiała:

---

W SPRAWIE PROJEKTU TANIS.  
ZDOBYĆ GŁOWICĘ, BERŁO RA,  
ABNER RAVENWOOD, USA

---

Przeczytał ponownie, z nagłą jasnością umysłu i przenikliwością. Wstał, spojrzął na Brody'ego i powiedział w niedowierzaniu w głosie:

– Naziści odkryli Tanis.

Twarz Brody'ego spochmurniała i pobladła.

Odezwał się Eaton.

– Przepraszam. Zgubiłem się. Czym pana zdaniem jest Tanis?

Indy podszedł do okna. Myśli galopowały mu w głowie. Otworzył okno i wciągnął w płuca rześkie powietrze poranka, czując jego przyjemny chłód. *Tanis. Berto Ra. Ravenivood.* Stare legendy, baśnie, opowieści powróciły z nową siłą. Uderzył go zasób wiedzy, którą zgromadził przez lata w swym umyśle - tak wielki, że chciał szybko się nim podzielić, wypowiedzieć za jego pośrednictwem. *Mów powoli*, nakazał sobie. *Mów powoli, aby zrozumieli.* Odwrócił się do oficerów i zaczął.

– Wiele z tego, co powiem, będzie panom trudno zrozumieć. Być może. Nie wiem. To zależy od panów osobistej wiary. Ja mogę powiedzieć panom tyle od samego początku. Dobrze?

Przerwał, patrząc na ich blade twarze.

– Miasto Tanis jest jednym z prawdopodobnych miejsc ukrycia zaginionej Arki.

Musgrove przerwał:

– Arki? Noego?

Indy potrząsnął głową.

– Nie Noego. Mówię o Arce Przymierza. Mówię o skrzyni, która służyła Izraelitom do przenoszenia Dziesięciorga Przykazań.

– Stop - powiedział Eaton. - Ma pan na myśli *te* Dziesięcioro Przykazań?

– Mam na myśli *autentyczne kamienne tablice*, które Mojżesz zniósł ze szczytu góry Horeb. Te, które rzekomo roztrzaskał, widząc upadek wiary wśród Żydów. W czasie, gdy przebywał w górach i rozmawiał z Bogiem,

który ukazywał mu Prawo, reszta jego ludu uczestniczyła w orgiach i stawiała posągi bożkom. Więc się rozgniewał i roztrzaskał tablice, zgadza się?

Twarze wojskowych pozostały niewzruszone. Indy pragnął zarazić samym entuzjazmem, który sam zaczynał odczuwać.

– Potem Izraelici włożyli pęknięte tablice do Arki i nosili je ze sobą wszędzie, dokądkolwiek się udawali. Gdy osiedli w ziemi Kanaan, Arkę wstawiono do Świątyni Salomona. Pozostawała tam przez wiele lat, a potem zniknęła.

– Gdzie? - zapytał Musgrove.

– Nikt nie wie, kto i dokąd ją zabrał.

Brody, cierpliwiej niż Indy, powiedział:

– Około 926 roku przed naszą erą Egipcjanie pod wodzą faraona Szeszonka I najechali i złupili Jerozolimę. Mogli zabrać Arkę do miasta Tanis...

Indy wpadł mu w słowo.

– Gdzie mogli ją ukryć w sekretnej komnacie, którą nazwali Studnią Dusz.

W sali panowała cisza.

Potem Indy dodał:

– W każdym razie taki jest mit. Ale złe rzeczy przytrafiały się zawsze tym, którzy weszli w kontakt z Arką. Wkrótce po powrocie Szeszonka do Egiptu pustynia pochłonęła miasto Tanis w wyniku burzy piaskowej, która trwała rok.

– Obowiązkowa klątwa - powiedział Eaton.

Indy'ego rozgniewał sceptycyzm oficera.

– Jak pan chce - odpowiedział, starając się być cierpliwy. - Ale w czasie oblężenia Jerycha kapłani obnosili Arkę wokół jego murów przez siedem

dni, nim runęły. A gdy Filistyńczycy ponoć zagarnęli Arkę, ściągnęli na siebie wszystkie nieszczęścia, w tym plagę wrzodów i inwazję myszy.

Eaton odezwał się ponownie.

– To bardzo interesujące, jak sędzę. Ale dlaczego w nazistowskiej depezy jest mowa o Amerykaninie, jeśli możemy wrócić do rzeczy?

– On jest ekspertem od Tanis - odparł Indy. - Tanis było jego obsesją. Zgromadził nawet niektóre znaleźiska. Ale nigdy nie odnalazł samego miasta.

– Dlaczego naziści mogliby się nim interesować? - zapytał Musgrove.

Indy milczał przez chwilę.

– Wydaje mi się, że naziści poszukują głowicy berła Ra. I myślą, że Abner je ma.

– Berło Ra - powtórzył Eaton. - To wszystko jest trochę naciągane.

Musgrave, który wydawał się bardziej zainteresowany, nachylił się do przodu.

– Co to jest berło Ra, profesorze Jones?

– Coś panu narysuję - powiedział Indy. Podszedł do tablicy i zaczął coś szybko szkicować. Sunąc kredą po tablicy powiedział:

– Berło Ra jest uważane za klucz do miejsca ukrycia Arki. Najważniejszy element w całej łamigłówce. Był to w zasadzie długi kij, długości może dwóch metrów, nikt tak naprawdę nie wie.

W każdym razie wieńczyła go wyszukana głowica w kształcie słońca z umieszczonym w środku kryształem. Nadążacie panowie? Trzeba wnieść berło do specjalnej Komnaty Map w mieście Tanis - znajdował się tam plan całego miasta. Po umieszczeniu berła w określonym miejscu komnaty w określonym czasie słońce przeniknie przez kryształ w głowicy i rzuci promień światła na plan, wskazując położenie Studni Dusz.

– W której umieszczono Arkę - dopowiedział Musgrave.

– Właśnie. I prawdopodobnie dlatego nazistom potrzebna jest głowica.  
Co wyjaśnia obecność nazwiska Ravenwooda w depeszy.

Eaton wstał i zaczął niespokojnie spacerować po sali.

– Jak właściwie wygląda ta Arka?

– Pokażę panu - odpowiedział Indy. Poszedł szybko w głąb sali, znalazł książkę i wertował ją, aż odszukał dużą, kolorową rycinę. Pokazał ją oficerom. Patrzyli w milczeniu na ilustrację, przedstawiającą scenę biblijnej bitwy. Armia Izraelitów gromiła wroga. Na przedzie, przed szeregami wojska dwóch ludzi niosło Arkę Przymierza, podłużną skrzynię zwieńczoną dwoma posągami cherubinów. Izraelici nieśli ją na dwóch nosidłach umocowanych w specjalnych pierścieniach w narożnikach skrzyni. Była niezwykle piękna, ale większe wrażenie od jej wyglądu robiła przenikająca i połyskliwa poświata z białego światła i płomienia, emanująca z anielskich skrzydeł, która wnikała w szeregi wrogiej armii, siejąc w nich przerażenie i zniszczenie.

Wyraźnie pod wrażeniem, Musgrove powiedział:

– Co wydobywa się ze skrzydeł?

Indy wzruszył ramionami.

– A któż to wie? Światło. Ogień. Boża moc. Jakkolwiek to nazwiemy, miało ponoć moc obalania gór i pustoszenia całych krain. Według Mojżesza, armia, która niosła Arkę na czele swych szeregów, była niezwyciężona.

Indy spojrział na twarz Eatona i podjął decyzję. Ten facet był pozbawiony wyobraźni. Nic nigdy go nie rozpali. Eaton wzruszył ramionami i nadal wpatrywał się w ilustrację. Niedowiarek, pomyślał Indy. Wojskowy sceptycyzm.

– Jakie jest pana osobiste odczucie wobec tej... tak zwanej mocy Arki, profesorze? - zapytał Musgrove.



– Jak mówiłem, to kwestia wiary. Zależy od tego, czy akceptuje pan mit jako coś, co ma oparcie w prawdzie.

– Robi pan uniki - powiedział Musgrove i uśmiechnął się.

– Zachowuję otwartą głowę - odpowiedział Indy.

Eaton odwrócił wzrok od ryciny.

– Ale taki wariat, jak Hitler... Może naprawdę uwierzyć w tę moc, prawda? Może kupić tę całą historię.

– Prawdopodobnie - powiedział Indy. Obserwował Eatona przez chwilę, czując nagle znajome uczucie oczekiwania, skok napięcia. *Zaginione miasto Tanis. Studnia Dusz. Arka*. Brzmiała w tym ulotna melodia, która ogarniała go jak uwodzicielski śpiew syreny.

– Może sobie wyobrażać, że dzięki Arce jego armia stanie się niezwyciężona - powiedział Eaton, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. - Mam wrażenie, że jak łyknie tę bajeczkę, osiągnie co najmniej przewagę psychologiczną.

– Jest coś jeszcze - powiedział Indy. - Według legendy Arka zostanie odnaleziona w czasie nadejścia nowego prawdziwego Mesjasza.

– Prawdziwego Mesjasza - powtórzył Musgrove.

– Którym we własnych oczach może być sam Hitler - dopowiedział Eaton.

W sali panowała teraz cisza. Indy spojrzał ponownie na rycinę, jaskrawość światła, promieniującego z anielskich skrzydeł i oślepiającego wycofujących się wrogów. Moc nad moce. Poza wszelką definicję. Zamknął oczy na moment. A jeśli to *była prawda*? W porządku, starasz się zachowywać racjonalnie, próbujesz działać jak Eaton, składając wszystko na karb starodawnej opowieści rozpowszechnianej przez gromadę gorliwych Izraelitów. Prosta taktyka wobec wrogów, rodzaj wojny

psychologicznej. Nawet jeśli tak było, nie można było tego zignorować, tak po prostu odrzucić.

Otworzył oczy i usłyszał westchnienie i głos Musgrove'a.

– Bardzo nam pan pomógł. Mam nadzieję, że możemy zwrócić się ponownie do pana w razie potrzeby.

– W każdej chwili, panowie - odpowiedział Indy. - W każdej chwili.

Nastąpiła seria uścisków dłoni, po czym Brody odprowadził obu oficerów do drzwi. Sam w pustej sali, Indy zamknął książkę. Zastanawiał się przez moment, próbując jednocześnie stłumić ogarniające go uczucie podniecenia. *Naziści znaleźli Tanis* - te słowa tętniły mu w głowie.

Dziewczyna imieniem Susan powiedziała:

– Mam nadzieję, że nie wprawiłam cię w zakłopotanie, gdy szedłeś z Brodym. Mam na myśli...To było takie jednoznaczne.

– Nie byłaś jednoznaczna - odpowiedział Indy.

Siedzieli razem w zagraconym saloniku małego domu Indy'ego. W pokojach było pełno pamiątek z podróży, znalezisk archeologicznych, odtworzonych glinianych naczyń i małych posążków, a także skorup, map i globusów. Indy myślał czasem, że w domu panuje taki sam bałagan, jak w jego życiu.

– Uwielbiam ten pokój - powiedziała. - Kocham cały dom, ale zwłaszcza ten pokój.

Indy podniósł się z sofy i z rękami w kieszeniach przeszedł się po wnętrzu. Dziewczyna z jakiegoś powodu była w większym stopniu intruzem niż powinna. Czasami, gdy mówiła, wyłączał się. Słyszał tylko dźwięk jej głosu, ale nie zwracał uwagi na znaczenie słów. Nalał sobie drinka, pociągnął łyk, przełknął. Alkohol palił go w piersiach - miłe uczucie, jakby płonęło tam małe słońce.

– Wydajesz się dziś taki odległy, Indy - rzekła Susan.

– Odległy?

– Coś zajmuje twoje myśli. Nie wiem, co - wzruszyła ramionami.

Podszedł do radia, włączył je, nie zwracając prawie uwagi na głos rozwodzący się nad zaletami kawy Maxwell House. Dziewczyna zmieniła stację i odezwały się dźwięki muzyki tanecznej. Daleko, pomyślał. Dalej niż można by się spodziewać. Wiele kilometrów stąd. Oceany, kontynenty i wieki. Nagle pomyślał o Ravenwoodzie, o ich ostatniej rozmowie, o straszliwej złości starego człowieka, jego gniewie. Gdy nasłuchiwał echa tych głosów, poczuł smutek, rozczarowanie samym sobą. Powierzono mu coś kruchego, a on to roztrzaskał.

---

*Marion się w tobie zadurzyła, a ty to wykorzystałeś.*

*Masz dwadzieścia osiem lat, wydawałoby się, że jesteś dojrzałym mężczyzną, tymczasem wykorzystałeś bezmyślne zadurzenie młodej dziewczyny i posłużyłeś się nim do osiągnięcia własnego celu tylko dlatego, że ona sądzi, iż jest w tobie zakochana.*

---

Odezwała się Susan.

– Jeśli chcesz, żebym sobie poszła, Indy, zrobię to. Jeśli chcesz być sam, zrozumiem.

– Nie, wszystko w porządku, zostań.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi, podłoga na ganku zatrzeszczała.

Indy wyszedł z saloniku do sieni i zobaczył na zewnątrz Marcusa Brody'ego. Uśmiechał się tajemniczo, jakby miał jakąś wiadomość, którą chciałby się nacieszyć, smakować jak najdłużej.

– Marcus - powiedział Indy. - Nie spodziewałem się ciebie.

– Myślę, że jednak tak - odpowiedział Brody, popychając oszklone drzwi.

– Chodźmy do gabinetu - zaprosił Indy.

– Coś jest nie w porządku z salonem?

– Mam towarzystwo.

– Aha. Co jeszcze?

Weszli do gabinetu.

– Zrobiłeś to, prawda? - powiedział Indy.

Brody uśmiechnął się.

– Chcą, żebyś znalazł Arkę, zanim zrobią to naziści.

Przez chwilę Indy nie mógł powiedzieć ani słowa. Czuł ogarniającą go egzaltację, świadomość tryumfu. *Arka*. Odezwał się.

– Myślę, że przez całe życie czekałem, żeby coś takiego usłyszeć.

Brody patrzył przez chwilę na pusty kieliszek w ręku Indy'ego.

– Rozmawiali z Waszyngtonem. Potem zapytali mnie o zdanie. Chcą cię, Indiana. Chcą *ciebie*.

Indy zasiadł za biurkiem, spojrzął na dno kieliszka, a potem rozejrzał się po pokoju. Nagle wypełniło go dziwne uczucie; było to coś więcej niż książki, artykuły i mapy, więcej niż spekulacje, naukowe spory i debaty - poczucie realności zastąpiło wszelkie słowa i obrazy.

Brody mówił dalej.

– Oczywiście, ze względu na swą mentalność te typy z armii nie traktują serio wszystkich opowieści o mocy Arki i tak dalej. Nie chcą się wdawać w takie mitologiczne dywagacje. W końcu są żołnierzami, a żołnierze lubią myśleć o sobie jako o twardych realistach. Chcą zdobyć Arkę - spróbuję to zacytować, o ile zdołam - z uwagi na jej „historyczne i kulturowe znaczenie” i ponieważ „tak bezcenny przedmiot nie powinien stać się własnością faszystowskiego reżimu”. Albo coś w tym sensie.

– Ich motywy nie mają znaczenia - rzekł Indy.

– Poza tym, zapłacą przyzwoicie.

– O pieniądze też nie dbam, Marcus - Indy uniósł rękę i wskazał na pokój. - Arka reprezentuje ten ulotny pierwiastek, który wyczuwam w archeologii, rozumiesz: historia odsłania swoje tajemnice. Odległe przedmioty czekają na swoje odkrycie. Nie zamieniłbym tego ani na ich motywy, ani na ich pieniądze.

I pstryknął palcami.

Brody skinął głową ze zrozumieniem.

– Muzeum, oczywiście, dostanie Arkę.

– Oczywiście.

– Jeśli istnieje...

Brody zamilkł na moment, po czym dodał.

– Nie powinniśmy rozbudzać w sobie zbyt wielkich nadziei.

Indy wstał.

– Muszę najpierw odnaleźć Abnera. To logiczny krok. Jeśli Abner ma głowicę, muszę ją dostać, nim zrobi to konkurencja. To ma sens, prawda? Bez głowicy, nie ma Arki. Więc gdzie mogę znaleźć Abnera? - zamilkł, zdawszy sobie sprawę z szybkości swojej perory. - Myślę, że wiem, skąd trzeba zacząć poszukiwania.

Odezwał się Brody.

– Minęło wiele czasu, Indiana. Sprawy się zmieniają.

Indy przez chwilę patrzył na przyjaciela. Komentarz wydał mu się zagadkowy. *Sprawy się zmieniają*. A potem zdał sobie sprawę, że Marcus mówi o Marion.

– Mógł złagodnieć w stosunku do ciebie - powiedział Brody. - Z drugiej strony wciąż może żywić urazę. W tym wypadku rozsądnie byłoby zakładać, że nie zechce oddać ci głowicy. Jeśli rzeczywiście ją ma.

– Bądźmy dobrej myśli, przyjacielu.

– Wieczny optymista, co?

– Nie zawsze - rzekł Indy. - Optymizm może być zabójczy.

Brody teraz nic nie mówił, spacerował po pokoju, przerzucając karty książki. Potem spojrzał poważnie na Indy'ego.

– Chciałbym, żebyś był ostrożny, Indiana.

– Zawsze jestem ostrożny.

– Bywasz dość lekkomyślny. Wiem to równie dobrze, jak ty sam. Ale Arka nie przypomina niczego, czego poszukiwałeś wcześniej. Jest większa. Bardziej niebezpieczna - Brody głośno zatrasnął książkę, jakby chcąc postawić kropkę nad i. - Nie jestem tak sceptyczny jak ci wojskowi - sędzę, że Arka ma swoje tajemnice. Myślę, że te tajemnice są niebezpieczne.

Przez moment wydawało się, że Indy chce powiedzieć coś uszczypliwego, coś na temat dramatycznego tonu w głosie przyjaciela. Ale z wyrazu twarzy Brody'ego wyczytał, że ten mówi poważnie.

– Nie chcę cię stracić, Indiana, niezależnie od tego, jak wspaniała może być zdobycz. Rozumiesz to?

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Indy zauważył, że czoło Brody'ego było wilgotne od potu.

Indy siedział długo w noc, nie mogąc zasnąć, niezdolny do uspokojenia umysłu. Chodził z pokoju do pokoju splatając i rozplatając dłonie. Zastanawiał się czy po tylu długich latach Ravenwood zechce mu pomóc? Czy Ravenwood, o ile ma głowicę, wesprze go? A w tle tych pytań czało się jeszcze jedno. Czy Marion jest nadal u boku ojca?

Spacerował po domu, aż wreszcie usiadł w gabinecie z nogami na biurku i przyglądał się przedmiotom zgromadzonym w pokoju. Potem zamknął na chwilę oczy, starając się myśleć jasno, i wstał. Zdjął z półki stary dziennik Ravenwooda, podarunek z czasów, gdy się jeszcze przyjaźnili. Indy przebiegał wzrokiem strony, dostrzegając kolejne odnotowane

rozczarowania, wykopaliska, które nie spełniły oczekiwań, inne, w których odsłonięto tylko najogólniejsze, najbardziej zwodnicze przesłanki odnoszące się do losów Arki. Zarysy obsesji zapisane na tych stronach; rozdzierająca serce pogoń za zaginionym w mrokach historii przedmiotem. Ale Arka krążyła z krwią w żyłach i wypełniała sobą powietrze, którym ten człowiek oddychał. Indy rozumiał samotność starego człowieka, jego oddanie, rodzaj namiętności, która gnała go z kraju do kraju, od nadziei do nadziei. Strony dziennika zdradzały to wszystko - ale nie było na nich ani słowa o głowicy berła Ra. Nic.

Ostatni wpis zawierał wzmiankę o Nepalu, perspektywie kolejnych wykopalisk. Nepal, pomyślał Indy. Himalaje, najbardziej nieprzyjazne rejony ziemi. I daleko od tego wszystkiego, co naziści robili w Egipcie. Może Ravenwood natknął się tam wówczas na coś, jakiś nowy klucz do zagadki Arki. Może ta cała historyczna gadanina o Tanis była fałszywa. Może.

Nepal. Tam należało zacząć.

To był początek.

Przez chwilę przerzucił jeszcze dziennik, potem odstawił go na półkę, myśląc, że chciałby wiedzieć, jak Abner Ravenwood zareaguje na jego pojawienie się.

I jak zachowa się Marion.

## Rozdział IV.

### Berchtesgaden, Niemcy

Dietrich nie czuł się swobodnie w towarzystwie Rene Belloq. Niepokoiła go nie tyle nieufność, którą wyczuwał u Francuza, wrażenie, że traktuje on prawie wszystko z jednakowym cynizmem, co niezwykła charyzma Belloq, wrażenie, że w jakimś sensie *chciało* się go polubić, że był mimo wszystko pociągający.

Siedzieli razem w poczekalni w Orlim Gnieździe, górskiej rezydencji Fuhrera w Berchtesgaden, w której Dietrich nigdy wcześniej nie był i która nappełniała go niezwykłą czcią. Zauważył jednak, że Belloq, rozparty wygodnie, z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie, nie zdradzał podobnych odczuć. Wprost przeciwnie: Belloq czuł się jak w taniej francuskiej kafejce, takiej jak ta w Marsylii, w której Dietrich go odnalazł. *Żadnego szacunku*, pomyślał Dietrich. Brak wyczucia znaczenia spraw. Był zirytowany postawą archeologa.

Wśluchiwał się w tykanie zegara, delikatny dźwięk wskazówek. Belloq westchnął, rozprostował nogi i spojrzał na zegarek.

– Na co czekamy, Dietrich? - zapytał.

Dietrich mimo woli odpowiedział szeptem.

– Fuhrer przyjmie nas, gdy będzie gotowy, Belloq. Nie myśli pan chyba, że nie ma nic lepszego do roboty niż rozmawiać z panem o jakimś muzealnym rupieciu.

– Muzealny rupieć - powtórzył Belloq z wyraźną pogardą w głosie, patrząc na Niemca poprzez przestrzeń pokoju. *Jak mało oni wiedzą, pomyślał. Jak mało rozumieją z historii. Pokładają całą wiarę w niewłaściwych przedmiotach: budują monumentalne łuki i każą pod nimi*



*defilować paradnym krokiem swoim armiom, a nie zdają sobie sprawy, że nie da się zbudować szacunku dla historii. On już istnieje, nie da się go sfabrykować pozorami wielkości. Arka: sama myśl o możliwości odnalezienia Arki czyniła go niecierpliwym. A właściwie dlaczego musi rozmawiać z tym nędznym niemieckim malarzyna? Dlaczego był zmuszony siedzieć tu z nim, gdy w Egipcie rozpoczęto już prace wykopaliskowe? Czego wreszcie może się dowiedzieć od Hitlera? Niczego, pomyślał. Absolutnie niczego. Usłyszy może jakiś pompatyczny wykład. Jakąś diatrybę. Coś na temat wielkości Rzeszy. O tym, że Arka, o ile istnieje, stanowi własność Niemiec.*

*Co oni wszyscy wiedzą? - zastanawiał się.*

Arka nie była przynależna do żadnego miejsca. Jeśli miała tajemnice, jeśli kryła jakąś moc, którą jej przypisywano, to chciał być jej pierwszym odkrywcą. Nie można tego było powierzyć lekkomyślnie maniakowi, który siedział teraz w którymś z pomieszczeń tej górskiej willi i kazał mu czekać.

Westchnął, niecierpliwie przeciągając się na krześle.

A potem wstał, podszedł do okna i spojrzał na góry, właściwie ich nie widząc, dostrzegając tylko przelotnie. Myślał o momencie otwierania skrzyni, zajrzenia do środka i zobaczenia pozostałości kamiennych tablic, które Mojżesz zniósł ze szczytu góry Horeb. Łatwo mógł sobie wyobrazić własną rękę, unoszącą wieko, własny głos - a potem moment objawienia.

*Kulminacyjny moment życia: nie ma cenniejszej zdobyczy niż Arka Przymierza.*

Dietrich obserwował go, gdy odwracał się od okna. Dostrzegł dziwny wyraz oczu Belloqa, lekki uśmiech na twarzy, który wydawał się skierowany do wewnątrz, jakby Francuz cieszył się z absolutnie osobistego żartu, jakiejś głębokiej i zabawnej myśli. Uświadomił sobie, jak daleko

posunięta była jego nieufność - ale to była sprawa Fuhrera. To Fuhrer poprosił o najlepszego, o Rene Belloqa.

Dietrich usłyszał, jak zegar wybija kwadrans. Z korytarza gdzieś w głębi budynku dobiegł odgłos kroków. Belloq odwrócił się z oczekiwaniem w stronę drzwi. Ale kroki ucichły i Belloq zaklął cicho po francusku.

– Jak długo jeszcze mamy czekać? - zapytał Francuz.

Dietrich wzruszył ramionami.

– Niech pan nic nie mówi - ciągnął Belloq. - Fuhrer żyje według zegara, do którego my, zwykli ludzie nie mamy dostępu, prawda? Może ma wizję własnego, prywatnego czasu, prawda? Może myśli, że posiadał dogłębną wiedzę na temat natury czasu? - Jedną ręką Belloq wykonał gest rozpacz, a potem się uśmiechnął.

Dietrich poruszył się niepewnie, owładnięty wrażeniem, że pokój jest na podsłuchu, że Hitler słucha tej obłąkanej gadaniny. Odezwał się:

– Czy pan nie odczuwa żadnego szacunku, Belloq?

– Mógłbym panu odpowiedzieć, Dietrich, ale wątpię, czy zrozumiałby pan, o czym mówię.

Zamilkli obaj. Belloq powrócił do okna. *Każda spędzona tu chwila to chwila odjęta od pobytu w Egipcie*, pomyślał. A wiedział, że czas odgrywa ważną rolę, że wiadomość o wykopaliskach się rozejdzie, że nie da się ich wiecznie utrzymać w tajemnicy. Miał tylko nadzieję, że Niemcy zapewnili dobre środki bezpieczeństwa.

Spojrzał ponownie na Niemca i powiedział:

– Nie wyjaśnił mi pan do końca, w jaki sposób zostanie uzyskana głowica. Muszę wiedzieć.

– Zajęto się tą sprawą - odpowiedział Dietrich. - Wysłano ludzi.

– Jakich ludzi, Dietrich? Czy jest wśród nich archeolog?

– Po co, nie...

- Zbiry, Dietrich? Twój oprawca?
- Profesjoniści.
- Ale nie profesjonalni archeolodowie. Skąd mają wiedzieć, że odkryli głowicę? Jak rozpoznają, że to nie falsyfikat?

Dietrich uśmiechnął się.

– Tajemnica tkwi w tym, żeby wiedzieć, *gdzie* szukać, Belloq. Nie do końca w tym, *czego* się szuka.

– Na kimś takim jak Ravenwood raczej nie da się czegokolwiek wymusić.

– Czy wspomniałem coś o wymuszeniu?

– Nie musiał pan - powiedział Belloq. - Doceniam przydatność tej metody i to wystarczy. W pewnych dziedzinach uzna pan zapewne, jak sądzę, że nie jestem nadmiernie wrażliwy. O ile mogę się tak wyrazić, wręcz przeciwnie.

Dietrich skinął głową. Ponownie za drzwiami rozległy się kroki. Czekał. Drzwi się otworzyły. Adiutant w mundurze, w czarnym uniformie, którego Dietrich tak nie lubił, wszedł do środka. Nie powiedział ani słowa, wskazał tylko ruchem głowy, że mają pójść za nim.

Belloq skierował się w stronę drzwi. *Wewnętrzne sanktuarium*, pomyślał. Święte Świętych tego malarza pokojowego, który marzy, by stać się duchem historii, ale nie potrafi dostrzec prawdy. Jedyna historia, która interesowała Belloq, jedyna historia, która miała jakikolwiek sens, leżała pogrzebana pod piaskiem egipskiej pustyni. Przy odrobinie szczęścia, Belloq. Przy odrobinie szczęścia.

Dostrzegł, że Dietrich rusza naprzód. Nerwowy, z twarzą bladą jak ktoś, kto z całą godnością, na którą go stać w takiej chwili, zmierza na własną egzekucję.

Ta myśl rozbawiła Belloq.

# Rozdział V.

## Nepal

Samolot DC-3 krążył nad ośnieżonymi zboczami gór, od czasu do czasu przebijając się przez kłęby mgły i ławice gęstych chmur. Szczyty pasma górskiego pozostawały przeważnie niewidoczne, ukryte w mroźnych chmurach, które wydawały się nieruchome i tak gęste, że trudno było uwierzyć, iż zimowy wiatr zdoła je rozgonić.

Pokrętna droga, myślał Indy, gapiąc się przez okno, i długa. Przez całe Stany do San Francisco, potem statkiem powietrznym linii PanAm z wieloma przystankami do Hongkongu, dalej zdezelowanym aeroplanem do Szanghaju i wreszcie tym starzejącym się samolotem do Katmandu.

Indy zadrżał, przypominając sobie lodowatą biel Himalajów. Najeżone strome skały, niezbadane wąwozy i doliny, gruba warstwa śniegu pokrywająca wszystko. Skrajnie nieprzyjazne środowisko, a przecież kwitło w nim życie, ludzie trwali, pracowali i kochali się. Zamknął książkę, którą czytał - dziennik Abnera Ravenwooda - i spojrzał ponad skrzydłem samolotu. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i poczuł plik banknotów, które Marcus Brody nazwał „zaliczką od amerykańskich władz wojskowych”. Miał ponad pięć tysięcy dolarów, które zaczął traktować jako narzędzie perswazji na wypadek, gdyby Abner Ravenwood nie zmienił swego nastawienia wobec niego. Drobne przekupstwo, łapówka, *la mordida* [(hiszp.) - łapówka]. Stary może potrzebować pieniędzy skoro, o ile Indy'emu było wiadomo, od lat nie miał żadnego oficjalnego stanowiska wykładowcy i musiał przechodzić przez największą torturę każdej dziedziny nauki - mękę zdobywania funduszy. Miseczka żebracza, którą trzeba wyciągać przed siebie od czasu do czasu. Indy uświadomił sobie, że pięć kafli to

suma większa niż kiedykolwiek miał przy sobie. Niewielka fortuna w gruncie rzeczy.

I to sprawiło, że poczuł się zdecydowanie nieswojo. Zawsze miał kawalerskie podejście do kwestii materialnych, wydając pieniądze równie szybko, jak je zdobywał.

Zamknął na chwilę oczy, zastanawiając się, czy znajdzie Marion u boku ojca. Nie, to mało prawdopodobne, zdecydował. Na pewno dorosła, poszła swoją drogą, może nawet wyszła za mąż gdzieś w Stanach. Z drugiej strony, co, jeśli nadal była z ojcem? Co wtedy? I nagle poczuł, że nie ma ochoty spojrzeć Ravenwoodowi w oczy.

Ale minęło tyle lat. Na pewno wiele się zmieniło.

Może nie, pomyślał. Może nie dla kogoś tak prostoliniowego, jak Abner. Uraza to uraza - a jeśli kolega miał romans z twoją córką, twoim dzieckiem, będzie mocna i długotrwała. Indy westchnął. *Słabość charakteru*, pomyślał. Dlaczego nie potrafiłeś być wtedy silny? Dlaczego musiałeś ulec? Tak się zaangażować w związek z dzieckiem? Ale nie wyglądała wtedy jak dziecko, raczej jak mała kobietka, coś w oczach i wyglądzie sprawiało, że była kimś więcej niż tylko dorastającą dziewczyną.

*Zostaw to, zapomnij*, pomyślał.

Masz teraz inne sprawy na głowie. A Nepal jest tylko krokiem na drodze do Egiptu.

Krokiem milowym.

Indy poczuł, że samolot zaczyna obniżać lot, początkowo prawie niezauważalnie, potem wyraźnie, jakby kierował się ku lądowisku. Widział, jak wśród śnieżnego pustkowia ukazują się rzadkie światła miasta. Zamknął oczy i czekał na moment zetknięcia kół z ziemią. Samolot zgrzytał, hamując na pasie. Potem został odholowany w kierunku budynku terminala - niezbyt dużego hangaru zamienionego na halę odlotów i przylotów. Wstał

z fotela, zebrał swoje papiery i książki, wydobyl torbę spod siedzenia i zaczął przeciskać się do wyjścia.

Indiana Jones nie zauważył za sobą mężczyzny w prochowcu. Pasażera, który wsiadł w Szanghaju i obserwował go przez ostatnią część podróży ze swego miejsca.

Wiatr hulający po lotnisku był ostry, przenikał ciało Indy'ego. Schylił głowę i pospieszył w stronę hangaru, podtrzymując jedną ręką stary filcowy kapelusz. W drugiej niósł brezentową torbę. Po chwili znalazł się w budynku, w którym było równie zimno. Szybko dopełnił formalności celnych, ale potem obiegli go żebracy - dzieci z bezwładnymi nogami, niewidome nastolatki, kilku paralityków, kilka zasuszonych osób, których płci nie umiał określić. Kleili się do niego, nagabywali, ale ponieważ znał naturę żebraków z innych stron świata, wiedział też, że najlepszą metoda obrony jest odmowa datków i prezentów. Przepchnął się obok nich, zdumiony ruchliwością tego miejsca. Bardziej niż budynek lotniska przypominało zatłoczony straganami i zwierzętami bazar, pełne gorączkowej aktywności targowisko. Ludzie piekli podroby nad ogniem, inni z zapalem grali w kości, jeszcze inni wydawali się uczestniczyć w transakcji sprzedaży osłów - ściśniętych bezlitośnie ze sobą, wychudzonych, wyleniałych i patrzących tępo przed siebie. Ale żebracy podążali za nim. Poruszał się teraz szybciej, mijając stragany właścicieli kantorów wymiany, sprzedawców nieznanych owoców i warzyw, handlarzy dywanów i szali oraz odzieży z wełny jaków. Pozostawiał za sobą prymitywne stoiska z żywnością i napojami, przez cały czas atakowany zapachami, odorem spalonego tłuszczu, wonią perfum, aromatem osobliwych przypraw i korzeni. Usłyszał, jak ktoś wywołuje jego nazwisko w tłumie, i zatrzymał się, lekko kołysząc torbą, by powstrzymać żebraków.

Spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos. Zobaczył twarz Lin-Su, wciąż znajomą po tych wszystkich latach. Dopchał się do małego Chińczyka i wymienili uścisk dłoni. Lin-Su, z pobrużdżoną zmarszczkami twarzą, rozpromienioną prawie całkowicie bezzębnym uśmiechem, ujął Indy'ego za łokieć i poprowadził na zewnątrz budynku, na ulicę - gdzie wiatr, dziki, niszczycielski, spadał z wyciem z gór i pędził wzdłuż ścian domów, jakby chciał dać upust jakiejś zadawnionej furii. Weszli do sieni, a mały Chińczyk przez cały czas trzymał Indy'ego za ramię.

– Cieszę się, że cię znów widzę - powiedział Lin-Su angielszczyzną, która była jednocześnie osobliwa i wyszukana, a także lekko zardzewiała z braku ćwiczeń. - Minęło wiele lat.

– Zbyt wiele - przyznał Indy. - Dwanaście? Trzydzieści?

– Masz rację, dwanaście... - Lin-Su zawiesił głos i spojrzał w głąb ulicy. - Otrzymałem, rzecz jasna, twoją depeszę. - Zamilkł na chwilę, gdy jego uwagę skupił jakiś ruch na ulicy, przechodzący przez bramę cień. - Wybacz to pytanie, stary przyjacielu, ale czy ktoś cię śledzi?

Indy wyglądał na zaskoczonego.

– Nic o tym nie wiem.

– Nieważne. Oczy mnie zawodzą.

Indy spojrzał w cień ulicy. Nie widział nic poza zatrzaśniętymi okiennicami małych sklepików i bladym światłem lamp naftowych padającym z otwartych drzwi kawiarni.

Mały Chińczyk zawahał się przez moment, po czym powiedział:

– Zebrałem dla ciebie informacje, o które prosiłeś.

– I co?

– W takim kraju trudno jest szybko zdobyć informacje. Rozumiesz to. Brak komunikacji. No i oczywiście pogoda. Przeklęty śnieg wszystko utrudnia. Sieć telefoniczna jest prymitywna, tam gdzie w ogóle istnieje -

Lin-Su zaśmiał się. - Jednak mogę ci powiedzieć, że ostatni raz, gdy słyszano o Abnerze Ravenwoodzie, znajdował się w regionie wokół Patanu. Za to mogę ręczyć. Wszystko inne, czego się dowiedziałem, to plotki i nawet nie zasługują na uwagę.

– Patan? Tak? A kiedy to było?

– Trudno powiedzieć. Wiarygodnie, trzy lata temu - Lin-Su wzruszył ramionami. - Proszę o wybaczenie, przyjacielu, że nie mogłem uzyskać nic więcej.

– Bardzo dobrze się spisałeś - powiedział Indy. - Czy jest jakaś szansa, że jeszcze tam jest?

– Mogę ci powiedzieć, że nikt nie słyszał, by wyjechał z tego kraju. Poza tym... - Lin-Su zadrżał i podniósł kołnierz ciężkiego płaszcza.

– To już coś - powiedział Indy.

– Chciałbym naturalnie mieć więcej informacji. Nie zapomniałem pomocy, jakiej mi udzieliłeś, gdy byłem ostatnio w waszym wspaniałym kraju.

– Cała moja zasługa to interwencja w biurze imigracyjnym, Lin-Su.

– Właśnie. Ale poinformowałeś ich, że jestem zatrudniony w twoim muzeum, podczas gdy w rzeczywistości tak nie było.

– Pożyteczne kłamstwo - stwierdził Indy.

– A czymże jest przyjaźń, jeśli nie sumą przysług?

– Jak chcesz - powiedział Indy. Nie zawsze odpowiadały mu wschodnie grzeczności, ten rodzaj komentarzy, które wydawały się zaczerpnięte z pism jakiegoś trzeciorzędnego Konfucjusza. Ale rozumiał, że chińskie zachowania Lin-Su były tym, czego ludzie Zachodu od niego oczekiwali.

– Jak mogę się dostać do Patanu?

Lin-Su podniósł w górę jeden palec.



– W tym mogę ci pomóc. W gruncie rzeczy już się tym zająłem. Chodź tędy.

Indy poszedł za małym Chińczykiem w głąb ulicy. Przed budynkiem stał zaparkowany czarny samochód nieznanej marki. Lin-Su wskazał go z dumą.

– Oddaję swój samochód do twojej dyspozycji.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. W środku znajdziesz potrzebną mapę.

– Jestem pod wrażeniem.

– Drobiazg - powiedział Lin-Su.

Indy obszedł samochód. Zajrzał przez okno i popatrzył na wytartą skórzaną tapicerkę oraz wystające resory.

– Co to za marka? - zapytał.

– Obawiam się, że nieoryginalna - przyznał Lin-Su. - Pewien mechanik w Chinach poskładał go do kupy i przysłał mi za niewielką cenę. Trochę ford, trochę citroen. Myślę, że może też mieć jakieś części morrisa.

– Jak do diabła zdołasz go zreperować?

– Na to pytanie mogę odpowiedzieć. Trzymam kciuki, żeby nigdy nie nawalił. - Chińczyk roześmiał się i wręczył Indy'emu kluczyki. - Jak dotąd był niezawodny. Co jest dobrą wiadomością, bo drogi są fatalne.

– Opowiedz mi o drodze do Patanu.

– Kiepska. Ale przy odrobinie szczęścia unikniesz śniegów. Trzymaj się trasy, którą wyrysowałem ci na mapie. Powinieneś być bezpieczny.

– Nie wiem, jak ci dziękować - powiedział Indy.

– Nie przenocujesz?

– Obawiam się, że nie.

Lin-Su uśmiechnął się.

– Masz, jak to się mówi? Nóż na gardle?

- Właśnie. Nóż na gardle.
- Amerykanie - powiedział Chińczyk - zawsze mają nóż na gardle. I zawsze mają wrzody.
- Na razie nie mam - rzekł Indy i otworzył drzwiczki samochodu. Skrzypnęły przeraźliwie.
- Sprzęgło jest twarde - powiedział Lin-Su. - Kierownica jest kiepska. Ale dowiezie cię do celu i przywiezie z powrotem.
- Indy rzucił torbę na siedzenie dla pasażera.
- Czego więcej można wymagać od samochodu?
- Powodzenia, In-dia-na.

Wymówione przez Lin-Su imię zabrzmiało jak chińskie.

Uścisnęli sobie dłonie, potem Indy zamknął drzwi samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, posłuchał jak silnik zajęczał, a potem zaskoczył. Skinął ręką Chińczykowi, który zmierzał już ulicą jakby promieniejąc z dumy, że pożyczył swój samochód Amerykaninowi. Indy patrzył na mapę i miał nadzieję, że jest dokładna, bo z pewnością nie mógł liczyć na drogowskazy w tej okolicy.

Jechał przez wiele godzin wyboistymi drogami, które Lin-Su zaznaczył na mapie, świadom zapadania ciemności nad górami, które jak wielkie upiory piętrzyły się ze wszystkich stron. Rad był, że nie widzi rozlicznych przełęczy, które mija. To i ówdzie, w miejscach, gdzie śnieg tarasował drogę, musiał się wolno przeciskać skrajem szlaku, czasem wysiąść i usunąć tyle śniegu, ile tylko zdołał. Posępne miejsce. Niewiarygodnie ponure. Indy rozmyślał o mieszkaniu tutaj zimą, która musiała wydawać się pozbawiona końca. Mówią o Nepalu Dach Świata. I łatwo było w to uwierzyć, tylko że ten dach był przeraźliwie samotny. Lin-Su jakoś był w stanie to znieść, ale z drugiej strony to mogło być dobre miejsce do prowadzenia interesów przez Chińczyka, importu i eksportu towarów,

których pochodzenie bywało czasem wątpliwe. Nepal - tędy przechodziła kontrabanda całego świata, czy były to skradzione dzieła sztuki, starożytne przedmioty czy narkotyki. Władze oficjalnie niczego nie widziały, przymykały oczy i wyciągały ręce po łapówki.

Na krawędzi snu Indy jechał, ziewając, marząc o kawie, która podtrzymałaby jego siły. Kilometry dłużyły się, a on nasłuchiwał zgrzytów i stękania swojego osobliwego pojazdu i chrzęstu opon na śniegu. I nieoczekiwanie, zanim zdołał sprawdzić położenie na mapie, znalazł się na obrzeżach miasta, miasta bez drogowskazu, bez tablicy, bez nazwy. Zatrzymał samochód na skraju drogi i rozłożył mapę. Zaświecił wewnętrzną lampkę w kabinie i zorientował się, że musiał dojechać do Patanu, bo na mapie Lin-Su nie było żadnej innej porównywalnie dużej miejscowości. Przejeżdżał wolno przez nędzne peryferie, obok chałupin, pozbawionych okien lepianek z gliny. A potem dotarł do czegoś, co wyglądało jak główna arteria przelotowa, do wąskiej ulicy - zaledwie nieco większej niż zaułek - ze sklepikami i przecznicami odchodzącymi pod kątem prostym. Zatrzymał samochód i rozejrzał się. Dziwna ulica - w pewnym sensie za spokojna.

Indy nagle zdał sobie sprawę z obecności innego samochodu, nadjeżdżającego z tyłu. Auto przejechało, wyminęło go i odjeżdżając nabrało szybkości. Gdy zniknęło, Indy uświadomił sobie, że był to jedyny samochód, jaki widział w czasie całej podróży. *Co za przekłeta dziura*, pomyślał, wyobrażając tu sobie Abnera Ravenwooda. Jak ktokolwiek mógłby tu wytrzymać?

Ktoś szedł ulicą w jego stronę. Mężczyzna, wysoki mężczyzna w futrzanej kurtce, który kołysał się na boki jakby był pijany. Indy wysiadł z samochodu i czekał, aż ów człowiek w futrzanej kurtce podejdzie bliżej. Jego oddech cuchnął alkoholem tak mocno, że Indy musiał odwrócić twarz.

Mężczyzna podejrzliwie odstąpił na bok, jak ktoś oczekujący napaści. Indy rozłożył ramiona i odwrócił otwarte dłonie do góry na znak pokojowych zamiarów. Ale nieznajomy nie podszedł bliżej. Czujnie obserwował Indy'ego. Był mieszańcem, kształt oczu sugerował pochodzenie orientalne, szerokie kości policzkowe wskazywały być może, na jakąś domieszkę krwi słowiańskiej. *Spróbuj jakiegoś języka*, pomyślał Indy. *Na początek angielskiego.*

– Szukam Ravenwooda - powiedział. *To absurdalne*, rzekł w duchu sam do siebie: *w środku nocy, na pustkowiu pytasz o kogoś w języku, którego poza tobą prawdopodobnie nikt tu nie zna.* - Człowieka nazwiskiem Ravenwood.

Mężczyzna patrzył, nie rozumiejąc. Otworzył usta.

– Znasz. Kogoś. Nazwiskiem. Ravenwood? - wolno i wyraźnie. Jak do niedorozwiniętego dziecka.

– Raven-wood? - powtórzył mężczyzna.

– Zgadza się, stary - potwierdził Indy.

– Raven-wood.

Mężczyzna wydawał się smakować to słowo jakby było egzotycznym smakołykiem.

– Tak. Waśnie. Teraz pewnie będziemy tu stać przez całą noc i bełkotać - powiedział Indy, czując znowu przenikający całe ciało chłód i zmęczenie.

– Raven-wood - człowiek uśmiechnął się w przebłysku zrozumienia i odwrócił, wskazując ręką w głąb ulicy.

Indy spojrział i dostrzegł w oddali światło. Mężczyzna zwinął jedną dłoń, podniósł ją do ust i wykonał pijacki gest. Powtarzał przy tym wielokrotnie nazwisko Ravenwood, wciąż wskazując w tym samym kierunku. Zaczął intensywnie kiwać głową. Indy zrozumiał, że powinien iść w stronę światła.

– Wielce zobowiązany - powiedział.

– Ravenwood - odpowiedział mężczyzna po raz kolejny.

– Tak, tak, dobrze.

Indy zawrócił do samochodu.

Wsiadł i pojechał ulicą, zatrzymał się przy świetle, które pokazał mu mężczyzna i dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że dolatuje ono z gospody, nad którą, niezbyt stosownie do okoliczności wisiał szyld z angielskim słowem *Raven* [(ang.) - kruk; zatem gospoda nazywała się Pod Krukiem. Nazwisko Raven-wood znaczy dosłownie po angielsku Kruczy Las]. No tak, pomyślał Indy. Facetowi się pomieszało. Był pijany i wystraszony, ot co. Ale jeśli to była jedyna spelunka czynna w tej zapadłej dziurze, może warto się tu zatrzymać i sprawdzić, czy ktoś czegoś nie wie? Wysiadł z samochodu, świadom hałasu dobiegającego teraz z wnętrza lokalu, tego specyficznego gwaru wywołanego przez gromadę pijaków, którzy spędzili wiele godzin na solennym upijaniu się w trupa. Lubił ten hałas, był to niego przyzwyczajony, i jak niczego innego pragnął przyłączyć się do kompanii w gospodzie. *Ejże, rzekł sam do siebie. Nie przyjechałeś tu, żeby się nawalić jak stodoła. Masz cel. Ściśle określony, jasny cel.*

Poszedł w kierunku drzwi. *Bywałeś w różnych dziwnych miejscach,* mówił do siebie. *Ale to z pewnością bije wszelkie rekordy.* Po wejściu do wnętrza zobaczył przed sobą dziwną gromadę pijaków, dziką mieszaninę narodowości. Wyglądało to, jakby ktoś wziął szuflę, zagłębił ją w tyglu pełnym różnych typów etnicznych i zawartość cisnął w tę szaloną, samotną ciemność dzikiego pustkowia. To naprawdę szczyt wszystkiego! Górscy przewodnicy - Szerpowie, rdzenni Nepalczycy, Mongołowie, Chińczycy, Hindusi, brodaci alpiniści, którzy wyglądali jakby dopiero co odpadli od ściany, rozmaite dziwolągi nieodgadnionej narodowości. To Nepal, w porządku, pomyślał, a ci ludzie są uczestnikami międzynarodowego handlu narkotykami, przemytnikami, bandytami. Indy

zamknął za sobą drzwi, a potem dostrzegł wielkiego wypchanego kruka nad długim kontuarem baru. Przypadek? Wszedł dalej do pomieszczenia, które cuchnęło potem, alkoholem i dymem tytoniowym. Wyczuł w powietrzu słodkawy aromat haszyszu.

Przy barze, gdzie zgromadziła się większość klientów, coś się działo. Jakiś pijacki pojedynek. Równo ustawiona na barze kolekcja kieliszków. Wysoki mężczyzna pokrzykujący z australijskim akcentem opierał się o bar, jednocześnie podnosząc rękę i na oślep macając przed sobą w poszukiwaniu kolejnego kieliszka.

Indy zbliżył się. Pijacki pojedynek. Ciekawe, kto jest przeciwnikiem Australijczyka. Przepchnął się, próbując go dostrzec.

Gdy mu się to udało, gdy rozpoznał drugiego zawodnika, poczuł zawrót głowy, ucisk w piersiach, jakby pchnięcie noża, szybki ból. I na moment czas zmienił tempo, odmienił się jak krajobraz namalowany wiele lat temu i niezmienny od tego czasu. Iluzja. Miraż. Indy potrząsnął głową, jakby ten ruch mógł przywrócić go do rzeczywistości.

Marion.

*Marion*, pomyślał.

Ciemne włosy opadające wokół ramion w luźnych, łagodnych falach; te same duże, inteligentne brązowe oczy, które obserwowały świat z łagodnym sceptycyzmem, niedowierzaniem wobec ludzkich zachowań - oczy, które zawsze jakby spoglądały w głąb ciebie, jak gdyby potrafiły odczytać twoją najgłębszą motywację; usta - może tylko usta były nieco inne, ich linia była twardsza, a ciało trochę pełniejsze. Ale to była Marion, Marion z jego wspomnień.

A teraz uczestniczyła w jakimś obłąkańczym, pijackim pojedynku z tym australijskim niedźwiedziem. Patrzył, nie poruszając się niemal, jak tłum wokół baru robił zakłady, kto zwycięży. Nawet najbardziej naiwnemu

widzowi musiało się wydawać wysoce nieprawdopodobne, by Australijczyk mógł ulec kobiecie mierzącej zaledwie nieco ponad 160 centymetrów wzrostu. Ale ona wlewała w siebie kolejne kieliszki, dorównując mężczyźnie kroku.

Coś w środku Indy'ego, co tkwiło w nim głęboko, nagle zrobiło się bardzo miękkie. Zaprzagnął wyrwać ją z szaleństwa tego miejsca. Nie, nakazał sobie. Nie jest już dzieckiem, nie jest teraz córką Abnera - jest kobietą, piękną kobietą. I wie, co robi. Poradzi sobie - tutaj, nawet w środku tej hałastry wypalonych nieudaczników, bandytów i pijaków. Wlała w siebie kolejną wódkę. Tłum zawył. Na kontuar rzucono więcej pieniędzy. Kolejny ryk. Australijczyk zachwiał się do tyłu, sięgnął po kieliszek, nie trafił i runął na plecy jak ścięty pień. Indy był pod wrażeniem. Obserwował Marion, jak odrzuca ciemne włosy na plecy, zgarnia pieniądze z baru i krzyczy do pijaków po nepalsku. I choć nic nie rozumiał, wiedział z tonu jej głosu, że obwieszcza im, iż ich ulubiona zabawa na dziś jest skończona. Ale na kontuarze pozostał jeden kieliszek i nie zamierzali się ruszyć dopóty, dopóki go nie wypije.

Rozejrzała się dookoła, po czym powiedziała „bums” i wypła alkohol do dna. Tłum ponownie zawył, Marion wyrzuciła ramiona w powietrze i ludzie zaczęli się rozchodzić, z ociąganiem zmierzając w stronę drzwi. Barman, wysoki Nepalczyk, upewniał się, że sobie poszli, wypychając ich w noc. W rękę trzymał stylisko od siekiery. W takiej speluncie, pomyślał Indy, możesz potrzebować czegoś więcej niż tylko styliska, żeby zamknąć lokal.

A potem bar opustoszał, ostatni pijacy wyszli.

Marion weszła za bar, uniosła twarz i spojrzała na Indy'ego.

– Hej, co jest? Nie słyszałaś, co mówiłam? Głuchy jesteś? Koniec. Rozumiesz? *Bairra chuh kayho?*

Ruszyła w jego stronę. I wtedy na jej twarzy pojawił się błysk rozpoznania. Zatrzymała się.

– Witaj, Marion - powiedział. Nie poruszyła się.

Po prostu wpatrywała się w niego.

Starał się widzieć ją taką, jaka była w tej chwili, nie pamiętać, jaka była kiedyś. I nagle stało się to trudne, znowu poczuł ucisk, tym razem w gardle, jakby coś w nim utknęło.

– Witaj, Marion - powtórzył. Usiadł na stołku przy barze.

Przez moment wyobraził sobie, że dostrzega w jej oczach dawne emocje, coś czaiło się w jej spojrzeniu - ale to, co potem zrobiła, zdumiało go. Zwinęła dłoń w pięść, zamachnęła się z wielką siłą i uderzyła go prawym sierpowym w szczękę. Zamroczony spadł ze stołka i leżał rozplaszczony na podłodze, patrząc na nią.

– Ja też się cieszę z naszego spotkania - powiedział, pocierając szczękę i krzywiąc twarz.

– Wstawaj i wynoś się - powiedziała.

– Marion, poczekaj.

Stała nad nim.

– Drugi raz potrafię to zrobić z równą łatwością - powiedziała, zaciskając pięść.

– Wierzę - potwierdził.

Podniósł się na kolana, szczeka bolała jak diabli. *Gdzie się nauczyła bić w taki sposób? Gdzie mogła nauczyć się tak dobrze pić, skoro już o tym mowa? Same niespodzianki*, pomyślał. Dziewczyna zmienia się w kobietę, a kobieta okazuje się przerażająca.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

Wstał wreszcie i otrzepał kurz z ubrania.



– Dobrze, dobrze - powiedział. - Możesz nie chcieć ze mną rozmawiać.

Rozumiem to...

– Jakie to wspaniałomyślne z twojej strony.

*Ta gorycz, pomyślał Indy. Czy zasłużył na tyle goryczy? Tak, zapewne.*

– Przyjechałem zobaczyć się z twoim ojcem - powiedział.

– Spóźniłeś się o dwa lata.

Indy zdawał sobie sprawę z obecności barmana dzierżącego wciąż stylisko siekiery. W sumie groźny facet.

– W porządku, Mohan. Dam sobie radę - lekceważącym gestem wskazała Indy'ego. - Idź do domu.

Mohan odłożył stylisko na kontuar. W odpowiedzi na jej gest wzruszył ramionami i wyszedł.

– Co to znaczy: spóźniłem się dwa lata? - spytał wolno Indy. - Co się stało z Abnerem?

– Pierwszy raz coś w Marion zmięкло. Powoli wypuściła z płuc powietrze, a wraz z nim dawny smutek.

– A jak ci się wydaje? Pochłonęła go lawina. Cóż innego mogło mu się przydarzyć? To jedyna stosowna rzecz - całe życie spędził kopiąc. O ile wiem, prawdopodobnie nadal jest na tej górze, zakonserwowany w śniegu.

Odwróciła się do niego tyłem i nalała sobie drinka. Indy ponownie usiadł na stołku. Abner nie żyje. To niewyobrażalne. Czuł się, jakby otrzymał kolejny cios.

Nabrał przekonania, że jego ukochana Arka została zaparkowana gdzieś w połowie zbocza tej góry.

Marion sączyła drinka. Widział, jak jej twardość, jej zewnętrzna skorupa, zaczyna pękać. Ale walczyła z tym, nie chciała okazywać słabości.

– Ciągnął mnie tu, prawie dziecko - mówiła - przez pół świata na te szalone wykopki. A potem: pah! i nie ma go. Nie zostawił mi złamanego

grosza. Zgadnij, jak żyłam, Jones? Pracowałam tutaj. I niekoniecznie jako barmanka, rozumiesz?

Indy patrzył na nią. Zastanawiał się, co teraz czuje, jakie emocje skrywa w głębi duszy. Nie znał ich, były dziwne. Nagle wydała mu się niezwykle krucha. I niezwykle piękna.

– Facet, który był właścicielem, zwariował. Każdy tu prędzej czy później wariuje. Więc zgadnij, co się stało, gdy go wynieśli? Zostawił mi to miejsce. Tylko mnie na resztę mojego ziemskiego żywota. Możesz sobie wyobrazić straszliwsze przekleństwo?

To było za wiele naraz dla Indy'ego. Chciał powiedzieć coś, co mogłoby ją pocieszyć. Ale wiedział, że nie ma takich słów.

– Przykro mi - powiedział.

– Też coś.

– Naprawdę mi przykro.

– Myślałam, że jestem w tobie zakochana. I zobacz, co zrobiłeś z tą cholerną wiedzą.

– Nie chciałem cię zranić.

– Byłam dzieckiem.

– Słuchaj, zrobiłem, co zrobiłem. Nie jestem z tego powodu szczęśliwy, nie umiem tego wyjaśnić. I nie oczekuję od ciebie, żebyś ty była z tym szczęśliwa.

*To nie było w porządku, Indiana Jones. I sam wiesz, Że me było.*

Indy milczał, zastanawiając się, jak mógłby kiedykolwiek przeprosić za minione wydarzenia.

– Gdybym mógł cofnąć czas o dziesięć lat, gdybym mógł odwrócić cholerny bieg wydarzeń, wierz mi, Marion, zrobiłbym to.

– Wiedziałałam, że któregoś dnia przekroczysz ten próg. Nie pytaj dlaczego. Po prostu wiedziałam - powiedziała Marion.

Oparł się ręką o kontuar.

– Dlaczego właściwie nie wróciłaś do Stanów?

– Forsa. Proste. Chciałam wrócić w jako takim stylu.

– Może mogę ci pomóc. Może mogę zrobić coś dobrego dla ciebie.

– Czy po to wróciłaś?

Potrząsnął głową.

– Potrzebna mi jedna rzecz, którą, jak sądzę miał twój ojciec.

Prawa dłoń Marion uniosła się zręcznie, ale tym razem Indy był przygotowany i złapał ją za przegub.

– Skurwysyn - wysyczała. - Chciałabym, żebyś zostawił tego starego szaleńca w spokoju. Bóg jeden wie, że przysporzyłeś mu dość bólu za życia.

– Zapłacę - powiedział.

– Ile?

– W każdym razie dość, żebyś mogła z klasą wrócić do Stanów.

– Taak? Problem w tym, że sprzedałam ten cały chłam. Śmieci. Wszystko. Zmarnował całe życie na śmieci.

– Wszystko? Sprzedałaś wszystko?

– Wyglądasz na rozczarowanego. Jakie to uczucie, Mister Jones?

Indy uśmiechnął się do niej. Ten moment jej tryumfu sprawił mu przyjemność. A potem zastanowił się, czy mówi prawdę o sprzedaży zbiorów Abnera, jeśli wszystko było tak bezwartościowe.

– Lubię, kiedy wyglądasz na przygnębionego - odezwała się. - Postawię ci drinka. Na co masz ochotę?

– Woda - odpowiedział i westchnął.

– Woda? Czasy się zmieniły, Indiana Jones. Ja osobiście wolę szkocką. Lubię też burbona, wódkę i dzin. Nie przepadam za brandy. Skończyłam z tym.

– Twardziel teraz z ciebie, prawda?

Ponownie się do niego uśmiechnęła.

– Nie jesteśmy w Schenectady [miejsowość w USA w stanie Nowy Jork w aglomeracji stolicy stanu, Albany.], przyjacielu.

Potarł znowu szczękę. Nagle poczuł zmęczenie tą potyczką.

– Ile razy mam powtarzać, że jest mi przykro? Czy kiedyś uznasz, że już wystarczy?

Popchnęła w jego stronę szklanekę wody i wypił ją, krzywiąc twarz. Potem oparła się na łokciach i przechyliła przez kontuar.

– Możesz zapłacić gotówką?

– Tak.

– Powiedz mi, czego szukasz. Kto wie? Może potrafię namierzyć faceta, któremu to sprzedałam.

– Przedmiot z brązu w kształcie słońca. Ma w środku otwór, lekko w bok od środka, z wprawionym czerwonym kryształem. Pochodzi z górnej części innego przedmiotu. Czy to ci coś przypomina?

– Może. Ile?

– Trzy tysiące dolarów.

– Mało.

– Dobrze. Mogę podnieść do pięciu. Dostaniesz więcej po powrocie do Stanów.

– Wydaje się ważne.

– Być może.

– Mam twoje słowo?

Indiana przytaknął skinieniem głowy.

– Już raz dałeś mi słowo, Indy. Ostatnim razem, gdy się spotkaliśmy, dałeś mi słowo, że wrócisz. Pamiętasz? - powiedziała Marion.

– Wróciłem.

– Ten sam stary drań - stwierdziła.

Przez chwilę milczała spacerując wzdłuż kontuaru, aż znalazła się blisko niego.

– Daj mi teraz te pięć kawałków i przyjdź jutro.

– Dlaczego jutro?

– Bo ja tak mówię. Bo czas, żebym zaczęła postępować z tobą na własnych zasadach.

Wydobył pieniądze i podał je Marion.

– W porządku - powiedział. - Ufam ci.

– Jesteś głupcem.

– Taak - westchnął. - Już to słyszałem.

Podniósł się ze stołka. Zastanawiał się, gdzie ma spędzić noc. *W zaspie*, pomyślał. Jeśli Marion chciała zachować swoje zasady. Odwrócił się do wyjścia.

– Zrób coś dla mnie - poprosiła.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Pocałuj mnie.

– Pocałować cię?

– Tak. No, śmiało, odśwież moje wspomnienia.

– A jeśli odmówię?

– W takim razie nie przychodź jutro.

Roześmiał się. Nachylił się do niej, zaskoczony własnym pożądaniem, a potem dzikością tego pocałunku, sposobem, jak szarpała go za włosy, jak wcisnęła język między jego wargi i poruszała nim szybko wewnątrz ust. Pocałunek dziecka dawno odszedł w przeszłość; ten był inny. To był pocałunek kobiety, która poznała sztukę kochania.

Oderwała się od niego, uśmiechnęła się i sięgnęła po drinka.

– A teraz wynoś się z mojego baru - powiedziała.

Patrzyła, jak odchodzi, patrzyła na zamykające się za nim drzwi. Przez chwilę stała nieruchomo, potem odsunęła szal, który miała na szyi. Między piersiami, na łańcuchu, wisiał naszyjnik. Medalion z brązu w kształcie słońca z wprawionym kryształem.

Potarła go z namysłem kciukiem i palcem wskazującym.

Idąc do samochodu, Indy drżał na mrozie. Usiadł na chwilę za kierownicą. Co miał teraz robić? Jeździć w kółko aż do rana? Było mało prawdopodobne, że znajdzie w Patanie trzygwiazdkowy hotel, nie uśmiechała mu się też perspektywa spędzenia nocy w samochodzie. Do rana zmarzłby na sople. *Może, pomyślał, powinienem dać jej trochę czasu, żeby złagodniała i wrócić. Może okaże wobec mnie trochę tej gościnności, z której słyną właściciele barów.* Splótł ręce i chuchnął na nie, by je ogrzać, po czym zapalił silnik. Nawet kierownica była zimna jak lód.

Indy wolno odjechał.

Nie widział cienia w bramie po przeciwnej stronie ulicy, cienia mężczyzny w prochowcu, który wsiadł w Szanghaju do Dakoty, a który nazywał się Toht i został wysłany do Patanu na pilne żądanie kierownictwa Specjalnych Zbiorów Starożytności Trzeciej Rzeszy. Toht przeciął ulicę w towarzystwie wynajętych pomocników - niemieckiego opryszka z przepaską na oku, Nepalczyka w futrzanej kurcie i Mongoła, który niósł pistolet półautomatyczny w taki sposób, jakby wszystko, co mogłoby się poruszyć w zasięgu jego wzroku, automatycznie stawało się celem.

Zatrzymali się na chwilę przed drzwiami baru Pod Krukiem, obserwując czerwone światła odjeżdżającego samochodu Indiany Jonesa.

Marion stała zamyślona przed paleniskiem z pogrzebaczem w ręku. Przegarniała zamierające płomienie i nagle, wbrew sobie, mimo że uważała

to za słabość, rozplakała się. Cholerny Jones, pomyślała. Po dziesięciu latach, po dziesięciu piekielnie trudnych latach wraca jak gdyby nigdy nic do mojego życia z kolejnymi obietnicami. I dziesięć lat znikło, czas przeleciał jak strony w książce i przypomniała sobie, jak to było wtedy: piętnastolatka wyobrażająca sobie, że jest zakochana w przystojnym młodym archeologu, młodzieńcu, przed którym ojciec ją ostrzegał. Pamiętała jego słowa: on tylko cię zrani, nawet jeśli z czasem to przebolejesz. Cóż, ból był prawdziwy i realny, ale reszta tego zdania - nie. Może to prawda, co czasem mówią, takie babskie gadanie, że nigdy do końca nie zapomnisz pierwszego mężczyzny, pierwszej miłości. Na pewno nigdy nie zapomniała tego słodkiego uczucia, drżenia, wrażenia, że mogłaby umrzeć z samego oczekiwania na jego pocałunek, na uścisk. Nic nie zmieniło tego szalonego uniesienia zmysłów, wrażenia, że szybuje ponad światem, jakby była bezcielesna, ulotna, przeźroczysta pod światło.

Uznała, że jest głupia, jeśli płacze, bo Wielki Archeolog przeszedł buńczucznie przez drzwi jej baru. *Do diabła z nim*, powiedziała sama do siebie. *Teraz ważna jest tylko forsa.*

Zbita z tropu podeszła do baru. Zdjęła łańcuch z szyi i położyła medalion na kontuarze. Wydobyła pieniądze, które dał jej Indiana i sięgając pod ladę wsunęła je do małej drewnianej szkatułki. Patrzyła jeszcze na medalion leżący w cieniu wypchanego kruką, gdy usłyszała hałas przy drzwiach. Odwróciła się, szybko dostrzegła czterech mężczyzn i od razu zdała sobie sprawę, że to oznaczało kłopoty i że te kłopoty miały związek z wizytą Indiany Jonesa. *W co on mnie wpakował, do cholery*, pomyślała.

– Bar jest zamknięty, przykro mi - odezwała się.

Mężczyzna w prochowcu, z twarzą jak otwarta brzytwa, uśmiechnął się.

– Nie przyszliśmy na drinka - powiedział. Mówił z silnym niemieckim akcentem.

– Ach, tak - i patrzyła jak jego kumple: Nepalczyk i Mongoł (wielki Boże, ma karabin automatyczny) myszkuje po lokalu.

Przypomniała sobie o medalionie leżącym na kontuarze. Facet z przepaską na oku był bardzo blisko.

– Czego chcecie? - zapytała.

Dokładnie tego, czego szuka pani przyjaciel Indiana Jones - powiedział Niemiec. - Jestem pewien, że o tym wspomniał.

– Nie. Przykro mi.

– Ach - westchnął mężczyzna - więc to otrzymał?

– Nie wydaje mi się, że bym pana rozumiała - odpowiedziała Marion.

Mężczyzna usiadł, podnosząc poły płaszcza.

Przepraszam, że się nie przedstawiłem. Toht. Arnold Toht. Jones pytał o pewien medalion, prawda?

Być może...

Myślała o broni, która leżała na półce za wypchanym krukiem zastanawiając się, jak szybko zdołałaby po nią sięgnąć.

– Nie baw się ze mną w głupie gierki - powiedział Toht.

– Dobrze. Wróci jutro. Więc wy też przyjdźcie jutro i zrobimy licytację, jeśli jesteście tak bardzo zainteresowani.

Toht potrząsnął głową.

– Obawiam się, że nic z tego. Muszę zdobyć ten przedmiot dzisiaj, *Fraulein* [(niem.) - panna; tu: forma grzecznościowa: panienko].

Podniósł się i popatrzył na ogień, schylając się po pogrzebacz.

Marion udała, że ziewa.

– Nie mam go. Przyjdźcie jutro. Jestem zmęczona.

– Przykro mi, że jest pani zmęczona. Ale...

Wykonał ruch głową. Mongoł chwycił Marion od tyłu, wykręcił jej ramiona, a Toht wyciągnął z ognia rozżarzony pogrzebacz i przybliżył do



jej twarzy.

– Chyba wiem, o co panu chodzi - powiedziała. - Potrafię być rozsądna.

– Na pewno, na pewno.

Toht westchnął, jakby był znużony przemocą, ale nie było to szczere. Zbliżył się do niej, wciąż trzymając pogrzebacz tuż przy jej policzku. Czowała gorąco na skórze. Odwróciła twarz na bok i walczyła z chwytem Mongoła, ale był zbyt mocny.

– Czekaj, pokażę wam, gdzie to jest!

– Miałaś już okazję, moja droga - odpowiedział Toht.

*Sadysta starej daty, pomyślała. Medalion guzik go obchodzi, zależy mu na widoku pogrzebacza wypalającego mi twarz.* Ponownie się szarpnęła, ale bezskutecznie. *Dobrze, pomyślała, straciłaś już wszystko, więc możesz stracić także urodę.* Spróbowała ugryźć wielkoluda w ramię, ale on tylko odepchnął jej twarz, uderzając w policzek dłonią, która pachniała woskiem.

Wpatrywała się w pogrzebacz.

Za blisko. Dwadzieścia centymetrów. Piętnaście. Dziesięć.

I wtedy...

Najpierw wszystko działo się zbyt szybko, by zdołała śledzić bieg i wydarzeń, następujących po sobie w zamazanym ciągu jak obrazy przechodzące jeden w drugi, jakby ktoś rozlał tusz na deszczu. Usłyszała trzask, głośny trzask, i po chwili ręka Europejczyka nagle uniosła się w górę, pogrzebacz frunął w powietrzu, zaplątał w zasłonie okna i zaczął dymić. Poczwała, że Mongoł puszcza ją i zdała sobie sprawę, że wrócił Indiana Jones: stał w drzwiach ze starym biczem w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Indiana Jones, jak kawaleria w starym westernie, zjawiająca się na ratunek w ostatniej chwili. *Co cię, do diabła, zatrzymało?* Chciało jej się krzyczeć, ale musiała się ruszyć, bo w pomieszczeniu wisiała przemoc, powietrze było nią naładowane jak elektrycznością w czasie burzy.

Skoczyła przez kontuar i sięgnęła po butelkę dokładnie w chwili, gdy Toht do niej strzelił; kule chybiły jednak celu, a ona przetoczyła się po podłodze za kontuarem w deszczu tłuczonego szkła. Kanonada strzałów przeszywała uszy.

Mongoł niezręcznie podnosił karabin. Zdała sobie sprawę, że celuje w Indy'ego, prosto w niego. *Trzeba go czymś uderzyć*, przemknęło jej przez myśl. Instynktownie sięgnęła po stylisko siekiery i z całej siły rąbnęła Mongoła w głowę. Osunął się na ziemię. Ale w barze pojawił się ktoś jeszcze, kto wpadł przez drzwi, jakby były zrobione z tektury. Uniosła wzrok i zobaczyła znajomą twarz, Szerpę, jednego z miejscowych olbrzymów, którego każdy mógł kupić za parę szklanek gorzały. Wpadł do środka jak burza, schwycił Indy'ego od tyłu i cisnął go na podłogę.

I w tym momencie Toht wrzasnął:

– Zastrzel ich! Zastrzel ich obu!

Mężczyzna z przepaską na oku ożywił się na komendę Tohta. Miał w garści pistolet i było oczywiste, że precyzyjnie wykona polecenie. W momencie gdy ogarniała ją panika, zdarzyło się coś niezwykłego. W przedziwnym porozumieniu walki o życie Indy i Szerpa jednocześnie sięgnęli po leżącą na ziemi broń. Schwycili ją, wycelowali w stronę zabójcy i broń wypaliła, trafiając bezokiego prosto w grdykę z siłą, która odrzuciła go na drugą stronę pomieszczenia. Cofał się chwiejnie, aż w końcu położył się na kontuarze, przypominając pirata, któremu w czasie pijackiej bijatyki poderżnięto gardło.

Potem walka rozgorzała od nowa, wygasł nietypowy alians, osobliwe zawieszenie broni dobiegło końca. Pistolet wypadł z rąk Indy'ego i Szerpy i obaj tarzali się po podłodze, próbując - raz jeden, raz drugi - pochwycić broń. Ale Toht miał teraz Indy'ego na muszce. Marion sięgnęła po karabin, który spadł z ramienia Mongoła i starała się zrozumieć zasadę jego

działania - *a jak inaczej miałyby działać*, pomyślała, *jeśli nie po pociągnięciu za spust*. Otworzyła ogień, ale broń miała silny odrzut i szaleńczo skakała jej w rękach. Kule nie trafiały w Tohta. Potem jej uwagę przyciągnęły płomienie rozprzestrzeniające się z zasłon na resztę pomieszczenia. Nikt ich nie powstrzyma, pomyślała. Ogień będzie jedynym zwycięzcą w tej walce.

Kątem oka obserwowała, jak Toht czołga się przy końcu kontuaru w otoczeniu płomieni, okrążając bar. *Zobaczył go*, pomyślała. Widział medalion. Patrzyła, jak ręka Niemca sunie w jego stronę, widziała wyraz zachwyty na twarzy, a potem, niespodziewanie usłyszała wrzask, gdy okopcony płomieniami medalion oparzył go w dłoń, wypalił na niej głęboko swój kształt i deseń oraz starodawne napisy. Nie zdołał go utrzymać. Ból był zbyt wielki. Pokuśtykał w stronę drzwi, ściskając poparzoną dłoń. I wtedy Marion popatrzyła w kierunku Indy'ego walczącego wciąż z Szerpą. Nepalczyk okrążał go, starając się znaleźć czystą pozycję do strzału. Sięgnęła po karabin, ale broń była bezużyteczna, rozładowana. Zatem pistolet. Pistolet za krukami. Przez płomienie i dym sięgnęła po broń, odwróciła się, posłuchała butelek z alkoholem, wybuchających wokół niej jak koktajle Mołotowa i wycelowowała w Nepalczyka. Jeden celny strzał, pomyślała. *Jeden dobry, celny strzał*.

Drań nie chciał stać spokojnie.

A dym ją oślepiał i dusił.

Indy kopnął Szerpę, odtoczył się na pewną odległość, a Nepalczyk zyskał w tym momencie jasny cel: jego czaszkę. *Teraz! Zrób to teraz!*

Nacisnęła spust.

Nepalczyk wyskoczył w powietrze poderwany w górę i odrzucony do tyłu siłą wystrzału. A Indy spojrział na nią z wdzięcznością przez dym i płomienie i uśmiechnął się.

Chwycił bicz i kapelusz i krzyknął:

- Wynośmy się z tego piekła.
- Ale nie bez tego, czego szukałeś!
- Jest tutaj?

Marion kopnęła na bok płonące krzesło. Nad głową, w efektownym wybuchu płomieni, załamała się belka i upadła w deszczu iskier i popiołu.

– Zapomnij o tym - wrzasnął Indy. - Chcę, żebyś stąd wyszła. Natychmiast!

Ale Marion parła w miejsce, w którym Toht upuścił medalion. Kaszłąc, powstrzymując oddech, z oczami łzawiącymi i piekącymi od czarnego dymu, sięgnęła w dół i podniosła medalion przez krawędź szala, który wciąż miała na szyi. A potem rozejrzała się w poszukiwaniu drewnianej szkatułki.

- Nie do wiary! - popiół. Pięć kawałków poszło z dymem.

Indiana Jones złapał ją za rękę i ciągnął przez ogień w kierunku drzwi.

- Chodźmy, chodźmy już - krzyczał.

Wyrwali się w chłodne powietrze nocy w momencie gdy bar zaczął się walić, gdy dym i ogień wypiętrzyły się w ciemnościach ku niebu w dzikim pokazie dzieła zniszczenia. Żarzące się głównie, płonące belki zwałonego dachu wzbijały ku niebu kaskady iskier i popiołu.

Marion i Indy patrzyli na to, stojąc po przeciwnej stronie ulicy.

Zauważyła, że nadal trzyma ją za rękę. To dotknięcie. To było tak dawno temu, minęło tyle czasu. I w momencie, gdy przypomniła sobie ten dotyk, zetknięcie skóry, odrzuciła wspomnienie, uwolniła ramię i powoli odsunęła od niego.

Spojrzała jeszcze raz na pogorzelisko i przez chwilę milczała. Płonące drewno trzaskało jak prosiak na ruszcie.

– Jesteś moim dłużnikiem - powiedziała wreszcie. - Jesteś mi winien niemało.

– Na początek?

– Na początek za to - pokazała mu medalion. - Jestem twoim wspólnikiem. Poza tym, ten drobiazg wciąż jest moją własnością.

– Wspólnicy? - zapytał.

– Dokładnie.

Patrzyli jeszcze chwilę na ogień, nie dostrzegając Arnolda Tohta przemykającego wśród zaułków prowadzących w bok od głównej ulicy - jak szczur w labiryncie.

W samochodzie Marion zapytała:

– Co teraz?

Indy przez chwilę milczał, potem odpowiedział:

– Egipt.

– Egipt? - Marion popatrzyła na niego, gdy samochód poruszał się w ciemności. Zabierasz mnie w bardzo egzotyczne miejsca.

Pojawiły się sylwetki gór: blady księżyc rozjaśnił nocne niebo. Indy patrzył na rozwiewające się chmury. Zastanawiał się, dlaczego czuje nagłą obawę. Uczucie to znikło, gdy usłyszał śmiech Marion.

– Z czego się śmiejesz?

– Z ciebie - odpowiedziała. - Z ciebie i z twojego bicza.

– Nie kpij z niego, dziecinko. Uratował ci życie.

– Nie mogłam uwierzyć, gdy cię zobaczyłam. Zapomniałam o tym. Pamiętam, jak codziennie ćwiczyłeś. Te stare butelki na ścianie i ty z biczem - i znów się zaśmiała.

*Wspomnienie*, pomyślał Indy. Przywołał na myśl dziwną fascynację, którą bicz budził w nim, od kiedy jako siedmiolatek zobaczył go w akcji w wędrownym cyrku. Z szeroko rozwartymi oczami podziwiał mistrzów

bicza, zaprzeczających wszelkiej logice. A potem godziny ćwiczeń, zaangażowanie, którego nikt, nawet on sam, nie umiał wytłumaczyć.

– Czy kiedykolwiek zdarza ci się nie zabrać go ze sobą? - zapytała Marion.

– Nigdy nie biorę go na wykłady - odpowiedział.

– Założę się, że z nim śpisz, co?

– No, to zależy.

Milczała patrząc w mrok himalajskiej nocy. Potem zapytała:

– Zależy od czego?

– Odpowiedz sobie sama - rzekł Jones.

– Chyba wiem, o co chodzi.

Spojrzał na nią przelotnie, po czym skierował wzrok na wyboistą drogę przed nimi.

## Rozdział VI.

### Wykopaliska Tanis, Egipt

Gorące słońce prażyło, rozpalając pustkowie rozciągające się jak okiem sięgnąć. *W takim miejscu*, rozmyślał Belloq, *można wyobrazić sobie cały świat jako nagą równinę, planetę pozbawioną wegetacji, budynków i ludzi.* Planeta bez ludzi. Coś w tej myśli mu się spodobało. Zawsze uważał oszustwo za najpowszechniej stosowaną między ludźmi walutę - on sam konsekwentnie wprowadzał ją w obieg. A jeśli nie oszustwo ludzie rozumieli najlepiej, to alternatywą była przemoc. Osłonił oczy przed blaskiem słońca i ruszył przed siebie, obserwując wykopaliska. Skomplikowane wykopaliska - ale takie właśnie lubili Niemcy. Wyszukane, z masą niepotrzebnych cegieł i zadęciem. Wcisnął ręce w kieszenie, obserwując ciężarówki i buldożery, arabskich robotników i niemieckich nadzorców. I tego głupca Dietricha, któremu się wydaje, że jest bogiem, wywrzaskującego rozkazy i ganiającego po terenie wykopalisk, jakby go ścigało tornado.

Zatrzymał się patrząc, ale przez chwilę nie widząc, z nieobecny wyrazem oczu. Wspominał spotkanie z Fuhrerem, przypominał sobie jak natrętnie przymilny był ten mały wielki człowieczek. *Jest pan najwybitniejszym specjalistą na świecie, zdaję sobie z tego sprawę, a ja chcę najlepszego.* Pochlebca i ignorant. Fałszywe komplementy połączone z jakąś chorą teutońską retoryką, Tysiącletnią Rzeszą, olśniewającą historią, która mogła być jedynie dziełem szaleńca. Belloq po prostu przestał słuchać, wpatrując się w osłupieniu w Fuhrera, zdumiony, że przyszłość kraju mogła spoczywać w tak niewprawnych rękach. *Chcę zdobyć Arkę, to*

*oczywiste. Arka należy do Rzeszy. Coś tak wspaniałego może należeć tylko do Niemiec.*

Belloq zamknął oczy, by ochronić je przed ostrym blaskiem słońca. Odróżniał odgłosy prac wykopaliskowych, okrzyki Niemców, pojedyncze wołania Arabów. Arka, pomyślał. Nie należy do jednego człowieka, nie jest przypisana do określonego miejsca, danego czasu. Ale jej tajemnice, jeśli jakieś ma, są moimi. Ponownie otworzył oczy i obserwował teren wykopalisk, wielkie kratery usypane z piasku. Poczł wewnętrzną wibrację, przyplłw pozytywnej intuicji, że wielkie znalezisko znajduje się gdzieś w pobliżu. Przeczuwał jego obecność, czuł potęgę, słyszał szept, który wkrótce miał przekształcić się w donośny grzmot. Wyjął ręce z kieszeni i patrzył na medalion w zagłębieniu dłoni. Patrząc na niego miał poczucie dziwnej obsesji - i obawy, że podda się jej do końca. Pożądasz czegoś dostatecznie długo, jak on pożądał Arki, i zaczynasz mieć wrażenie, że stoisz na progu szaleństwa, które jest omalże... Jakie?

*Boskie.*

Może to szaleństwo świętych i zelotów.

Poczucie wizji tak porażającej, że wszelka rzeczywistość po prostu blednie w zestawieniu z nią. Świadomość mocy tak niewyobrażalnej, tak kosmicznej, że cienka tkanka tego, co uważało się za świat realny, rozpadła się, uległa dezintegracji, i pozostawiła człowieka z rozumieniem, które - podobnie jak boska świadomość - przewyższa wszystko.

Może. Uśmiechnął się sam do siebie.

Ruszył wzdłuż krawędzi wykopalisk, mijając ciężarówki i koparki. Mocno ścisnął medalion w dłoni. A potem pomyślał o tym, jak zbiry wysłane przez Dietricha do Nepalu, spartaczyły robotę. Poczł obrzydzenie.

Ci głupcy przywieźli coś, co służyło jego celom.



To jęczący Toht pokazał Belloqowi dłoń, domagając się współczucia. Tak przynajmniej podejrzewał Belloq. Nie zdając sobie sprawy, że miał na ciele dokładnie odbity obraz tego, czego nie zdołał zdobyć.

Zabawne było obserwować Tohta siedzącego niespokojnie przez wiele godzin, podczas gdy on, Belloq, drobiazgowo odtwarzał idealną kopię. Pracował starannie, usiłując odtworzyć szczegóły oryginału. Ale nie był to rzeczywisty, historyczny medalion. Wystarczająco wierny, by posłużyć do jego obliczeń potrzebnych do odnalezienia Komnaty Map i Studni Dusz, ale Belloq intensywnie pożądał oryginału.

Belloq schował medalion do kieszeni i przeszedł na miejsce, w którym stał Dietrich. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, zadowolony, że jego obecność wprawia Niemca w zakłopotanie.

Ostatecznie to Dietrich odezwał się pierwszy:

– Sprawy idą dobrze, nie sądzi pan?

Belloq skinął głową, ponownie osłaniając oczy. Myślał w tej chwili o czymś innym, o czymś, co go niepokoiło. Był to strzęp informacji, przywiezionej z Nepalu przez jednego z opryszków Dietricha. *Indiana Jones*.

Oczywiście, powinien był wiedzieć, że Jones prędzej czy później wkroczy na scenę. Jones sprawiał kłopoty, nawet jeśli rywalizacja między nimi zawsze kończyła się jego klęską. Brakowało mu, myślał Belloq, zawziętości. Instynktu zabójcy. Ostatecznego ciosu.

Ale teraz widziano go w Kairze z dziewczyną, która była córką Ravenwooda.

Dietrich odwrócił się do niego i zapytał:

– Czy podjął pan decyzję w tej drugiej sprawie, która omawialiśmy?

– Chyba tak - odpowiedział Belloq.

– Spodziewam się, że to decyzja, której po panu oczekiwałem?

– Oczekiwania bywają aroganckie, przyjacielu.

Dietrich w milczeniu patrzył na swego rozmówcę.

Belloq uśmiechnął się.

– Ale w tym wypadku ma pan chyba rację.

– Chce pan, żebym się tym zajął?

Belloq skinął głową.

– Ufam, że mogę zdać się na pana w kwestii szczegółów.

– Oczywiście - powiedział Dietrich.

## Rozdział VII.

### Kair

Mrok był ciepły i cichy, powietrze nieruchome. Było suche, ciężko się nim oddychało, jakby w ciągu dnia upał wyssał z niego całą wilgoć. Indy siedział z Marion w kawiarni, prawie nie odrywając oczu od drzwi. Przez wiele godzin wędrowali odludnymi uliczkami i zaułkami, trzymając się z daleka od głównych traktów - a mimo to miał wrażenie, że przez cały czas byli obserwowani. Marion wyglądała na wyczerpaną, odwodnioną, a jej długie włosy były mokre od potu. Indy wyraźnie widział, że robi się coraz bardziej niecierpliwa; w tej chwili wpatrywała się w niego oskarżycielsko znad filiżanki z kawą. On patrzył na drzwi, obserwował wchodzących i wychodzących stałych bywalców i od czasu do czasu podnosił twarz, by schwycić słaby podmuch powietrza, dochodzący z trzeszczącego pod sufitem wentylatora.

– Mógłbyś przynajmniej powiedzieć mi, jak długo będziemy się tak kręcić w kółko - powiedziała Marion.

– A robimy to?

– Ślepy by zauważył, że się przed czymś ukrywamy, Jones. A ja zaczynam się zastanawiać, dlaczego wyjechałam z Nepalu. Miałam tam dobrze prosperujący biznes, nie zapominaj o tym. Biznes, który spaliłeś.

Popatrzył na nią z uśmiechem i pomyślał, że w przystępie gniewu tryska energią. Wyciągnął rękę ponad blatem i dotknął grzbietu jej dłoni.

– Chowamy się przez takimi łobuzami, jak ci, z którymi mieliśmy do czynienia w Nepalu.

– W porządku. Rozumiem. Ale jak długo.

– Dopóki nie będę przekonany, że możemy bezpiecznie pójść.

– Bezpiecznie pójść dokąd? Co masz na myśli.

– Nie jestem zupełnie pozbawiony przyjaciół.

Westchnęła i dopiła kawę, potem odchyliła się na krześle i zamknęła oczy.

– Obudź mnie, gdy się zdecydujesz.

Indy wstał i pociągnął ją za rękę.

– Już czas - powiedział. - Możemy iść.

– Akurat teraz, gdy próbowałam się zdrzemnąć.

I wyszli w prawie bezludny zaułek.

Indy przystanął, rozglądając się w obie strony. Potem pociągnął ją za rękę i ruszył przed siebie.

– Czy powiesz mi, dokąd właściwie idziemy?

– Do domu Sallaha.

– Kto to jest Sallah?

– Najlepszy kopacz w Egipcie.

Miał tylko nadzieję, że Sallah mieszka w tym samym miejscu, co kiedyś. A ponad wszystko liczył na to, że Sallah był zatrudniony przy wykopaliskach w Tanis.

Zatrzymał się na rogu, na skrzyżowaniu dwóch wąskich rozchodzących się zaułków.

– Tędy - powiedział, cały czas pociągając Marion za ramię.

Westchnęła, potem ziewnęła i poszła jego śladem.

Coś poruszyło się w cieniu za nimi, mógł to być człowiek. Szedł bezgłośnie, pomykając szybko po twardym podłożu. Jego jedynym celem było śledzenie dwojga ludzi idących przed nim.

Indy został powitany w domu Sallaha, jakby od ostatniego spotkania nie minęło więcej niż kilka tygodni. Mimo że minęły lata, Sallah niewiele się zmienił. Te same inteligentne oczy w smagłej twarzy, ta sama pełna energii

radość życia, ciepła gościnność. Uścisnęli się, gdy żona Sallaha, potężna kobieta imieniem Fayah, popchnęła ich do środka.

Ciepło powitania wzruszyło Indy'ego. Wygoda domu sprawiła, że natychmiast poczuł się swobodnie. Gdy usiedli przy stole w jadalni, zajadając smakołyki przygotowane pośpiesznie przez Fayah w zaciszu kuchni, spojrzął na drugi stół w kącie pokoju, przy którym siedziały dzieci Sallaha.

– Coś cię jednak zmieniło - powiedział. Wsunął mały kawałek jagnięciny do ust i wykonał ruch głową w stronę dzieci.

– Ach - powiedział Sallah.

Jego żona uśmiechnęła się z dumą.

– Ostatnim razem nie było ich tyle.

– Pamiętam tylko troje.

– Teraz jest dziewięcioro - powiedział Sallah.

– Dziewięcioro - Indy pokręcił głową z podziwem.

Marion podniosła się od stołu i przeszła do kąta, w którym siedziały dzieci. Porozmawiała z każdym z nich, po czym wróciła. Indy'emu wydało się, że dostrzegł jakieś spojrzenie, coś nieokreślonego, ale wyraźnie związanego z miłością do dzieci, co przebiegło między Marion i Fayah. On sam w życiu nigdy nie miał czasu na dzieci; stanowiły swego rodzaju niepotrzebny bagaż.

– Postanowiliśmy przerwać prace o dziewiątej - powiedział Sallah.

– To rozsądne - odrzekł Indy.

Sallah sięgnął po daktyla, żuł go przez chwilę w milczeniu, po czym się odezwał:

– Naprawdę dobrze cię znowu zobaczyć, Indiana. Często o tobie myślałem. Miałem nawet zamiar napisać, ale kiepski jestem w pisaniu listów. I wydaje mi się, że ty jesteś jeszcze gorszy.

Dobrze ci się wydaje - Indy także sięgnął po daktyla. Był miękki, pyszny.

Sallah się uśmiechał.

– Nie zapytam cię wprost, ale wyobrażam sobie, że nie odbyłeś tej dalekiej drogi do Kairu tylko po to, by się ze mną spotkać. Nie myłę się?

– Nie mylisz się.

Na twarzy Sallah'a pojawił się nagle wyraz wiedzy zmieszanej z przebiegłością.

– W gruncie rzeczy mógłbym się nawet założyć, że wiem, jaki jest cel twojego przyjazdu.

Indy popatrzył na starego przyjaciela, uśmiechał się i milczał.

– Oczywiście nie jestem hazardzistą - powiedział Sallah.

– Oczywiście - potwierdził Indy.

– Nie rozmawia się o interesach przy stole - wtrąciła się Fayah wyniośle.

– Później - potwierdził Indy. Spojrzał na Marion, która wydawała się na wpół uśpiona.

– Później, gdy będzie już spokojnie - powiedział Sallah.

W pokoju na chwilę zapanowała cisza, a potem nagle miejsce wypełniło się hałasem, jakby coś wybuchło przy stole zajmowanym przez dzieci.

Fayah odwróciła się i usiłowała opanować pandemonium. Ale dzieci jej nie słuchały, bo zajmowało je coś innego. Podniosła się ze słowami:

– Mamy gości. Zapominacie o dobrych manierach.

Ale dzieci nadal jej nie słuchały. Dopiero gdy podeszła do ich stołu, uciszyły się, odsłaniając małą małąkę siedzącą prosto na środku stołu i żującą kawałek chleba.

– Kto przyniósł tu tego zwierzaka? Kto to zrobił? - spytała Fayah.

Dzieci nie odpowiedziały. Były zajęte zabawą, śmiały się z małąki, która podskakiwała z chlebem w łapkach. Wykonała salto, stanęła na rękach, a

potem zeskoczyła ze stołu i popędziła przez podłogę do Marion. Wskoczyła jej na kolana i pocałowała szybko w policzek. Marion się zaśmiała.

– Całusna małpka, co? - odezwała się. - Podobasz mi się.

– Skąd się tu wzięła? - zapytała Fayah.

Przez chwilę żadne z dzieci się nie odzywało. A potem jeden z chłopców, którego Indy rozpoznał jako najstarszego, powiedział:

– Nie wiemy. Po prostu przyszła.

Fayah patrzyła na swoje potomstwo z niedowierzaniem. Marion się wtrąciła:

– Jeśli nie chcesz, żeby się tu kręciła...

Fayah przerwała jej:

– Jeśli ci się podoba, Marion, będzie mile widziana w moim domu. Tak samo jak ty.

Marion przytrzymała małpkę przez chwilę, nim postawiła ją na podłodze. Zwierzę patrzyło na nią z wyrzutem i natychmiast z powrotem wskoczyło jej na kolana.

Musiła cię pokochać - stwierdził Indy. Uważał zwierzęta za tylko trochę bardziej kłopotliwe niż dzieci i na pewno mniej urocze.

Marion wzięła zwierzątko w ramiona i przytuliła je. Obserwując ją Indy, dziwił się, kto w taki sposób przytula małpę? Odwrócił twarz w kierunku Sallaha, który właśnie wstawał od stołu.

– Możemy wyjść na dziedziniec - powiedział Sallah.

Indy przeszedł za nim przez drzwi. Na otoczonym murem dziedzińcu panował upał, od razu poczuł się senny, ale wiedział, że jeszcze na chwilę musi przewyciężyć zmęczenie.

Sallah wskazał na wiklinowy fotel i Indy usiadł.

– Chcesz rozmawiać na temat Tanis - powiedział Sallah.

– Tak.

- Tak przypuszczałem.
- Więc pracujesz na wykopaliskach?
- Sallah był spokojny, patrzył przez chwilę na wieczorne niebo.
- Indy - powiedział - dziś po południu osobiście przebiełem się do Komnaty Map w Tanis.

Ta wiadomość, mimo że w jakimś sensie oczekiwana, wstrząsnęła Indym. Przez chwilę miał pustkę w głowie, jakby wszystkie informacje, wspomnienia uleciały w jakąś ciemną przestrzeń. Komnata Map w Tanis. I po chwili pomyślał o Abnerze Ravenwoodzie, umierającym w obłądnie, opętanym przez Arkę. Potem pomyślał o sobie i osobliwej zazdrości, którą zaczął odczuwać, jakby to on powinien być pierwszy w Komnacie Map, jakby jemu przysługiwało to prawo, spuścizna przekazana w tajemniczy sposób przez Ravenwooda. *To irracjonalne*, powiedział sam do siebie.

Spojrzał na Sallaha i odezwał się:

- Nie tracą czasu.
- Naziści są dobrze zorganizowani, Indy.
- Taak. Przynajmniej w jednym są dobrzy, nawet jeśli to tylko wydawanie rozkazów.
  - Poza tym zatrudnili tego Francuza.
  - Francuza?
  - Belloq.

Indy milczał, siedząc sztywno na krześle. Belloq. Czy jest jakieś miejsce na świecie, w którym ten drań by się nie pojawił? Początkowo poczuł gniew, a potem coś jeszcze: uczucie, które wolno zaczęło mu sprawiać przyjemność, uczucie współzawodnictwa, cichy dreszcz, towarzyszący okazji do rewanżu. Po raz pierwszy się uśmiechnął. *Belloq, dopadnę cię tym razem*, pomyślał. I w tym postanowieniu była twarda determinacja.

Wyciągnął z kieszeni medalion i podał go Sallahowi.



– Mogli odkryć Komnatę Map - powiedział - ale nie posuną się wiele dalej bez tego. Prawda?

– Domyślam się, że to jest głowica berła Ra?

– Właśnie. Nie rozumiem wyrytych na niej znaków. Co możesz o nich powiedzieć?

Sallah potrząsnął głową.

– Osobiście nic. Ale znam kogoś, kto potrafi je odcyfrować. Mogę cię jutro zaprowadzić do niego.

– Byłbym wdzięczny - powiedział Indy. Odebrał medalion od Sallaha i schował do kieszeni. *Jestem bezpieczny, pomyślał. Bez tego Belloq jest praktycznie ślepy. Poczł delikatne poczucie tryumfu. Rene, tym razem jestem górą. Jeśli uda mi się w jakiś sposób przechytrzyć nazistów.*

– Ilu Niemców uczestniczy w wykopaliskach? - zapytał.

– Około stu - odpowiedział Sallah. - Są też bardzo dobrze wyposażeni.

– Tak myślałem - Indy zamknął oczy i odchylił się na krześle. Człł, jak ogarnia go senność. *Muszę o czymś pomyśleć, powiedział do siebie. Wkrótce.*

– To mnie martwi, Indy - rzekł Sallah.

– Co takiego?

– Arka. Jeśli jest tam w Tanis... - Sallah zamilkł z wyrazem stłumionego przerażenia na twarzy. - To nie jest coś, czego spokój można by bezkarnie zakłócać. Zawsze otaczała ją śmierć. Zawsze. Ona nie jest z tego świata, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem - powiedział Indy.

– A ten Francuz jest wyraźnie opętany myślą o Arce. Patrę mu w oczy i widzę coś, czego nie potrafię opisać. Niemcy go nie lubią. On się nie przejmuje. Wygląda, jakby niczego nie dostrzegał. Arka, myśli tylko o niej. A sposób, w jaki patrzy na wszystko. Nic nie ujdzie jego uwadze. Gdy

wszedł do Komnaty Map... Jak opisać jego twarz? Wydawał się przeniesiony w miejsce, w którym ja nie chciałbym się znaleźć.

Jakby znikąd, z głębi gorącego mroku, powiał gwałtowny podmuch wiatru, który miotnął żwirem i piaskiem - i zgasł równie raptownie, jak się pojawił.

– Musisz się teraz przespać - powiedział Sallah. - Oczywiście mój dom jest twoim domem.

– Jestem ci wdzięczny.

Obaj mężczyźni weszli do środka, w domu panowała cisza.

Indy minął pokój, w którym spała Marion. Zatrzymał się przy drzwiach, nasłuchując jej oddechu. Oddech dziecka, pomyślał - i naszło go wspomnienie Marion sprzed lat, gdy trwał ich romans, o ile można tak nazwać to, co ich łączyło. Ale pragnienie, które odczuwał w tej chwili było inne, było to pragnienie kobiety.

Ucieszyło go to uczucie.

Poszedł korytarzem, Sallah szedł w ślad za nim.

*Dziecko zostało pochowane, pomyślał. Teraz żyje kobieta.*

– Opierasz się pokusie, Indy? - zapytał Sallah.

– Nie wiedziałeś o moich purytańskich cechach?

Sallah wzruszył ramionami, uśmiechnął się tajemniczo, gdy Indy zamknął drzwi pokoju gościnnego i poszedł do łóżka. Słyszał, jak Sallah idzie korytarzem, potem w domu zapadła cisza. Zamknął oczy w oczekiwaniu na rychłe nadejście snu. Ale sen nie przychodził. Pozostawiał mglisty cień na krawędzi umysłu.

Wiercił się niespokojnie. Dlaczego nie mógł po prostu zasnąć? *Opierasz się pokusie, Indy?* Przycisnął pięściami powieki, przewrócił się jeszcze kilka razy, ale w głowie widział wciąż obraz Marion śpiącej spokojnie w

swoim pokoju. Wstał z łóżka i otworzył drzwi. *Wracaj do łóżka Indy,* nakazał sobie w duchu. *Sam nie wiesz, co robisz.*

Wyszedł na korytarz i poszedł wolno - *na paluszkach, jak włamywacz,* pomyślał - w kierunku sypialni Marion. Przed drzwiami zatrzymał się. *Odwróć się. Wracaj do swojej bezsenności.* Przekreślił gałkę w drzwiach, wszedł do pokoju i zobaczył ją leżącą na kapach. Światło księżyca wlewało się do pokoju jak srebrny odbłask rzucany przez skrzydła olbrzymiej ćmy. Nie poruszyła się. Leżała z twarzą odwróconą na bok, z ramieniem przerzuconym przez brzuch, światło rysowało delikatne cienie wokół jej ust. *Wracaj,* pomyślał. *Wracaj w tej chwili.*

Piękna. Wyglądała tak pięknie, była taka wrażliwa. Śpiąca kobieta i blask księżyca - oszałamiająca kombinacja. Bezwiednie ruszył w stronę łóżka, potem usiadł na brzegu materaca. Patrzył na jej twarz, podniósł rękę i końcami palców delikatnie dotknął policzka. Prawie natychmiast otworzyła oczy.

Przez chwilę nic nie mówiła. Jej oczy wydawały się czarne. Przyłożył palec do jej warg.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tu siedzę, prawda? - zapytał.

– Pozwól mi zgadnąć - odpowiedziała. - Przyszedłeś, żeby wyjaśnić mi szczegóły Nowego Ładu prezydenta Roosevelta? A może spodziewasz się, że rozplynę się w świetle księżyca?

– Nie spodziewam się niczego.

Roześmiała się.

– Każdy się czegoś spodziewa. To drobna lekcja, której się nauczyłam w życiu.

Uniósł jej dłoń i poczuł, że lekko drży.

Nie powiedziała nic, gdy nachylił twarz i pocałował ją w usta. Pocałunek, który otrzymał w zamian, był szybki, twardy i pozbawiony

emocji. Odsunął twarz i patrzył na nią przez chwilę. Usiadła, owijając się prześcieradłem. Koszula była przezroczysta i widział jej piersi - jędrne piersi kobiety, już nie dziewczyny.

– Chcę, żebyś teraz wyszedł - powiedziała.

– Dlaczego?

– Nie muszę podawać powodu.

Indy westchnął.

– Naprawdę aż tak bardzo mnie nienawidzisz?

Patrzyła w okno.

– Ładny księżyc - powiedziała.

– Zadałem ci pytanie.

– Nie możesz włączyć z butami w moje życie, Indy. Nie możesz tak po prostu kopnąć wszystkich postanowień, jakie podjęłam, i oczekiwać, że posklejam szczątki przeszłości. Nie widzisz tego?

– Taak - powiedział.

– To moja lekcja. A teraz muszę się przespać. Więc idź.

Podniósł się powoli.

Gdy zbliżał się do drzwi, usłyszał jej głos.

– Też cię pragnę, nie myśl, że nie. Dajmy sobie trochę czasu, dobrze? Zobaczmy, co się wydarzy.

– Jasne.

Po czym wyszedł na korytarz niezdolny uciszyć rozczarowania, które pobrzmiwało mu w głowie. Stał w blasku księżycowego światła, wpadającego snopami przez okno w głębi korytarza i zastanawiał się, w miarę opadającego podniecenia, czy zrobił z siebie durnia. *Nie byłby to pierwszy raz, pomyślał.*

Po jego wyjściu nie mogła zasnąć. Siedziała przy oknie i patrzyła na sylwetkę miasta rysującą się na tle nieba, kopuły, minarety, płaskie dachy. Dlaczego musiał spróbować tak szybko? Ten cholerny facet nigdy nie nauczył się cierpliwości. W sprawach sercowych był równie bezceremonialny jak we wszystkich innych. Nie rozumiał, że ludzie potrzebują czasu. Nie jest może wybitnym lekarzem, ale łagodzi ból o wiele lepiej niż jodyna. Nie mogła tak po prostu wyzwolić się z przeszłości, budząc się nagle w teraźniejszości Indiany Jonesa jak jakiś obcy przybysz z odległej galaktyki. To musiało się odbyć łagodniej.

Jeśli w ogóle coś miało się zdarzyć.

Poruszała się szybko po garderobie, w której Indy i Marion pozostawili odzież i bagaże. Poruszała się z niezwykłą zręcznością, otwierając walizki, buszując wśród ubrań, przeglądając skrawki papieru i analizując je skrupulatnie. Nie znalazła tego, do czego poszukiwań ją przygotowywano. Wiedziała, że ma szukać określonego kształtu - czy był to rysunek czy przedmiot, nie miało to znaczenia, o ile tylko kształt był odpowiedni. Gdy nic nie znalazła, zrozumiała, że zleceniodawca będzie niezadowolony. A to oznaczało brak pożywienia. To mogło nawet oznaczać karę. Odtworzyła jeszcze raz w pamięci znajomy kształt, kształt słońca z otaczającymi go małymi znaczkami i otworem w środku. Ponownie podjęła poszukiwania.

I ponownie niczego nie znalazła.

Małpka wyskoczyła lekko na korytarz, schwyciła kilka kąsków ze stołu, na którym bawiła się z miłą panią, potem dała susa przez otwarte okno i zniknęła w mroku.

# Rozdział VIII.

## Kair

Popołudnie było słoneczne, niebo prawie białe. Biel odbijała się od wszystkiego: ścian, ubrań, szkła, jakby światło zmieniło się w pokrywający wszystko szron.

– Czy mała była nam potrzebna? - zapytał Indy.

Szli szybko zatłoczonymi ulicami, mijając bazary i kupców.

Poszła za mną. Nie zabierałam jej ze sobą - odpowiedziała Marion.

– Musi być do ciebie bardzo przywiązana.

– To nie do mnie jest przywiązana, Indy. Myśli, że jesteś jej ojcem, widzisz? Miewa chwilami twoje spojrzenie.

– Moje spojrzenie, twój umysł.

Marion milczała przez chwilę, nim zapytała:

– Dlaczego nie znalazłeś sobie jakieś miłej dziewczyny, żeby z nią zamieszkać i wychowywać dziewięcioro dzieci?

– A kto mówi, że nie znalazłem?

Spojrzała na niego. Odczuł przyjemność, gdy wydało mu się, że dostrzega szybki błysk paniki na jej twarzy, a może to była zazdrość.

– Nie potrafiłbyś przyjąć na siebie odpowiedzialności. Tata poznał się na tobie, Indy. Powiedział, że jesteś nicponiem.

– Był szlachetny.

– Najzdolniejszym nicponiem, jakiego kiedykolwiek uczył, ale nicponiem. Kochał cię, wiedziałeś o tym? Cholernie dużo zrobiłeś, żeby go do siebie zrazić.

– Nie chcę tego odgrzebywać, Marion - westchnął Indy.

– Ja też nie chcę - powiedziała. - Ale czasami chcę ci przypomnieć.

– Wstrząs emocjonalny, o to chodzi?

– Właśnie. Potrzebujesz go, żeby zachować równowagę.

Indy przyspieszył kroku. Czasami, mimo jego własnego mechanizmu obronnego, udawało się jej zaleźć mu za skórę. To było jak niespodziewane pożądanie, które odczuł poprzedniej nocy. *Nie potrzebuję tego*, rozmyślał. *Nie potrzebuję tego w życiu*. Miłość oznacza swego rodzaju porządek, a nie chce się porządku, jeśli przywykło się do bytowania w chaosie.

– Nie powiedziałaś mi, dokąd idziemy - powiedziała Marion.

– Spotkamy się z Sallahem, a potem odwiedzimy jego eksperta, Imama.

– Lubię sposób, w jaki mnie wszędzie ciągniesz - powiedziała Marion. - To mi czasem przypomina ojca. Ciągał mnie za sobą po świecie, jakbym była workiem.

Dotarli do rozwidlenia ulic. Nieoczekiwanie małpka wyrwała się Marion i pobięła przez tłum szybkimi, sprężystymi susami.

– Hej - krzyknęła Marion - wracaj!

– Daj spokój, niech sobie idzie - powiedział Indy z ulgą.

– Zaczęłam się do niej przyzwyczajać.

Indy rzucił jej ponure spojrzenie, chwycił ją za rękę i zmusił, by dotrzymywała mu kroku.

Małpka mknęła chyżo, przeciskając się przez tłum zapełniający ulice. Unikała wyciągniętych rąk ludzi, którzy pragnęli jej dotknąć, potem skręciła za róg ulicy i wbiegła w bramę. Rzuciła się w ramiona człowieka, który ją tresował. I wytresował bardzo dobrze. Przytulii zwierzątko do piersi, wsunął karmelek do ust, a potem wyszedł na zewnątrz. Małpa była lepsza od psa gończego i sto razy sprytniejsza.

Mężczyzna spojrział w głąb wąskiej uliczki, unosząc twarz w kierunku dachu. Pomachał ręką.

Z pobliskiego dachu ktoś odpowiedział podobnym gestem.

Potem poklepał zwierzę. Bardzo dobrze wykonało swoje zadanie, tropiąc przeznaczoną do zabicia dwójkę równie zawzięcie jak drapieżny łowca, ale z nieporównanie większym wdziękiem.

*Dobrze, pomyślał mężczyzna. Bardzo dobrze.*

Indy i Marion skręcili na mały placyk zatłoczony straganami, tłumem sprzedających i kupujących. Indy zatrzymał się nagle. Pradawny instynkt odezwał się w nim, oddziaływał na wszystkie nerwy i wprawiał je w drganie. *Coś się wydarzy, pomyślał.*

Przebijał wzrokiem tłum. Ale co dokładnie?

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytała Marion.

Indy nie odpowiedział.

Tłum. Jak może powiedzieć cokolwiek na podstawie widoku tego skupiska ludzi? Sięgnął za pazuchę i schwycił rękojeść bicia. Ponownie spojrzał na tłum. Była wśród niego grupa, która ruszyła w jego stronę, ruszyła z celem bardziej konkretnym, niż uczyniliby to zwykli ludzie z bazaru.

Kilku Arabów. Paru facetów, którzy wyglądali na Europejczyków.

Byстрым wzrokiem Indy dostrzegł metaliczny błysk i pomyślał: sztylet. Zobaczył go w ręce jednego z Arabów, który zbliżał się do nich szybkim krokiem. Indy wy dobył bicz, strzelił z niego i słuchał, jak tnie powietrze z groźnym dźwiękiem. Owinął się wokół przegubu Araba i bezużyteczny sztylet wyfrunął donikąd. Ale pojawiało się coraz więcej ludzi i musiał myśleć szybko.

– Uciekaj stąd - poleciał Marion i popchnął ją szybko. - Biegnij.

Ale Marion nie pobiegła. Zamiast go posłuchać, wyciągnęła żerdź z pobliskiego straganu i uderzyła nim w gardło innego Araba, który zwałił się



na ziemię.

– Idź - ponaglił ją Indy. - Uciekaj!

– Akurat! - odwrzasnęła.

*Jest ich za dużo*, pomyślał Indy. *Za dużo, by walczyć, nawet z jej pomocą.* Obserwował ostrze siekiery i ponownie świsnął z biczem, tym razem trafiając Araba w kark. Mocno pociągnął i mężczyzna jęknął, nim upadł. I wtedy zaatakował jeden z Europejczyków, próbując wyrwać mu bicz z ręki. Indy wykonał szybki ruch nogą i trafił go stopą w brzuch. Mężczyzna złapał się za bolące miejsce i upadł plecami na stragan, między rozbite i rozgniecione owoce, wyglądające jak szalona martwa natura. Indy dostrzegł bramę w murze, złapał Marion, przepchnął ją przez otwór, a potem zamknął zasuwę, tak że nie mogła się wydostać mimo okrzyków protestu. Rozglądał się po placu, trzaskając biczem i wytrącając żerdzie podpierające stragany. Chaos, nieopisany chaos, który go zachwycał. W jego stronę poleciał sztylet, ale uchylił się na czas słysząc świst stali nad uchem. Potem machnął biczem i owinął jego koniec wokół przegubów Araba, obalając go na stos stłuczonych naczyń i roztrzaskanych dzbanów, nad którymi gniewnie wykrzykiwał kupiec.

Zlustrował pobojuwisko. Zastanawiał się, czy są jeszcze inni napastnicy. Żądza działania, którą odczuwał, wprawiała go w euforię.

Nikt się nie poruszył poza kupcami, którzy patrzyli na stragany rozwalone przez szaleńca z biczem. Zaczął się wycofywać, zmierzając do drzwi w murze i odciągając zasuwę. Usłyszał bębnienie pięści Marion na drewnie. Ale zanim odsunął zasuwę, jakiś typ w burnusie runął na niego z maczetą. Indy podniósł ramię, by sparować cios, schwycił mężczyznę za przegub i zaczął z nim walczyć.

Marion przestała walić pięściami w drzwi i odskoczyła od nich, rozglądając się za innym przejściem na plac. *Cholerny Indy*, pomyślała,

*uzurpuje sobie prawo do chronienia mnie! Cholera z nim i z tą rycerską postawą!* Odwróciła się w kierunku wąskiego zaułka, w którym się znalazła i stanęła twarzą w twarz ze zbliżającym się szybkim krokiem Arabem. Skoczyła w najbliższą przecznicę, słysząc za sobą kroki mężczyzny.

*Ślepy zaułek.*

*Ściana.*

Wspięła się na krawędź muru, nasłuchując sapania nadbiegającego Araba. Dźwignęła się, przeskoczyła na drugą stronę i ukryła we wnęce między budynkami. Arab nieoczekiwanie minął ją i po chwili Marion wychynęła z ukrycia. Wracał, tym razem w towarzystwie jednego z Europejczyków. Cofnęła się w głąb wnęki, ciężko dysząc i jednocześnie starając się uspokoić płuca i uciszyć szaleńcze bicie serca. *Co się robi w takiej sytuacji?*, zapytała sama siebie. *Trzeba się po prostu ukryć.* Cofnęła się jeszcze o krok w poszukiwaniu cienia, ciemnych kątów, gdy natrafiła na wiklinowy kosz. *W porządku, pomyślała, niekoniecznie chcesz brać przykład z czterdziestu rozbójników, ale z drugiej strony w czasie burzy każdy port jest dobry.* Wskoczyła do kosza, naciągnęła pokrywę i przycupnęła bez ruchu. Bądź cicho. Nie ruszaj się. Przez szpary słyszała odgłosy poszukiwań. Mężczyźni rozmawiali ze sobą tak łamaną angielszczyzną, jakby dla obu była bardzo obcym językiem.

– Zajrzyj tam.

– Już tam patrzyłem.

Zachowywała się bardzo cicho.

Czego nie widziała, czego nie mogła widzieć, to małpka siedząca na murze nad wnęką. Nagle usłyszała jej gwałtowne trajkotanie, niezwykle dźwięk i dopiero po chwili zorientowała się, co to za dźwięk. *Małpka, skojarzyła. Szła za mną. Zdrada z miłości. Proszę, małpeczko, odejdz stąd, zostaw mnie.* Ale poczuła, że kosz się unosi. Wyjrzała przez wąską

szczelinę w plecionej ścianie i zobaczyła, że niosą ją Arab z Europejczykiem, że zarzucili sobie na ramiona nosidła kosza. Walczyła. Biła pięściami w pokrywę kosza, która okazała się teraz zamocowana.

Na bazarze Indy odrzucił mężczyznę z maczetą, ale na placu panował teraz tumult. Gniewni Arabowie miotali się wokół, wykonując dzikie gesty w kierunku szaleńca z biczem. Indy oparł się plecami o drzwi i ręką manipulował za plecami przy zasuwie. Nagle zobaczył zbliżające się ostrze maczety. Tym razem wyciągnął nogę i odepchnął nią mężczyznę, który poleciał plecami w tłum. W końcu otworzył drzwi i znalazł się w zaułku, szukając drogi wyjścia oraz śladów obecności Marion. Nic. Tylko dwóch facetów z koszem na końcu ulicy.

*Dokąd on poszła, do diabła?*

A potem nagle, znikąd, dobiegł go jej głos, wołający go po imieniu. Echo zabrzmiało dziwnie głucho.

*Kosz!*

Zobaczył podskakującą pokrywę w momencie, gdy obaj tragarze znikali za zakrętem. Na chwilę dziwne skrzeczenie odciągnęło jego uwagę od kosza. Spojrzał w górę i zobaczył przycupniętą na murze małpę. Wyglądała, jakby się z niego nabijała. Poczuł nieodpartą chęć, by wyjąć pistolet i zamordować ją jednym celnym strzałem. Tymczasem pobiegł szybko za oboma mężczyznami. Skręcił w tę samą ulicę co oni i zobaczył ich biegnących z koszem kołyszącym się na nosidle.

*Jak mogli biec tak szybko, niosąc Marion?, zastanowił się.* Wyprzedzali go zawsze o jeden zakręt, byli zawsze o krok przed nim. Podążał za nimi ruchliwymi ulicami pełnymi sprzedawców i kupujących, między którymi musiał torować sobie drogę. Nie mógł oderwać wzroku od kosza, nie mógł pozwolić im tak po prostu zniknąć. Odpychał i odsuwał ludzi na boki, nie

zważał na ich okrzyki i pomstowania. *Nie zatrzymuj się. Nie strać jej z oczu.*

Nagle zdał sobie sprawę z osobliwego dźwięku, zawodzącego głosu, zawierającego w sobie jakieś ponure tony, nieznaną melancholię. Nie umiał zlokalizować jego źródła, ale zatrzymał się, zdeorientowany. Gdy ponownie ruszył przed siebie, zauważył, że stracił Marion z oczu. Nie widział już kosza.

Zaczął znów biec, przeciskając się przez tłum. A dziwny lament, jeśli to był lament, stał się wyraźniejszy, bardziej przenikliwy.

Na rogu ulicy zatrzymał się.

Przed nim dwóch Arabów niosło wiklinowy kosz.

Natychmiast wyciągnął bicz i powalił jednego z nich, przyciągnął bicz z powrotem i zamachnął się drugi raz. Bicz uderzył drugiego Araba w nogę, owinał się wokół niej jak smukły gad. Kosz upadł i Indy zbliżył się do niego.

Ani śladu Marion.

Zbity z tropu, spojrział na rozsypane przedmioty.

Broń, karabiny, amunicja.

Nie ten kosz!

Przecisnął się przez zaułek i biegł dalej główną ulicą bazaru, a osobliwy jęczący dźwięk stawał się coraz głośniejszy.

Wszedł na rozległy plac i zderzył się z nagłym widokiem wszechobecnej nędzy: zewsząd otaczali go żebracy, kaleki, ślepcy, ludzie wyciągający przed siebie kikuty ramion w bezsensownym geście błagania o pomoc. Czuć było odór potu, uryny i odchodów, a jego intensywność sprawiała, że powietrze wydawało się gęste i namacalne.

Przebiegł plac, unikając żebraków.

I nagle musiał się zatrzymać.

Już wiedział, jaka była natura lamentu.

Po przeciwległej stronie placu przemieszczał się kondukt pogrzebowy. Liczny i długi, najwyraźniej chowano jakiegoś znaczącego obywatela. Konie bez jeźdźców ciągnęły trumnę, kapłani wyśpiewywali wersety *Koranu*, zawodzące kobiety szły przodem otulone w chusty, za nimi zgromadzili się słudzy, a na końcu, niezdarnie i wolno poruszał się ofiarny bawół.

Przez chwilę przyglądał się procesji. Jak do diabła ma się przedrzeć przez ten tłum?

Spojrzał na trumnę, ozdobną, okazałą i trzymaną wysoko w górze. A potem przez niewielki prześwit w tłumie dostrzegł kosz niesiony przez dwóch ludzi w stronę ciężarówki z pokrytą płótnem skrzynią, zaparkowanej w najdalszym kącie placu. Nie mógł być tego pewien, ale wydawało mu się, że poprzez gwar żałobników słyszy krzyki Marion uwięzionej w środku.

Miał zamiar ruszyć i precyzyjnie się przez tłum, gdy się to zdarzyło.

Z ciężarówki otwarto ogień z karabinu maszynowego, omiatając plac, rozpraszając żałobników oraz tłum żebraków. Kapłani nie przerywali modłów dopóty, dopóki strzały nie przeszły samej trumny, która rozpadła się w drzazgi, a zmumifikowane ciało wysunęło z niej na ziemię. Żałobnicy podjęli swe lamentacje z nową energią. Indy biegł zygzakiem w stronę studni po drugiej stronie placu, oddając kilka strzałów w kierunku ciężarówki. Przemknął za studnią akurat na czas, by dostrzec wiklinowy kosz wyrzucany ze skrzyni ciężarówki. W tej samej chwili, prawie poza zasięgiem jego wzroku, prawie niedostrzegalnie, odjechał z placu czarny samochód osobowy. Ciężarówka także ruszyła.

Opuszczała plac.

Zanim znikła mu z oczu, Indy starannie wycelował, dokładniej niż kiedykolwiek, i nacisnął spust. Kierowca ciężarówki upadł na kierownicę.

Cieżarówka przechyliła się, uderzyła w mur i przewróciła.

W momencie, gdy miał się rzucić do przodu, zatrzymał się przerażony.

Zdał sobie sprawę, że już nigdy w życiu nie poczuje tak silnych emocji, takiego bólu, strachu, tak potwornego, obezwładniającego odrętwienia.

Odczuł to wszystko, patrząc na eksplodującą ciężarówkę, buchające z niej płomienie, fragmenty fruwające po placu i pozostałe szczątki. I zrozumiał, że kosz wrzucono na skrzynię ciężarówki wyładowanej amunicją.

Ze Marion nie żyje.

Zabita kulą z jego broni.

Jak to możliwe?

Zamknął oczy nie słysząc w tej chwili nic, świadomy jedynie bladego słońca odbijającego się od jego zaciśniętych powiek.

Wydawało mu się, że idzie przez dłuższy czas, nieświadom niczego, obojętny, powracając myślami do momentu, w którym wydobył broń i zastrzelił kierowcę. Dlaczego? Dlaczego nie wziął pod uwagę możliwości, że ciężarówka mogła wieźć niebezpieczny ładunek?

Zrujnowałeś jej życie, gdy była dziewczyną.

A teraz położyłeś mu kres, gdy stała się kobietą.

Przemierzał wąskie ulice, zaułki wypełnione ludźmi, i bez przerwy robił sobie wyrzuty z powodu śmierci Marion.

Bolało bardziej, niż mógł sobie wyobrazić, bardziej, niż mógł znieść. I nie umiał znaleźć lekarstwa. Znal tylko jeden niezawodny sposób samouleczenia. Skręcił więc do baru, w którym nie tak dawno zorganizował spotkanie z Sallahem. Wydawało się teraz pogrążone w zamierzchłej przeszłości, należące do innego świata, innego życia.

Nawet do innego człowieka.

Dostrzegł ruchliwy bar.

Wszedł do środka; otoczył go gęsty dym tytoniowy i zapach alkoholu. Usiadł na stołku przy kontuarze. Zamówił flaszkę burbona i pił kieliszek za kieliszkiem, zastanawiając się - w miarę rosnącego odurzenia - co powodowało, że niektórzy ludzie są atrakcyjni, a inni pozbawieni życia jak zepsute zegarki; czym był ten mechanizm tak niezbędny do skutecznych relacji międzyludzkich, który jedni posiadali, a inni byli go pozbawieni. Rozważał ten problem w myślach do czasu, aż jego sens rozplynął się w oparach alkoholu jak statek-widmo.

Sięgnął po kolejny kieliszek. Poczł dotknięcie na ramieniu i wolno odwrócił głowę. Na kontuarze zobaczył małpkę. Tego głupiego zwierzaka, którego tak polubiła Marion. Potem przypomniał sobie, że to kretyńskie stworzenie pocałowało ją w policzek. W porządku, Marion cię lubiła, ja cię mogę tolerować.

– Chcesz drinka, małpiszonie?

Małpa przechyliła głowę, obserwując Indy'ego.

Indy zdawał sobie sprawę, że barman go obserwuje jakby był zbiegiem z pobliskiego domu wariatów. A potem dotarło też do niego coś jeszcze: otoczyło go trzech mężczyzn, Europejczyków - Niemców, jak ocenił na podstawie akcentu.

– Ktoś życzy sobie twojego towarzystwa - odezwał się jeden z nich.

– Piję tu z kumplem - odpowiedział Indy.

Małpa poruszyła się lekko.

– To nie jest zaproszenie, panie Jones. To wezwanie.

Poderwano go ze stołka i wepchnięto do pomieszczenia na zapleczu. Trajkocząc, małpa poszła za nimi. W pokoju panował półmrok i oczy zażawily mu od dymu.

Ktoś siedział przy stole w odległym kącie pomieszczenia.

Indy zdał sobie sprawę, że ta konfrontacja była nieunikniona.

Rene Belloq sączył wino z kieliszka i bawił się łańcuszkiem, na którym wisiał zegarek.

– Małpa - powiedział Belloq. - Wciąż masz godny podziwu gust, jeśli chodzi o dobór przyjaciół.

– Jesteś żałosny, Belloq.

Francuz skrzywił się.

– Twój styl riposty mnie rozczarowuje. Tak było nawet w czasach studenckich, Indiana. Brak ci stylu.

– Powinienem cię teraz zabić...

– Ach, rozumiem twoje pragnienie. Ale muszę ci przypomnieć, że to nie ja wciągnąłem pannę Ravenwood w tę nieszczęsną sprawę. A gryzie cię, stary przyjacielu, świadomość, że to ty ponosisz odpowiedzialność. Prawda?

Indy usiadł, opadając na krzesło naprzeciw Belloqa.

Belloq nachylił się w jego stronę.

– Drażni cię też, że potrafię cię przejrzeć, Jones. Ale fakty są takie, że jesteśmy dość podobni.

Przekrwionymi oczami Indy patrzył na Belloqa.

– Nie musisz być przykry.

– Zastanów się - ciągnął Belloq - archeologia zawsze była naszą religią, naszą wiarą. Obaj schodziliśmy trochę z tak zwanej prostej drogi, to prawda. Obaj korzystaliśmy z okazyjnych, wątpliwych transakcji. Nasze metody nie różnią się tak bardzo, jak starasz się udawać. Jestem, jeśli pozwolisz, twoim zwierciadlanym odbiciem. Co byłoby potrzebne, byś stał się taki jak ja, profesorze? Trochę więcej determinacji? Bezwzględności? Zaostrzenie instynktu zabójcy, prawda?



Indy nie odezwał się. Słowa Belloq'a docierały do niego jak stłumione przez mgłę. Gadał bzdury, kompletne bzdury, które brzmiały wspaniale i prawdziwie, bo wypowiadał je z francuskim akcentem, który można było uznać za wytworny i uroczy. Indy słyszał jednak syk ukrytego węża.

– Masz wątpliwości, Jones? Zastanów się. Co cię tu sprowadza? Chęć odnalezienia Arki, mam rację? Starożytne marzenie. Historyczna pamiątka, zdobycz - cóż, to może być jakiś wirus we krwi. Śniesz o rzeczach minionych.

Belloq uśmiechnął się, zakołysał zegarkiem na łańcuszku. Znow się odezwał.

– Spójrz na ten zegarek. Tani. Nic takiego. Wywieź go na pustynię i zakop na tysiąc lat, a stanie się bezcenny. Ludzie będą gotowi dla niego zabijać. Ludzie tacy jak ty i ja, Jones. Arka, to przyznaję, jest czymś innym. Motywy są oczywiście inne niż chęć zysku. Ty i ja rozumiemy to. Ale chciwość nadal czai się w sercu, przyjacielu. Nasz wspólny występ.

Francuz przestał się uśmiechać. Jego spojrzenie stało się szkliste, odległe, pełne pożądania. Wydawało się, że rozmawia sam ze sobą.

– Rozumiesz, czym jest Arka? To jak przekaźnik. Jak radio, za którego pomocą można komunikować się z Bogiem. I jestem bardzo blisko niej. A to, o czym mówię, przekracza korzyści, jest ponad prostą żądzą zdobycia czegoś. Mówię o porozumieniu z tym, co się kryje w Arce.

– Kupujesz to, Belloq? Ten cały mistycyzm? Moc?

Belloq wydawał się zdeglustowany. Oparł się mocniej i złożył razem czubki palców.

– A ty nie?

Indy wzruszył ramionami.

– Ach, nie jesteś pewien, prawda? Nawet ty nie jesteś pewien.

Belloq zniżył głos.

– A ja jestem bardziej niż pewien, Jones. Jestem przekonany. Nie wątpię w to teraz ani przez moment. Moje badania zawsze wiodły mnie w tym kierunku. *Ja wiem.*

– Jesteś stuknięty - powiedział Indy.

– Szkoda, że to się tak kończy - podjął Belloq. - Czasem mnie motywowałeś, dziwna rzecz w świecie tak nudnym jak ten.

– Ta świadomość mnie uszczęśliwia, Belloq.

– Cieszę się. Naprawdę. Ale wszystko ma swój kres.

– Niezbyt ustronne miejsce na morderstwo.

– To praktycznie bez znaczenia. Ci Arabowie nie wtrącają się w sprawy białych ludzi. Nie troszczą się o to, czy się pozabijamy.

Belloq uniósł się z uśmiechem.

Wykonał krótki ruch głową.

Pragnąc zyskać na czasie, Indy odezwał się:

– Mam nadzieję, że nauczysz się czegoś ze swoich pertraktacji z Bogiem.

– Naturalnie.

Indy napiął mięśnie. Nie miał czasu na płynny obrót i użycie pistoletu, a jeszcze mniej czasu na sięgnięcie po bicz. Jego zabójcy siedzieli tuż za nim.

Belloq spojrzał na zegarek.

– Kto wie, Jones? Może będzie jakieś potem, gdzie dusze takie jak twoja i moja znów się spotkają. Bawi mnie myśl o tym, że i tam cię przechytrzę.

Z zewnątrz dobiegi jakiś hałas. Było to nieokreślone, nieuporządkowane trajkotanie podnieconych dzieciaków, radosny dźwięk, który Indy'emu skojarzył się z porankiem Bożego Narodzenia. Nie spodziewał się usłyszeć go w celi śmierci.

Zaskoczony Belloq spojrzał w stronę drzwi. Dzieci Sallaha, cała dziewiątka, wpadła do pokoju, wykrzykując imię Indy'ego. Indy patrzył,

jak go otaczają, młodsze wspinają mu się na kolana, a inne stają dookoła jak krucha żywa tarcza. Niektóre zaczęły wchodzić mu na ramiona. Jednemu z nich udało się owinąć na szyi Indy'ego jak kotu, inne tuliło się do jego kostek.

Belloq zmarszczył brwi.

Myślisz, że uda ci się stąd wydostać, co? Wyobrażasz sobie, że ta niepoważna żywa tarcza cię ochroni?

– Niczego sobie nie wyobrażam - odpowiedział Indy.

– To żałośnie typowe dla ciebie - stwierdził pogardliwie Belloq.

Dzieci ciągnęły go teraz w stronę drzwi, był w równym stopniu popychany i potrącany, co osłaniany. Sallah! To musiał być plan Sallaha: narażenie własnych dzieci i wysłanie ich do tego baru, a potem bezpieczne wyprowadzenie go stąd. Jak Sallah mógł podjąć tak daleko idące ryzyko?

Belloq znowu usiadł z ramionami splecionymi na piersiach. Wyraz jego twarzy przypominał grymas rodzica wbrew woli uczestniczącego w szkolnej potańcówce. Potrząsał głową.

– Uświetnię następne posiedzenie Międzynarodowego Towarzystwa Archeologicznego opowieścią o tym, jak lekceważysz przepisy dotyczące zatrudniania dzieci.

– Nie jesteś nawet członkiem.

Belloq uśmiechnął się przelotnie. Patrzył nadal na dzieci, a potem, jakby podjął decyzję, odwrócił się do swoich współników. Podniósł rękę i gestem nakazał im, by odłożyli broń.

– Mam słabość do dzieci i psów, Jones. Możesz dać wyraz swojej wdzięczności w jakiś prosty, dogodny dla ciebie sposób. Ale gdy spotkamy się następnym razem, dzieci cię nie uratują.

Indy wycofywał się pospiesznie. A potem wyszedł z baru z dziećmi otaczającymi go jak cenną zabawkę. Ciężarówka Sallaha była zaparkowana

na zewnątrz - ten widok nappełnił go zachwytem. Pierwsze zdarzenie tego dnia, które choć trochę poprawiło mu nastrój.

Belloq dopił wino. Usłyszał odjeżdżającą ciężarówkę. Gdy dźwięk zamarł w oddali, zdał sobie sprawę - co wprawiło go w lekkie zaskoczenie - że właściwie nie był gotowy zabić Indy'ego. Ze ten czas jeszcze nie nadszedł. Tu nie chodziło o dzieci - ich obecność praktycznie nie miała znaczenia. Decydował raczej fakt, że w głębi duszy, w miejscu, którego nie umiał dokładnie zlokalizować, chciał oszczędzić Jonesa, pozwolić mu żyć nieco dłużej.

*Są w końcu rzeczy gorsze niż śmierć, pomyślał.*

I ubawiła go wizja cierpienia i bólu, które będą udziałem Jonesa: po pierwsze z powodu dziewczyny, co samo w sobie byłoby dostateczną karą, prawdziwą torturą. Poza tym była też druga rzecz, równie dręcząca, może nawet jeszcze bardziej bolesna: Jones będzie żył, by zobaczyć, jak Arka wymyka mu się z rąk.

Belloq odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się. Jego niemieccy współnicy, których apetyt na zabijanie pozostał niezaspokojony, spojrzeli na niego ze zdumieniem.

W ciężarówce Indy odezwał się do Sallaha:

– Twoje dzieci mają wyczucie czasu lepsze niż amerykańska piechota morska.

– Rozumiem sytuację. Musiałem działać szybko - odpowiedział Sallah.

Indy patrzył na drogę przed sobą: ciemność, słabe światła, ludzie ustępujący przed ciężarówką. Dzieci siedziały z tyłu, śmiały się i śpiewały. *Niewinne głosy* pomyślał Indy, przypominając sobie to, o czym chciał zapomnieć.

– Marion...

– Wiem - powiedział Sallah. - Wiadomość dotarła do mnie wcześniej. Zasmuca mnie to. Bardziej niż zasmuca. Co mam powiedzieć, by cię pocieszyć? Jak mogę złagodzić twój ból?

– Nic nie złagodzi tego bólu, Sallah.

Sallah skinął głową.

– Oczywiście, rozumiem.

– Ale możesz mi pomóc inaczej. Możesz pomóc mi pokonać tych drani.

– Masz moją pomoc, Indiana - powiedział Sallah. - W każdej chwili.

Sallah milczał kiedy pokonywali ostatni odcinek drogi do domu.

– Mam dla ciebie więcej nowin - odezwał się po chwili. - Nie wszystkie są dobre. Ale dotyczą Arki.

– Wal - powiedział Indy.

– Niedługo. Gdy dojedziemy do domu. A potem, jeśli zechcesz, odwiedzimy imama, który objaśni ci znaczenie znaków.

Indy milczał znużony. Zaczynał już odczuwać kaca, gwałtowne pulsowanie w środku czaszki. Gdyby miał bardziej wyostrzone zmysły, intuicję mniej zamgloną alkoholem, mógłby zauważyć motocykl jadący za ciężarówką od samego baru. Ale nawet gdyby tak było, nie rozpoznałby kierowcy, człowieka, który trudnił się tresurą małp.

Po odesłaniu dzieci do domu Indy i Sallah wyszli na wewnętrzne podwórze. Sallah spacerował przez chwilę, zatrzymał się przy ścianie i w końcu powiedział:

– Belloq ma medalion.

– Co takiego? - Indy automatycznie sięgnął do kieszeni i namacał palcami ukryty tam przedmiot. - Mylisz się.

– Ma kopię, taką samą głowicę, jak twoja, z kryształem w środku. I są na niej takie same znaki.

– Nie rozumiem - powiedział wstrząśnięty Indy. - Zawsze sądziłem, że nigdzie nie ma żadnych ilustracji. Żadnych duplikatów. Nie pojmuję.

– Jest coś jeszcze, Indiana - ciągnął Sallah.

– Słucham.

– Dziś rano Belloq i ja weszliśmy do Komnaty Map. Po wyjściu dał nam wskazówki, gdzie mamy kopać. Nowe miejsce, poza obszarem wykopalisk.

– Studnia Dusz - powiedział Indy z rezygnacją.

– Tak sądzę, jeśli dokonał obliczeń w Komnacie Map.

Indy zaczął stukać czubkami palców obu dłoni. Odwrócił się ponownie do Sallaha i wydobył medalion z kieszeni.

– Jesteś pewien, że tak wyglądał?

– Widziałem go.

– Popatrz jeszcze raz, Sallah.

Egipcjanin wzruszył ramionami, wziął głowicę do ręki i patrzył na nią przez chwilę, obracając w dłoni.

– Może być jedna różnica - powiedział.

– Mów.

– Myślę, że medalion Belloqa ma znaki tylko po jednej stronie.

– Jesteś pewien?

– Jestem przekonany.

– Teraz - powiedział Indy - muszę się tylko dowiedzieć, co mówią te znaki.

– Więc powinniśmy pójść do imama. Chodźmy teraz.

Indy się nie odezwał. Wyszli obaj na ulicę. Indy odczuwał intensywną potrzebę działania. Arka, owszem, ale teraz chodziło o coś więcej niż tylko

Arka. Robił to dla Marion. Jeśli jej śmierć miała mieć jakiś sens, musiał dotrzeć do Studni Dusz przed Belloqiem.

*O ile śmierć kiedykolwiek ma sens, pomyślał.*

Gdy wsiedli do ciężarówki Sallaha, Indy dostrzegł za sobą małpę. Wpatrywał się w nią. Czy nigdy nie pozbędzie się tego zwierzaka? Niedługo nauczy się gadać i zacznie go nazywać tatą. Wspomnienie żarciku Marion o podobieństwie zwierzęcia do niego wzbudziło w nim ból.

Małpka zatrajkotała i zatarła łapki.

Gdy samochód ruszył, z ciemności wyłonił się motocykl i pojechał w ślad za nim.

Dom imama znajdował się na przedmieściach Kairu, na lekkim wzniesieniu. Była to niezwykła konstrukcja, przypominająca nieco obserwatorium. Istotnie, gdy wraz z Sallahem i podążającą za nimi w ślad małpą podeszli do wejścia, zauważył otwór w dachu domu, z którego wystawał wielki teleskop.

– Imam ma rozległe zainteresowania, Indiana - powiedział Sallah. - Jest kapłanem. Uczonym. Astronomem. Jeśli ktokolwiek zdoła objaśnić te znaki, to właśnie on.

Drzwi otworzyły się przed nimi. Stał tam młodzieniec, który skinął głową na powitanie, gdy weszli.

– Dzień dobry, Abu - powiedział Sallah. - To jest Indiana Jones.

Potem krótko, uprzejmie:

– Indiana, to jest Abu, uczeń imama.

Indy skinął głową, uśmiechnął się niecierpliwie oczekując spotkania z uczniem - który pojawił się w tym momencie w końcu korytarza. Stary człowiek w znoszonym stroju, z rękami powykrecanymi i pokrytymi starczymi plamami miał jednak żywe, płonące ciekawością oczy. Skłonił

głowę w milczącym powitaniu. Poszli za nim do pracowni, obszernego pokoju zarzuconego rękopisami, poduszkami, mapami, starożytnymi dokumentami. *To się czuje*, pomyślał Indy, *lata poświęcone poszukiwaniu wiedzy*. Każda chwila każdego dnia była doświadczeniem. Żadnej nie zmarnowano. Indy podał imamowi medalion, a mędrzec ujął go w milczeniu i zaniósł do stołu w głębi pokoju, na którym płonęła mała lampka.

Usiadł przesuwając przedmiot między palcami i pocierając go. Indy i Sallah usiedli na poduszkach, małpka między nimi. Sallah pogładził ją po grzbiecie.

Cisza.

Stary człowiek pociągnął łyk wina, potem zanotował coś szybko na skrawku papieru. Indy wiercił się i rozglądał niecierpliwie. Wydawało się, jakby imam badał głowicę, a czas nie miał dla niego żadnego znaczenia.

– Cierpliwości - powiedział Sallah.

Pośpiesz się, pomyślał Indy.

Mężczyzna zaparkował motocykl w pewnym oddaleniu od domu. Prześliznął się wzdłuż ścian na tył domu i zaglądał w okna, szukając kuchni. Przycisnął ciało do ściany, patrząc, jak Abu płucze daktylę i osącza je na sicie. Czekał. Abu przełożył daktylę do miski, potem ustawił miskę na stole. Mężczyzna wciąż się nie ruszał, wydawał się teraz bardziej cieniem niż człowiekiem. Chłopiec wziął karafkę z winem, kilka kieliszków i umieścił je na tacy, po czym wyszedł z kuchni. Dopiero wówczas mężczyzna wychynął z cienia. Wydobył z kieszeni butelkę, otworzył ją i, rozejrzawszy się po kuchni, ukradkiem wylał zawartość do miski z daktylami. Zatrzymał się na moment. Usłyszał kroki wracającego chłopca i równie szybko i cicho jak wszedł, wymknął się z domu.



Imam wciąż jeszcze milczał. Indy od czasu do czasu spoglądał na Sallaha, którego twarz miała wyraz kogoś przyzwyczajonego do okresów niezmiernej cierpliwości, długiego oczekiwania. Drzwi się otworzyły. Abu wszedł z karafką wina i kieliszkami i ustawił tacę na stole. Wino było kuszące, ale Indy nie sięgnął po nie. Panowała absolutna cisza. Chłopiec wyszedł ponownie i gdy wrócił, niósł na tacy poczęstunek: sery, owoce, miskę daktyli. Sallah mechanicznie sięgnął po kawałek sera i żuł go starannie. Daktyle wyglądały smakowicie, ale Indy nie czuł się głodny. Małpka poruszyła się i usiadła pod stołem. Ciągłe cisza. Indy nachylił się i sięgnął po daktyla. Odchylił głowę do tyłu, wyrzucił owoc w powietrze i próbował złapać go w usta - ale ten odbił się od podbródka i potoczył po podłodze. Abu rzucił mu zdumione spojrzenie - jakby zachodnie obyczaje były zbyt dziwaczne, aby je pojąć - po czym podniósł daktyl i wrzucił go do popielniczki.

Do licha, pomyślał Indy. Niedobrze z moją koordynacją.

– Spójrzcie. Podejdźcie tutaj i spójrzcie - odezwał się nagle imam.

Jego dziwny, chrypliwy głos przerwał ciszę z uroczystą siłą modlitwy. Był to ten rodzaj głosu, na który reaguje się bez namysłu.

Ponad ramieniem imama Indy i Sallah patrzyli na jego palce pokazujące poszczególne znaki.

– To jest ostrzeżenie. Nie burz spokoju Arki Przymierza.

– Akurat tego mi trzeba - mruknął Indy.

Pochylił się i prawie dotykał kruchego ramienia imama.

– Pozostałe znaki dotyczą długości berła Ra, do którego należy umocować głowicę. W przeciwnym wypadku będzie bezużyteczna.

Indy zauważył, że usta starca są lekko zbielełe i że od czasu do czasu zwilża je językiem.

– Zatem Belloq obliczył długość berła na podstawie znaków z kopii medalionu - odezwał się Indy.

Sallah skinął głową.

– Co mówią te znaki? - zapytał Indy.

– To stary zapis. Znaczą - wysokość sześć kaddamów.

– Około metra osiemdziesiąt - stwierdził Sallah.

Indy usłyszał, jak mała buszuje dookoła stołu z jedzeniem skubiąc wybrane kąski. Podszedł i wziął daktyla zanim zwierzę zdążyło po niego sięgnąć.

– Nie skończyłem jeszcze - powiedział imam. - Po drugiej stronie są dalsze znaki. Przeczytam je wam „I odejmij jeden kaddam na chwałę Boga Hebrajczyków, do którego należy ta Arka”.

Indy zatrzymał w pół gestu rękę niosącą daktyla do ust.

– Jesteś pewien, że medalion Belloqa ma znaki tylko po jednej stronie? - zapytał Sallaha.

– Absolutnie.

Indy roześmiał się.

– Zatem berło Belloqa jest o trzydzieści centymetrów za długie! Kopia nie tam, gdzie należy!

Sallah także się zaśmiał. Mężczyźni objęli się, a imam obserwował ich bez uśmiechu.

Po chwili starzec przemówił.

– Nie rozumiem, kim jest Belloq. Mogę was tylko zapewnić, że ostrzeżenie dotyczące Arki jest poważne. Mogę wam też powiedzieć, że zostało zapisane, iż ten, kto otworzy Arkę i uwolni zamknięte w niej moce zginie, jeśli na nie spojrzy. Jeśli stanie z nimi twarzą w twarz. Wziąłbym sobie te ostrzeżenia do serca, przyjaciele.

Powinien to być uroczysty moment, ale Indy poczuł zbyt wielką ulgę dowiadując się o błędzie Francuza, by dogłębnie zrozumieć słowa starca. *Hurra*, pomyślał. *Cudownie*. Marzył, by zobaczyć wyraz twarzy Belloq'a, gdy on, Indiana Jones, odnajdzie Studnię Dusz. Podrzucił daktyl i otworzył usta.

*Tym razem się uda*, pomyślał.

Ale ręka Sallaha schwyciła owoc, nim wpadł do otwartych ust Indy'ego.

– Co jest!

Sallah wskazał ręką na podłogę pod stołem.

Małpa leżała tam w otoczeniu pestek daktyli. Jedna łapka lekko opadła, zadrżała, a potem zwierzę wolno zamknęło oczy i już się nie poruszyło.

Indy odwrócił twarz w stronę przyjaciela.

Egipcjanin wzruszył ramionami i powiedział:

– Bardzo niedobre daktyle.

## Rozdział IX.

### Wykopaliska Tanis, Egipt

Poranek na pustyni był upalny, pasma piasku lśniły w słońcu. Krajobraz, myślał Indy, w którym człowiek ma prawo sądzić, że jest świadkiem cudów. Patrzył w niebo, a ciężarówka tłukła się po wyboistej drodze. Było mu niewygodnie w burnusie pożyczonym od Sallaha i nie był do końca przekonany, czy zdoła udawać Araba - ale warto było spróbować. Od czasu do czasu się odwracał, by spojrzeć na jadącą z tyłu drugą ciężarówkę. Prowadził ją przyjaciel Sallaha, Omar. Na pace siedziało sześciu arabskich kopaczy. Trzech innych jechało w ciężarówce Sallaha. *Miejmy nadzieję, myślał, że są tak godni zaufania, jak twierdził Sallah.*

– Denerwuję się - powiedział Sallah. - Nie ukrywam tego.

– Nie martw się za bardzo.

– Podejmujesz ogromne ryzyko - rzekł Sallah.

– Na tym polega ta zabawa - zauważył Indy. Ponownie spojrzął na niebo.

Poranne słońce uderzało piaski z siłą potężnego młota.

Sallah westchnął.

– Mam nadzieję, że przycięliśmy berło do właściwych rozmiarów.

Odmierzyliśmy je bardzo starannie - powiedział Indy.

Rozmyślał o ponad półtorametrowym kiju, który leżał z tyłu w skrzyni ciężarówki. Poprzedniej nocy przez kilka godzin przycinali berło, dopasowując górny koniec w taki sposób, by dało się osadzić głowicę. Indy rozpamiętywał dziwne uczucie, towarzyszące osadzaniu medalionu. Czuł głęboką więź z przeszłością, wyobrażając sobie inne ręce, nakładające przed wiekami ten sam medalion w dokładnie taki sam sposób.

Obie ciężarówki zatrzymały się. Indy wysiadł i podszedł do ciężarówki kierowanej przez Omara. Arab wysiadł i podniósł rękę na powitanie. A potem pokazał w oddali miejsce, w którym grunt był mniej płaski, piętrzyły się piaszczyste wydmy.

– Poczekamy tam - powiedział Omar.

Indy potarł wyschnięte wargi grzbietem dłoni.

– I powodzenia - dodał Arab.

Omar wskoczył z powrotem do samochodu i odjechał wzbijając za ciężarówką kłęby kurzu i piasku. Indy spoglądał w ślad za nim. Wrócił na miejsce, w którym zaparkował Sallah, wspiął się do kabiny i samochód ruszył wolno. Po przejechaniu nieco ponad kilometra zatrzymał się znowu. Sallah i Indy wysiedli, przeszli przez łąkę piasku, położyli się i obserwowali teren ponad ciągnącym się u ich stóp obniżeniem.

Wykopaliska Tanis.

Były rozległe, skomplikowane. Z ilości sprzętu i liczby robotników wyraźnie można było wywnioskować, że Fuhrerowi bardzo zależy na Arce. Były tam ciężarówki, koparki, namioty. Pracowały setki kopaczy i chyba tyle samo niemieckich nadzorców, poruszających się niezdarnie w swoich mundurach, jakby z premedytacją szukali niewygód na pustyni. A poza zasięgiem głównych wykopalisk znajdowało się coś, co stanowiło prymitywne lądowisko.

– Nigdy nie widziałem tak dużego obszaru wykopalisk - powiedział Indy.

Sallah wskazał na środek terenu, gdzie piętrzyła się pryzma piasku z otworem w środku. Zwisała w nim lina zahaczona na dwóch palikach.

– Komnata Map - wyjaśnił.

– O której godzinie dociera tam słońce?

– Tuż po ósmej.

– Nie mamy zbyt wiele czasu.

Indy spojrział na zegarek, który pożyczył od Sallaha.

– W którym miejscu Niemcy szukają Studni Dusz?

Sallah ponownie podniósł rękę. Nieco poza terenem głównych wykopalisk, wśród wydm stało kilka ciężarówek i koparek. Indy obserwował miejsce, po chwili wstał.

– Masz linę?

– Oczywiście.

– No to chodźmy.

Jeden z Arabów wsiadł za kierownicę i wolno poprowadził ciężarówkę przez teren wykopalisk. Pomiędzy namiotami Indy i Sallah wysiedli. Posuwali się ukradkiem w stronę Komnaty Map. Indy niósł długi kij i zastanawiał się, jak długo uda mu się nie budzić podejrzeń swoim wyglądem i niesionym kijem. Minęli kilku Niemców w mundurach, którzy ledwie zwrócili na nich uwagę. Stali w grupce, paląc i gawędząc w porannym słońcu. Gdy odeszli nieco dalej, Sallah dał gestem znak, że powinni się zatrzymać. Doszli do Komnaty Map. Indy rozejrzał się szybko i poszedł, tak swobodnie, jak tylko potrafił, w kierunku krawędzi otworu - sklepienia starożytnej Komnaty Map. Zajrzał do środka, wstrzymał oddech i spojrział na Sallaha, który wydobył zwój liny z fałd szaty i przywiązał jeden koniec do stojącej w pobliżu beczki z paliwem. Indy wrzucił do otworu kij, uśmiechnął się do Sallaha i schwycił koniec liny. Sallah patrzył ponuro, na twarzy pojawiły mu się kropelki potu. Indy zaczął opuszczać się do Komnaty Map.

*Komnata Map w Tanis, rozmyślał. W innych okolicznościach rozkoszowałby się myślą, że się tu znajduje, w innym czasie może zatrzymałby się na chwilę, by się rozejrzeć, mógłby chcieć zmitrężyć trochę*

czasu - *ale nie teraz*. Opadł na podłogę i pociągnął za linę, która została natychmiast wciągnięta na powierzchnię. *Cholernie trudno nie podniecać się otoczeniem*, pomyślał - komnata była ozdobiona wyszukаныmi freskami i oświetlona blaskiem słońca wpadającym z góry. Przeszedł do miejsca, w którym znajdowała się miniaturowa makieta miasta Tanis, zdumiewający plan wykuty w kamieniu, bezbłędny w szczegółach, tak doskonale wykonany, że można było sobie wręcz wyobrazić miniaturki ludzi żyjących w tych budowlach lub spacerujących ulicami. Zdumiewała go zręczność autorów mapy, jej artystyczna doskonałość, cierpliwość niezbędna do wykonania makiety.

Obok planu widniała linia wykonana z kamieni mozaiki. Wzdłuż niej w równych odstępach wykonano zagłębienia, z których każde było opatrzone symbolem pory roku. Zagłębienia służyły do umieszczenia w nich końca berła. Wydobył z zakamarków szaty głowicę, sięgnął po kij i patrzył na promień słoneczny, który zaczął już wolno przemierzać makietę miasta u jego stóp.

Była za dziesięć ósma. Nie miał zbyt wiele czasu.

Sallah zwinął linę, zebrał buchtę i zaczął wycofywać się w kierunku beczki z paliwem. Prawie nie usłyszał przejeżdżającego dżipa i donośny głos Niemca zaskoczył go.

– Hej, ty!

Sallah spróbował się głupio uśmiechnąć.

Niemiec powtórzył:

– Tak, ty. Co tam robisz?

– Nic, nic - pochylił głowę w niewinnym geście.

– Przynieś tu tę linę - polecił Niemiec. - Ten cholerny dżip utknął w piasku.

Sallah zawahał się, po czym odwiązał linę i poniósł ją w stronę dżipa. Pojawił się też drugi pojazd, ciężarówka zatrzymała się kilka metrów przed dżipem.

– Przywiąż ją do ciężarówki - nakazał Niemiec.

Sallah wykonał polecenie, pocąc się obficie. *Lina*, myślał. *Drogocenna lina znika ze swego miejsca*. Słuchał pracy silników obu pojazdów, obserwował buksujące w piasku koła. Sznur naprężył się. Czy będzie musiał wyciągać Indy'ego z Komnaty Map bez użycia liny?

Poszedł kawałek za dżipem przez piaszczystą wydmnę, nie zauważając, że znalazł się obok kociołka z zupą gotującą się nad otwartym paleniskiem. Kilku żołnierzy niemieckich siedziało dookoła stołu i jeden z nich zawołał na niego, by przyniósł jedzenie.

Bezradnie spojrzał na Niemca.

– Głuchy jesteś?

Schylił się usłużnie i podniósł ciężki kociołek, by zanieść go do stołu. Myślał tylko o Indym uwięzionym w Komnacie Map, zastanawiał się, jak bez liny zdoła go wydostać z pułapki.

Zaczął nalewać zupę, starając się ignorować wyzwiska żołnierzy. Spieszył się. Zupa się rozlała i za swoje wysiłki został nagrodzony ciosem w głowę.

– Niezdaro! Patrz na moją koszulę! Zobacz, co zrobiłeś!

Sallah schylił głowę w udawanym zawstydzeniu.

– Przynieś wodę. Pospiesz się!

Ruszył żwawo w poszukiwaniu wody.

Indy ujął głowicę i osadził ją starannie na końcu kija. Drugi koniec berła wetknął w jedno z zagłębień w mozaice i słuchał dźwięku, który wydało drewno, wpasowujące się w starożytne kafelki. Blask słońca padł na górną



część głowicy, promień przesuwiał się w wąziutkim prześwicie we wprawionym w nią kryształ. Indy czekał. Ponad głową słyszał okrzyki. 'Wyłączył się. Później, jeśli będzie musiał, zacznie się martwić Niemcami. Ale nie teraz.

Słońce prześwietliło kryształ rzucając wąski snop światła na miniaturowe miasto. Kryształowy pryzmat odchylił i załamał linię światła, które padło na konkretny punkt na planie miasta. Czerwone światło rozgorzało na małym budynku, który w wyniku mistrzowskiego planu dawnych budowniczych, zaczął lśnić. Indy obserwował to zjawisko ze zdumieniem, zauważając teraz kilka znaków wykonanych czerwoną farbą na innych budynkach. Wydawały się zupełnie świeże. Obliczenia Belloqa.

Albo jego błędy. Budowla oświetlona przez głowicę znajdowała się o pół metra bliżej niż ostatni czerwony znak wykonany przez Francuza.

Wspaniale. Doskonale. Nie mógł sobie wymarzyć niczego lepszego. Indy opadł na kolana pomiędzy miniaturami makiety i wydobył z kieszeni taśmę mierniczą. Rozciągnął ją między ostatnim znakiem Belloqa i lśniącym w słońcu budynkiem. Szybko wykonywał obliczenia, gryzmołąc coś w małym notesie. Krople potu paliły go w twarz, skapywały na grzbiety dłoni.

Sallah nie poszedł po wodę. Śmigał między namiotami z nadzieją, że żaden z Niemców go nie zatrzyma. W panice zaczął się rozglądać za liną. Nie mógł znaleźć. W zasięgu wzroku nie było ani kawałka sznurka. Rozejrzał się, potykając się i ślizgając w piasku, modląc się, by nikt nie zauważył jego osobliwego zachowania ani nie wezwał go do wykonania jakiegoś głupiego polecenia. Musiał szybko coś zrobić, by wydostać Indy'ego. Ale co?

Zatrzymał się. Między namiotami leżało kilka koszy z podniesionymi pokrywami.

*Nie ma liny, pomyślał, więc musisz improwizować.*

Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, ruszył w kierunku koszy.

Indy złamał kij i ukrył ponownie głowicę w fałdach szaty. Kawałki drewna ukrył w odległym kącie komnaty, potem stanął bezpośrednio pod otworem w sklepieniu i spojrzał w górę na bezchmurne niebo. Rozpalony błękit oślepił go.

– Sallah - zawołał głosem, który brzmiał jak połączenie szeptu z krzykiem.

Nic.

– Sallah!

Znowu nic.

Rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu innej drogi wyjścia, ale niczego nie dostrzegł. Gdzie się podział Sallah?

– Sallah!

Cisza.

Obserwował otwór, mrugając w ostrym świetle, i czekał.

Nagle na górze dał się zauważyć jakiś ruch. Potem zaczęło coś opadać z otworu i przez sekundę myślał, że to lina. Ale nie: zamiast niej zobaczył kłęb powiązanych ubrań niezgrabnie połączonych w namiastkę liny. Były tam koszule, tuniki, kalesony, dżelabije i - dla ukoronowania całości - flaga ze swastyką.

Uchwycił koniec zaimprowizowanej liny, pociągnął i zaczął się wspinać. Wydostał się na powierzchnię, upadając płasko na brzuch, a Sallah zaczął szybko wyciągać linę. Indy uśmiechnął się, a Egipcjanin wcisnął kłęb

ciuchów do beczki. Wtedy Indy podniósł się i poszedł szybko za Sallahem między namioty.

Nie zauważyli Niemca, który spacerował tam i powrotem z wyrazem wściekłego zniecierpliwienia na twarzy.

– Hej, ty, czekam na wodę!

Sallah rozłożył ręce w przeproszającym geście.

Niemiec zwrócił się do Indy'ego.

– Ty leniwy draniu, dlaczego nie kopiesz?

Sallah ruszył w kierunku Niemca, podczas gdy Indy skłonił się z pokorą i pospieszył w przeciwnym kierunku.

Poruszał się teraz szybko, poły szaty powiewały, gdy prześlizgiwał się między namiotami. Za plecami, jakby wskutek' nagle powziętego podejrzenia, rozległo się wołanie Niemca.

– Czekaj. Wracaj tu!

Indy zastanowił się. *Ostatnia rzecz, którą mam zamiar zrobić, to wracać, głupku!* Pospieszył wzdłuż linii namiotów, rozdarty między koniecznością uniknięcia podejrzeń a pragnieniem natychmiastowego rozpoczęcia poszukiwań Studni Dusz. Nagle przed nim wyrosło dwóch niemieckich oficerów. *Cholera*, pomyślał, zatrzymując się i obserwując, jak oni także stają, zapalają papierosy i rozmawiają. *Ta droga została odcięta.*

Przemykał obok namiotów, szukając cienia, a potem wśliznął się przez otwór do środka jednego z nich. Mógł tu poczekać przynajmniej przez kilka minut, aż droga będzie ponownie wolna. Te dwa kapuściane łby nie będą tam przecież stać i gadać przez cały dzień.

Otarł wierzchem dłoni pot z czoła, osuszył wilgotne dłonie o szatę. Pierwszy raz od kiedy tu wszedł, wrócił myślami do Komnaty Map, zastanawiał się nad tym osobliwym poczuciem beczasowości, którego doznał, wrażeniem zawieszenia, zanurzenia - jakby stał się przedmiotem w

dzbanie historii, zakonserwowanym, doskonałym, nienaruszonym. Komnata Map w Tanis. W jakimś sensie było to odkrycie, że bajka ma oparcie w rzeczywistości, że u źródeł legendy tkwi prawda. Ta myśl uderzyła go w sposób, który uznał za nieco poniżający: żyjesz w 1936 roku, z samolotami, radiem i wielką machiną wojenną, aż tu potykasz się o coś w tak prosty sposób skomplikowanego, tak prymitywnie wyszukanego, jak miniaturowa makieta miasta z jednym modelem budynku, który rozjarza się, gdy w określony sposób padnie na niego snop słonecznego światła. Można to nazwać alchemią, maestrią czy nawet magią - niezależnie od określenia upływ wieków niczego tu nie udoskonalił. Przemijanie czasu zaledwie musnęło podstawy jakiegoś głębokiego kosmicznego sensu, czegoś magicznego.

A teraz znalazł się blisko Studni Dusz.

Arka Przymierza.

Ponownie otarł czoło skrajem szaty. Wyjrzał przez szparę w ścianie namiotu. Ciągle tam stali, paląc i rozmawiając. Kiedy do diabła wreszcie się ruszą?

Zastanawiał się nad drogą wyjścia, starając się znaleźć sposób opuszczenia terenu, gdy z odległego kąta namiotu dobiegł go niezwykle dziwny dźwięk. Osobliwy jęk, stłumiony hałas. Odwrócił się i spojrzał w głąb namiotu, który wydawał się pusty.

Przez moment, moment niedowierzania, dzikiego zdumienia, serce zamarło mu w piersi.

Siedziała na krześle, przywiązana do niego skrzyżowanymi linami, z chustką ciasno owiązaną wokół ust. Siedziała tam, bombardując go spojrzeniami, wysyłając mu nieme sygnały, i próbowała się do niego odezwać przez knebel zaciskający jej usta. Szybko przemierzył wnętrze namiotu i rozwiązał knebel, który opadł z jej twarzy. Pocałował ją, a

pocałunek był pełen niepokoju, długi, głęboki. Gdy oderwał usta od jej ust, położył dłoń na jej policzku.

Kiedy się odezwała, jej głos się załamał.

– Mieli dwa kosze... Żeby cię wprowadzić w błąd. Gdy sądziłeś, że jestem w ciężarówce, byłam w samochodzie...

– Myślałem, że nie żyjesz - powiedział. Co czuł w tym momencie? Nieopisaną ulgę? Wyzwolenie się z poczucia winy? A może tylko czystą radość, wdzięczność za to, że ona wciąż żyje?

– Jeszcze brykam - uśmiechnęła się.

– Nic ci nie zrobili?

Wydawało się, że zмага się z jakimś wewnętrznym niepokojem.

– Nie, nic mi nie zrobili. Tylko wypytywali o ciebie. Chcieli dowiedzieć się, co wiesz.

Indy potarł szczękę i zastanawiał się, dlaczego wyczuwa w Marion to dziwne wahanie. Ale był wciąż zbyt podniecony, by się teraz nad tym zastanawiać.

– Indy, proszę, zabierz mnie stąd. On jest zły...

– Kto?

– Francuz.

Miał właśnie rozwiązać linę, gdy nagle się zatrzymał.

– Co się stało? - zapytała.

– Słuchaj, nigdy nie zrozumiesz, co teraz czuję. Nigdy nie zdołam znaleźć właściwych słów. Ale chcę, żebyś mi zaufała. Robię coś, czego nie chcę zrobić.

– Rozwiąż mnie, Indy. Proszę, rozwiąż mnie.

– O to właśnie chodzi. Jeśli cię rozwiążę, przewrócą tu każde ziarnko piasku, żeby cię znaleźć, a ja nie mogę sobie teraz na to pozwolić. A skoro

już wiem, gdzie jest Arka, ważne jest, żebym się tam dostał przed nimi.  
Wtedy wrócę po ciebie...

– Indy, nie!

– Posiedzisz tu tylko trochę dłużej...

– Ty draniu! Rozwiąż mnie!

Nasunął jej ponownie chustkę na twarz i zawiązał węzeł. Potem pocałował ją jeszcze raz w czoło, ignorując protesty i jęki, podniósł się i powiedział:

– Siedź spokojnie. Wrócę tutaj.

*Wrócę tutaj*, pomyślał. W głowie zabrzmiało mu odległe echo, echo słów sprzed dziesięciu lat. Dostrzegł w jej oczach zwątpienie. Pocałował ją ponownie, a potem ruszył do wyjścia z namiotu.

Przewróciła krzesło na podłogę namiotu. Niemieckich oficerów nie było.

Na zewnątrz słońce paliło jeszcze mocniej. Prażyło niemiłosiernie.

*Żyje*, myślał, *wciąż żyje!* I pomyślał, że coś go niepokoi. Zaczął się spieszyć, oddalając się od namiotów, od terenu wykopalisk, między rozpalone wydmy, w kierunku miejsca, gdzie był umówiony z Omarem i jego kopaczami.

Zdjął z ciężarówki Omara teodolit i ustawił go między wydmami. Nastawił go na oddaloną nieco Komnatę Map, po czym sprawdzając sporządzone obliczenia, znalazł punkt na pustyni, oddalony o kilka kilometrów, położony wśród dziewiczych piaskowych wydm, znacznie bliżej niż miejsce, w którym Belloq poszukiwał Studni Dusz. Tam, pomyślał. To właściwe miejsce.

– Jest! - powiedział, złożył instrument i umieścił z powrotem na ciężarówce.

Miejsce było niewidoczne z terenu wykopalisk Belloq, ukryte za wypiętrzeniem wydmy. Mogli kopać niezauważeni.

Wspinając się do ciężarówki, Indy zauważył jakąś postać nad wydmy. Był to Sallah, który powiewając połamami, pędził do samochodu.

- Myślałem, że nigdy nie przyjdiesz - powiedział Indy.
- Niewiele brakowało - odpowiedział Sallah wskakując na skrzynię.
- Jedziemy - polecił Indy kierowcy.

Wjechali między wydmy i zaparkowali. Miejsce poszukiwań Arki było odludne. Słońce nad głową świeciło niemiłosiernie, przypominało kolorem eksplodującą żółtą różę, a jego intensywność była tak wielka, że wydawało się, jakby za chwilę miało się oderwać z nieba.

Podeszli do miejsca, które Indy wskazał na podstawie wyliczeń. Przez chwilę stał tam i patrzył - suchy piasek. Nie można nawet marzyć, żeby ta ziemia cokolwiek wydała. Z pewnością nie Arkę.

Indy podszedł do ciężarówki i wydobył łopatę. Kopacze już zmierzali do miejsca wykopalisk. Mieli pobrużdżone, ogorzałe twarze. Indy zastanawiał się, jak można było w takim miejscu dożyć czterdziestki.

Sallah niósł szpadel i szedł obok Indy'ego.

– Myślę, że mogą się tu zjawić tylko wtedy, gdyby Belloq zorientował się, że pracuje w niewłaściwym miejscu. W przeciwnym razie nie ma powodu.

- Czy nazistom kiedykolwiek potrzebny był jakiś powód?

Sallah uśmiechnął się. Odwrócił się i spojrzał ponad wydmy: na przestrzeni wielu kilometrów pustka. Przez chwilę milczał, a potem powiedział:

- Nawet naziście przydałby się powód, żeby przyjść w takie miejsce.
- Indy stuknął w ziemię końcem łopaty.

– I tak potrzebowaliby zezwolenia w trzech egzemplarzach podpisanego w Berlinie.

Spojrzał na kopaczy.

– Chodźmy - powiedział. - Bierzmy się do roboty.

Zaczęli kopać, odrzucając piasek z wysiłkiem, zawzięcie, przerywając tylko po to, by od czasu do czasu napić się wody, która już się ogrzała w bukłakach z wielbłądziej skóry. Kopali do chwili, gdy słońce zniknęło z nieba, ale nawet wówczas upał nie zelżał, przyczajony wśród piasku.

Belloq siedział w namiocie, bębniąc palcami w blat stołu, na którym leżały mapy, rysunki Arki, arkusze pokryte hieroglifami obliczeń. Czuł ponurą frustrację, był spięty, zdenerwowany, a obecność Dietricha, a także jego fagasa Goblera, nie poprawiała mu nastroju. Wstał, podszedł do umywalki i spryskał wodą twarz.

– Zmarnowany dzień - odezwał się Dietrich. - Stracony.

Belloq wytarł twarz ręcznikiem, a potem nalał sobie mały kieliszek koniaku. Patrzył na Niemca, a potem na Goblera, który wydawał się istnieć tylko jako cień Dietricha.

Dietrich niewzruszenie ciągnął:

– Moi ludzie kopali przez cały dzień - i po co? Powiedz mi, po co?

Belloq sączył alkohol, potem powiedział:

– Na podstawie informacji, którymi dysponuję, moje obliczenia są poprawne. Ale archeologia nie jest najbardziej ścisłą z nauk, Dietrich. Nie wydaje mi się, by pan to w pełni rozumiał. Może Arka zostanie odnaleziona w którejś z przylegających komnat. Może jakiś istotny element wciąż nam umyka.

Wzruszył ramionami i dokończył koniak. Zwykle mierzył go sposób, w jaki Niemcy płaszczyli się przed nim, krążyli wokół niego, jakby uważali



go za jasnowidza, proroka. Ale teraz rozumiał przyczyny zmiany ich nastroju.

– Fuhrer domaga się ciągłych raportów o postępach prac - oświadczył Dietrich. - Nie należy do ludzi cierpliwych.

– Proszę wrócić pamięcią do mojej rozmowy z Fuhrerem, Dietrich. Przypomni pan sobie, że niczego nie obiecywałem. Powiedziałem jedynie, że sprawa wygląda obiecująco, to wszystko.

Zapanowała cisza. Gobler poruszył się na tle lampy naftowej, rzucając ogromny cień, który Belloq uznał za osobiwie groźny.

– Dziewczyna mogłaby nam pomóc - odezwał się Gobler. - W końcu przez wiele lat była w posiadaniu oryginału.

– Istotnie - potwierdził Dietrich.

– Wątpię, czy wie cokolwiek - powiedział Belloq.

– Warto spróbować - stwierdził Gobler.

Zastanawiał się, dlaczego sposób, w który potraktowali dziewczynę, wydał mu się tak niepokojący. Zachowywali się po barbarzyńsku - zagrozili jej torturami, ale dla niego było oczywiste, że nie ma nic do powiedzenia. Czy to był jakiś słaby punkt? Słabość, którą odczuwał w stosunku do niej? Ta myśl go uderzyła. Patrzył przez chwilę na Dietricha. *Jak bardzo boją się swego małego Fuhrera*, pomyślał. *Musi nawiedzać ich nocą w snach - jeśli w ogóle śnią*, w co trudno mu było uwierzyć. Byli pozbawieni wyobraźni.

Jeśli nie chcesz zawracać sobie głowy dziewczyną, Belloq, mam kogoś, kto podejmie się zadania wydobycia z niej tego, co wie.

To nie był właściwy czas na okazywanie słabości, troski o kobietę. Dietrich podszedł do wyjścia z namiotu i krzyknął w ciemność. Po chwili pojawił się Arnold Toht, który wyrzucił ramię w nazistowskim pozdrowieniu. W środku dłoni widniała blizna, wypalony idealnie kształt głowicy berła Ra.

- Znasz tę kobietę, Toht - odezwał się Dietrich.
  - Mamy stare rachunki do wyrównania - odpowiedział Toht.
  - I stare blizny - dodał Belloq.
- Pewnym gestem Toht opuścił rękę.

Gdy zrobiło się ciemno i nad horyzont wtoczył się blady pustynny księżyc, który wydawał się błękitny, Indy i jego ekipa przestali kopać. Zapalili pochodnie, obserwując, jak księżyc powoli ciemnieje od przesuwających się przed nim chmur. Potem na niebie pojawiła się błyskawica, dziwna błyskawica, która przypominała krótki rozwidlony błysk, jakby znikąd pojawiła się sucha, elektryczna burza.

Mężczyźni wykopali otwór, na którego dnie pojawiły się kamienne drzwi. Przez długi czas nikt się nie odzywał. Z ciężarówki przyniesiono narzędzia i kopacze sforsowali drzwi, stękając głośno z wysiłku, gdy zmagali się z ciężarem.

Odsunięto kamienne drzwi. Poniżej znajdowała się podziemna komnata. Studnia Dusz. Miała około dziesięciu metrów głębokości. Ściany rozległego pomieszczenia pokryte były hieroglifami i płaskorzeźbami. Sklepienie wspierało się na potężnych posągach strażników. Konstrukcja była imponująca, a w świetle pochodni komnata wydawała się pozbawiona dna, jak otchłań, w którą schwymano samą historię. Zaglądając do środka, mężczyźni kołysali pochodniami.

W ich świetle pojawił się, zaledwie widoczny, odległy koniec komnaty. Znajdował się tam kamienny ołtarz dźwigający kamienną skrzynię, podłoga wydawała się pokryta osobliwym ciemnym dywanem.

- W tej skrzyni musi znajdować się Arka - stwierdził Indy. - Nie rozumiem, co jest tam na podłodze.

Ale po chwili, w kolejnym błysku pochodni, dostrzegł, czym jest dziwna szara masa pokrywająca podłogę. Zadrzał, rzucając pochodnię do wnętrza Studni Dusz i słysząc syk setek węży.

Węże odsunęły się od płomienia. Setki, tysiące węży, egipskich zmij, pełzających i wijących się po podłodze, reagujących dzikim sykiem na ogień pochodni. Podłoga wydawała się poruszać w jej blasku - ale to nie podłoga się ruszała, to węże uciekały od ognia. Tylko ołtarz pozostawał od nich wolny. Tylko kamienny ołtarz wydawał się dla nich niedostępny.

– Dlaczego to muszą być węże? - zapytał Indy. - Cokolwiek, byle nie węże, cokolwiek. Zniósłbym praktycznie wszystko inne.

– Żmije - powiedział Sallah. - bardzo jadowite.

– Dziękuję za informację, Sallah.

– Trzymają się z daleka od ognia, zauważyłeś?

*Weź się w garść, pomyślał Indy. Jesteś tak blisko Arki, że czujesz jej obecność, więc stawisz czoło swojej fobii i jakoś ją pokonasz. Tysiąc węży? No to co. Co z tego? Żywa podłoga była wcieleniem starego koszmaru. Węże prześladowały go w najczarniejszych snach, ucieleśniały jego najskrytsze obawy. Odwrócił się do kopaczy i powiedział:*

– W porządku. W porządku, parę węży. Wielkie rzeczy. Potrzebuję dużo pochodni. I ropy. Chcę tam mieć lądowisko.

Po chwili wrzucono do Studni Dusz zapalone pochodnie. Kilka kanistrów ropy zrzucono w miejsce, z którego węże odpełzły odstraszone płomieniami. Kopacze zaczęli opuszczać do otworu dużą drewnianą kratownicę z zamocowanymi na czterech rogach uchwyty z lin. Indy patrzył zastanawiając się, czy fobia może człowieka pochłonać, zniszczyć, czy też jest czymś, co można zignorować, jakby była intensywnym spazmem nadchodzącego ataku niestrawności. Mimo postanowienia o zejściu na dół zadrzał, a żmije, zwinięte i rozciągnięte, wypełniały

ciemność syczącym dźwiękiem, który brzmiał w jego uszach groźniej niż cokolwiek, co w życiu słyszał. Spuszczono teraz linę: stał wyprostowany, przełknął ślinę, potem rozkołysał linę i zsunął się w głąb Studni Dusz. Po chwili Sallah poszedł w jego ślady. Poza granicą płomieni węże wiły się, pełzały, piętrzyły jedne na drugich, pożerały się nawzajem, góry węży, jaja węży, które pękały, uwalniając małe żmij ki.

Przez chwilę zwisał zawieszony na kołyszącej się linie, tuż ponad nim Sallah.

– To chyba to - powiedział.

Marion obserwowała Belloqa wchodzącego do namiotu. Przeszedł wolno w jej stronę i obserwował ją, ale nie wykonał żadnego ruchu, by zdjąć jej knebel. Co takiego było w tym mężczyźnie? Co wzbudzało w niej to dziwne uczucie, prawie panikę? Słyszała bicie własnego serca. Wpatrywała się w niego, pragnąc zamknąć oczy i odwrócić twarz. Gdy spotkała go po raz pierwszy po uwięzieniu, mówił bardzo mało, wpatrywał się w nią tylko w taki sam sposób, jak czynił to teraz. Jego oczy były zimne, ale jednocześnie - chociaż nie wiedziała, skąd to wie - wydawały się zdolne do okazania od czasu do czasu ciepła. Były też rozumne, jakby dotarł do jakiejś głębokiej tajemnicy, jakby przeniknął rzeczywistość i poznał jej niedostatki. Twarz była piękna w sposób, który kojarzył jej się ze zdjęciami z romantycznych magazynów, na których Europejczycy w białych smokingach popijali egzotyczne drinki na tarasach eleganckich willi. Ale nie te cechy ją uderzyły.

To było coś innego.

Coś, o czym nie chciała myśleć.

Marion zamknęła oczy. Nie mogła znieść tej bliskości spojrzenia, nie dopuszczała myśli, że jest przedmiotem lustracji - być może jak znalezisko

archeologiczne, odłamek ceramiczny, który odpadł od starożytnego naczynia. Bezдушny przedmiot podlegający klasyfikacji.

Gdy usłyszała jakiś ruch z jego strony, otworzyła oczy.

Wciąż milczał. A ona czuła się coraz bardziej nieswojo. Ruszył przed siebie i stanął tuż przed nią, potem bardzo wolno podniósł rękę i zsunął knebel z jej ust, odciągając go delikatnie i łagodnie od jej warg. Nagle w jej myślach zarysował się obraz, którego nie chciała zaakceptować, wizja jego ręki pieszczącej wygięcie jej bioder. Nie, pomyślała. To nie tak! Ale obraz tkwił uparcie w jej głowie. A ręka Belloqa, z pewnością doświadczonego kochanka, delikatnie zsunęła knebel z ust na podbródek i w tej chwili już rozwiązywał węzeł. Wszystko to działo się bardzo wolno, z tym rodzajem niewymuszonej elegancji uwodziciela, który czuje instynktem drapieżnika poddanie ofiary.

Odchyliła głowę na bok. Chciała odrzucić te myśli, ale wydawała się do tego niezdolna. *Nie chcę, by ten mężczyzna był dla mnie pociągający,* pomyślała. *Nie chcę, żeby mnie dotykał.* Ale gdy przesunął palcem wzdłuż linii podbródka, a potem zaczął pieścić szyję, zdała sobie sprawę, że jest niezdolna do walki. *Nie chcę, żeby patrzył mi w oczy,* powiedziała sobie w myślach. *Nie chcę, żeby tak przyglądał się mojej twarzy.* Wbrew sobie zaczęła sobie wyobrażać jego ręce wędrujące po całym jej ciele, ręce dziwnie delikatne, pewne swych ruchów, czułe i podniecające słodkimi obietnicami. I nagle zdała sobie sprawę, że ten człowiek byłby niezwykłym kochankiem, który wydobyłby z niej rozkosz, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła.

*On to wie, pomyślała. On też o tym wie.*

Zbliżył swoją twarz do jej twarzy. Czuła słodycz jego oddechu. *Nie, nie, nie,* myślała. Ale milczała. Wiedziała, że lekko nachyla się do przodu w oczekiwaniu pocałunku, z gonitwą myśli i rosnącym uczuciem pożądania.

Spełnienie nie nadchodziło. Nie było pocałunku. Schylił się i zaczął rozwiązywać krępujące ją sznury. Poruszał się w ten sam sposób, co przed chwilą, a sznury opadły na ziemię, jakby były najbardziej erotycznymi częściami garderoby.

Wciąż się nie odzywał.

Patrzył na nią. W jego oczach był blask, słaby ślad ciepła, które wyobraziła sobie wcześniej, ale nie potrafiła rozstrzygnąć, czy było rzeczywiste, czy może tylko przybrał je jako element swych zachowań.

A potem się odezwał.

– Jesteś bardzo piękna.

Potrząsnęła głową.

– Proszę...

Ale nie wiedziała, czy prosi, by ją zostawił w spokoju, czy by ją pocałował i zdała sobie sprawę, że nigdy w życiu nie doznawała takiego pomieszania emocji. Dlaczego, do diabła, Indy jej nie uwolnił? Dlaczego ją tu zostawił?

Odrzucenie, przyciąganie - dlaczego nie było sztywnej i wyraźnej granicy między nimi? Jakichś drogowskazów, którymi mogłaby się posłużyć. To nie miało znaczenia: w jej myślach panował zamęt. Targała nią sprzeczność i ze zgrozą zdała sobie sprawę, że pragnie kochać się z tym mężczyzną, chce, by dowiódł jej - była o tym przekonana - swojej znajomości sztuki kochania; gdzieś w tle kryło się przekonanie, że potrafi też być okrutny, ale i to nagle przestało mieć dla niej znaczenie.

Ponownie zbliżył swoją twarz. Patrzyła na jego usta. W oczach dostrzegła zrozumienie, znajomość rzeczy, której nigdy nie widziała na twarzy mężczyzny. Już teraz, nim ją pocałował, znał ją, potrafił w nią wejrzeć. Czuła się bardziej obnażona niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet ta bezbronność ją w tej chwili podniecała. Podszedł bliżej. Pocałował ją.

Chciała się ponownie odsunąć.

Ten pocałunek - zamknęła oczy i zatraciła się w nim - był inny od wszystkich pocałunków w jej życiu. Przekroczył granice przestrzeni warg i języka. Stworzył w jej umyśle obszary jasnego światła, kolorów, sieci złota i srebra, żółcienia i błękitu, jakby obserwowała jakiś niesamowity wschód słońca. Był powolny, cierpliwy, pozbawiony egoizmu. Nikt nigdy tak jej nie całował. Nie w ten sposób. Nawet Indy.

Gdy odsunął twarz, zorientowała się, że obejmuje go mocno. Wbijała mu paznokcie w ciało. I to wrażenie zszokowało ją, a wstrząs przyniósł nagłe uczucie wstydu. Co ona wyprawia? Co ją opętało?

Cofnęła się o krok.

– Proszę - szepnęła. - Już nie.

Uśmiechnął się i wreszcie odezwał.

– Chcą ci zrobić coś złego.

Było tak, jakby ten pocałunek nigdy się nie wydarzył. Jakby została poddana manipulacji. Gwałtowny zawód, który odczuła, był jak zjazd na kolejce w lunaparku.

– Zdołałem przekonać ich, by dali mi nieco czasu z tobą, moja droga. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. I nie chciałbym, żeby zrobili ci krzywdę. To barbarzyńcy.

Podszedł bliżej. *Nie*, pomyślała, *tylko nie to*.

– Musisz mi coś powiedzieć, żebym ich uspokoił. Dać jakieś informacje.

– Ja nic nie wiem... Ile razy mam to powtarzać?

Kręciło się jej w głowie, musiała usiąść. Dlaczego nie pocałował jej jeszcze raz?

– A co z Jonesem?

– Nic nie wiem...

– Podziwiam twoją lojalność. Ale musisz mi powiedzieć, co on wie.

W jej myślach ponownie pojawił się obraz Indy'ego.

– Mam przez niego tylko kłopoty...

– To prawda - powiedział Belloq. Wyciągnął do niej rękę, ujął twarz w dłonie, zajrzał głęboko w oczy. - Chciałbym ci wierzyć, że nic nie wiesz. Ale nie jestem w stanie kontrolować Niemców. Nie zdołam ich powstrzymać.

– Nie pozwól im mnie skrzywdzić.

Belloq wzruszył ramionami.

– Więc powiedz mi cokolwiek.

Wejście do namiotu odchyliło się. Marion spojrzała na Arnolda Tohta, który pojawił się w otworze. Za nim stali dwaj Niemcy, których poznała jako Dietricha i Goblera. Strach, który uczuła, płonął w jej głowie jak słońce.

– Przykro mi - powiedział Belloq.

Nie poruszyła się. Po prostu wpatrywała się w Tohta, wspominając, jak bardzo pragnął oszpecić ją pogrzebaczem.

– *Fraulein* - odezwał się Toht. - Przebyliśmy daleką drogę z Nepalu aż tutaj, prawda?

Cofając się, potrząsnęła głową w przestachu.

Toht ruszył ku niej. Spojrzała na Belloq'a, jakby szukając u niego pomocy, ale on już wychodził z namiotu w mrok nocy.

Na zewnątrz Belloq zatrzymał się. Ta kobieta była dziwnie pociągająca, chęć uprawiania z nią miłości była niezwykła, nawet jeśli początkowo pragnął tylko wydobyć z niej informacje. Ale po tym pierwszym pocałunku... Wcisnął ręce w kieszenie i zawahał się. Chciał wrócić do namiotu i powstrzymać tych zbirów przed zrobieniem tego, co zamierzali. Nagle jednak coś na horyzoncie odwróciło jego uwagę.



Błyskawica. Błyskawica skupiona osobliwie w jednym miejscu, jakby z zamysłem kierowana jakąś meteorologiczną świadomością. Skupisko błyskawic, pionowych i rozwidlonych błysków oraz poświaty nagromadzonych w jednym miejscu. Zagryzł dolną wargę, pogrążony głęboko w myślach, po czym wrócił do namiotu.

Indy posuwał się w stronę ołtarza. Usiłował ignorować odgłosy obecności węży, szalony hałas, którego obłęd potęgowały chybotliwe cienie rzucane przez światło pochodni. Rozlał ropę z kanistrów po podłożu i podpalił ją torując ścieżkę wśród gadów. A teraz buchające z podłogi płomienie przytłumiły światło błyskawic znad głowy. Sallah szedł za nim. Wspólnie mocowali się z kamienną pokrywą skrzyni i zdjęli ją. W środku - piękniejsza, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażał - znajdowała się Arka.

Przez chwilę stał bez ruchu. Wpatrywał się w lśniące złote figury aniołów, które były ustawione naprzeciw siebie na pokrywie, w złoto osłaniające drewno akacji. Złote pierścienie umocowane w czterech rogach lśniły w blasku pochodni. Spojrzał na Sallaha, który obserwował Arkę w nabożnej ciszy. Indy nade wszystko pragnął teraz wyciągnąć rękę i dotknąć Arki - ale w momencie, gdy o tym pomyślał, to Sallah wyciągnął rękę.

– Nie dotykaj - krzyknął Indy. - Nigdy jej nie dotykaj!

Sallah cofnął rękę. Odwrócili się w stronę drewnianej kratownicy i zdjęli cztery żerdzie przywiązane w narożnikach. Przełożyli je przez pierścienie na pokrywie Arki i podnieśli ją, stękając pod ciężarem, po czym przestawili z kamiennej skrzyni na kratownicę. Płomienie zaczęły zamierać, a węże, których syk jakby stapał się coraz bardziej w jeden podniesiony, gniewny głos, przybliżyły się do ołtarza.

– Pospiesz się - ponaglił Indy Sallaha. - Szybciej.

Przywiązali liny do kratownicy. Indy pociągnął za jedną z nich i kratownica podjechała do góry, po czym została wyciągnięta z komnaty. Sallah schwycił za drugą linę i szybko wspiął się po niej do otworu. Indy sięgnął po swoją linę, pociągnął za nią, by się upewnić, że mocno trzyma, a lina... opadła jak wąż z otworu w sklepieniu pomieszczenia.

– Co, do cholery...

Z góry dobiegł głos Francuza.

– Doktorze Jones, co pan robi w tak nieprzyjemnym miejscu?

Potem rozległ się śmiech.

– Wchodzi ci to w zwyczaj, Belloq - powiedział Indy.

Węże z sykiem podpełzały bliżej. Słyszał szelest ich ciał na podłodze.

– Zły zwyczaj, przyznaję - stwierdził Belloq zaglądając w dół. - Niestety, nie przydasz mi się już, przyjacielu. I uważam za stosowną ironię losu, że zostaniesz tutaj jako stały dodatek do tego znaleziska.

– Pękam ze śmiechu - odkrzyknął Indy.

Wciąż spoglądał w górę, zastanawiając się, czy jest jakieś inne wyjście z tej... I zastanawiał się jeszcze, gdy ujrzał Marion spychaną w głąb otworu, spadającą, upadającą na podłogę. Skoczył szybko i zamortyzował jej upadek własnym ciałem, tracąc równowagę, gdy na niego spadła. Węże przybliżyły się. Przywarła panicznie do Indy'ego, a z góry zabrzmiał głos Belloqa.

– Miała być moja!

– Jest teraz dla nas bezużyteczna, Belloq. Liczy się tylko misja dla Fuhrera.

– Miałem swoje plany!

– Jedyne plany to realizacja poleceń Berlina - odpowiedział Dietrich.

Na górze zapanowała cisza. A potem w otworze ukazała się twarz Belloqa.

– Nie tak miało być - powiedział cicho. A potem zwrócił się do Indy’ego:

– *Adieu*, Indiana Jones.

Niespodziewanie kamienna płyta drzwiowa komnaty została zatrzaśnięta przez grupę niemieckich żołnierzy. Odcięło to dopływ powietrza, pochodnie zagasły, a węże ruszyły w kierunku ciemnych przestrzeni.

Marion kurczowo trzymała się Indy’ego. Oswobodził się, sięgnął po dwie pochodnie, które się jeszcze tliły i podał jej jedną z nich.

– Machaj pochodnią w kierunku wszystkiego, co się rusza - poradził.

– Wszystko się rusza - powiedziała. - To całe miejsce pełza.

– Nie przypominaj mi o tym.

Zaczął macać na oślep w ciemności, znalazł jeden z kanistrów, wylał ropę na ścianę i podpalił ją. Patrzył na jeden z posągów nad głową, czując, jak węże podpełzają coraz bliżej.

– Co robisz? - zapytała Marion.

Rozlał resztkę ropy wokół nich i zapalił.

– Zostań tutaj.

– Dlaczego? Dokąd idziesz?

– Wróć. Miej oczy otwarte i bądź gotowa do biegu.

– Dokąd?

Nie odpowiedział. Ruszył przez pierścień ognia do środka komnaty. Węże pełzały wokół jego stóp, a on desperacko wymachiwał pochodnią, by utrzymać je na dystans. Spoglądał w górę na posąg, który głową prawie dotykał sklepienia. Z fałd szaty wydobył bicz i zamachnął się nim w powietrzu, patrząc, jak owija się wokół postumentu. Pociągnął, by sprawdzić siłę i zaczął się wspinać pomagając sobie jedną ręką, z pochodnią w drugiej.

Podciągnął się i odwrócił, by spojrzeć na Marion, która stała za drgającą ścianą ognia. Wydawała się zagubiona, przestraszona i bezradna. Wspiął się na górę posągu, gdy wokół kamiennej twarzy pojawił się wąż i z sykiem rzucił się w stronę Indy'ego. Indy trzepnął go w głowę pochodnią, poczuł swąd palącego się mięsa i popatrzył w ślad za gadem, zsuwającym się po gładkim kamieniu.

Wcisnął się w przerwę między posąg i ścianę. *Niech to zadziała*, pomyślał. Węże wpełzały po posągu, i gasnąca pochodnia Indy'ego nie mogła ich powstrzymać bez końca. Machał nią tu i tam, nasłuchując, jak węże spadają w dół. W pewnym momencie pochodnia wypadła mu z ręki i zgasała w locie. *Akurat wtedy, gdy potrzebujesz światła, to go nie ma*, pomyślał.

Coś przesunęło mu się po ręce.

Wzdrygnął się, zaskoczony.

Gdy to zrobił, posąg ustąpił, oddzielił się od postumentu i zakołysał, zadrżał, nachylił pod przeraźliwym kątem do sklepienia komnaty. *No to jedziemy*, pomyślał Indy, trzymając się posągu jakby to był grzbiet dzikiego muła. Ale jazda przypominała raczej dryfowanie na belce po wzburzonym oceanie i czuł to, czuł walcząc o utrzymanie się, nabierając prędkości, przemykając obok zdumionej Marion, która stała w dogasającym pierścieniu płomieni, uderzając obok niej w podłogę jak drzewo ścięte przez drwala, przebijając podłogę Studni Dusz i wpadając w ciemną przestrzeń poniżej. Potem dzika jazda na oklep na posągu skończyła się, gdy rozbita statua uderzyła w podłoże, a on ześliznął się, oszołomiony, pocierając skroń. Macał przez chwilę na oślep wokół siebie świadom bladego światła przenikającego przez wybitą dziurę ze Studni. Usłyszał wołanie Marion.

– Indy! Gdzie jesteś?

Gdy zajrzała do otworu, wyciągnął rękę.

– Nigdy nie próbuj jeździć na posągu - przestrzegł ją. - Posłuchaj mojej rady.

– Wezmę to pod uwagę.

Złapał ją za rękę i pomógł zejść. Trzymała pochodnię nad głową. Światło było już słabe, ale wystarczające, by zobaczyć, że znajdują się w labiryncie komnat rozmieszczonych promieniście poniżej Studni Dusz w podziemnych katakumbach.

– Więc gdzie teraz jesteście?

– Możemy oboje zgadywać. Może z jakiegoś powodu zbudowali Studnię nad katakumbami. Nie wiem. Trudno powiedzieć. Ale lepsze to niż węże.

Stado wystraszonych nietoperzy wyleciało z ciemności, krążąc wokół nich i bijąc szaleńczo skrzydłami. Pochylili się i przeszli do kolejnego pomieszczenia. Marion wymachiwała rękami wokół głowy i krzyczała.

– Nie rób tego - poprosił. - Straszysz mnie.

– A jak myślisz, co straszy *mnie*?

Mijali kolejne komnaty.

– Musi być jakieś wyjście - odezwał się. - Nietoperze są dobrym znakiem. Muszą wylatywać w poszukiwaniu pożywienia.

W następnej komnacie odór był nie do zniesienia. Marion uniosła pochodnię.

Leżały tu rozkładające się mumie poowijane bandażami. Gnijące resztki ciała zwisały z poślódkłych opatrunków, czaszki, kości, niektóre ze skrawkami mięśni, wystawały na zewnątrz. Na ścianie przed nimi kłębiły się lśniące żuki.

– Niewiarygodny smród - powiedziała Marion.

– Narzekasz?

– Chyba zwymiotuję.

– Świetnie - skwitował Indy. - To dobrze podsumuje całą sytuację.  
Marion westchnęła.

– To najgorsze miejsce, w jakim w życiu byłam.

– Nie, tam było najgorsze miejsce, w którym byłaś.

– Ale wiesz co, Indy - mówiła dalej - jeśli już muszę tu z kimś być...

– Mam cię - przerwał jej. - Mam cię.

– Masz rację. Masz mnie.

Marion czule pocałowała go w usta. Delikatność jej dotknięcia go zaskoczyła. Cofnął twarz, zapragnął pocałować ją jeszcze raz, ale pokazywała coś w podnieceniu i gdy odwrócił twarz, zobaczył w pewnym oddaleniu litościwy blask pustynnego słońca, białego i cudownego i pełnego obietnic.

– Dzięki Bogu - powiedział.

– Dziękuj, komu chcesz. Ale mamy jeszcze coś do zrobienia.

# Rozdział X.

## Wykopaliska Tanis, Egipt

Posuwali się po terenie opuszczonych wykopalisk, bliżej lądowiska wyrwanego przez Niemców pustyni. Były tam dwie ciężarówki-cysterny i namiot magazynowy. Jakiś mężczyzna - sądząc po ubiorze, mechanik - stał na skraju pasa startowego z rękami wspartymi na biodrach i twarzą zwróconą w stronę słońca. Po chwili pojawił się ktoś jeszcze. W mężczyźnie zmierzającym w kierunku mechanika Marion rozpoznała Goblera, pomocnika Dietricha.

W powietrzu rozległ się nagły hałas i ze swego ukrycia za opuszczonym wykopem Indy dostrzegł samolot typu Flying Wing, podchodzący do lądowania.

Gobler krzyknął do mechanika:

– Niech od razu zatankuje! Ma być niezwłocznie gotowy do lotu z ważnym ładunkiem!

Samolot wylądował, kołysząc się na pasie.

– Załadują Arkę na samolot - powiedział Indy.

– I co wtedy zrobimy? Pomachamy na pożegnanie?

– Nie. Gdy załadują Arkę, będziemy już na pokładzie samolotu.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Kolejny z twoich planów?

– Doszliśmy tak daleko, nie zatrzymujmy się.

Ruszyli ostrożnie i zatrzymali się tuż za namiotem magazynowym. Mechanik wstawiał już klocki blokujące pod koła samolotu. Niemiec zamocował przewód paliwowy do samolotu. Śmigła obracały się, silnik nadal pracował z ogłuszającym hałasem.

Podczołgali się jeszcze bliżej pasa i żadne z nich nie dostrzegło drugiego mechanika, jasnowłosego młodzieńca z ramionami pokrytymi tatuażem, który posuwał się w ślad za nimi. Podkraść się bliżej z podniesionym kluczem, a jego celem najwyraźniej była czaszka Indy'ego. Marion pierwsza zauważyła jego cień, padający na piasek przed nią; krzyknęła. Indy odwrócił się, gdy klucz zaczął opadać. Zerwał się na równe nogi, chwycił Niemca za ramię i obalił go na piasek, podczas gdy Marion odskoczyła za jakieś skrzynie i rozglądając się rozmyślała, w jaki sposób mogłaby pomóc.

Indy i Niemiec tarzali się po pasie. Pierwszy mechanik odszedł od samolotu, stanął nad obydwojma zmagającymi się mężczyznami i czekał na okazję, by kopnąć Indy'ego. Nagle Indy zerwał się zwinnie, odwrócił do Niemca i powalił go silnym uderzeniem oburącz. Mężczyzna z tatuażami był jednak nadal żądny walki i zwarli się ponownie, tocząc po ziemi w kierunku ogona samolotu, gdzie śmigła hamujące kręciły się szaleńczo.

*Możesz zostać w każdej chwili zmielony, pomyślał Indy.*

Czuł, jak zdradliwe ostrza rozcinają powietrze wokół niego jak ostry nóż masło.

Usiłował odciągnąć młodego Niemca od Śmigiel, ale chłopak był silny. Stękając, Indy chwycił go za gardło i ścisnął z całej siły, ale mechanik wyrwał się i wrócił do walki z nową energią. Obserwująca ich z boku Marion dostrzegła, że pilot wyszedł z kokpitu, wyjął z bluzy lugera, wycelował i czekał na okazję oddania czystego strzału do Indy'ego. Popędziła przez pas, wyciągnęła jeden z klocków spod koła i trzasnęła pilota w skroń. Upadł z powrotem do kokpitu, dodając przy tym mimochodem gazu, tak że silnik zawył jeszcze głośniej.

Samolot zaczął się toczyć, kręcąc się wokół zablokowanego jeszcze koła. Marion uchwyciła się krawędzi kokpitu, by nie spaść na śmigło, a



potem schyliła się i starała się zepchnąć ciało nieprzytomnego pilota z wolantu.

Nic z tego. Był za ciężki. Samolot lada chwila mógł się wymknąć spod kontroli i pokołować, miażdżąc przy tym Indy'ego lub szatkując jego ciało na drobne kawałki. *Czego ja dla ciebie nie robię, Indy*, przemknęło jej przez myśl. I wskoczyła do kokpitu, wybijając pleksiglasową osłonę, a deszcz odłamków obsypał ją od stóp do głów. Samolot ciągle wirował, skrzydło przesuwano się niebezpiecznie nad miejscem, w którym Indy walczył z Niemcem. W panice zobaczyła, jak go przewraca, po czym Niemiec znów się podniósł tylko po to, by kolejny cios Indy'ego odrzucił go wstecz...

Prosto między łopaty śmigła.

Marion zamknęła oczy. Ale zdążyła jeszcze zobaczyć, jak śmigło przecięło ciało młodzieńca, wzbijając fontannę krwi. A samolot wciąż się kręcił. Otworzyła oczy i próbując wydostać się z kokpitu, zorientowała się, że w nim utknęła. Bezskutecznie biła pięściami w pokrywę. *Najpierw w koszu, a teraz w kokpicie*, pomyślała. *Gdzie to się skończy?*

Indy pędził w kierunku samolotu, obserwując jego ruchy, zszokowany widokiem Marion walącej pięściami w pokrywę kokpitu. Skrzydło z łoskotem, łamiąc się, wbiło się w bok cysterny i rozorało ją z bezwzględnością chirurga. Paliwo trysnęło jak krew z ciała znieczulonego pacjenta. Indy przyspieszył jeszcze, ślizgając się na rozlanej benzynie. Stracił równowagę, upadł, podniósł się i biegł dalej. Złapał krawędź skrzydła i wspiął się do kokpitu.

– Wyłaź! To wszystko wyleci zaraz w powietrze! - krzyknął do Marion.

Sięgnął do uchwyty otwierającego kokpit z zewnątrz.

Zmagał się z nim, szarpał, ponaglany intensywnym zapachem paliwa wyciekającego z cysterny.

Zamknięta w pułapce Marion patrzyła na niego błagalnie.

Drewniana skrzynia pilnowana przez trzech uzbrojonych Niemców stała przed wejściem do namiotu Dietricha. Wewnątrz panowała gorączkowa praca, pakowano papiery, zwijano mapy, rozmontowywano urządzenia radiowe. Belloq stał w namiocie i z nieobecnym wyrazem twarzy obserwował przygotowania do odjazdu. Jego umysł w pełni absorbowwała zawartość skrzyni, przedmiot, którego zbadania wprost nie mógł się doczekać. Z trudem hamował niecierpliwość, nie panował nad sobą. Przypominał sobie rytualne przygotowania do otwarcia Arki, których zasad musiał dochować. Dziwne było, jak na przestrzeni lat przygotowywał się do tej chwili i dziwiło go też, jak opanował wszystkie zaklęcia. Nazistom się to oczywiście nie spodoba, ale będą mogli zrobić z Arką, co zechcą, gdy tylko on skończy. Jak dla niego, mogą ją sobie zapakować i wystawić w jakimś cholernym muzeum.

Hebrajskie zaklęcia: nie spodobają im się. I ta myśl wprawiła go w rozbawienie. Ale nie trwało ono długo, bo zawartość skrzyni ponownie przyciągnęła jego uwagę. Jeśli wszystko, czego dowiedział się o Arce, jest prawdą, jeśli starodawne opowieści o jej mocy były prawdziwe, będzie pierwszym człowiekiem, który nawiąże bezpośredni kontakt z tym, co ma swoje źródło gdzieś poza granicami ludzkiego rozumienia - w nieskończoności.

Wyszedł z namiotu.

W oddali, jak kolumna ognia zesłana z niebios, nastąpiła potężna eksplozja.

Zorientował się, że miała miejsce na lądowisku.

Gnany niepokojem, ruszył biegiem w tamtym kierunku.

Dietrich pojawił się za nim, z tyłu Gobler, który zaledwie kilka minut wcześniej był przy samolocie.

Cysterny wybuchwały, a z samolotu pozostał wypalony wrak.

- Sabotaż - stwierdził Dietrich. - Ale kto?
  - Jones - powiedział Belloq.
  - Jones? - Dietrich wydawał się zaskoczony.
  - Ma twardsze życie niż przysłowiowy kot - powiedział Belloq.
  - Ale nadejdzie czas, gdy skończą mu się kupony na szczęście, prawda?
- Obserwowali płomienie w milczeniu.
- Musimy natychmiast zabrać stąd Arkę - odezwał się Belloq.
  - Musimy załadować ją na ciężarówkę i zawieźć do Kairu. Możemy odlecieć stamtąd.

Belloq patrzył jeszcze przez chwilę na zniszczenia, rozmyślając o poczuciu misji Jonesa, jego umiejętności przetrwania. Jego wytrwałe trzymanie się życia było godne podziwu. I trzeba było się strzec sprytu i hartu ducha, które leżały u podstaw tego życia. Zawsze jest możliwe, rozważał Belloq, że nie docenia się przeciwnika. I może przez cały czas nie doceniał Indiany Jonesa.

- Musimy mieć bardzo silną obstawę, Dietrich.
- Oczywiście, załatwię to.

Belloq odwrócił się. Lot z Kairu był oczywiście kłamstwem. Bez wiedzy Dietricha przekazał już radiowe instrukcje na wyspę.

Jedyną istotną rzeczą było teraz dla niego otwarcie Arki, zanim zostanie odesłana do Berlina.

Między namiotami panował teraz dziki chaos. Żołnierze niemieccy pobiegli na lądowisko, a teraz wracali w nieładzie. Inna grupa uzbrojonych mężczyzn z twarzami pociemniałymi od dymu z lądowiska zaczęła ładować Arkę na ciężarówkę z plandeką. Nadzorował ich Dietrich, wykrzykując rozkazy głosem piskliwym od napięcia nerwowego. Odczułby ulgę i radość, gdyby ta cholerna skrzynia znalazła się wreszcie bezpiecznie w Berlinie, ale

na razie nie ufał Belloqowi. Dostrzegł w oczach Francuza jakiś pełen dumy błysk determinacji, poczucia boskiej misji. A oprócz tej determinacji było coś szalonego, odległego, jakby archeolog zanurzył się głębiej w dialog z samym sobą. Był to wyraz szaleństwa, myślał dalej, a niepokój budziło to, że podobny wyraz dostrzegł na twarzy Fuhrera w czasie pobytu z Belloqiem w Bawarii. Może było jakieś podobieństwo między Francuzem i Adolfem Hitlerem. Może ich siła, a także ich szaleństwo, odróżniało ich od zwykłych ludzi. Dietrich mógł jedynie spekulować. Patrzył na skrzynię, ładowaną właśnie na ciężarówkę, i rozmyślał o Jonesie. Ale Jones miał nie żyć, miał być pogrzebany żywcem w tej przerażającej komnacie. Mimo to Francuz wydawał się przekonany, że za tym sabotażem krył się Amerykanin. Może ich animozja, ta rywalizacja, która trwała między nimi, była jednym z aspektów szaleństwa Belloqa.

Może.

Nie było teraz czasu na analizowanie stanu umysłu Francuza. Ważna była Arka i droga do Kairu i groźba dalszych aktów sabotażu na trasie. Spocony, pełen nienawiści do wypalanej pustyni i upału, krzyknął jeszcze raz na żołnierzy ładujących skrzynię, współczując im nieco. Podobnie jak on sam byli bardzo daleko od domu.

Marion i Indy przemknęli za jakimiś beczkami, obserwując miotających się w popłochu Arabów i Niemców, którzy ładowali ciężarówkę. Twarze pociemniały im od dymu i pyłu wybuchów, a Marion, wyraźnie blada pod tą maską, wyglądała na skrajnie wyczerpaną.

– Cholernie długo to trwało - poskarżyła się.

– Wydostałem cię, prawda?

– W ostatniej chwili - odpowiedziała. - Dlaczego zawsze doprowadzasz wszystko do ostateczności?

Spojrzał na nią, potarł dłonią jej policzek, patrzył na sadzę, która wżarła się w jej skórę, a potem odwrócił się, by obserwować ciężarówkę.

– Wywożą gdzieś Arkę i to mnie w tej chwili najbardziej interesuje.

Grupa Arabów przebiegła w pobliżu. Wśród nich, ku swemu zadowoleniu i zdumieniu, dostrzegł Sallaha. Wystawił stopę i podstawił nogę Egipcjaninowi, który upadł i poderwał się od razu z wyrazem zachwytu na twarzy.

– Indy, Marion! Myślałem już, że was straciłem!

– Niewiele brakowało - odpowiedział Indy. - Co się dzieje?

Prawie nie zwracają uwagi na Arabów, przyjacielu. Uważają nas za ignorantów i głupców. Poza tym prawie nie potrafią odróżnić nas jednego od drugiego. Wymknąłem się i w ogóle nie zwrócili na to uwagi.

Przykucnął za beczkami oddychając ciężko.

– Przypuszczam, że to ty spowodowałeś wybuch?

– Zgadza się.

– Nie wiesz, że planują teraz wywiezienie Arki ciężarówką do Kairu?

– Do Kairu?

– Potem prawdopodobnie do Berlina.

– Wątpię w to - rzekł Indy. - Nie wyobrażam sobie, by Belloq pozwolił Arce dotrzeć do Niemiec, nim sam jej nie otworzy.

Odkryty dżip przejechał wzdłuż burty ciężarówki. Belloq i Dietrich wsiedli do niego za kierowcą i uzbrojonym strażnikiem. Dał się słyszeć odgłos stóp stąpających po piasku. Około dziesięciu żołnierzy pod bronią wspięło się na skrzynię ciężarówki z Arką.

– To beznadziejne - odezwała się Marion.

Indy nie odpowiedział. Patrz, nakazał sobie. Patrz i skoncentruj się. Myśl! Teraz podjechał drugi dżip z odkrytym dachem i zamocowanym z

tyłu karabinem maszynowym. W jego kabinie za kierownicą zasiadł Gobler. Miejsce obok niego zajął Arnold Toht.

Na jego widok Marion głośno wciągnęła powietrze.

– To potwór.

– Wszyscy są potworami - stwierdził Sallah.

– Potwory czy nie - odpowiedziała - sprawa wygląda teraz coraz bardziej beznadziejnie.

*Karabin maszynowy, uzbrojeni żołnierze, rozmyślał Indy. Może istniała jakaś szansa. Może nie musiał godzić się z bezradnością jako jedyną odpowiedzią. Obserwował wolno ruszający konwój, oddalający się po pustyni.*

– Ruszam za nimi - powiedział.

– Jak? - spytała Marion. - Potrafisz biec tak szybko?

– Mam lepszy pomysł - Indy wstał. - Wracajcie jak najszybciej do Kairu i zorganizujcie jakiś transport do Anglii, obojętnie, co: statek, samolot, cokolwiek.

– Dlaczego do Anglii? - spytała Marion.

– Nie ma bariery językowej i nie ma nazistów - powiedział Indy. Spojrzał na Sallaha. - Gdzie możemy się spotkać w Kairze?

Sallah zastanawiał się przez moment.

– Jest garaż Omara, w którym trzyma ciężarówkę. Znasz plac Wężów?

– Obrzydlistwo - powiedział Indy. - Ale takiego adresu nie zapomnę.

– Na Starym Mieście - dodał Sallah.

– Przyjdę.

Marion wstała.

– Skąd mogę wiedzieć, że dotrzesz tam bez szwanku.

– Zaufaj mi.

Pocałował ją, gdy złapała go za ramię.

– Zastanawiam się, czy nadejdzie w końcu czas, kiedy nie będziesz mnie ciągle zostawiał.

Wyswobodził się i zniknął między beczkami.

– Możemy pojechać moją ciężarówką - powiedział Sallah do Marion. - Jest wolna i bezpieczna.

Marion wpatrywała się w dal. Co było w Indym, co ją tak poruszało? Nie był właściwie czułym amantem, o ile w ogóle można było go tak nazwać. I pojawiał się w jej życiu i zniknął z niego jak skaczący tu i tam konik polny. Więc co to było, do licha? Są zagadki, których nigdy nie zgłębi się do końca. Których nawet nie chce się zgłębiać.

Indy wcześniej zauważył ogiery przywiązane do palików między opustoszałym lądowiskiem i terenem wykopalisk. Były dwa araby - jeden biały, drugi czarny - chronione przed słońcem zieloną plandeką. Teraz, pozostawiwszy Marion z Sallahem, biegł do nich w nadziei, że wciąż są na miejscu. Były. *Mój szczęśliwy dzień*, pomyślał.

Zbliżał się ostrożnie. Od lat nie jeździł konno i zastanawiał się, czy podobnie jak jazdy na rowerze, nigdy się tej umiejętności nie zapomina. Miał taką nadzieję. Czarny ogier, bijący kopytami w piasek i chrapiący, wspiął się na tylne nogi, gdy Indy podszedł bliżej. Drugi jednak patrzył łagodnie. Dosiadł go, złapał za wędzidło i poczuł jak zwierzę delikatnie sprężyło mięśnie i ruszyło w kierunku nakazanym ruchem wędzidła. *Ruszaj*, pomyślał Indy, i wyprowadził zwierzę spod płóciennej osłony, wbijając pięty w jego boki. Zmusił konia do galopu, pędzili przez wydmy, zagłębienia, rozpadliny. Koń poruszał się z wdziękiem, reagował na ruchy jeźdźca bez sprzeciwu. Musiał przeciąć drogę konwoju gdzieś na górskiej drodze do Kairu. A potem? Co tam!

Trzeba było wiele pozostawić improwizacji.

Czuł emocje polowania.

Konwój posuwał się wąską górską drogą, która prowadziła coraz wyżej, wijąc się serpentynami ponad przełęczami i przepaściami o głębokości wywołującej zawrót głowy. Indy na oklep na ogierze obserwował jego ruch. Jechali, mozolnie pnąc się w górę nieco poniżej miejsca, z którego patrzył. Faceci w ciężarówkach, umundurowane upiory, wciąż mieli broń w pogotowiu, a każdemu człowiekowi z bronią należy się zawsze ostrożny szacunek. Zwłaszcza gdy wspólnie tworzą małą armię, a ty, uzbrojony bardziej w odwagę niż rozum, jesteś sam na grzbiecie konia.

Zmusił zwierzę do zejścia w dół po stromym zboczu pokrytym krzakami oraz grudami ziemi i okruchami skał, a spod kopyt osuwały się drobne lawiny. Potem wpadł na drogę za dżipem zamykającym konwój. Cały czas miał nadzieję, że pozostanie niezauważony. *Marne szanse*, pomyślał.

Skłonił zwierzę do uniku w momencie, gdy jeden ze strzelców w samochodzie zamykającym konwój otworzył ogień i zasypał miękką nawierzchnię drogi gradem kul, które sprawiły, że koń zatańczył. Strzały odbiły się echem od otaczających górskich zboczy. Popędził ostrzej konia, zmuszając go do maksymalnego wysiłku i wyprzedził samochód. Ujrzał zaskoczone twarze siedzących w środku Niemców. Strzelec przekierował karabin i broń ponownie zaszczekała, a potem zatrzęsa się na podpórce pozbawiona amunicji wskutek bezskutecznego ostrzału, który miał usunąć z drogi mężczyznę na koniu. Toht, siedzący obok kierowcy, wyciągnął pistolet, ale Indy był już zasłonięty ciężarówką, wzdłuż której teraz galopował. Niemiec wystrzelił mimo wszystko. Strzały przebiły plandekę.

*Spróbuj teraz*, pomyślał Indy. Zeskoczył z grzbietu konia, przeleciał w powietrzu, schwycił za burtę samochodu i otworzył drzwi w momencie, gdy uzbrojony strażnik obok kierowcy próbował podnieść broń. Indy chwycił ją jednocześnie z nim i szarpał za karabin, a żołnierz sapał z wysiłku w walce, w której nie mógł wykorzystać swej przewagi,



wynikającej z posiadania broni. Indy skręcił mocniej i usłyszał niespodziewany, niemiły dźwięk łamanej kości i okrzyk bólu, po czym wypchnął strażnika z szoferki na drogę.

Teraz kolej na kierowcę.

W czasie, gdy Indy walczył z tęgim mężczyzną ze złotymi zębami, kierownica odbiła i ciężarówka skręciła w stronę przepaści. Indy złapał koło kierownicy i wyprowadził samochód na drogę; kierowca mocno uderzył go w twarz.

Indy'ego zamroczyło na moment. Kierowca starał się zahamować. Indy kopnął go w stopę. I znów walczyli, a kierownica kręciła się bezsensownie, wprawiając ciężarówkę w niekontrolowany ruch. W jadącym z tyłu dziupie Gobler musiał wykonać gwałtowny manewr, by uniknąć zderzenia. Skręt był tak ostry i niespodziewany, że strzelec z tyłu spadł z samochodu i poleciał w dół urwiska. Spadał jak obciążony ołowiem latawiec, z rozpostartymi ramionami, a wiatr rozwiewał mu włosy. Echo jego krzyku rozbrzmiało w kanionie poniżej drogi.

W dziupie na czele konwoju Belloq odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje. *Jones, pomyślał, to musi być Jones, wciąż próbujący zdobyć Arkę. Ta zdobycz nigdy nie będzie twoja, przyjacielu*, rzekł w duchu. Popatrzył na Dietricha, a potem ponownie za siebie, ale słońce uniemożliwiało zajrzenie do szoferki ciężarówki.

– Wydaje mi się, że mamy problem - powiedział obojętnym tonem Belloq.

Samochód wjechał na szczyt wzniesienia, wziął ostry zakręt, uderzył w delikatną barierkę na poboczu i wygiął ją. Kierowca zdołał zapanować nad pojazdem, a uzbrojony żołnierz z tyłu ustawił półautomatyczny karabin i wycelował w okno ciężarówki.

Belloq powstrzymał go.

– Jeśli strzelisz, możesz zabić kierowcę. Jeśli zabijesz kierowcę, egipska zdobycz twojego Fuhrera najprawdopodobniej wyląduje na dnie przepaści. Co ja im wtedy powiem w Berlinie?

Z niepokojem na twarzy Dietrich skinął głową.

– Czy to znowu twój amerykański przyjaciel, Belloq?

– Nie wiem, co chce w ten sposób osiągnąć - powiedział Belloq. - Ale trochę mnie to przeraża.

– Jeśli cokolwiek stanie się z Arką... - Dietrich nie dokończył zdania, ale równie dobrze mógł przeciągnąć palcem po gardle w znanym geście.

– Nic się nie stanie z Arką - zapewnił go Belloq.

Indy zaciskał teraz dłonie na szyi kierowcy i ciężarówka ponownie wymknęła się spod kontroli. Skręciła w stronę uszkodzonej barierki, uderzyła w nią, wyłamała ostatecznie i wzbiła tuman gęstego kurzu, nim Indy zdołał złapać za kierownicę i ponownie skierować samochód na środek drogi. Kurz oślepił Goblera i Tohta siedzących w ostatnim dżipie. Toht wciąż trzymał w ręku bezużyteczny pistolet.

Gobler zakaszłał. Usiłował mruganiem usunąć kurz z oczu. Ale mrugnął za późno. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, była zniszczona barierka, ostatnim dźwiękiem, który usłyszał - pełen przerażenia wrzask Tohta. Dżip, nieubłagany przyciągany do skraju drogi jak metalowy opilek do magnesu, przeleciał przez barierkę i wpadł w przepaść. Wydawało się, jakby zawisł na moment wbrew zasadom grawitacji, a potem zaczął spadać. Spadał, spadał i spadał, aż w końcu eksplodował kulą ognia po uderzeniu w zbocze przełęczy.

*Cholera*, pomyślał Indy. Za każdym razem, gdy atakował kierowcę, groziła im pewna śmierć. A ten facet był silny, tusza kryła silne mięśnie. Kątem oka Indy zauważył coś jeszcze. Spojrzał w boczne lusterko - żołnierze wspinali się po burcie ciężarówki z mieszaniną strachu i

determinacji i zmierzali w stronę kabiny. W dzikim przypływie energii Indy odepchnął mocno kierowcę, szarpnięciem otworzył drzwi i kopnięciem wypchnął go z szoferki. Mężczyzna potoczył się w kurzu z rozrzuconymi ramionami, krzycząc przeraźliwie.

*Przykro mi*, pomyślał Indy.

Złapał kierownicę i dodał gazu, doganiając dżipa. Nagle zapadła ciemność, gdy przejeżdżali przez krótki tunel. Kołysał ciężarówką na boki, ocierał burtami o ściany tunelu i słyszał krzyki żołnierzy przyciskanych do skały i spadających pod koła. Indy zastanawiał się, ilu jeszcze Niemców pozostało z tyłu ciężarówki. Nie dało się tego policzyć. Po wyjeździe z tunelu, ponownie w pełnym świetle dnia, uderzył w tylny zderzak dżipa i obserwował twarz Strzelca, który patrzył w górę - wpatrywał się w dach ciężarówki.

*Schrzanił sprawę*, pomyślał Indy. Jeśli na dachu ciężarówki są jeszcze żołnierze, to ten facet w tym momencie schrzanił wszystko. *Lepiej dmuchać na zimne*, pomyślał i nacisnął gwałtownie na hamulec, zablokował koła i zatrzymał ciężarówkę. Zobaczył dwa ciała spadające z dachu ciężarówki i uderzające z impetem w skalną ścianę.

Zjeżdżali teraz górską drogą w dół. Indy cisnął pedał gazu, popędzając dżipa, uderzał w jego tylny zderzak. *Miłe uczucie*, myślał, *ta świadomość, że nie zaryzykują próby zabicia cię z powodu drogocennego ładunku*. Spodobało mu się nagłe poczucie wolności. Raz za razem uderzał w tył dżipa i obserwował, jak Belloq i jego niemieccy przyjaciele podskakują i kołyszą się na siedzeniach. Wiedział jednak, że prędzej czy później będzie musiał ich wyprzedzić. Przed wjazdem do Kairu będzie musiał się znaleźć przed nimi.

Ponownie przyspieszył i uderzył w dżipa. Droga w miarę zjazdu z wzniesień wyrównywała się, w oddali, na razie jeszcze niewyraźnie,

widział mgiełkę miasta. Nadchodzi niebezpieczna, najgorsza część przedsięwzięcia. Gdyby nie obawa, że zobaczą, jak ciężarówka z ładunkiem spada w przepaść, prawie na pewno usiłowałiby go teraz zabić albo przynajmniej zepchnąć z drogi.

Jakby ponaglony tą myślą, w przypływie przewrotnej telepatii, uzbrojony żołnierz otworzył ogień. Kule karabinowe roztrzaskały szybę, rozerwały płótno, wbiły się głęboko w korpus ciężarówki. Indy słyszał ich świat wokół siebie, ale skulił się instynktownie. Teraz niewątpliwie musiał wyprzedzić dżipa. Droga nadal była kręta, wiła się ostrymi zakosami. *Trzymaj się*, nakazał sobie w duchu. *Trzymaj mocno i zrób to tutaj*. Ostro dodał gazu i skierował ciężarówkę w bok, słysząc kolejną serię wystrzałów. Uderzył w burtę dżipa i zobaczył, jak auto znika z drogi i zsuwa się w dół po krótkim nasypie.

Pierwszy krok zrobiony. Ale wiedział, że wrócą i znów będą go ścigać. Rzucił okiem w lusterko wsteczne, jasne, już są. Wspinali się na drogę, zawracali, ustawiali samochód i ruszali w pościg. Wcisnął gaz do dechy. *Daj z siebie wszystko*, zaklinał silnik. I już był na przedmieściach, a dżip trzymał się tuż za nim. Ulice miasta: zaczynał się kolejny etap gry.

Wąskie uliczki. Przejechał szybko, roztrzając zwierzęta i ludzi, przewracając stragany i kosze, niszcząc dobytek kupujących i sprzedawców, rozpędzając żebraków. Piesi umykali do bram, gdy zbliżała się ciężarówka. Uliczki i zaułki stawały się coraz węższe, rozglądał się za placem, przy którym Omar miał garaż, odtwarzając w pamięci topografię Kairu. Ślepy żebrak, który nagle jakimś cudem odzyskał wzrok, uskoczył z drogi, rzucając żebraczą miseczkę i podnosząc czarne okulary, by widzieć drogę.

Nie zwalniał pedału gazu. Dżip wciąż był blisko.

Skręcił kierownicę. Kolejny wąski zaułek. Osły uskoczyły sprzed maski, jakiś mężczyzna spadł z drabiny, dziecko w ramionach matki zaczęło donośnie płakać. *Przepraszam, pomyślał Indy. Zatrzymałbym się, żeby przeprosić osobiście, ale w tej chwili nie wydaje mi się to właściwe.*

Ciągle nie udawało mu się zgubić pościgu.

Nagle znalazł się na placu. Zobaczył szyld garażu Omara, szeroko otwarte wrota i szybko wprowadził ciężarówkę do środka. Drzwi zatrzasnęły się natychmiast, gdy z piskiem opon zahamował. Kilku arabskich wyrostków z miotłami i szczotkami zaczęło zacierać ślady samochodu, a Indy odchylony za kierownicą w ciemności garażu zastanawiał się, czy mu się udało.

Dżip zwolnił, przeciął plac i pojechał dalej. Belloq i Dietrich lustrowali ulice z wyrazem bezradności i straty na twarzach.

Z tyłu ciężarówki, bezpieczna w swojej skrzyni, Arka zaczęła prawie niedosłyszalnie szumieć. Brzmiało to tak, jakby samoczynnie włączyła się jakaś zamknięta i bezpieczna maszyna. Nikt nie usłyszał tego dźwięku.

Pod osłoną ciemności Sallah i Marion przyszedli do garażu. Indy zasnął na chwilę na legowisku przygotowanym przez Omara i zbudził się samotny i głodny w mroku i ciszy. Potarł oczy, gdy zapłonęła lampa pod sufitem. *Marion gdzieś umyła i rozczesała włosy i wygląda, no, po prostu olśniewająco,* pomyślał Indy. Stała nad nim, gdy otworzył oczy.

– Wyglądasz na nieźle zbitego - powiedziała.

– Kilka powierzchownych zadrapań - odpowiedział, siadając z jękiem. Poczuł, że boli go całe ciało.

Do pomieszczenia wszedł Sallah i Indy nagle zapomniał o zmęczeniu i bólu.

– Mamy statek - rzekł Sallah.

- Godny zaufania?
- Załoga to piraci, jeśli mogę użyć tego słowa w przenośni. Ale możesz im zaufać. Ich kapitan, Katanga, jest uczciwym facetem, bez względu na nieco wątpliwe interesy.
- Zabiorą nas i ładunek?
- Sallah skinął głową.
- Za określoną cenę.
- Jakżeby inaczej - Indy sztywno podniósł się z posłania. - Zaprowadźmy ciężarówkę do portu.
- Spoglądał przez chwilę na Marion i powiedział:
- Mam przeczucie, że ten dzień jeszcze się nie skończył.

W okazałym budynku niemieckiej ambasady w Kairze Dietrich i Belloq siedzieli razem w pokoju używanym przeważnie przez ambasadora, doświadczonego dyplomata, który przetrwał hitlerowskie czystki i który z najwyższą gotowością odstąpił im pomieszczenie. Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, a Belloq wpatrywał się w portret Hitlera. Dietrich niespokojnie palił egipskie papierosy.

Od czasu do czasu rozbrzmiewał dzwonek telefonu. Dietrich podnosił słuchawkę, odkładał, po czym potrząsał głową w kierunku Belloqa.

- Jeśli straciliśmy Arkę... - Dietrich zapalił kolejnego papierosa.
- Belloq wstał, przeszedł się po pokoju, machnął lekceważąco ręką.
- Nie dopuszczam tej myśli, Dietrich. Co się stało z waszą wspaniałą siatką szpiegowską w Egipcie? Dlaczego nie mogą znaleźć tego, co pańscy ludzie tak beztrąsko zgubili?
- Znajdą. Wierzę w to niezłomie.
- Wiara. Chciałbym sam ją mieć.

Dietrich przymknął oczy. Był znużony zgryźliwością Belloq, a jeszcze bardziej przerażony ewentualnością powrotu do Berlina z pustymi rękami.

– Nie mogę uwierzyć w taką niekompetencję - ciągnął Belloq.

– Jak człowiek działający w pojedynkę - w pojedynkę - zdołał zniszczyć cały konwój i zniknąć na ich oczach? Bzdura. Nie mogę w to uwierzyć.

– Słyszałem to już - powiedział znudzony Dietrich.

Belloq podszedł do okna i wpatrywał się w ciemność. Gdzieś pod jej osłoną krył się Jones. Jones był w posiadaniu Arki. Do diabła z nim! Nie można było teraz wypuścić z rąk Arki. Sama myśl o tym przyprawiała go o dreszcz, czuł, jak coś w nim samym się zapada.

Telefon zadzwonił ponownie, Dietrich podniósł słuchawkę, słuchał i jego zachowanie uległo zmianie. Odkładając słuchawkę patrzył na Francuza z lekkim wyrazem tryumfu.

– Mówiłem, że moja siatka coś wykryje.

– Udało się im?

– Według strażnika w porcie, jakiś Egipcjanin imieniem Sallah, przyjaciel Jonesa, wynajął statek handlowy *Wiatr Bantu*.

– To może być zasłona dymna - powiedział Belloq.

– Może. Ale warto sprawdzić.

– I tak nie mamy niczego innego - skonstatował Belloq.

– Więc chodźmy.

W pośpiechu opuścili ambasadę, ale w porcie dowiedzieli się, że frachtowiec odpłynął przed godziną. Port przeznaczenia nie był znany.

# Rozdział XI.

## Morze Śródziemne

W kabinie kapitańskiej na pokładzie *Wiatru Bantu* Indy rozebrał się do pasa, a Marion opatrywała mu rany za pomocą bandaża i jodyny. Patrzył na nią, gdy się krzątała, i zauważył sukienkę, w którą się przebrała. Suknia była biała, ze stójką, trochę przesadnie skromna. Uznał ją za na swój sposób atrakcyjną.

– Skąd to wytrzasnąłeś? - zapytał.

– W szafie jest cały zestaw garderoby - odpowiedziała. - Mam wrażenie, że nie jestem pierwszą kobietą, która podróżuje z tymi piratami.

– Podoba mi się.

– Czuję się w niej... mmmm... jak dziewczica.

– Myślę, że tak też wyglądasz.

Patrzyła na niego przez chwilę, przemywając jodyną ranę. Potem powiedziała:

– Dziewictwo jest jedną z tych ulotnych rzeczy, skarbie. Gdy je stracisz, już go nie ma. Jest raz na zawsze stracone.

Przestała go opatrywać, usiadła, nalała sobie rumu z butelki do małego kieliszka. Sączyła alkohol, przyglądając mu się, jakby chciała go zahipnotyzować znad kieliszka.

– Czy przeprosiłem cię za spalenie twojego baru? - odezwał się.

– Nie wydaje mi się. Czy podziękowałam ci za wyciągnięcie mnie z płonącego samolotu?

Potrząsnął głową.

– Jesteśmy kwita. Może powinniśmy uznać przeszłość za zamkniętą?

Długo milczała.



– Gdzie cię boli? - zapytała czule.

– Wszędzie.

Marion delikatnie pocałowała go w lewe ramię.

– Tutaj?

Indy lekko podskoczył w odpowiedzi.

– Tak, tu.

Marion nachyliła się bliżej.

– Gdzie nie boli? - i pocałowała go w łokieć. - Tutaj?

Skinął głową. Pocałowała go w czubek głowy. Wskazał na kark i pocałowała go w to miejsce. Potem czubek nosa, oczy. Potem dotknął ust, a ona go pocałowała, delikatnie ogarniając wargami jego wargi.

Była inna, zmieniła się. To już nie były te dzikie gesty, które poznał w Nepalu.

Zastanawiał się, co to było.

Zastanawiał się nad tą zmianą.

Zamknięta w skrzyni Arka leżała w ładowni. Jej obecność zaniepokoiła okrętowe szczury, skakały bezsensownie tam i z powrotem, drżące i z nastroszonymi wąsami. Ze skrzyni wydobywał się wciąż ten sam lekki poszum, cichy jak szept. Tylko szczury, obdarzone wyjątkowo czułym słuchem, słyszały go i były wyraźnie przerażone.

Gdy pierwszy blask świtu rozjaśnił morze, kapitan Katanga stał na mostku i palił fajkę, obserwując powierzchnię wody, jakby próbował dostrzec coś, co pozostawało niewidzialne dla szczurów lądowych. Słońce i słone bryzgi padały na jego twarz, pozostawiając białe ślady soli na ciemnej skórze. Coś wisiało w powietrzu, coś wyłaniało się z ciemności, ale nie był pewien, co to takiego. Zmrużył oczy, wpatrywał się w dal, ale nic nie

widział. Nasłuchiwał kojącego dźwięku zużytych silników i myślał o słabnącym sercu, które próbuje tłoczyć krew po starym organizmie. Na chwilę zatrzymał myśl na Indym i towarzyszącej mu kobiecie. Polubił obydwójce, a poza tym, byli przyjaciółmi Sallaha.

Ale coś w ładunku, coś w tej skrzyni, budziło jego niepokój. Nie był pewien, o co chodzi, wiedział tylko, że chętnie pozbędzie się jej, gdy nadejdzie czas. Ten sam niepokój odczuwał teraz, wpatrując się w wodny przestwór. Delikatny dreszcz. Coś nienamacalnego. Ale coś tam było. Coś się czało. Wiedział o tym, nawet jeśli niczego nie widział.

Czuł to równie wyraźnie jak sól w powietrzu, wyraźny zapach niebezpieczeństwa.

Obserwował przestrzeń z ciałem napiętym, jak człowiek gotów do skoku z trampoliny. Człowiek, który nie umie pływać.

Po przebudzeniu Indy obserwował przez chwilę Marion. Jeszcze spała, wciąż wyglądała dziewiczo w białej sukience. Twarz miała odwróconą nieco na bok, a usta lekko rozchylone. Potarł bandaż, pod którymi zaczynała go swędzieć skóra. Sallah był na tyle przewidujący, że dostarczył jego ubrania, więc przebrał się we własną koszulę, upewnił się, że bicz jest bezpiecznie umocowany na plecach, a potem naciągnął skórzaną kurtkę i pogładził rondo sfatygowanego filcowego kapelusza.

Czasem myślał, że kapelusz przynosi mu szczęście. Bez niego czułby się nagi.

Marion przewróciła się na łóżku, otwierając oczy.

– Jaki przyjemny widok - powiedziała.

– Nie czuję się przyjemnie - odpowiedział.

Spojrzała na bandaż i zapytała:

– Dlaczego zawsze pakujesz się w takie tarapaty?

Usiadła, przyglądając włosy i rozglądając się po kajucie.

– Cieszę się, że się przebrałeś. Nie byłeś przekonujący w roli Araba.

– Staralem się najlepiej jak umialem.

Ziewnęła, przeciągnęła się i podniosła z koi. Pomyślał, że jest coś zachwycającego w jej ruchach, w sposobie, w jaki go dotykała - dotykała jakby mimochodem, nie bezpośrednio. Ujęła jego rękę, pocałowała ją, a potem zaczęła spacerować po kajucie.

– Jak długo pozostaniemy na morzu?

– Pytasz dosłownie czy w przenośni?

– Jak chcesz, Jones.

Uśmiechnął się do niej.

A potem zdał sobie sprawę, że coś się stało. W czasie, gdy pogrążał się w introspekcji, silniki statku przestały pracować i parowiec zatrzymał się.

Podniósł się i pośpieszył do drzwi, wyskoczył na pokład i wpadł na mostek, gdzie Katanga wpatrywał się w morze. Kapitańska fajka zgasła, twarz Katangi była poważna.

– Musi pan być kimś bardzo ważnym, panie Jones - powiedział kapitan.

Indy wpatrywał się w dal. W pierwszej chwili niczego nie zauważył, ale patrząc w ślad za ręką Katangi dostrzegł, że *Wiatr Bantu* został otoczony przez watahę niemieckich łodzi podwodnych jak niewinna owieczka przez stado wygłodniałych wilków.

– Jasna cholera! - wykrzyknął.

– Jestem dokładnie tego samego zdania - powiedział Katanga.

– Musicie oboje szybko zniknąć. Mamy dla was kryjówkę, ale musicie się spieszyć. Bierz dziewczynę!

Było już za późno. Obaj zauważyli pięć tratw z uzbrojonymi żołnierzami, które otoczyły parowiec. Pierwsi naziści wspinali się już po zarzuconych drabinkach sznurowych. Odwrócił się i rzucił pędem do

kajuty. Myślał teraz przede wszystkim o Marion. Musiał być przy niej pierwszy. Za późno - w powietrzu rozbrzmiewał już tupot butów, niemieckie okrzyki, komendy. Przed sobą zobaczył Marion wywlekaną z kajuty przez dwóch żołnierzy. Pozostali wchodzili szybko na pokład, zgromadzili członków załogi w jednym miejscu i otoczyli ich z bronią gotową do strzału. Indy skrył się w cieniu i przemknął do wnętrza statku, znikając w labiryncie korytarzy.

Zanim zniknął, rozpaczliwie zastanawiając się nad sposobem wyjścia z pułapki, usłyszał jak Marion przeklina napastników i - mimo powagi sytuacji - uśmiechnął się. *Fajna babka, pomyślał, nigdy się nie poddaje.* Lubił ją za to.

Bardzo ją lubił.

Dietrich wszedł na pokład, za nim Belloq. Kapitan dał już załodze znak, by nie stawiała oporu. Ludzie wyraźnie rwali się do walki, ale okoliczności im nie sprzyjały. Stali więc ponuro szeregiem pod lufami niemieckich żołnierzy, a Belloq i Dietrich minęli ich, wykrzykując rozkazy i rozsyłając żołnierzy do przetrząśnięcia zakamarków frachtowca w poszukiwaniu Arki.

Marion obserwowała zbliżającego się Belloq'a. Poczowała ślad dawnego dreszczu, ale tym razem postanowiła z nim walczyć, zdecydowana nie ulec emocjom, które ten mężczyzna mógłby w niej obudzić.

– Moja droga - odezwał się Belloq - musisz uraczyć mnie opowieścią, nie wątpię, że prawdziwie epicką, o tym, jak udało ci się uciec ze Studni Dusz. Ale mogę poczekać.

Marion nie odpowiedziała. Czy ten ciąg zdarzeń nigdy się nie skończy? Indy najwyraźniej miał talent do ściągania kompletnego zniszczenia na wszystko, czegokolwiek się tknął. Obserwowała Belloq'a, który ujął ją delikatnie pod brodę. Odchyliła twarz. Uśmiechnął się.

– Później - powiedział, podchodząc do Katangi.

Miał zamiar coś powiedzieć, gdy jego uwagę przyciągnął jakiś dźwięk, i odwrócił się, widząc grupę żołnierzy wydobywających z ładowni skrzynię z Arką. Zwalczył niecierpliwość. Świat z wszystkimi prozaicznymi drobiazgami zawsze wkraczał w jego ambicje. Ale to się wkrótce skończy. Powoli, ale zdecydowanie odwrócił oczy od skrzyni, gdy Dietrich wydał rozkaz przeniesienia jej na pokład jednej z łodzi podwodnych.

Spojrzał na Katangę.

– Gdzie jest Jones?

– Nie żyje.

– Nie żyje? - powtórzył Belloq.

– A jaki był z niego pożytek? Zabiliśmy go. Wyrzuciliśmy ciało za burtę. Dziewczyna jest więcej warta na rynku, na którym pracuję. Ktoś taki jak Jones jest dla mnie bezużyteczny. Jeśli chodziło wam o jego ładunek, to zabierzcie go sobie i zostawcie nam dziewczynę. To zmniejszy nasze straty.

– Igrasz z moją cierpliwością - powiedział Belloq. - Chcesz, żebym uwierzył, że Jones nie żyje?

Zbliżył się Dietrich.

– W swojej sytuacji nie może pan o nic prosić, kapitanie. Decyzja należy do nas i zdecydujemy tak, jak chcemy, a potem zastanowimy się, czy wysadzić tę starą łajbę w powietrze.

– Dziewczyna pójdzie ze mną - odezwał się Belloq.

Dietrich potrząsnął głową.

Belloq mówił dalej.

– Uznaj ją za część mojego wynagrodzenia. Jestem pewien, że Fuhrer to zaakceptuje. Zważywszy, że mamy Arkę, Dietrich.

Dietrich się zawahał.

– Jeśli mnie nie zadowoli, to rzecz jasna możesz ją rzucić rekinom na pożarcie - dodał Belloq.

– Dobrze - powiedział Dietrich. Zauważył lekki wyraz powątpiewania na twarzy Belloqa, po czym gestem polecił zabrać Marion na pokład łodzi podwodnej.

Indy obserwował ich z kryjówki w wylocie wentylatora, skulony w niewygodnej pozycji. Żołnierskie buty nieprzyjemnie stukały w pokład tuż przy jego twarzy - ale nie został odkryty. Kłamstwo Katangi wydało mu się mało przekonującym, desperackim, choć miłym gestem. Ale zadziałało. Spoglądał na pokład i zastanawiał się, co dalej. Musiał się znaleźć w łodzi podwodnej, razem z Marion, razem z Arką. Ale jak? No właśnie, jak?

Belloq uważnie obserwował kapitana.

– Skąd mam wiedzieć, czy mówi pan prawdę o Jonesie?

Katanga wzruszył ramionami.

– Ja nie kłamię.

Wpatrywał się we Francuza, który wcale mu się nie podobał. Żał mu było Indy'ego, że ma takiego wroga.

– Czy wasi ludzie znaleźli go na pokładzie? - zapytał marynarz.

Belloq zastanawiał się nad tym. Dietrich potrząsnął przecząco głową.

– Zbierajmy się - odezwał się Niemiec. - Mamy Arkę. Żywy czy martwy, Jones już się nie liczy.

Twarz i ciało Belloqa stężały na moment. Potem jakby się odprężył i zszedł za Dietrichem po trapie.

Indy słyszał, jak tratwy odbijają od frachtowca. Potem szybko wyskoczył z kryjówki i pobiegł wzdłuż burty.

Na pokładzie łodzi podwodnej Belloq wszedł do kabiny radiowej. Nałożył słuchawki, sięgnął po mikrofon i nadał sygnał wywołania. Po chwili usłyszał zniekształcony zakłóceniami głos kogoś mówiącego z niemieckim akcentem.

– Kapitanie Mohler, mówi Belloq.

Głos był słabo słyszalny, odległy.

– Wszystko przygotowano zgodnie z pana ostatnim komunikatem, Belloq.

– Doskonale - Belloq zdjął słuchawki. Potem wyszedł z kabiny radiowej i poszedł do kajuty na dziobie, w której zamknięto kobietę. Wszedł do środka. Siedziała na koi z ponurym wyrazem twarzy. Nie podniosła głowy, gdy się do niej zbliżył. Wyciągnął rękę, dotknął lekko jej podbródka i przechylił twarz do góry.

– Masz ładne oczy. Nie powinnaś ich chować - powiedział.

Odwróciła twarz.

Uśmiechnął się.

– Myślałem, że moglibyśmy kontynuować nasze niedokończone sprawy.

Wstała z koi, przecięła kajutę.

– Nie mamy niedokończonych spraw.

– Moim zdaniem mamy.

Wyciągnął rękę i spróbował dotknąć jej dłoni; szarpnięciem uwolniła ramię.

– Opierasz się? Przedtem się nie opierałaś, moja droga. Skąd ta zmiana nastawienia?

– Sprawy się trochę zmieniły - odpowiedziała.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu i powiedział.

– Czujesz coś do Jonesa? O to chodzi?

Odwróciła twarz, patrząc nieobecny wzrokiem w kąt pokoju.

– Biedny Jones - powiedział Belloq. - Obawiam się, że jest skazany na ustawiczne klęski.

– Co to ma znaczyć?

Belloq podszedł do drzwi. Wychodząc z kajuty, odwrócił się.

– Nawet nie wiesz, moja droga, czy jest żywy czy martwy. Prawda?

Potem zamknął drzwi i wyszedł na wąski korytarz. Minęło go kilku marynarzy. Za nimi szedł Dietrich z gniewną, zaciętą miną. Ten widok ubawił Belloq: Dietrich wyglądał komicznie, jak rozgniewany dyrektor szkoły, który nie ma władzy, by ukarać krnąbrnego ucznia.

– Może się pan łaskawie wytłumaczy, Belloq.

– A co tu jest do tłumaczenia?

Wydawało się, że Dietrich walczy z chęcią uderzenia Francuza.

– Wydał pan odrębne rozkazy kapitanowi okrętu, by płynął do wskazanej bazy na wyspie przy afrykańskim wybrzeżu. Zdawało mi się, że mamy wrócić do Kairu i stamtąd samolotem przewieźć Arkę do Berlina. Dlaczego pozwolił pan sobie na zmianę rozkazów, Belloq? Czy nagle zaczęło się panu wydawać, że jest pan admirałem niemieckiej floty? Czy tak? Czy mania wielkości popchnęła pana aż tak daleko?

Mania wielkości - powtórzył Belloq, wciąż ubawiony zachowaniem Dietricha. - Nie sądzę, Dietrich. Moim celem jest otwarcie Arki, zanim zabierzemy ją do Berlina. Jak by się pan czuł, przyjacielu, gdyby w obecności Fuhrera okazało się, że Arka jest pusta? Nie chce się pan upewnić przed powrotem do Niemiec, że Arka kryje święte relikwie? Próbuję sobie wyobrazić to okropne rozczarowanie na twarzy Adolfa, gdyby niczego w Arce nie znalazł.

Dietrich wpatrywał się we Francuza. Jego gniew minął, wyparty przez wątpliwości, niedowierzanie.

– Nie ufam ci, Belloq. Nigdy ci nie ufałem.



– Dziękuję.

Dietrich milczał przez chwilę, po czym podjął wątek.

– Wydaje mi się dziwne, że chcesz otwierać Arkę na jakiejś odległej wyspie, zamiast wybrać dogodniejsze miejsce - choćby Kair. Dlaczego nie możesz zajrzeć do tego twojego świętego pudła w Egipcie, Belloq?

– To nie byłoby stosowne - odpowiedział Francuz.

– Możesz to wyjaśnić?

– Mógłbym - ale obawiam się, że nie zrozumiałbyś.

Dietrich wydawał się rozgniewany. Po raz kolejny jego autorytet został podważony - ale Francuz miał w Führerze sprzymierzeńca. Co miał zrobić w obliczu tego faktu?

Szybko odwrócił się i odszedł. Belloq obserwował go i przez dłuższą chwilę nie ruszał się. Nagle na myśl o wyspie poczuł napięcie wielkiego oczekiwania. Arkę można było otworzyć prawie wszędzie - pod tym względem Dietrich miał rację. Belloq sądził jednak, że właściwe było otwarcie jej na wyspie - miejscu, którego atmosfera jest przeniknięta duchem przeszłości, miejscu znaczącym historycznie. Tak, pomyślał Belloq. Otoczenie powinno być dopasowane do chwili. Musi być związek między Arką i jej otoczeniem. Nie może być inaczej.

Wszedł do małej ładowni, w której leżała skrzynia.

Patrzył na nią przez chwilę z pustką w głowie. *Jakie masz tajemnice? Co możesz mi powiedzieć?* Wyciągnął rękę i dotknął skrzyni. Czy tylko to sobie wyobraził, czy też rzeczywiście poczuł dobiegającą z wnętrza wibrację? Czy wyobraził sobie cichy dźwięk? Zamknął oczy z ręką wciąż spoczywającą na drewnianej pokrywie. Chwila intensywnego skupienia: widział wielką pustkę, najgłębszą ciemność, granicę, po której przekroczeniu znalazłaby się poza czasem i językiem. Otworzył oczy, palce mu drżały.

*Niedługo*, rzekł sam do siebie.

Niedługo.

Woda była zimna, kłębiła się wokół niego małymi wirami, wytworzonymi przez ruchy łodzi podwodnej. Indy wisiał na relingu, czuł ból mięśni, a mokry bicz stawiał w wodzie opór i zbyt ciasno przylegał do jego ciała. Mogłeś utonąć, pomyślał, i starał się przypomnieć sobie, czy utonięcie uchodziło za dobry sposób zejścia z tego świata. Zdecydowanie byłoby lepsze niż zawieszenie na relingu łodzi podwodnej, która mogła gwałtownie zejść w zanurzenie. I to w każdej chwili. Zastanawiał się, czy bohaterowie mogli wnioskować o premie emerytalne. Wydzwignął się i przerzucił ciało na pokład. Nagła świadomość go poraziła.

Kapelusz. Zginął.

*Nie bądź przesądny*, skarcił się w myślach. *Nie masz czasu na opłakiwanie utraconego szczęśliwego kapelusza.*

Okręt zaczął się zanurzać. Zauważalnie zagłębiał się pod wodę, jak ogromna metalowa ryba. Popędził wzdłuż pokładu po pas w wodzie. Sięgnął wystającego kiosku, potem zaczął się wspinać po drabince. Ze szczytu wieżyczki spojrział w dół: okręt nadal się zanurzał. Woda kipiała, dziko spieniona podnosiła się coraz wyżej. Kiosk zanurzał się coraz bardziej, po chwili zniknęła też antena radiowa. Ruszył przez wodę w kierunku peryskopu. Uwiesił się na nim, podczas gdy łódź nie przestawała schodzić pod wodę. Gdyby zanurzyła się całkowicie, byłby zgubiony. Peryskop także zaczął się obniżać. Wisiał na nim kurczowo, a on zniżał się z każdą chwilą coraz bardziej. *Proszę*, błagał w duchu, *proszę, już dość*. Ale takie niespodzianki spotykają każdego, kto próbuje podróżować na gapę niemiecką łodzią podwodną. Nie można oczekiwać czerwonego chodnika na powitanie.

Zmarznięty, drżący, wisiał uczepiony peryskopu, aż nagle, jakby litościwe bóstwo oceanu wysłuchało jego modłów, okręt przestał się zanurzać. Nad powierzchnią wystawał zaledwie metr peryskopu. Ale metr to był wystarczający powód do wdzięczności. Potrzebował metra, by przeżyć. *Nie zanurzaj się głębiej*, poprosił w myślach. I w tym momencie zdał sobie sprawę, że wypowiada te słowa nie w myślach, ale głośno. W innych okolicznościach to byłoby nawet zabawne - próba prowadzenia rozsądnej konwersacji z kilkoma tonami porządnej niemieckiej stali. *Musiałem zwariować. Na pewno. I to są halucynacje. Morski obłąd.*

Indy wydobył bicz i zaczepił się do peryskopu w nadziei, że gdyby zasnął, nie obudzi się na ciemnym dnie oceanu albo - co gorsza - w brzuchu wieloryba.

Przeniknął go chłód. Starał się powstrzymać szczykanie zębami. A nasiąknięty wodą bicz wrzynał mu się boleśnie w ciało. Usiłował zachować czujność, gotowy na wszystko, co mogło się wydarzyć - ale ciążyło mu zmęczenie, a najatrakcyjniejszą perspektywą wydawał się sen.

Zamknął oczy. Usiłował myśleć o czymś, o czymkolwiek, co uchroniłoby go przed upadkiem, ale to nie było łatwe. Zastanawiał się, dokąd zmierza łódź. Śpiewał bezgłośnie dziecinne piosenki. Próbował przypomnieć sobie wszystkie znane numery telefonów. Rozmyślał o dziewczynie imieniem Rita, z którą kiedyś omal się nie ożenił, zastanawiając się, gdzie teraz jest? *Miałem wtedy szczęście*, pomyślał.

Ale był bardzo zmęczony i myśli krążyły bez celu.

Zapadł w sen mimo zimna, mimo niewygody. Zapadł w sen bez marzeń, w sen głęboki jak śmierć.

Gdy się ocknął, było jasno i nie wiedział, jak długo spał. Czy przespał cały dzień? Nie czuł własnego ciała, które całkowicie zdrętwiało. Skórę

miął rozpulchnioną pod wpływem słonej wody, a opuszki palców miękkie i pomarszczone. Poprawił bicz i rozejrzał się dookoła. Przed sobą zobaczył łąd, jakąś wyspę pokrytą subtropikalną roślinnością. Pomyślał, że to halucynacja. Patrzył na obfite listowie. Zieleń: cudowna, głęboka i kojąca. Łódź podwodna zbliżała się do wyspy, wpływając w zatokę, która wydawała się jaskinią. Wewnątrz Niemcy zbudowali podziemną bazę zaopatrzeniową i dok dla łodzi podwodnej. A w doku było więcej umundurowanych nazistów niż na każdej z norymberskich imprez Hitlera.

Jak miał przemknąć niezauważony?

Szybko uwolnił się ze splotu bicza i zsunął do wody. Zanurzył się całkowicie i zorientował się, że bicz pozostał zaczepiony do peryskopu. Bicz i kapelusz: to był niewątpliwie dzień pożegnań z ukochanymi przedmiotami.

Popłynął w kierunku wyspy, starając się pozostawać pod wodą jak najdłużej. Zobaczył, że okręt wynurza się wpływając do doku. Po chwili Indy już potykał się na piasku, zadowolony, że czuje grunt pod stopami, nawet jeśli miał to być jakiś nazistowski raj. Brnął przez piasek plaży do wzniesienia, z którego miał dobry widok na dok. Pod nadzorem Belloqa z okrętu wydobyto skrzynię. Francuz sprawiał wrażenie, jakby obawiał się, że ktoś upuści jego cenną zdobycz. Pochylał się nad skrzynią jak chirurg nad umierającym pacjentem.

A potem zobaczył Marion w otoczeniu gromady umundurowanych głupców, którzy popychali ją przed sobą.

Usiadł na piasku uderzony szumem narastającym na krawędzi wydm.

*Natchnienie, pomyślał. Tego mi teraz trzeba.*

*W dużych ilościach.*

## Rozdział XII.

### Wyspa na Morzu Śródziemnym

Późnym popołudniem Belloq spotkał się z Mohlerem. Nie był zachwycony pomysłem włączenia Dietricha do rozmowy. Ten cholernik na pewno zacznie zadawać pytania, a jego niecierpliwość zaczęła się już udzielać Belloqowi, jakby była zaraźliwa.

Zaczął kapitan Mohler.

- Wszystko zostało przygotowane zgodnie z pana instrukcjami, Belloq.
- Niczego nie przeoczono?
- Niczego.
- Więc Arkę trzeba teraz przewieźć na miejsce.

Mohler spojrzął przelotnie na Dietricha. Potem odwrócił się i zaczął obserwować grupę żołnierzy wstawiających skrzynię do dżipa.

Dietrich, który milczał do tej pory, oburzył się.

- Co to znaczy? O jakich przygotowaniach wy bez przerwy gadacie?
- Nie musi pan sobie tym zaprzątać głowy, Dietrich.
- Zaprzątam sobie głowę wszystkim, co dotyczy tej przeklętej Arki.
- Zamierzam otworzyć Arkę - powiedział Belloq. - Ale są pewne...

Pewne warunki wstępne związane z tym aktem.

- Warunki wstępne? Jakie na przykład?
- Nie powinien pan się tym przejmować, przyjacielu. Nie chciałbym być odpowiedzialny za nadmierne obciążanie pana, i tak już przepracowanego, umysłu.

– Oszczędź sobie tego sarkazmu, Belloq. Czasem odnoszę wrażenie, że zapominasz, kto tu dowodzi.

Belloq przez chwilę przyglądał się skrzyni.

– Musi pan zrozumieć. To nie tylko akt otwarcia skrzyni, Dietrich. Jest z tym związany określony rytuał. Nie mamy do czynienia ze skrzynką granatów, rozumie pan? To nie jest zwykłe przedsięwzięcie.

– Jaki rytuał?

– Zobaczy pan we właściwym czasie, Dietrich. Ale nie ma powodów do niepokoju.

– Jeśli cokolwiek stanie się z Arką, Belloq, *cokolwiek*, osobiście założę ci stryczek. Zrozumiałeś?

Belloq skinął głową.

– Pana troska o Arkę jest wzruszająca. Ale nie ma powodów do niepokoju. Będzie bezpieczna i zostanie ostatecznie dostarczona do Berlina, aby pański Fuhrer mógł dołączyć kolejny eksponat do swojej uroczej kolekcji. Tak?

– Będzie lepiej, jeśli dotrzyma pan słowa.

– Na pewno, na pewno.

Belloq spojrzał na skrzynię z Arką, po czym przeniósł wzrok na dżunglę w tle strefy doków. Gdzieś tam znajdowało się miejsce, w którym Arka miała zostać otwarta.

– Dziewczyna - odezwał się Dietrich. - Nie lubię niezłatwionych spraw. Co zrobimy z dziewczyną?

– Zakładam, że mogę to pozostawić w pana rękach - odpowiedział Belloq. - Nie ma dla mnie znaczenia.

*Nic, pomyślał, nic nie ma teraz znaczenia prócz Arki. Dlaczego zawracał sobie głowę jakimiś uczuciami wobec dziewczyny? Dlaczego choćby w najmniejszym stopniu zawracał sobie głowę, by ją chronić? Ludzkie uczucia nie miały żadnej wartości w porównaniu z Arką. Wszelkie ludzkie uczucia znikają. Żywa czy martwa, jakie to miało znaczenie?*

Odczuwał ten sam rozkoszny dreszcz oczekiwania, co przedtem. Trudno, cholernie trudno było odwrócić oczy od Arki. Skrzynia leżała na samochodzie i emanowała magnetyczną siłą. *Poznam twoje tajemnice, pomyślał.*

*Poznam wszystkie twoje tajemnice.*

Indy okrążał drzewa na krawędzi terenu doków. Obserwował Marion, która w otoczeniu dwóch nazistów wsiadała do samochodu. Dżip odjechał w głąb dżungli. Belloq i Niemiec wspięli się do drugiego auta i ruszyli wolno za samochodem z Arką. *Dokąd, do diabła, jadą?*, zastanawiał się Indy. Zaczął powoli przedzierać się między drzewami.

Niemiec pojawił się nieoczekiwanie. Sięgnął do kabury, ale nim zdołał wyciągnąć pistolet. Indy podniósł gałąź i uderzył go mocno w poprzek krtani. Niemiec, młody blondyn, sięgnął palcami do gardła, jakby był zaskoczony, a z ust pociekła mu krew. Indy uderzył go ponownie, tym razem w głowę, i pochylił się nad ciałem. *Do czego może się przydać nieprzytomny nazista, pomyślał.*

Przez chwilę wpatrywał się w Niemca i nagle nadeszło olśnienie.

Dlaczego nie?

Właściwie dlaczego nie?

Dżip, którym jechali Belloq z Dietrichem, poruszał się wolno wzdłuż kanionu.

Nie jestem zadowolony z tego rytuału - powiedział Dietrich.

*Wkrótce będziesz jeszcze bardziej niezadowolony, pomyślał Belloq. Przebieg tego, co tak pospolicie nazywasz rytuałem, zabije ci niezłego ćwieka, przyjacielu.*

– Czy to konieczne?

– Tak - potwierdził Belloq.

Dietrich po prostu wpatrywał się w skrzynię w samochodzie przed nimi.

– Może pocieszy pana perspektywa, że Arka jutro trafi w ręce Fuhrera.

Dietrich westchnął.

Ten Francuz był szalony, był o tym przekonany. Gdzieś po drodze Arka odebrała mu resztki rozumu. Widać to w jego oczach, słyhać w osobliwym sposobie mówienia, który pojawił się w ciągu ostatnich dni, i czuć w wykonywanych bez przerwy, dziwnie nerwowych gestach.

Dietrich wiedział, że nie odzyska spokoju dopóty, dopóki po pomyślnym zakończeniu misji nie znajdzie się z powrotem w Berlinie.

Dzisiaj wjechał teraz na polanę wypełnioną namiotami i siatkami maskującymi, barakami, samochodami, masztem radiowym. Kręcący się wszędzie żołnierze stwarzali wrażenie mrówczej aktywności. Dietrich dumnie obejrzał bazę, ale Belloq wydawał się obojętny na wszystko. Francuz spoglądał za polanę, na kamień piętrzący się z drugiej strony - skalną iglicę wysokości około dziesięciu metrów z niewielką platformą na szczycie. Na zboczach jakieś pradawne plemię, dawno wymarły lud, wyrębał prymitywne stopnie. Widok przypominał ołtarz - i to właśnie przyciągnęło uwagę Belloqa. Ołtarz, naturalne ukształtowanie skał, które mogło zostać stworzone przez Boga w konkretnym celu otwarcia Arki.

Przez chwilę nie mógł wymówić ani słowa. Patrzył na skałę, aż kapitan Mohler podszedł do niego i klepnął go w ramię.

– Chce się pan teraz przygotować?

Belloq skinął głową. Poszedł za Niemcem do namiotu. Rozmyślał o wymarłym plemieniu, które wyrzeźbiło schody, pozostawiło tu i ówdzie rozproszone na wyspie własne relikty w postaci zniszczonych posągów, przedstawiających zapomniane bóstwa. Religijne odniesienia tego miejsca



były idealne: Arka znalazła miejsce godne swego własnego splendoru. Było właściwe, żadne inne nie mogło być odpowiedniejsze.

– Biały, jedwabny namiot - powiedział Belloq. Dotknął delikatnej materii.

– Jak pan polecił - potwierdził Mohler.

– Dobrze, dobrze - rzekł Belloq i wszedł do środka. Skrzynia leżała na środku na podłodze. Podniósł wieko i zajrzał do wnętrza. Ceremonialna szata była pokryta wyszukany haftem. Zaskoczony pochylił się, by jej dotknąć, a potem spojrzał na Niemca.

– Wykonał pan starannie moje rozkazy. Cieszy mnie to.

Niemiec trzymał coś w ręce: wykonaną z kości słoniowej laskę długości około półtora metra. Podał ją Belloqowi, który przesunął palcem po intarsjowanym ornamencie.

– Doskonale - powiedział. - Arkę należy otworzyć z zachowaniem świętych rytuałów, prętem z kości słoniowej. A osoba otwierająca Arkę musi być ubrana w te szaty. Dobrze się pan spisał!

Niemiec uśmiechnął się.

– Nie zapomni pan o naszej małej umowie.

– Obiecuję - powiedział Belloq. - Gdy wrócę do Berlina, osobiście opowiem Fuhrerowi o pana najwyższych kwalifikacjach.

– Dziękuję.

– To ja dziękuję panu - powiedział Belloq.

Niemiec przyglądał się przez chwilę szatom.

– Sprawiają wrażenie, jakby były żydowskie.

– Powinny, przyjacielu. One są żydowskie.

– Zyska pan wielką popularność, pokazując się w tych szatach.

– Nie jestem zainteresowany udziałem w konkursie popularności, Mohler.

Mohler obserwował, jak Belloq narzuca szatę przez głowę, patrzył, jak ozdobny brokat opada wokół niego. Nastąpiła całkowita przemiana, Francuz wyglądał jak święty. *Cóż*, pomyślał Mohler, *szata czasem czyni człowieka*. Poza tym, nawet jeśli był stuknięty, to i tak miał dostęp do Hitlera - a o to w końcu chodziło.

– Czy na zewnątrz jest już ciemno? - zapytał Belloq. Czuł się dziwnie, daleki od samego siebie, jakby jego własna tożsamość zaczynała się rozpadać, a on sam stawał się obcy w swoim ciele, które było coraz mniej znajome.

– Wkrótce - odpowiedział Niemiec.

– Musimy zacząć o zachodzie słońca. To ważne.

– Zanieśli Arkę na platformę, jak pan sobie życzył, Belloq.

– Dobrze.

Dotknął szaty, wypukłego haftu, zdobiącego materię. Belloq - nawet własne nazwisko wydało mu się obce. Miał wrażenie, jakby jakaś niematerialna, duchowa siła zaczęła go pochłaniać. Wydawało mu się, że unosi się poza własnym ciałem - to wrażenie było tak silne i tak nieuchwytnie jak reakcja narkotyczna.

Sięgnął po laskę z kości słoniowej i wyszedł z namiotu.

Prawie wszędzie niemieccy żołnierze przerwali pracę i odwrócili się w jego stronę. Poczł delikatne negatywne wibracje odrzucenia, gniewną reakcję na swoje szaty. W pewnym momencie to odczucie dotarło do niego z nieco większego oddalenia. U jego boku kroczył Dietrich i coś mówił. Belloq musiał się mocno skoncentrować, by zrozumieć jego słowa.

– Żydowski rytuał? Oszalałeś, człowieku?

Belloq nie odpowiedział. Podązał w stronę podstawy historycznych schodów. Słońce, ginące w eksplozji kolorów, wisiało nisko nad

horyzontem, zalewając wszystko oszałamiającym pomarańczowym, czerwonym i złocistym blaskiem.

Podszedł do pierwszego stopnia, obrzucając szybkim spojrzeniem niemieckich żołnierzy. Zapalono mocne reflektory oświetlające schody i Arkę. Patrząc na nią, Belloq był przekonany, że słyszy dobiegający od niej szum. I był prawie pewien, że zaczęła się z niej wydobywać jakaś poświata. Ale w tym momencie wydarzyło się coś, co go rozproszyło, przywołało z powrotem do rzeczywistości; jakiś ruch, jakiś cień, nie był pewien. Rozejrzał się i zauważył, że jeden z żołnierzy zachowuje się dziwnie, porusza ukradkiem. Miał hełm przechylony pod dziwnym kątem, jakby starał się ukryć twarz. Ale nie to wprawilo Belloqa w roztargnienie, raczej dziwne wrażenie, że zna tego człowieka.

Co? Jak? Wpatrywał się w żołnierza i zauważył, że ugina się on pod ciężarem granatnika, którego nie dostrzegł wcześniej w gasnącym świetle dnia. Ale co znaczyło to dziwne uczucie mrowienia? Ciemność przeniknęła jego myśli. Ciemność, która rozjaśniła się w momencie, gdy żołnierz zdjął hełm i wycelował granatnik w górę schodów w kierunku Arki. Arki, która została wydobyta ze skrzyni i na skalnej platformie wydawała się bezbronna.

– Stać - krzyknął Indy. - Jeśli ktoś się poruszy, odeślę tę skrzynię z powrotem Mojżeszowi.

– Jones, twoja wytrwałość mnie zdumiewa. Wystawiasz złe świadectwo najemnikom - powiedział Belloq.

Wtrącił się Dietrich.

– Doktorze Jones, z pewnością nie sądzi pan, że zdoła się pan wydostać z tej wyspy.

– To zależy od tego, jak rozsądnie wszyscy się zachowamy. Ja chcę tylko dziewczynę. Zatrzymamy Arkę do momentu, gdy bezpiecznie znajdziemy

się w Anglii. Potem będzie wasza.

– A jeśli odmówimy? - dopytywał Dietrich.

– Wtedy Arka i niektórzy z nas przeniosą się na łono Abrahama. I nie wydaje mi się, by Hitlerowi się to spodobało.

Indy zaczął przesuwając się w stronę Marion, która szarpała więzy.

– Dobrze wyglądasz w tych niemieckich łachach - powiedział Belloq.

– Tobie też do twarzy w tej szacie - zrewanżował się Indy.

Ale do akcji włączył się ktoś jeszcze. Z tyłu ktoś zbliżał się do Indy'ego, a w momencie, gdy dziewczyna krzyknęła ostrzegawczo, Belloq rozpoznał Mohlera. Kapitan rzucił się na Indy'ego i wytrącił mu broń. Jones - szarmancki w uczuciach, pomyślał Belloq, i odważny do szaleństwa - rzucił się z pięściami na oficera, a potem kopnął go kolanem w krocze. Mohler jęknął i upadł, ale Indy był już otoczony przez grupę żołnierzy i mimo że walczył zaciekle, kopiąc i bijąc pięściami na oślep w kłębówisku ciał, hełmów i butów, musiał ulec przewadze. Belloq potrząsnął głową i uśmiechnął się blado. Popatrzył na Indy'ego, przytrzymywanego przez żołnierzy.

– Dobra robota, Jones. Dobra próba.

A potem przez szpaler żołnierzy przepchnął się Dietrich.

– Głupio, bardzo głupio - powiedział. - Nie mogę uwierzyć w taki upór.

– Staram się z tym walczyć - powiedział Indy. Szarpał się z przytrzymującymi go żołnierzami, ale bezskutecznie.

– Mam na to sposób - ciągnął Dietrich i z uśmiechem wyciągnął z kabury pistolet.

Indy spojrzał na broń, potem przeniósł spojrzenie na Marion, która zacisnęła powieki i łkała urywanie.

Dietrich podniósł pistolet i wycelował.

Czekaj!

Głos Belloq'a był donośny, uroczysty, a jego twarz wyglądała nieziemsko w intensywnym świetle przenośnych reflektorów. Dietrich opuścił broń.

A Belloq przemawiał:

– Ten człowiek irytował mnie przez wiele lat, pułkowniku Dietrich. Czasami, przyznaję, bawił mnie. I mimo że także chciałbym być świadkiem jego końca, pragnę, by odniósł jeszcze jedną, ostatnią klęskę. Niech pozostanie przy życiu dopóty, dopóki nie otworzę Arki. Niech żyje tak długo. Jakiegokolwiek skarby kryje Arka, nie uzyska do nich dostępu. Nie pozna jej zawartości. Podoba mi się ten pomysł. Oto zdobycz, o której marzył przez lata - i nigdy się do niej nie zbliży. Gdy otworzę Arkę, może pan z nim zrobić, co pan chce. A na razie niech pan go przywiąże obok dziewczyny.

I Belloq roześmiał się głuchym śmiechem, którego echo rozbrzmiało w ciemności.

Indy został zaciągnięty w pobliże posągu i przywiązany do niego, plecami do Marion.

– Boję się, Indy - powiedziała.

– To najważniejszy moment.

Arka zaczęła szumieć i Indy odwrócił się, by obserwować Belloq'a, który po stopniach zbliżał się do ołtarza. Z odrazą myślał o rękach Belloq'a na pokrywie Arki, o tym, że Francuz ją otwiera. *Zdobycz*. A on nic nie zobaczy. Życie przebiega ci pod znakiem stałej ambicji osiągnięcia jakiegoś celu, a potem, gdy jest w zasięgu ręki, masz go przed oczami, bum, zostaje ci tylko gorzki smak klęski. Jak możesz patrzeć na szalonego Francuza, który w szatach jak średniowieczny rabin zbliża się do Arki?

A jak mógłby nie patrzeć?

– Myślę, że zginiemy, Indy - odezwała się Marion. - Chyba że coś wymyśliłeś.

Indy prawie jej nie słyszał i nic nie odpowiedział. Pojawił się inny dźwięk, coś zaczęło wdzierać się do jego świadomości - niski i uporczywy szum, który wydobywał się z Arki. Co to mogło być? Patrzył na Belloqę, który zbliżał się do platformy.

- Więc jak się stąd wydostaniemy? - ponownie spytała Marion.
- Bóg wie.
- To gra słów? - zapytała.
- Może.
- To najgorszy moment na kiepskie dowcipy, Jones - odwróciła się do niego, pod oczami miała ciemne kręgi zmęczenia. - Ale Kocham cię za to.
- Naprawdę?
- Czy Kocham? Jasne.
- To uczucie jest chyba odwzajemnione - powiedział Indy, sam trochę zaskoczony.
- Ale też chyba skazane na klęskę - stwierdziła Marion.
- Zobaczymy.

Przypominając sobie słowa starego hebrajskiego zaklęcia, znalezione na pergaminie z wizerunkiem głowicy berła Ra, Belloq zaintonował je niskim, monotonnym głosem. Recytował je, wspinając się po schodach, słysząc towarzyszący mu dźwięk Arki, jej szum. Moc Arki, potężna moc Arki. Krążyła w żyłach Belloqę, oszłamiając go, domagając się zrozumienia. Moc. Poznanie. Zatrzymał się w pobliżu szczytu schodów wciąż śpiewając, ale nie słyszał już własnego głosu. Szum narastał, potężniał, wcinął się w ciemność, wypełniał ciszę. Francuz wspiał się jeszcze kawałek, dotarł na szczyt, spojrzął na Arkę. Mimo kurzu wieków, mimo zapomnienia, był to najpiękniejszy przedmiot, jaki kiedykolwiek w życiu widział. Emanowała poświatą jakby płonęła, początkowo słabo, a

potem - w miarę, jak się w nią wpatrywał - coraz mocniej. Przepęniało go przecucie cudu, wizja aniołów, lśnienie złota, wewnętrzny blask. Hałas także wnikał w niego, wstrząsał nim i budził zaskoczenie. Czuł jak przenika go drżenie, jak gdyby miał się rozpaść i wibrując odlecieć w przestrzeń. Ale nie było przestrzeni, nie było czasu; całe jego jestestwo zostało zdefiniowane przez Arkę, wyznaczone przez tę pamiątkę, narzędzie ludzkiej komunikacji w Bogiem.

*Przemów do mnie.*

*Powiedz mi, co wiesz, wyjaw mi sekrety bytu.*

Jego własny głos wydawał się dobywać z każdej części ciała, ustami, porami skóry, komórkami krwi. I wzbijał się, unosił, oderwany od otaczającego go surowego logicznego porządku świata, zaprzeczający prawom wszechświata. *Przemów do mnie. Powiedz mi.* Podniósł pręt z kości słoniowej, wsunął jego koniec pod pokrywę i z wysiłkiem popchnął, by ją unieść. Szum stał się głośniejszy, zagłuszał wszystko. Nie słyszał eksplozji reflektorów poniżej skalnej platformy, nie widział deszczu szklanych odłamków, lecących w ciemność jak bezwartościowe diamenty. Ten szum to głos Boga, pomyślał. *Przemów do mnie. Przemów do mnie.* W pewnym momencie, zmagając się z pokrywą, poczuł się nagle pusty, jakby do tej chwili nigdy wcześniej nie istniał, jakby wszystkie jego wspomnienia zostały wymazane, pusty i osobliwie spokojny, pełen pokoju, odczuwający jedność z otaczającą go nocą, połączony wszystkimi możliwymi więzami z wszechświatem. Związany z kosmosem, z całą tą materią, unoszącą się, rozprężającą i kurczącą w najdalszych estuariach przestrzeni, z eksplodującymi gwiazdami, wirującymi planetami, a nawet z niepoznawalną ciemnością nieskończoności. Przestał istnieć. Kimkolwiek Belloq był, już nie istniał. Był teraz niczym: istniał jedynie jako dźwięk, wydobywający się z Arki. Głos Boga.

– Otwiera ją - powiedział Indy.

– Ten dźwięk - odezwała się Marion. - Chciałabym móc zatkać uszy. Co to za hałas?

– Arka.

– Arka?

Indy myślał o czymś, o jakimś zatartym wspomnieniu, czymś, co przelotnie zagościło kiedyś w jego umyśle. Co to było? Co? Coś, co niedawno usłyszał. *Co? Arka. Miało coś wspólnego z Arką. Co to było?*

*Arka, Arka, spróbuj sobie przypomnieć!*

Na górze na platformie Belloq usiłował unieść wieko. Reflektory wybuchały z gwałtownymi rozpryskami pękającego szkła. Nawet księżyc, widoczny teraz na nocnym niebie, wydawał się bliski eksplozji i roztrzaskania na odłamki. Cała noc była jak wielka bomba z krótkim lontem, zapalonym lontem - pomyślał Indy. Co to było? Co próbuję sobie przypomnieć?

Wieko się odsuwało.

Belloq, spocony pod ciężkimi szatami, manipulował prętem z kości słoniowej, nie przestając wygłaszać zaklęcia, które teraz zagłuszał hałas wydobywający się z Arki. Ta chwila. Moment prawdy. Objawienie. Tajemnicza sieć boskości. Jęknął i odsunął pokrywę. Odkoczyła od razu, a światło, wydobywające się z wnętrza Arki oślepiło Francuza. Ale nie cofnął się, nie odsunął, nie poruszył. Światło hipnotyzowało go z taką samą mocą, z jaką oddziaływał na niego dźwięk. Nie był w stanie się poruszyć. Mięśnie skamieniały. Ciało odmówiło posłuszeństwa. *Wieko Arki.*

Była to ostatnia rzecz, którą zobaczył.



Bo potem noc wypełniła się wylatującymi z Arki ognistymi językami, kolumnami płomienia, które przebijały ciemność, eksplozjami ognia, sięgającymi do nieba. Biały krąg światła otoczył wyspę ognistym pierścieniem, światło rozpaliło wody oceanu i wzbudziło strumienie piany, zmuszając wody przyływu do wzbicia się wysoko w ciemność. *Światło, to było światło pierwszego dnia wszechświata, światło nowości, światło nowo narodzonych dzieł, światło uczynione przez Boga: światło Stworzenia.* I przebiło Belloqę twardą jasnością diamentu, blaskiem przewyższającym nędzne ograniczenia wszelkich drogocennych kamieni. Wryło się w jego serce, zdruzgotało go. I było czymś więcej niż światłem: było bronią, siłą, która przeniknęła przez Belloqę i oświetliła go mocą miliarda świec: był biały, pomarańczowy, błękitny, porażony szalonym prądem, który wydostawał się z Arki.

Uśmiechnął się.

Uśmiechnął się, bo przez moment to on *był* mocą. Moc go wchłonęła. Nie było rozróżnienia między człowiekiem i siłą. Ten moment minął. Jego oczy oderwały się od oczodołów, pozostawiając w czaszce puste, czarne jamy, a skóra zaczęła się oddzielać od ciała, zwijając jak pod wpływem osobliwego trądu, rozpadając się, płonąc, łuszcząc i czerniejąc. Wciąż się uśmiechał. Uśmiechał się nawet wówczas, gdy zaczął się zmieniać z istoty ludzkiej w coś tkniętego boską mocą, boskim gniewem, co w ciszy przemieniło się w warstwę pyłu.

Kiedy światła zaczęły przebijać ciemność, gdy całe niebo wypełniła potęga Arki, Indy - oślepiiony mocą - mimowolnie zamknął oczy. I w tym momencie przypomniał sobie, przypomniał sobie to, co mu wcześniej umknęło: wieczór spędzony w domu imama.

*Ten, kto otworzy Arkę i uwolni zamknięte w niej moce zginie, jeśli na nie spojrzy...* I poprzez hałas, w oślepiającym blasku białych kolumn światła, przy których bladły gwiazdy, zawołał do Marion:

– Nie patrz! Nie otwieraj oczu!

Odwróciła twarz od pierwszego wybuchu, błysku ognia, a potem, nawet jeśli jego polecenie ją zdumiało, zacisnęła mocno powieki. Bała się, była przerażona. Mimo to chciała patrzeć. Ciągnęło ją do tego wspaniałego niebiańskiego płomienia, do tego szalonego zniszczenia owej nocy.

– Nie patrz! - Indy nie przestawał powtarzać tych słów nawet wówczas, gdy czuła że jej wola słabnie.

Nie przestawał tego powtarzać. Wykrzykiwał to pełnym głosem.

Noc, jak turbina, szumiała, ryczała, wyła. Światła przecinające mrok wydawały się źródłem dźwięków.

*Nie patrz, nie patrz, nie patrz!*

Piętrząca się wieża płomieni siała zniszczenie. Wisiała w przestworzach jak cień bóstwa, płonący, potężny cień, zbudowany nie z ciemności, lecz ze światła, czystego blasku. Wisiała tam piękna i monstualna i oślepiła każdego, kto na nią spojrzał. Wyrywała oczy z oczodołów żołnierzy. Przemieniała ludzi w umundurowane szkielety, zasypując ziemię kośćmi, czarnymi plamami spalenizny, pokrywając wszystko ludzkimi szczątkami. Wyspa płonęła, drzewa padały z korzeniami, łodzie się wywracały, a sam dok rozpadał. Wszystko się zmieniało. Ogień i światło niszczyły, jakby były samym gniewem, który nigdy nie miał zostać ukojony.

Posąg, do którego byli przywiązani Indy i Marion, został zgruchotany, pokruszył się i rozpadł. A potem wieko Arki zatrzasnęło się i ponownie noc stała się nocą, a wody morza się uciszyły. Indy zwlekał długo z otwarciem oczu.

Arka lśniła na górze swoim blaskiem.

Lśniła z intensywnością, która sugerowała ciszę pełną zaspokojenia i ostrzeżenie, ostrzeżenie podszyte groźbą.

Indy spojrział na Marion.

Rozglądała się w milczeniu, patrząc na dzieło Arki. Zgliszcza, ruina, śmierć. Otworzyła usta, ale nie wypowiedziała słowa.

Nie było nic do powiedzenia.

Nic.

Ziemia wokół nich nie została poruszona. Została nietknięta. Podniosła twarz w stronę Arki.

Bardzo wolno sięgnęła po rękę Indy'ego i mocno ją ścisnęła.

# Epilog.

## Waszyngton, D.C.

Światło słoneczne wlewało się przez okno biura pułkownika Musgrove'a. Na zewnątrz, po przeciwległej stronie gęstego trawnika, ciągnął się szpaler drzew czereśniowych, a jaskrawoniebieskie poranne niebo było czyste, bezchmurne. Musgrove siedział przy biurku. Eaton ustawił krzesło z boku biurka. W pokoju był jeszcze jeden mężczyzna, który stał opierając się o ścianę i nie wypowiedział ani słowa; otaczała go ponura anonimowość biurokraty. *Mógłby mieć na czole odbity stemplem napis Potężny Urzędnik Rządowy*, pomyślał Indy.

– Doceniamy pana pomoc - powiedział Musgrove. - Co do wynagrodzenia, zakładamy, że było satysfakcjonujące?

– Indy skinął głową i spojrzał najpierw na Marion, a potem na Marcusa Brody'ego.

Brody odezwał się.

– Nie rozumiem jednak, dlaczego muzeum nie może otrzymać Arki?

– Jest w bezpiecznym miejscu - odpowiedział wymijająco Eaton.

– To potężna moc - powiedział Indy. - Trzeba ją zrozumieć. Przeanalizować. To nie przelewki, zdaje pan sobie sprawę.

Musgrove skinął głową.

– Nasi najlepsi ludzie nad tym pracują.

– Proszę ich wymienić.

– Ze względów bezpieczeństwa, nie mogę tego zrobić.

– Arka została przeznaczona dla muzeum. Zgodził się pan na to. A teraz opowiada nam pan coś o najlepszych ludziach. Tu jest Brody, jeden z

najlepszych specjalistów. Dlaczego nie ma szansy współpracy z waszymi najlepszymi ludźmi?

– Indy - odezwał się Brody - daj spokój. Odpuść.

– Nie odpuszczę - odpowiedział Indy. - Ta sprawa kosztowała mnie utratę ulubionego kapelusza, to tak na początek.

– Zapewniam pana, Jones, że Arka jest dobrze strzeżona. A jej moc - jeśli możemy przyjąć pana opis tego zjawiska - zostanie poddana analizie w stosownym trybie.

– W stosownym trybie - powtórzył Indy. - To mi przypomina listy, które dostaję od swoich prawników.

– Proszę posłuchać - powiedział Brody ze znużeniem w głosie - chcemy tylko, by Arka trafiła do muzeum. Chcemy też uzyskać jakieś zapewnienie, że w czasie, gdy będzie w waszym posiadaniu, nie ulegnie trwałym uszkodzeniom...

– Ma je pan - powiedział Eaton. - Jeśli chodzi o przekazanie Arki do muzeum, obawiam się, że musimy przemyśleć ponownie nasze stanowisko.

Cisza. Tykanie zegara. Anonimowy biurokrata bawił się spinkami przy mankietach.

Indy odezwał się spokojnie, kończąc rozmowę.

– Nie wiecie, co macie, prawda?

Podniósł się i pomógł Marion wstać z krzesła.

– Oczywiście pozostaniemy w kontakcie - powiedział Eaton. - Miło, że państwo przyszli. Doceniamy wasze zasługi.

Na zewnątrz, w ciepłym blasku słońca Marion ujęła Indy'ego pod ramię. Brody szurał nogami obok nich. Marion odezwała się pierwsza.

– Cóż, nic ci nie powiedzą, więc może powinieneś zapomnieć o Arce i żyć dalej, Jones.

Indy spojrział na Brody'ego. Wiedział, że został pozbawiony czegoś, co powinno było stać się jego własnością.

– Myślę, że mają swoje powody, żeby nie oddać Arki. Ale to wielkie rozczarowanie - powiedział Brody.

Marion zatrzymała się, uniosła stopę i podrapała się w kostkę. Powiedziała do Indy'ego:

– Pomyśl dla odmiany o czymś innym.

– Na przykład?

– Na przykład o tym - powiedziała i pocałowała go.

– To nie Arka - rzekł z uśmiechem - ale będzie musiało wystarczyć.

Drewniana skrzynia była oznakowana na pokrywie napisem ŚCIŚLE TAJNE, WYWIAD WOJSKOWY, 9906753, NIE OTWIERAĆ. Leżała na ręcznym wózku, pchanym przez pracownika magazynu. Ledwie zwracał na nią uwagę. Jego świat był wypełniony takimi skrzyniami, oznakowanymi bez sensu. Liczby, liczby, tajne kody. Uodpornił się całkowicie na te hieroglify. Interesowała go tylko cotygodniowa wypłata. Był stary, przygarbiony i niewiele rzeczy mogło go zaskoczyć. Z pewnością żadna z tych skrzyń. Setki wypełniały magazyn, ale żadna nie budziła jego ciekawości. Zresztą nikogo nie interesowały. O ile wiedział, nikt nigdy nie zadał sobie trudu otwarcia którejkolwiek z nich. Składowano je i ustawiano jedna na drugiej w piramidy do sufitu. Skrzynie, skrzynie, setki, tysiące skrzyń. Pokrywające się kurzem, oplatane pajęczyną. Mężczyzna pchnął wózek i westchnął. Jakie znaczenie miała jeszcze jedna skrzynia? Znalazł dla niej miejsce, umieścił w luce między innymi skrzyniami, a potem zatrzymał się i wsunął palec w ucho. Cholera, pomyślał. Będę musiał zrobić badanie słuchu.

Był przekonany, że słyszy jakiś szumiący dźwięk.



JAMES KAHN

*INDIANA JONES*

# I ŚWIĄTYNIA ZAGŁADY

(INDIANA JONES AND THE TEMPLE OF DOOM)

Tłumaczenie: Bartłomiej Madejski



Wydawnictwo  
Dolnośląskie

Wydawnictwo Dolnośląskie: 2008



# Rozdział I.

## Ze smoczej paszczy

*Szanghaj, 1935*

W zadymionym klubie nocnym panowała atmosfera zepsucia. Wytworne damy i elegancy panowie ze wszystkich stron świata - także goście o mniej wyszukanych manierach, łącznie z tymi, o których nie upomniaby się żadna ambasada - wszyscy oni siedzieli ubrani w szykowne stroje przy stolikach rozstawionych wokół parkietu. Długonogie dziewczęta sprzedające papierosy, portierzy o ponurych twarzach, wyfraczeni kelnerzy, stonowany śmiech i głośny rechot, szampan i fałszywe obietnice oraz dym opiumowy sączący się z niektórych papierosów nadawały atmosferze specyficzny charakter. Było to miejsce pełne zepsucia w czasach upadku, choć wciąż jeszcze *tres gai*, jak uczta, po której miał nastąpić koniec świata. Kilka lat później świat stanął w ogniu wojny.

Po bokach sali, za secesyjnymi krzywiznami i orientalnymi łukami, kryły się loże. Do niektórych z nich prowadziło po kilka stopni. Z tyłu był bar. Z przodu, obok drzwi do kuchni, znajdowało się podium dla orkiestry, a przy nim, tuż za parkietem do tańca - scena.

Po obu jej bokach widać było dwie olbrzymie postacie wyrzeźbione z drewna - chińscy wojownicy, siedzący niedbale na tronie ze złotym mieczem w ręce, z zimnym uśmiechem przyglądali się zabawie.

Obok rzeźby z lewej, tuż nad podłogą, zwisał z sufitu na grubych sznurach olbrzymi gong. Płaskorzeźba na jego powierzchni przedstawiała rozgniewanego smoka unoszącego się nad wielką górą. Obok gongu stał

potężnie zbudowany mężczyzna w szarawarach z ramionami skrzyżowanymi na nagiej piersi.

Pośrodku sceny umieszczono głowę wielkiego smoka. Szeroko otwarta paszcza była zwrócona ku publiczności, a wyłupiaste, przerażające oczy patrzyły na boki. Czułki z *papier-mache* podrygiwały niezgrabnie w rytm dźwięków dobiegających z sali, a lampiony udające łuski sięgały kurtyny.

Nagle z paszczy zaczął wydobywać się dym.

Pólnagi mężczyzna w szarawarach z namaszczeniem uderzył w gong.

Ognistoczerwone światło rozświetliło dym wydobywający się z paszczy smoka. Dym spłynął po stopniach ze sceny na parkiet, a orkiestra zaczęła grać.

Wtedy w paszczy wykrzywionej w dzikim grymasie pojawiła się kobieta.

Miała dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat, zielononiebieskie oczy i włosy w kolorze ciemnoblonde. Jej ciało opinała dopasowana sukienka zapięta pod szyją, ozdobiona czerwonymi i złotymi cekinami. Efektu dopełniały kolorystycznie dopasowane rękawiczki, szpilki i kolczyki w kształcie motyla. Zawahała się przez chwilę, wyciągnęła rękę, chwytając nieśmiało jeden ze smoczych zębów nad głową i zrobiła krok na zewnątrz, zmysłowo wyginając ciało. Nazywała się Willie Scott i była zniewalająco piękna.

Kilkanaście tancerek zbiegło po stopniach po obu stronach smoczej głowy. Za wachlarzami skrywały pięknie wymalowane twarze. Miały na sobie kimono w złotym kolorze sięgające ud, ukazujące coś więcej niż tylko jedwabne pończochy. Willie zaczęła śpiewać:

*Ji uang si-i ua je kan dao*

*Zin li bian jao la dżin tian zi*

*Dao*

*Wszystko może się zdarzyć.*

Większość obecnych nie zwróciła na nią uwagi, ale Willi się tym nie przejęła. Z profesjonalną sprawnością poruszała się po stopniach, śpiewając, lecz jej myśli błąkały się wśród kłębow dymu zasnuwającego scenę i zbierającego się wokół głowy bestii jak smocze marzenia. W jej marzeniach podejrzana knajpa w Szanghaju zamieniła się w wielką scenę, a tancerki za nią były zespołem rewiowym; była w Stanach, była wielką gwiazdą, bogatą i uwielbianą, oszłamiająco piękną i niezależną, i...

Dym rozwiął się trochę i Willie wróciła do rzeczywistości.

*Idioci, pomyślała. Za głupi, żeby docenić prawdziwą sztukę, nawet, kiedy im się ją położy na talerzu pod samym nosem.*

Dyrygent dał jej znak i zaczęła śpiewać refren po raz ostatni. Wyciągnęła czerwony szal i zasłoniła nim twarz, skrywając pogardę w oczach.

*Wszystko może się zdarzyć!*

Orkiestra zagrała ostatni akord i tłum zaczął klaskać. Willie skłoniła się. Trzej mężczyźni przy stoliku stojącym tuż obok parkietu klaskali uprzejmie. Udało im się nawet wykrzywić twarze w udawanym uśmiechu. Był to gangster Lao Che i jego dwaj synowie.

Paskudni dranie nienagannie ubrani według najnowszej mody *beau monde*.

Willie mrugnęła do nich okiem, a właściwie do Lao Che, który był jej aktualnym źródłem utrzymania.

Skinął głową w jej kierunku, lecz wtedy coś zwróciło jego uwagę i nagle spochmurniał. Willie, wbiegając po stopniach w kierunku kulis, podążyła za jego wzrokiem.

Był to mężczyzna, który właśnie wszedł do klubu i schodził po schodach z tyłu sali. Miał na sobie smoking - białą marynarkę z czerwonym goździkiem w klapie - czarne spodnie, kamizelkę, muszkę i buty.

Zauważyła, że zachowuje się bardzo swobodnie. Poczła do niego nieufność, zastanawiając się, czy nie jest kimś w rodzaju policjanta.

Zza kulisy zobaczyła, jak już na dole powitał go kelner. Pomyślała tylko: *Ładny jest, ale na pewno przynosi pecha.*

Indiana Jones wyszedł z rikszy i wszedł na schody prowadzące do Klubu Obi Wan, kiedy występy dobiegały końca. Zobaczył jeszcze, jak tancerki ubrane w czerwono-złote stroje wybiegają za kulisy przy wtórze głośnych oklasków. Uśmiechnął się do siebie: *Ależ, drogie panie, nie uciekajcie teraz, kiedy właśnie przyszedłem.*

Szedł po schodach swobodnym krokiem, lecz rozglądał się dookoła czujnym wzrokiem skradającego się kota.

Wnętrze nie zmieniło się od czasu, kiedy widział je ostatnim razem: rozpustny tłum, bezmyślna zabawa, umierające plemię. Nie był nawet pewny, czy jeśli ktoś taki jak on za tysiąc lat zacznie tu wykopaliska, będzie w stanie na podstawie odnalezionych przedmiotów wyobrazić sobie świat istniejący w tym miejscu. *A raczej półświatek*, pomyślał, a jego wzrok padł na stół, przy którym siedział Lao Che.

Na dole podszedł do niego kelner. Był młody, choć zaczynał już łysieć. W drobnym ciele kryła się jakaś siła. Był na wpół Chińczykiem, na wpół Holendrem i nazywał się Wu Han.

Skłonił się lekko przed Indianą z pustym, uprzejmym uśmiechem na twarzy i rzekł tak cicho, że tylko Jones mógł go usłyszeć:

– Bądź ostrożny.

Indy kiwnął głową w zamyśleniu; ruszył w kierunku Lao Che i jego ludzi, którzy wyprostowali się za stołem na jego widok. Oklaski dobiegły końca.

– Witam, doktorze Jones - powiedział Lao Che.

– Miło mi, panie Lao Che - rzekł Indiana Jones.

Lao dobiegał pięćdziesiątki. Miał tłuste policzki i duży brzuch - rezultat życia w luksusie - lecz pozostał twardy jak zawsze. Ubrany był w czarny smoking, czarną koszulę i biały krawat. Oczy gada przykrywały ciężkie powieki. Na małym palcu lewej dłoni miał pozłacany sygnet z herbem królewskiej dynastii Chang, co Indy zauważył z zawodowym zainteresowaniem.

Po lewej siedział jego syn, Kao Kan, młodsza wersja ojca, równie potężnie zbudowany, niewzruszony i bezwzględny. Po prawej siedział drugi syn, Chen, wysoki i chudy. Jak duch. Biały szalik zwisający luźno wokół jego szyi przywiódł Indy'emu na myśl poszarpany materiał, który czasem widywał owinięty wokół pomarszczonych, wysuszonych zwłok.

Lao uśmiechnął się do Indy'ego.

– *Nee czin lie hau ma?*

Chen i Kao Kan uśmiechnęli się złowrogo.

Indy odwzajemnił uśmiech.

– *U a dżung hau, nee na? U a huey hung dżung czy dża luni kao su ua szu szu* - rzekł, obracając żart Lao Che przeciw niemu.

Trzej mężczyźni siedzieli w milczeniu. Lao spojrzał na Indy'ego z nienawiścią.

– Nie wiedziałem, że mówi pan po chińsku.

– Nie lubię się popisywać - odparł z Indy z kamienną twarzą.

Pojawili się dwaj ochroniarze, obszukali go szybko' i zniknęli.

Nie spodobało mu się to, ale tego się spodziewał. Usiadł naprzeciw Lao.

Kelner postawił na stole koło Lao Che duży półmisek z kawiozem i wiaderko z butelką szampana.

Na twarz władcy przestępczego świata powrócił uśmiech.

– Zamówiłem kawior i szampan, żeby uczcić tę wyjątkową okazję.

Wpatrywał się w Indy'ego w niezwykłym skupieniu i dodał:

– A więc to prawda, panie doktorze. Odnalazł pan Nurhaczego.

Indy pochylił się lekko nad stołem.

– Pan wie, że tak. Wczoraj jeden z pańskich chłopców chciał mi go zabrać, nie płacąc.

Kao Kan położył lewą dłoń na stole. Choć była owinięta bandażem, widać było, że brakuje palca wskazującego.

Lao Che kiwnął głową, gotując się ze złości.

– Znieważył pan mojego syna.

Indy wyprostował się.

– Nie, to pan znieważył mnie. Ale darowałem mu życie.

Lao wpatrywał się w Indy'ego wzrokiem kobry.

– Panie doktorze. Chcę mieć Nurhaczego.

Położył plik banknotów na obrotowej tacy pośrodku stołu i obrócił ją, tak że pieniądze znalazły się naprzeciw Indy'ego.

Indy położył dłoń na banknotach, sprawdzając grubość pliku, przeliczył na dolary i ocenił, że to za mało. O wiele za mało. Obrócił tacę w kierunku Lao i potrząsnął głową.

– To nie pokrywa nawet moich kosztów, panie Lao. Wydawało mi się, że mam do czynienia z uczciwym przestępcą.

Kao Kan i Chen zaklęli ze złością po chińsku. Chen uniósł się za stołem.

Nagle na ramieniu Lao pojawiła się dłoń w eleganckiej rękawiczce. Indy przeniósł wzrok na twarz kobiety stojącej za plecami Lao Che, a ona spojrzała wprost na niego.

– Nie przedstawiś nas sobie? - rzekła cicho.

Lao Che machnięciem ręki kazał usiąść Chenowi.

– Panie doktorze, to jest Willie Scott - rzekł. - Willie, to Indiana Jones, sławny archeolog.

Willie obeszła stół, podchodząc do Indy'ego, który wstał, żeby się z nią przywitać. Przyjrzeni się sobie uważnie, podając sobie dłonie.

Spodobała mu się jej twarz. Była naturalnie piękna, choć nosiła ślady nieprzyjemnych wydarzeń z przeszłości, jak drogi kamień odsłonięty przez wodę, jak nieoszlifowany diament bez oprawy. Wpiętą we włosy przezroczystą klamerkę w kształcie motyla Indy zinterpretował jako oznakę ekstrawagancji albo wręcz lekkomyślności. To, że miała rękawiczki potraktował jako ostrzeżenie: *Umiem trzymać dystans*. Pachniała drogimi perfumami i miała na sobie wyszywaną cekinami suknię pod szyję z długim, naprawdę długim, rozcięciem na plecach. Indy pomyślał, że znaczy to, iż kiedy się zdecyduje, zostawia po sobie miłe wspomnienia. Była z Lao Che, a to oznaczało, że musi być ostrożny.

Willie od razu rozpoznała w nim mężczyznę, który pojawił się pod koniec występu. Jej pierwsze wrażenia potwierdziły się. Przystojny, ale zupełnie nie na miejscu przy tym stole. Nie potrafiła się jednak zdecydować, gdzie jest jego miejsce. Archeolog? To nie ma sensu. Na podbródku miał interesującą bliznę. Ciekawe, skąd się wzięła. Była znawczynią interesujących blizn. No i miał ładne oczy, choć nie mogła dojrzeć, jakiego są koloru. Jakby zielono-brązowo-szaro-niebieskie ze złotymi błyskami, czyste, twarde i skryte. Niedobrze. Tak czy inaczej, czuła, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Powoli przeniosła wzrok z blizny na brązowe oczy.

– Myślałam, że archeolog to taki mały człowieczek szukający mamy - zażartowała.

– Mumii - poprawił ją.

Usiedli.

Lao przerwał tę krótką wymianę zdań.

– Doktor Jones odnalazł dla mnie Nurhaczego i właśnie chce mi go dać.

Zanim Indy odpowiedział, poczuł, a potem zobaczył, że Kao Kan celuje do niego z pistoletu. Postanowił nie czekać, aż broń przemówi, chwycił długi widelec ze stojącego obok wózka kelnerskiego. Willie nie przestała mówić.

– Kto to jest Nurhaczy? - spytała niewinnie, wciąż nieświadoma zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Chwilę potem już wiedziała. Indiana przyciągnął ją do siebie i wcisnął widelec w jej bok.

Willie wstrzymała oddech i rzekła do siebie: *Wiedziałam. Wiedziałam, że tak będzie.* I zwróciła się do Lao cichym, choć pełnym napięcia głosem:

– Lao, on przyłożył mi widelec do boku.

Indy odezwał się spokojnym głosem do Kao Kana:

– Synku, odłóż pistolet - i przycisnął mocniej widelec.

Willie poczuła, jak zęby widelca wchodzą w jej skórę. Z trudem ukrywając strach, powtórzyła:

– Lao, on przyłożył mi widelec do boku.

Prawdę mówiąc, wątpiła, że zrobi jej krzywdę, choć nigdy nic nie wiadomo, kiedy chłopcy wyciągają swoje zabawki.

Lao Che spojrzał na syna i ten opuścił broń.

Indy ciągnął dalej:

– Proponuję, żeby dał mi pan to, co mi się należy, albo wszystko może się zdarzyć. Zgodzi się pani? - zwrócił się do Willie.

– Tak - wyszeptała lodowatym tonem.

– Niech mu pani powie - zaproponował.

– Zapłać mu - rzekła do Lao.

Bez słowa Lao wyjął z kieszeni mały woreczek, położył go na tacy i obrócił nią, przesuując woreczek w ich kierunku. Indy kiwnął głową, a



wtedy Willie wzięła woreczek i wysypała z niego na stół garść złotych monet.

Indy rzekł z kamienną twarzą:

– Brylant, Lao. Umówiliśmy się, że dostanę brylant.

Lao uśmiechnął się, bezradnie poruszył ramionami, wyjął z kieszeni srebrne pudełko i położył je na tacy.

Kiedy Indiana wpatrywał się w pudełko, Kao Kan z małej buteleczki wysypał do kieliszka z szampanem biały proszek. Gdy pudełeczko i monety przejeżdżały koło niego, postawił na tacy kieliszek.

Kiedy pudełko do nich dotarło, Willie otworzyła je. Wewnątrz leżał ciężki, lecz delikatny brylant.

– Lao - wyszeptła.

Brylanty zachwycaly ją i zniewalały. Były twarde, lecz piękne, przezroczyste i mieniące się wszystkimi kolorami, były magicznym odbiciem jej duszy. A przede wszystkim były bardzo praktyczne. Taki brylant mógł uczynić ją bogatą, mógł uniezależnić ją od drani takich, jak ci szurnięci faceci przy stole.

Indy wbił widelec w stół i chwycił kamień, odpychając Willie tak mocno, że aż usiadła na krześle. Spojrzała na niego zimnym wzrokiem.

– Ty zmij.

W końcu dotarło do niej, jakiego koloru są jego oczy.

Nie zwracał na nią uwagi, oglądając klejnot. Doskonale oszlifowany, a każda fasetka odpowiadała innej płaszczyźnie starożytnego wszechświata. Był bez skazy, wspaniały, przezroczysty. Uniwersytet od lat poszukiwał tej błyskotki.

– A teraz - wyszczał Lao Che - daj mi Nurhaczego.

Indy skinął na Wu Hana, kelnera, który przywitał go przy wejściu do klubu. Wu Han podszedł. Na lewym ramieniu przewiesił lnianą serwetkę, a

w prawej ręce trzymał tacę. Pośrodku tacy leżała mała, jaspisowa szkatułka.

Narastająca ciekawość przeważała nad gniewem Willie. Pieniądze, złote monety, klejnoty, groźby. A teraz ten wspaniały drobiazg.

– Kto to jest ten Nurhaczy? - zażądała odpowiedzi.

Indy wziął szkatułkę od Wu Hana, położył na tacy i obrócił nią, posyłając cacko w kierunku Lao Che.

– Proszę - rzekł z uśmiechem.

Willie patrzyła, jak szkatułka mija ją, zmierzając do Lao Che.

– Jakiś taki mały - wymamrotała.

Lao chwycił szkatułkę. Jego synowie pochylili się nad nią. Lao odezwał się z szacunkiem cichym głosem, jakby mówił do siebie.

– Wewnątrz tej świętej trumny znajdują się szczątki Nurhaczego, założyciela dynastii mandżurskiej.

Indy chwycił kieliszek z szampanem i uniósł go we wspaniałomyślnym toaście.

– Witamy w domu, stary - rzekł i opróżnił kieliszek.

*Prochy?*, pomyślała Willie. *To o to całe to zamieszanie? O prochy?*. Jeżeli o nią chodzi, rozpamiętywanie przeszłości nie przynosiło żadnych korzyści. Jej gramatyka znała tylko czas teraźniejszy i przyszły. Cała reszta w najlepszym wypadku była nudna. Willie zabrała się do poprawiania makijażu.

Lao spojrział na Indy'ego z szerokim uśmiechem.

– A teraz oddaj mi brylant.

Indy poczuł, że opadła go fala gorąca. Pociągnął za kołnierzyk, próbując go poluzować.

– Podziwiam pańskie specyficzne poczucie humoru. Chyba że zaczynam mieć kłopoty ze słuchem.

Lao uniósł małą, niebieska fiolkę. To zainteresowało Willie. *Jeszcze jakieś skarby?*, pomyślała.

– Co to jest?

– Odtrutka - rzucił Lao.

– Odtrutka na co? - spytał Indy z podejrzliwością w głosie. Nagłe zaczął mieć złe przeczucia.

– Na truciznę, którą pan właśnie wypił - rzucił Lao z szyderstwem w głosie.

Willie nagle poczuła niepokój.

– Trucizna! - krzyknęła zachrypniętym głosem. - Co ty wyrabiasz, Lao? Ja tu pracuję.

Zrozumiała, że już niedługo.

Indy włożył palec do kieliszka i potarł szkło. Na dnie zalegał osad.

– Trucizna szybko działa, panie doktorze - zarechotał Lao.

Indy położył brylant na stole i wyciągnął rękę.

– No, Lao. Dawaj.

Chen chwycił brylant i spojrzał w jego lśniąca głębię. Twarz wykrzywił mu uśmiezek złośliwej satysfakcji. Odłożył brylant i zakręcił tacą, posyłając go do Lao Che. Kiedy mijał Willie, chwyciła go i zaczęła mu się dokładnie przyglądać. Nigdy przedtem nie miała w ręce tak dużego brylantu. Tak doskonałego. Czują, jak mruczy w jej dłoni.

Lao przestał interesować się brylantem, wciąż wpatrzony w szkatułkę leżącą przed nim.

– Nareszcie mam prochy mego szlachetnego przodka.

Indy poczuł niepokój. Przed oczami zaczęły mu tańczyć żółte plamy.

– Lao, odtrutka.

Lao nie zwrócił na niego uwagi.

Sprawy przybierały zły obrót. Jones poczuł się słaby, tracił kontrolę nad sytuacją. Szybko chwycił za widelec i ponownie przycisnął go do żeber Willie.

– Lao - wycharczał.

– Lao - zawtórowała mu Willie.

Lao Che, Kao Kan i Chen roześmieli się.

– Weź ją sobie - powiedział Lao. - Znajdę sobie inną.

Willie patrzyła na Lao wzrokiem kogoś, kto zaczyna rozumieć coś, co już od dawna podejrzewał.

– Ty draniu - powiedziała.

Wu Han nagle zrobił krok do przodu i uśmiechnął się do Lao.

– Proszę - rzekł.

Obrócili się i zobaczyli w jego dłoni broń przysłoniętą tacą przed wzrokiem pozostałych gości. Pistolet był wycelowany wprost w Lao Che.

– Wspaniała obsługa - rzucił Indy.

Do Willie dotarło nagle, że to nie kelner. Widelec wciąż wpijał się w jej bok. Wszyscy byli napięci i nie wiedziała, w którą stronę uskoczyć.

– Wu Han to mój stary przyjaciel - wymamrotał Indiana. - Zabawa trwa. Lao, odtrutka.

Kiedy Indy wyciągnął rękę, przy sąsiednim stoliku rozległ się trzask. Obrócili głowy. Jakiś pijany Amerykanin otworzył właśnie butelkę szampana i piana ochlapała jego dwie chichoczące towarzyszki. Kelnerzy otwierali następne butelki, dobiegły ich kolejne trzaski, lała się piana, rozlegał się śmiech.

Indy skupił uwagę na ich grupie. Ogarniały go mdłości. Zauważył, że Wu Han stojący koło niego robi się coraz bledszy.

– Wu Han, co się... - zaczął, lecz zanim mógł dokończyć, Wu Han upadł na stół.

Dopiero wtedy Indy zauważył, jak Chen chowa pod serwetką dymiący pistolet.

– Indy - wystękał Wu Han.

Kiedy ranny Wu Han upadł, Indiana chwycił go i posadził na swoim krześle.

– Nie martw się - wyszeptał. - Wyciągnę cię stąd.

– Nie tym razem, Indy - wyrzeźbił umierający mężczyzna. - Przeżyliśmy razem wiele przygód, ale teraz odchodzę pierwszy w wielkie nieznane.

Indy położył głowę przyjaciela na stole. Ogarniała go gorączka, pocił się.

Lao z trudem ukrywał radosne podniecenie.

– Niech pan się nie smuci, doktorze. Wkrótce dołączy pan do niego.

Nogi ugięły się pod Indym i zatoczył się do tyłu.

Kao Kan stłumił chichot.

– Za dużo pan wypił, doktorze Jones?

Indy wpadł na pijanego mężczyznę z sąsiedniego stolika. Nawet śmiertelnie wychudzony Chen uśmiechnął się, widząc, jak przypatrują się sobie mętym wzrokiem. Indy'ego ogarnął gniew. Odepchnął pijaka i zatoczył się na kelnera, który obsługiwał gości przy sąsiednim stoliku, podając z wózka nasączone likierem, płonące dzikie gołębice nadziane na rożen. *Przynajmniej zetrę mu z twarzy ten głupi uśmieszek*, pomyślał Indy. Jednym płynnym ruchem chwycił rożen z gołębiami, obrócił się i cisnął nim w Chena.

Rożen zagłębił się w piersi Chena, przesuając płonące gołębice ku rękojęści.

Nagle wszyscy zamarli. Tłum gości ucichł, czując niejasno, że za chwilę jeszcze coś się zdarzy. Osoby siedzące przy stoliku Lao wstrzymały oddech, wpatrzone w widmową postać Chińczyka w smokingu ze srebrnym ostrzem

w piersi. Płomienie oświetlały jego przerażoną twarz dziwnym i makabrycznym światłem.

I wtedy wszystko stało się naraz. .

Willie krzyknęła odruchowo. Kobieta przy sąsiednim stoliku, widząc drugi rożen z gołębiami *flambe* leżące na wózku i być może myśląc, że teraz nastąpi jej kolej, również pisnęła przeraźliwie. W restauracji zapanował chaos. Goście krzyczeli, biegając chaotycznie, pękało szkło. Kotłowało się jak w puszcze Pandory, zanim jeszcze uchylono wieczko.

Indy rzucił się na stół, żeby chwycić niebieską fiolkę z odtrutką, lecz ta przeturlała się po szklanym blacie i spadła na podłogę. Indy znalazł się oko w oko z Lao. Chwycił gangstera za kłapy i wychrypiął przez wargi wykrzywione nienawiścią:

– *Hoe my ge faan jaan.* - Bardzo niedobry złoczyńca.

– *Ndio guok haat ji* - rzucił z nienawiścią Lao. - Cudzoziemski żebrak.

Kao Kan chwycił Indy'ego za gardło, lecz Jones przyłożył mu w podbródek lewą pięścią. Jeden z ochroniarzy Lao chwycił Indy'ego od tyłu, kopiąc przy tym fiolkę. Pistolet Kao Kana upadł pod stół.

Różne myśli przelatywały przez głowę Willie. Lao jest draniem i z ulgą się go pozbędzie. O pracy w klubie może już zapomnieć. Co do tego Jonesa, to miała rację od samego początku. Ale jeśli nie straci głowy, może uda się jej wyjść z tego wszystkiego z brylantem.

Wcisnęła rękę między mężczyzn walczących nad stołem i chwyciła brylant. Ledwie poczuła go w dłoni, gdy Indy i mocujący się z nim ochroniarz wpadli na nią. Klejnot wypadł jej z ręki na parkiet.

– Uważaj - krzyknęła równocześnie do siebie i do Indy'ego i ruszyła w pościg za toczącym się po podłodze skarbem.

Orkiestra zaczęła grać, jakby doszła do wniosku, że zabawa dopiero się zaczyna.

Indy walczący z ochroniarzem Lao wpadł na stolik obok. Silnoręki uderzył go w podbródek i ogłuszył. Indy zamierzył się na niego, lecz trafił dziewczynę sprzedającą papierosy. Ochroniarz zrzucił Indy'ego ze stołu na wózek kelnerski, który zaczął się toczyć w kierunku podium dla orkiestry.

Indy wjechał na wózku w sam środek chaosu jak latająca zjawa. Podmuch na twarzy otrzeźwił go trochę i ochłodził pokryte trującym potem czoło. Ludzie, których mijał, wyglądali dziwnie. Na podłodze zobaczył fiolkę - a może tak mu się tylko wydawało? - lecz przejechał obok niej.

Lot zakończył się gwałtownym uderzeniem w podium. Wstał i widząc ochroniarza, który usiłował go złapać, chwycił wielki kontrabas i w ostatniej chwili uderzył nim goryla, pozbawiając go przytomności.

Stał przez chwilę, dochodząc do siebie, kiedy jego wzrok padł na fiolkę leżącą spokojnie pośrodku całego zamieszania. Rzucił się na podłogę w jej kierunku.

Właśnie wtedy ktoś ją kopnął. Indy uniósł się na kolana i zobaczył twarz Willie. Dziewczyna również poruszała się na czworakach.

– Odtrutka - powiedział Indy.

– Brylant - odparła Willie.

Indy dostrzegł kamień koło swojej ręki, lecz ten natychmiast zniknął, kopnięty kilkanaście razy.

– Cholera - wymamrotała Willie, ruszając za nim. Indy poczołgał się w przeciwnym kierunku.

Lao przedarł się w końcu przez wrzeszczący tłum do drzwi i krzyknął. Prawie natychmiast wpadła do środka grupa bandziorów oczekujących poleceń.

Orkiestra grała dalej, oczywiście z wyjątkiem kontrbasu. Na dany znak dwanaście tancerek jakby nigdy nic wybiegło z paszczy smoka na parkiet.

W tym samym momencie Indy podniósł się z podłogi i ruszył w kierunku zespołu rewiowego. Czuł się już bardzo słaby, ale widok ludzi Lao wbiegających do środka z małymi toporkami w dłoniach dodał mu sił. Udało mu się podejść chwiejnym krokiem do podium dla orkiestry.

Trzech ludzi rzuciło toporki w jego kierunku, ale Indy schował się za jedną z rzeźb. Szybko chwycił czynel i rzucił nim w czwartego mężczyznę, trafiając go w głowę i pozbawiając przytomności. Bandyta padł na wielki pojemnik z lodem, rozrzucając po podłodze zmrożone kostki. Po podłodze, na której leżał brylant.

Willie jęknęła z rozpaczą, rozrzucając setki kawałków lodu w poszukiwaniu niewidocznego teraz brylantu. Zamiast tego, znalazła niebieską fiolkę.

Indy zobaczył ze sceny, że ją podniosła.

– Nie ruszaj się! - krzyknął do niej. *Proszę cię*, dodał w myślach.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Willie musiała podjąć decyzję. Kim jest ten facet? Pojawił się dziesięć minut temu, zaatakował ją, groził jej widelcem, omamił drogocennym klejnotem, pozbawił kochanka (mała strata) i pracy (nie ma sprawy), a teraz jego życie leży w jej dłoni. No i te jego oczy.

Schowała fiolkę za dekolt sukni.

Za żadną cenę nie miała zamiaru zaprzestać poszukiwania brylantu. Znowu zaczęła przerzucać kostki lodu.

Kao Kan przyszedł do siebie. Podniósł pistolet, obrócił się i zobaczył Indy'ego, z trudem trzymając się na nogach uniósł broń.

Indy zobaczył go w porę. Cofnął się w głąb sceny i pociągnął za linę, a wtedy, jak w szalonym śnie, powoli, spod sufitu zaczęły spływać balony, setki kolorowych balonów. Majestatyczna kurtyna skryła przed oczami Kao Kana jego cel.



Nic nie było widać spoza balonów powoli spływających ku podłodze. Indy przesunął się wzdłuż sceny do miejsca, gdzie ostatnio widział Willie. Jednak zamiast niej natknął się na dwóch bandziorów.

Jeden z nich zaatakował go ciosem karate, lecz Indy rozłożył go ciosem w klatkę piersiową. Drugiego pchnął na kelnera i opadając z sił, oparł się o ścianę łoża.

Trucizna wgryzała się w tkanki jego ciała. Był blady i drżał. Czuł skurcze żołądka i o mało nie zemdleł. Nie, nie. Musi znaleźć Willie, musi dostać fiolkę.

Ochlapał twarz zimną wodą z kieliszka. Trochę pomogło.

Sytuacja robiła się poważna. Zobaczył, jak do środka wbiega jeszcze czterech gangsterów.

Tymczasem Kao Kan dostał szału. Chciał zabić mordercę brata, lecz ramię wciąż za bardzo drżało, żeby mógł celnie strzelić. Na szczęście zobaczył, że jeden z bandziorów ma pistolet maszynowy. Jak szalony rzucił się ku schodom, wyrwał mu broń i ruszył w sam środek chaosu, krzycząc:

– Gdzie on jest? Zabiję go.

Ludzie ujrzeli pistolet i rozbiegli się. Baloników było już mniej i po chwili Kao Kan i Indy dojrzeli się. Gdy Kao Kan zaczął strzelać, Indy przeskoczył przez barierkę łoża, w pobliże wielkiego gongu.

Kule zasypały łożę. Indy ukrył się za tarczą z brązu. Ludzie krzyczeli i rzucali się na podłogę, szukając schronienia.

Kiedy ucichła pierwsza seria, Indy skoczył ku rzeźbie wojownika, wyjął z jego ręki złoty miecz i dwoma szybkimi cięciami rozciął linę. Gong spadł na podłogę z głośnym, metalicznym dźwiękiem.

Wskoczył za gong, gdy kule wryły się w jego powierzchnię. Potem, kryjąc się za nim, powoli potoczył go po podłodze do miejsca, gdzie schowała się Wilie.

Kule z pistoletu maszynowego z brzękiem odbijały się od olbrzymiej tarczy. Tocząc się, nabierała prędkości i Indy musiał biec, żeby pozostać w ukryciu. Gong dźwięczał przeraźliwie, odbijając kule.

Przerażający hałas dotarł do Willie. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak olbrzymi krąg toczy się w jej kierunku. *A więc tak, pomyślała. Zmiażdżona przez zbuntowany gong w trakcie zamieszek w kabarecie.*

Indy w ostatniej chwili chwycił ją za rękę i wciągnął za tarczę. Kule odbijały się od ścian, gdy ludzie Lao przeskakiwali przewrócone stoliki w poszukiwaniu lepszej pozycji strzeleckiej.

Willie krzyknęła przeraźliwie. Indy podniósł wzrok i dojrzał przed nimi okno z kolorowego szkła sięgające od podłogi do sufitu. Willie wrzasnęła:

– Nie, nie chcę!

Nie było czasu na dyskusję. Toczący się gong przebił szkło. Indy chwycił Willie w pasie i rzucił się przez rozbite okno.

Spadali swobodnie dziesięć stóp, a potem stoczyli się po dachówkach stromego dachu i wypadli poza jego krawędź.

Ich splątane ciała spadły jeszcze o dwa piętra niżej, rozerwały markizę, rozbiły balkon z bambusa i z łomotem opadły na tylne siedzenie kabrioletu marki Duesenberg zaparkowanego dokładnie na wprost wejścia.

Willie usiadła, nie rozumiejąc, jak to się stało, że jeszcze żyje, i spojrzała prosto w równie zdziwioną twarz dwunastoletniego, chińskiego chłopca w czapce New York Yankees siedzącego przy kierownicy.

– Ale numer! Awaryjne lądowanie! - odezwał się Short Round.

– Gazu, Short Round - powiedział Indy, podnosząc się powoli.

– Dobra, Indy - rzucił chłopak. - Trzymajcie się.

Z szerokim uśmiechem na twarzy Short Round obrócił się, przekręcił czapkę daszkiem do tyłu i nadepnął na pedał gazu.

Z piskiem opon samochód wyrwał w szanghajską noc.

## Rozdział II.

### Takie jest życie

To był zwykły dzień.

Short Round wstał dzisiaj wcześniej - około południa - i poszedł do pracy. Pracował w palarni opium na ulicy Liu.

Po południu nie miał właściwie wiele do roboty. O tak wczesnej godzinie było tam tylko kilku klientów oraz jeszcze kilku odsypiających poprzedni wieczór. Short Round podawał im herbatę, odprowadzał do ryksz, albo uważał na ich rzeczy. Wszystko to za parę groszy, z tym że od czasu do czasu podbierał coś więcej niż kilka groszy z ubrań, których pilnował. Podbierał interesujące go przedmioty.

Bo poza wszystkim Short Round był złodziejem.

Oczywiście, nie nazwałaby tak siebie. Wolał myśleć, że jest kimś w rodzaju Robin Hooda, bohatera filmu, który oglądał siedem czy osiem razy w kinie Tai-Phung. Tyle tylko, że jednym z biednych, którym oddawał zrabowane przedmioty, był on sam.

Tak uważał dzisiaj, podczas sennych, popołudniowych godzin w palarni. Słodki dym unosił się nad dwoma ogłupiałymi klientami rozwalonymi na drewnianych pryczach. Jednym z nich był stary Chińczyk, a drugim młody Belg. Short Round pilnował ich rzeczy w sąsiednim pokoju i rozmyślał o śniadaniu, kiedy przyszło mu do głowy, że być może znajdzie coś do jedzenia w torbie należącej do Belga. Właśnie przetrząsał jej zawartość, gdy wszedł właściciel. Nie wyglądał na zadowolonego.

Nie wyglądał też na odurzonego. Tak naprawdę był wściekły. Short Round wiedział z doświadczenia, że w takich sytuacjach wyjaśnienia

niewiele dadzą, więc wyniósł się przez okno. A zupełnym przypadkiem paszport Belga przykleił mu się do palców.

Belg ruszył za nim w pogoń.

Short Round uwielbiał takie sytuacje. Czuł wtedy, że komuś na nim zależy. Biegł wąską uliczką na tyłach palarni, a rozjuszony klient gnał za nim. Przeskoczył przez płot i pędził krętymi uliczkami, lecz mężczyzna był wciąż za jego plecami. Wbiegł po schodkach wyjścia przeciwpożarowego na dach starego, drewnianego budynku, lecz Belg nie rezygnował.

Short Round skakał z dachu na dach - to dopiero była zabawa. Zsuwał się po dachówkach pochyłych dachów, okręcał się wokół kominów z małpią zręcznością. Dachy to była jego specjalność.

Goniący go mężczyzna został z tyłu, ale wciąż był za nim. Short Round dotarł do krawędzi ostatniego dachu. Pod nim była tylko pustka, głęboka na cztery piętra. Belg zbliżał się. Short Round wspiął się na szczyt dachu i zsunął na drugą stronę. To samo.

Tyle że parę stóp niżej między oknem na najwyższym piętrze a oknem budynku po przeciwnej stronie uliczki rozciągnięty był sznur do suszenia prania.

Jak Robin Hood! Świetnie! Ale numer! Skoczył w dół, chwycił się sznura, zawisnął na moment, po czym przekładając ręce, ruszył między powiewającymi, jedwabnymi piżamami w kierunku okna na drugim końcu. Mężczyzna stał na krawędzi dachu i klął po flamandzku.

Short Round wskoczył przez okno, obrócił się, uśmiechnął serdecznie do wściekłego mężczyzny w podzięcie za jego paszport i krzyknął:

– Bardzo śmieszne! Bardzo śmieszny, wielki żart!

Mężczyzna nie był zachwycony. Ludzie nie mają poczucia humoru. Short Round przeprosił za najście zdumioną rodzinę i z uprzejmością -

zadziwiająco, zważywszy na sposób, w jaki wpadł do środka - skłonił się i wyszedł frontowymi drzwiami.

Na ulicy cienie robiły się coraz dłuższe. Handlarze ryb pakowali towar, który zaczynał już śmierdzieć, a ludzie nocy jeszcze się nie pojawili. To była jego ulubiona pora dnia, godzina gołębi.

Codziennie, mniej więcej o tej porze, setki gołębi zlatywały się na podwórze klasztoru w pobliżu baru Gung Ho. Ich wspaniałe gruchanie brzmiało jak mruczenie tysiąca szczęśliwych perskich kotów. Ten dźwięk kojarzył mu się z kołysaniem przez matkę, choć nie wiedział, dlaczego. Od lat był sam, bez rodziny.

Oczywiście, z wyjątkiem doktora Jonesa. Teraz doktor Jones jest jego rodziną.

Short Round podejrzewał, że Indy jest reinkarnacją bożka Chao-pao, Tego-który-znajduje-skarby. Ponieważ Short Round był przekonany, że Chao-pao jest jego przodkiem, więc on i Indy są spokrewnieni.

Z Placu Gołębi ruszył do baru Gung Ho. Właśnie tam się poznali. Wszedł do środka. W loży z tyłu siedział Indy, pił herbatę żeńszeniową i czekał na niego. Short Round podbiegł ku niemu z szerokim uśmiechem na twarzy i usiadł naprzeciw.

– Indy, ja dostałem paszport dla Wu Han - wyszeptał w podnieceniu i wręczył mu paszport Belga.

Indy obejrzał go, unosząc brwi ze zdziwienia.

– Shorty, skąd to masz? Mówiłem ci, żebyś nie kradł.

– Ja nie kradnę - zaprotestował chłopak. - On mi go dał. Już go nie potrzebuje.

Short Round mówił z takim przekonaniem, wyglądał na tak obrażonego, że Indy prawie mu uwierzył. W każdym razie, włożył paszport do kieszeni.

Short Round pękał z dumy. Właśnie dlatego przepadał za Indym. On i Indy byli do siebie podobni. Obaj mieli dar przenoszenia prawa własności, znajdując nowych właścicieli dla cennych przedmiotów, które zbyt długo leżały w jednym miejscu.

No i Indy miał znaleźć nowy dom dla niego. Miał go zabrać do Ameryki.

Indy przyjrzał mu się zmrużonymi oczami.

– No dobra, na pewno mogę liczyć, że załatwisz te bilety? - i wręczył mu pieniądze.

– Łatwizna. Najpierw biorę samochód wujka Wonga, potem gadam z człowiekiem od biletów, potem czekam na ciebie przed klubem.

– Dokładnie przed wejściem - Indy kiwnął głową. - Godzinę przed wschodem słońca. Masz zegarek?

– Jasne, że tak.

– I pamiętaj, żeby podziękować wujkowi za pożyczenie samochodu.

– On zadowolony. Jedziemy już do Ameryki?

– Tak, niedługo. Ale najpierw Delhi. Idź już. Muszę się z kimś spotkać w sprawie pudełka.

Short Round wyszedł. Indy został w barze. Short Round przebiegł sześć przecznic do domu niemieckiego dyplomaty, którego znał pobieżnie, a właściwie wcale go nie znał, tyle że tydzień wcześniej wyczyścił mu buty w jednym z lepszych domów publicznych. Podśluchał wtedy, jak szanowny pan konsul mówił *madame*, że wyjeżdża na dwa tygodnie, odwiedzić krewnych w Alzacji.

Kiedy dotarł na miejsce, obszedł dom i wpełzł do garażu przez klapkę dla kota zamontowaną w bocznych drzwiach. W środku przez dziesięć minut bawił się z młodym kotkiem, przesuając mu przed nosem wełnianą myszkę na długim sznurku. Kot atakował podekscytowany, a kiedy wycofał

się do swej kryjówki pod schodami z upolowaną zabawką, Short Round otworzył drzwi do garażu. Potem połączył kable i uruchomił silnik samochodu.

Był to kabriolet Duesenberg Auburn z 1934 roku, który łatwo było uruchomić bez kluczyków. Zresztą brał go już na przejażdżkę z Indym kilka razy w tym tygodniu. Teraz kucnął pod tablicą rozdzielczą, łącząc kable, dopóki silnik nie obudził się z rykiem. Short Round poczuł się jak chłopiec z bajki, który żył w brzuchu smoka. Zamknął oczy, słuchał mruczenia silnika, czuł zapach spalonej izolacji, czuł jak ciemność ogarnia go niczym ognioodporny smoczy brzuch.

Trochę wystraszony, wcisnął się na fotel, wrzucił wsteczny bieg, wycofał samochód na zewnątrz. Nie wyłączając silnika, wyszedł zamknąć drzwi od garażu, a potem ruszył podjazdem w kierunku ulicy.

Z trudem widział cokolwiek ponad kierownicą i ledwo sięgał pedałów. Nic na to nie mógł poradzić. W blaknącym świetle popołudnia śródmiejskie ulice ustąpiły miejsca podmiejskim uliczkom, a potem zaczęła się szosa. To była jego kolejna ulubiona pora dnia: słońce jarzyło się na pomarańczowo jak rozpalony węgiel, chwilę przed tym, jak ziemia połykała je na całą noc.

Wczesnym wieczorem stał przed małym brytyjskim urzędnikiem o nazwisku Weber w ciasnym biurze na brytyjskim lotnisku, usiłując kupić trzy bilety.

– Nie sądzę, żebym mógł znaleźć miejsce dla kogoś takiego jak ty - zaczął nadęty urzędnik.

Short Round dał mu większość pieniędzy, które dostał od Indiany.

– Nie dla mnie. Dla doktora Jonesa. Sławny profesor. Ważna sprawa państwowa. Ja jego asystent.

Weber nie wyglądał na przekonanego, ale przyjął pieniądze.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Ty zrobisz dobrze i doktor Jones jest wdzięczny. Może ty dostaniesz medal - mrugnął do niego.

Zaskoczony Weber spojrział na małego spryciarza.

– Zrobię, co się da, ale nie mogę obiecać, że w tak krótkim czasie załatwię trzy miejsca w jednym samolocie.

Short Round mrugnął znowu i wcisnął mu resztę banknotów. Pokazał mu również sztylet wciśnięty za pasek. Weber czuł zakłopotanie, przyjmując łapówkę od dwunastoletniego gangstera, ale wziął pieniądze.

– Jestem pewny, że to się da załatwić - uśmiechnął się. *Kiedy w końcu Londyn przeniesie mnie w jakieś cywilizowane miejsce, pomyślał.*

Short Round uprzejmie skłonił się Weberowi, chwycił jego dłoń i potrząsnął nią, po czym zasalutował, przykładając palce do daszka czapki. Pobiegnął do samochodu i wrócił do miasta.

Zostawił samochód w magazynie należącym do znajomego, który był mu winien przysługę. Noc powoli otwierała oczy. Short Round pomyślał, że dzień jest jak śpiący drań, który budzi się co noc, czując wielki głód. Jego trzecią ulubioną porą była noc.

Ruszył wolnym krokiem w kierunku doków. Chłopcy musieli być tu bardzo ostrożni. Byli potrzebni do pracy na morzu albo do innych podejrzanych zajęć, ale to tu sprytny chłopak mógł zjeść coś za darmo. Tak jak noc, Short Round był głodny.

Wygrzebał niewielką, płaską deskę z kupy śmieci na tyłach jednego z barów i zabrał ją na nabrzeże, gdzie oleista woda odbijała się od betonu. Usiadł w cieniu, zanurzywszy stopy w wodzie i czekał. Po pięciu minutach, kiedy to modlił się w ciszy do Nagi, Króla-Smoka, który zamieszkiwał w morzu i nim władał, nagle uderzył z całej siły deską kilka razy w powierzchnię wody.



Po chwili na powierzchnię wypłynęła brzuchem do góry ogłuszona, tłusta ryba. Short Round chwycił ją za ogon, wyciągnął z wody i uderzył nią w pal. Odszedł kilka stóp dalej, kucnął na piasku, rozciął rybę sztyletem i z przyjemnością zaczął jeść delikatne, żółte mięso. *Ciekawe, czy mają takie ryby w Ameryce*, pomyślał.

Ameryka przywiodła mu na myśl filmy. Miał spotkać się z Indym dopiero za parę godzin, więc postanowił przejść się do kina Tai-Phung i zobaczyć, czy grają coś nowego. W Tai-Phung pokazywano głównie amerykańskie filmy międzynarodowej publiczności zamieszkującej dzielnicę banków i ambasad. Właśnie w Tai-Phung Short Round nauczył się angielskiego.

Nie potrafił odczytać repertuaru, właściwie w ogóle nie potrafił czytać, z wyjątkiem tego, czego nauczył go Indy, ale litery wyglądały inaczej niż ostatnim razem, więc postanowił wejść.

Stanął na dwóch kubłach na śmieci na tyłach budynku kina i przecisnął się przez wysoko umieszczone okno toalety. Wewnątrz opuścił się na spłuczkę, a z niej na podłogę. Zaproponował osłupiałemu mężczyźnie siedzącemu na sedesie wyczyszczenie butów, lecz ten grzecznie odmówił. Short Round przecisnął się pod przepierzeniem i wszedł do kina.

Usiadł blisko wyjścia, gdyby okazało się, że musi szybko opuścić salę. Opadł głęboko w fotelu, aby ukryć się przed bileterami, którzy mogli go rozpoznać. Włożył do ust kawałek gumy do żucia i rozsiadł się wygodnie, gotów obejrzeć film.

Film był niezły. Prywatny detektyw Nick cały czas robił fajne kawały swojej żonie Norze, bardzo ładnej. Mieli też głupiego psa o imieniu Asta. Nick właśnie pił drugie martini na przyjęciu, na którym kręcili się bardzo niebezpieczni ludzie, kiedy elegancka para usiadła przed Short Round, zasłaniając mu ekran.

Ważnie miał się przesiąść, gdy zauważył, że kobieta położyła torebkę pomiędzy fotelami. Nie mógł zmarnować takiej okazji. Poczekał dziesięć minut, aż para dała się wciągnąć w akcję filmu, sięgnął po torebkę i przesunął ją na swoje kolana.

Była to wieczorowa torebka ze srebrnej lamy z zapięciem z masy perłowej. Short Round otworzył ją i szybko przetrząsnął zawartość. Co za szczęście! Puderniczka pokryta drogimi kamieniami z małym zegarkiem na pokrywce. Będzie mógł sprawdzić czas, czekając na spotkanie z Indym - mała wskazówka miała być na czwórcę, a duża na dwunastce. Indy uczył go też rozpoznawać cyfry. Były łatwiejsze niż litery.

To był dobry znak, dobra wróżba na resztę nocy. Short Round szybko wygłosił dziękczynną modlitwę do Chao-pao, Tego-który-znajduje skarby, jego patrona. Wstał, zaczął dyszeć głośno i upadł w przejściu między rzędami, przytrzymując się ręką fotela, na którym siedziała kobieta.

– O boże! - krzyknęła.

– Pani, duży człowiek właśnie ukradł pani torebka! - wystękał Short Round, upuszczając torebkę na podłogę u jej stóp. - Ja go złapałem i przyniosłem pani torebka. On mnie bił, ale ja uciekłem. To torebka - popchnął ją kolanem w jej kierunku i upadł na podłogę.

– Biedne dziecko! - powiedziała, sprawdzając zawartość portfela na dnie torebki. Nie brakowało ani grosza.

– Cśśś! - odezwał się towarzyszący jej mężczyzna. Nie zwracał uwagi na to, co się dzieje, wiedząc, że najlepiej jest ignorować zabiegi małych uliczników.

Kobieta zmarszczyła brwi, patrząc na niego. Short Round zajęczał z bólu. Kobieta dała mu dwa dolary.

– Proszę, kochanie - odezwała się do niego porozumiewawczym szeptem. - To za twoją odwagę i uczciwość.

– Dziękuję pani - odpowiedział Short Round. Wcisnął banknoty do kieszeni, skoczył na równe nogi i wybiegł z sali. Kobieta, trochę zdziwiona, powróciła do oglądania filmu.

Na zewnątrz noc była w pełnym rozkwicie. Papierowe lampiony, kadzidła, żonglerzy, kobiety lekkich obyczajów, uliczni handlarze. Short Round poczuł się jak Nick Charles. Podszedł do dziewczyny ubranej w suknię rozciętą z boku i z blizną na twarzy.

– Kotku, masz papierosa? - mrugnął do niej.

Otworzyła usta, ale zmieniła zamiar. Sięgnęła do torebki, wyjęła kawałek gumy do żucia i rzuciła mu ją.

– Ale fajnie - wykrzyknął, wkładając zdobycz do kieszeni. - Dzięki, szanowna pani!

Pobiegł dalej, gotów na wszystko. Co za noc!

Za dolara kupił bąka, który grał i błyszczał światełkami, gdy się obracał. Trzech chłopców chciało mu go odebrać. Musiał uderzyć jednego z nich zabawką w głowę, kiedy wspinał się na płot w czasie ucieczki. Tak zakończył się pościg i zepsuł się bąk.

Została mu tylko rączka. Odrzucił ją daleko w głąb uliczki, którą uciekał. Pewnego dnia zostanie miotaczem, tak dobrym jak Lefty Grove. Tak jak on był mańkutem.

Drugiego dolara dał starej kobiecie, żebrzącej na progu. Nie lubił widoku żebrzących starych ludzi, a szczególnie starych kobiet. Rodzina jest najważniejsza. Jego babcia już odeszła, ale co by było, gdyby to ona zebrała gdzieś, pod jakimiś drzwiami. Musiał o tym pamiętać.

Stara kobieta ukłoniła mu się, a on podziękował jej, że pozwoliła mu okazać szacunek.

Zaczął padać drobny deszcz. Short Round wrócił pośpiesznie do magazynu, gdzie zostawił samochód. Pod ścianą kilku mężczyzn siedziało

w kręgu. Jeden z nich wróżył z księgi *I Ching*.

Short Round obserwował ich przez godzinę. Mężczyzna rzucał patyczki, wróżąc wszystkim obecnym, ale odmówił, kiedy Short Round poprosił go o odczytanie drogi wiodącej ku jego przyszłości.

Short Round zdrzemnął się schowany za belami herbaty, utulony do snu mamrotaniem marynarzy grających w pobliżu w kości. Kiedy się obudził, zobaczył parkę całującą się obok bel herbaty przy ścianie. Obserwował ich przez kilka minut. Wyglądali na bardzo szczęśliwych. Zastanawiał się, czy mają dzieci.

Od drzwi dobiegł go szum radia. Podszedł tam i zobaczył mały odbiornik włączony do kontaktu w ścianie. Obok niego kuczał pijany amerykański marynarz i stroił radio, szukając rozgłośni odtwarzającej przemycane amerykańskie płyty i nagrania. W eterze rozgrywała się kolejna przygoda Cienia, który zna zło kryjące się w ludzkich sercach i który potrafi przyćmić ludzkie umysły. Shorty uwielbiał ten program i słuchał go zawsze, kiedy to było możliwe. Marynarz przegonił go kopniakami. No cóż, widocznie była to audycja prywatna.

Chyba zaczęło robić się późno. Spojrzał na zegarek, który zdobył w kinie: już czas. Uruchomił silnik i włączył się do ruchu. Przestało padać.

Podjechał do klubu bez spóźnienia, ale Indy'ego nie było. Portier kazał mu odjechać od frontowych drzwi, ale Short Round dał mu puderniczkę, więc dostał pozwolenie, żeby zatrzymać się na chwilę, pod warunkiem że nie będzie sprawiał kłopotów.

Wtedy wpadł Indy. Z kobietą.

– Ale numer! Awaryjne lądowanie! - odezwał się Short Round.

– Gazu, Short Round - powiedział Indy.

Z piskiem opon samochód wyrwał w szanghajską noc.

Willie nie wierzyła własnym oczom.

- Dziecko prowadzi samochód?!
- Spokojnie, nauczyłem go jeździć - beztriosko rzucił Indy.
- No tak, teraz czuję się o wiele spokojniej - pokiwała głową.

Gdy Short Round pokonał z wielką prędkością kolejny zakręt, Willie wpadła na Indianę. Nie marnując czasu, Indy włożył jej rękę za dekolt.

– Słuchaj, właściwie się nie znamy - Willie rzuciła oburzona. - Faceci tacy, jak ty...

- Nie licz na to. Gdzie jest odtrutka?

Z trudem poruszał ręką za jej dekoltem, od trucizny zdrętwiały mu palce. Niedobrze.

Trafił dłonią na fiolkę, chwycił palcami, wyciągnął z biustonosza, odkręcił zakrętkę, podniósł do ust i opróżnił zawartość.

- Nie wyglądasz najlepiej.

– Trucizna zawsze źle działa mi na żołądek - wytarł usta rękawem. - Short Round, skręć w prawo i jedź na most Wang Poo.

– Dobra jest! - krzyknął chłopak. Pędząc autem, starał się wyglądać jak James Cagney.

Indy zerknął przez tylne okno i dojrzał ścigającego ich czarnego sedana.

- Chyba mamy towarzystwo.

Willie nagle poczuła przygnębienie. Jeżeli Lao ją złapie, nie daruje jej. Klub był w ruinie, straciła brylant, chłopak za chwilę rozwali samochód, złamała dwa paznokcie. To zbyt wiele. Ostatnia kropla goryczy. Mniejsza o całą resztę, ale jak ma dostać pracę, kiedy wygląda jak...

Spojrzała na swoje odbicie w bocznej szybie. Jest gorzej niż myślała. W jej oczach pojawiły się łzy, łzy wściekłości.

– Zobacz, co mi zrobiłeś - wyszczała. - Rozmazana szminka, dwa złamane paznokcie, w pończosze poleciało oczko.

Seria z pistoletu maszynowego roztrzaskała tylną szybę; posypało się na nich rozbite szkło. Indy i Willie zsunęli się na siedzeniu, chowając głowy. Short Round był za mały, aby było go widać z tyłu.

– Nie masz większych problemów? - wymamrotał Indy, sięgając do torby. Wyciągnął rewolwer i zaczął strzelać przez tylne okno.

– Tędy, Shorty! - rzucił. - Przez tunel!

Z piskiem opon przejechali przez ciemny tunel. Samochód za nimi trzymał się w tej samej odległości, a jego reflektory płonęły jak oczy ducha.

– Co z nami będzie? - krzyknęła Willie. - Dokąd jedziemy?

Dopiero teraz dotarła do niej beznadziejność ich położenia.

– Na lotnisko - rzucił Indy. - Nie, Short Round! W lewo, w lewo!

Sięgnął nad oparciem fotela, chwycił kierownicę i pomógł mu pokonać zakręt. Dodał spokojniejszym głosem:

– Dobrze jest, stary.

Willie osunęła się na siedzeniu.

Duesenberg wpadł na zatłoczony plac. Tysiące kupców, żebraków, prostytutek, marynarzy, złodziei, riksarzy kłębiło się zaaferowanych pośród rozświetlonych papierowych lampionów, napisów, sklepów i stoisk. Rozbiegli się, kiedy z rykiem silnika nadjechał kabriolet.

Część ludzi skupiła się znowu za samochodem, blokując przejazd czarnemu sedanowi, który wpadł na stoisko z warzywami, skręcił ostro, uderzył w krawężnik i zatrzymał się w tłumie ulicznych sprzedawców.

Indy wyjrzał przez tylne okno.

– Niezły pasztet.

Willie była zbyt przerażona, żeby patrzeć.

Zwiększyli dystans do unieruchomionych prześladowców i wpadli na drogę poza miastem.

– Shorty, byłeś na lotnisku?

- Jasne, Indy. Pan Weber załatwi miejsca dla ciebie, dla mnie i Wu Hana.
- Shorty, Wu Han nie jedzie.

Short Round zastanowił się. Wu Han nie uciekłby, był zbyt lojalny. Wobec tego albo był martwy, albo go złapali, albo opóźniał pościg. Każde z tych zadań było bardzo szlachetne. W każdym razie, teraz to on miał chronić swego bohatera i duchowego brata.

– Indy, nie martw się - zapewnił go. - Teraz Short Round ochroniarz numer jeden.

Willie odważyła się spojrzeć do tyłu. Daleko za nimi małe światełka znowu wyłoniły się zza zakrętu.

– Zajmę dodatkowe miejsce - powiedziała oschle. Poczwała, że nie ma wielkiego wyboru. - A dokąd lecimy?

– Do Syjamu - odparł Indy, ładując rewolwer.

– Do Syjamu? - wyjęczała. - Nie mam odpowiedniego ubrania na Syjam.

Chciała uzalić się jeszcze trochę, lecz żadni bogowie, żadne bóstwa ani mędracy pogańskiego świata nie chcieli jej słuchać, nic ich to nie obchodziło, zupełnie tak, jak tego obłąkanego prostaka obok niej. Przyjrzała mu się podejrzliwie. Na zewnątrz mignął napis: LOTNISKO NANG TAO. Światła za nimi były coraz bliżej.

A zresztą, może się uda. W Syjamie jeszcze nie była.

Short Round prowadził samochód żwirową drogą prowadzącą na pas startowy, mijając skład towarów. Trzysilnikowy samolot rozgrzewał motory. Duesenberg z piskiem hamulców zatrzymał się na pasie i wysiedli. Short Round niósł torbę Indy'ego.

Przy bramie podbiegł do nich młody mężczyzna.

– Panie doktorze, nazywam się Weber. Rozmawiałem z pańskim... asystentem - przerwał i spojrzał na Shorty'ego ze zdziwieniem w oczach,

po czym mówił dalej. - Udało mi się znaleźć trzy miejsca. Niestety, są to miejsca w samolocie wiozącym drób.

– Pan chyba żartuje? - zaproponowała Willie.

– Szanowna pani - Weber przybrał służbisty ton - biorąc pod uwagę, jak mało miałem czasu, to i tak... - przerwał nagle i uśmiechnął się. - Wielkie nieba, czy to pani Willie Scott, słynna piosenkarka?

Ten komplement zaskoczył Willie. Właśnie tu, teraz, podczas najgorszego dnia jej życia, spotkała swego wielbiciela.

– No cóż, tak, to ja - odparła, rumieniąc się.

– Panno Scott - rzekł Weber przymilnym głosem - tak bardzo podobały mi się pani występy. Jeśli się pani nie pogniewa, chciałbym...

Willie przyszło na myśl, że być może nie jest to jednak najgorszy dzień w jej życiu, ale właśnie wtedy Jones odezwał się grubiańsko:

– Możesz tu zostać i rozdawać autografy, laluniu. Shorty i ja musimy lecieć.

Indy i Shorty ruszyli w kierunku samolotu. Willie zawahała się przez sekundę, lecz widok czarnego samochodu wjeżdżającego na drogę prowadzącą do lotniska pomógł jej podjąć decyzję.

– Bardzo się cieszę, że się panu podobało, panie Weber. Miło mi, ale niestety muszę iść - odezwała się łaskawie ze słodyczą w głosie i zwróciła się do Indy'ego mniej łagodnie. - Poczekaj, do cholery.

Ruszyła biegiem do samolotu. Weber pomachał jej ręką, a Willie wskoczyła do środka.

Czarny sedan zahamował przy ogrodzeniu. Ze środka wyskoczył Lao Che, a za nim wysypali się jego ludzie z pistoletami. Zamieszanie i broń zwróciły uwagę dwóch ochroniarzy z lotniska, którzy ruszyli wolnym krokiem w kierunku samochodu. Lao Che zdążył jeszcze dojrzeć, jak Indy zasalutował mu, zamykając drzwi ładunkowe kołującego samolotu.



Ludzie Lao oczekiwali rozkazów, wybuchu gniewu szefa, lecz on tylko się uśmiechnął. Gdy samolot zawrócił na pasie i zaczął się rozpędzać, na jego burcie dojrzeli napis: TRANSPORT POWIETRZNY LAO CHE.

Mijając ich, pilot dostrzegł Lao Che i zasalutował szefowi. Lao Che zasalutował mu, śmiejąc się serdecznie.

Samolot wznosił się w powietrze z rykiem silników, aż zamienił się w czarną sylwetkę widoczną na tle pomarańczowego nieba rozświetlonego pierwszymi promieniami poranka.

Lecieli na zachód.

Willie owinęła się szczelnie pokrytą cekinami sukienką, próbując się ogrzać. Osaczały ją dziesiątki zdenerwowanych kur pozamykanych w klatkach.

– Przestańcie mnie dziobać, głupie kury, bo wylądujecie na talerzu razem z frytkami.

Tego było już za wiele.

Najgorsze, że było to jak powrót do punktu wyjścia, do fermy drobiu w Missouri. Głupie, brudne kury.

Matka powtarzała jej, że tu jest jej miejsce, że żadne marzenia, żaden wysiłek nie pozwoli jej wyrwać się z fermy. Musiałby zdarzyć się cud, powtarzała matka, a cudów nie ma.

Chociaż to, że w wieku osiemnastu lat wygrała miejscowy konkurs piękności, nie było cudem. Po prostu była najpiękniejszą dziewczyną w powiecie.

Z pieniędzmi, które dostała jako nagrodę, pojechała do Nowego Jorku, żeby zostać aktorką i tancerką, lecz cud się nie zdarzył. W Nowym Jorku wszyscy czekali na cud. Więc ruszyła na zachód.

W Chicago wpadła w złe towarzystwo i musiała pospiesznie opuścić miasto. Dotarła do Hollywood, ale twarde lądowanie nie pomogło w karierze tancerki.

A więc miała do wyboru: albo powrót do Missouri, albo ruszyć dalej na zachód. Jednego była pewna: jeżeli gdzieś na świecie zdarzały się cuda, to na pewno nie w Missouri.

Wyjechała z pewnym wygadany garderobianym ze studia filmowego, który obiecywał, że Orient jest szeroko otwarty. Cóż, przynajmniej to było prawdą, był otwarty jak wielka dziura w ziemi.

W Szanghaju również nie zdarzył się cud, ale coś w końcu zaczęło się układać. Stała się znana i zaznała lokalnej sławy. Miała jednego czy dwóch wielbicieli. Pojawiły się perspektywy.

Lecz teraz była to zamierzchnia przeszłość. Zamiast planów na przyszłość, zostało rozpamiętywanie przeszłości. A w ustach miała kurze pierze. Pozdrowienia z Missouri.

W tyle samolotu otworzyły się drzwi i pojawił się Indiana Jones. Przebrał się.

Miał teraz na sobie starą skórzaną kurtkę, koszulę w kolorze khaki, zużyte spodnie i ciężkie buty, szary kapelusz z opuszczonym rondem. Na ramieniu miał skórzaną torbę i kaburę przy pasku. Ruszył przed siebie, trzymając w jednej ręce zwinięty smoking, a w drugiej zwinięty bicz.

Usiadł między Willie i Shortym, rzucając ubranie na podłogę i wieszając bicz na kołku.

– Co to ma być? Treser lwów? - szyderczo odezwała się lekko rozbawiona Willie. Mężczyźni są jak mali chłopcy.

– Skoro już ciągnę cię ze sobą, docień to i przestań kłapać językiem, dobrze, laluniu? - poklepał ją protekcjonalnie po nodze. Zaczynała działać mu na nerwy.

Odsunęła jego dłoń ze swego uda. Temu facetowi chodzi tylko o jedno, a to nie jest ani dobre miejsce, ani dobry moment, ani on nie jest właśnie tym kimś. Podniosła z podłogi smoking.

– Zmarzłam. Ciągniesz mnie ze sobą! Rzeczywiście! Od chwili, kiedy wszedłeś do klubu, nie przestajesz się na mnie gapić.

Ruszyła na tył samolotu, owijając ramiona marynarką.

– Czyżby? - rzucił Indy.

Uśmiechnął się, oparł o klatki z kurami, zsunął kapelusz na oczy i zasnął.

Drzwi do kabiny pilotów uchyliły się lekko i drugi pilot spojrzał uważnie do środka.

Zobaczył Willie, śpiącą ze zwiniętą sukienką pod głową. Leżała skulona, ubrana w eleganckie, czarne spodnie Indy'ego, jego białą koszulę i marynarkę. Indy spał, leżąc po lewej, z kapeluszem zsuniętym na twarz. Jego ubranie upstrzone było kurzym pierzem. Obok niego spał spokojnie Short Round, z czapeczką na głowie, ubrany w pikowane spodnie i wytartą, bawełnianą kurtkę. Głowę oparł na ramieniu Indy'ego.

Drugi pilot spojrzał na pierwszego, który zajęty był wysłuchiwaniami przez radio instrukcji od pracodawcy. Pierwszy pilot spojrzał na drugiego i kiwnął głową.

Drugi pilot wziął wielki klucz francuski i ważył go w dłoni, przyglądając się uważnie Jonesowi. Po chwili namysłu odłożył klucz i wyjął zza paska nóż.

Wtedy Indiana przewrócił się na drugi bok i pilot cofnął się w głąb kabiny.

Pierwszy pilot zaklął po chińsku i wręczył swemu pomocnikowi automatyczny pistolet o kalibrze 45. Ten obejrzał broń i spytał, czy kobieta

i dziecko też mają umrzeć. Pilot kiwnął głową. Jego pomocnik powiedział, że może z tego być jakaś zła karma. Pierwszy zażarcie zaprzeczył. Doszło do wymiany zdań, a uwagi dotyczyły głównie przodków każdego z nich.

W końcu pierwszy pilot wziął broń, kazał drugiemu przejąć stery i ruszył osobiście wykonać zadanie.

Indiana wciąż spał głębokim snem. Gdy pilot ruszył w jego kierunku, z klatki umieszczonej wysoko na półce wypadło jajko i spadło - tylko dwa cale w dół - na zwiniętą szmatę. Potoczyło się po pochyłej desce, opadło na siatkę, przetoczyło się na wąską półeczkę, zatrzymało na moment i w końcu spadło. Wciąż śpiąc, Indy wyciągnął rękę i złapał jajko, zanim uderzyło w podłogę.

Indiana Jones nie był bez wad, ale zawsze potrafił wyczuć spadające jajko.

To nieprawdopodobne wydarzenie zbiło pilota z tropu. Ten niebezpieczny czarownik zadziwił go i przestraszył. Cofnął się, uśmiechając się z zakłopotaniem do drugiego pilota. W spokoju przedyskutowali wydarzenie, zastanawiając się, co robić. Wprawdzie dostali rozkazy, ale postanowili pozostawić sprawę bogom.

Pilot przesunął dźwignię i samolot zaczął zrzucać paliwo. Drugi pilot założył spadochron i pomógł swemu towarzyszowi, po czym cicho przeszli na tył samolotu.

Willie ocknęła się i zobaczyła jak przez mgłę drugiego pilota, który zniknął w tyle samolotu, zaciągając za sobą zasłonę. Przewróciła się na drugi bok, gotowa spać dalej, kiedy zobaczyła, jak pierwszy pilot wychodzi z kabiny, idzie na tył i również znika za zasłoną.

To wydało się jej dziwne. Samolot był zbyt mały, żeby załoga mogła liczyć więcej osób. No cóż, jeżeli nikogo więcej nie ma, kto w takim razie pilotuje?

Wstała, ruszyła w kierunku kabiny, wsunęła głowę do środka przez drzwi. Nie było nikogo.

Zatrzasnęła drzwi i krzyknęła:

– Nikogo nie ma w kabinie!

Czujny Short Round ocknął się natychmiast. Indy spał, wciąż otumaniony trucizną.

Willie pobiegła na tył. Odsunęła zasłonę. Za nią dwaj piloci stali na krawędzi otwartych drzwi ładunkowych ze spadochronami na plecach.

– Nie, nie skaczcie! Indiana, na pomoc! Obudź się, piloci wyskakują!

Shorty podbiegł do niej. To nie był żart! Piloci porzucali samolot.

Otumaniony Indy otworzył oczy i spytał:

– Już dolecieliśmy?

Willie dopadła go, zaczęła nim potrząsać i przemawiać błagalnym tonem:

– Nikt nie prowadzi... skoczyli... spadochrony... zrób coś!

Ten zgrywus coś chyba umie. W końcu ma na sobie kurtkę lotniczą. Na pewno wie, jak poprowadzić ten wrak.

Indiana wstał i pobiegł w kierunku zasłony. Nikogo, tylko dwa wydęte spadochrony w powietrzu pod nimi.

Pobiegł do kabiny. Willie deptała mu po piętach. Natychmiast zrozumiał sytuację i bez wahania wcisnął się w fotel.

Łzy wdzięczności napłynęły do oczu Willie. Śmiała się i kiwała głową, widząc, że ten podejrzany doktorek nie jest zupełnie bezużyteczny. Wydała westchnienie ulgi i spytała:

– Umiesz latać?

Indy przyjrzał się tablicy rozdzielczej, pokręcił kilkoma gałkami, przerzucił przełącznik i chwycił za wolant.

– Nie - odparł i zwrócił się do niej prostodusznie. - A ty?

Willie zbladła i poczuła pustkę w żołądku.

Indy obdarzył ją szerokim, złowróbnym uśmiechem.

– Żartowałem, złotko. Wszystko pod kontrolą. Wysokościomierz - jest, stateczniki - jasne, prędkość - w porządku, paliwo...

Zapadła długa chwila ciszy. Willie nie doszła jeszcze do siebie po tym, jak zażartował, że nie umie latać, więc nie było jej wcale do śmiechu. Jednak w milczeniu Indy'ego nie było nic zabawnego.

– Paliwo? - spytała. - Jakie paliwo? O co chodzi?

Indiana uniósł się powoli. Willie podążyła za jego wzrokiem i wyjrzała przez okno. Ostatni silnik kaszlnął i stanął. Wszystkie śmigła były nieruchome. Samolot skierował nos ku ziemi.

– Chyba będziemy mieli kłopoty - powiedział Indiana.

Przeszedł obok Willie do wnętrza samolotu.

– Shorty! - zawołał.

Short Round podbiegł, dysząc ciężko.

– Już sprawdziłem, Indy. Nie ma więcej spadochrony.

Może wyrosną im skrzydła, jak wtedy, kiedy bóg-małpa Wo-Mai dał skrzydła jedwabnikom, żeby mogły stać się motylami i oderwać się od ziemskiego padołu.

Indy zaczął przeszukiwać schowki.

Widok nieprawdopodobnie potężnej góry wyrastającej tuż przed nosem samolotu wyrwał Willie z osłupienia.

– Indiana! - krzyknęła. Była to raczej próba nawiązania ostatniego kontaktu z istotą ludzką przed momentem unicestwienia niż wołanie o pomoc.

Jednak tym razem bogowie okazali się wspaniałomyślni. Samolot przeleciał kilka cali nad szczytem, strącając kołem śnieg z najwyższego wzniesienia.

Willie o mało nie umarła ze strachu. Wybiegła z kabiny i zobaczyła, jak Indy wyciąga z jednej z szafek olbrzymi zwój żółtego płótna z napisem TRATWA RATUNKOWA.

– Zwariowałaś? - krzyknęła z wściekłością.

Nie zwrócił na nią uwagi i odezwał się do Shorty'ego:

– Pomóż mi.

We dwójkę zanieśli zwój do otwartych drzwi ładunkowych. Ich wysiłkom towarzyszył krzyk Willie:

– Zwariowałaś? Tratwa ratunkowa! Jesteśmy w samolocie, a nie na morzu!

– Chodź tu, do cholery! - rozkazał Indy. - Short Round, chwyć mnie mocno.

Short Round objął go w pasie. To będzie lepsze niż katastrofa w *Skrzydłach* - filmie, który widział cztery razy.

Willie zawahała się, ale doszła do wniosku, że bez względu na wszystko nie chce umierać sama.

– Poczekajcie - zawołała jak mała dziewczynka. Chwyciła złotą suknię - elegancki ciuch zawsze może się przydać - podbiegła, objęła Indianę za szyję i wraz Shortym przytuliła się do jego pleców.

Samolot tracił wysokość. Indy trzymał przed sobą zwiniętą tratwę i obserwował zbocze góry pod nimi. Piętnaście stóp. Dziesięć. Siedem. Teraz.

Indy skoczył z całej siły, pociągając za linkę inflatora.

Short Round zamknął oczy gotowy do lotu.

## Rozdział III.

### Święty kamień

Wypadli przez drzwi ładunkowe. Gdy samolot szybował bezradnie nad zboczem, tratwa rozwinęła się i jak wielki, napęczniały latawiec pędziła w powietrzu, utrzymując przy życiu trzy przerażone dusze.

Short Round złożył w sekrecie obietnicę Pani Wiatru, Feng-p'o, niebiańskiej istocie, która miała podtrzymać ich lot za pomocą wirujących podmuchów.

Sto jardów dalej samolot ucałował ziemię i eksplodował, unosząc w powietrze fragmenty skały, stali i pieczonych kurczaków. Chwilę później tratwa wpadła w śnieżną zaspę, odbiła się, uleciała w powietrze, znów uderzyła w ziemię i ruszyła pędem w dół dziewiczego stoku.

Indiana trzymał się z przodu, a z tyłu Willie i Shorty zacisnęli dłonie na linkach. Przez kilka minut pędzili po stoku jak bobslej, aż w końcu wjechali w ośnieżony las. Willie podniosła wzrok na chwilę i postanowiła już więcej nie patrzeć.

Shorty był równocześnie podekscytowany i przerażony. To było jak nieudana ucieczka z *Lodowych istot z Wenus*. Ale Indy ich uratuje. Short Round nie musiał patrzeć, żeby to wiedzieć. Indy jest najlepszym graczem - chyba nawet lepszym niż Lou Gehrig.

Podskoczyli na pniu leżącym pod śniegiem i znowu znaleźli się w powietrzu, lecąc wprost na wielkie drzewo. Indy szarpnął zaciekle linkę, przeturlał się na bok i cudem udało im się uniknąć zderzenia z ośnieżonym pniem. Tratwa popędziła dalej.

Zjeżdżali w dół. Zwolnili wyraźnie, rozbryzgując wodę małego strumyka i wjeżdżając na teren porośnięty gęstą roślinnością. Gdy osiągnęli



polaną, wyraźnie zwalniając, Indy'emu udało się uśmiechnąć z ulgą do pozostałych.

– Indy, jesteś wielki - rzekł z podziwem Short Round. - Lepszy nawet niż Robin Hood.

Indy obdarzył Willie szerokim uśmiechem.

– Czasem sam siebie zadziwiam.

– Mogę się założyć - odparła słabym głosem.

– Indy! - krzyknął Short Round.

Indy obrócił się, gdy wpadli na splątane krzaki, a potem znowu znaleźli się w powietrzu, przelatując nad prostopadłym zboczem. Żadne z nich nie spojrzęło w dół.

Lot kręcącą się tratwą pewnie trwał krócej niż im się wydawało. Opadli, rozbryzgując wodę szerokiego koryta górskiego strumienia.

Natychmiast porwał ich spieniony nurt, obijając o skały, podrzucając na ryczących falach, przeciskając między ostrymi krawędziami kamieni. Trzymali się tratwy, krztusząc się i kaszląc, podczas gdy wiry niosły ich przez wodospady, wokół głazów, ponad kaskadami wody.

Trzymali się z całych sił, nawet nie próbując sterować, zmienić pozycji, modlić się czy robić sobie wyrzuty. Nic. Tylko zdrętwiałe palce zaciśnięte na linie.

Jeszcze jedno odbicie i tratwa jakby zwolniła, odpływając na bok ku spokojnej wodzie małej zatoczki. Troje przemoczonych pasażerów leżało bez sił na dnie.

Poobijany i wyczerpany Short Round podniósł głowę, żeby ocenić sytuację.

– Indy?

Indiana kaszlnął.

– W porządku, Shorty, nic mi się nie stało.

Willie jęknęła. Była przemoczona do szpiku kości, tak jak pozostali. Mokre włosy zwisały w strąkach i cała ociekała wodą.

– W porządku? - spytał ją Indiana.

– Nie - wzdrygnęła się. - Nie nadaję się do takich przygód. *Ale miło z twojej strony, że spytałeś*, pomyślała. - Gdzie jesteśmy?

Tratwa delikatnie dotknęła brzegu. Dokładniej rzecz biorąc, zatrzymała się obok pary nóg stojących nad nimi.

Indy zmrużył oczy pod słońce, żeby dojrzeć ich właściciela.

– W Indiach - wyszeptał.

– Wielki Boże - wykrzyknęła Willie. - W Indiach? Skąd wiesz, że jesteśmy w...?

Obróciła się i spojrzała prosto na dziwną, pomarszczoną twarz starego, wychudłego człowieka. Wstrzymała oddech.

Miał na sobie porwaną szatę. Wokół szyi zwisały sznurki dziwacznych koralu, a stare ciało miało kolor umbry. Wyglądał jak szaman.

Zawył niesamowity wiatr. Nagle mężczyzna złożył razem dłonie. Willie podskoczyła ze strachu. Mężczyzna dotknął dłońmi czoła.

Zadziwieni Willie i Short Round zobaczyli, jak Indiana podobnym gestem pozdrowił szamana.

Szli razem. Z przodu szaman i czterech wieśniaków z turbanami na głowach, za nimi Indy trzymający w ręce zwinięty bicz. Short Round niósł jego torbę, a Willie miała w ręce wieczorową suknię i szpilki. Skalista ścieżka wiła się wśród nagich wzgórz porośniętych kępami krzaków i rzadkimi drzewami pozbawionymi owoców. W powietrzu unosił się kurz.

Short Round szedł spokojnie, stawiając trzy kroki na każde dwa, które postawił Indy. Niełatwo jest kroczyć śladami kogoś takiego jak on, lecz Short Round gotów był wypełnić to zadanie, bo go uwielbiał. Indy obdarzył

go swoją przyjaźnią, kiedy nie miał przyjaciół, zaufał mu, gdy wszyscy traktowali go nieufnie. No i miał go zabrać do Ameryki.

Tam właśnie zmierzali. Aż trudno w to uwierzyć. Ameryka. Tam wszyscy mają buty i kapelusze, jeżdżą samochodami, potrafią tańczyć, trafiają celnie, żartują, używają życia, są szczerzy, świetnie wyglądają, mają gadkę, dobrze jedzą, a ryzyko się opłaca. Tam właśnie zmierzał.

Będzie go chronił bez wytchnienia, dopóki tam nie dotrą. Wtedy, gdy Indy'emu nie będzie już potrzebna pomoc, Short Round zostanie jego synem. W ten sposób będzie mógł dalej opiekować się nim dzień i noc. Jedynym słabym punktem planu było to, że jeżeli Indy zostanie jego ojcem, potrzebna będzie mama. Zona. Jak yin i yang, jak Nick Charles i Nora, Fred Astaire i Ginger Rogers, Robin i Marion, Gable i Harlow. Hsienpo i Ying-t'ai.

W tym odwiecznym kontekście związku mężczyzny i kobiety, Short Round spojrział na Willie w nowym świetle.

Pasowałaby do niego. Była ładna, no i dotarła aż tutaj. Mogłaby być niezłą mamą. Wraz z Indym adoptowaliby go i zamieszkali w Twentieth Century Limited i dojeżdżaliby do Nowego Jorku. To byłoby niezłe życie. Będzie musiał dokładnie rozważyć jej kandydaturę. Musi się nad tym zastanowić.

Tymczasem Willie czuła wielką ulgę, ciesząc się, że żyje, nawet jeżeli było to kompletne pustkowie. Kilka razy ostatniej nocy groziła jej śmierć na kompletnym pustkowi, więc lepiej było być żywym. Pod bosymi stopami czuła ciepłe kamienie, czuła wspaniałe słońce na twarzy, czuła, że jej życie należy do niej. Czuła głód.

Zastanawiała się, czy w torbie Indy'ego jest coś do jedzenia. Przyspieszyła, żeby go dogonić i zobaczyła, że rozmawia z szamanem.

Właściwie to szaman przemawiał do Indy'ego:

– *Mama okey enakan bala; gena hitiyey.*

Indiana nie znał najlepiej tego dialektu, ale zrozumiał go. Czekałem na ciebie, mówił szaman. Widziałem to we śnie. Widziałem jak z nieba koło rzeki spada samolot. Widziałem to we śnie, powtarzał w kółko.

Willie dogoniła ich i nasłuchiwała przez chwilę.

– Co on mówi? - spytała.

– Spodziewali się mnie - odpowiedział Indy, patrząc na nią zdumionym wzrokiem.

– Jak to, spodziewali?

– Starzec widział to we śnie.

– We śnie - prychnęła. - Raczej w sennym koszmarze.

Indy zmrużył oczy.

– Powiedział, że czekali nad rzeką, czekali, aż spadnie samolot.

To było zadziwiające wyjaśnienie. Willie potrząsnęła głową.

– A ja? Czy mnie też widział we śnie?

Indiana uśmiechnął się do niej. *Aktorka*, pomyślał. Wiedział tyle, co ona, więc nie wdawał się w spekulacje. Maszerowali w milczeniu.

Willie mówiła dalej, żeby zagłuszyć niepewność.

– To wszystko? A jak skończył się ten sen? Jak się stąd wydostaliśmy? Kiedy coś zjemy? Umieram z głodu. Co ze mną?

Skały ustąpiły miejsca wypalanej glinie. Tumany kurzu kręciły się wokół nich w gorącym wietrze, gdy wkroczyli na wysuszoną i spękaną ziemię. W końcu dotarli do wioski położonej u stóp opustoszałych wzgórz.

Wioska Mayapore. Tak jak ziemia, równie wynędzniała i wysuszona.

Szli główną drogą wioski. Wyraźnie było czuć biedę. Wieśniacy, wzbudzający litość swoim wyglądem, stali w grupkach po trzech lub czterech, patrząc na nich. W ich wzroku nie było nadziei.

Kobiety wyciągały z wyschniętych studni wiadra, w których był tylko piasek. Wychudłe psy włóczyły się między chatami ze spękanej gliny naniesionej na zaplecione gałęzie. Sępy wyczekiwały cierpliwie, siedząc na rachitycznych drzewkach. To było gorsze niż susza, to było oczekiwanie na śmierć.

Indiana zauważył, jak kilku wieśniaków przygląda się Shorty'emu, wskazując go palcami. Kilka wynędzniałych kobiet jakby płakało, choć nie roniły łez, bo w ich ciałach nie było już wilgoci. Zaniepokojony Indy przyciągnął Shorty'ego do siebie. Nagle zrozumiał przyczynę swojego niepokoju.

We wsi nie było dzieci.

Short Round też to zrozumiał. Uwaga, jaką na siebie ściągnął, przestraszyła go i zaczął martwić się o bezpieczeństwo Indy'ego. Przysunął się bliżej, pilnując przyjaciela, podczas, gdy wieśniacy patrzyli na nich.

Zaprowadzono ich do małej, kamiennej chaty z trzema pryzkami na podłodze. Ponieważ nie było tam okien, w środku było trochę chłodniej niż na wypalanej słońcem ziemi.

– Teraz śpijcie - powiedział szaman - bo podróż była męcząca. Potem zjemy i porozmawiamy. Ale teraz śpijcie.

Odszedł bez słowa.

Indy przetłumaczył jego słowa.

– Ale ja jestem głodna - wyjęczała Willie.

– To licz barany na rożnie - zaproponował Indiana, kładąc się na ziemi.

Sposób widocznie był dobry, bo wkrótce wszyscy spali.

Czarne, zakurzone chmury zawisły na krwistoczerwonym niebie oświetlonym promieniami zachodzącego słońca.

Indiana, Willie i Short Round siedzieli spięci na połamanych stołkach w chacie pokrytej strzechą. Kamienne łuki zamiast ścian pozwalały dotrzeć do środka wieczornym podmuchom wiatru. Dookoła nich na klepisku widać było sylwetki kilku starszych wioski, mężczyzn i kobiet. Pośrodku siedział wódz, bardzo stary, siwowłosa mężczyzna, na którego twarzy odbijało się cierpienie wszystkich mieszkańców wioski.

Wódz wydał polecenia i wbiegły trzy kobiety, stawiając drewniane miski przed przybyszami. Starszyzna nie dostała misek.

Willie patrzyła na to z nadzieją.

– Mam nadzieję, że to oznacza jedzenie.

– *Estuday. Estuday* - odezwał się Indy do kobiet. - Dziękuję.

Kiedy to mówił, kobiety nakładały jedzenie. Był to szarawy kleik wymieszany z żółtym ryżem i kawałkami zapleśniałej skórki jakichś owoców. Willie spojrzała z rozpaczą.

– Nie zjem tego.

– Tu jest więcej jedzenia niż ci ludzie mają przez cały tydzień - powiedział Indy. - Głodują.

– Wiem - odparła oschle. - Nie rozumiem, jak odbierając im ich jedzenie, mogę im ulżyć, szczególnie, kiedy na sam widok zbiera mi się na mdłości.

Wszystko to zgasiło jej apetyt. Nie mogła tym biedakom odebrać jedzenia. Nawet na fermie w Missouri nigdy nie było tak źle, choć widok tych wychudłych twarzy przywołał niechciane wspomnienia. Willie chciała stąd uciec.

– Jedz - rozkazał Indy.

– Nie jestem głodna - upierała się Willie.

Starszyzna przyglądała się im.

Indy uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Obrażasz ich i wprawiasz mnie w zakłopotanie. Jedz.

Nie obchodziło ją, czy wprawia go w zakłopotanie, ale nie chciała obrażać wynędzniałych wieśniaków. Zaczęła jeść.

Wódz uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Odpoczniecie tu, zanim ruszycie dalej - powiedział po angielsku.

– Będziemy wdzięczni - kiwnął głową Indiana. A więc wódz zna angielski. Swego czasu musieli tu być Brytyjczycy.

– My nie odpoczywamy - wyskoczył Short Round. - Indy zabiera mnie do Ameryki. Jedziemy już. Jedziemy Ameryka.

Chciał tylko, żeby wszyscy zrozumieli, że jest to podstawowa zasada, że nikomu nie wolno podawać jej w wątpliwość.

– Jedziemy do Ameryki - poprawiła go Willie. Nie myślała o tym przedtem, ale nagle spodobał się jej ten pomysł. Może Manhattan?

– Ameryka, Ameryka - kiwnął głową wódz, nie do końca pojmując o co chodzi.

– Spokojnie, stary - odezwał się Indy do Shorty'ego, wciskając mu na głowę swój kapelusz, i zwrócił się do wodza:

– Czy możemy dostać przewodnika, który zaprowadzi nas do Delhi? Jestem profesorem i muszę wrócić na uniwersytet.

– Tak. Zaprowadzi was Sajnu.

– Dziękuję.

Teraz odezwał się szaman:

– Po drodze do Delhi zatrzymacie się w Pankot.

Powiedział to tak, jakby to był fakt, jakby opowiadał o czymś, co się wydarzyło dawno temu.

Indy usłyszał zmianę w tonie głosu.

– Pankot nie jest po drodze do Delhi - powiedział ostrożnie.

– Tak, pojedziecie do Pankot - kontynuował szaman, jakby go nie słyszał.

Indy spróbował inaczej.

– Myślałem, że pałac w Pankot został opuszczony w 1857 roku.

– Nie - poprawił go szaman. - Jest tam teraz nowy maharadża i w pałacu znowu płonie światło ciemności. Tak jak sto lat temu. To pałac zabija moją wioskę.

Indy nie do końca pojmuwał tok jego myślenia.

– Nie rozumiem. Co się tam stało?

Szaman mówił powoli, jakby rozmawiał z małym dzieckiem:

– Zło nadchodzi z Pankot. Potem, jak monsun, przynosi ciemność nad cały kraj.

– Zło, jakie zło? - spyta! Indy. Nie nadążał za rozumowaniem szamana. Czuł się, jakby próbował patrzeć na świat przez rozbite okulary.

Shorty'emu nie podobał się kierunek, który przybrała rozmowa.

– Złe wiadomości. Słuchasz Short Round, żyjesz dłużej.

Szczególnie nie podobało mu się zainteresowanie, jakie okazywał Indy. Zło należy zostawić w spokoju. Na zło nie ma innego sposobu, nawet jeżeli celnie się strzela czy potrafi szybko uciekać.

Szaman ciągnął dalej:

– Przyszli z pałacu i zabrali z wioski Sivalingę.

– Co? - wtrąciła się Willie. Ją też zaczynało to interesować. Działa się tu jakaś dramatyczna historia, jak w teatrze. Poczula się, jakby miała dostać rolę.

– Kamień - wyjaśnił Indy. - Święty kamień z ołtarza chroniącego wioskę.

– Dlatego Kriszna przywiódł was tutaj - kiwnął głową szaman.

Indy postanowił mu wyjaśnić.



– Nie. Nikt nas tu nie przywiódł. Nasz samolot się rozbił.

Short Round zgodził się z tym. Bum!, powiedział. Poruszył rozczapierzonymi palcami, przykładając je do dłoni drugiej ręki, tak aby tym prostym ludziom łatwiej było to zrozumieć.

Indy tłumaczył dalej:

– To robota tego...

– Nie - odezwał się szaman, jak cierpliwy nauczyciel tłumaczący coś niezdolnemu uczniowi. - Modlimy się do Kriszny, żeby pomógł nam odnaleźć kamień. To Kriszna spowodował, że spadliście z nieba. A więc pójdziecie do Pankot, odnajdziecie Sivalingę i przyniesiecie go nam.

Indiana chciał zaprotestować, ale spojrzał na smutnego wodza patrzącego na niego z nadzieją, na głodujących wieśniaków, na wymęczoną starszysnę, na nich wszystkich wpatrujących się w niego bezsilnym wzrokiem. Znowu spojrzał głęboko w nieruchome oczy starego szamana.

Zapadła ciemność. Powstali i wódz poprowadził ich na skraj wioski. Za nimi szli wieśniacy i starszysna, niosący pochodnie błyszczące jak oszalałe duchy. Psy wyły ponuro, a gwiazdy były gdzieś bardzo daleko.

Podeszli do głazu wielkości domu. W kamieniu wyrzeźbiono ołtarzyk. Wystraszony i zdezorientowany Short Round trzymał się blisko Indiany.

– Indy, to oni spowodowali katastrofę samolotu? - wyszeptał. - Żeby cię tu sprowadzić?

– To tylko gusła, Shorty - uspokoił go. - Opowieści o duchach. Nie martw się.

Ale Shorty był zmartwiony. Znał opowieści o duchach, opowieści o demonach z gór, o powracających duchach przodków, historie, które opowiadali mu jego bracia, zanim przyszła noc, kiedy zniknęli, opowieści, które słyszał na ulicy, zanim zniknęła jego rodzina, zanim uprowadziły ich

duchy burzy i piorunów, historie z ciemnych uliczek i zakamarków, historie, które ożywają w nocy, kiedy duchy wychodzą na świat.

Shorty odmówił krótką modlitwę do Boga Bramy Duchów, tego, który nie pozwalał duchom włóczyć się po świecie albo wypuszczał je na ten świat.

Kiedy dotarli do wnęki w kamieniu, szaman wykonał religijny gest. Short Round zaczął wspinać się po skale, żeby zajrzeć do środka ołtarza - tylko po to, żeby się upewnić, że nie ma tam duchów zagrażających Indy'emu - ale Indiana ściągnął go na dół i popatrzył z przyganą.

– Stąd zabrali Sivalingę? - spytał wodza.

– Tak.

Indiana zajrzał do środka. Wnęka była pusta, ale w nacięciu na dnie dostrzegł ślad po podłużnym kamieniu, który kiedyś tu leżał. Rozpoznał ten kształt.

– Czy kamień był bardzo gładki?

– Tak - kiwnął głową szaman.

– Czy pochodził ze Świętej Rzeki?

– Tak, przyniesiono go tu bardzo dawno temu, zanim urodził się ojciec mojego ojca.

– A w poprzek nakreślone były trzy linie? - Indy już widział go w myślach.

– Tak, właśnie tak.

– Jak trzy poziomy wszechświata - kontynuował Indy. Złudzenie materialnego świata, rzeczywistość transcendentnego ducha, jedność przestrzeni, czasu i materii, potężna mitologia chlubiąca się potężnymi talizmanami. - Widziałem kamienie takie jak ten, który utraciliście. Ale po co maharadza zabierałby stąd święty kamień?

Zza jego ramienia Willie patrzyła na pusty ołtarz. Shorty przytulił się do niej.

Szaman odezwał się gwałtownym głosem:

– Mówią, że musimy się modlić do ich boga zła. My mówimy nie - ogień tańczył we łzach, które zakryły jego oczy.

Willie odezwała się cicho:

– Nie rozumiem, jak utrata kamienia może przynieść zgubę wiosce.

Szaman z trudem panował nad emocjami. Próbował mówić, ale nie mógł znaleźć słów po angielsku. Odezwał się, powoli wypowiadając słowa we własnym języku, aby uspokoić swoje serce:

– *Sive linge nathi unata...*

Indy przetłumaczył cicho jego słowa:

– Kiedy zabrali święty kamień, wyschły studnie. Potem rzeka zamieniła się w piasek - spojrzał na szamana. - *Idorayak?* - spytał. - Susza?

– *Na!* - zaprzeczył szaman. - *Gos kolan maha polawa...*

Indy znowu zaczął tłumaczyć z hindi:

– Nasze zbiory połknęła ziemia i zwierzęta padły i zamieniły się w pył. Pewnej nocy na polach wybuchł pożar. Mężczyźni pobiegli, żeby go ugasić. Kiedy wrócili, usłyszeli, jak kobiety płaczą w ciemności. *Lamai*.

– *Lamai* - powtórzyła Willie, w świetle pochodni patrząc na usta Indy'ego.

– Dzieci - wyszeptał Indy. - Powiedziały, że uprowadzili dzieci.

Szaman wyszedł z kręgu światła rzucanego przez pochodnie i patrzył w ciemność. Willie chciało się płakać. Short Round poczuł chłód w piersi i przysunął się do Indy'ego. Indy milczał, nie mogąc znaleźć słów.

Szaman westchnął ciężko, powrócił w krąg światła i stanął naprzeciw Indiany.

– Znajdziesz nasze dzieci, kiedy znajdziesz Sivalingę.

Indy musiał odchrząknąć, zanim mógł się odezwać.

– Przykro mi, ale nie wiem, jak mogę wam pomóc.

Nie chciał wiedzieć. Kryło się w tym wszystkim coś strasznego, jakby miał wstąpić w sam środek śmiertelnego wiru.

Szaman i wódz patrzyli mu w oczy w napięciu, nie przyjmując do wiadomości jego odmowy. W ich oczach były oczy całej wioski, kryła się w nich dusza umierających ludzi.

Indy ciągnął:

– Tylko angielskie władze, które sprawują kontrolę nad tym obszarem, mogą wam pomóc.

– Nie słuchają nas - powtórzył monotonnym tonem wódz.

– Mam przyjaciół w Delhi. Poproszę ich, żeby to zbadali.

– Nie, pójdiesz do Pankot - naciskał szaman. Starzec powtórzył to kilka razy w swoim języku. Z każdym zdaniem Indy czuł, jak jego opór maleje, czuł jak jego wola zmienia się, podobnie jak rzeka zmienia się nieubłaganie pod wpływem monsunowej ulewy i choć nadal jest tą samą rzeką, płynie już innym korytem.

Szaman wciąż mówił w języku swego ludu.

– Co on mówi? - spytała Willie.

Indy odezwał się ochrypłym głosem:

– Mówi, że przywiodło mnie tu przeznaczenie. Mówi, że rozpoznam zło, że zło już mnie zobaczyło i wie, że nadchodzę. To moje przeznaczenie i przyszłości nic już nie zmieni. Mówi, że nie potrafi spojrzeć w przyszłość. Muszę ruszyć, żeby się przekonać.

Short Round i Willie patrzyli na Indy'ego, poddając się magii jego słów.

Indy patrzył z niepokojem na szamana i na swoje odbicie tańczące w jego oczach.

Leżeli we trójkę w chacie, próbując zasnąć, ale bez skutku. Nawiedzały ich obrazy znikających dzieci, zwierząt obracających się w pył, pustki, czerwonych płomieni, zrozpaczonych dusz.

Indy wystarczająco długo przebywał w przeklętych obszarach świata, żeby wiedzieć, że każdy system wierzeń ma swą strefę wpływu, każda magia włada w rejonach, które do niej należą. Magia była i tu i obejmowała go swą mocą, którą ledwo rozumiał, ale nie mógł przestać o niej myśleć. Mógł tylko z nią walczyć w cieniach płytkiego snu.

Willie chciała stąd uciec. Nienawidziła tego miejsca, brudu, głodujących wieśniaków, napięcia wiszącego w powietrzu, jak przed nadejściem tornado w Missouri. Jak wtedy, kiedy porwało dach. Żałowała, że nie może po prostu wezwać taksówki.

Short Round miał złe przeczucia, bardzo złe. Ci ludzie rzucili urok na Indy'ego, przejęli jego duszę i zniewolili jego ciało. Słyszał podobne historie od marynarzy, którzy wrócili z Filipin albo z Haiti, a historie te rzadko dobrze się kończyły. Musi teraz być bardzo czujny i chronić Indy'ego przed niebezpieczeństwem, które czai się na zewnątrz i w nim samym. Nie wystarczy teraz chronić jego samego, musi też chronić jego duszę.

Czuł, że kobieta również nie jest bezpieczna. Duchy kroczyły w jej cieniu. Widział je kątem oka, ale znikwały, gdy obracał głowę, żeby im się przyjrzeć. A więc musi pilnować i jej, bo w przeciwnym razie, kto będzie żoną Indiany, kiedy wrócą do Ameryki, gdy już opuszczą te nawiedzone, jałowe miejsce?

Zwrócił się do Huan-t'ien, Najwyższego Pana Ciemności, który mieszka na północnym niebie i odgania złe duchy. Dopiero wtedy mógł zasnąć.

W końcu zasnął również Indiana. We śnie coś go nawiedziło.

Wypadło z ciemności, ruszyło wprost na niego. W jego sercu był strach, gałęzie biły go po twarzy. W świetle księżyca dyszał ciężko. Przyleciało na skrzydłach wyjącego wiatru prosto z nicości ciemnej nocy do jego śpiącego niespokojnie umysłu.

Indy otworzył oczy. Co to jest? Usłyszał coś, na pewno. Coś biegło, szeleszcząc. Usiadł powoli i nasłuchiwał.

Short Round i Willie spali tuż obok. Działo się coś dziwnego, czuł to. Wstał, podszedł do drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Zerwał się wiatr, księżyc był jak zaśnieżona moneta. O tam: trzask gałązki po lewej, Indy obrócił się i nagle wśród krzaków pojawiło się dziecko i pobiegło prosto do niego.

Indy kucnął i dziecko wpadło w jego ramiona, nieprzytomne. Był to siedmioletni, może ośmioletni chłopiec, wychudzony, na granicy śmierci głodowej, ubrany w porwane szmaty. Na plecach miał ślady od uderzenia biczem.

Indiana zawołał o pomoc, zaniósł dziecko do chaty i położył na podłodze. Po chwili kucali wokół niego starcy. Tak, rzekli, to dziecko z naszej wioski.

Szaman mokrą szmatką wytarł czoło i usta chłopca i wyszeptał kilka magicznych słów. Dziecko otworzyło oczy. Rozejrzało się nieprzytomnie wokół, patrząc na obce twarze i na twarze dobrze sobie znane, które pochylały się nad nim. Wreszcie jego wzrok zatrzymał się na twarzy Indiany.

Chłopiec poruszył ręką, podniósł ją i wyciągnął do niego; właśnie do niego. Indiana chwycił małą dłoń. Zobaczył, że trzyma coś w delikatnych palcach, pokaleczonych i pokrytych bliznami. Po chwili chłopiec zwolnił uścisk i coś upadło na dłoń Indiany.

Chłopiec zaczął szeptać. Indiana pochylił się, zbliżył ucho do ust dziecka i usłyszał: *Sankara*.

Wbiegła matka chłopca. Wiadomość o dziecku dotarła do niej szybko. Uklękła, wzięła chłopca w ramiona i przytuliła mocno, tłumiąc szloch. Willie i Short Round patrzyli szeroko otwartymi oczami, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Indy wstał, patrząc na to, co dostał od chłopca. Był to mały, porwany kawałek materiału, fragment miniatury.

Wiedział, co to jest.

– *Sankara* - wyszeptał.

## Rozdział IV.

### Pałac Pankot

Świt nadszedł wcześniej.

Indy szedł przez wieś, słuchając ostatnich poleceń i gorączkowych próśb wieśniaków podążających za nim drobnymi kroczkami. Za wsią czekały na nich dwa wielkie słonie.

Sajnu, przewodnik, próbował delikatnie namówić Willie, żeby wsiadła na jednego z nich. Willie równie grzecznie stawiała opór.

– Do cholery, Willie! Musimy ruszać.

*Dobrze, dobrze, masz rację, to głupie, pomyślała. Musimy ruszać, a to jest zwierzę domowe. Wielkie, nieprzewidywalne zwierzę domowe, które czasem dostaje szału. Poza tym, nie ma innego transportu. Nie osiągnęłaby w życiu tego, co osiągnęła, gdyby była jak mimoza. Tyle, że co właściwie osiągnęła? Dotarła do Mayapore w Indiach. Postanowiła nie myśleć o tym więcej, wzięła głęboki oddech i pozwoliła Sajnu usadzić się na grzbiecie potwora.*

– Dobry słonik, dobry - odezwała się, siedząc sztywno na jego grzbiecie. Z trudem panowała nad sobą, a na jej twarzy malowało się przerażenie. W ręce wciąż trzymała złotą suknię.

Short Round stał obok drugiego słonia. Kiedy nadszedł Indy, podbiegł do niego z uśmiechem.

– Ja jadę z tobą, Indy?

– Nie, Shorty. Mam dla ciebie małą niespodziankę.

Short Round okrążył zwierzę i zobaczył małe słońiętko. W sam raz dla niego! Ale ma szczęście! Co za przygoda! Jaka śliczna trąba! Co za wspaniały zwierzak!



– Ale fajnie! - zawołał i z pomocą drugiego przewodnika wskoczył na grzbiet słonika. Wiedział, jak to się robi, nauczył się, oglądając *Tarzana*. Na tym filmie słonie były przyjaciółmi Tarzana, a więc będą i jego przyjaciółmi.

Jane też była wielką przyjaciółką Tarzana. Short Round porównał Willie do Jane. Miał nadzieję, że Willie lepiej sobie poradzi z Indym niż ze słoniami.

Sajnu podprowadził słonia, na którym siedziała Willie, do słonia Short Round. Willie pokonała już pierwszy strach i kręciła się teraz i przesuwiała na grzbiecie zwierzęcia, bezskutecznie szukając wygodniejszej pozycji. Gdy słonie stanęły koło siebie, przewodnicy ruszyli.

Willie uspokoiła się i zdołała nawet dojrzeć rozpacz na twarzach wieśniaków. Niektórzy płakali. To ją wzruszyło.

– Pierwszy raz ktoś płacze, kiedy odjeżdżam - wyznała Shorty’emu.

– Oni nie płaczą za tobą - zapewnił ją. - Płaczą, bo słonie odchodzą.

Tak musiało być, w końcu słonie to wspaniałe zwierzęta!

– Jak zwykle - odezwała się posepnie Willie.

– Nie mają ich czym karmić, więc zabierają je na sprzedaż. Indy mi powiedział.

Wtedy Willie usłyszała za sobą trzeciego słonia. Obróciła się i zobaczyła Indy’ego kiwającego się na grzbiecie zwierzęcia z długimi kłami.

– Willie, przestań się wygłupiać i siedź spokojnie - upomniał ją.

Short Round zachichotał.

– Nie w tę stronę. Tam są Chiny, a tam Pankot.

*Pankot?*, pomyślała.

Indy zawołał do przewodnika Willie:

– Sajnu, *imanadu*.

Sajnu krzyknął do Willie:

– *Aiyo nona, oya pata nemei!* - i potem krzyknął coś do słonia, na którym siedziała.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę. Jest mi niewygodnie - odkrzyknęła.

– Indiana, nie dojadę tak do Delhi.

– Nie jedziemy do Delhi - odpowiedział Indy, już cichszym głosem.

– Nie do Delhi? - krzyknęła. Opadł ją paniczny strach. - Zaraz!

Spojrzała na wieśniaków błagalnie.

– Czy ktoś może mnie zabrać do Delhi? Nie chcę jechać do Pankot.

– Dobrze, ruszamy - zawołał Indy do przewodników. - Musimy tam dotrzeć jutro przed nocą.

Słoń ruszył za Sajnu. Wieśniacy pomachali Willie serdecznie, życząc wszystkiego dobrego i błogosławiąc jej odwagę.

– Indiana! - wrzasnęła do niego jako autora tego spisku. - Dlaczego, do cholery, zmieniłeś zdanie? Co ci wczoraj powiedziało to dziecko?

Nie zareagował. Słonie szły pomiędzy wieśniakami. Pośród nich Indy dojrzał wodza i szamana, którzy na widok mijającej ich karawany przytknęli do czoła złożone dłonie.

Wędrowali powoli, lecz w równym rytmie. Odległe wzgórza zbliżyły się z każdą godziną. Ziemia była porośnięta rzadką roślinnością, nie była już tak uboga jak w okolicach wioski: pojawiła się trawa i niskie drzewka. Od czasu do czasu spod nóg słoni uciekało jakieś małe zwierzę, ratując życie.

Short Round wciąż odkrywał coś nowego u swojego słonia. Rzadkie włosy porastające czubek jego głowy były szorstkie jak szczecina. Skórę miał chropowatą, z wyjątkiem spodu trąby, gdzie była delikatna jak krowie wymiona, a kiedy głaskał kościste wyrostki nad jego oczami, zadowolone słońatko trąbiło śmiesznie. Powiedziało mu, że tak się składa, iż ma na imię Duży Short Round.

Willie w pewnym sensie pogodziła się w końcu ze swoim słoniem, choć sens tego, co mówiła był zbyt wulgarny, żeby nazwać to królewską angielszczyzną. W każdym razie, zawarli coś w rodzaju porozumienia, w ramach którego słoń szedł tam, gdzie mu się podobało, a Willie wyliczała wszystkie sposoby zastosowania słoniowej skóry.

Wczesnym popołudniem słońce grzało bezlitośnie. Maszerowali przez teren porośnięty coraz gęstszą roślinnością, figowcami, liściastymi roślinami i poprzecinany strumykami z letnią wodą. Robiło się coraz parniej.

Willie spojrzała na siebie z obrzydzeniem. Wciąż miała na sobie zbyt dużą koszulę Indy'ego, lepka od potu, pokrytą liśćmi i kurzem. Miała na sobie jego spodnie od smokingu, które prawie przetarły się na siedzeniu i białą marynarkę, owiniętą wokół pasa. Jak mogła upaść tak nisko? Czym na to zasłużyła? Spojrzała na swoją elegancką suknię, którą wciąż trzymała w ręce. A jeszcze wczoraj była prawdziwą damą.

Nagle postanowiła wziąć się w garść. *Przestań, Willie, przestań. Bycie damą to stan umysłu, i nie ma powodu, żebyś' nie była nią właśnie tu, na grzbiecie tego beznadziejnego zwierzaka.*

Z wewnętrznej kieszeni niegdyś pięknej sukni wyjęła butelkę drogich, francuskich perfum i z wielką pewnością siebie naniosła parę kropel za uszami.

Szybko zdała sobie sprawę, że nie tylko ona cierpi na tym upale. Spojrzała na zwierzę, które dosiadała i wymamrotała: *Tobie jest to potrzebne bardziej niż mnie.* Pochyliła się więc do przodu i w poczuciu wielkiej hojności pokropiła perfumami czubek głowy słonia. Robiąc to, musiała pochylić się mocno do przodu i wtedy dotarł do niej intensywny zapach zwierzęcia. Skrzywiła się, obróciła do tyłu i wylała zawartość połowy buteleczki na jego grzbiet.

Słoń był oburzony. Podniósł trąbę do czubka głowy, pobieżnie powąchał obcą substancję i zatrąbił z obrzydzeniem.

Zirytowało to ją.

– Nie narzekaj. To eleganckie perfumy.

Słoń jęknął tylko, nie przerywając marszu.

Indy zdrzemnął się kilkakrotnie w ciągu dnia, a Shorty bez końca zajęty był rozmową z Dużym Short Round. Późnym popołudniem krajobraz zmienił się i pojawiła się dżungla.

Otaczała ich bujna, wilgotna roślinność. Korony drzew o sto stóp nad nimi były tak gęste, że słońce z trudem przedzierało się przez liście i powietrze nabrało ciemnego, złotozielonego odcienia. Otaczały ich drzewa, udrapowane mchem zwisającym z pni i oplątane lianami. Między nimi rosły egzotyczne drzewa owocowe, paprocie, palmy i wierzby.

Ścieżka co chwilę znikła i od czasu do czasu któryś z przewodników musiał odsunąć leżący pień lub odciąć zwisającą gałąź.

Otaczało ich również mnóstwo dźwięków, których Willie nigdy przedtem nie słyszała: ćwierkanie, krakanie, pomruki, krzyki i klekoty. Od niektórych z nich dostawała gęsiej skórki. Raz dobiegł ją odgłos umierania, bo przecież tylko to mógł oznaczać ten krzyk. Zakłęła pod nosem i chwyciła się mocniej uprzęży. Dotarło do niej, jak czasem trudno być damą.

Za to łatwo być małym chłopcem. Short Round chłonał widoki i dźwięki, jakby wymyślono je specjalnie dla niego. Czasem zachowywał się z godnością, a czasem jak zupełne dziecko, lecz regularnie oglądał się, żeby sprawdzić, gdzie jest Indy, bo nie zapominał o odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, o odpowiedzialności ochroniarza numer jeden.

Przez chwilę grzmiało i pojawiły się błyskawice, lecz nie spadł deszcz. Dla Short Round był to zły omen. Znaczyło to, że Lei-Kung (Pan Grzmotów) i Tien-Mu (Pani Błyskawic) kłóćą się bez powodu. Nic dobrego

z takiej kłótni wyniknąć nie mogło. Lei-Kung wyglądał odrażająco: miał dziób i szpony sowy i ludzkie ciało w kolorze niebieskim. Skrywał się w chmurach, uderzając w bębenek drewnianym młotkiem, kiedy ktoś podszedł zbyt blisko. Tien-Mu wywoływała błyskawice, odbijając światło dwoma zwierciadłami, ale kiedy była w złośliwym nastroju, obracała zwierciadło w kierunku Lei-Kung, żeby zobaczył swoje odrażające odbicie. Wtedy on walił głośniej w bębenek. Z takich kłótni nie było deszczu, tylko suchy gniew Starożytnych Bogów.

Short Round zwrócił się do Niebiańskiego Ministerstwa Grzmotów i Wiatru, prosząc nadrzędną władzę o interwencję w tej kłótni.

W końcu zatarg ustał, ale Short Round pozostał czujny.

Raz zobaczył coś na gałęzi zwisającej nad głową, stanął niebezpiecznie na grzbiecie słonia, wyciągnął rękę i chwycił okrągły owoc. Zerwał go z gałązki i opadł na grzbiet zwierzęcia. Trzymał go w palcach i obrócił nadgarstkiem kilka razy. Lefty Grove.

– Ty jedziesz ze mną do Ameryki i pracujemy w cyrku - odezwał się do Dużego Short Round. - Podoba ci się?

Chciał wstąpić do cyrku, od kiedy obejrzał film Charlie Chaplina.

Słoniątko podniosło trąbę, zabrało owoc z ręki Short Round i włożyło do pyska z radosnym mlaskiem. Short Round zrozumiał, że słoniowi też się podobał ten film.

Dotarli do płytkiej rzeki. Sajnu krzyknął do Indy'ego i Indy kiwnął głową. Sajnu odwrócił się i zaprowadził wyprawę w miejsce, gdzie rzeka rozszerzała się, a woda sięgała tylko powyżej kostek. Najpierw wszedł słoń Shorty'ego, potem słoń Indy'ego, a na koniec Willie. Po przejściu trzydziestu jardów w górę rzeki, Shorty usłyszał dziwny dźwięk i spojrzał na wierzchołki drzew.

– Indy, patrz! - krzyknął.

Indy i Willie spojrzeli ku górze i zobaczyli setki wielkich istot machających skrzydłami na tle ciemniejącego nieba.

Sajnu rzekł coś do Indy'ego i profesor kiwnął głową.

– To nie są ptaki - powiedział do Willie. - To olbrzymie nietoperze.

Short Round wzdrygnął się. Widział *Drakulę* dwa razy i wiedział do czego są zdolne.

Willie również wzdrygnęła się, instynktownie przytulając się do grzbietu słonia. Niestety, jej nos znowu znalazł się zbyt blisko zwierzęcia. Skrzywiła się i wymamrotała:

– Kochanie, ten upał nie dodaje ci uroku - i wylała resztę perfum na szyję słonia.

Efekt był natychmiastowy. Poczła zapach cywilizacji, przywołujący wspomnienie kabaretu i bogatych dobroczyńców, pięknych ubrań i atłasowych poduszek. Poczła radość życia bez względu na nietoperze i bez namysłu zaczęła głośno śpiewać radosną piosenkę:

– W dawnych czasach widok pończoszki był gorszący, a teraz, Bóg to wie, wszystko może się zdarzyć.

Jej śpiew, właśnie teraz, w tym miejscu, zaskoczył Indy'ego. Roześmiał się i nagle poczuł ochotę, żeby zaśpiewać samemu, choć nie znał żadnej piosenki, a głos miał zdecydowanie niemelodyjny. Mimo to zaryczał:

– O, daj mi dom, tam, gdzie pędzą bizona, gdzie jeleń i antylopa wolne są.

Short Round pomyślał, że to bardzo śmieszne. Każdy śpiewa swą ulubioną piosenkę najgłośniej jak się da. Natychmiast dołączył:

– Wstaje złote słońce, świeci w zielonym lesie, oświetla miasto Szanghaj.

Willie zanuciła trochę głośniej:

– A pisarze, którzy kiedyś znali eleganckie słowa, teraz piszą prozę słowami na cztery litery, wszystko może się zdarzyć.

– Gdzie zawsze słyszysz słowo zachęty, a niebo bezchmurne jest co dzień.

– Miasto Szanghaj, kocham je, kocham słońce.

– A dziś świat zwariował, dziś dobre jest złe, a czarne jest białe, i dziś noc jest dniem.

– Dom, dom na prerii.

Wtedy Shorty dołączył do Indy'ego, bo też uwielbiał tę piosenkę:

– Gdzie jeleń i antylopa wolne są - tyle, że zaśpiewał to po chińsku.

Śpiewali na cały głos, żeby się nawzajem zagłuszyć, żeby podziękować losowi, że żyją i śpiewają właśnie teraz, w tym momencie wszechświata.

No cóż, dla słonia Willie była to ostania kropla goryczy. Najpierw ten okropny, obcy zapach, a teraz to dręczące krakanie. Razem było to już nie do zniesienia. Zwierzę zatrzymało się nagle, zanurzyło trąbę w rzece, wciągnęło ze dwadzieścia galonów wody, zadarło trąbę do tyłu i oblało Willie silnym, ciągłym strumieniem.

Zsunęła się z grzbietu słonia i wpadła do wody z głośnym, upokarzającym pluskiem Short Round zaniósł się głośnym śmiechem, pokazując ją palcem.

– Bardzo śmieszne! - krzyknął uradowany. - Bardzo śmieszne, cała mokra!

Dla Willie była to również ostatnia kropla goryczy. Jak zmęczone dziecko ukarane za zbyt głośną zabawę, rozplakała się ze złości i bezsilności. Była mokra, brudna, głodna i to było już za wiele.

– W Szanghaju byłam szczęśliwa - wysyczała ze złości. - Miałam dom, ogród, bogatych przyjaciół. Chodziłam na przyjęcia i wożono mnie

limuzynami. Nienawidzę być na dworze! Jestem piosenkarką, a nie turystką! Mogę stracić głos!

Short Round szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

– Pani naprawdę zła - stwierdził.

Indiana rozejrzał się, spojrzął na słońce, na wydłużający się ponury cień i zdecydował:

– Chyba zostaniemy tu na noc.

Pomyślał, że wszyscy są już zmęczeni.

Zachód słońca.

Trzy słonie zanurzyły się w wodzie po brzuchy w szerokim odcinku rzeki. Pólnagi Indy brodził w wodzie obok i ochlapywał zmęczone zwierzęta wodą. Sajnu robił to samo z drugiej strony.

Short Round bawił się radośnie ze słońką. Zwierzę owijało go trąbą, unosiło w powietrze i rzucało na plecy w wodę. Short Round nurkował, a gdy wypływał, słoń robił mu prysznic. Oboje byli w tym samym wieku.

Trzydzieści jardów dalej w górę rzeki, w ocienionej zatoczce na uboczu pływała Willie. Nurkowała do chłodnego dna, obracała się powoli i wypływała na powierzchnię nieruchoma. Odgarniała włosy z oczu i dryfowała na plecach, nucąc do siebie z zadowolenia i obserwując wzory, w jakie układały się liście nad jej głową. Tego było jej trzeba.

W ciągu ostatnich dwu dni jej życie wywróciło się do góry nogami. Wszystko układało się pomyślnie, dopóki ten facet nie pojawił się w klubie. Nie był najgorszy, to musiała przyznać, pod warunkiem, że się lubi taki typ mężczyzny, ale nie była pewna, czy ma ochotę przenieść go do działu pod nazwą Wydarzenia Bieżące.

Po pierwsze, był naukowcem, co praktycznie rzecz biorąc oznacza, że jest bez grosza. Po drugie, mimo że jest w niej zadurzony, nie zrobił nic,



żeby ulżyć jej losowi, nigdy nie okazał zrozumienia i w ogóle nie zachowuje się jak dżentelmen. Kompletnie egoistyczny prostak.

No tak, dobrze traktuje chłopca, to prawda. Jej nikt tak nie traktował, kiedy była dzieckiem i miło było jej to widzieć. To zagłodzone dziecko we wsi wczoraj też nim wstrząsnęło, to było widać. W porządku, dobrze traktuje dzieci. Co jeszcze?

No cóż, pomógł jej, kiedy w klubie rozpętało się piekło, a potem w samolocie. Chociaż, gdyby się nie pojawił, prawdopodobnie nic by się nie stało. A może? Taka karma. Hindusi mówili o niej do znudzenia, tak jak niektórzy Chińczycy na przyjęciach, na których bywała.

Przyjęcia. Najbliższe przyjęcie odbywa się o tysiąc mil stąd. *A gdy co noc eleganckie towarzystwo pojawia się na przyjęciu, wszystko może się zdarzyć.* Oczywiście, najlepsze są jego oczy. Ciekawe, jak wyglądają naprawdę, z bliska.

Zanurkowała znowu, odprężając się w chłodnej wodzie, czując jak zmęczenie opuszcza jej napięte mięśnie. A zresztą, jakoś to będzie. Zawsze jakoś się układa, wystarczy mieć oczy szeroko otwarte.

Ale swoją drogą, najbliższa para pończoch jest dopiero o tysiąc mil stąd.

Indiana szedł wzdłuż brzegu w mokrych spodniach, żeby sprawdzić, czy Willie jest bezpieczna.

Nie sądził, żeby coś jej groziło, zapewne dawała sobie radę w różnych okolicznościach i być może nie zawsze wszystko układało się tak, jakby tego chciała, ale jednak zawsze wychodziła z tego obronną ręką. Po prostu tutaj nie była w swoim żywiole. Jej żywiołem było miasto.

Nie byłby dla niej taki twardy, gdyby sądził, że tego nie wytrzyma. Ale czasem nie miał innego wyjścia, bo była nieznośna. Z drugiej strony trudno

mieć do niej o to pretensje, skoro jest jej ciężko. Ale czy naprawdę musi bez przerwy o tym mówić? Pewnie dlatego został piosenkarką.

W każdym razie potrzebowała opieki i najwyraźniej poczuła do niego miętę, więc pomyślał, że sprawdzi, czy wszystko w porządku, czy na przykład nie uprowadziły ją komary.

Natrafił na ubranie suszące się na gałęzi zwisającej nad wodą, a po chwili dojrzał ją, jak pływa, by tak rzec, nieobciążona zbędnym balastem. Na ten widok poczuł suchość w ustach.

– Willie - krzyknął. - Musisz już wyjść.

Zaskoczył ją jego widok, ale szybko się opanowała. Bywała w takiej sytuacji już setki razy.

– Całkiem naga? - odezwała się spokojnie. - Chciałbyś.

– Chodź, już czas.

– Doktorze Jones, jeżeli próbuje mnie pan uwieść, wybrał pan prostacki sposób.

Tak to się kończy, kiedy chce się być miłym.

– Uwieść cię? Złotko, to ty zdjęłaś z siebie ubranie - wzruszył ramionami. - Chciałem ci tylko przypomnieć, że nigdy nie wiadomo, co się kryje w tej rzece.

Mimo że byli w samym środku głuszy, o tysiące mil od piosenek Cole Portera, Willie poczuła się na pewnym gruncie.

– Jakimś cudem czuję się bezpieczniej w wodzie - rzekła z uśmiechem.

– Jak chcesz - odparł, gestem okazując, że nic go to nie obchodzi.

Odwrócił się i odszedł do obozowiska, tylko trochę urażony.

Ku własnemu zdziwieniu Willie poczuła złość, że odszedł tak od razu.

W dżungli noc zapada szybko.

Ognisko rzucało ciepłe, pomarańczowe światło, ale tuż poza kręgiem jego przyjaznego blasku czaił się czarny, obezwładniający, nieustępliwy cień.

Sajnu karmił słonie, a pozostali przewodnicy gwarzyli między sobą po cichu. Willie, owinięta kocem, wykręcała przy ognisku wilgotne ubranie. W parnej atmosferze dżungli schło bardzo powoli. Kilka kropel, nie całkiem przypadkowo, spadło na plecy Indiany, który siedział i grał w pokera z Short Round. Zabrała rzeczy, żeby je powiesić na noc na gałęzi.

Indiana spojrział na nią, ale nie odezwał się, zajęty grą w karty.

– Co masz? - spytał poważnym głosem Short Round.

– Dwie szóstki.

– Trzy asy. Wygrałem - chłopak uśmiechnął się szeroko. - Jeszcze dwa razy i mam wszystkie twoje pieniądze.

Shorty rzucił karty i Indy rozdał od nowa.

Willie spojrzała na nich znad gałęzi.

– Gdzie znalazłeś tego małego ochroniarza? - spytała Indy'ego.

– Nie znalazłem go. Złapałem - odparł Indiana, podnosząc karty.

– Co? - spytała, przekładając większe fragmenty garderoby.

– Jego rodzice zginęli podczas bombardowania Szanghaju.

Shorty żyje na ulicy od czasu, kiedy miał cztery lata. Złapałem go, gdy usiłował mi ukraść pieniądze.

Willie schyliła się po ostatni kawałek ubrania wiszący na gałęzi poniżej i chwyciła olbrzymiego nietoperza.

Puściła go z krzykiem. Wszyscy obrócili głowy w jej stronę, z wyjątkiem Indiany, który tylko się skrzywił. Odskoczyła od syczącego nietoperza, machającego skrzydłami i wyciągającego szpony i wpadła w dużą paproć, gdzie spotkała się twarzą w twarz z pawianem. Wyszczerył

na nią różowopurpurowy pysk, warcząc złowieszczco, rozdrażniony jej najściem.

Wrzasnęła znowu, wystraszywszy pawiana, i cofnęła się w kierunku ciemnej skały, na której przysiadła iguana. Gad rzucił się na nią.

Short Round uspokoił się, gdy nietoperz odleciał, choć znowu obiecał dolara Bogu Bramy Duchów oraz doktorowi Van Helsingowi i wszystkim innym, którzy mogli ochronić ich przed Drakulą.

Niestety, Willie nie miała pozaziemskich opiekunów. Miała tylko poczucie, że potwierdziły się jej najgorsze podejrzenia, co do życia na łonie natury.

W chwili zamieszania Indiana przez przypadek dał sobie czwartą kartę. Short Round zauważył oszustwo i poczuł irytację.

Willie rozpoczęła chaotyczny, dokładny obchód okolicy ogniska, któremu towarzyszyły regularne krzyki i jęki.

– Kłopot z nią polega na tym - odezwał się zrzędliwie Indy, próbując skoncentrować się na grze - że robi dużo hałasu.

– Dwie - odezwał się ostrożnie Short Round.

Indy pokiwał głową.

– Dla mnie trzy.

– Hej, ty bierzesz cztery - zaprotestował Shorty.

– Nie, wziąłem trzy - odparł oburzony Indy.

– Doktor Jones oszukuje - rzucił oskarżycielskim tonem.

– A ty ukradłeś kartę - odparł Indy.

Willie krzyknęła znowu, słysząc szelest, i kopnęła krzaki.

– Ty mi jesteś winien dziesięć centów - zażądał Shorty. - Płać. Już.

Indy z obrzydzeniem rzucił karty.

– Nie chcę już grać.

– Ja też nie.

– I już nie będę cię uczył.

– Nie zależy mi. Ty oszukujesz, ja nie gram - zabrał karty i odszedł, mrużąc coś pod nosem po chińsku.

Willie cofnęła się ku ognisku, przy którym wciąż siedział Indiana. Rozglądała się przestraszona we wszystkie strony.

– Jesteśmy otoczeni - wykrztusiła. - Tu wszędzie pełzają jakieś stworzenia.

Wzdrygnęła się.

– Właśnie dlatego nazywają to dżunglą - odparł żartobliwie.

– Co tam się jeszcze kryje? - wyszeptwała.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Willie, śmieszne imię. Powtórzył je kilka razy, sprawdzając, jak to brzmi.

– Willie, Willie. Czy to jakieś zdrobnienie?

Zesztywniała lekko. Nie lubiła, jak ktoś się z niej naśmiewa.

– Willie to mój pseudonim artystyczny, panie Indiana - zaakcentowała trzecią sylabę jego imienia.

Wciąż obrażony Short Round, siedzący koło swego słonia, przyszedł Indy'emu z pomocą.

– Dla pani to doktor Jones.

Posuwała się zbyt daleko, jak na kogoś, kogo nie zaaprobował jeszcze jako obiektu zalotów Indy'ego.

Uśmiechnęli się oboje, Indy rzucił mu monetę dziesięciocentową jako znak pokoju i zwrócił się do niej.

– To mój pseudonim zawodowy - obrócił się ku niej. - Więc, jak znalazłaś się w Szanghaju?

– Moją karierę zrujnował wielki kryzys - rozczuliła się nad sobą. - Jeden wielki frajer przekonał mnie, że Orient to miejsce, gdzie dziewczyna taka jak ja może daleko zajść.

Rozłożył koc koło ogniska i położył się.

– Przemysł rozrywkowy, co? Masz jeszcze jakieś inne ambicje?

Z dżungli dobiegł ich dziki, śmiertelny krzyk. Willie zeszywniała i przysunęła się bliżej ognia.

– Dożyć do rana - jęknęła.

– A potem?

Uśmiechnęła się do siebie.

– Mam zamiar uwieść jakiegoś przystojnego, nieprawdopodobnie bogatego księcia.

– Sam chciałbym takiego wykopać - zgodził się z nią. - Może mamy coś wspólnego ze sobą.

– Co?

– Też lubię, kiedy są bogaci i martwi, i leżą w ziemi od tysięcy lat. Sława i pieniądze, rozumiesz.

Wyjął z kieszeni kawałek materiału i zaczął go ostrożnie rozwijać. Był to skrawek, który dało mu dziecko poprzedniej nocy w Mayapore.

Willie usiadła obok niego i wpatrywała się w materiał.

– To dlatego ciążniesz nas na to bezludzie? Dla sławy i pieniędzy?

– To jest fragment starego manuskryptu. Ten symbol pokazuje Sankarę, kapłana. Ma setki lat. Ostrożnie, ostrożnie.

Wzięła od niego materiał, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Patrzyła zafascynowana na ten niezdarny rysunek, namalowany wyblakłą czerwoną, złotą i niebieską farbą.

Willie poczuła w dłoni ciężar historii i tajemnej wiedzy. Shorty też podszedł, żeby popatrzeć. Szacunek w głosie Indiany wzmógł ich zainteresowanie. Nawet słońiatko podeszło do nich chyłkiem i położyło trąbę na ramieniu Willie.

Podskoczyła i niecierpliwym gestem strąciła trąbę z ramienia, wpatrzona w malunek.

– To jest jakieś pismo?

– Tak, to sanskryt - odparł Indy. - To fragment legendy o Sankarze. Wspiął się na górę Kalisa i spotkał tam Sziwę, boga Hindusów.

Słoń ponownie położył trąbę na ramieniu Willie, a Willie ponownie ją strąciła.

– Przestań - rzuciła ostro i zwróciła się do Indy'ego. - To Sziwa, co? Co przekazuje kapłanowi?

– Kamienie. Kazał mu iść i walczyć ze złem, i żeby mu pomóc, dał mu pięć świętych kamieni, które miały magiczną moc.

Słoń znowu trącił Willie trąbę. Zaczynała tracić cierpliwość.

– Magiczne kamienie. Mój dziadek przez całe życie wyciągał królika z kieszeni i gołębie z rękawa, i uszczęśliwił mnóstwo dzieci, ale umarł jako biedak. Magiczne kamienie. Sława i pieniądze. Dobranoc, panie doktorze - oddała mu materiał i odeszła na brzeg polany, gdzie rozłożyła koc.

– Dokąd idziesz? - spytał Indy. - Połóż się bliżej, tak będzie bezpieczniej.

Patrzył na nią z mieszanymi uczuciami. Zaczynał mieć jej dość. Odwrócił wzrok, ale tak było jeszcze gorzej.

Willie również postanowiła na niego nie patrzeć. Czy nie mógł objawić swych uczuć, powiedzieć wyraźnie? Nie ufała mężczyznom, którzy nie potrafili jasno pokazać, o co im chodzi.

– Panie doktorze, czułabym się bezpieczniej, śpiąc z wężem.

Właśnie w tej chwili olbrzymi pyton zsunął się z drzewa za nią i owinał się wokół jej ramienia. Przerażony Short Round wstrzymał oddech. Indy zamarł - panicznie bał się węży. Nie miał pojęcia, dlaczego i nie obchodziło go to. Wiedział tylko, że ze wszystkich stworzeń, które kiedykolwiek

istniały i będą istnieć, tylko węże napępiały go panicznym lękiem, powodowały, że pocił się, drżał i chciał rzucić się do ucieczki.

Jednak Willie wciąż myślała, że to słońiętko. Straciwszy cierpliwość, nie patrząc, sięgnęła do tyłu, chwyciła węża za szyję i rzuciła za siebie.

– Mówiłam ci, przestań.

Indy cofał się powoli, wpatrzony w nią. Willie pochyliła się, żeby poprawić koc, a wąż zniknął.

– Nienawidzę dżungli - mamrotała. - Nienawidzę tego słońia. Nienawidzę tego miejsca.

W pobliżu niewidoczny tygrys bengalski przebiegł cicho przez gęszcz i zniknął. Indy przysiadł na skale, wziął kilka głębokich wdechów, wstał i dorzucił drewno do ogniska.

Dużo drewna.

Zwinęli obóz wcześniej rano, żeby dotrzeć jak najdalej przed najgorętszą porą dnia. Tropikalny wiatr szarpał korony drzew, gdy słońie parły przez gęstą dżunglę. Powietrze pełne było odgłosów zwierząt, choć nie brzmiały już aż tak przerażająco jak w nocy. Dla Willie było to jak wielkie, źle utrzymane zoo.

Short Round powrócił do rozmowy z Dużym Short Round, coraz bardziej przekonany, że Wielkie Koło Reinkarnacji przeniosło ducha jego utraconego brata, Chu, w ciało tego wielkiego dziecka. Po pierwsze, Chu odznaczał się tendencją do nabierania krągłości, którą to skłonność słoń doskonale ucieleśniał. Po drugie, Chu był zawsze w świetnym nastroju, tak jak ten zwierzak. A na koniec, Chu przeżywano Buddę, co zawdzięczał nie tylko swej tuszy i usposobieniu, ale i słusznemu rozmiarowi swych uszu, a czyż trzeba tutaj wspominać o rozmiarach uszu młodego słońia?



Tak więc Short Round omawiał z Dużym Short Round sprawy, które tylko Chu potrafiłby zrozumieć i potraktować poważnie - sprawy rodzinne, niektóre zabawki o nieustalonym prawie własności, przeprosiny za dawne sprzeczki, tak ważne sprawy jak to, czy Jimmy Foxx czy też Lou Gehrig jest lepszym miotaczem, i ku wielkiej uldze Shorty'ego słoń rozwiązał jego niepokój dotyczący tych zagadnień.

Właśnie przeszli do Nowych Spraw, rozważając, co zobaczą w Ameryce, gdy wstąpią do cyrku, kiedy doszli do szczytu wzgórza i zobaczyli w oddali pałac.

Olśniewająca budowla z prawie opalizującego białego alabastru przysiadła na grani sterczącej wśród dywanu z dżungli jak rzeźbiona perła na oceanie zielonego nefrytu.

– Indy, patrz! - krzyknął Short Round.

– To Pankot - potwierdził Indy.

Stali tak, patrząc przez minutę, po czym ruszyli dalej.

Dopiero po południu znaleźli się u stóp wzgórz, na których szczycie stał pałac. Właśnie mieli wkroczyć w przełęcz, gdy Sajnu wstrzymał słońce i podbiegł do przodu.

– *Navath thana* - w jego głosie krył się strach.

Indy zeskoczył ze słonia i podszedł do przewodnika. Zbliżając się, zobaczył, że Sajnu wpatruje się w coś intensywnie i mówi nerwowo:

– *Winasayak. Maha winasayak*. Nieszczęście, wielkie nieszczęście.

Indy poklepał go po ramieniu i Sajnu pobiegł do pozostałych, nie przestając mówić. Indy dostrzegł teraz, co go tak wzburzyło.

Wstępu na ścieżkę broniła figurka bogini z ośmioma ramionami. Bóstwo zła miało na szyi wyrzeźbiony naszyjnik z małych, ludzkich głów. W

każdej z rąk trzymała za włosy prawdziwą głowę. Usta miała wykrzywione w demonicznym grymasie.

Dodatkowo ozdabiały ją magiczne przedmioty: liście, martwe ptaki, gryzonie, żółwie. Jej biodra owinięte były pasem, na który nanizano prawdziwe, ludzkie palce.

Indy wrócił do reszty, gdy Willie i Short Round zsiadali ze słoni.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? - spytała Willie.

– Co oglądałeś, Indy? - odezwał się Short Round. Może jakiś skarb, w sam raz dla Chao-pao.

Ale Indy rozmawiał z wzburzonymi przewodnikami. Sajnu tylko kręcił głową, zwracając słonie.

– *Aney bebe mahattaya* - powtarzał, gdy pozostali poganiaли zwierzęta.

Widząc to, Willie popadła w rozpacz. Pobiegnęła kilka kroków za nimi, krzycząc:

– Nie, nie! Indy, oni uciekają!

– Pójdziemy dalej piechotą - powiedział Indy. Zmuszanie tubylców, żeby szli tam, dokąd nie chcą iść, nie ma sensu. To zawsze kończy się jeszcze gorzej.

– Nie - odpowiedziała nadąsana. Po wczorajszych przykrościach powoli zaczynała przyzwyczajać się do tych potworów.

Short Round patrzył za odchodzącymi zwierzętami. Jego wielki, okrągły przyjaciel obejrzał się.

– Słoni! - wykrzyknął Shorty. Czyż to możliwe, żeby po wielu latach jego brat miał powrócić tylko na dwa dni, a potem odejść? *Poczekaj! To nie w porządku! A cyrk?*

Ale może wrócił po to, żeby mogli wyjaśnić sobie sprawy, których nie rozwiązyli lata temu w Szanghaju. Może teraz, kiedy wszystko zostało załatwione, nadszedł czas, żeby Chu odszedł znowu. Trudno było mu się z

tym pogodzić, nawet wyobrazić to sobie, ale tak chyba musiało być. Czyż odrodzony Chu nie uśmiechał się, żegnając się z nim?

Short Round pomachał odnalezionej po latach duszy. Jego mały przyjaciel zatrąbił, pomachał uszami, pokiwał trąbą i poczłapał przed siebie. Short Round z wielkim trudem powstrzymał łzy.

Indy wrócił do bożka i przyjrzał mu się dokładnie.

Short Round zawołał do niego:

– Doktor Jones, na co patrzysz?

Skarb nie był wielkim pocieszeniem po utracie brata, ale zawsze to coś.

– Nie podchodź tu - zawołał Indy. Nie chciał, żeby to zobaczyli, a szczególnie Short Round. Był to totem zła, pełen okultystycznej mocy. W najlepszym wypadku mógł spowodować nocne koszmary, a w najgorszym...

Indy postanowił, że nie ma sensu wystawiać Short Round na działanie deprawującej mocy. Willie zresztą też, jako że zaczęła wzbudzać w nim opiekuńcze uczucia.

Wstał i powrócił do nich.

– Dalej pójdziemy piechotą - powiedział.

Późnym popołudniem dotarli do wybrukowanej ścieżki biegnącej wzdłuż kamiennego muru. Willie szła kulejąc kilka jardów za nimi, trzymając w rękach szpilki. Spocona i rozczochrana, nie przestawała narzekać:

– Strzelali do mnie, potem wyrzucili z samolotu, prawie się utopiłam, o mało nie zjadła mnie iguana, zaatakował mnie nietoperz, śmierdzą jak słoń... - nagle poczuła, że nie robi już ani kroku dalej i krzyknęła do nich:

– Nie dam rady, słyszysz?

Indiana zatrzymał się, podszedł do niej i właśnie miał coś powiedzieć, coś ostrego, sarkastycznego, coś złośliwego, gdy ich spojrzenia skrzyżowały się, jak wtedy, kiedy zobaczyli się po raz pierwszy. Powstrzymało go coś, co dojrzał w jej oczach, jakieś zagubienie, spokój pełny rezygnacji, a to, co ona dojrzała, wydobyło z niej jej wewnętrzny spokój, kryjący się gdzieś na samym dnie.

Bez słowa wziął ją na rękę. Była zaskoczona i zdziwiona, choć nie była niezadowolona.

– Jeszcze jakieś skargi? - spytał Indiana.

Uśmiechnęła się lekko.

– Tak. Szkoda, że nie wpadłeś na to wcześniej.

Wyszło nieźle, całkiem nieźle.

Short Round wywrócił oczy ku niebiosom. Widział, jak Gable zrobił to samo w *To stało się pewnej nocy*. Uważał, że w filmie było to głupie, tak samo jak teraz.

Indy niósł ją przez całą drogę, aż dotarli do wielkiej bramy. Postawił ją na ziemi i delikatnie poprawił jej kołnierzyk.

– Nie widzę poważniejszych uszkodzeń - rzekł i uśmiechnął się.

Poprawiła na sobie ubranie, obróciła się i po raz pierwszy zobaczyła pałac Pankot. Gwizdnęła.

Był wspaniały i rozległy. Dziwaczne przemieszanie stylu Mogolów i Radżputów. Jego ściany lśniły krwawym, opalizującym odblaskiem zachodzącego słońca.

Trzej podróżnicy ruszyli powoli przez marmurowy most w kierunku głównego wejścia.

# Rozdział V.

## Niespodzianka w sypialni

Wzdłuż mostu po obu jego stronach stali pałacowi strażnicy. Wszyscy mieli brody, czarne turbany i szarfy, za pasem szable a u boku lance. Stawali na baczność, kiedy mijała ich trójka podróżników. Wystraszonej początkowo Willie szybko zaczęło się to podobać. W miarę jak szła, nabierała godności kogoś, kto zasługuje na tego rodzaju honory. Żałowała tylko, że nie wpadło jej do głowy założyć buty, zanim przeszła przez bramę.

Wkroczyli spod ciemnego łuku na błyszczący dziedziniec. Otaczały ich ściany z kwarcu i marmuru, minarety z lazurytu, łukowate okna w połączonych fasadach. Jak piękne mauzoleum. I równie pozbawione życia.

– Halo! - krzyknął Indy. Jego głos odbił się echem od złowróżbnych ścian.

Po przeciwnej stronie dziedzińca pojawiło się trzech potężnych strażników. W ich wyglądzie było mniej szacunku niż u strażników na moście.

– Cześć - pojednawczo odezwała się do nich Willie. Odpowiedziało jej tylko echo.

Po chwili na marmurowych schodach prowadzących do szerokich drzwi pojawił się wysoki Hindus w okularach z surowym wyrazem twarzy, ubrany w biały angielski garnitur. Patrzył grzecznie, choć nie bez podejrzliwości, na rozczochraną piękność w męskim, wymiętym smokingu z butami i suknią w ręce, na chińskiego chłopca z amerykańską czapeczką na głowie i białego zbira z biczem, który zerkał na niego przez zmrużone oczy.

Nazywał się Chattar Lal.

Podszedł do nich żwawym krokiem biurokraty, aby lepiej im się przyjrzeć. Z bliska nie zrobili na nim lepszego wrażenia.

– Czyżby państwo zabłądzili? - uśmiechnął się pogardliwie. - Choć nie mogę sobie wyobrazić miejsca, do którego państwo zmierzają.

Indiana obdarzył go najsympatyczniejszym ze swoich amerykańskich uśmiechów, który zdawał się mówić: *Gdziekolwiek jestem, tam jest moje miejsce.*

– Zabłądzili? Ależ nie. Jesteśmy w drodze do Dehli. To panna Scott, a to pan Round. Nazywam się Indiana Jones.

Chattar Lal nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Doktor Jones? Ten wybitny archeolog?

Willie uśmiechnęła się szyderczo, choć bez złośliwości.

– Trudno w to uwierzyć, prawda?

Chattar Lal kontynuował:

– Po raz pierwszy usłyszałem o panu, kiedy studiowałem w Oksfordzie. Jestem Chattar Lal, premier jego wysokości maharadży Pankot - skłonił się z szacunkiem. - Witamy w pałacu Pankot.

Poprowadził ich przez główny hall, przez sale z kolumnami, przez oszłamiające wnętrza z lustrami na ścianach wysadzanych szlachetnymi kamieniami, z fontannami z kości słoniowej, z misternie tkanymi gobelinami.

Willie patrzyła z podziwem na przepych bogato zdobionych wnętrz. W korytarzu minęli portrety książąt Pankot wiszące w porządku chronologicznym. Twarze były różne: szlachetne, mroczne, banalne, stare, w nieokreślonym wieku.

Mijając je, Willie szeptała do Short Round:

– Na tego nie chciałabym natknąć się w ciemnej uliczce. A ten jest niezły. Za takiego mogłabym wyjść. Księżniczka Willie.

Przed nimi Chattar Lal przepytował Indy'ego głosem, w którym brzmiały ciekawość i nieufność zarazem:

– Katastrofa lotnicza i wasza podróż tutaj wydają się wyjątkowo niewiarygodne.

Willie usłyszała to.

– Szkoda, że pana tam nie było - rzuciła.

Indy mówił z powagą:

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby maharadża pozwolił nam zostać na noc. Rano ruszymy dalej.

*Po krótkiej, tajnej inspekcji, dodał w myślach.*

– Jestem tylko jego pokornym sługą - Chattar Lal zwiesił głowę służalczo - choć jego wysokość zwykle słucha moich rad.

– Czy to on? - spytała Willie. Dotarli do ostatniego portretu. Willie stanęła i patrzyła rozczarowana na wyjątkowo korpulentną postać starego księcia Radżputów.

– Nie jest szczególnie młody - westchnęła.

– Nie, nie - wyjaśnił Chattar Lal, - to Shafi Singh, zmarły ojciec obecnego maharadży.

– Aha, dobrze - humor jej się trochę poprawił. - A czy może obecny maharadża jest troszkę młodszy? Odrobinę szczuplejszy?

Przez boczne drzwi weszły dwie służące i skłoniły się.

Chattar Lal skinął głową do Willie.

– Odprowadzą panią do jej pokoi. Dostanie pani nowe ubranie. Są państwo zaproszeni na kolację z jego wysokością.

– Kolację? - rozpromieniła się Willie. - Z księciem? Wraca moje szczęście. - Ujrzała swoje odbicie w zdobionym lustrze. - Boże, jak ja wyglądam. Muszę się przygotować.

Do poderwania księcia niezbędna jest odpowiednia przynęta. Odeszła szybko z jedną ze służących.

Chattar Lal uśmiechnął się chłodno do Indiany.

– O ósmej w Pawilonie Przyjemności, doktorze Jones.

Skłonili się sobie, uważając, żeby nie skłonić się niżej niż ten drugi.

Ponad starannie utrzymanymi ogrodami wznosiła się wspaniała złota kopuła. Powietrze pachniało jaśminem, hiacyntami, kolendrą i różami. Delikatny powiew rozświetlonego pochodniami wiatru niósł dźwięki sitaru, bębenka i fletu. Pawilon Przyjemności płonął światłem.

Ministrowie dworu i bogaci indyjscy kupcy w eleganckich radźputańskich strojach spacerowali po ogrodzie, wymieniając się aluzjami i obietnicami darów w zamian za łaskę dworu i przywileje. W tę to pajęczynę pałacowych intryg wkroczył Indiana Jones wraz ze swoim ochroniarzem, Short Round.

Indy miał na sobie tradycyjny, profesorski uniform: tweedową marynarkę, muszkę i okrągłe okulary. Spodnie i buty dokładnie wyczyściła pałacowa służba. Postanowił pozostawić trzydniowy zarost. Chciał, żeby ten dziwaczny premier zobaczył w nim twardziela, a poza tym nie chciał, żeby Willie pomyślała, że próbuje na niej zrobić wrażenie. Short Round też był czysty, choć nie zgodził się zmienić ubrania i zdjąć czapeczki.

– Rozejrzyj się, Shorty - powiedział Indiana. - Chciałbyś kiedyś mieć taki pałac?

– Jasne - odparł Short Round.

– Zła odpowiedź - rzekł Indy. - Ładny jest, to prawda, ale śmierdzi zepsuciem. Czujesz?

Short Round pociągnął nosem.

– Chyba... tak.



W powietrzu rzeczywiście czuć było gryzący zapach, coś jakby zbyt słodkie kadzidło.

– Zuch - kiwnął głową Indy. Ten chłopak przeszedł zbyt dużo, żeby go jeszcze narażać na takie pokusy. - Nieźle wygląda, przyznaję. Dobre miejsce, żeby wpaść z wizytą, ale nie, żeby tu mieszkać.

– Ja mieszkam w Ameryce - zgodził się z nim Short Round.

– Na przykład popatrz na ten rzeźbiony zegar słoneczny z kości słoniowej - żałował, że nie może go zabrać ze sobą na uniwersytet, bo był to piękny przykład tamilskiego rzemiosła. - Na pewno został skradziony innemu królestwu, tylko po to, żeby dodać splendoru pałacowi.

Short Round kiwnął głową.

– To tak jak my - znajdują nowego właściciela dla różnych rzeczy.

Indy odchrząknął.

– To nie całkiem tak, Shorty.

Shorty na moment zawahał się, ale po chwili wydało mu się, że rozumie, o co chodzi Indianie.

– A, ci ludzie nie umią pisać.

– Zgadza się - powiedział Indy. Postanowił na razie na tym poprzestać. - Nie umieją pisać.

– Ale chyba dobrze znają cyfry - domyślił się Short Round. Każdy, kto jest aż tak bogaty, musi przynajmniej umieć liczyć.

Indy uśmiechnął się do swego towarzysza.

– Masz bystry wzrok, kolego.

Rozejrzeli się po porcelanowych kafelkach, nefrytowych fasadach, żłobkowanych kolumnach.

Kiedy pojawili się pieczeniarze i dworzanie, podszedł do nich Chattar Lal w towarzystwie kapitana brytyjskiej kawalerii w galowym mundurze.

Chattar Lal przedstawił go:

– Mamy dziś wyjątkowe szczęście do niezapowiedzianych gości. Oto kapitan Philip Blumburtt.

Blumburtt skłonił się Shorty’emu i Indianie. Był to wąsaty, łysiejący dżentelmen około sześćdziesiątki z czterema medalami na piersi.

Indy potrząsnął głową.

– Dobry wieczór. Widziałem, jak o zachodzie słońca nadchodzi pańskie wojsko.

– To tylko rutynowa inspekcja - zapewnił ich grzecznie.

– Brytyjczycy tak bardzo przejmują się swoim imperium - Chattar Lal usiłował nadać swemu głosowi serdeczny ton.

– Wygląda na to, że pan też ma sympatyczne, małe imperium, którym pan się przejmuje - rzekł Indy z uśmiechem.

Kiedy stali tak we czwórkę, podziwiając architekturę, nadeszła Willie. Indy spojrział na nią z uznaniem.

Wyglądała pięknie. Czysta i umalowana, miała na sobie jedwabne sari w kolorze kości słoniowej, po brzegach obszyte brokatem i udrapowane trochę na zachodni sposób, tak że z przodu tworzyło duży dekolt. We włosach upięła tiarę z brylantów i pereł. W uszach miała kolczyki z dużych, złotych kręgów, a na szyi ozdobny naszyjnik wysadzany drogimi kamieniami. Głowę okryła delikatnym, jedwabnym szalem.

Efekt był niesamowity.

– Wyglądasz jak księżniczka - rzekł Indy.

Chyba po raz pierwszy powiedział jej coś miłego. O mało nie poczerwieniała na twarzy.

Blumburtt i Chattar Lal obdarzyli ją podobnymi komplementami, po czym premier zauważył, że zaraz rozpocznie się kolacja i zaprowadził ich do jadalni. Willie miała ruszyć za nim, ale Indy zatrzymał ją.

– Nie pokazuj im, że aż tak ci zależy - poradził jej. - I przestań się ślinić.

– Uważam, że tu jest jak w niebie - wyznała. - Wyobraź sobie, prawdziwy księżę. Dotychczas moim największym osiągnięciem był prowincjonalny hrabia.

Przeszli przez ogród do wewnętrznego pawilonu. Willie, wspierając się na ramieniu Indy'ego, rozglądała się dookoła wzrokiem dziecka patrzącego na prezenty leżące pod choinką.

Short Round szedł kilka kroków z tyłu i obserwował ich. Piękni, godni, oddani sobie i oczarowani. Oto jego wymarzeni rodzice, a to on, ich wierny syn. Zatrzymał się na chwilę i posłał prostą modlitwę swym ulubionym gwiazdnym bóstwom - Gwiazdzie Szczęścia, Gwiazdzie Godności, Gwiazdzie Długowieczności - prosząc, aby ta chwila odnotowana została w Niebiańskich Archiwach, tak by można było ją później odtworzyć na żądanie.

Weszli do jadalni. Potężne, granitowe kolumny podpierały bogato zdobiony sufit. Na płaskorzeźbach pokrywających ściany tańczyły alabastrowe konie. Podłoga wyłożona była marmurem i hebanem. Światło z kryształowych kandelabrow docierało do każdego zakątka sali. Pośrodku stał niski stół zastawiony złotymi talerzami i kubkami dla dwudziestu osób. Przy drzwiach prężyli się na baczność strażnicy w mundurach obszytych drogimi kamieniami.

Z boku bębny i struny zaplatały dźwięki egzotycznej muzyki, a skąpo ubrana dziewczyna kręciła się, tańcząc w rytm melodii. Indiana zlustrował ją od stóp do głów i uśmiechnął się z aprobatą.

– Zawsze miałem słabość do ludowych tańców.

Willie skinęła głową w kierunku tancerki, na wpół szyderczo i na wpół z zachętą.

– Kręć się dziecko, kręć, a osiągniesz tyle, co ja.

Obdarzyła Jonesa lekceważącym spojrzeniem i przyspieszyła kroku, doganiając premiera.

– Panie Lal - Willie przybrała swobodny ton - jak nazywa się żona maharadży?

– Jego wysokość nie wybrał jeszcze małżonki - wyjaśnił Chattar Lal.

Willie uradowała się.

– Nie? No cóż, pewnie jeszcze nie poznał odpowiedniej kobiety.

Gdy Willie wciągała premiera w niezobowiązującą rozmowę, Indiana zboczył w kierunku ściany, przy której stało wiele rzeźb z brązu i dziwnych przedmiotów kultu religijnego. Jego uwagę przyciągnęła dziwna figurka z gliny. Gdy podniósł ją, żeby lepiej się jej przyjrzeć, podszedł do niego Blumburt.

Blumburt skrzywił się na widok małej, dziwnej lalki.

– Czarująca. Co to jest?

– To jest Krtya - odpowiedział Indy. - Coś takiego jak lalki voo-doo z zachodniej Afryki. Krtya reprezentuje wroga i daje nad nim całkowitą władzę.

– Co za bzdury - rzucił Blumburt gniewnym głosem.

Indiana przybrał podobny ton.

– Wam, Brytyjczykom, wydaje się, że rządzą Indiami, ale jesteście w błędzie. Wciąż władają tu starzy bogowie.

Poczuł to, kiedy zobaczył postać broniącą wstępu na ścieżkę do pałacu. Ta figurka potwierdziła tylko tamto wrażenie.

Blumburt najwyraźniej poczuł się obrażony. Indy odstawił figurkę. Podbiegła Willie, podekscytowana po rozmowie z premierem.

– Czy ty wiesz, że maharadża tarza się w pieniądzech? - poczerwieniała na twarzy. - Może to był nie najgorszy pomysł, żeby tu przyjechać.

Blumburt uniósł brwi z naganą we wzroku. Indy tylko się uśmiechnął.

Z podium dobiegł ich dźwięczny odgłos bębna.

– Domyślam się, że wołają nas na kolację - powiedział kapitan Blumburt z wyraźną ulgą.

– Nareszcie! - wykrzyknęła Willie. Blumburt ruszył, żeby oddalić się od nich możliwie jak najszybciej.

Indiana chwycił Willie pod rękę i odprowadził do stołu.

Bęben grzmiał dalej, a goście stanęli na swoich miejscach za poduszkami leżącymi na podłodze wokół niskiego stołu. Tylko miejsce u jego szczytu pozostało puste. Indianę skierowano na prawo od szczytu stołu, obok kapitana Blumburta. Willie i Shorty stali naprzeciw nich, po lewej od honorowego miejsca.

Chattar Lal podszedł do rogu stołu, blisko Willie, dwa razy klasnął w ręce i obwieścił, najpierw w hindi, a potem po angielsku:

– Jego wysokość, strażnik tradycji Radżputów. Maharadża Pankot, Zalim Singh.

Wszyscy utkwili wzrok w zamkniętych, dwuskrzydłowych drzwiach ze szczerego srebra dziesięć stóp za premierem. Drzwi otworzyły się i maharadża Zalim Singh przekroczył próg. Wszyscy obecni w jadalni skłonili się.

Indy zobaczył, jak pochyłona Willie podniosła wzrok i otworzyła usta ze zdziwienia. Przeniósł wzrok z jej twarzy na wchodzącego monarchę. Zalim Singh miał trzynaście lat.

– To ma być maharadża? - Wyszeptała. - To dziecko?

Na niczyjej chyba twarzy rozczarowanie nigdy nie malowało się tak wyraźnie.

– Może podobają mu się starsze kobiety? - odpowiedział jej Indy.

Zalim Singh podszedł do stołu. Ubrany był w długą szatę pokrytą złotym i srebrnym brokatem, ozdobioną brylantami, rubinami, szmaragdami i

perłami. Turban był również bogato zdobiony, na jego czubku wpięty był diadem w kształcie fontanny tryskającej wodą. Miał również kolczyki i pierścionki na palcach rąk i stóp. Na delikatnej twarzy dziecka nie było zmarszczek i zarostu, a młodzieńcza pulchność policzków powodowała, że usta miał po dziecięcemu odęte. Wyglądał bardzo kobieco i był bardzo ładny.

Spojrzał władczo na tłum gości dopóki jego wzrok nie padł na Short Round. Short Round nie skłonił się.

Stał tam w czapeczce, żując gumę i patrzył wyzywająco na chłopca, któremu się wydawało, że jest Bóg wie kim.

Naturalni wrogowie.

Indy posłał mu miażdżące spojrzenie ponad stołem. Wprawdzie nie zmiażdżyło go, ale Short Round skłonił się. *To dla Indy'ego*, powiedział sobie, *a nie dla tego wyniosłego ofermy*.

Maharadza zasiadł na złotej poduszce. Skinął głową i goście usiedli na podłodze, rozpierając się na poduszkach.

Indy uśmiechnął się współczująco do Willie, której marzenia o monarchii rozwiały się.

– Głowa do góry - pocieszył ją. - Straciłaś księcia, ale zaraz będzie jedzenie.

Na to czekała. Rozczarowanie ustąpiło pod wpływem uczucia głodu.

– Nigdy w życiu nie byłam tak głodna.

Weszła służba ze srebrnymi półmiskami parujących dań. Willie przymknęła oczy, rozkoszując się zapachami. Kiedy je otworzyła, pierwsze danie leżało już na stole. Był to upieczony w całości dzik ze wzdętym brzuchem, w który wbito strzały. Na ich drzewca nadziane były pieczone, ledwo narodzone dziczki, które leżąc w kręgu otaczały brzuch, jakby ssąc rozgotowane sutki.

Willie skrzywiła się zadziwiona.

– Boże, to jest okropne.

Indy zmarszczył czoło. Wydało mu się to co najmniej dziwne. Hindusi nie jedzą mięsa. Spojrzał na Blumburta, który był równie zdziwiony. Wili wciąż wpatrywała się w jedzenie.

Młody maharadża pochylił się do Chattar Lala i szepnął coś do niego. Premier kiwnął głową i odezwał się:

– Jego wysokość prosi mnie, żebym serdecznie powitał naszych gości, a szczególnie sławnego doktora Jonesa z Ameryki.

Indy skłonił lekko głowę, dziękując księciu.

– To dla nas zaszczyt - powiedział.

Mała, oswojona małpka wskoczyła na ramię Short Round i zabrała kwiatek ze stołu, wydając wesołe odgłosy. Short Round zachichotał. Małpka zabrała jego czapkę, a Shorty ją odebrał. Szeptali coś do siebie w tajemnicy, bawili się płatkami kwiatów jak niesforne dzieci na rodzinnym obiedzie.

Willie patrzyła na dzika i nadziane na drzewca strzał małe.

Indiana podjął grzeczną rozmowę z Chattar Lalem.

– Panie premierze, chciałbym o coś spytać. Oglądałem zbiory maharadży...

– Piękny zbiór zabytkowych przedmiotów, nie sądzi pan?

– Wydaje mi się, że niektóre z nich nie są aż tak stare. Sądzę, że niektóre powstały niedawno. Wyglądają jak przedmioty używane przez Thugów w kulcie Kali.

Gdy padło słowo *Thugowie*, cały stół zamarł, jakby Indiana złamał tabu albo popełnił niewybaczalny towarzyski nietakt. Wszyscy Hindusi patrzyli na niego.

Chattar Lal usiłował zachować dobre maniery, lecz odezwał się chłodno:

– To niemożliwe, doktorze Jones.

– Wydaje mi się, że w tej prowincji, może nawet właśnie tutaj koncentrowały się działania Thugów.

Jakby trafił na odsłonięty nerw. Z reakcji, którą wywołał, domyślił się, że warto kontynuować ten wątek.

Teraz włączył się do rozmowy Blumburt.

– A tak, Thugowie. Niesamowite łobuzy. Dusili podróżników. Jestem prawie pewien, że to ta prowincja. Skończył z tym ten brytyjski oficer, major...

– Sleeman - przerwał mu Indiana. - Major William Sleeman.

– W rzeczy samej, to on - zgodził się Blumburt.

– Udało mu się wejść w ich szeregi i aresztować przywódców - kontynuował Indy. - Chyba w 1830. Odważny człowiek.

– Ma pan dobrą pamięć - odezwał się Chattar Lal z wyraźnym zainteresowaniem.

– To mój zawód - przyznał Indy.

– Doktorze Jones - naciskał premier - dobrze pan wie, że sekta Thugów nie istnieje już od prawie stu lat.

– Ależ oczywiście - poparł go Blumburt. - Thugowie składali ofiary z ludzi bogini Kali, ale brytyjska armia szybko zrobiła z tym porządek.

Służba postawiła na stole następny półmisek: parujący boa dusiciel z wody przybrany smażonymi mrówkami. Służący rozciął węża i z jego wnętrza wysypała się masa wijących się, małych węgorzy.

Willie zbladła.

Kupiec siedzący obok niej zarechotał z radości:

– Aa. Wężowa Niespodzianka!

– Gdzie tu jest niespodzianka? - odezwała się Willie z rezygnacją. Nie była już tak głodna jak przedtem.



Indiana nie rezygnował z rozmowy.

– Przypuszczam, że wciąż krążą historie o Thugach - powiedział i pomyślał: *Szczególnie, jeżeli są ku temu podstawy.*

– Nie ma żadnych historii - premier pozwolił sobie nie zgodzić się.

– No cóż, nie jestem pewien - Indy grzecznie pokręcił głową. - Przybyliśmy tu z małej wioski i wieśniacy opowiedzieli nam, że pałac Pankot stał się znowu potężny dzięki jakiejś złej mocy.

– To ludowe strachy i bajdy - odezwał się szyderczo Lal.

– Ale kiedy zbliżyliśmy się do pałacu - ciągnął Indy - zobaczyłem ołtarzyk z figurką Kali, bogini śmierci, zniszczenia i chaosu.

Zalim Singh i premier wymienili spojrzenia. Indiana zauważył to. Chattar Lal przybrał oficjalny ton.

– A tak. Bawiliśmy się tam, kiedy byliśmy dziećmi. Ojciec zawsze ostrzegał mnie, żebym nie pozwolił Kali odebrać mi *atman*, czyli duszy, jak pan by to powiedział. Ale nie pamiętam żadnej złej mocy. Pamiętam tylko radość dzieciństwa, miłość rodziców i ukochane zwierzęta. Doktorze Jones, to tylko wiejskie plotki. To tylko ludowe strachy i bajdy. Niech pan nie straszy kapitana Blumburtt - twarz Chattar Lala była nieprzeniknioną maską.

– Ależ skąd, panie premierze - odezwał się rozbawiony Blumburtt. - To bardzo interesujące.

Short Round powrócił do zabawy z małpką. Nie podobała mu się ta przerażająca rozmowa. Miał nadzieję, że Huan-t'ien, Najwyższy Władca Ciemnych Niebios, pilnuje ziemskich spraw.

Jakby sama rozmowa nie była wystarczająco nieprzyjemna dla Willie - ofiary z ludzi, okropne - jedzenie było absolutnie nie do przyjęcia. Właśnie kiedy zastanawiała się, czy nie zacząć jeść kwiatów, służący pochylił się

nad jej ramieniem i położył przed nią talerz z upieczonym, czarnym żukiem o długości sześciu cali.

Zajęczała cicho, widząc, jak kupiec siedzący obok niej podniósł takiego samego, lśniącego, groteskowo olbrzymiego owada, rozłamał na pół i z rozkoszą wyssał lepkie wnętrzności.

Willie zbladła jeszcze bardziej. Błyszczące światła zatańczyły przed jej oczami.

Kupiec spojrzał na nią podejrzliwie.

– Ależ pani nic nie je!

Uśmiechnęła się słabo.

– Jadłam już żuki na obiad.

Nie należy zapominać o dobrych manierach, kiedy się je kolację u maharadży.

Tymczasem u szczytu stołu trwała kłopotliwa rozmowa.

– Wie pan - mówił Indiana, - wieśniacy twierdzą również, że pałac Pankot coś im zabrał.

– Doktorze Jones - Chattar Lal odezwał się twardym głosem, - w naszych stronach gość zazwyczaj nie obraża gospodarza.

– Przepraszam - rzekł Indiana - Wydawało mi się, że rozmawiamy o wiejskich plotkach.

Mówił niewinnym tonem, ale czuł, że jego aluzje docierają tam, dokąd są skierowane.

– Cóż takiego im ukradziono? - zainteresował się Blumburt. Kradzież to co innego, to wchodzi w zakres jego kompetencji.

– Święty kamień - odpowiedział Indiana.

– Ha! - wykrzyknął premier. - Widzi pan, kapitanie? Kamień!

Rozległ się wymuszony śmiech.

Willie mogła skoncentrować się tylko na gościach, którzy rozłupywali olbrzymie żuki i wysysali ich wnętrzności. Pochyliła się do Short Round, który był zajęty uczeniem małpki baseballoowych gestów.

- Daj mi czapkę - wychrypiała.
- Po co - spytał ją podejrzliwie.
- Zaraz w nią zwymiotuję.

Podszedł do niej służący, oferując pomoc. Willie uśmiechnęła się do niego promiennie, w końcu była profesjonalistką.

- Czy macie coś zwykłego, jak zupa czy coś takiego?

Służący skłonił się, odszedł i wrócił prawie natychmiast z wazą.

Położył ją przed nią i zdjął przykrywkę. To była zupa. Jakby rosół, przynajmniej tak pachniał, ale na wierzchu pływało kilkanaście oczu.

Kupiec skinął głową z aprobatą.

- Wygląda bardzo smacznie - rzekł z entuzjazmem.

Po twarzy Willie zaczęły płynąć łzy.

Indiana wciąż naciskał na Chattar Lala.

– Na początku sam miałem wątpliwości. Ale wtedy coś skojarzyłem: kamień z wioski i dawną legendę o kamieniu Sankary.

Chattar Lal z trudem panował nad sobą.

– Doktorze Jones, wszyscy padamy ofiarami złośliwych plotek. Sam pamiętam, jak to w Hondurasie oskarżono pana, że jest pan hieną cmentarną, a nie archeologiem.

Indiana wzruszył ramionami.

- Gazety przesadzają.

– A czyż sułtan Madagaskaru nie zapowiedział, że odetnie panu głowę, jeżeli kiedykolwiek pan się tam pojawi? - spytał Chattar Lal.

Indy doskonale pamiętał sułtana.

- Nie głowę - wymamrotał.

– A więc być może ręce - błysk w jego oczach zdradził, że doskonale wie, o którą część ciała chodzi.

– Nie, nie ręce - wycofał się Indy, trochę zażenowany - To miał być... to było nieporozumienie.

– I dokładnie z czymś takim mamy tu do czynienia, panie doktorze - Lal wyprostował się z uśmiechem na twarzy. - Z nieporozumieniem.

Maharadza chrząknął i odezwał się po raz pierwszy.

– Słyszałem straszne historie o sekcie Thugów.

Na te słowa przy stole zapadła cisza, jakby wszystkich zaskoczył fakt, że maharadza ma swoje zdanie na jakiś temat.

– Myślałem, że to historyjki dla niegrzecznych dzieci - kontynuował - ale później dowiedziałem się, że sekta kiedyś naprawdę istniała i robiła niewypowiedziane okropne rzeczy - spojrzał twardym wzrokiem na Indianę. - Wstydzę się za to, co tu się działo wiele lat temu. Trzymamy te rzeczy, figurki i posążki, abyśmy pamiętali, że nic takiego już nigdy więcej nie może się wydarzyć w naszym królestwie.

Pod koniec podniósł głos, a nad górną wargą pojawiły się kropelki potu.

W sali panowała cisza.

– Czyżbym obraził jego wysokość? - odezwał się w końcu Indiana. - W takim razie przepraszam.

Goście odetchnęli z ulgą. Służba zebrała brudne talerze i przyniosła czyste. Goście podjęli przerwana rozmowę. Indy nie był pewien, czy ta rozmowa cokolwiek mu wyjaśniła.

– Aa. Deser - odezwał się otyły kupiec siedzący koło Willie.

Małpka nagle wydała z siebie przeciągły pisk i uciekła przez otwarte okno. Willie zamknęła oczy. Nie chciała patrzeć, to będzie okropne, po co jej to. Usłyszała brzęk srebrnych sztućców i jedzących ludzi. W końcu ciekawość i beztroska atmosfera przeważały i otworzyła oczy.

Za późno. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. To było nieskończenie gorsze niż wszystko, co mogła sobie wyobrazić.

Zobaczyła talerze z głowami martwych małp.

Odcięte czubki głów leżały jak przykrywki. Każdy talerz stał na małym postumencie, wzdłuż którego zwisało białe futro z małpich głów, na których zamarł grymas przerażenia.

Na twarzy Short Round pojawił się strach. Nawet Indy i kapitan Blumburtt wyglądali na poruszonych.

Willie patrzyła z obrzydzeniem, jak maharadża i jego goście otwierają małpie głowy i wkładają do środka złote łyżeczki.

– Schłodzony mózdek - kupiec obok niej z trudem ukrywał zachwyty.

Willie nie potrafiła już ukryć swych uczuć, więc poradziła sobie z sytuacją najlepiej jak umiała - zemdląca.

– Dostyc dziwaczny jadłospis, nie sądzi pan? - zauważył Blumburt, gdy wyszli z pawilonu i szli przez ogród. Short Round szedł razem z nimi. Setki lampionów rozświetlały półmrok wieczoru. Zapach nargili mieszał się z naturalnymi zapachami ogrodu.

– Nawet jeżeli chcieli nas wypłoszyć, pobożni Hindusi nie tykają mięsa - Indy kiwnął głową. - Człowiek zaczyna się zastanawiać, kim są ci ludzie.

– No cóż - odezwał się szorstko Blumburt - trudno mi uwierzyć, żeby liczyli na to, że się wystraszymy.

Indy wykonał wymijający gest.

– Może nie.

– No cóż, muszę iść. Zwolnić żołnierzy i tak dalej. Bardzo miło było mi pana poznać, panie doktorze.

– Mnie również, panie kapitanie.

Podali sobie dłonie i Blumburt odszedł.

Indy spojrział na Shorty'ego.

– Chodź - powiedział. - Rozejrzemy się.

Poszli do kuchni. Indy był przekonany, że tylko rozmowa ze służbą pozwoli dowiedzieć się prawdy.

W kuchni kilka osób sprzątało, myło naczynia, układało rzeczy. Indy odezwał się do mężczyzny, który wyglądał na kucharza, ale ten nie odpowiedział. Indy spróbował w innym dialekcie, ale bez rezultatu. Zwrócił się do kilku innych, ale wynik był ten sam.

Na szafce dostrzegł tacę z owocami, podniósł ją i spytał, czy może zjeść kilka owoców, ale nikt nie zareagował.

– Widzisz, Shorty, tak jak mówiłem, jeżeli chcesz się czegoś dowiedzieć, spytaj służbę.

Short Round ziewnął.

Indy potraktował to wyrozumiale.

Jakaś młoda kobieta mrugnęła do niego, przynajmniej tak mu się wydawało, ale starszy mężczyzna przepędził ją z kuchni. Wyszła, poruszając się tak, że wyrozumiałość Indy'ego wzrosła. Delikatny ruch bioder spowodował, że nagle zatęsknił za pewną damą, wokół której ostatnio koncentrowały się jego myśli.

Spojrział na ponurą służbę krzątającą się w kuchni, na tacę na stole, na Shorty'ego, który spał na stojąco. Zrozumiał, że im wszystkim przyda się trochę odpoczynku.

Pięć minut później szli ocienionym korytarzem do sypialni. Short Round niósł zakrytą tacę i ziewał co dziesięć sekund.

Indy poklepał go po głowie, odebrał tacę i zatrzymał się pod drzwiami do ich sypialni.

– Chyba sprawdzę, co słychać u Willie - powiedział.

– To zrobisz najlepiej - Shorty zażartował. Wszedł do ich pokoju, a gdy Indy ruszył dalej korytarzem, szepnął głośno:

– Powiesz mi potem, co było.

Indy zatrzymał się.

– Spadaj - rzucił. Shorty zamknął drzwi, ale po chwili uchylił je lekko, żeby popatrzeć choć przez minutkę. W końcu był to początek wielkiej sceny miłosnej, początek związku, który miał dla niego wielkie znaczenie.

Tak jak wielki Babe Ruth, Indy miał teraz dobiec do bazy.

Wszystko pójdzie dobrze. Shorty nabierał przekonania, że Indy i Willie są niebiańskimi kochankami, Hsienpo i Ying-t'ai. Kiedy umarli w swoich ramionach, Jaspisowy Cesarz pozwolił im zamieszkać w tęczy. Hsienpo został kolorem czerwonym, a Ying-t'ai niebieskim. A czyż oczy Willie nie były niebieskie? A czyż oczy Indiany nie miały czerwonego poblasku? A więc, czyż nie było oczywiste, że powrócili na ziemię połączyć się znowu i zabrać ze sobą jego - fioletowy efekt swego związku?

Short Round był pewny, że tak.

Bo czyż jego brązowe oczy nie miały fioletowych plamek?

Lecz teraz był tak śpiący, że jego podszyte fioletem oczy same się zamykały. Zastanowił się, czy Willie, jak Cień, nie potrafi zamącić umysłu mężczyźnie. Ale nie mógł jeszcze iść spać, chciał być świadkiem pierwszych zalotów, poprzedzających miłosne zespolenie mitycznej pary.

Indy podszedł do sypialni Willie. Drzwi były zamknięte. Właśnie miał zastukać, gdy się otworzyły. Stała w nich nieco zaskoczona Willie w stroju księżniczki.

– Co za niespodzianka - powiedziała.

– Mam coś dla ciebie - odezwał się Indy chrapliwym głosem. Usiłował zachowywać się nonszalancko, choć nie do końca panował nad wyrazem twarzy.

– Nie sądzę, żebyś miał coś, czego potrzebuję - powiedziała, żeby go podrażnić, ale w głębi duszy czuła, że to nieprawda.

– Jasne - kiwnął głową Indy. Nie ma sensu tkwić, gdzieś, gdzie cię nie chcą. Obrócił się, żeby odejść i wyjął jabłko spod serwetki. Ugryzł je i Willie usłyszała odgłos chrupania.

Wyrwała mu jabłko i ugryzła. Jeszcze żadne jabłko nie smakowało jej tak bardzo. Zamknęła oczy, rozkoszując się cierpkim sokiem i chrupiącym miąższem. Kiedy otworzyła oczy, odsłonił tacę i podał jej: banany, pomarańcze, granaty, figi, winogrona.

Willie wstrzymała oddech. Wzięła tacę i zaniósła do pokoju, a Indy podążył za nią.

Short Round uśmiechnął się ze zrozumieniem i poszedł spać.

*W sumie nie jest taki zły, pomyślała Willie. Gdyby tylko był mniej zarozumiały. Pomógł jej kilka razy i ludzie rzeczywiście o nim słyszeli, więc może rzeczywiście jest sławny, a teraz to boskie jedzenie, no i przystojniak z niego, no i są tu teraz o tysiące mil od radia i samochodu...*

*Włożyła do ust trochę winogron i uśmiechnęła się do niego, stojąc w drzwiach. Jeżeli lubisz szybkie auta, jeżeli lubisz bary, jeżeli lubisz stare piosenki, jeżeli lubisz nagie ciało... podwinęła rękawy i obrała banana. Jeżeli lubisz Mae West, albo jeżeli lubisz, kiedy jestem bez ubrania, no cóż, nikt nie powie nie...*

Uśmiechnął się do niej. Jest zdesperowana, aż tak bardzo go chce. Nie przeszkadza mu to. Nie jest zła i pozwoli jej się uwieść. Zrobił krok w jej kierunku.

– Miły jesteś - wymruczała. - Mógłbyś zostać niewolnikiem w moim pałacu.



Z dnia na dzień wyglądała coraz lepiej. Na jej widok odczuwał dreszcz podniecenia.

– Spisz w biżuterii, księżniczko?

– Tak, i w niczym więcej - odparła. - To cię dziwi?

– Nie - podszedł do niej. - Nic mnie nie dziwi. Jestem naukowcem.

Wziął od niej jabłko i odgryzł duży kawałek.

– A więc - powiedziała, - jako naukowiec, prowadzisz intensywne badania?

– Zawsze - wyznał.

– To znaczy, badasz, jakiego kremu używam na noc, w jakiej pozycji najchętniej śpię, jak wyglądam rano.

Sytuacja robiła się coraz bardziej napięta. Miała nadzieję, że wykona jakiś ruch.

Indy skinął głową, jakby czytał w jej myślach.

– Zwyczaje godowe.

– Rytuały miłosne.

– Prymitywne praktyki seksualne.

– Więc jesteś ekspertem w tej dziedzinie - podsumowała, rozwiązując jego muszkę. Podobał się jej coraz bardziej.

– Lata pracy w terenie - przyznał. Miłość w tropikach.

Pocałowali się. Pocałunek był długi, delikatny, nieśmiały, choć z każdą chwilą robił się coraz bardziej napięty.

Przerwali, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Rozumiem, że możesz być czasem na mnie zły. Potrafię być trudna.

– Bywało gorzej - odparł świadom, że *noblesse oblige*.

– Już nigdy nie będzie lepiej - obiecała.

– Czy ja wiem - uśmiechnął się ironicznie, zamykając za sobą drzwi do jej sypialni. - Jako naukowiec nie mogę z góry zakładać wyniku

eksperymentu. Powiem ci rano.

*Eksperyment!*, pomyślała, odczuwając nagle złość. *Jakbym była królikiem doświadczalnym.*

– Co!?! - wysyczała. To ma być romans. Na pewno nie będzie jego kolejną zdobyczą.

Otworzyła drzwi, które zdążył już zamknąć.

– Ty zarozumiała ma!po! Nie jestem taka łatwa.

– Ja też nie jestem łatwy - odpowiedział. Zaskoczenie zmieniło się w gniew. - Cały kłopot w tym, że za bardzo przywykłaś stawiać na swoim.

Wyszedł z jej sypialni i ruszył w kierunku swojego pokoju.

– Jest pan zbyt próżny, żeby przyznać, że szaleje pan za mną, panie doktorze.

Na tym polega jego problem. Zawsze musi panować nad sytuacją. To że był w niej zakochany bez pamięci, czyniło go bezbronnym, zbyt zależnym od jej łaski. No cóż, okaże mu łaskę, jeżeli on zacznie się zachowywać jak dżentelmen.

– Wiesz, gdzie mnie szukać - stał w drzwiach do swojej sypialni, usiłując przybrać obojętny wygląd. *Zaraz sama tu przyjdzie.*

– Pięć minut - rzekła. - Wrócisz tu za pięć minut.

*Zależy mu bardziej, niż chce to okazać, to jest jasne. Biedaczek, to nie potrwa długo.*

Indy ziewnął demonstracyjnie.

– Kochanie, za pięć minut będę spał.

Zamknął drzwi.

– Pięć minut - powtórzyła. - Ja to wiem i ty to wiesz.

Indy uchylił lekko drzwi, wyjrzał na korytarz i zamknął je. Willie trzasnęła drzwiami, jakby to było jej ostatnie słowo.

Indy stał w pokoju, opierając się o drzwi. Żadnych kroków na zewnątrz, żadnych przeprosin. Do diabła z tym. Podszedł do łóżka i usiadł, naprawdę zirytowany i to nie bez powodu.

Willie usiadła na miękkim materacu, mrużąc coś do siebie ponuro. Wróci. Nie jest specjalnie bystry, ale jest mężczyzną, a ona jest kobietą. I to ją. Podniosła zegarek stojący przy łóżku i ostrzegła go: *Pięć minut*. Zdjęła suknię.

Indy zdjął marynarkę. Spojrzał ze złością na zegarek przy łóżku. *Cztery i pół minuty*, mruknął. *Idiotyzm. Idiotka, idiotyczne miejsce, idiotyczna sytuacja*. Poczul się wykorzystany.

Willie spacerowała po urządzonej z przepychem sypialni. Zdmuchnęła świece, przyciemniła światło lamp, zatrzymała się przed lustrem i zaczęła się sobie przyglądać. W tej wilgoci fryzura nie wyglądała najlepiej. Czyżby o to chodziło? Żałowała, że wyszedł z sypialni tak bezceremonialnie. Ale wróci.

Indy przejrzał się w lustrze. Coś z jego wyglądem? Nie, nic. Oczywiście, że jest piękną kobietą, trudno zaprzeczyć, ale to nie powód, żeby miał się przed nią płaszczyć.

Podszedł do kanapy i poprawił koc, którym przykryty był Short Round. Ach, mieć znowu dwanaście lat. Na ścianie wisiały naturalnej wielkości portrety radźputańskich książąt na wierzgających koniach, widoki pałaców, tańczące dziewczęta. Tańczące dziewczęta. Tańczące dziewczęta.

Willi spoczęła na łożu z baldachimem, przyjmując uwodzicielskie pozy. Od czasu do czasu podnosiła wzrok, miło zaskoczona pojawieniem się skruszonego, choć wyimaginowanego gościa: *Ależ, doktorze Jones...* albo: *Ach, Indiana...*

Zegarek przy łóżku pokazał godzinę 10:18.

Indy leżał na plecach, wpatrzony w sufit. Jak ma teraz zasnąć? Czy ona myśli, że jest zrobiony ze stali? Jaki mężczyzna wytrzyma takie tortury?

Zegarek koło jego łóżka pokazał godzinę 10:21.

Willie chwyciła zegarek, przyłożyła do ucha, potrząsnęła nim, żeby sprawdzić, czy chodzi. Tik, tak, tik, tak. Zirytowana bębniła palcami o kolumnę podtrzymującą baldachim. Czyżby jej urok nie zadziałał? Czyżby się przeliczyła? Jak to możliwe, że nie skrobie teraz do jej drzwi? Jak to możliwe?

Indy chciał wstać, ale zmienił zdanie. Zegarek tykał obok. Cierpliwości, archeologia nauczyła go czekać. Wcześniej czy później się złamie, podda, przyjdzie tu, biegiem. Miał tylko nadzieję, że prędzej niż później.

Spojrzał na drzwi. *Willie!*, uśmiechnął się. Ale drzwi nie drgnęły. Spróbował innym tonem *Willie?*. Nie. Wypróbował nonszalancki ton: *A cześć, Willie.*

Drzwi dalej były zamknięte. Short Round spał.

Willie w swej sypialni próbowała nowe pozy, nowe formułki powitania. *Jones. Doktor Jones. Cześć, Indiana.*

Zegarek Indiany wskazywał 10:35. Cisnął nim o podłogę i zaczął spacerować po pokoju.

Willie wyciągnęła się na atlasowej narzucie u stóp łóżka. Ześlizgnęła się z łóżka na podłogę.

Indy chodził w tę i z powrotem wzdłuż obrazów z książkami, wierzgającymi końmi i tańczącymi dziewczętami.

Willie chodziła w tę i z powrotem wzdłuż obrazów na ścianie jej sypialni, mrużąc do siebie: *Aktywność nocna, akurat! Prymitywne praktyki seksualne! Powiem ci rano.*

Indy również zaczął mrużąc do siebie: *Niewolnik w moim pałacu. Jestem zarozumiałą małpą. Pięć minut.*

Willie zatrzymała się. Zagubiona, rozgoryczona i zdumiona popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. *Nie do wiary, nie przyszedł*, pomyślała.

Indy zatrzymał się i popatrzył przed siebie. *Nie do wiary, nie przyszła. Ze też ja nie poszedłem*, pomyślał.

Spoza ostatniego w rzędzie obrazu wysunął się ubrany na ciemno strażnik i owinął linką szyję Indiany.

Jonesowi udało się włożyć kilka palców pod linkę, ale mimo to strażnik zacisnął ją na gardle. Dysząc ciężko, bezskutecznie usiłując złapać powietrze, Indy opadł powoli na kolana. Oczy, wpatrzone w małe, uśmiechnięte czaszki na końcach linki w zaciśniętych dłoniach zabójcy, wystąpiły mu z orbit. Ostatkiem sił Indiana pochylił się nagle do przodu i przerzucił strażnika nad głowę, rzucając go na plecy.

Strażnik wyciągnął nóż, ale Indiana uderzył go w głowę metalowym dzbankiem i sztylet z brzękiem spadł na podłogę. Short Round poruszył się we śnie. Indy usłyszał coś na korytarzu i spojrzął na drzwi. Strażnik rzucił się na niego.

Na korytarzu Willie krzyczała przez zamknięte drzwi do sypialni Indiany.

– Nigdy nie zapomnisz dzisiejszego wieczora, bo właśnie dzisiaj mogłeś mnie mieć! Dobranoc, panie doktorze, miłych snów. A mogłam stać się twoją największą przygodą.

Indy rzucił się na strażnika i we dwójkę potoczyli się po podłodze. Short Round obudził się przestraszony. Gdy Indy wstał niepewnie, Shorty chwycił bicz i rzucił go Indy'emu.

Indy zamachnął się i owinął bicz wokół ramienia strażnika, lecz ten uwolnił się i pobiegł do drzwi. Indy machnął nim znowu, tym razem owijając go wokół szyi. Strażnik szarpnął nim, wyrywając bicz z ręki Indiany. Jego koniec uleciał w kierunku wiatraka pod sufitem.

Bicz owinał się wokół obracających się łopat jak żyłka na kołowrotku wędki, a strażnik powoli uniósł się w kierunku sufitu jak ryba nadziana na haczyk. Stopy straciły kontakt z marmurową podłogą, strażnik wydał z siebie krótki, zdławiony charkot, nogi kopnęły powietrze i zawisł martwy.

– Shorty, wyłącz wiatrak - krzyknął Indy. - Zobaczę, co z Willie.

Ze wzrokiem szaleńca wpadł do jej pokoju.

Leżała na łóżku. Serce zabiło jej mocniej.

– Indy.

A jednak przyszedł. Kochany. Może po prostu nie zna się na zegarku.

Wskoczył na łóżko.

– Bądź delikatny - wyszeptała.

Przeszedł na czworakach przez łóżko i spojrzał pod nie. Nikogo. Wstał i w szaleńczym pośpiechu zaczął przeszukiwać pokój.

– Tu jestem - zawołała Willie.

Indy nie przerwał poszukiwań. Willie rozsunęła zasłony przy łóżku. Miłość musiała zaćmić mu wzrok, bo nic nie widział.

Indy obszedł łóżko i stanął przed drzwiami.

– Nikogo nie ma - wymamrotał.

– Ależ nie, jestem tutaj - zagruchała Willie, odsuwając zasłonę.

Indy podszedł do lustra. Willie zeskoczyła z łóżka i podeszła do niego. Obok wazonu z kwiatami poczuł przeciąg dochodzący skądś po lewej. Zabójca wszedł do jego pokoju tajemnym przejściem i takie przejście musi być i tutaj.

Podszedł do kolumny. Przeciąg był tu najmocniejszy.

Willie wciąż była przy nim.

– Indy, strasznie dziwnie się zachowujesz.

Indy obejrzał kolumnę z wyrzeźbioną w kamieniu nagą tancerką. Przesuwał ręką po wystających fragmentach płaskorzeźby: po butach,

ozdobach, biodrach, piersiach.

Willie wydało się to wyjątkowo dziwne.

– Słuchaj, stoję tu, koło ciebie - powiedziała.

Dźwignia ukryta była w piersiach. Nagle kolumna z chrzęstem zniknęła w ścianie, odsłaniając wejście do tunelu.

Indy wszedł. Zapalił zapałkę i przeczytał napis na ścianie: *Idź śladem Sziwy.*

– Co to znaczy? - wyszeptała podekscytowana Willie. Stała tuż za nim.

– Nie wyrzeknij się... - przerwał, wyjął z kieszeni fragment starego materiału i porównał z napisem na ścianie.

Shorty pojawił się w drzwiach i podszedł do niszy.

Indy odczytał napis w sanskrycie na materiale.

– Nie wyrzeknij się jego prawdy.

Odwrócił się do chłopca:

– Shorty, przynieś rzeczy.

Gdy Short Round pobiegł do sypialni, Indy ruszył w głąb tunelu.

## Rozdział VI.

### Świątynia zagłady

– Co tam jest? - spytała Willie drżąc ze strachu.

– Właśnie to chcę sprawdzić. Poczekaj tu. Jeżeli nie wrócimy za godzinę, masz obudzić kapitana Blumburta i ruszyć za nami.

Skinęła głową. Short Round powrócił z torbą, biczem i kapeluszem Indy'ego i we dwójkę ruszyli tajemnym przejściem.

Shorty poprowadził do najbliższego rogu, sprawdzając, czy Indy'emu nic nie grozi, choć cienie napełniały go strachem.

– Doktor Jones, my chyba nie powinniśmy być tutaj.

Indy chwycił go za kołnierz i przesunął za siebie.

– Trzymaj się za mną, Short Round. Stawiaj stopy tam, gdzie ja i niczego nie dotykaj. Gdy Indy ruszył, Short Round zauważył z boku drzwi, które umknęły uwadze Indiany. Położył rękę na klamce i pociągnął. Drzwi upadły, a na niego runęły dwa szkielety.

Shorty krzyknął, z impetem siadając na ziemi. Widział już takich dwóch - w *Mumii*. Wydawało mu się, że wyraźnie zaznaczył wtedy, że nie chce nigdy wpaść na kogokolwiek w tym stanie, a szczególnie nie w ciemnym tunelu. Widocznie ktoś chce mu dać nauczkę.

Indy szarpnięciem postawił go na nogi i pociągnął za sobą za następny zakręt. Tam dotarł do nich powiew z głębin; ich twarze dotykały zwisające skóry, które wyglądały na ludzkie.

Short Round wyjął nóż.

– Stawiam stopy tam, gdzie ty. Niczego nie dotykam.

Kolejne skóry uderzyły o ich twarze. Shorty'emu wyrwał się potoczysty ciąg chińskich modlitw, epitetów i ostrzeżeń przed duchami. Coś jak w



*Niewidzialnym człowieku* - porwane okrycia spadające znikąd. Shorty docenił fakt, że widział już takie stwory przedtem, więc mógł teraz zachować spokój.

– Spokojnie - rzekł Indy ponuro. - Chcą nas tylko wystraszyć.

Szli dalej. Tunel wykuty w skale był chłodny i wilgotny. Z każdym krokiem wydawał się bardziej wkręcać we wnętrze ziemi. Było coraz ciemniej.

Po chwili nic już nie było widać.

– No dobrze, zrobiło się zupełnie ciemno - powiedział Indy. - Trzymaj się blisko mnie.

Po kilku krokach Shorty poczuł, jak coś chrzęści mu pod stopami.

– Ja deptam coś - wyszeptał.

– Coś leży na ziemi.

– Czuję, jakbym chodził po herbatnikach.

– To nie herbatniki - Indy pokręcił głową. Cokolwiek to jest, rusza się. Zapalił zapalniczkę i rozejrzeli się. Stali przed ścianą, w której były dwa otwory. Z jednego z nich wypływała lepka ciecz, a wraz z nią miliony wijących się owadów. Wylewały się na ziemię, szczelnie ją pokrywając, tworząc żywy dywan z lśniących żuków, rozbieganych robaków, wijących się larw.

Short Round opuścił wzrok i zobaczył, jak kilka robaków wspina mu się po nodze.

– To nie herbatniki - skrzywił się.

Indy strącił robaki. W tej samej chwili zapalniczka zgasła, parząc mu palce.

– Au! Chodź - krzyknął i popchnął go. Pobiegli i wpadli do następnego pomieszczenia.

Przechodząc przez próg, Shorty nadepnął na przycisk w podłodze i włączył mechanizm, który spowodował, że wielkie, kamienne drzwi za

nimi zaczęły się zamykać.

– Tylko nie to - wysapał Indy. Rzucił się, próbując je powstrzymać, ale drzwi się zamknęły.

Kiedy się obrócił, zobaczył, że drzwi po przeciwnej stronie również zamykają się, zjeżdżając w dół i odcinają słabe światło emanujące spoza nich. Indy rzucił się w ich stronę, lecz i tym razem się spóźnił.

Usiadł na ziemi, żeby pozbierać myśli.

– Ty zły na mnie? - cicho spytał Shorty w ciemności.

Czuł się jak jeden z Małych Piorunów, dzieci Pana Grzmotów i Pani Błyskawic, które mimo dobrej woli, lecz z powodu braku doświadczenia zawsze pakują się w kłopoty.

– Indy, ty zły na mnie?

– Nie - wymamrotał Indiana i dodał ciszej - właściwie nie.

Bardziej był zły na siebie. Nie powinien był zabierać z sobą chłopca, to było zbyt niebezpieczne.

– Aha, ty normalnie zły?

– Tak - odpowiedział Indy, zapalając zapalniczkę. Na ziemi znalazł zatłuszczoną szmatę i zapalił ją. Dookoła leżały ludzkie szkielety. Shorty przysunął się do niego. Indiana nie chciał, żeby chłopiec znowu niechcący nadepnął na jakiś ukryty mechanizm.

– Nie ruszaj się - rozkazał. - Idź i stań pod tamtą ścianą.

Short Round zrobił, co mu kazał. Oparł się plecami o blok wystający z kamiennej ściany. Blok zniknął w ścianie, uruchamiając następny mechanizm.

Z sufitu zaczęły opuszczać się ostre szpikulce.

– Tylko nie to - jęknął Indiana.

W świetle płonącej szmaty szpikulce wyglądały jak płonące zęby z piekła rodem.

Short Round krzyknął ze złością do Indy'ego:

– Powiedziałeś, stań pod ścianą, robię, co mówisz. Nie moja wina, nie moja wina.

Ale Indy nie słuchał go. Krzyczał przez drzwi najgłośniej jak potrafił:

– Willie, chodź tutaj!

Willie usłyszała Indy'ego w sypialni. Założyła szlafrok i stanęła u wejścia do chłodnego tunelu.

– Indy! - krzyknęła.

Nie było odpowiedzi. Chwyciła lampę naftową ze stołu i weszła do tunelu. *Na pewno znowu się wybrudzę*, wymamrotała do siebie, zbliżając się do pierwszego zakrętu.

Wyskoczyły na nią dwa szkielety.

– Indy! - wrzasnęła. - Tu są dwa trupy!

– Za chwilę będą jeszcze dwa, jeżeli się nie pospieszysz! - odkrzyknął do niej.

Przebiegła obok obrzydliwych, powiewających skór obniżającym się, ciemnym tunelem w kierunku, skąd dobiegał narastający powiew. Podmuchał lampę, a potem pojawił się obrzydliwy zapach.

– Boże, ale tu śmierdzi - jęknęła.

– Willie, chodź tutaj!

– Właściwie to mam was dosyć - warknęła. Pewnie im się wydaje, że sprawia jej to przyjemność.

– Willie!

Szpikulce opadały coraz niżej. Z bliska wyglądały bardziej na klingi mieczy o brzegach ostrych jak brzytwa.

– Idę! - krzyknęła.

– Pospiesz się, mamy kłopoty! - ryknął, a potem odezwał się do Short Round. - Daj mi nóż.

Wziął sztylet i próbował wcisnąć go w miejsce, gdzie zniknął kamienny blok.

– Jakie kłopoty? - krzyknęła.

Teraz kolejne szpikulce zaczęły unosić się z podłogi.

– Straszne.

– Indy?

Zbliżała się. Smród narastał w miarę, jak słyszała jego głos wyraźniej.

– Mówię poważnie - ponaglił ją.

– Po co ten pośpiech?

– To długa historia. Pospiesz się, jeżeli chcesz ją usłyszeć.

– O Boże! A to co? - zatrzymała się, czując coś pod stopami. - Coś tu jest na ziemi, chrzęści. A potem robi się mokre i lepkie. Indy? Co to jest? Nic nie widzę.

Zapaliła zapałkę.

Wszędzie były owady.

Biegające żuki w czarnych pancerzach, długonogie stawonogi, obrzmiałe, półprzeźroczyste owady przypominające skorpiony, wijące się robaki, skacząca szarańcza, dżdżownice i glisty...

Zebrało się jej na mdłości. Nie mogąc krzyczeć, wykrztusiła tylko:

– Indy, wpuść mnie. Tu wszędzie są robaki. Indy!

– Willie - odezwał się do niej spoza rozdzielających ich drzwi - po naszej stronie nie ma robaków.

– Otwórz drzwi i wpuść mnie - błagała.

– Otwórz drzwi i wypuść nas - zajęczał Shorty. - Wypuść nas, wypuść nas.

– Indy, proszę, wpuść mnie - pisnęła.

– Dobra. Spróbuję.

– Indy, mam je we włosach. *Zakładają gniazda, zagrzebują się, rozciągają pajęczynę, wgryzają się.*

– Willie, bądź cicho i posłuchaj. Musi tam gdzieś być obrotowa dźwignia zwalniająca.

– Co?

– Klamka otwierająca te drzwi.

– O Boże, Indy, wlażyły mi we włosy. *Drapią, gryzą.*

Końce ostrzy sięgały już poziomu ich głów.

– Willie, otwórz oczy i rozejrzyj się. Musi tam gdzieś być jakaś dźwignia. Popatrz.

– Są dwie dziury - wyjęczała. - Widzę dwa kwadratowe otwory.

– Dobrze. Podejdź teraz do otworu z prawej.

Akurat. To z niej wypływa ten śluz i wypadają robaki. To chyba jakiś żart.

Z ociąganiem włożyła rękę do otworu z lewej, tego względnie bardziej czystego. Oczywiście, nie całkiem, ale przynajmniej bez tego obrzydliwego śluzu.

Czyjaś ręka wysunęła się przez otwór i chwyciła jej dłoń. Ręka Indy'ego.

– Nie, nie ta, druga! - krzyknął. - Dziura po prawej!

– Tam coś się rusza w środku. Nie mogę - zaprotestowała.

– Zrób to. Włóż rękę do środka - przemówił cierpliwie. - No, dalej, złotko. Potrzebuję twojej pomocy.

– Sam włóż. *Mądrała, będzie jej mówił, co ma zrobić.*

– Musisz to zrobić, już! - wrzasnął. Szpikulce naciskały na ciało.

Willie włożyła rękę do otworu.

– Boże, tam jest miękko. Rusza się. Jak miska zgniłych gruszek.

– Willie, zginiemy.

– Mam.

Odnalazła dźwignię i przesunęła ją. Drzwi odjechały na bok.

Indy usiadł obok Shorty'ego. Szpikulce powoli zaczęły się podnosić.

Willie wbiegła, wyrywając owady z włosów. Wzdrygnęła się, czując ich odnóża na skórze.

Shorty podbiegł do unoszących się drzwi po przeciwnej stronie i rzucił się przez próg - jak niezapomniany Ty Cobb. Chciał się stąd wyrwać, zanim coś jeszcze się stanie.

Willie tupała nogami i drżała.

– Zdejmijcie to ze mnie. Są wszędzie, zdejmij je. Nienawidzę robaków. Są we włosach.

Kiedy pochyliła się, żeby je wytrzepać, nacisnęła blok, który ponownie uruchomił cały mechanizm.

Pierwsze drzwi potoczyły się, zamykając przejście.

Short Round krzyknął, stojąc przy drzwiach z drugiej strony:

– To nie ja. To ona. Wychodźcie.

Zaczął mamrotać coś po chińsku, kiedy drzwi i ostrza znowu zaczęły się opuszczać. Krzyknął po chińsku:

– Na brzuchu, Indy, na brzuchu!

Indy chwycił Willie, wepchnął ją pod opadające drzwi i skoczył za nią, gubiąc kapelusz.

Sięgnął ręką, chwycił kapelusz i wyciągnął go przez szczelinę, tuż przed tym jak drzwi się zamknęły.

Nie wypada ruszać na poszukiwanie przygód bez kapelusza.

Znaleźli się w wielkim tunelu oświetlonym upiornym światłem. Rozpaczliwie wył tam niesamowity wiatr niosący lament ze środka ziemi.

Przed nimi, za zakrętem pojawiło się czerwone, widmowe, ponure światło. Powoli podeszli do końca tunelu i stanęli, wpatrując się ze

zdziwieniem w widok poniżej.

Była to olbrzymia sala wycięta w samym sercu skały o sklepieniu jak w katedrze wspartym na rzędach kamiennych kolumn. Kolosalna, podziemna świątynia, świątynia śmierci.

Nad granitową podłogą wisiały balkony wsparte na filarach i lukach prowadzących do ciemnych komór, z których wypływały tłumy, setki wiernych, którzy wchodzili do świątyni, śpiewając monotonnie. Ich zgodny śpiew łączył się z wyciem podmuchów nieziemskiego wiatru w tunelach wyciętych w górnej części jaskini.

Ta dziwna muzyka tuneli, o własnej harmonii i dynamice, wznosiła się i opadała, odbijając się echem od pustki. Na melodie tego wycia wierni odpowiadali monotonnym śpiewem, czasem głośnym, czasem fałszywym, cichym lub żarliwym: *Gho-ram gho-ram gho-ram sundaram, gho-ram gho-ram gho-ram sundaram...*

Ponad głowami tłumu wiernych wznosiły się olbrzymie, kamienne rzeźby. Skale nadano kształty słoni, lwów, bożków i demonów, bogato rzeźbionych potworów, półludzi i półzwierząt, które mogły narodzić się tylko w umyśle szaleńca.

Na balkonach płonęły pochodnie, pozwalając trójce widzów, stojących nieruchomo na wysokiej, skalnej półce, przyglądać się dokładnie temu misterium. Pod nimi członkowie tajemniczej sekty bili pokłony przed olbrzymim ołtarzem po drugiej stronie świątyni. Od ołtarza oddzielała ich szczelina, wyglądająca na częściowo naturalną, a częściowo wyciętą ludzką ręką. Ze szczeliny emanowało przytłumione, czerwone światło, wił się siarczany dym i unosiła się para, którą wysysały jęczące wiatry z tuneli.

Sam ołtarz po przeciwnej stronie szczeliny był otoczony dymem, maskującym jego kształt. Wynurzyli się stamtąd kapłani, niosący pojemniki z kadzidłem. Dym wokół ołtarza zaczął się rozwiewać, gdy kapłani

podeszli do szczeliny; wtedy ukazała się olbrzymia rzeźba stojąca w niszy wyciętej w skale.

Była to Kali - potworna opiekunka świątyni, złowroga, krwiożercza bogini. To do niej modlili się wierni.

Posąg miał dwadzieścia stóp wysokości. Wokół nóg potężnej Kali wiły się węże wyrzeźbione w kamieniu, a wokół bioder wisała sukienka z ludzkich ramion. Sama bogini miała sześć rąk. W jednej trzymała szablę, drugą chwyciła za włosy odciętej głowy olbrzyma. Dwiema opierała się o ołtarz, a w dwóch trzymała płaski kosz z żelaznej siatki wiszący na łańcuchach.

Na jej ramionach wisały udrapowane naszyjniki z ludzkich czaszek.

Miała nikczemną i upiorną twarz. Oczy i usta błyszcząły, odbijając lawę ze szczeliny poniżej, która opaliła na czarno jej kły. Zamiast nosa miała nieforemny otwór. Starożytne znaki na przybraniu głowy oznaczały zło.

Kapłani patrzyli na bóstwo w nabożnym skupieniu. Śpiew wiernych wzrastał wraz z rosnącą żarliwością ohydnych żądz.

Willie zadrżała w chłodnym wietrze płynącym z tunelu.

– Co tu się dzieje? - wyszeptała. Czowała zimno, pustkę, strach.

– To ceremonia Thugów - powiedział Indy. - Modlą się do Kali.

– Widziałeś coś takiego przedtem?

– Nikt tego nie widział od ponad stu lat.

Był podekscytowany tym nieprawdopodobnym odkryciem. Wymarła religia, jej rytuały i bóstwa żyją. Jakby oglądał ożywione ciała wymarłego plemienia.

Nagle usłyszeli zawroźnienie dochodzące spoza ołtarza - nieludzkie wycie człowieka.

– *Baachao, muze baachao. Baachao, koi muze-baachao.*

– Co to jest? - wymamrotała Willie.



– Wygląda na to, że zbliża się najważniejszy moment - odparł Indy. -  
Woła: Ratujcie mnie. Niech mnie ktoś uratuje.

Przyglądali się rytuałom w ponurym napięciu.

Trzy razy zagrzemiał wielki bęben i śpiew ustał. Słysząc było tylko niestrudzone zawrodozenie wiatru. Wśród tego mrozącego krew w żyłach wycia, na ołtarzu pojawiła się kolejna postać. Był to najwyższy kapłan, Mola Ram.

Miał czarne szaty i czerwone, podkrążone oczy. Na szyi wisiał naszyjnik z zębów. Na głowie miał czaszkę bawołu, której rogi sterczały jak u samego diabła.

Podszedł do szczeliny i stanął przodem do tłumu. Po drugiej stronie szczeliny, naprzeciw najwyższego kapłana, Indy dostrzegł znajomą postać.

– Popatrz - rzekł cicho do Willie - to nasz gospodarz, maharadża.

– A kto to jest ten facet naprzeciw niego? - kiwnęła głową Willie.

– Chyba najwyższy kapłan.

Short Round pomyślał, że bardziej przypomina Frankensteina.

Mola Ram uniósł ręce. Żalony krzyk znowu dobiegł zza ołtarza, jakby z wnętrza rzeźby samej Kali. Po chwili kapłani wyciągnęli na ołtarz opierającego się Hindusa odzianego w łachmany i przywiązali go do prostokątnego, żelaznego kosza zwisającego na łańcuchach z ramion Kali.

Wszyscy patrzyli w milczeniu.

Mola Ram podszedł do wijącej się bezsilnie, związanej ofiary, rozciągniętej na wiszącej ramie. Człowiek zawył. Mola Ram powtórzył zakłęcie. Mężczyzna szlochał. Mola Ram wyciągnął rękę w kierunku związanego człowieka i jego ręka przebiła klatkę piersiową ofiary.

Przebiła, wsunęła się do środka wijącego się ciała i wyjęła na zewnątrz bijące serce.

Willie przysłoniła usta.

Short Round otworzył szeroko oczy. *Wyjął mu serce. Nie żyje.* Słyszał, że cesarz Shou-sin wyjmował serca mędrcom, żeby się przekonać, czy w sercu mędrca jest siedem otworów. W sercu tego człowieka nie było żadnych, a kapłan nie był Shou-sinem. Dla Short Round było to piekło.

Jest dziesięć piekieł, którymi władają Królowie Yama. W zależności od poziomu można być pogrzebanym w jeziorze lodu, przywiązany do rozgrzanego do czerwoności filaru, zanurzonym w cuchnącej krwi, albo powrócić jako Wygłodzony Demon. Istniało wiele rodzajów tortur.

To na pewno jest piąte piekło, w którym raz po raz wyrywa się grzesznikowi serce.

Short Round chciał uciekać.

Indiana nie wierzył w piekło, ale wierzył własnym oczom. A to, co widział, było bardziej nieprawdopodobne niż jakiekolwiek piekło, które mógł sobie wyobrazić. Patrzył jak zahipnotyzowany na ceremonię składania ofiary.

– Wciąż żyje - wymamrotał Indiana.

Rzeczywiście, człowiek wciąż krzyczał przejmująco, a jego zakrwawione serce nadal biło regularnie w dłoni Mola Ramy. Kapłan uniósł je nad głowę. Wierni ponownie zaczęli zawodzić: *Jai ma Kali, jai ma Kali, jai ma Kali...*

Ofiara krzyczała, na jej ciele nie było śladu rany. Tylko czerwona blizna oznaczała miejsce, przez które przeszła ręka.

Kapłani doczepili łańcuchy do żelaznej ramy i obrócili ją tak, że mężczyzna wisiał teraz twarzą w dół ponad ciężkimi, kamiennymi drzwiami w podłodze. Drzwi zaczęły się powoli rozsuwać, a pod nimi ukazała się bulgocąca, karmazynowa lawa, taka sama jak na dnie szczeliny przed ołtarzem.

I wtedy rama powoli zaczęła opadać.

Mężczyzna zobaczył, jak ognista lawa zbliża się do niego. Jego serce wciąż biło w dłoni Mola Ramy. Tłum wiernych zawodził monotonie, wiatr wył. Były to ostatnie dźwięki, jakie usłyszał na tym świecie.

Gdy lawa zbliżała się do jego ciała, skóra na twarzy zaczęła dymić i pojawiły się bąble. Ciało zaczęło skwierczeć, odpadać płåtami i zwęglać się. Próbował krzyknąć, ale trujący dym wypełnił mu płuca, paląca para wypaliła mu gardło.

Włosy zajęły się ogniem.

W końcu rama zanurzyła się w gotującym się, płynnym metalu.

Willie zamknęła oczy, Indy patrzył przerażony. Short Round odwrócił wzrok, lecz po chwili spojrział znowu. Zaniósł modlitwę do Niebiańskiego Ministerstwa Ognia z prośbą o ratunek z tego piekła.

Stojący przy ołtarzu Mola Ram trzymał nad głową serce. Wciąż bijące i ociekające krwią, zaczęło dymić. Potem ogarnęły je płomienie i zniknęło.

Kapłani obrócili wielkim kołem z boku ołtarza i wyciągnęli żelazną ramę z otchłani. Metal lśnił czerwienią jak żagiew. Z ofiary nie pozostało ani śladu, spłonęła doszczętnie.

Tłum zaczął nucić monotonie: *Jai ma Kali, Jai ma Kali, gho-ram, sundaram...*

Wiatr wył.

Indy, Willie i Short Round nie mogli oderwać od tego wzroku.

Mola Ram zniknął za ołtarzem. Z cienia wyszło trzech kapłanów, niosących w kierunku ołtarza trzy przedmioty owinięte w materiał.

Willie zaczęła płakać.

– Cicho - wyszeptał Indy. Short Round wyglądał, jakby też miał się rozpłakać i przytulił się do Willie.

Kapłani ostrożnie rozwinęli trzy stożkowate kawałki krystalicznego kwarcu, niosąc je w kierunku podstawy posągu Kali. Pomiedzy nogami

rzeźby leżała wysoka na cztery stopy kamienna czaszka z otworami w miejscu nosa i oczu. Kapłani zbliżyli do siebie kryształ przed czaszką i zaczęły one promieniować intensywnym światłem. Kiedy odsunęli je od siebie, poblask zniknął. Zbliżyli je do siebie znowu, kładąc ostrożnie w trzech otworach czaszki. Kamienie zapłonęły jasnym światłem.

Indiana patrzył zafascynowany.

– Wiedzieli, że ich kamień ma magiczną moc, ale nie wiedzieli, że to jeden z utraconych kamieni Sankary.

– Dlaczego świecą w ciemności? - Short Round drżał.

– Według legendy, kiedy zbliży się do siebie kamienie, zaczynają świecić ukryte w nich diamenty.

Willie wytarła oczy i wzięła się w garść. Zmęczenie i napięcie spowodowały, że chciało się jej śmiać.

– Diamenty, co? - szturchnęła go łokciem.

Kamienie Sankary błyszczały intensywnie, oplatając wszystkich siecią świetlnej mocy. Trzej kapłani kłaniali się kamieniom, wycofując się na kolanach za ołtarz.

Za nimi wycofali się pozostali kapłani. Tłum zaczął się rozchodzić. Po kilku minutach jaskinia była pusta. Tylko wiatr wył przerażony.

Indiana odwrócił się do swych towarzyszy.

– Dobrze, teraz posłuchajcie: czekajcie tu i siedźcie cicho.

Short Round skinął głową. Nie miał ochoty podchodzić bliżej.

Wręczył mu bicz i torbę. Willie była mniej pewna.

– Poczekaj. Co chcesz zrobić? - spytała. Chciała się stąd wynieść.

Indy spojrzał na ścianę pod nimi, ciągnącą się stromo do kamiennej podłogi na dole.

– Idę tam - odpowiedział.

– Tam? Zwariowałeś?

– Nie ruszę się stąd bez kamieni.

Było to znalezisko stulecia. Ich światło rzuciło na niego urok, musiał je mieć.

Willie zezłościła się nagle.

– Zginiesz, szukając sławy i pieniędzy.

Spojrzał na nią ciepło w tym zimnym i wilgotnym miejscu. A jednak jej na nim zależy.

– Może kiedyś - uśmiechnął się z czułością - ale nie dzisiaj.

Dzisiaj stanie się właścicielem magicznych kamieni.

Nie czekając na jej odpowiedź, zaczął opuszczać się ostrożnie po pionowej ścianie.

W nierównej skale znajdował dobre oparcie dla stóp i rąk. Schodząc umiejętnie, dotarł do jednej z potężnych kolumn z tyłu jaskini. Zszedł po niej, przytrzymując się kamiennych węży, wyrzeźbionych lwów i tańczących dziewcząt. Po dłuższej chwili dotarł do kamiennej podłogi.

Cicho przebiegł przez jaskinię i zatrzymał się przed rozpadliną. Spojrzał w dół i zobaczył bulgocący ogień, płynną duszę świątyni. Opary wgryzły się w jego oczy i nos i musiał się cofnąć.

Z drugiej strony szczeliny stał posąg Kali, a przed nim trzy kamienie Sankary. Szczelina była zbyt szeroka, żeby mógł ją przeskoczyć. Spojrzał na bok. Nie, nie można jej obejść.

Po obu stronach ołtarza zauważył dwie kolumny zwieńczone postaciami kamiennych słoni. Indy rozwinął bicz i machnął nim z wielką precyzją.

Bicz wystrzelił. Jego koniec owinał się ciasno wokół kła słonia stojącego bliżej. Indy pociągnął za bicz, naciągnął rzemień, zrobił głęboki wdech i rozpędził się.

Przy brzegu szczeliny odbił się i wyskoczył. Bicz owinał się ciasno wokół kamienia, gdy Indy zawisł w powietrzu i sunął łukiem ponad ognistą

głębia.

Wylądował koło olbrzymiego posągu. Wiatr wzmógł się, jakby zawodząc szyderczo. Indy uwolnił koniec bicza z kła słonia.

Short Round pomachał do niego - wszystko w porządku. Nie jest łatwo być ochroniarzem z tej odległości, ale Shorty traktował swoje obowiązki poważnie, nawet na oddalonym posterunku. Indy skinął głową, zwinął bicz i wetknął za pasek. Ostrożnie zbliżył się do ołtarza, gdzie wciąż jarzyły się kamienie.

Przystanął, żeby przyjrzeć się im dokładnie. Na środkowym kamieniu - tym skradzionym z wioski Mayapore - dostrzegł trzy namalowane linie. Błyszczały intensywnie. Indy dotknął kamienia. Nie parzył. Ostrożnie uniósł go ku twarzy i przyglądał się świecącej materii.

Magiczny diament błyszczał wewnątrz kamienia eterycznym, hipnotycznym światłem, pięknym blaskiem tęczy, światłem gwiazd. Lecz po kilku sekundach światło osłabło i zgasło. Indy przysunął go w pobliże pozostałych i znowu wszystkie trzy zapłonęły intensywnym światłem. Osobno - ciemność, razem - blask.

Włożył kamienie do torby.

Leżąc w niej razem, błyszczały jak małe, zimne słońce.

Wilie i Short Round z lękiem patrzyli, jak Indy wkłada do torby trzy kamienie Sankary. Indy zamknął torbę, odcinając blask.

Kali patrzyła również Indiana cofnął się i spojrzał na przerażający posąg. Kali opuściła wzrok na mizernego śmiertelnika... i odezwała się.

Indiana odskoczył. Demoniczna twarz jakby śmiała się z niego, mamrotała, oskarżała...

*Zaraz. Dźwięki dobiegają spoza ołtarza, a nie z ust rzeźby.* Indy zachichotał - niezbyt głośno - i ruszył za ołtarz, żeby sprawdzić, skąd dochodzą.

Willie i Short Round zaniepokoiili się, widząc, jak Indy znika za ołtarzem.

– Dokąd on, do cholery, poszedł? - wyszeptała ze złością. Bała się zostać sama.

Wiatr w tunelu zawył znowu. Jego jęk rósł i opadał, zmieniając natężenie dziwnymi ciągami zmiennych modulacji. Short Round obrócił się i dojrzał w tunelu dwie sylwetki zmierzające ku nim. Ich ciała, poruszając się, zmieniały ton dźwięku, tworząc upiorną harmonię.

Short Round zamarł.

– Na co się... - zaczęła Willie i nagle ich zobaczyła.

Dwaj olbrzymi Thugowie rzucili się na nich. Short Round zdążył wyciągnąć sztylet i ciął dłoń jednego z nich. Mężczyzna upadł, zaskoczony bólem. Drugi chwycił Willie.

Jednakże Willie miała do czynienia z takimi matołami od czasu, kiedy pierwszy raz użyła szminki. Dobrze wyćwiczonym ruchem kopnęła kolanem w krocze napastnika, który z jękiem opadł do pozycji siedzącej.

Pierwszy strażnik ostrożnie zbliżał się do Short Round. Willie wskoczyła mu na plecy, drapiąc po twarzy w poszukiwaniu oczu. Obrócił się, uderzając nią o ścianę. Opadła na ziemię, nie mogąc złapać oddechu. Wtedy Short Round wbił mu sztylet w nogę i odskoczył. Zaczęli krążyć wokół siebie.

Drugi Thug poczołgał się w kierunku Willie. Kiedy był o kilka stóp od niej, Willie rzuciła mu w twarz garść ziemi. Mężczyzna uniósł dłonie ku oślepionym oczom, a Willie wstała.

– Willie, uciekaj! - zawołał Short Round. Strażnik wciąż krążył wokół niego, bojąc się podejść.

Willie pobiegła dziesięć jardów w głąb tunelu, po czym zatrzymała się i obróciła. Shorty wywijał sztyletem, nie pozwalając zbliżyć się zabójcy.

Nagle strażnik krzyknął coś w hindi i rzucił się, zbijając Short Round z nóg. Sztylet upadł z brzękiem na ziemię. Mężczyzna chwycił Shorty'ego za kostkę i zaczął ciągnąć kopiającego chłopca ku sobie.

Willie zawahała się. Drugi strażnik powoli wstawał na nogi. Nie wyszło.

– Uciekaj! - krzyczał Short Round. - Sprowadź pomoc!

Willie ruszyła biegiem w głąb tunelu. Zobaczyła jeszcze tylko, jak strażnik złapał Short Round za gardło i uniósł do góry, aż jego stopy zawisły bezsilnie nad ziemią.

Tymczasem Indiana wszedł w ciemność za ołtarzem. Światło dochodziło tylko z dwóch miejsc: mętny, czerwony poblask z piekła w świątyni opływający olbrzymią sylwetkę posągu Kali, a dalej słup bladego, żółtawego światła wypływający z czegoś, co wyglądało na olbrzymią dziurę w ziemi.

Indy powoli przeszedł przez wąski, kamienny mostek. Było zbyt ciemno, żeby dojrzeć, co pod nim jest. Gdy dotarł na drugą stronę, dobiegł go dźwięk ludzkich głosów i brzęk metalu uderzającego o skałę. Otaczała go niezmierna ciemność. Podpełzł ku dziurze bardzo ostrożnie, w każdej chwili gotów do ucieczki. Dotarł do krawędzi i spojrzał w dół.

Zobaczył głęboką, wielką jamę. W jej ścianach wykuto wijące się ścieżki, prowadzące do niezliczonych tuneli, z których wpełzały wymizerowane dzieci uginające się pod ciężarem worków z ziemią i skalnymi odłamkami. Inne, o oczach głęboko osadzonych w twarzy, skute łańcuchami, ciągnęły worki do wagoników stojących na szynach przecinających dno jamy.

To była kopalnia.

W świetle pochodni dziwaczne cienie tańczyły na ścianach. Za torami, z tyłu, strumień wody spływał po ścianie do wielkiej cysterny. Wylewająca



się z niej woda tworzyła błyszczącą, ciemną kałużę. Świszczały maszyny, spaliny wisiały w nieruchomym powietrzu. Z szybów wykutych w ścianach buchał czarny ogień, iskry skrzyły się w wykopach, gdzie metal ocierał się o kamień.

Jedne dzieci jęczały, inne pracowały w milczeniu. Sadystyczni strażnicy popędzali je batem albo bili bez litości. Niektórzy z nich śmiali się.

Indy zobaczył, jak kilkoro dzieci poślizgnęło się i upadło pod ciężarem worka, który próbowały wepchnąć do wagonika. Strażnicy zaczęli je kopać. Jedno z dzieci nie wstało już, jego nieszczęsnej duszy udało się wymknąć z tego piekła.

Indiana przesunął się wzdłuż krawędzi. Widok był tak koszmarny, że aż wydawał się nieprawdziwy. Nie wiedział, co zrobić. To, co widział, było gorsze niż najbardziej nawet makabryczne obrzędy najbardziej pogańskiej religii.

Na ramieniu czuł ciężar torby z kamieniami, ciężar decyzji, którą musiał podjąć. Jeżeli zechce, może odejść z bezcennymi kamieniami Sankary, które będą przedmiotem dumy i badań naukowych przez najbliższe stulecia.

Wtedy usłyszał błagalny głos dziecka. Spojrzał w dół i zobaczył, jak duży, umięśniony, półnagi strażnik bije okrutnie nieszczęsnego, małego niewolnika. Wezbrała w nim bezbrzeżna furia. Zacisnął pięści i przygryzł zęby.

Strażnik jakby poczuł intensywność spojrzenia Indiany na swych plecach, bo przestał bić dziecko i spojrzał na niego. Ich spojrzenia spotkały się i zmierzyli się wzrokiem. Powoli na twarzy strażnika pojawił się uśmiech - sprawiało mu to przyjemność.

Ta bestia była daleko w dole. Indy wciąż mógł odejść, gdyby zechciał. Wybór nie był trudny.

Pochylił się, chwycił odłamek skały, wstał, podniósł go nad głowę, wycelował i cisnął nim w dół.

Zanim kamień osiągnął dno kopalni, na pewno dobrze się już rozpędził, ale strażnik chwycił go. Po prostu. Ugiął się trochę pod jego ciężarem, ale wyprostował się i ich spojrzenia znowu się spotkały. Strażnik uśmiechnął się jeszcze raz - tyle, że tym razem przyglądał się uważnie twarzy Indy'ego, zapamiętując każdy jej szczegół, aby nie zapomnieć buntownika, który odważył się go rozdrażnić.

Indy uśmiechnął się do niego, choć zrozumiał, że przegrał pierwszą rundę. Przerażone dzieci podniosły wzrok. Indy stanął w zwycięskiej pozie i uchylił kapelusza przed zaskoczonymi Thugami, którzy zbiegli się, żeby zobaczyć, skąd całe to zamieszanie.

*To tylko początek, dranie, pomyślał.* Rozejrzał się w poszukiwaniu większego głazu, kiedy stało się coś nieprzewidzianego - brzeg jamy zaczął zapadać się pod nim.

Ziemia osuwała się coraz bardziej i cały fragment skały oberwał się i runął w dół, a Indiana wraz z nim. Spadał z ziemią i kamieniami, odbijając się od skalnych półek; znalazł się na dnie, posiniaczony i z porozcinaną skórą, leżąc na kupie gruzu.

Podniósł wzrok i zobaczył, jak otaczają go strażnicy. Oglądali na większych i bardziej wściekłych, niż kiedy patrzył na nich z góry. Uśmiechnął się do największego z nich i rzekł, potrząsając głową:

– Skąd się biorą tacy jak ty?

## Rozdział VII.

### ... W ognistą otchłań

Strażnicy chwycili go, pobili i zaciągnęli do małej celi. Przypięli go za nadgarstki łańcuchami do niskiego stropu. Ból okowów wcinających się w rękę przywrócił mu przytomność w chwili, gdy strażnicy z hukiem zamknęli drzwi. Kiedy zakładali kłódkę, podbiegli do niego trzej więźniowie, skrywający się w rogu celi. Dwoje z nich były to hinduskie, zniewolone dzieci, trzecim był Short Round.

Ze łzami w oczach chłopiec objął Indy'ego. Z powodu kajdan Indiana nie mógł odwdziżyć się tym samym. Z kamieniołomu poniżej dobiegł go odgłos batożonego dziecka. Był to najpotworniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. Musi się stąd wydostać.

Shorty odstąpił o krok i zaczął robić mu wymówki:

– Ty obiecał zabrać mnie do Ameryki. To się nie zdarza w Ameryce. Ja ci mówię: słuchasz mnie więcej, żyjesz dłużej.

*To oburzające! Indy, pochwycony jak Mały Piorun.*

Indy kiwnął głową, uśmiechając się. Ciekawe, czy przemowa Shorty'ego potrafiłaby uwolnić go z kajdan. Był pewny, że Willie by się to udało, gdyby tu była.

Short Round wskazał na jednego z chłopców stojących obok niego.

– To Nainsukh z tamtej wioski. Mówi dobrym angielskim jak na cudzoziemca. Mówi, że wzięli go tu do pracy w kopalni.

– Ale dlaczego? - spytał Indy.

– Dzieci są małe - odpowiedział Nainsukh. - Możemy pracować w tunelach.

– To dlaczego was zamknęli?

– Teraz jesteśmy za starzy, za duzi, żeby wczłgać się do tunelu... - z emocji nie mógł wydobyć głosu i musiał zamilknąć.

– Co teraz z wami będzie? - spytał Short Round, ze strachem oczekując odpowiedzi.

– Modłę się do Sziwy, żeby pozwolił mi umrzeć - Nainsukh zadrżał - ale nie umrę. Zabierze mnie Kali.

– Jak?

– Zmuszą mnie, żebym wypił krew Kali. Wtedy zapadnę w mroczny sen Kali Ma.

– Co to jest? - przerwał mu Indy.

Chłopiec zacisnął zęby na myśl o tym, co go czeka.

– Stajemy się tacy jak oni. Żyjemy, ale jak w koszmarze. Wypijesz krew, nie obudzisz się z koszmaru Kali Ma.

Indy i Short Round dostrzegli przerażenie na twarzy dziecka. Shorty z żarliwością wymówił imię Boga Bramy Duchów. Indy poprzysiął sobie w duchu pomścić te bezimienne dzieci. Nagle dobiegł ich brzęk metalu i Indy zobaczył, jak dwaj strażnicy otwierają drzwi do celi.

Nainsukh i drugi chłopiec krzyknęli przerażeni i uciekli w kąt klatki, drżąc w ciemności jak zwierzęta pochwycone w pułapkę, z rezygnacją oczekujące swego losu.

Jednak strażnicy nie przyszli po nich, przyszli zabrać Indy'ego i Short Round. Zdjęli łańcuchy z Indiany i wyprowadzili ich z celi. Poprowadzili ich krętą ścieżką wijącą się wzdłuż ściany kopalni, aż weszli do długiego i ciemnego tunelu. Na jego końcu otworzyły się grube, drewniane drzwi. Wepchnęli więźniów do środka.

Wpadli do komnaty najwyższego kapłana, Moli Rama.

Było to przerażające miejsce. Rytualne posągi i makabryczne bożki pokrywały ściany, patrząc na nich oczami pełnymi zła. Nawet skała

wydawała się zdeformowana. Przez pęknięcia w podłodze sączył się czerwony dym, wypełniając jaskinię wstrętnym smrodem. Indy'emu zebrało się na wymioty.

W rogu stał żelazny kociołek po brzegi wypełniony żarzącym się węglem i dziwnym kadzidłem. Doglądał go androgeniczny mężczyzna o pomalowanych ustach, wąskich ramionach, delikatnych dłoniach i twarzy szaleńca. Mieszał w garze, nucąc do siebie mroczną pieśń.

Po przeciwnej stronie stał najdziwniejszy posąg, jaki Indiana kiedykolwiek widział. Ten kształt mógł się narodzić tylko w koszmarnym śnie. Była to kamienna postać Śmierci.

Dwa razy większa od człowieka, miała głowę uformowaną na wzór ludzkiej czaszki, lecz czaszki zbyt dużej z tyłu, jakby zdeformowanej, jakby czaszki z wodogłowiem. Żuchwa zwisała, otwarta zbyt szeroko w obłąkańczym grymasie. W każdym oczodole i na czubku głowy płonęła świeca.

Ciało posągu nie było szkieletem. Było to ciało kobiety, lecz również zdeformowane: bez szyi, bez rąk, z niesymetrycznymi piersiami, a jej nogi stopiły się w makabryczną, bezkształtną bryłę.

Wosk spływał po kamiennej głowie z oczodołów do otworu nosowego i dalej na zwisającą żuchwę, jak ślina szaleńca, na kłocowate ramiona i nabrzmiałe piersi. Tak, wosk, ale Indy dostrzegł teraz i krew, świeżą krew, która właśnie zaczęła krzepnąć.

Obok makabrycznego posągu stał olbrzymi Thug, strażnik o obłąkańczym uśmiechu, z bransoletkami z ludzkich włosów, ten sam, w którego Indy rzucił skalnym odłamkiem, ten sam, który go złapał. Teraz miał Indy'ego, teraz będzie mógł wyrównać rachunki.

Pośrodku komnaty siedział Mola Ram ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami.

Po raz pierwszy Indy mógł mu się przyjrzeć z bliska. Jego widok budził obrzydzenie. Czoło zakrywała mu czaszka bawołu, do której przyczepiona była skurczona ludzka głowa. Twarz miał pomalowaną w odrażający, okultystyczny wzór. Miał zepsute zęby i zapadnięte oczy. Jego pot niósł zapach gnijącego ciała.

Otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Jestem Mola Ram. Złapano cię, kiedy próbowałeś ukraść kamienie Sankary.

– Nikt nie jest doskonały - Indy odwzajemnił uśmiech.

Kamienie zaczęły świecić. Nie dostrzegł ich wcześniej. Stały tam, u podstawy posągu, emanując światłem, jakby udzieliło im się podniecenie najwyższego kapłana.

Oczy Moli Ramy zaślniły, gdy wpatrywał się w pulsujące blaskiem kryształy.

– Na początku było pięć kamieni - powiedział. - Zawieruchy wojenne i złodzieje tacy jak ty rozrzucali je po świecie przez stulecia.

– Złodzieje lepsi niż ja - odezwał się skromnie Indiana. - Brakuje wam dwóch.

– Nie, są tutaj - zaprotestował Mola Ram. - Są gdzieś tu. Sto lat temu, kiedy Brytyjczycy najechali tę świątynię i zmasakrowali moich wiernych - rzekł oskarżycielskim tonem - wierny kapłan ukrył dwa ostatnie kamienie w tych podziemiach.

Nagle Indy wszystko zrozumiał.

– To dlatego zmuszacie do pracy tych niewolników, te dzieci.

Znowu zaczął w nim płonąć gniew.

– Wydobywają szlachetny kruszec, żeby wesprzeć naszą sprawę - zgodził się Mola Ram - i szukają również dwóch ostatnich kamieni.

Wkrótce będziemy mieli pięć kamieni Sankary i wtedy Thugowie zdobędą władzę.

– Nie można oskarżyć cię o nadmierną wyobraźnię - zadrwił Indiana.

– Nie wierzysz mi - najwyższy kapłan zwrócił się do Indy'ego. - Jeszcze pan uwierzy, panie doktorze Jones. Staniesz się gorliwym wyznawcą.

Dał znak i strażnicy założyli metalową obręcz na szyję Indiany, pociągnęli go do posągu Śmierci i przypięli za szyję i nadgarstki łańcuchami, które przeciągnęli na tył posągu. Czuł zapach krwi sączący się z posągu.

Bał się. *To powietrze niosące gorączkę, ci szaleni kapłani - wszystko może się zdarzyć.* Lecz nie okazywał strachu, nie da im tej satysfakcji. Ci fanatycy rozkwitali, widząc czyjś strach, strach i cierpienie. Nie zaspokoi ich żądz. I nie da Short Round powodu do rozpacz. Chłopiec stał nieruchomo, drżąc, przy drzwiach do komnaty. Da mu przykład, pokaże mu, że godność pokona hańbę, nawet w miejscu tak upadłym jak to. Jeśli tylko w sercu kryje się moc.

Olbrzym ruszył i podszedł do Indy'ego.

Indy uśmiechnął się dziko.

– Cześć. Nie lubię takich drani jak ty.

Strażnik również się uśmiechnął. Widział już wiele razy taką brawurę i wiedział, że jest daremna.

Otworzyły się drzwi i wszedł młody maharadza, a za nim Nainsukh, który niedawno dzielił celę z Indianą. Chłopiec wyglądał teraz inaczej, był spokojny jak okręt na bezwietrznym morzu. W rękach niósł ludzką czaszkę.

Mola Ram zwrócił się do maharadży Zalima Singha:

– Wasza wysokość będzie świadkiem nawrócenia złodzieja.

Maharadza stanął przed Indianą i spojrzał na niego z troską.

– Nie będziesz cierpieł - zapewnił go. - Ja sam próbowałem już krwi Kali.

Indiana nie czuł się pocieszony. Patrzył, jak Mola Ram odbiera czaszkę z rąk Nainsukha. Czaszka się uśmiechała, wciąż pokryta pomarszczoną skórą. Kawalek nosa odpadł, a oczy były wydłubane. Z ust zwisał na bok skórzasty język. Mola Ram zbliżył się.

Olbrzymi strażnik chwycił twarz Indiany, odchylił mu głowę do tyłu - na pierś Śmierci - i otworzył mu usta.

Zanim Indy zorientował się, co się dzieje, i nim zdążył zareagować, najwyższy kapłan przechylił ohydny czaszkę, wylewając krew wzdłuż martwego języka wprost do ust Indiany.

Shorty krzyknął z drugiego końca komnaty.

– Nie pij, Indy! Wypluj to!

Krzyczał z całych sił do Huan-t'iena, Najwyższego Pana Ciemnych Niebios, który mieszka na północnym niebie, aby ten odegnał wiatry zła z tej komnaty; krzyczał do Cienia, który wie, co się kryje w sercach takich, jak te; krzyczał, prosząc o natychmiastowe zbawienie. I po prostu krzyczał z rozpacz.

Indy był przez chwilę zdezorientowany. Spodziewał się tortur, rzucania czarów, ale nie picia. Zakrztusił się obrzydliwym napojem i wypluł go na Mole Rama.

Najwyższy kapłan cofnął się rozgniewany. Po twarzy, po ustach ściekała mu ciepła krew. Oblizął wargi i powiedział coś do maharadży w hindi.

Zalim Singh wyjął z kieszeni małą lalkę. Figurka ubrana była w spodnie i maleńki, niestarannie uszyty kapelusz. Skórę miała w kolorze jaśniejszym niż większość miejscowych lalek. Wymalowane starannie rysy twarzy były zdecydowanie rysami białego człowieka. Lalka przypominała Indianę Jonesa.



Maharadża uniósł kukielkę ku twarzy Indy'ego, żeby ten mógł ją obejrzeć. Potem otarł nią o ciało Indiany, żeby nasiąknęła jego potem, brudem i cielesnymi olejami. Wtedy maharadża zaczął na przemian wkładać ją i wyciągać z płomienia w kociołku z żarzącym się węglem.

Lalka zanurzyła się w jezorze ognia i spazm bólu ogarnął ciało Indy'ego. Ciało płonęło bólem, aż do najdalszych zakamarków mózgu. Indiana zaczął krzyczeć.

– Indy! - zaniósł się szlochom Shorty. Sam widok tego okrucieństwa o mało nie spowodował, że stanęło mu serce. Zaklął po chińsku, podbiegł do maharadży i kopnął go z całych sił. Monarcha upadł, upuszczając lalkę. Indy zawisł na łańcuchach.

Short Round rzucił się po bicz Indiany, ale jeden ze strażników obalił go na ziemię. Mola Ram wydał polecenie i główny strażnik chwycił bicz.

Rozkuli na chwilę Indy'ego, obrócili go i przykuli ponownie, przyciskając do posągu. Policzek miał wciśnięty w obrzydliwą, lepka od krwi pierś, a oczy utkwione w wykrzywioną twarz.

W piersi poczuł narastający chłód.

Nainsukh poszedł wypełnić czaszkę świeżą krwią. Mola Ram zaczął monotonną pieśń. Shorty pozbierał się z podłogi, ruszył na strażnika i popchnął go, lecz kapłan szybko wziął nad nim górę i po chwili chłopiec stał w łańcuchach rozciągnięty na ścianie.

A potem wybatożono ich obu. Najpierw Indy'ego - Shorty krzyczał, widząc to - a potem jego.

– Zostawcie go, dranie - wymamrotał w zamroczeniu Indiana. *Osiągnęli dno i zapłacą za to.*

Zostawili więc Shorty'ego i skoncentrowali się na nim. Rzemień ciął materiał koszuli i rozcinał skórę. Po chwili krew zalała strzępy materiału i ciała. Indy próbował zamknąć umysł. Oddychał głębiej i zdmuchnął

plomienie świec w oczach Śmierci. To zirytowało Molę Rama jeszcze bardziej.

– Nie waż cię tego robić - krzyknął. Nainsukh powrócił z czaszką pełną krwi i oddał ją kapłanowi.

Jeszcze raz obrócono Indianę, przykuwając go plecami do posągu. Olbrzymi strażnik siłą otworzył jego bezwładne i zmęczone usta i zatkał mu nos. Jeszcze raz Mola Ram wylał krwawy eliksir ze śmiejącej się czaszki do ust Indiany.

– Brytyjczycy w Indiach zostaną zmasakrowani - mówił najwyższy kapłan, lejąc płyn. - Potem pokonamy muzułmanów i zmusimy ich Allacha, żeby bil pokłony Kali. A potem upadnie bóg Hebrajczyków, a na koniec rzucimy boga chrześcijan i będzie zapomniany.

Skończył łać. Strażnik zamknął usta Indy'ego. Indy krztusił się, kaszłał, dławił, zatrzymał oddech, lecz w końcu połknął.

– Wkrótce Kali będzie rządzić światem - ogłosił Mola Ram.

Willie wbiegła do sypialni, zataczając się. Kiedy uciekała przez tunel, całe jej ciało oblażyły owady. Wstrzymała oddech i otrzepała się z nich. Najpierw musi zadbać o siebie. A potem uratować Indy'ego. Po wszystkim będzie miała mnóstwo czasu na załamanie nerwowe, przynajmniej taką miała nadzieję.

Złapała równowagę, ruszyła ku drzwiom i wybiegła. Przebiegła korytarzami wymarłego pałacu, szukając pomocy w jaśniejącym półmroku. Świt był niedaleko.

Zatrzymała się na pierwszym dziedzińcu, dysząc ciężko. Krzyknęła. Bez odpowiedzi. Zdesperowana wbiegła do następnego korytarza, tłumiąc szloch. Na ścianach wisiały obrazy - wspaniałe portrety przodków maharadży. Wydawali się kryć w ciemnościach zimnej godziny

odchodzącej nocy, jakby obserwując ją ponad czasem, który upłynął. Przeszła powoli między szeregami złowróźbnych twarzy. Na końcu korytarza dostrzegła kątem oka, jak coś drgnęło. Obróciła się. Twarz! Wstrzymała oddech - to lustro.

Lecz twarz w lustrze poruszyła się znowu. Jeszcze raz obróciła się, podnosząc rękę, gotowa do zadania ciosu, lecz był to tylko premier Chattar Lal.

– O Boże, wystraszył mnie pan! - Willie odetchnęła z ulgą. - Niech pan posłucha. Musi pan pomóc. Odkryliśmy tunel... - chwyciła go za ramię, żeby złapać równowagę i okazać mu, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

W tym momencie zza rogu wyszedł kapitan Blumburtt. Skinął grzecznie głową w stronę Willie, lecz odezwał się do Chattar Lala:

– Jonesa nie ma w jego pokoju - i zwrócił się do niej. - Panno Scott, wyruszamy o świcie. Jeżeli chciałaby pani, żeby jej towarzyszyć do Delhi...

Willie zbladła.

– Nie może pan odejść! Stało się coś strasznego. Mają Short Round, a Indy chyba jest...

– Słucham? - wykrztusił Blumburtt.

Willie zaczęła kiwać głową w podnieceniu.

– Odkryliśmy tunel, który prowadzi do świątyni pod pałacem! Proszę, niech pan pójdzie ze mną. Pokażę panu!

Mężczyźni wymienili niepewne spojrzenia. Willie, wzburzona i rozgoryczona swą bezsilnością, chwyciła Blumburtt'a za ramię i zaczęła ciągnąć go korytarzem do sypialni.

Chattar Lal podążył za nimi.

– Panno Scott, pani zachowanie nie wydaje mi się rozsądne - rzekł do niej protekcjonalnie.

Zaczęła szczekać zębami.

– Szybciej. Zabiją ich. Zobaczyliśmy tam okropne rzeczy - ofiary z ludzi. Wciągnęli tego biednego człowieka, a ten drugi włożył rękę i wyrwał mu serce - zakryła twarz dłonią, odganiając wspomnienie.

Dwaj mężczyźni wymienili jeszcze bardziej sceptyczne spojrzenia.

– Kto? - spytał Blumburt bardzo taktownie.

– Kapłan - wychrypiała. - Zabrali Short Round i Indy'ego nie wiem dokąd. Dokładnie pod moją sypialnią jest taka olbrzymia katedra - świątynia śmierci. Tam są jakieś obrzędy ze świętymi kamieniami, których szuka Indy.

Chattar Lal uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Wyczuwam w tym wszystkim opary opium. Być może panna Scott nabrała tego przyzwyczajenia w Szanghaju?

Ogarnęła ją furia.

– O czym pan mówi? Nie jestem opiumistką! Widziałam to na własne oczy! Pokażę wam!

Zaciągnęła ich do swego pokoju.

– To tu, wciąż otwarte - wskazała na przejście w ścianie. - Jest. Mówiłam wam - wysyczała triumfalnym tonem.

Blumburt wziął lampę naftową i ruszył w kierunku przejścia, gdy nagle pojawił się w nim Indiana, pstryknięciem strzepując żuka z klapy marynarki.

– Cóż to, zabawa w chowanego? - uśmiechnął się lekko.

Jego niespodziewane pojawienie się zbiło ich z tropu. Willie natychmiast poczuła ulgę. Podbiegła do niego, objęła go, gotowa zemdleć.

– Och Indy, uciekłeś - zaszlochała. - Powiedz im, co się stało. Nie wierzą mi.

Drżała w jego silnych ramionach. Odprowadził ją do łóżka i usiadł wraz z nią. Wyczerpana fizycznie i emocjonalnie, poddała mu się bez dyskusji.

– Już dobrze - szepnął z ustami wtulonymi w jej włosy. - Już wszystko dobrze.

– Oni myślą, że zwariowałam - pociągała nosem. - Powiedz im, że to nieprawda. Proszę cię, pomóż mi.

Przerażające wydarzenia z ubiegłej nocy zmogły ją. Willie szlochała na piersi Indiany, drżąc przygnębiona.

Indy ułożył ją na atlasowej pościeli, pogłaskał po policzku i odgarnął włosy z jej twarzy.

– Willie, przecież jesteś aktorką - otarł jej łzy.

Chwyciła go za rękę.

– Co? - wyszeptała. Jest tu, nic jej nie grozi. Nie musi już panować nad sobą.

– Śpij.

– Chcę do domu - odpowiedziała, pozwalając opaść powiekom. *Materac jest tak miękki, jego głos tak głęboki, jego dłoń...*

– Nic dziwnego - uspokoił ją. - To nie były szczególnie udane wakacje.

Uśmiechnęła się przez łzy, gdy głaskał ją po policzku. Opadała ją senność. To było jak cud: Indy ją uratował. Nigdy jeszcze nie czuła się tak dobrze, nie czuła tak wielkiego spokoju. Zapadała w sen spokojnie w rytm jego słów, jak dziecko pogrążone w zachwycie. Otulona bezpiecznie jego obecnością, czuła się wspaniale. Spokojnie.

Indiana wstał i dołączył do Blumburta i Chattar Lala na korytarzu. Premier zaprowadził ich na werandę.

Ponad szczytami gór pojawiło się światło poranka. Pomarańczowe promienie podkreśliły kontur niskich chmur. Powietrze było rześkie i niesło nadzieję. W dolinie poniżej widział żołnierzy przygotowujących do drogi konie i samochody.

Indy oddychał głęboko, napawając się nastrojem rozpoczynającego się dnia.

– Spędziłem życie, pełzając po tunelach i jaskiniach - pokręcił głową, jakby czynił sobie wyrzuty. - Nie powinienem był komuś takiemu jak Willie pozwolić wchodzić tam ze mną.

Blumburtt kiwnął głową, jakby od początku to podejrzewał.

– Panna Scott wpadła w panikę?

Indy wzruszył ramionami.

– Zemdląła, kiedy zobaczyła owady. Zaniósłem ją do pokoju. Spała, kiedy wróciłem do tunelu, żeby się rozejrzeć.

– A gdy spała - dorzucił Chattar Lal - pewnie przyśnił się jej jakiś koszmar.

Indy spojrział na premiera i skinął głową. Gdy się odezwał, w jego głosie była absolutna pewność:

– Tak, zły sen.

– Biedne dziecko - rzekł Lal ze współczuciem.

Indy nie przestawał kiwać głową.

– Musiała nagle się obudzić. Nie zorientowała się, że to sen i wybiegła z pokoju. Wtedy natknęła się na pana.

Blumburtt zmrużył oczy, patrząc na słońce wschodzące nad jego małym zakątkiem brytyjskiego imperium.

– Czy coś pan znalazł w tym tunelu, panie doktorze?

Indiana patrzył na to samo słońce, choć dla niego wschodziło ono już nad inną częścią wszechświata.

– Nic - odparł. - Prowadzi donikąd. Porzucony od lat.

Z dołu sierżant krzyknął, że żołnierze są gotowi do wymarszu. Blumburtt machnięciem ręki potwierdził, że zrozumiał.

– Panie premierze - rzekł - w raporcie podam, że w Pankot wszystko jest w porządku.

Chattar Lal ukłonił się, okazując szacunek tak rozsądnej decyzji przedstawiciela Korony.

– Jestem przekonany, że to ucieszy maharadżę, kapitanie.

Blumburt po raz ostatni zwrócił się do Indy'ego:

– Jak już mówiłem, z wielką chęcią odprowadzimy was do Delhi.

Indiana uśmiechnął się pogodnie.

– Dziękuję, ale Willie nie jest jeszcze gotowa do drogi.

Brytyjscy żołnierze ruszyli w kierunku najniższej przełęczy, wzbijając tumany kurzu. Piechota, kawaleria, samochody. Kapitan Blumburt prowadził, siedząc w otwartym samochodzie. Kolumnę zamykał oddział szkockich kobziarzy wybijających rytm marsza na piszczałkach i bębnach.

Po krótkim czasie kolumna wiała się już po drugiej stronie góry, zostawiając za sobą pałac Pankot.

Zawodzenie kobziarzy obudziło Willie. Nie była pewna, czy jeszcze śni, słysząc ten niesamowity dźwięk dobiegający z oddali.

Przez moskitierę otaczającą łóżko zobaczyła, że drzwi do sypialni są otwarte. Przy zaciągniętych zasłonach w pokoju wciąż panował półmrok, lecz dojrzała sylwetkę Indiany, który cicho zbliżał się do łóżka. Uśmiechnęła się. W końcu przyszedł do niej.

Przesunęła się nieznacznie, gdy usiadł na brzegu materaca. Siedział nieruchomo, plecami do niej, z opuszczonymi ramionami. Biedak, musi być bardzo zmęczony.

Patrzyła przez siatkę na tył jego głowy, na zmierzwione włosy.

– Indy? Rozmawiałeś z nimi?

– Tak - odpowiedział.

– Teraz mi wierzą - odezwała się, wypełniając ciszę.

– Tak, wierzą ci - powtórzył.

Jego głos był dziwnie monotony. *Musi być bardziej zmęczony niż ja, pomyślała. Teraz to ja muszę mu pomóc.*

– I pošlę żołnierzy do świątyni - powiedziała.

Nie odpowiedział. Miała nadzieję, że nie zasnął na siedząco. Chociaż, gdyby tak się stało, zrozumiałaby to. Położyłaby go tam, gdzie jest jego miejsce.

– Wczoraj w nocy byłam przerażona - przyznała - kiedy pomyślałam, że mogą cię zabić.

– Nie zabiją mnie.

Położyła dłoń na jego plecach. Nawet przez moskitierę, przez koszulę poczuła wilgoć. Uśmiechnęła się, czyniąc mu przyjacielskie wyrzuty.

– Wiesz, od kiedy cię poznałam, mam same kłopoty. Ale muszę przyznać, że brakowałoby mi cię, gdybym cię straciła.

Indiana obrócił się powoli.

– Nie stracisz mnie, Willie.

Zdjęła rękę z jego pleców. Jej palce były lepkie od krwi.

Jego twarz zbliżyła się i patrzył wprost na nią. Rozdzielał ich tiul, przeźroczysty woal, ale mimo to dostrzegła zmianę w jego oczach.

Jego oczy, zawsze tak głębokie, upstrzone złotymi plamkami, krystalicznie czyste - te oczy przeszły jakąś nieopisaną przemianę. Było w nich coś nieprzejrzystego. Były matowe. Poczowała chłód, wewnętrzny ból. Zadrżała.

Straciła go.

W świątyni śmierci rozpoczęły się poranne obrzędy. Morze wykrzywionych twarzy falowało w rytmie wiatru zawodzącego w



podziemnej katedrze. Chóralna pieśń ofiarna narastała powoli, mruczenie przechodziło w lament.

Pomiędzy wiernymi na wyniesieniu na brzegu szczeliny siedział maharadża, patrząc ponad dymiącą otchłanią na ołtarz Kali Ma.

*Jai ma Kali, jai ma Kali...*

Trzy święte kamienie Sankary znowu płonęły magicznym światłem u stóp demonicznej bogini. Wśród wijącego się dymu zasłaniającego ołtarz ukazał się Mola Ram. Kapłan też nucił monotonną pieśń.

*Jai ma Kali, jai ma Kali...*

Z bocznych komnat wyszły kapłanki okryte czerwonymi szatami. Podeszły do kapłanów, stojących w złowieszczym rzędzie i namalowały linie na ich czołach, a Mola Ram mówił do wiernych w sanskrycie.

Chattar Lal ubrany w rytualne szaty, stał koło Indiany po lewej stronie ołtarza. Kapłanka namalowała święte linie na czole Lala. Indiana patrzył nieobecny wzrokiem na płynny ogień na dnie otchłani. Teraz koszmar był jego życiem.

*Płynne płomienie na dnie otchłani mknęły po powierzchni, wyskakiwały ku górze, kręcąc się, i zmieniały w czarne ptaki, szaleńczo trzepoczące skrzydłami, szukając miejsca, gdzie mogłyby przy siąść. Wyżej, jeszcze wyżej mkną, uderzają się skrzydłami, ocierają o kamienne ściany, z piskiem opuszczają otchłań i już są w jego głowie.*

*Głowie bezmózgiej, olbrzymiej pieczarze pełnej cienia, mrocznej, a w niej ptaki łopoczą. Nie mogą usiąść, tylko biją skrzydłami o wnętrze czaszki.*

*Cienie szepczą o tej północnej godzinie, która pozostanie na zawsze.*

*Gdzieś nokturn zabrzmiał powoli basem, fałszywie.*

*Gdzieś zamigotała świeca.*

*Ruszył, nieruchomy: wstecz, w czasie, w przestrzeni, o godzinę, loch, żądza krwi, mroczna pieśń, wijąc się przez smoliste tunele ozdobione śmiercią, błyszczące bólem i mogiłą i wyszedł w komnacie Willie, wylał się przez kamienną ranę. Cóż to, zabawa w chowanego?*

*Willie tam jest, czarownica, owija jego plecy kosmykami włosów, żłobi jego ciało palcami jak płonące szpony. Och Indy, uciekłeś. Powiedz im, co się stało. Nie wierzą mi. Jej włosy płoną, jej usta jak zdradziecka otchłań bez dna, język jak salamandra, a oczy jak lodowe lustra, w których odbija się twarz jego mrocznej duszy.*

*Podszedł do jej łóżka, poczuł płomień jej włosów na policzku. Ptaki w głowie załopotały skrzydłami dziko, drapiąc wewnątrz czaszki ostrymi dziobami. Już dobrze. Już wszystko dobrze. Oni myślą, że zwariowałam. Powiedz im, że to nieprawda. Proszę cię, pomóż mi.*

*Wysunęła język salamandry, opierając głowę na jego ciele. Szloch zagłuszył odgłos żucia: jaszczurka odgryza kawałkami jego ciało, rozrywając je na oścież.*

*Ułożył ją na pościeli. Willie, przecież jesteś aktorką. Po jej policzkach spływają łzy, łzy krwi, dotknął ich i zamieniły się w lawę, wypalając jego palce do kości, białej kości lśniącej na ponurym wietrze.*

*Co? wyszeptala.*

*Śpij.*

*Wąż w jej ustach obgryza mu żebra, rozrywa mostek. Chcę do domu, mówi wąż.*

*Dom węża jest w jego piersi.*

*Nic dziwnego. To nie były szczególnie udane wakacje. Wąż wślizgnął się w jego pierś, zwinął się, zasnął.*

*Czarownica śpi.*

*Ptaki załopotały skrzydłami.*

*Dołączył do Blumburttta i Chattar Lala na werandzie. Blumburtt nie ma twarzy. Słońce weszło nad szczytami w krwawej mgle. Lal odezwał się, lecz słowa wypłynęły z ust Indy'ego, jak trujący oddech.*

*Spędziłem życie pełzając po tunelach i jaskiniach. Nie powinienem był komuś takiemu jak Willie pozwolić wchodzić tam ze mną.*

*Kapitan bez twarzy kiwnął głową.*

*Zemdlała, kiedy zobaczyła owady. Zaniósłem ją do pokoju. Spała, kiedy wróciłem do tunelu, żeby się rozejrzeć.*

*Wąż poruszył się w jego piersi, zwinął znowu i zapadł w niespokojny sen.*

*A gdy spała, pewnie przyśnił się jej jakiś koszmar.*

*Tak, zły sen.*

*Biedne dziecko.*

*Dwa ptaki ciemności splątały się, rzuciły na siebie, opadły na dno czaszki, leżą tam na plecach, bezsilnie machając skrzydłami, ranne, przerażone.*

*Czy coś pan znalazł w tym tunelu, panie doktorze?*

*Nic.*

*Prowadzi donikąd.*

*Porzucony.*

*Echo zabrzmiało w pustej czaszce, echo połamanych piór, drapiących kamień. Pustka, obcość. Ptaki zniknęły.*

*Ale Willie nie jest jeszcze gotowa do drogi.*

*Wrócił do jej pokoju. Wciąż śpi, czarownica, zwinięta w łóżku.*

*Wąż zadrżał w jego piersi.*

*Czarownica ocknęła się. Usiadł koło niej. Odwrócił się, żeby nie dostrzegła porwanej tkanki jego piersi, wyszarpanej dziury, przez którą gad wpełzł, aby umościć się koło serca.*

*Indy?*

*Tak.*

*Teraz mi wierzą.*

*Tak, wierzą ci. Nie ma wątpliwości. Czarownico o płonących włosach, umrzesz, zanim pozwolę ci obudzić bestię w mojej piersi.*

*Bałam się, że cię zabiją.*

*Nie zabiją mnie.*

*Wbiła mu szpony w plecy, pociągnęła, rozrywając skórę, wołając o krew.*

*Nie stracisz mnie.*

*Obrócił się, patrzył w lustro jej oczu, zobaczył siebie: człowiek z dymu, związany przerażeniem, krwawi, usiłuje uspokoić węża, nasłuchuje echa w ciemnościach, czeka na wstrząsający krzyk.*

*Wąż drgnął.*

*Z oddali dobiegi łopot.*

Indiana wciąż wpatrywał się w płynny ogień na dnie otchłani, gdy Mola Ram mówił. Chattar Lal przetłumaczył Indianie przemówienie najwyższego kapłana.

– Mola Ram mówi wiernym o naszym zwycięstwie. Mówi, że Brytyjczycy opuścili pałac, co pokazuje siłę Kali Ma.

Indy kiwnął głową w hipnotycznym transie.

– Tak, rozumiem.

Rozumiał bardzo dobrze.

Mola Ram skończył przemowę. Zaintonowano pieśni. Wiatr zawodził, siarczane dymy wzbijały się w górę i znikały.

Indiana kiwał się na piętach, wpatrzony w nawiedzoną przez boga postać obok niego.

Pod świątynią, w ciemnościach kopalni, mali niewolnicy ryli zakrwawionymi palcami ziemię. Otyli strażnicy chłostali rzemieniami

dzieci nie dość gorliwie pracujące albo zbyt słabe. Ziemia czasem osypywała się, grzebiąc je żywcem, miażdżąc, okaleczając albo dusząc.

Short Round pracował z innymi, wraz z zagubionymi dziećmi wpijał się w skalę, szukając ostatnich dwóch kamieni Sankary. Z kajdanami na nogach, pracowali w znoju, modląc się o śmierć, przeklęci.

Short Round z pięciorgiem innych zaczął pracę w nowym tunelu, gdy zdał sobie sprawę ze swego położenia. Wiedza ta, świadomość agonii przez resztę krótkiego życia, spadła na niego tak wielkim ciężarem, że aż usiadł na ziemi. Cóż to wszystko może znaczyć? Czyżby obraził jakiegoś boga albo przodka? Co teraz zrobi Indy? Nie może teraz na niego liczyć. Indy wypił miksturę zła, która zmieniła doktora Jonesa w pana Hyde'a. Indy był stracony.

Shorty wniósł prośbę do Niebiańskiego Ministerstwa Czasu o wyznaczenie długości jego pobytu tutaj. Siedząc tak, chwycił garść ziemi i wypuścił ją między palcami. *Koniec rozgrywki*, wyszeptał.

Nie siedział długo. Rzemień przywarł do jego pleców. Nie krzyknął tylko dlatego, że stało się to tak niespodziewanie. Strażnik ruszył dalej; Shorty wrócił do pracy.

Wraz z dwoma innymi mozolił się przy wielkim kawałku skały, który utknął w ścianie w miejscu, gdzie miał iść nowy tunel. Ciągnęli, podważali go, aż w końcu ustąpił i potoczył się po krótkim zboczu. Z ust Short Round wyrwał się okrzyk.

Odślonili żyłę płynnej lawy. Gęsta, prawie nieruchoma, syczała jak osaczona kobra.

Dzieci krzyknęły i nadbiegł strażnik. Wybatożył je za ich głupotę i za krzyk. W jego oczach odbijał się płonący jad odkrytej żyły.

Nagle pękł drobny bąbel pary i rozpylił cienką warstwę lawy na nogi strażnika.

Wrzasnął, upadł, próbując zetrzeć płynny metal ze skóry. Tunel wypełnił się zapachem spalonego ciała.

Wtedy stała się rzecz dziwna. Z jego twarzy zniknął wyraz napięcia, zmiękły twarde rysy. Oczy, od których jeszcze przed chwilą z taką łatwością odbijały się krwawe odcienie lawy, teraz zaszyły mgłą ludzkiej kruchości, wydawały się ożywać, wydawały się pamiętać.

Przestał jęczeć i skupił wzrok na Short Round. Wyglądał prawie, jakby był wdzięczny, jakby zaraz miał się rozpłakać, jakby zdał sobie sprawę, że żył w koszmarze, a teraz się ocknął.

Błagał Short Round o wybaczenie - w hindi, a potem po angielsku.

Nagle pojawili się pozostali strażnicy. Pochwycili swego upadłego towarzysza i wyciągnęli z tunelu. Lecz opierał się im, usiłował wyrwać, chcąc pozostać na jawie.

Nie chciał wracać do koszmaru Kali.

Short Round patrzył, jak nieszczęsnego strażnika zabierają współbracia o zniewolonych umysłach. Zrozumiał.

– Ogień - wyszeptał do siebie. - Budzi ich ogień! Doktor Jones może...

Nie kończąc myśli, uniósł ciężki kamień. Pozostałe dzieci z przestraczem patrzyły, jak dźwignął go wyzywająco. Bały się, że rzuci nim w ostatniego z odchodzących strażników i narazi je na baty. Lecz nie cisnął nim w strażnika. Opuścił go z wielką siłą na łańcuchy wiążące go z pozostałymi dziećmi.

Pomyślał, że kajdany są pordzewiałe i nie wytrzymają ciosów. Żaden ze strażników nie spodziewał się, że któreś z dzieci może uciec. W końcu, dokąd miałyby pójść Short Round uśmiechnął się ponuro, ciesząc się ze zdobytej wiedzy. A wiedza to potęga, tak mu zawsze mówił doktor Jones.

Mając tę potęgę do dyspozycji, uwolni go.

Raz za razem uderzał kamieniem w porzewiałe kajdany. Dzieci patrzyły na to z niepokojem.

Short Round postanowił uciec. A wbrew przekonaniu strażników, miał dokąd.

Wiatr dudnił pod przepastnym stropem, łącząc się z atonalnym zaśpiewem tłumu, który zebrał się w świątyni. Zawodzenie Moli Ramy kontrastowało z chaotycznym jękiem wypowiedzianych zaklęć. Maharadża siedział na podium, kołysząc się, zahipnotyzowany dymem i żarliwością wiernych.

Chattar Lal stał obok Indiany.

– Czy rozumiesz, co on nam mówi? - zażądał odpowiedzi od neofity.

Indiana kiwnął głową w tępych zamyśleniu:

– Kali Ma wzięła nas w obronę. Jesteśmy jej dziećmi. Przysięgamy oddanie i chwalimy ją, składając ofiary z ciała i krwi.

Chattar Lal wydawał się zadowolony z pojętnego ucznia.

Jednakże, zanim odpowiedział, rozległ się rozdzierający serce krzyk przerażenia, dobiegający spomiędzy niewyraźnych cieni osłoniętych dymem.

Indiana patrzył beznamiętnie, jak prowadzą Willie. Miała na sobie spódniczkę i obcisłą bluzkę, jakie noszą radzputańskie dziewczęta, klejnoty i kwiaty. Choć trzymało ją mocno dwóch kapłanów, jęczała i próbowała się wyrwać, spływając potem, płacząc, klnąc i plując. Wiedziała, jaki czeka ją los.

Chattar Lal wskazał mu ją gestem.

– Twoja przyjaciółka widziała i słyszała. Teraz nic już nie powie.

Dostrzegła Indianę, gdy ciągnięto ją ku posagowi Kali.

– Indy! Pomóż mi! Na miłość boską, co się z tobą dzieje!

Indy patrzył ze spokojem, jak zamykają się kajdany na jej nadgarstkach, przypinając ją do kwadratowej, żelaznej ramy zwisającej z niezmordowanych ramion przerażającej, kamiennej bogini.

*Czarownica wysyczała na niego: Indy pomóż mi, na miłość boską, co się z tobą dzieje, lecz on tylko śmiał się z jej zdrady. Wszystko było teraz czerwone, ale odwrotnie, więc co było ciemne, było jasne, a co było jasne, było ciemne, ale w czerwieni. Z wyjątkiem czarownicy: cała była czarna.*

*Czarna i bzycząca, jakby dziesięć tysięcy szerszeni tworzyło jej jestestwo. Żzzzzzzzzzz, krzyknęła do niego.*

*Cśś, pomyślał, obudzisz węża. Lecz teraz jest tu Kali. Sama wola Kali wyciszy bzyczenie, uspokoi węża w jego piersi. Tylko ból i tortury i poświęcenie dla Kali uciszy bzyczenie i spać będzie wąż.*

Indy spojrzał na swoje stopy. Boa dusiciel prześlizgnął się po kamiennej podłodze, szukając ciemnego miejsca. Indy pochylił się, podniósł go i pogładził po głowie. Są teraz duchowymi braćmi. Przytulił węża do piersi, blisko brata, który tam śpi. Trzymał go tak, aby Willie mogła zobaczyć go z jego nową rodziną.

Willie nie wierzyła własnym oczom.

– Indy - błagała go. - Nie pozwól im na to. Nie rób tego.

Lecz on ani drgnął, żeby jej pomóc, gładził tylko przekłętego węża.

*Umrze.*

Umrze w straszny, bolesny sposób, w samotności.

W jakiś sposób udało się im go pojmać, co do tego nie miała wątpliwości. Ale jak? Zawsze był arogancki, choć jej się to podobało - przynajmniej od czasu do czasu. Czyżby arogancja miała być wyjaśnieniem tego opętania? Tak, wyglądał na opętanego.



A może dał się w końcu uwieść sławie i pieniądzom, których szukał. To mogła zrozumieć - te kamienie rzeczywiście są pociągające - ale jej zdaniem posunął się za daleko.

Czary?

Nie miała pojęcia i nic ją to nie obchodziło. Wiedziała tylko, że umrze, ale nie wiedziała, dlaczego. Nie chciała umierać i nienawidziła go za to. Bała się.

Kapłan przykuł jej stopy do ramy.

– Przestań, to boli! - krzyknęła. - Ty wielka, brudna małpo.

Gniew objawił się pianą w kącikach jej ust, potem wściekłość zamieniła się w błaganie:

– Nie bądźcie tacy, chłopaki.

Gdy to nie przyniosło skutku, rozpacz kazała jej zawołać znowu:

– Indy!

Mola Ram okrążył ją, gdy zamykano przód ramy. Indiana odwrócił wzrok i spojrzał z uwielbieniem na potworną twarz bogini nad nim. Opuścił boa na ziemię i wąż odpełził do rogu.

Kapłani zrywali z Willie naszyjniki.

– Bezczelność! - wrzasnęła. - Wiedziałam, że jesteście skąpi. Chcecie je zachować dla jakiejś... Zresztą, na żadnej nie będą wyglądały tak dobrze jak na mnie.

Teraz była zادیorna, pełna pogardy.

Mola Ram stanął przed nią. Jej bezczelność wydawała się sprawiać mu przyjemność. Skłonił się lekko, po czym w szyderczym geście wyciągnął rękę ku jej sercu.

Poczuła lodowaty chłód, widząc, jak palce najwyższego kapłana zbliżają się do jej klatki piersiowej. Widziała to już i na samo wspomnienie ogarniało ją przerażenie. Poczuła, jak miękną jej kolana. Upadłaby, gdyby

nie kraty i kajdany. Na widok zbliżającej się dłoni czarownika, cała jej bezczelność i brawura zniknęła. Zaczęła go prosić:

– Poczekaj. Jeszcze nie. Proszę, zrobię co zechcesz. Znam wielu polityków i przemysłowców. Kiedyś zaprosił mnie na kolację Czang Kai-szek. Znam ludzi, którzy pracują dla Ala Capone - wpadła jej do głowy absurdalna myśl i roześmiała się. - Masz kuzyna, który nazywa się Frank Nitti, mieszka w Chicago? Wyglądasz, jakbyś był jego bratem.

Mola Ram uśmiechał się pogardliwie, słuchając tej przemowy. Złowrogo przysunął dłoń bliżej. Poczula, jak sople jego palców dotykają materiału na jej piersi. Poczula odrażający dotyk, jakby palec wciskany do gardła, jakby kciuk wciskany w oko; dotyk powodujący mdłości, natarczywy, niespodziewany, poniżający.

Zemdląca.

W półmroku tunelu Short Round bił kamieniem w żelazo w równym rytmie, próbując zrzucić okowy. Widział, jak to się robi w *Jestem zbiegiem*, tyle, że łatwiej było na to patrzeć, niż zrobić. Omdlewały mu ramiona, lecz rozpacz dodawała mu sił. Co Indy i Willie zrobią bez niego? A co będzie, jeżeli Koło Reinkarnacji rozdzieli ich w kolejnym życiu? Tak mogło się stać, obroty Koła były nie do przewidzenia.

Pozostałe dzieci patrzyły na niego. Przydałaby mu się ich pomoc, ale wyglądały tak dziwnie - stojąc tam jak duchy albo jeszcze gorzej - że postanowił skoncentrować się na zadaniu. Machnął zmęczonym ramieniem jeszcze raz, uderzając kamieniem o żelazo i zatrząsk pękł. Po prostu. Był wolny.

Dzieci patrzyły na niego ponuro, zdziwione, z niedowierzaniem, z nową, nieoczekiwaną nadzieją. Oto wolność. Tu, pomiędzy nimi.

Short Round rozejrzał się ukradkiem. Wyzwolił się z więzów w ostatniej chwili. Nadchodził strażnik. W ciemnościach rozświetlonych pochodniami Short Round postanowił zaryzykować. Skoczył, przetoczył się po podłodze tunelu i wskoczył za wagonik wypełniony odłamkami skalnymi, który pchało po torach dwóch niewolników w łańcuchach.

Strażnik poczłapał dalej, niczego nie podejrzewając. Short Round schował się za wagonikiem i szedł wraz z nim skulony, aż wyszedł z jamy.

Dzieci patrzyły na jego ucieczkę w milczeniu.

Nad kopalnią, w świątyni, Willie odzyskała przytomność i zobaczyła, że Mola Ram odchodzi. Nie wyrwał jej serca; drażnił się z nią tylko! W jej oczach pojawiły się łzy nadziei. Może jeszcze nie wszystko stracone.

Wiła się zaciekle, żeby zerwać więzy, ciągnęła i szarpała rękami i - wielki Boże - stało się. Udało się jej wysunąć szczupły nadgarstek, wilgotny od potu, z kajdan, którymi przywiązano ją do ramy ofiarnej.

W błagalnym geście wyciągnęła wolną rękę w kierunku Indiany.

– Indy, pomóż nam! Ocknij się. Nie jesteś jednym z nich. Proszę cię, proszę, wróć do mnie. Proszę cię, wróć do mnie.

Indy podszedł do klatki, powoli wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Mocno ścisnęła jego palce. Podniósł jej dłoń do ust i pocałował. Popatrzyli sobie głęboko w oczy. *Tak, tak, pomyślała, przyszedł po mnie.*

Stanowczym gestem położył jej rękę na ramieniu, założył okowy na nadgarstek, zacisnął je i zamknął klatkę. Potem spojrzął wzrokiem wtajemniczonego na Molę Rama, który uśmiechnął się, skinął głową i znowu podjął monotonna pieśń.

Willie była przerażona.

– Nie! Co ty robisz? Zwariowałeś?

Tylko popatrzył na nią przeciągle, jakby z innego świata.

Splunęła na niego. Nigdy nie czuła aż takiej nienawiści jak teraz. Nie będzie więcej błagać. Niech zgnije w piekle.

*Czarownica-demon splonęła: iskra i błysk w czarnych ustach. Bzyczenie jest teraz głośnie. Prawie zagłusza łopot, który powrócił. Plwocina pali ogniem, syczy na twarzy, syczy wraz z wężem w jego piersi, wąż obudził się już, rozwija się...*

*Ale Kali uspokoi go. Jeśli się tylko odda Kali, zatraci w niej, wyciszy bzyczenie łopot syk usypiającym dźwiękiem imienia Kali Ma.*

Spokojnie, nieobecny gestem wytarł ślinę z twarzy, odszedł i podjął gorączkową pieśń z resztą wiernych: *Mola Ram, Sunda Ram, jai ma Kali, jai ma Kali...*

Chattar Lal i Mola Ram spojrzeli na siebie z satysfakcją, ucieszeni widokiem tej bezdusznej zdrady.

Monotonna pieśń narastała.

Porywy wiatru wzmożyły się, zmieniając się w przerażający skowyt.

Short Round popędził kolejnym tunelem, przywarł płasko do ściany, dysząc ciężko i ostrożnie wyjrzał za róg. Nie pomylił się: w tej jaskini trzymali rzeczy. W rogu leżał bicz Indy'ego, kapelusz i torba. Wbiegł i chwycił je. Założył kapelusz, za pasek wcisnął bicz, zarzucił torbę na ramię. Poczł się jak miniatułka Indiany Jonesa. Wyprostował się i ruszył do sąsiedniego tunelu. Tam dostrzegli go dwaj strażnicy i natychmiast ruszyli za nim.

Teraz dopiero naprawdę poczuł się jak Indiana Jones. Pędził przed siebie z całych sił, wymykając się strażnikom, zwiększając dystans do nich, przemykając się między dziesiątkami zniewolonych dzieci, które patrzyły zadziwione na nieuchwytnego chłopca.

Wpadł do wąskiego, bocznego tunelu, gubiąc ścigających go strażników. Wspiął się krętym szybem na następny poziom. Ukradkiem przeczołgał się przez tunel i ostrożnie wyjrzał, patrząc na kopalnię.

W odległości dwudziestu jardów zobaczył długą, drewnianą drabinę opartą o ścianę. Jej szczyt sięgał skalnej półki, z której prowadziły wejścia do labiryntu jam. Obok drabiny, na różnych poziomach widać było tunele wywiercone w skalnej ścianie. Z najniżej położonego wyszło dziecko, niosące worek ze skalnymi odłamkami. Chłopiec wszedł na drabinę i zaczął schodzić po niej, niosąc ładunek.

Kiedy dotarł na dół, o mało nie zemdleł ze zmęczenia. I nagle podskoczył przerażony, widząc, jak Short Round pędzi ku niemu z całych sił. Pokazał mu gestem, żeby milczał. Chłopiec patrzył z niedowierzaniem, jak Shorty wspina się chyłkiem na drabinę. Jak James Cagney w ostatniej scenie *Wroga publicznego*. Short Round miał nadzieję, że nie będzie to jego ostatnia scena.

Strażnik dostrzegł go, gdy był już dosyć wysoko i ruszył za nim po drabinie. Dzieci pracujące w zagłębieniach znieruchomiały, patrząc, jak Short Round wznosi się coraz wyżej i wyżej i jak wściekły strażnik zbliża się do niego.

Dwadzieścia stóp powyżej szczytu drabiny wystawała szeroka półka skalna. W odległości dwudziestu stóp od ściany, o którą wspierała się drabina, prosto z otworu w wystającej półce zwisała lina.

Brudne twarze w każdej dziurze i jamie obserwowały, jak Short Round dotarł do szczytu drabiny. Strażnik był tylko dziesięć stóp niżej. Shorty wspiął się do tunelu i po chwili, rozpędzony wskoczył na drabinę, odpychając ją od ściany.

Przywarł do niej z całych sił, tak jak i strażnik kilka szczebli niżej, a drabina zakreśliła delikatny luk, oddalając się od ściany, przechylając się ku

środkowi kopalnianej jamy. Pewne samobójstwo. Przynajmniej tak myślały dzieci, wpatrzone w ten lot zahipnotyzowanym wzrokiem. Życzyły mu powodzenia w ostatecznej ucieczce z tego miejsca.

Lecz gdy szczyt drabiny mijał koniec zwisającej liny, Short Round chwycił ją z całych sił. Drabina ze strażnikiem teraz już opadała, aż z hukiem rozbiła się o ziemię. Shorty na chwilę zawisł w przestrzeni, po czym podciągnął się na linie i wpełzł przez otwór w skalnej półce do sali nad kopalnią.

Przetoczył się kilka stóp po ziemi i znieruchomiał. Nikogo nie było, było cicho, choć w pomieszczeniu obok słyszał przytłumiony dźwięk tysiąca narkotycznych głosów. To był niepokojący dźwięk.

Wstał, podszedł do drzwi i lekko je uchylił.

Do małego pomieszczenia za ołtarzem świątyni śmierci wsączało się czerwone światło, opływając czarny posąg Kali.

W świątyni brzęczały łańcuchy i chrzęściły tryby, gdy ofiarna rama uniosła się do góry. Willie najpierw leżała na plecach, potem rama stanęła w pionie i w końcu obrócono ją twarzą w dół. Rozpięta na żelaznej kracie, widziała otwór z bulgocącą lawą.

Patrzyła na własną śmierć. Jakaż będzie straszliwa, jak bezsensowna. W samotności - to było najgorsze. Chwilami widziała swoje odbicie w błyszczących bąblach czerwonej lawy. One rosły, wykrzywając jej obraz i pękały. Odbicie jej życia - wykrzywione, zbyt gorące, a zaraz wyparuje, jak kropla wody w kadzi pełnej kwasu. Żałowała, że nie może zacząć jeszcze raz. Tym razem rozegrałaby to lepiej.

Ale następnego razu już nie będzie. Nie wierzyła w karmę czy reinkarnację, w niebo lub cuda. A teraz tylko cud może ją ocalić.

Wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że zemdleje, zanim ból stanie się zbyt wielki.

Mola Ram wydał polecenia katowi, który powoli obrócił olbrzymim, drewnianym kołowrotem opuszczającym kosz. Tłum podjął monotonna pieśń. Willie zaczęła krzyczeć. Indy zwrócił wzrok w jej stronę.

*Czarownica wisi w swej prawdziwej postaci, w postaci olbrzymiego kruka, szybując w gorących strumieniach powietrza nad otchłanią ognia. Nie macha już skrzydłami, nie łopocze, tak jak wtedy wewnątrz jego czaszki. Teraz szybuje, uśmiecha się, byczy delikatnie, wie. Wie, co ją czeka. Jego czaszka jest pusta. Trucizna w jego piersi. Wie. Wie wszystko.*

*Musi umrzeć.*

Mola Ram zaintonował, pieśń wpadła w oszalały rytm. Indiana dołączył do śpiewających.

Willie wisiała na żelaznej ramie i patrzyła, jak gotująca się magma zbliża się do jej ciała, które cal za cal opada w głąb ofiarnej otchłani. W głąb ognia.

## Rozdział VIII.

### Ucieczka

Short Round wyjrzał ostrożnie spoza ołtarza na przepastne wnętrze świątyni, właśnie w chwili, gdy Willie opadała w dół otchłani. Na brzegu stał Indiana, patrząc beznamiętnie, jak Willie znika.

Shorty szepnął do siebie:

– Indy.

Modlitewny śpiew był tak głośny, że prawie zagłuszał myśli, lecz chłopiec wiedział, co należy zrobić. Musi zastąpić Indy'ego, musi go obudzić, musi wyciągnąć Willie. Musi dostać się do Ameryki, a to nie są żarty.

Ale na początek najważniejsze. Obiecał ołtarzyk w swoim sercu na resztę życia Bogom Trzech Gwiazd w zamian za powodzenie przedsięwzięcia. Obiecał Lou Gehrigowi, że już nigdy nie będzie kwestionował ilości punktów zdobytych przez niego w rozgrywkach, nawet gdyby jego brat Chu miał powrócić jako całe stado słońątek.

Położył rzeczy Indy'ego w cieniu przejścia, obrócił czapkę daszkiem do tyłu, gotowy do działania i wyskoczył na ołtarz.

Pomachał do Indy'ego, ale pierwszy dostrzegł go Chattar Lal. Premier krzyknął do dwóch strażników, każąc im go złapać, ale chłopiec był szybszy. Zeskoczył z ołtarza i pobiegł w kierunku Indiany.

Jeden z kapłanów chwycił go za ramię, lecz Shorty ugryzł go w rękę i wyrwał mu się. Inny kapłan zastąpił mu drogę, ale kopnął go i wymknął się z uchwytu.

Już po chwili dotarł do Indy'ego. Spojrzał na niego z uśmiechem pełnym nadziei. Może Indy już się ocknął, może tylko udawał, żeby oszukać tych



głupców, odgrywając swą rolę w tym ryzykanckim przedstawieniu.

Indy brutalnie uderzył go w twarz wierzchem dłoni. Shorty upadł na ziemię, gubiąc czapkę.

Do oczu napłynęły mu łzy.

– Ocknij się, Indy.

W kąciku ust pojawiła się krew. Short Round patrzył z bólem i niedowierzaniem na swego bohatera. Lecz chwila zwątpienia nie trwała długo. Wzmocniła tylko jego postanowienie realizacji planu. Będzie trudno, ale czy coś w życiu przyszło mu łatwo?

Skoczył na równe nogi i podbiegł do ściany. Strażnik już deptał mu po piętach.

Chattar Lal patrzył z wyraźną aprobatą. Wielki Indiana Jones nawrócił się i został gorliwym wyznawcą. W oczach premiera pojawiła się satysfakcja, gdy patrzył, jak strażnik biegnie za irytującym dzieciakiem i jak Willie powoli osuwa się ku spełnieniu swego losu.

Willie bezskutecznie usiłowała wstrzymać oddech. Żar i oślepiający blask były nie do zniesienia. Unoszące się fale gorąca paliły jej twarz, żrący dym wypalał oczy, płuca, skórę. Zbliżała się śmierć.

Była sama. Przerazona. Bezskutecznie usiłowała przypomnieć sobie jakąś modlitwę. Wiła się w przejmującym bólu, ale śmierć była coraz bliżej.

Tymczasem Short Round dobiegł do ściany, zerwał płonąca pochodnię i zamachnął się na strażnika. Płomień osmalił mu twarz i strażnik się cofnął. Shorty podbiegł do kata, dziko wywijając pochodnię i kat odskoczył od kołowrotu. Willie zawisła nieruchomo.

Mola Ram obserwował wydarzenia z mniejszym spokojem niż Chattar Lal. Ten mały potwór profanuje świątynię Kali. Musi ponieść karę.

– Łapać go! Zabić! - z gniewem wykrzyknął w hindi najwyższy kapłan.

Jeszcze dwóch strażników ruszyło za Short Round, który znowu pobiegł w kierunku Indiany.

– Indy, ocknij się! - krzyknął znowu. Nie było odpowiedzi. W ostatniej chwili obrócił się i machnięciem pochodni zmusił strażników do cofnięcia się. Wtedy Indy chwycił go od tyłu i zaczął dusić.

Indy złapał Shorty'ego za szyję. Uniósł go i obrócił. Patrzyli na siebie, gdy trzymał go w powietrzu w wyciągniętej ręce, dławiąc mu gardło. Short Round z trudem łapał powietrze. Krew odpłynęła mu z twarzy.

*Wąż zasyczał i zagrzechotał w piersi, rozgniewany brutalnym przebudzeniem. Wyczuł atak ze strony dziecka-demon, zanim Indy go zobaczył. Gdy demon nadszedł z pochodnią, Indy był gotów, wąż był gotów. Gotów do ataku.*

*Indy ocknij się!, wykrzyknęło dziecko-demon słowa wyryte w płomieniu pochodni. Wąż cofnął się. Demon zmieniał swą postać: stał się zakrzepem rubinowej krwi, grubym, lodowatym, parującym w chłodnym powietrzu jaskini, soczyście pachnącym śmiercią.*

*Wijąc się, krztusząc...Indy pochwycił go, zakrzepłego demona. Złapał i ścisnął, formując ciemną, tryskającą grudę w coś o przyjemniejszym kształcie, coś o kształcie Kali, coś o rozmiarach jego pięści. Skręcając, ugniatając, kształtując, obracał to w rękach, obracał bez końca, aż dojrzał jego twarz, jego upiorne, wylupiaste oczy w galaretowatej masie, zobaczył jak wywija ogniem, zobaczył jego jęk, wołając węża.*

Ostatkiem sił Short Round wycharczał: Indy kocham cię, potem wymówił imię Opiekuna Niebiańskiego Ministerstwa Egzorcyzmów i wbił płonąca pochodnię w bok Indy'ego.

Indiana upadł. Ogień palił mu ciało. Zawył z bólu i puścił chłopca.

*Ogień wypełnił mu czaszkę, szalejąc w pustce otchłani. Wąż zawył, rozwinął się, wije się. Dziecko-demon zawołało, a wąż odpowiedział, rozdrażniony odzyskaną pamięcią.*

Short Round palił ciało Indiany dopóki nie dopadł go strażnik, wytrącając pochodnię.

Indiana wił się z bólu na ziemi. *Oślepiające światło.* Wzmógł się modlitewny śpiew. Kat powrócił do kołowrotu i zaczął opuszczać Willie. Chattar Lal uśmiechał się. Mola Ram modlił się do Kali. Strażnik wyciągnął nóż i przyłożył do gardła Short Round.

– Stój - rzekł Indiana, wstając na nogi. - Jest mój.

Odebrał go zabójcy, zaniósł go nad brzeg rozpadliny i uniósł w powietrze. Short Round spojrzał przerażony w głąb gotującej się lawy, a potem w oczy Indy'ego - po raz ostatni.

Indy mrugnął.

– Jestem gotowy - szepnął. - A ty?

Shorty odwzajemnił mrugnięcie.

Indiana odrzucił Short Round w bezpieczne miejsce, obrócił się i uderzył w twarz najbliższego stojącego kapłana. Drugiego uderzył w żołądek. Shorty kopnął strażnika stojącego koło niego, wymierzając mu cios karate stopą w bok. W tym samym momencie zaatakował kapłan. Shorty chwycił go za pas, przerzucił na plecy i kapłan upadł na głowę. Tłum po drugiej stronie szczeliny zatopiony w ekstatycznym uniesieniu modlitwy nie miał pojęcia, co się dzieje w pobliżu kamiennego posągu bogini. Ale Chattar Lal wiedział i zniknął za ołtarzem, gdy rozgorzała walka.

Dwaj kapłani ruszyli na Indy'ego, ale Short Round rzucił się im pod nogi i jeden z nich wpadł na drugiego. Indy rzucił następnym w kata i

obydwaj spadli z podwyższenia. Niestety, kat odblokował hamulec. Żelazna klatka z Willie w środku ruszyła pędem w dół.

Indy wskoczył na podwyższenie i zaciągnął hamulec, zatrzymując kręcący się kołowrót. Jeszcze raz Willie zawisała nieruchomo.

Mola Ram zaczął się niepokoić. Wymijając walczących, ruszył ostrożnie wśród zamieszania w kierunku kamieni Sankary na ołtarzu.

Inny kapłan zaatakował Indy'ego, wymachując kadzidłem. Indy zgiął się i podciął mu nogi. Rozpędzony kapłan wpadł do otchłani. Dobiegł ich syczący błysk i kapłan przestał istnieć.

Short Round stał oparty plecami o ścianę i oganiał się od kilku strażników, wymachując pochodnią w jednej ręce i nożem w drugiej.

Kat podpełzł do kołowrotu i znowu zaczął opuszczać Willie. Teraz dzieliło ją już tylko kilka jardów od gotującej się lawy. Temperatura była tak wysoka, że jej ubranie zaczęło się tlić, rzęsy zaczęły się palić. Osiągnęła kraniec wytrzymałości psychicznej i życie w niej zaczęło drżeć. Przez gotujący się mózg przewijały się przypadkowe obrazy, stare wspomnienia i uczucia. Ostatnią myślą, która przysła jej do głowy, zanim ostatecznie zemdląca było: *W dawnych czasach widok pończoszki...*

Indy znowu strącił kata z podwyższenia. Gdy zaczął wyciągać klatkę z gotującej się głębi, kijem zaatakował go kapłan. Chwycił za kij, wyrwał mu go i strącił kapłana w otchłań.

Uderzył strażnika, pozbawiając go przytomności. Wtedy znalazł się w pobliżu ołtarza, gdzie dojrzał, jak Mola Ram pochyla się nad kamieniami. Indy złamał kij, uderzając nim o plecy Moli Rama.

Mola Ram upadł na twarz. Indy uniósł kawałek kija, żeby dokończyć dzieła, gdy najwyższy kapłan spojrzał na niego, uśmiechnął się i zniknął w tajemnym przejściu ukrytym u podstawy ołtarza.

Indy zaklął, odrzucił kij, pognął do kołowrotu i zaczął nim obracać, jeszcze raz powoli wyciągając klatkę, w której uwieczono tłące się ciało nieprzytomnej Willie.

Za jego plecami pojawił się Chattar Lal ze sztyletem w uniesionej ręce.

– Indy, uważaj! - krzyknął Short Round, wciąż wywijając pochodnią.

Indy obrócił się i w ostatniej chwili uniknął ciosu. Walczyli obok kołowrotu. Poniżej żelazna rama opadła ze zgrzytem. Zaciągnięty hamulec z trudem utrzymywał ją w miejscu.

Wierni, zgromadzeni po drugiej stronie rozpadliny, dostrzegli teraz, że dzieje się coś niedobrego. Przerwali modły i w panice opuszczali świątynię. Młody maharadza wyszedł jako jeden z pierwszych, otoczony tłumem ochroniarzy.

Indy wyrwał się Chattar Lalowi i zatrzymał kołowrót. Lal zaatakował znowu. Indy osłonił się przed ciosem i ogłuszył Lala, rzucając nim o kołowrót.

Kołowrót poruszył się, wciągając Chattar Lala i łamiąc mu nogę. Udało mu się jednak uwolnić i odpełził na bok.

Shorty wskoczył na podest, powstrzymując ostatniego strażnika pochodnią. Indy ponownie zaciągnął hamulec, choć czuł, że nie wytrzyma długo. Wstał, lecz wtedy strażnik uciekł. Wraz z Shortym zaczęli gorączkowo obracać kołowrotem, wyciągając klatkę.

Kiedy rama pojawiła się na powierzchni, Shorty został przy kołowrocie, trzymając go z całych sił, a Indy podbiegł do krawędzi rozpadliny i odciągnął klatkę na bok.

– Zluzuj trochę - zawołał do Shorty'ego. Short Round obrócił kołowrotem i Indy opuścił klatkę na ziemię.

Odwiazał Willie i z niepokojem przyjrzał się jej nieruchomej postaci. *Willie, Willie, ocknij się, Willie.* Nie pamiętał już szczegółów koszmaru.

Pozostało tylko uczucie przerażenia i kilka niewyraźnych obrazów: olbrzymie padlinożerne ptaki, głodne węże (ach! węże!), dziecko-demon, które było Shortym, choć nie było, i Willie jako nienawistna czarownica, która miała zniszczyć jego duszę. Przypomniawszy sobie, że chciał ją zabić i śmiał się, widząc, jak opuszczają ją w otchłań, żeby zadowolić Kali. Na szczęście już po wszystkim. Ocknął się i był znowu wśród żywych.

Willie jęknęła, poruszyła głową i zamrugała oczami.

– Willie - rzekł z radością.

Otworzyła oczy, zobaczyła go nad sobą i od razu uderzyła w twarz. A przynajmniej spróbowała. Jej słaba dłoń otarła się tylko o jego policzek.

Shorty wzdrygnął się.

Indy uśmiechnął się szeroko.

– Willie, to ja. Wróciłem, wróciłem, Willie - i zaśpiewał. - *Dom, dom na prerii, gdzie jeleń i antylopa wolne są.*

Willie nigdy przedtem nie była tak szczęśliwa, słysząc kogoś, kto aż tak fałszował. Świeże powietrze i kiepski głos dodały jej sił i zaczęła płakać, kaszleć, śmiać się; wszystko naraz. Dojrzała Chattar Lala dopiero w ostatniej chwili.

– Uważaj - wykrztusiła.

Indy obrócił się gwałtownie. Padając na plecy, kopnięciem wytrącił sztylet z dłoni Lala. Lal natychmiast rzucił się na niego.

Toczyli się po ziemi. Willie była zbyt słaba, żeby się poruszyć, a Shorty pozostał na stanowisku przy kołowrocie.

Walczący mężczyźni poturlali się w kierunku krawędzi i z powrotem. Oderwali się od siebie i wstali na nogi. Indy miał za plecami otchłań. Willie odsunęła się od nich w kierunku kołowrotu.

Lal zaczął zawodzić w hindi:

– Zdradziłeś, zdradziłeś. Zdradziłeś Kali Ma. Kali Ma cię zniszczy.

Rzucił się do przodu.

Szaleństwo dodało mu sił. Wpadł na Indianę w nadziei, że pociągnie go za sobą do wspaniałego, samobójczego skoku.

Upadli obaj na ramę ofiarną. Pod wpływem uderzenia ich ciał, przesunęła się ze zgrzytem po ziemi i zawisała niebezpiecznie nad rozpadliną.

Indy wyrwał się z uścisku Lala i skoczył. Uderzył ciałem o wewnętrzną stronę krawędzi rozpadliny i zawisł nad otchłanią. Powracająca do sił Willie odblokowała hamulec. Kołowrót zawył i rama zaczęła osuwać się w dół.

Opadała i okręcała się, jak bryła żelaza, zabierając ze sobą Chattar Lala.

Dobiegł ich plusk płynnej lawy. Dla Willie był to odgłos słodkiej zemsty.

Indy spojrział w dół. Ciało Lala ogarnął ogień i natychmiast spłonęło. Na moment mignął mu szkielet, po czym wszystko zniknęło w czeluściach wrzącej lawy.

Indy podciągnął się i wydostał na zewnątrz. Willie usiadła, a Shorty podbiegł do niego. Objęli się w milczeniu na chwilę, szczęśliwi, że najgorsze minęło, że są razem, że żyją.

Świątynia była teraz pusta i cicha, z wyjątkiem ciał nieprzytomnych kapłanów i syku płynnego ognia.

Indy podszedł do trzech kamieni Sankary u podstawy ołtarza. Ich światło zgasło. Shorty przyniósł jego rzeczy: kapelusz, torbę i bicz. Indy włożył kamienie do torby, którą zarzucił na ramię. Włożył bicz za pasek, a na poranione plecy koszulę.

Podszedł do miejsca, gdzie leżała czapeczka Shorty'ego. Podniósł ją, otrzepał z kurzu i uroczyście włożył na głowę Short Round.

Potem założył kapelusz.

To przywróciło porządek wszechświata.

Shorty uśmiechnął się do swego przyjaciela: *Indy, mój kumpel*. Teraz nie ma znaczenia, co się jeszcze zdarzy, co ich czeka, cokolwiek to będzie.

Willie stanęła na nogach i podeszła do nich.

– Indy, musisz nas stąd wyciągnąć.

Indy rozejrzał się po świątyni zła, wsłuchał się w odległy dźwięk wagoników wyładowanych skalnymi odłamkami, w odgłos skrytych tortur, szloch niewinnych...

wolności.

Dziesiątki małych więźniów były świadkami cudownego wyczynu Short Round. Pogłoska o tym wydarzeniu docierała coraz dalej:

– Dobra, wszystkich - wymamrotał.

Ruszyli w kierunku komnaty za ołtarzem.

W kopalni działo się coś niezwykłego. Dzieci zobaczyły oblicze wolności.

Dziesiątki małych więźniów były świadkami cudownego wyczynu Short Round.

*Jeden uciekł.*

Jeden uciekł.

Jednemu chyba się udało.

Pracowały teraz inaczej. Podniosły głowy i patrzyły na strażników spod opuszczonych powiek. Arogancko szurały stopami z braku zdecydowania, a nie ze zmęczenia. Niektóre zaczęły liczyć, ile ich jest, a ilu jest strażników.

Gdy Mola Ram uciekł sprzed ołtarza, pobiegł do kopalni. Powiedział dowódcom straży, co się dzieje i kazał kilku z nich pójść do świątyni, żeby wziąć udział w walce. Pozostałym kazał uważać na trójkę pogan, którzy mogą spróbować uciec tędy, przez kopalnię.

Nikogo nie ostrzegł przed buntem niewolników.



W jednym z ciemnych tuneli pięcioro skutych razem dzieci przesuwano się z wielkim wysiłkiem w kierunku pustego wagonika. Dziewczynka na końcu łańcucha upadła.

Strażnik stojący u wyjścia z tunelu potraktował to jako oczywistą próbę wymigania się od pracy. Podbiegł z wściekłością, szarpnięciem postawił ją na nogi i podniósł ramię do zadania ciosu. Ujrzał wtedy, jak Indy występuje z cienia. Indy przyłożył mu pięścią w szczękę i strażnik upadł nieprzytomny.

Short Round odnalazł klucz przy pasku strażnika i szybko zdjął kajdany z nóg dzieci, które patrzyły na to w milczeniu. Kiedy były wolne, Indy pokazał im, jak przykuć strażnika do wózka.

Tak to się zaczęło.

Uwolniona piątka zaatakowała kolejnego strażnika w innym tunelu. Był tak zaskoczony, że nawet nie krzyknął, zanim stracił przytomność uderzony w głowę skalnym odłamkiem. W ten sposób uwolniono następną piątkę. Było ich już dziesięcioro.

To było jak reakcja łańcuchowa. Dziesiątki dzieci biegały tunelami, kiedy pozostali strażnicy zorientowali się, że dzieje się coś niedobrego. Wtedy zaczęło się naprawdę.

Ogłoszono alarm. Strażnicy próbowali zagonić skute dzieci do środkowej sali, ale Indy zatrzymał wiele z nich. Obalił strażnika uderzeniem bicia, a uwolnione dzieci obrzuciły go kamieniami. Powalił następnego uderzeniem pięści, a Willie i Shorty zabrali mu klucze.

Każdy powalony strażnik oznaczał wolność dla następnych dzieci.

Siła była zaraźliwa. Strażnicy uciekali. Willie pozbawiała ich przytomności, waląc po głowach łopata, Shorty podcinał im nogi łańcuchem, grupki wyzwolonych niewolników spychały ich ze skalnych

półek i drabin. Na głowy uciekających strażników spadały kamienie wysypywane z koszy.

W końcu wolnych dzieci było o wiele więcej niż strażników.

Kiedy wszystkich już oswobodzono, gdy strażnicy zostali rozgromieni, dzieci stały w tłumie, rozglądając się w radosnym podnieceniu, bez śladu zdziwienia w oczach.

Short Round, który był inspiratorem buntu, stanął przed nimi.

– Chodźcie ze mną! - krzyknął i poprowadził do wyjścia krzyczące z radości dzieci. Prawdziwa dziecięca krucjata.

Indy i Willie szli za nimi. Tłum dzieciaków czasem natykał się na strażnika, który albo próbował je zatrzymać, albo uciec, ale one ruszały na nich, pokonując wszelki opór siłą rozpędu i przewagą liczebną.

Szli krętą ścieżką, nareszcie panując nad własnym losem. Przeszli przez ostatni tunel, na szczyt kopalni, do pomieszczenia za ołtarzem...

Do świątyni.

Teraz była opuszczona. Tylko wiatr mrucał monotonną melodię i tylko Kali była tego świadkiem.

Indy, Willie i niektóre z większych dzieci zerwały długą deskę pokrytą ohydnyymi rzeźbami Kali i jej ofiar, zdobiącą ołtarz bogini. Gdy upadła na ziemię, zanieśli ją nad brzeg rozpadliny oddzielającej ołtarz od reszty świątyni, ostatniej przeszkody w drodze ku wolności.

Umocowali jeden jej koniec na brzegu, podnieśli, jakby wznosząc maszt do wciągnięcia flagi, i pozwolili opaść drugiemu końcowi na przeciwległy brzeg szczeliny.

Nad kłębiącą się lawą pojawił się wąski most.

Przychodziły następne dzieci, tłoczyły się wokół ołtarza i nad krawędzią rozpadliny.

Indy dał im znak, żeby przebiegły po desce na drugą stronę. Pod nimi bulgotał ogień, od czasu do czasu wypluwając w górę płynną skałę. Lecz żadne dziecko się nie zachwiało. Jedno po drugim biegły na drugą stronę, w kierunku pałacu, ku wolności.

Po chwili jednak Indy zauważył, że deska zaczyna dymić pod wpływem ciągłego, intensywnego ciepła dochodzącego z dołu. Dzieci krzyczały już, biegnąc, bo gorące, suche drewno parzyło w gołe stopy. Indy poganiał je, gdy drewno zaczęło się tlić, a biały dym zamienił się w czarny.

W końcu w dwóch miejscach pojawiły się płomienie. Indy krzykiem zachęcał pozostałe dzieci do biegu przez płomienie. Deska pękła, gdy ostatnie dziecko było po drugiej stronie. Kiedy Shorty wstąpił na nią, spadła w płomieniach w dół, przepaliwszy się na wylot. Indy i Willie w ostatniej chwili złapali go za kołnierz i wyciągnęli na brzeg.

Kilkoro dzieci czekało na swych wybawicieli po drugiej stronie.

– Uciekajcie - krzyknął do nich Indy.

Ruszyły.

Przez tylne wyjście ze świątyni, setkami wijących się stopni, dziesiątkami ukrytych przejść, przez kilkanaście tajemnych wyjść do pałacu.

Biegły z uśmiechem na twarzach przez pałacowe korytarze, setki uciekających dzieci wyzwolone z okowów. Przebiegły przez dziedzińce, mosty, sale, krużganki, podjazdy i bramy.

A potem była już tylko droga, dżungla i górskie przełęcze.

Były wolne.

– Co teraz zrobimy? - spytał Shorty, gdy ostatnie z wyzwolonych dzieci opuściło świątynię.

– Pójdziemy dookoła - odpowiedział Indy. Jak zwykle podejmował decyzje w miarę rozwoju sytuacji.

Przebiegli do pomieszczenia za ołtarzem i do miejsca, skąd było widać kopalnię. Indy spojrzał na opuszczony, pusty wagonik.

– Te tory muszą prowadzić do wyjścia z kopalni - doszedł do wniosku.

Ruszył w kierunku ścieżki prowadzącej w dół.

– Dokąd idziesz? - spytała Willie z podejrzliwością w głosie.

– Załatwić transport.

Połowa kopalnianych wagoników była w ruchu, ciągnięta przez podziemne liny. Niektóre były wypełnione skalnymi odłamkami, inne puste. Indy wybrał pusty wagonik.

Gdy wagonik wtoczył się do miejsca załadunku, Indy ruszył biegiem obok niego i złapał, próbując zatrzymać. Wagonik pociągnął go za sobą i nagle zatrzymał się, jakby z własnej woli.

Tak jednak nie było.

Indy zobaczył nad sobą olbrzymiego strażnika, który zatrzymał wagonik ręką. Był naprawdę wielki. Ten sam, z którym miał już dwa razy do czynienia i za każdym razem nie poszło mu najlepiej.

Indy złożył się do ciosu, ale zmienił zdanie. Schylił się po kawałek drewna i uderzył nim strażnika w głowę. Drewno rozpadło się na kawałki, a strażnik ani drgnął. Nie wyglądało to najlepiej.

Indy chwycił młot i uderzył nim w żebra olbrzyma, ale ten tylko się uśmiechnął, beknął, wyrwał młot i odrzucił na bok. Lewym ramieniem owinął Indy'ego w pasie, a prawym uderzył go w brzuch.

Indy upadł na ziemię, odbił się i kopnął olbrzyma w twarz, lecz tamten tylko zachwiał się lekko. Sprawa była naprawdę poważna.

Strażnik chwycił go znowu, uderzył dwa razy w pierś, raz w gardło, przeciągnął jego głową po boku wagonika i podniósł go w górę.

Shorty dzielił goryla biczem Indy'ego. Rozległ się świst i skowyt bólu: strażnik wrzucił Indy'ego do wagonika. Shorty dzielił olbrzyma jeszcze raz, ale ten chwycił go i odrzucił na bok.

Lina pociągnęła wagonik pod górę. Olbrzym wskoczył do środka i po chwili obydwaj mężczyźni okładali się nawzajem, jadąc po długim stoku.

Willie podążała za wagonikiem, obserwując walkę i gdy była pewna, że trafi, od czasu do czasu rzucała w strażnika kamieniami. Równocześnie rozglądała się za pustym wagonikiem na torze, który nie kończyłby się ślepo.

Indy odnalazł słaby punkt na karku strażnika i walił go żelaznym prętem. Lecz za każdym razem, gdy zdobywał przewagę, spadał na niego grad ciosów i potworny ból skręcał mu ciało.

– Co się z nim dzieje? - krzyknęła Willie do Short Round.

Short Round wiedział. Pokazał jej skalną półkę powyżej. Stał tam maharadza i wbijał szpilkę wyciągniętą z turbanu w figurkę Indiany Jonesa.

Wagonik osiągnął szczyt wzgórza i przewrócił się. Indy i olbrzym wypadli wraz z kupą kamieni na taśmociąg. Strażnik chwycił szpadel. Indy osłonił się kilofem, ale upuścił go, gdy ból przeszył mu twarz. Przetoczył się tylko, unikając ciosu w głowę.

Na skalnej półce powyżej nich maharadza wkręcał szpilkę w twarz figurki.

Willie znalazła wagonik, który zmierzał w kierunku jednego z tuneli prowadzących na zewnątrz.

– Mam go, Indy! Mam! Możemy jechać do domu!

Lecz Indy jej nie słyszał. Na przemian uchylał się przed ciosami strażnika i walił go po głowie puszką z naftą.

Tymczasem Shorty dotarł do niewielkiego wodospadu spływającego z poziomu, na którym stał maharadza. Woda wypełniała pojemniki na kole

wodnym i w ten sposób pełne wiaderka docierały na górny poziom. Shorty wskoczył do pojemnika na dole, wyjechał do góry i wyskoczył. Pobiegł wzdłuż skalnej półki i po chwili bił księcia zła. Lalka potoczyła się na bok.

Indiana walczył ze strażnikiem na taśmociągu, który zmierzał do wielkiego, obracającego się żelaznego walca, miażdżącego każdy kawałek skały i każdy głaz. Taśmociąg bezustannie podsuwał żer niezaspokojonej kruszarce.

Willie rzucała kamieniami w olbrzyma. Ten walił Indy'ego i czasem rzucał odłamki skalne w Willie. Indy kopał go, albo walił puszką z naftą. Short Round walczył z maharadzą w zawziętym starciu dwunastolatków. Z każdą sekundą taśmociąg podsuwał Indy'ego coraz bliżej szczęk kruszarki.

Shorty chwycił maharadzę za gardło, a ten wbił szpilkę głęboko w nogę Short Round. Shorty odskoczył, wijąc się z bólu i trzymając się za nogę. Ten cały księżę potrafił się bić lepiej niż na to wyglądał. W porządku, Short Round również miał pewne doświadczenie w tej dziedzinie.

Olbrzym chwycił Indy'ego za rękę, ale urwał rękaw. Gdy się zachwiał, tkanina wkręciła się w walec kruszarki. Desperacko próbował wyrwać ją i odpełznąć, ale walec nie ustępował. Strażnik zawył, gdy kruszarka wciągnęła jego stopy, a potem resztę ciała i starła na proch.

Na walcu pojawił się krwawy ślad.

Na górze Short Round kulejąc, podszedł do ściany i chwycił pochodnię. Obrócił się, gdy Zalim Singh ruszył na niego z nożem. Shorty kucnął i wyciągnął ramię, a maharadza wpadł na płonącą smołę pochodni.

Zajęczał, odskoczył i usiadł. Short Round rzucił ziemię na płonącą szmatę, gotów do skoku na maharadzę, lecz to nie było już konieczne.

Maharadza wyglądał jakby właśnie ocknął się ze złego snu. W rzeczy samej.

Short Round usiadł naprzeciw niego. Widział to już wcześniej.

– To był koszmar Kali - wyjaśnił Zalimowi Singhowi. Short Round, jak Cień, wiedział, jakie zło kryje się w sercach niektórych ludzi. Również w sercach niektórych chłopców.

Maharadza skinął głową. W jego oczach malował się smutek.

– Kazali mi robić okropne rzeczy. Oby Kriszna mi wybaczył.

Nie pamiętał teraz wszystkiego, ale nawiedzające go fragmentaryczne wizje kłuły jego sumienie jak ostre kawałki szkła.

Tymczasem Indiana wskoczył na kładkę ponad taśmociągiem prowadzącą do miejsca, gdzie obok pustego wagonika czekała Willie. Mieli coraz mniej czasu. Pojawił się Mola Ram z posiłkami.

Po chwili otoczyli ich.

– Schodź, Shorty! - krzyknęła Willie. - Jedziemy!

Podbiegł do niej strażnik. Wyrwała żelazną dźwignię hamulca z wózka i walnęła go w głowę. Drugi, bardziej ostrożny, zatrzymał się w pewnej odległości.

Short Round opuścił się ze skalnej półki. Maharadza pochylił się i rzekł:

– Posłuchaj. Żeby uciec, musicie pojechać lewym tunelem.

Shorty popatrzył na niego nieufnie, lecz po chwili zrozumiał, że nie kłamie.

– Dzięki - powiedział i zsunął się po skale.

Indy miał kłopoty. Trzech strażników z pistoletami w rękach wskoczyło na kładkę, zmuszając go do cofnięcia się. Wdrapał się po drabinie, strącił ją kopnięciem i pobiegł równoległą skalną półką. Strażnicy otworzyli ogień. Indy schował się za wagonikiem, popychając go do następnej kładki.

Willie popchnęła wózek i kiedy zaczął się toczyć, wskoczyła do niego. Strażnik wykorzystał ten moment i chwycił ją za nogę, ale Short Round już tam był. Podniósł kamień, ustawił się, krzyknął: Lefty Grove! i rzucił.

Kamień poszybował opadającym łukiem i trafiony w głowę mężczyzna upadł.

Gdy wagonik z Willie powoli przyspieszał, inny strażnik chwycił Shorty'ego z tyłu. Ten wysmyknął mu się z uścisku i kopnięciem karate trafił go w brzuch.

Oszalały kapłan rzucił się w pogoń za wagonikiem. Shorty przeciął mu drogę, skulił się i skoczył pod nogi. Upadli obaj, każdy w inną stronę. Short Round wstał, pokonał pięćdziesiąt jardów dzielących go od wagonika i skoczył, gdy ten zaczął się rozpędzać. Willie wciągnęła go do środka.

Rozglądali się w poszukiwaniu Indiany. Zobaczyli, jak umyka przed strażnikami po kładkach i rusztowaniach.

– Indy, szybko, pospiesz się! - krzyknęli oboje.

Indy spojrział na nich, ocenił odległość i kierunek, w którym zmierzali - do tunelu na końcu kopalni.

Rozpędził się i biegł, skacząc z półki na kładkę, a z niej na belkę. Strażnicy strzelali z wszystkich stron. Wokół niego rozpryskiwały się drzazgi i kawałki skały. Na podwyższeniu stał Mola Ram, wykrzykując rozkazy i wskazując na zbiegów.

– Uciekają! Zabić ich! - rozkazał w hindi. Strażnicy podwoili wysiłki.

Indy dotarł do krawędzi rusztowania. Strażnicy kłębili się za nim; powyżej i poniżej. Skoczył w półmrok, chwytając się liny na bloczku i poszybował z olbrzymią prędkością na spotkanie przyspieszającego wagonika.

– Za nimi! Zabić ich! - ryczał Mola Ram.

Wagonik pędził w kierunku tunelu wśród świszczących kul. Indy frunął w kierunku wagonika. Gdy znalazł się o kilka jardów nad nim i trochę z boku, puścił linę i spadł, już nie tak eleganckim łukiem, do środka pędzącego wagonika.



Krzyknęli z radości i kucnęli, żeby schować się przed nadlatującymi kulami. Indy dojrzał nieprzytomnego strażnika na dnie wózka. Zabrał mu broń, a jego samego wyrzucił w chwili, gdy wagonik wpadł w ciemności tunelu.

Nagle otoczyła ich kompletna ciemność. Kule przestały świstać w powietrzu. Pędzili po szynach i czuli, że tym razem się uda.

Za nimi w kopalni Mola Ram patrzył, jak znikają. W jego oczach pojawiła się furia.

– Ukradli kamienie Sankary. Musimy ich zatrzymać - wyszeptał.

## Rozdział IX.

### Na krawędzi

Pochodnie oświetlały drogę pędzącemu wagonikowi. Indy w porę dostrzegł miejsce, w którym tory rozdzielały się w dwóch kierunkach. Jeden prowadził z powrotem do kopalni, a drugi przed siebie. Podniósł szpadel z dna wagonika, wystawił go na zewnątrz i w ostatniej chwili przestawił zwrotnicę, która ze zgrzytem przerzuciła ich na tor prowadzący na zewnątrz.

Wjechali do kolejnej jaskini, gdzie tor rozdzielał się raz jeszcze. Zanim cokolwiek mogli zrobić, wagonik przeskoczył na prawy tor i popędził do tunelu.

Zaniepokojony Short Round odezwał się do Indy'ego:

– Nie, Indy, duży błąd. Lewy tunel.

Lecz było już za późno. Można było tylko trzymać się brzegów wagonika, który pędził w ciemnościach rozbrzmiewających echem jaskiń.

Zjeżdżali w dół, czasem tylko wagonik na krótko wspinał się do góry. Indiana miał wrażenie, że wjeżdżają coraz bardziej w głąb góry. Kiedy wystawiał głowę na ostrych zakrętach, wiatr owiewał mu twarz. Wciąż nabierali prędkości. Willie zwinęła się na dnie, z trudem łapiąc oddech. Short Round widział już kolejkę górską w kilku filmach, ale żadna nie była tak świetna jak ta. Może z wyjątkiem tej z *King Konga*, którą małpa wykoleiła na końcu filmu. Short Round nie bał się małp, nawet tak dużych jak King Kong. Urodził się w roku małpy, co potraktował jako znak, że jazda zakończy się szczęśliwie.

W kopalni Mola Ram organizował pościg. Strażnicy z karabinami wsiedli do dwóch wagoników i ruszyli do tunelu, którym odjechali niewierni.

Zatrzymał jednak trzeci wagonik. Jego niezawodny plan zniszczenia złodziei kamieni Sankary nie pozwalał mu przeznaczyć większej liczby wiernych strażników do bijatyki na torach.

Zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku dużej jaskini, gdzie wodospad spływał do krystalicznej czerni podziemnego jeziora.

Indy przymocował z przodu wagonika dźwignię hamulca, którą Willie wyrwała w czasie bójki i dociskał ją, gdy pędzili po torach, próbując zapanować nad prędkością. Mimo to raz czy dwa pokonali zakręt na dwóch kołach. Indy przykucnął, żeby obniżyć środek ciężkości i uniknąć wypadnięcia z szyn.

Short Round wyglądał znad tylnej burty wagonika. Sam przez połowę życia był złodziejem i oglądanie się za siebie w czasie ucieczki ze złodziejskim łupem stało się jego drugą naturą.

Willie nawet nie próbowała się wyprostować. Widziała, jak przelatują nad nimi poprzeczne belki podtrzymujące strop tunelu i dostrzegła, że po każdym zakręcie są coraz bliżej wagonika. Tunel robił się węższy.

Właśnie miała im to powiedzieć, gdy wagonik runął w dół. Wydawało się jej, że spadają pionowo, choć pewnie był to tylko wyjątkowo stromy odcinek. Rzuciło nimi o tylną ścianę wagonika, a Willie poczuła się, jakby jej żołądek pozostał gdzieś tam, na szczycie stoku.

Wjechali na poziomy odcinek torów. Indy powrócił do hamulca, a Shorty na swój posterunek obserwacyjny i po chwili jego roztropność została wynagrodzona.

Rozległ się odgłos strzału. Short Round zobaczył, jak wagonik z Thugami wyłania się zza zakrętu. Strażnicy zaczęli strzelać, kiedy wjechali na prostą.

Kule odbijały się od wagonika i ścian tunelu. Przykucnęli, chowając głowy, aż dotarli do następnego zakrętu. Wtedy Indy zawołał, przekrzykując łoskot pędzących kół.

– Shorty, chodź tu i złap hamulec!

– Zrozumiano, Indy!

Short Round skoczył na przód i złapał szaleńczo wibrującą dźwignię.

Indiana przesunął się do tyłu.

– Zwalniaj na zakrętach - krzyknął - bo wylecimy z szyn.

– Zrozumiano, Indy! - odkrzyknął chłopiec. Ciągnął dźwignię, napinając wszystkie mięśnie ramion. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Willie z przerażeniem zorientowała się, że Short Round jest rozbawiony wizją nadciągającej katastrofy. Jej gniew przerodził się w przerażenie i krzyknęła do niego:

– Mam nadzieję, że pójdzie ci z tym lepiej niż z prowadzeniem samochodu.

W jego uśmiechu pojawiło się szaleństwo.

– Proszę bardzo. Pani może wysiadać!

Jeszcze nie jest jego mamą.

Willie zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu.

Mola Ram poprowadził swój oddział do wodospadu, a ściśle rzecz biorąc, do olbrzymiej cysterny, w której zbierała się spadająca woda. Wielki żelazny gar spoczywał wsparty na precyzyjnej konstrukcji z drewna i skalnych odłamków.

Kapłan kazał swoim ludziom wziąć w ręce młoty.

Pierwszy ze ścigających ich wagoników zbliżał się coraz bardziej. Indy, Willie i Shorty przez większość czasu kucali w środku, bo kule karabinowe ze świstem wbijały się w bogate w rudę metalu ściany tunelu. Od czasu do czasu, gdy pokonywali zakręt, Short Round wychylał się, żeby chwycić za hamulec. Indy wychylał się, żeby oddać strzał. Zostało mu tylko sześć naboju, więc każdy strzał był bardzo dokładnie przemyślany.

Trafił jednego ze strzelców, lecz natychmiast zastąpił go inny. Wydawali się nie do powstrzymania i zbliżali się coraz bardziej.

Na następnym zakręcie Short Round uwiesił się z całej siły na hamulcu, który tarł o metalowe koło, wyrzucając snop iskier jak ogon komety.

Strop znowu zaczął się obniżać. Belki przelatywały nad ich głowami tak blisko, że Indy z trudem mógł wystawić głowę, żeby oddać strzał. Ostatnia kula ugrzęzła w drewnianej belce.

Jeden z Thugów usiadł, żeby dokładnie namierzyć cel i zmarł bohaterską śmiercią na posterunku. Uderzył głową w belkę podtrzymującą strop i wypadł z wagonika, który zrobił się lżejszy i zwiększył prędkość.

Indy przykucnął. Jego kolana dotknęły kolan Willie.

– Schowajcie się - krzyknął. - Zbliżają się.

Ludzie Moli Rama uderzali rytmicznie w kliny podtrzymujące cysternę. Nie poddawały się, przygniecione ciężarem kilku ton wody wypełniającej zbiornik. Jednak Mola Ram był spokojny. Z każdym uderzeniem przesuwały się, milimetr po milimetrze, aż w końcu ustąpią i cysterna przewróci się, a woda wyleje.

– Szybciej - rozkazał.

Rytm uderzeń młotów nabrał tempa.

Indy krzyknął do Short Round:

– Puść hamulec!

– Co? - krzyknął Shorty. Pędzili już z olbrzymią prędkością, jak pociąg na niemym filmie.

– Puść! Musimy im uciec.

– A zakręty? - rzuciła Willie.

– Do diabła z zakrętami.

Odciągnął Short Round od hamulca. Na zakręcie wagonik uniósł się na pół cala w powietrze i opadł na szyny z metalicznym brzękiem.

– Jedziemy za szybko! - krzyknęła Willie.

Pęd rzucał strażnikami o ściany wagonika i o mało nie wypadli z szyn. Wagonik Indy'ego wpadł w następny zakręt na dwóch kołach.

– Przesuńcie się na drugą stronę!

Skulili się w środku, jak najniżej, na dnie wagonika pokonującego zakręt.

Wagonik Thugów, tuż na nimi, również wszedł w zakręt z pełną prędkością. Jednak jego ładunek ważył więcej - wielcy mężczyźni i długie karabiny. Wypadli z szyn.

Wagonik poleciał na bok. Strażnicy wysunęli głowy znad burty i rozglądali się jak zaniepokojone pisklęta wyglądające z gniazda. Ich niepokój nie trwał długo. Uderzyli w kamienną ścianę z hukiem, który wstrząsnął skałą.

Wagonik Indy'ego pędził przed siebie z olbrzymią prędkością. Następny wagonik z Thugami wpadł na resztki rozbitego wózka i strażnicy zaczęli hamować, żeby uniknąć tego samego losu.

Indy uśmiechnął się radośnie.

– Jeden wypadł, został jeszcze jeden.

Strażnicy walili młotami w konstrukcję podpierającą olbrzymią cysternę. W końcu jeden ze skalnych odłamków pękł i rozsypał się.

Nad ich głowami cysterna poruszyła się odrobinę. Woda uderzyła o krawędź i chlapnęła na zewnątrz, gdy zbiornik skrzypiąc, przemieścił się i zastygł lekko przechylony.

Indiana dźwignął podkład kolejowy z dna wagonika. Oparł go o tylną burtę i gdy zamilkły strzały kolejnej salwy, wyrzucił go na szyny.

Przez kilka sekund podkład odbijał się o tory, na tyle długo, że ścigający ich strażnicy dojrżeli go i zdążyli krzyknąć, zanim uderzył w wagonik. Nic im się jednak nie stało. Podkład tylko odbił się, potoczył po torach i spadł jak wielki, bezużyteczny patyk.

Na twarzach strażników widać było radość. Indy poczuł rozpacz.

– Masz jeszcze jakieś pomysły? - zmartwiła się Willie. W zasadzie pogodziła się już z tym, że nie ujdzie z życiem. W ten sposób, być może, doczeka się przyjemnej niespodzianki. W każdym razie nie miała żadnego wpływu na rozwój sytuacji.

– Tak, skrót - odpowiedział Indy. Kiedy dotarli do zwrotnicy, rzucił się na bok i wagonik skręcił w boczny tunel. Chwilę później, ścigający ich wagonik pojechał w drugą stronę i zniknął.

– Żli ludzie odjechali - odezwał się Shorty bez przekonania. - Dokąd jadą?

To nie mogło być aż tak proste.

I nie było. Wagonik z Thugami wyjechał nagle z tunelu po równoległym torze, dokładnie obok nich.

Jeden ze strażników wystrzelił do nich z podskakującego wagonika, lecz chybił. Indy chwycił lufę karabinu i wyrwał mu go z rąk. Zamachnął się nim i uderzył strażnika kolbą w szczękę.

Inny strażnik chwycił Shorty'ego za rękę.

– Indy, pomocy!

Indy złapał go za drugą rękę. Przez chwilę przeciągali chłopca ku sobie, podczas gdy Willie dźgała strażników kolbą karabinu.

Indy zwyciężył w grze w przeciąganie i Shorty upadł na dno wagonika. W tym momencie strażnik przeskoczył na tył ich wagonika i chwycił Indy'ego.

Indiana obrócił się i odchylił. Napastnik otarł się ciałem o ścianę tunelu i Indy wyzwolił się z chwytu ogłuszonego strażnika. Kucnął i wstał nagle, uderzając go i wyrzucając z wagonika.

Odwrócił się, żeby pomóc Willie, która właśnie położyła strażnika ciosem kolby. Zanim jednak zrobił krok w jej kierunku, strażnik, którego wyrzucił na zewnątrz wspiał się do środka i uderzył go w głowę kawałkiem skały. Indy upadł.

Willie zareagowała natychmiast. Zamierzyła się i uderzyła strażnika w twarz prawym sierpowym. Strażnik spadł na tory. W końcu czas spędzony w Szanghaju nie był czasem zupełnie zmarnowanym.

Indy wstał na chwiejnych nogach.

– Mój błąd - uśmiechnął się.

Podowała mu kapelusz.

Strażnicy podnieśli karabiny. Ich wagonik został pięć jardów z tyłu.

– Schowajcie się! - krzyknął Indy. Zobaczył coś, co mogło im pomóc.

Chwycił szpadel, zamachnął się nim nad głową, na dźwignię otwierającą pojemnik z materiałem do załadunku i położył się na dnie.

Na obydwie wagoniki spadły skalne odłamki, ziemia i żwir. Większość wysypała się na wagonik z tyłu. Jeden ze strażników został rozgnieciony na miejscu, a ich wagonik wypadł z szyn. Zniknęli w chmurze skalnego pyłu, podczas gdy Indy, Willie i Short Round, posiniaczeni i brudni, mknęli dalej.



Wpadli do tunelu ze zwisającymi stalaktytami. Indy wystawił głowę, ale schował ją natychmiast. Wagonik przebił się przez skalne wyrostki, krusząc końce tych, które wisiały za nisko, i pomknął dalej, nie tracąc prędkości.

Tym razem Willie wystawiła głowę. I tym razem mogła najwyżej zamknąć oczy. Tor kończył się dwadzieścia stóp dalej.

Wpadli na przerwę w torach z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę. Na szczęście, dalej, pięć stóp niżej, tor zaczynał się znowu. Wagonik poszybował nad krawędzią, opadł z metalicznym hukiem na szyny i pomknął dalej.

Willie zachichotała. Wszystko może się zdarzyć.

Młoty biły miarowo. Pękły dwa następne kawałki skały, potem trzeci. Jak na zwolnionym filmie, olbrzymi gar zaczął się przechylać.

Rozległy się krzyki i strażnicy rozbiegli się, szukając bezpiecznego miejsca.

Mola Ram stał w oddali na podwyższeniu i przyglądał się. Sam hałas był nieprawdopodobny, jakby zagrzmiało wewnątrz ziemi, gdy olbrzymi pojemnik poruszył się i z hukiem przewrócił na bok.

Milion litrów wody popłynęło z ogłuszającym rykiem wszechogarniającą falą.

Do tuneli.

Ten odcinek torów biegł prosto. Strop tunelu był wysoko.

Indy uśmiechnął się z nonszalancją, którą Willie równocześnie uwielbiała i której nienawidziła.

– Hamuj, Shorty, hamuj - powiedział.

Short Round szkoda trochę było, że jazda już się kończy, ale domyślił się, że to jeszcze nie koniec. Spokojnie pociągnął za dźwignię hamulca.

Nie zadziałał.

Pociągnął raz jeszcze, mocniej.

Dźwignia została mu w rękach.

– O, wielki błąd - powiedział, patrząc szeroko otwartymi oczami.

Willie skinęła tylko głową.

– Zgadza się.

Zgadzało się również to, że jechali teraz długim odcinkiem, który zmierzał wyraźnie w dół.

Oczywiście wagonik przyspieszył.

Indy wychylił się, żeby sprawdzić, co się stało. Całe urządzenie rozpadło się na kawałki i nic już nie dociskało hamulca do koła. Indiana wsunął się z powrotem do wagonika.

Spojrzeni na siebie. W ich wzroku widać było, że doskonale wiedzą, co należy uczynić. Tyle przeszli już razem, że rozumieli się bez słów.

*Indiano Jonesie, niezły z ciebie facet. Szkoda, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach,* pomyślała Willie.

*Trzymajcie się razem, bo nie na wiele wam się zdałem,* pomyślał Indy.

*Jeżeli ta kobieta jest ostatnim skarbem, który znalazł Chao-pao, zanim mnie opuści, musi być naprawdę wspaniała. Lepiej ją zatrzymam,* pomyślał Shorty.

Willie i Shorty uścisnęli dłonie Indy'ego, po czym Indy wspiął się ponad burtą na przód pędzącego wagonika.

Pochylił się obrócony tyłem do kierunku jazdy. Willie i Short Round trzymali go za ramiona i kurtkę. Gdy zawisnął o kilka cali ponad torami, wsunął nogę pod wagonik, żeby docisnąć hamulec. Ziemia pod pędzącym wagonikiem zamieniła się w rozmazaną plamę. Stopa osunęła się, nogi spadły i zaczęły obijać się o podkłady, lecz Indy odzyskał chwyt, zanim wpadł pod żelazne koła.

Udało mu się oprzeć stopę o podwozie wagonika. Drugą stopą wymacał hamulec i powoli docisnął. Hamulec zaczął trzeć o obracające się koło.

– Jedziemy za szybko - powiedziała Willie z nieprzytomnym uśmiechem. Pociła się, a dłonie, z całych sił trzymające Indy'ego, chwycił skurcz.

Podniosła wzrok i jej uśmiech zamarł. Tory kończyły się pod ścianą zamykającą tunel.

Shorty również to zobaczył.

– Rozbijemy się! - krzyknął. Nie tak miała skończyć się ta jazda.

Indy obejrzał się. Tak jest. Zmierzali z olbrzymią prędkością ku ogromnej ścianie, a on pierwszy w nią uderzy.

Przycisnął stopę do hamulca z całą siłą, na jaką było go stać. Hamulec zajęczał, trąc o rozgniewane żelazo, puszczając snop iskier. Podeszwa buta rozgrzała się, ale Indiana skoncentrował się na zmuszeniu nogi do maksymalnego wysiłku, nie marnując energii na myślenie o ścianie i bólu.

Ściana zbliżała się.

Lecz wolniej. Indy stękał z wysiłku, a okładziny hamulca zaczęły dymić. Wagonik zwalniał, ściana zbliżała się. Indy cisnął ciężarem całego ciała. Wagonik zwalniał. Indy cisnął.

Wagonik zwolnił, przetoczył się delikatnie przez ostatnie jardy i zatrzymał, lekko dociskając plecy Indy'ego do ściany.

Indiana stanął na ziemi i odszedł parę kroków, kulejąc. But dymił.

– Wody - wychrypiał Indy.

Pozostali wysiedli z wagonika i stali na drżących nogach, uśmiechając się niepewnie.

Zobaczyli, że tunel ciągnie się nadal, trochę bardziej w lewo, już bez torów. Ruszyli więc przed siebie.

Milczeli, wciąż rozpamiętując to, co się wydarzyło.

Po chwili poczuli mocny powiew wiatru, a potem dobiegł ich dziwny pomruk, odbijający się echem o ściany tunelu za nimi. Skała zaczęła drżeć.

Poczuli niepokój.

Spojrzeni na siebie niepewnie, wzruszyli ramionami i przyspieszyli kroku. Indy był szczególnie zaniepokojony podmuchem wiatru. Tak głęboko pod ziemią wiatr nie powinien wiać tak mocno.

Hałas narastał. Spojrzeli do tyłu. Nic.

– Indy? - odezwała się Willie.

Na wszelki wypadek chwycił ją za rękę i zaczęli biec.

Pomruk wzrastał się. Ze stropu odpadały małe kawałki skały, a ziemia zaczęła drżeć. To przypomniało Short Round film o wulkanie, o którym chciał zapomnieć. Zastanawiał się, czy Pan Gromów jest o coś zły.

Ruszyli biegiem, szybko, choć nie wiedzieli, dlaczego. Jeszcze.

Hałas był teraz ogłuszający. Willie obejrzała się znowu. Nagle zwolniła i zatrzymała się. Zamarła w pół kroku, niedowierzając. Przerazona. Sparaliżowana nadciągającą zagładą.

Była to potworna wodna lawina, rozbijająca się o ściany tunelu daleko za nimi.

Ale nie dość daleko.

– O cholera - wyszeptała Willie.

Short Round i Indiana zatrzymali się, żeby sprawdzić, dlaczego się zatrzymała. Zamarli, wpatrzeni w nadciągający kataklizm, który zaraz miał ich pochłoniąć.

Wtedy Indy chwycił Willie i zaczęli biec.

Fala spływała z furją, z każdą sekundą zbliżając się z hukiem. Jej spieniony pysk niósł ze sobą gałęzy, zwierzęta wygarnięte z setek tuneli.

Nie uda im się.

A może, może ten mały boczny tunel za zakrętem...

– Tam! - Indy starał się przekrzyknąć ryk wody. - Do tunelu!

Skoczyli w kierunku otworu w ścianie. Short Round wskoczył pierwszy, Indy popchnął Willie i wskoczył za nią w ostatniej chwili. Za jego plecami, w głównym tunelu przetoczyła się potężna fala tsunami.

Wąski tunel opadał gwałtownie. Poślizgnęli się na urwisku, ochlapani wodą z małego, bocznego strumienia, który oddzielił się od głównego nurtu.

Zsunęli się szybem do większego tunelu. Shorty zachowywał się szczególnie bez troski.

– Fajnie było. Poczekaj, zrobię to jeszcze raz.

Indy złapał go za kołnierz, zanim zrobił krok i wskazał mu właściwy kierunek. *Skąd dzieci biorą takie pomysły?*, przemknęło mu przez głowę.

Ryk fali oddalił się. Zaczęli łapać oddech.

Willie zdawało się, że widzi światło przed nimi, na końcu tunelu. Waśnie miała im o tym powiedzieć, gdy dobiegł ich odgłos następnej eksplozji. Obrócili się i zobaczyli inną odnogę tej samej fali wdzierającej się z przerażającą siłą do tunelu.

Krzyknęli razem i ruszyli pędem w kierunku światła. Narastająca ściana wody ścigała ich bezlitośnie.

Popędzili do wyjścia z tunelu, a jezory wody podążały tuż za nimi. Wyszli na światło dzienne...

I zatrzymali się na krawędzi. Tunel wychodził ze skały w połowie jej wysokości. Pod nimi była pionowa ściana, schodząca do skalistego wąwozu trzysta jardów poniżej.

Machając ramionami, żeby utrzymać równowagę, zawiśli nad pustką na długą chwilę. Indy przesunął Willie na wąską półkę skalną po jednej stronie wyjścia z tunelu i popchnął Short Round za nią. Sam w ostatniej chwili

uskoczył na drugą stronę. Fala wody wystrzeliła między nimi ze skały, pchając przed sobą porwane szczątki. Podkłady kolejowe, beczki, wszelkiego rodzaju śmieci, a nawet wagonik mieszały się ze sobą w strumieniu wody.

Potężne gejzery wody tryskały z wielu innych tuneli kończących swój bieg w pionowej skale. Short Round i Willie z trudem utrzymywali równowagę na wąskiej półce. Indy stał uczepiony skał po przeciwnej stronie tryskającego strumienia.

Willie spojrzała w dół na chwilę, lecz zawrót głowy zmusił ją do odwrócenia wzroku. Woda spadała z hukiem do wąwozu. Wyrwane z popołudniowej drzemki krokodyle wiły się rozgniewane w płytkiej wodzie strumienia.

Indy rozejrzał się. Wąwóz miał szerokość może stu jardów. Urwista skarpa po drugiej stronie przechodziła w płaską równinę przypominającą drogę do domu, a przynajmniej tyle Indy mógł dojrzeć z tej odległości. I wtedy zobaczył most.

Był to wąski most linowy, kołyszący się między dwiema równinami. Po ich stronie most zaczynał się dwadzieścia stóp powyżej miejsca, gdzie stali Willie i Short Round, uczepieni skały. Indiana zawołał do nich, przekrzykując szum pędzącej wody.

– Willie, idź do mostu! - pokazał ręką ku górze.

Przeniosła wzrok z niego na most. Czy to się nigdy nie skończy?

– Nie ma sprawy - z zapalem zawołał Short Round. - Chodź za mną.

Przesunął się bokiem po wąskiej półce w kierunku skały wystającej nad wąwozem dokładnie pod mostem. Willie ruszyła za nim z ociąganiem. Kiedy znaleźli się pod mostem, zaczęli się wspinać.

Jak wiadomo, dwunastoletni chłopcy są mistrzami wspinaczki, a przypadek Shorty'ego był doskonałą tego ilustracją. Short Round skakał jak

kozica, wyszukując szczeliny i pęknięcia, jakby od stuleci czekały tam na niego. Willie była mniej sprawna w tej dziedzinie. Lecz była tancerką i, co więcej, od tego zależało jej życie, a poza tym, nie dotarłaby aż tutaj, gdyby oszczędzała stopy. Tak więc, podążała tuż za Shortym.

Indiana miał więcej problemów. Po pierwsze, nie odzyskał jeszcze czucia w stopie obolałej po hamowaniu wagonika. Po drugie, musiał wspiąć się po pionowej ścianie do góry, omijając kilka gejzerów wody tryskających ze skały pomiędzy nim a mostem. A skała była mokra, śliska, niebezpieczna.

Chwytał się rzadkiej roślinności i posuwał bokiem powoli, jak krab. Stopa bez czucia, jak i jego waga, niestety nie ułatwiały mu zadania.

Willie i Short Round podciągnęli się na most. Za nimi ciemny tunel wycięty w skale biegł do kopalni. Most linowy przed nimi wyglądał bardziej jak szyderstwo niż obietnica nadziei.

Spinał brzegi wąwozu jak resztki pajęczyny w babie lato. Miał przynajmniej sto lat i na pewno nie został zbudowany przez żołnierzy wojsk inżynieryjnych.

Między dwiema grubymi linami tworzącymi jego podstawę leżały setki spleśniałych deszczułek, nadjedzonych przez korniki. Między nimi były setki miejsc, gdzie deszczułek już nie było. Wąską kładkę podtrzymywały po obydwu stronach pionowe linki łączące się z dwiema cienkimi linami rozciągniętymi w poprzek wąwozu, służącymi za liche poręcze.

Willie zawahała się.

Nie należy jednak zapominać, że Short Round miał wielkie doświadczenie w pokonywaniu szanghajskich dachów, nie mówiąc już o poruszaniu się po sznurach z suszącym się praniem łączących okna domów po przeciwnych stronach ulicy. Tak więc nie zraził się widokiem mostu.

Ostrożnie stąpnął na deski. Trzymały. Obrócił się z uśmiechem do Willie.

– Łatwizna! Zabawa dla dzieci!

Nagle pękła deska pod jego nogami. A prawdę mówiąc, rozsypała się na drobne kawałki. Gdyby Willie nie wzięła takiej ewentualności pod uwagę, chłopiec stoczyłby się w otchłań. Chwyciła go za kark i wyciągnęła w bezpieczne miejsce.

Shorty zbladł i stracił pewność siebie, lecz nie było się dokąd cofnąć. Musieli iść przed siebie. Jeszcze raz wstąpił na niepewny most, koncentrując się na byciu bardziej jin niż jang. Tym razem deski wytrzymały. Po namyśle Willie ruszyła za nim. Wyobraziła sobie, że jest to indywidualny występ przed wielkim producentem, a więc nie ma tu miejsca na fałszywy ruch czy na powtórkę.

Posoli, krok po kroku, szli ponad wąwozem, ostrożnie przestępując nad spróchniałymi deskami i miejscami, gdzie ich brakowało. Trzymali się liny jak poręczy, bo most chwiał się na wietrze i podskakiwał w górę i w dół, rozhuśtany rytmem ich kroków. Short Round błagał Panią Wiatru, Feng-p'o, żeby poszła bawić się gdzie indziej.

Było to najdłuższe i najwolniejsze przejście, jakie Willie kiedykolwiek wykonała.

Za nimi Indy podciągnął się ze skały na most. Prawie wolny. Zatrzymał się na chwilę, łapiąc oddech. Zobaczył, że Willie i Short Round, ostrożnie i z wahaniem stawiający stopy, dotarli już do połowy mostu. Może powinien poczekać, aż znajdą się po drugiej stronie, żeby ciężar jego ciała nie rozchwiał mostu jeszcze bardziej.

Usłyszał za sobą kroki. Uskoczył na bok, wyciągając zza paska bicz. Z tunelu wybiegło dwóch Thugów.



Indy wystrzelił z biczka, owijając go wokół szyi jednego z nich. Strażnik upadł, zbijając z nóg drugiego. Gdy usiłował wstać, Indy kopnął go w głowę.

Drugi mężczyzna wstał, wywijając szablą. Indy skulił się i uderzył napastnika pięścią w brzuch. Nieprzytomny strażnik zgiął się w pół i Indy skoczył po jego broń. Potoczył się po ziemi, unikając uderzenia szablą z góry, zadany przez pierwszego z Thugów, który zdążył już przyjść do siebie. Podniósł się szybko i dwaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie, gotowi do pojedynku.

Indy nagle zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak posługiwać się szablą. Zważył w dłoni płaską, wygiętą klingę, machnął nią kilka razy, zastanawiając się nad najlepszym sposobem jej użycia, gdy rozgniewany Thug krzyknął i zaatakował.

Indy zrozumiał, że krzyk stanowi ważną część pojedynku, więc wydał z siebie głośny, nieartykułowany ryk i uniósł szablę, żeby odparować uderzenie napastnika.

Rozpoczął się pojedynek. Każdy brzęk metalu krzesał iskry. Thug robił krok do przodu, ciął i cofał się, i znów ruszał do natarcia. Indy bił szablą jak cepem i ruszał się, jakby był na boisku piłkarskim. Rzucił się i złapał przeciwnika w pasie. Upadli i potoczyli się, *corps a corps*, po skalistym zboczu.

Indy znalazł się na górze, gdy zatrzymali się w krzakach. Uderzył strażnika jeszcze raz metalowym ochroniaczem na dłoń u szabli i walka się skończyła.

Wstał i pobiegł do mostu, zatrzymując broń. Willie i Short Round byli już prawie po drugiej stronie. Indiana wszedł na kołyszący się most.

Szedł szybko, trzymając się lin obiema rękami. Po kilku krokach deski pod jego stopami pękły i musiał podciągnąć się, uwieszony lin. Patrzył więc

uważnie pod nogi. Kiedy był już pośrodku, dobiegł go krzyk. Podniósł wzrok i zobaczył strażników świątyni na końcu mostu.

Willie i Short Round zostali pochwyceni, gdy tylko postawili stopy na twardym gruncie. Ich próby wyrwania się były daremne. Przeciwników było zbyt wielu.

Indy zatrzymał się, nie wiedząc, co ma zrobić. Nagle Willie krzyknęła:

– Indy, uważaj. Za tobą.

Obrócił się i zobaczył, jak z tunelu wybiegają strażnicy. Spojrzał w drugą stronę. Thugowie, którzy pochwycili Willie i Shorty’ego, weszli na most.

Indiana stał bezradnie na środku kołyszącego się mostu. Strażnicy zbliżali się z obydwu stron. Pod nim był tylko skalisty wąwóz rojący się od krokodyli, a nad nim błękitne niebo.

Cóż, nie całkiem bezradnie. Ostatecznie był Indianą Jonesem.

Wiatr wzmógł się jak zły omen. Na końcu mostu pojawił się Mola Ram. Stał tam w kapłańskich szatach, uśmiechając się jak ktoś, kto zna wszystkie karty. Strażnicy obok niego mocno trzymali Willie i Short Round.

Indy chwiał się na moście podrzucanym podmuchami wiatru. Owijając się jedną z pionowych linek, krzyknął do Moli Rama:

– Wypuść ich!

Mola Ram krzyknął do swoich ludzi w hindi. Ruszyli w kierunku Indy’ego z obydwu końców mostu.

– Nie podchodźcie bliżej! - rozkazał Indiana.

– Pańska sytuacja nie pozwala na wydawanie rozkazów, doktorze Jones - odpowiedział kapłan.

Indy pokazał torbę na ramieniu.

– Chcesz dostać kamienie, to puść ich i odwołaj strażników, albo wyrzucę kamienie!

– Niech pan je wyrzuci, doktorze Jones - powiedział Mola Ram. -  
Znajdziemy je. A pana nikt nie będzie szukał!

Kapłan zawołał do swoich zbirów: *Yanne!* i machnął ręką. Strażnicy podeszli bliżej do szaleńca stojącego pośrodku kiwającego się mostu.

*Dlaczego wszystko jest takie trudne?*, pomyślał Indy. Bez ostrzeżenia zamachnął się szablą, rozcinając do połowy jedną z lin u podstawy mostu. Most zachwiał się gwałtownie. Częściowo rozcięta lina pękała nadal, włókno po włóknie. Strażnicy zatrzymali się.

Mola Ram kiwnął głową z podziwem.

– Robi wrażenie, doktorze Jones - pogratulował swemu przeciwnikowi -  
choć nie sądzę, żeby chciał pan się zabić.

Ponownie machnął dłonią. Jakkolwiek niechętnie, strażnicy ruszyli,  
zbliżając się do Indiany z obydwu stron.

Indy ciął ostrzem znowu, rozcinając dolną linę po przeciwnej stronie.  
Włókna częściowo rozciętej liny również pękały powoli, powoli, jak  
rytmiczne tykanie budzika z nastawionym alarmem.

Konstrukcja drgnęła, i znowu strażnicy zatrzymali się na moście  
kiwającym się w podmuchach wiatru.

Uśmiech Moli Rama zniknął. Wepchnął Willie i Short Round na most i  
wszedł za nimi, trzymając sztylet w wyciągniętej ręce. Przyłożył go do  
pleców Willie.

– Twoi przyjaciele zginą wraz z tobą - krzyknął.

Indiana spojrział na strażników po obydwu stronach. Spojrział na Willie i  
Short Round, którzy weszli na most na odległość dziesięciu stóp i na Mole  
Rama, który stał za nimi. Spojrział na ziemię; spojrział na niebo. I krzyknął  
głosem pełnym determinacji:

– W takim razie wszyscy przygotujcie się do skoku!

Spojrzenia Indy'ego i Short Round skrzyżowały się. Widać w nich było wspomnienia, pretensje, obietnice i jeden wyraźny komunikat: to już nie są żarty.

Willie również to dostrzegła. Spojrzała z żalem na Indy'ego: a mogło być tak pięknie. Z lękiem spojrzała na Short Round i zauważyła, że po cichu oplątuje stopę w luźną linkę. Przerażona, choć również podniecona, zrobiła to samo i jeszcze dodatkowo owinęła linką rękę.

Mola Ram ryknął ze złością:

– Daj mi kamienie!

– Zaraz spotkasz się z Kali w piekle! - odkrzyknął Indiana.

Machnął szablą i ostrze przecięło ze świstem powietrze, a potem rozcięło górną i dolną linkę po jednej stronie mostu.

Dwaj strażnicy spadli od razu i z krzykiem polecili na spotkanie śmierci. Reszta rzuciła się do panicznej ucieczki. Lecz Indy ciął po drugiej stronie, rozdzielając most na dwie części, które jakby zawisły w powietrzu na chwilę, a potem zaczęły opadać.

Strażnicy z okropnym wyciem spadli trzysta stóp na dno doliny. Wszyscy desperacko trzymali się resztek mostu, które opadały ku pionowej ścianie skalnej, lecz tylko niektórym się udało.

Ze strony, której trzymał się Indiana, trzech odpadło od razu. W chwili, gdy połówka mostu uderzyła o skałę, zostało ich tylko sześciu, trzymających się kurczowo cienkich lin i kruchych deszczulek: Mola Ram na górze, poniżej strażnik, potem Willie, Short Round i jeszcze jeden strażnik. A najniżej, wisząc w niebezpiecznej pozycji poza skalą wystającą ze ściany, Indiana.

Willie i Short Round trzymali się wiszącego teraz pionowo mostu. Przez kilka sekund nikt się nie poruszył. Dotarło do nich, że są wciąż wśród żywych, kołysząc się lekko, zastanawiali się, czy liny wytrzymają.

Mola Ram zaczął się wspinać. Dotarł już prawie do miejsca, gdzie umocowano liny mostu, gdy chwycił spróchniałą deskę, która pękła na dwie części. Osunął się o dziesięć stóp, zatrzymując się między Willie i Short Round. Spadając, zepchnął strażnika, który zniknął w otchłani wąwozu.

Drabina zaczęła się wahać. Nikt się nie poruszył.

Wtedy Indy ruszył do góry. Wspiął się obok strażnika, który zamknął oczy i z całych sił przywarł do drabiny, i chwycił Molę Rama za nogi, próbując strącić fanatycznego kapłana. Ram kopnął go w twarz i podjął wspinaczkę ku górze.

Indy ruszył za nim, znowu złapał go za stopę i mocno pociągnął. Mola Ram rozluźnił chwyt i osunął się na Indy'ego. Trzymając się kurczowo lin, dopadli się nawzajem, oszaleli z nienawiści. Rozpoczęła się walka.

Indy uderzył Rama głową w brodę. Ram kopnął Indy'ego kolanem, uderzył łokciem w szyję i sięgnął w kierunku klatki piersiowej.

Willie krzyknęła z góry:

– O Boże, Indy, zakryj serce!

Ogarnięty nagłym przerażeniem Indy zobaczył, jak ręka Moli Rama zaczyna zagłębiać się w jego pierś. Tak jak wtedy, w świątyni.

Chwycił nadgarstek Rama, z całych sił odpychając zagłębiającą się rękę. Lecz palce czarownika zaczęły powoli, złowrogo wciskać się w skórę, w ciało.

Ogarnęły go mdłości. Właściwie nie czuł bólu, miał tylko wrażenie gwałtu na samej istocie swego jestestwa. Nikczemnego, wszechogarniającego, mrozącego krew w żyłach. Na czoło wystąpił mu pot, przed oczami migotały opalizujące plamki. Zaczął tracić przytomność, prawie spadł.

Lecz wola przetrwania nie osłabła. Opanował się i odsunął wciskające się palce Rama od serca i odepchnął od swego ciała. Uderzył go w twarz odepchniętą ręką.

Rozzłoszczony kapłan znowu ruszył w górę, a Indy przez chwilę przychodził do siebie. Jednakże, Ram wspiął się tylko kilka stóp i zrównał się ze strażnikiem. Chwycił go za gardło, oderwał od lin i zrzucił na Indianę, próbując strącić go z chwiejącej się drabiny.

Willie i Shorty, już prawie na górze, krzyknęli razem:

– Indy, uważaj!

Spadający strażnik runął prosto na jego plecy. Indy przywarł do mostu z całych sił i nieszczęśnik odbił się i poleciał z krzykiem na spotkanie stwórcy.

Mola Ram roześmiał się.

Z drugiego brzegu wąwozu dobiegł go hałas i Indy dojrzał, jak z tunelu wybiega kilkunastu Thugów i zatrzymuje się na krawędzi urwiska.

Głos Moli Rama popłynął nad otchłanią:

– Zabijcie ich! Strzelajcie!

Thugowie pobiegli ścieżką do grupki drzew na równinie ponad miejscem, gdzie był most. Zdjęli luki, wyjęli strzały i zajęli pozycje strzeleckie.

Indy podciągnął się w górę i chwycił szatę kapłana. Wokół niego padały strzały, a jedna z nich utkwiała w szczelbu, którego się trzymał, i drasnęła go w rękę. Musiał puścić szatę Rama.

Mola Ram wykorzystał to, żeby wdrapać się kilka szczelbli wyżej. Jednakże tym razem Shorty i Willie byli gotowi. Deptali po jego dłoniach chwytających szczelbel, na którym stali.

Rozluźnił chwyt i spadł.

Spadł na Indy'ego, strącając go z drabiny. Zsunęli się obydwaj o dziesięć stóp, zanim udało im się złapać za jeden z ostatnich szczebli.

Indy wisiał, trzymając się tylko rękami. Ram nie marnował czasu na walkę z niewiernym. Kapłańska posługa nie przygotowała go do takich akrobacji i poczuł zmęczenie. Chciał tylko dostać się w bezpieczne miejsce.

Wsparł stopę na głowie Indiany i ponownie rozpoczął wspinaczkę.

Shorty dotarł w końcu na górę. Podciągnął się na skalistą ziemię, obrócił i pomógł Willie. Leżeli przez chwilę, ciężko dysząc, obejmując ziemię, a wokół nich roiło się od przelatujących strzał. Na szczęście wszyscy strażnicy po tej stronie wąwozu spadli w otchłań, więc, przynajmniej na razie, ich jedynym zmartwieniem było nie dać się postrzelić.

Strzały nie były jedynym problemem Indiany. Znowu zaczął się wspinać, gdy nagle chwycił go kurcz w zranionej ręce. Objął szczebel ramieniem i przez kilka sekund wisiał, kiwając się na wietrze. Co za zawód sobie wybrałem, pomyślał.

Ogarnęło go zniechęcenie. Łucznicy po drugiej stronie wąwozu zasypywali go gradem strzał. Spojrzał w dół. Spomiędzy włókien wystrzępionej liny wypadła kolejna deszczułka i poleciała w dół, obracając się na wietrze jak fragment śmigła. Minęło dużo czasu, zanim zakończyła swój spiralny lot u stóp skalnej ściany.

Zdeterminowany Indiana podjął wspinaczkę.

Mola Ram dotarł na szczyt. Sięgnął ręką ponad krawędzią, szukając oparcia, lecz Willie zmiażdżyła mu palce najbardziej nieprzyjemnie wyglądającą skałą, jaką mogła znaleźć.

Kapłan zawył z bólu i osunął się bezwładnie w dół, spadając z impetem na Indianę. Dopadli się nawzajem, zadając ciosy, walcząc, kręcąc się w pustce.

Bezsilni Short Round i Willie obserwowali walkę z krawędzi wąwozu. Shorty usłyszał hałas dobiegający z daleka gdzieś po prawej. Napiął mięśnie, gotów do walki lub ucieczki.

– Willie, patrz! - krzyknął.

Jej oczy podążyły za jego wzrokiem. Zobaczyła konie galopujące w ich kierunku wąską przełęczą. Wracała brytyjska kawaleria.

– Nareszcie. W samą porę - powiedział, gotując się ze złości.

Żołnierze kapitana Blumburtt'a zatrzymali konie, zsiadając w pośpiechu. Grad strzał zmusił ich do ukrycia się, lecz natychmiast wymierzili długie karabiny w Thugów po drugiej stronie wąwozu i odpowiedzieli ogniem.

Willie i Short Round podczołgali się do krawędzi z nadzieją, że będą mogli jakoś pomóc Indy'emu.

Na dole trwała walka na śmierć i życie. Mężczyźni zdawali się nie zwracać uwagi na nadlatujące strzały i niebezpiecznie kołyszące się liny. Każdy z nich chciał tylko śmierci przeciwnika.

Indy okładał kapłana z całych sił. Ram drapał go po twarzy, chcąc wyłupić mu oczy. Torba ze świętymi kamieniami zsunęła się z ramienia Indiany. Złapał ją za pasek, lecz Mola Ram przypomniał sobie o skarbie i chwycił ją.

– Nie, kamienie są moje! - krzyknął.

– Zdradziłeś Sziwę - wykrzyknął Indy ze wściekłością. Przysunął twarz do twarzy Moli Rama i powtarzał bez końca ostrzeżenie Sankary w hindi. - *Shwe ke vishwas kate ho. Vishwas kate ho. Vishwas kate ho.*

I wtedy stało się coś zadziwiającego. Gdy Indy powtarzał magiczne słowa, kamienie zaczęły świecić we wnętrzu torby.

Ich jasne światło poraziło oczy i przepaliło materiał. Kamienie zaczęły wysuwać się z torby.

Zrozpaczony Mola Ram sięgnął po nie.



Indy powtarzał zaklęcie:

– *Vishwas kate ho. Vishtvas kate ho.*

Ram złapał jeden z kamieni, lecz intensywne gorąco sparzyło mu dłoń. Puścił kamień, a druga ręka rozluźniła chwyt. Indy złapał promieniujący kamień, lecz w jego ręce był on chłodny.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Mola Ram wyglądał, jakby ocknął się z koszmaru. Choć sam niewiele pamiętał, Indy wiedział, że wspomnienia jego własnego koszmaru będą prześladować go do końca życia. Nagle opadła go fala współczucia dla Moli Rama, zawieszzonego między świadomością dwóch światów, bez przyszłości i z pamięcią przeszłości pełną zgrozy.

Palila go sparzona dłoń. Kapłan odchylił się do tyłu, pękł szczebel, obsunęła się stopa. Odpadł od ściany i poszybował w dół w rozwianych szatach jak latawiec, który zerwał się z uwięzi, aż w końcu rozbił się o sterczące skały na dnie wąwozu.

Krokodyle natychmiast rozszarpały martwe ciało. Ich głód nie znalazł uczucia odrazy.

Dwa kamienie Sankary wpadły do płytkiej wody, zniknęły w nieprzeniknionej toni i nurt rzeki pociągnął je ze sobą. Dokądś.

I został tylko jeden.

Ostatni kamień Sankary zgasł i Indy schował go do kieszeni. Wspiął się po szczęblach mostu na szczyt, gdzie Willie, Shorty i Blumburt wyciągnęli go ponad krawędzią.

Na drugim brzegu wąwozu brytyjscy żołnierze wybiegli z kopalnianych tuneli i złamali opór Thugów. Za nimi pojawił się młody maharadza. Zobaczył Short Round stojącego koło Indy'ego i ukłonił się do nich ponad otchłanią, dziękując Shorty'emu za wybawienie z mrocznych koszmarów własnej duszy.

Short Round pomachał czapką w stronę maharadży w podzięcie za sprowadzenie żołnierzy.

Willie stała na krawędzi wąwozu, patrząc na rzekę poniżej.

– A więc Mola Ram dostał to, na czym mu tak zależało.

– Niezupełnie - odpowiedział Indy. Wyjął cenny przedmiot z kieszeni. -  
Oto ostatni kamień Sankary.

Willie wzięła go ostrożnie i podniosła ku słońcu. Kamień zaiskrzył się i zaświecił w środku, jak istota z wnętrza ziemi o tajemnym sercu.

Na chwilę podzielił się z nimi swą tajemnicą.

Zatrzymali się na kilka dni w pałacu, żeby odpocząć. Żołnierze odnaleźli wiele dzieci wciąż ukrywających się w okolicznych lasach, nakarmili je i opatrzyli rany. Kiedy nabrały sił do podróży, Blumburt wyznaczył mały oddział, który wraz z Willie, Indym i Shortym miał zabrać je do domu.

Short Round czuł się jak Król Dzieci. Spędzał z nimi czas jak troskliwy ojciec.

Uczył je, że nie wolno kraść, tak jak Mola Ram ukradł je ich rodzicom.

Uczył je, żeby zawsze trzymać Gwiazdy Szczęścia, Godności i Długowieczności blisko serca.

Uczył je, za pomocą patyków i owoców, jak miotać i odbijać piłkę.

Uczył je, jak odróżnić mumie od wampirów, jak podrzucić monetę i jak wyglądać na twardziela, nie przestając być łagodnym.

Odsyłał je do Willie na seminaria, jak przyćmić męski umysł.

Uczył ich imion wszystkich ważnych bóstw, które zawsze wysłuchiwały jego modlitw, choć do tej pory Short Round poczynił tak wiele obietnic tak wielu bogom, że wątpił, czy którykolwiek z nich jeszcze kiedykolwiek mu odpowie.

Indy jednak odpowiedział; Indy tu jest i jadą do Ameryki.

Willie była oszołomiona. Nigdy jeszcze nic takiego się jej nie przydarzyło. Teraz, kiedy było już po wszystkim, nie mogła w to uwierzyć. Wciąż dotykała drzew, dotykała Short Round, dotykała Indy'ego, żeby upewnić się, że to prawda, że to nie jest sen. Lecz nadal nie była do końca pewna.

Indy był trochę rozgoryczony stratą dwóch kamieni Sankary. Miał je przecież w rękach! Ale został jeden i należy do niego, przynajmniej na razie. Poza tym, dzieci są wolne, a to jest najważniejsze. No i Thugowie zostali rozbici.

Dwa dni później żołnierze pozostawili grupę dzieci koło wioski Mayapore i podążyli dalej, żeby odprowadzić do domu pozostałe.

Indiana i jego towarzysze weszli piaszczystą drogą do Mayapore. Za nimi szły dzieci z wioski. Z zaskoczeniem przyglądali się okolicy. Jałowa ziemia odradzała się.

Drzewa pokryte pąkami stały nad strumieniami, w których płynęła czysta, życiodajna woda. Kwitły kwiaty, a brązowe wzgórza zazieleniły się. Wieśniacy uprawiali pola.

W wiosce ludzie naprawiali proste domostwa. Na ścianach zawisły piękne gobeliny, a mieszkańcy doglądali swoich spraw z energią, która udzieliła się ziemi.

Wieśniacy powitali ich powrót okrzykami radości. Porzucili swe zajęcia i wybiegli naprzeciw dzieciom, które rzuciły się z radością na ich spotkanie.

Były łzy i śmiech, i okrzyki wdzięczności. Szaman podszedł do Indiany i skłonił się, dotykając dłońmi czoła. Trójka podróżników pozdrowiła go tym samym gestem.

Bardzo wzruszony odezwał się do Indy'ego:

– Wiedzieliśmy, że wracacie - gestem wskazał na okolicę - kiedy życie wróciło do wioski.

Willie skinęła głową.

– Pierwszy raz widzę cud.

Bo to był cud, po prostu. Uśmiechała się radośnie. Cuda nie tylko są możliwe, cuda czasem się zdarzają.

Szaman uśmiechnął się.

– Teraz widzicie magię kamienia, który przynosicie.

Indy wyjął kamień z kieszeni i rozwinął z kawałka płótna Sankary, który zachował.

– Tak, widziałem jego moc.

Szaman z szacunkiem wziął kamień od Indy'ego i skłonił im się znowu, po czym odszedł wraz ze starszyzną wioski ku świętemu ołtarzowi. Willie, Indy i Short Round zostali z tyłu.

Szaman uklęknął przed ołtarzykiem, umieścił kamień Sankary w niszy i zaintonował:

– *Om sivaya namah om...*

Indy i Willie odeszli na bok.

– Mogłeś go zatrzymać - powiedziała do niego.

– Po co? Żeby leżał w muzeum, obrastając kurzem?

– Zdobyłbyś sławę i pieniądze.

Indy wzruszył ramionami i uśmiechnął się przebiegle.

– Do Delhi kawał drogi. Jeszcze wszystko może się zdarzyć.

Spojrzała na niego, jakby zwariował.

– O nie. Nie, dziękuję. Mam dosyć przygód, doktorze Jones.

– Kochanie, przecież świetnie się bawiliśmy...

Poczuła jak narasta w niej wielka, purpurowa chmura gniewu. Zwariował, czy co? Cudem uniknęli śmierci. Nie wystarczy? Poczuła, jak gardło ściska jej gniew i bezsilna złość.

– Jeżeli myślisz, że pojedę z tobą do Delhi albo gdziekolwiek indziej po tym wszystkim, co przez ciebie przeszłam, to bardzo się mylisz - zaczęła się rozkręcać. - Jadę do domu, do Missouri, gdzie nie karmią cię węzami, nie wrywają serca i nie wrzucają do płonącej dziury. To nie był mój ideał rozrywki. *Żadnych wszystko może się zdarzyć!* Już nigdy...

Przerwała, zanim piana wściekłości wystąpiła jej na usta, obróciła się i podeszła do wieśniaka niosącego zawiniątko na plecach.

– Przepraszam pana - zawołała. - Szukam przewodnika do Delhi. Świetnie jeżdżę na słońiu.

Bicz wystrzelił, owijając się wokół jej talii. Indy pociągnął ją stanowczo, choć delikatnie, w swe ramiona.

Stawiała opór tylko przez chwilę. Nie ma sensu opierać się karmie. To było im pisane od chwili, gdy wszedł do klubu, a ich los został przypieczętowany, kiedy pierwszy raz spojrzeli sobie w oczy.

Pocałowali się.

Był to ciepły, czuły pocałunek, hojny jak letni deszcz.

Spłynął na nich gęsty deszcz wody. Odskoczyli od siebie i podnieśli wzrok. Short Round siedział na grzbiecie słońiatka, które z radością lało na nich wodę z trąby.

Short Round roześmiał się. Indy i Willie roześmiali się również. Nawet słońiatko się śmiało.

– Bardzo śmieszne! - powiedział Short Round. - Bardzo śmieszny, wielki żart!

W końcu dotarli do Ameryki. Ale to już zupełnie inna historia.

ROB MAC GREGOR

*INDIANA JONES*

I OSTATNIA KRUCJATA  
(INDIANA JONES AND THE LAST CRUSADE)

Tłumaczenie: Beata Misiek



Wydawnictwo  
Dolnośląskie

Wydawnictwo Dolnośląskie: 2008

# Rozdział I.

## Pustynny pościg

*UTAH, 1912*

Oddział mknął przez pustynię, konie grzmociły kopytami o ziemię, wznosząc za sobą chmurę pyłu. Gnali jak burza, jakby chcieli uciec przed słońcem, które wzniosło się już ponad szczyt piaszczystej góry. Nadchodziła pora najgorszego upału - promienie paliły ziemię i wkrótce pustynia miała się zamienić w rozżarzoną patelnię.

Przed nimi wyłoniła się formacja skalna, pod którą znajdował się labirynt jaskiń. Umundurowani jeźdźcy na znak dowódcy wstrzymali konie.

– Zsiadać - krzyknął.

Jeździec z szopą słomianych włosów zsiadł pierwszy. Przyjrzał się pozostałym członkom załogi. Z daleka, pomyślał, może i wyglądali jak prawdziwa kompania kawalerii. Z bliska jednak, choćby nie wiem jak starał się wyobrazić ich sobie jako żołnierzy, niewiele by z tego wyszło. Było jasne jak słońce, że to tylko drużyna skautów. Nie licząc pana Havelocka, żaden z nich nie miał więcej niż trzynaście lat.

Spojrzał na pulchnego dzieciaka, zsiadającego niezgrabnie z konia. Wiedział, że ma na imię Herman, ale nie znał go prawie wcale. Słyszał kilka razy od innych małych, że ma jakieś problemy w domu. Nie był pewien, o jakie problemy chodziło wtedy, ale było oczywiste, że i teraz młody nie ma się za dobrze - zgiął się bowiem w pół i zachwiał, jakby za chwilę miał zaryć twarzą w ziemię. W końcu udało mu się utrzymać równowagę i podpierając dłońmi kolana, pochylił się i puścił pawia.

Wszyscy jak jeden mąż wybuchnęli śmiechem. Tręcali się łokciami, wyciągając palce w stronę tego, pożał się Boże, skauta.

– Herman ma chorobę końską! - krzyknął któryś.

– No! I do tego zmoczył siodło - zawył radośnie inny.

Jasnowłosy skaut w mundurze przepasanym plecionym pasem Indian Hopi podszedł do Hermana i spytał, czy wszystko w porządku. Na jego twarzy malował się wyraz troski i zrozumienia bez cienia drwiny. Było oczywiste, że jest bardziej dojrzały od pozostałych i nikt nie ośmielił się powiedzieć słowa, gdy pomógł Hermanowi wstać i poprowadził go za sobą.

Pan Havelock krzyknął na chłopców, by poprowadzili wierzchowce między skały i zostawili je w cieniu masywnego głazu. Chłopcy skupili się wokół komendanta, który wyjaśniał, że jaskinie, ukształtowane przez naturę, służyły kiedyś za domy pierwotnym ludziom. Krążyła legenda, że grotty eksplorowali hiszpańscy konkwistadorzy, było też powszechnie wiadomo, iż w poprzednim wieku górnicy przekopali dodatkowe tunele w poszukiwaniu złota.

– Teraz idziemy razem, nikt się nie oddala. Niektóre korytarze są długie na kilometry.

Kiedy drużyna ruszyła w ślad za komendantem, skauci zaczęli szemrać pod nosem.

– Dobrze by było - powiedział któryś.

– No, dzisiaj przyjeżdża cyrk - mruknął inny - Moglibyśmy zobaczyć, jak rozbijają namioty.

Wspinali się stromym szlakiem prowadzącym wśród skał. Było gorąco i duszno od pyłu. Wszyscy byli zbyt zajęci wspinaczką, by zwracać uwagę na Hermana i jasnowłosego, zamykających szereg.

Po chwili wchodzili do jaskini. Było zimno i ciemno, chłopcy zaczęli narzekać, że nic nie widać. Pan Havelock zaświecił lampę i zapewnił, że



wkrótce ich wzrok przyzwyczai się do ciemności. Szli dalej utartym szlakiem.

Jasnowłosa, choć szedł na samym końcu, zachowywał największą czujność. Zdawało się, że niemal wyczuwa w tym miejscu obecność starożytnych mieszkańców. Kiedy grupa zniknęła za rogiem, nagle ścisnął mocno ramię Hermana.

– Ććć! Posłuchaj!

Herman wstrzymał oddech. Rozejrzył się niepewnie dookoła, zastanawiając się, co przykuło uwagę jego nowego przyjaciela.

Od szlaku, którym podążali, odbijała w bok ścieżka i z głębi ciemnego korytarza dało się słyszeć jakieś głosy - stłumione, ale niewątpliwie coś się tam działo. Jasnowłosa dał znak Hermanowi, żeby poszedł za nim.

– Chodźmy. Rzucimy okiem.

Herman spojrział w stronę, gdzie zniknęła reszta drużyny. Sprawiał wrażenie, że nie bardzo wie, co powinien zrobić w tej sytuacji, ale w końcu powziął męską decyzję i ruszył za swoim przewodnikiem.

– *Okay*, Junior, idę.

Pajęczyny wplątywały im się we włosy. Ten korytarz był ciemniejszy od poprzedniego i panował w nim większy chłód - z pewnością nie był często używany.

– Dokąd idziemy? - zawołał Herman.

Jasnowłosa - Junior - odwrócił się i położył palec na ustach. Głosy stały się wyraźniejsze. Ściany przed nimi rozjaśniły się nagle; roztańczyły się na nich upiorne cienie. Chłopcy przywarli do ściany. Wstrzymali oddech i przeciskali się dalej.

Wtem Junior dostrzegł cztery postacie kopiące w ziemi łopatami i kilofami. Wiedział od razu, że nie są żadnymi duchami. Był pewien, że to

złodzieje i wiedział, co robią. Jak mówiła legenda, Hiszpanie zakopali tu skarb.

Jego ojciec był naukowcem - specjalistą od średniowiecza - i wykładał na uniwersytecie. Znał dobrze tę legendę, wiedział też wiele innych rzeczy.

Chłopiec próbował namówić ojca, żeby wybrał się z nimi dzisiaj i opowiedział skautom o jaskiniach i ludziach, którzy zamieszkiwali je przed wiekami. Ale, jak zwykle, ojciec był zbyt zajęty, żeby poświęcać czas paru dzieciakom. Poza tym oświadczył, że archeologia Ameryki Północnej nie stanowi obiektu jego badań.

Junior wpatrywał się w cztery męskie sylwetki, starając się zaobserwować jak najwięcej. Jedna z nich była mniejsza od pozostałych i po chwili dotarło do niego, że właściwie nie jest to mężczyzna, jak z początku myślał. To był dzieciak, niewiele starszy od nich. Ale wyglądał na twardziela.

– Roscoe, unieś latarkę - rzucił w jego stronę jeden z mężczyzn.

Ten, który to powiedział nosił skórzaną kurtkę z frędzlami, kapelusz z rondem wywiniętym z jednej strony i wyglądał jak członek załogi Narowistych Jeźdźców. Człowiek stojący obok Roscoe miał gęste czarne włosy opadające kaskadą na plecy. Indianin. Nie. Mieszaniec.

Ostatni stał najdalej, w cieniu. Miał na sobie krótką skórzaną kurtkę i brązowy filcowy kapelusz typu fedora.

Junior bezszelestnie podszedł jeszcze kilka kroków, żeby lepiej widzieć. Dał znak Hermanowi. Usłyszał, jak tamten głośno chwyta powietrze i odwrócił się, by go uciszyć. Herman stał z otwartymi ustami, pot lał się z jego czoła strumieniem.

*Mam nadzieję, że nie będzie znów rzygał. Nie teraz.*

Herman potknął się na obluzowanym kamieniu. Rozległ się cichy, chrzęszczący dźwięk i chłopiec oparł się z hałasem o ścianę, by odzyskać

równowagę.

Junior kucnął i schylił się najniżej, jak mógł, starając się zniknąć w cieniu. Herman poszedł jego śladem.

– Przepraszam - wyszeptał.

Junior skrzywił się i uciszył go gestem dłoni.

Ten od Fedory odwrócił się powoli, podniósł lampę i popatrzył w ich stronę. Ujrzeni po raz pierwszy jego twarz.

– Zdaje mi się, że coś słyszałem - mruknął i odwrócił się ponownie.

Chłopcy byli jednocześnie przerażeni i urzeczeni tym, co zobaczyli. Patrzyli w napięciu, jak Fedora oblewa wodą z naczynia jakiś oblepiony błotem przedmiot. W świetle lampy Junior zdołał dostrzec, że jest to złoty krzyż wysadzany drogimi kamieniami.

Kumple Fedory podeszli bliżej i schylili się nad zdobyczą.

– Patrzcie! Jesteśmy bogaci! - wrzasnął Roscoe.

– Zamknij gębę. Ciszej - skarcił go Mieszaniec.

– Spokojnie. Już niedługo. To małe cacuszko przyniesie nam kupę forsy - wychrypiął Narowisty.

Fedora obracał krzyż w dłoni, delektując się w milczeniu jego pięknem i szacując jego wartość. Ten facet w jakiś sposób odstawa! od pozostałych, był jakby z innej bajki.

Junior dotknął ramienia Hermana, nie mogąc powstrzymać na wodzy podniecenia zmieszanego z niepokojem.

– To Krzyż Coronada! - wyszeptał. - Hernando Cortes podarował mu go w 1520 roku. To dowód, że Cortes wysłał Francisca Coronada na poszukiwanie Siedmiu Złotych Miast.

Herman spojrzał zdumiony.

– Skąd wiesz te wszystkie rzeczy, Junior?

Junior odwrócił wzrok w stronę poszukiwaczy skarbów i przyglądał im się dłuższą chwilę.

– Ten krzyż to ważny artefakt. Jest własnością muzeum. Poza tym, bądź tak łaskaw i nie nazywaj mnie Juniorem.

– Kiedy tak mówisz do ciebie pan Havelock.

– Mam na imię Indy.

Nienawidził, gdy mówiono na niego Junior. Czuł się wtedy jak dzieciak w krótkich majteczkach. Ale ojciec nie brał na poważnie jego próśb.

Patrzyli jeszcze przez chwilę. Indy spoważniał, zbierając myśli, aż w końcu podjął decyzję. Zwrócił się do Hermana:

– Słuchaj, leć i poszukaj pozostałych. Powiedz panu Havelockowi, że jacyś ludzie plądrują hiszpańskie skarby. Niech przyprowadzi szeryfa.

Herman zdawał się nie słuchać. Poruszał ustami, ale nie wydobywało się z nich żadne słowo - patrzył z grozą w oczach na węża pełzającego po jego nodze.

– To tylko wąż - powiedział Indy, jak gdyby nigdy nic biorąc gada do ręki i odrzucając go na bok. - Słyszałeś, co powiedziałem? To ważne.

– Tak. Lecę. Do pana Havelocka. Po szeryfa - Herman przytaknął skwapliwie i spojrzał jeszcze raz w stronę tamtych ludzi. - Co masz zamiar zrobić, Jun...Indy?

– Nie wiem. Coś wymyślę. Lepiej już idź.

Herman rzucił się pędem z powrotem wzdłuż korytarza, a Indy znów skupił się na złodziejach. Odłożyli na bok krzyż, zajęci poszukiwaniem kolejnych skarbów. Powoli, przywierając do ściany, Indy przesuwiał się w ich stronę, aż znalazł się na wyciągnięcie ręki od krzyża. Choć zaśnieżony i pokryty błotem, był dobrze widoczny - w świetle lampy klejnoty jarzyły się ognistym blaskiem.

Sięgnął po krzyż i wtedy spostrzegł siedzącego na nim skorpiona. Próbował go strząsnąć, ale śmierniczące stworzenie wydawało się przyklejone. Zaklął z cicha, wciąż potrząsając ręką. Skorpion odpadł w końcu, ale ten czas wystarczył, by zwrócić na siebie uwagę.

Złodzieje odwrócili się w jednym momencie i zauważyli go.

– Hej, to nie twoje! - wrzasnął Roscoe. - On kradnie naszą zdobycz!

– Brać go - krzyknął Mieszaniec.

Indy rzucił się do ucieczki, serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Odwrócił się za siebie i akurat w tym momencie jeden ze złodziei potknął się i przewrócił, a reszta wpadła na niego, również tracąc równowagę. Indy zatrzymał się, gdy dotarł do komina wyrąbanego w suficie przez poszukiwaczy złota. Blade promienie światła przezierały przez otwór, z którego zwisała lina kończąca się kilka stóp nad jego głową. Obejrzał się za siebie w nadziei, że może mu odpuszczą, ale nic z tego. Zobaczył, jak Fedora posyła swoim kompanom zdeglustowane spojrzenie i sam rzuca się za nim w pościg.

A niech to! Zatknął krzyż za pas i wyskoczył w górę, próbując dosięgnąć liny. Bez skutku. Spróbował raz jeszcze, w końcu pochwycił sznur jedną ręką, potem drugą. Wspinał się z wysiłkiem, opierając stopy o ścianę. Zobaczył, że Fedora i pozostali pobiegli dalej i poczuł głęboką ulgę. Miał chwilę czasu. Zaraz jednak poczuł szarpnięcie liny i spojrzał w dół. Fedora zawrócił i zręcznie wspinał się za nim po sznurze.

*Gdyby tylko był tu mój ojciec*, pomyślał Indy, zbierając wszystkie siły. Wiedziałby, jak załatwić tych gości. Wyobraził sobie ojca, wznoszącego oskarżycielsko palec w górę i złodziei cofających się ze strachem przed tym karzącym gestem. Tak, on na pewno zrobiłby coś takiego.

Rozjaśniło się i Indy w końcu znalazł się na szczycie. Dyszał z wysiłku, wyczołgując się przez komin w jaskrawe światło dnia. Oślonił oczy przed

słońcem, chwytając oddech. Rozejrzał się na wszystkie strony i stwierdził, że stoi na wysokim głazie niedaleko miejsca, przez które dostali się wcześniej do jaskini.

– Herman! Panie Havelock! Hej, niech ktoś się odezwie! Gdzie jesteście! - Pokręcił głową. - Cholera, wszyscy się zgubili oprócz mnie.

– Tu jesteśmy, mały.

Indy odwrócił się i ujrzał Narowistego, Mieszkańca i Roscoe, wspinających się skalistą ścieżką w jego stronę. Pobiegnął na skraj skały i zobaczył wiszącą drabinkę. Zamiast zejść w dół, szybko oszacował odległość dzielącą go od następnego głazu. Wszedł na drabinkę i odepchnął się, pokonując w ten sposób dystans.

Złodzieje dotarli na skraj urwiska i zatrzymali się jak wryci. Rozglądali się wkoło, skonsternowani, zastanawiając się, jak go schwytać.

Tymczasem Indy przedostał się na koniec kolejnego płaskowyzu, ale teraz nie wiedział, co zrobić dalej. Tym razem nie było żadnej drabinki, a przepaść miała jakieś dwadzieścia stóp głębokości. Wtedy zauważył ukryte w cieniu konie, pozostawione tam przez skautów. Przyłożył dwa palce do ust i zagwizdał na swego rumaka. Wierzchowiec potrząsnął grzywą i puścił się kłusem w jego stronę.

Indy spojrział za siebie i zobaczył, jak Fedora prześciga swoich kompanów i skacze. Kiedy był już po drugiej stronie rozpadliny, zatrzymał się i odwrócił, patrząc z wyraźną pogardą na pozostałych. Pokręcił głową i popchnął w ich kierunku drabinkę.

Indy ugiął nogi, przygotowując się do skoku, jednak koń nie chciał stanąć nieruchomo. Zawahał się, ale usłyszał tuż za sobą kroki.

– Stój, malutki - błagał. - Nie ruszaj się, dobry konik.

Rzucił się w dół, ale w tym momencie koń uskoczył w bok i Indy nie trafił w siodło. Wylądował na nogach i zwinął się, by złagodzić upadek.

Uderzenie wstrząsnęło jego ciałem od stóp do głów. Krzyż wypadł mu i zapadł się piach. Odkopał go, schował w torbie przy siodle i wsiadł na konia.

Ruszył galopem do ucieczki. Gdy się odwrócił, zobaczył Fedorę patrzącego w jego stronę ze skraju skały. Uśmiechnął się i popędził konia. Musiał dostać się do szeryfa najszybciej, jak to możliwe, żeby złodzieje nie zdążyli zwiać.

Fedora zagwizdał na palcach. Żaden z koni nie poruszył się. Za to z sąsiedniej skały wypadły z rykiem dwa samochody. Jeden z nich - kabriolet - obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i zahamował gwałtownie u stóp Fedory, który natychmiast odbił się od skały i skoczył w chmurę pyłu. Gdy opadł kurz, samochód ruszył. Fedora usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu.

Poprawił w geście zadowolenia kapelusz i wrzasnął:

– Gazu!

Kierowca nacisnął pedał gazu i samochód wyrwał gwałtownie do przodu. Drugi samochód pozostał chwilę dłużej z tyłu, czekając na Roscoe, Narowistego i Mieszkańca.

Indy mknął przez pustynię, tnąc suche powietrze tak swobodnie, jak ostry nóż masło. Słońce paliło żywym ogniem - smażył się w siodle jak na patelni. Odległość między nim a dwoma samochodami zaczęła się raptownie zmniejszać.

Jedyna samotna góra mająca przed nim nie przybliżyła się ani o centymetr. Zdawało się, że koń przebiera kopytami w miejscu. Jedynie samochody się przemieszczały, wkrótce osaczając go z dwóch stron. Poczul się jak sandwich, a dokładnie jak kawałek mięsa włożony w jego środek.

Spojrzał w prawo i ujrzał mężczyznę w kapeluszu panama za kółkiem luksusowego kremowego sedana. Facet był ubrany w drogi lniany garnitur,

a jego twarz skrywało szerokie rondo kapelusza. Przez tylną szybę wychylił się Roscoe - wykrzywił twarz i pokazał Indy'emu zaciśniętą pięść. Gdy kierowca wyciągnął rękę, chcąc go pochwycić, Indy spiął konia jeszcze raz i wystrzelił kilka stóp do przodu.

Jednak ten nadludzki wyczyn okazał się bezowocny. Samochody za moment nadrobiły stratę. Nie dość, że zrównały się z nim, to zmniejszyły jeszcze boczny dystans, osaczając go z dwóch stron jak olbrzymie imadło. Tylko gorący wiatr i pył dzieliły go teraz od pędzących obok pojazdów. Indy skulił się w siodle i pochylił w przód, koncentrując wszystkie siły. Serce waliło mu jak szalone, wyzwalając pokłady adrenaliny i poszybował do przodu jak strzała.

Po jego lewej stronie Fedora wspiął się na maskę pędzącego kabrioletu. Uśmiechnął się promiennie, jakby chciał pokazać, że pościg dostarcza mu przedniej rozrywki. Po chwili wykonał wdzięczny skok w stronę wierzchowca.

Ale Indy był równie szybki, jak odważny. Zanim Fedora zdołał go pochwycić, skoczył w prawo, na dach sedana. Wylądował na kolanach i uchwycił się z całej siły bocznej krawędzi dachu. Narowisty i Roscoe wychylili się z okien, próbując go dosięgnąć i wtedy Indy zdał sobie sprawę, że nie ma przy sobie krzyża. Obejrzał się na konia i zobaczył artefakt wystający do połowy z torby przy siodle.

Fedora jednak nie był świadomy, że krzyż znajduje się w zasięgu jego dłoni. Odwrócił się, zirytowany, i skoczył na dach sedana. Wyciągnął rękę po Indy'ego, ale ten ponownie zdołał zrobić unik: dopadł skokiem końskiego grzbietu i wyprowadził kolejny raz w pole Narowistego i Roscoe, którzy zderzyli się głowami, rzuciwszy się na niego równocześnie z dwóch stron dachu sedana.



Pociągnął ostro za cugle, pozwalając, by samochody go wyprzedziły. Zawrócił w chmurze pyłu i pogalopował w stronę torów kolejowych, którymi nadciągał z dużą prędkością pociąg. Samochody też zawróciły szerokim łukiem i wznowiły pościg.

Gdy Indy dopadł torów, pociąg odciął mu już dalszą drogę. Chłopiec pomyślał, że coś jest nie tak - wagony w różnych kolorach, a nie brązowe i szare, jak zazwyczaj - ale nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo samochody zbliżały się z zawrotną szybkością.

Wetknął krzyż za pas, uniósł się w siodle i sięgnął do drabinki prowadzącej na dach najbliższego wagonu. Zaczął wspinać się po niej na górę, ale zmienił zdanie, zauważywszy obok otwarte okno. Przyłgnął do boku wagonu jak pająk, sunąc w tamtą stronę. Obejrzał się i zobaczył, jak samochody hamują przed pociągiem.

Znalazszy się przy oknie, Indy chwycił jego krawędź i wczółgał się do środka. "Wylądował na czymś miękkim i zapadającym się pod jego ciężarem jak kawał galarety. Nie była to jednak galareta - okazało się, że utknął głową w fałdach miękkiego pomarszczonego ciała. Odsunął się i zdał sobie sprawę, że jego głowa wylądowała na obfitym biuście kobiety o nieziemskich rozmiarach.

Zerwał się, przerażony i skonsternowany. Ogromna kobieta siedziała na ławce tak szerokiej i solidnej, aby wytrzymać jej czterysta funtów. Indy uśmiechnął się niezręcznie i zaczął wycofywać. Dobiegł go czyjś śmiech. Rozejrzał się i rozdziawił usta. Był w szoku.

Jego wzrok natknął się na galerię największych dziwolągów, jakich kiedykolwiek zdołał zobaczyć w trakcie swego trzynastoletniego życia. W wagonie siedzieli - zaśmiewając się z niego do rozpuku - ułomni na umyśle, kobieta z brodą, karły, człowiek-guma i chłopiec ze stopami jak płetwy.

No jasne. Przecież dzisiaj miał przyjechać cyrk. Indy wylądował w pociągu cyrkowym.

– Dzień dobry! Mam nadzieję, że nie macie mi za złe, że wpadłem tu tak bez zapowiedzi - mówiąc te słowa, rozglądał się wciąż dookoła. - Nie dało się inaczej. Jechałem na koniu, ale...

Przerwał, gdy zobaczył idącego w jego stronę karła.

– Mówisz, że skoczyłeś do pociągu z konia, jak w cyrku? - człowiek miał cienki głos pasujący do jego postury.

Indy uśmiechnął się.

– Właśnie.

– Nie widzę żadnego konia.

– Kłamię - zawołał ktoś inny.

– Idę o zakład, że chcesz się przyłączyć do trupy - rzekł karzeł, wyciągniętym palcem trącając go w brzuch.

– Wygląda zbyt normalnie - sprzeciwił się człowiek-guma.

– Daj dzieciakowi spokój - powiedziała brodata kobieta, przeczesując palcami zarost na twarzy.

Karzeł, którego wzrok znajdował się na wysokości pasa Indy'ego, pochylił się do przodu i zaczął wypytywać o krzyż.

– Co to takiego?

– A, to... Nic.

– Czy mogę to potrzymać.

– Nie - powiedział Indy - trochę zbyt szybko i zbyt głośno. - Wiozę to do muzeum, którego jest własnością.

– Muzeum - powtórzył karzeł. - Aaaa... Kumam.

Indy usiadł z boku, na skrzyni, uniemożliwiając karłowi gapienie się na krzyż. Przyszło mu do głowy, żeby może wyskoczyć z pociągu, gdy będą przejeżdżać obok jego domu. W mieście złodzieje nie odważą się go dalej

nękać. Będą się bali, że zostaną schwytani. Gdyby tylko spróbowali, po prostu zawoła o pomoc. I kiedy tylko dostanie się do domu, powie o wszystkim ojcu.

*Musi się udać*, powiedział sobie. Ojciec będzie z niego dumny. Zawsze narzekał na ludzi kradnących zabytkowe rzeczy. I oto jego syn, Junior - Indy (Indy!) chwyta czterech takich na gorącym uczynku!

Poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia, obrócił się i znalazł oko w oko z karłem.

– Mam jeszcze jedno pytanie.

– Co takiego? - spytał Indy.

Karzeł wskazał palcem punkt ponad nim.

– Czy tamten także jedzie na koniu?

Indy spojrział nerwowo we wskazanym kierunku i w oknie wagonu zobaczył utkwiony w niego wzrok Fedory.

## Rozdział II.

### Cyrkowe sztuczki

– Nowi znajomi? - Fedora wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

Indy wstał i zaczął się wycofywać.

– Tak, czemu nie... - Nie spuszczać wzroku z Fedory, zwrócił się do pozostałych: - Uważajcie na niego. To złodziej!

Fedora wpełzł przez okno i próbował precyzyjnie się obok wielkiej kobiety.

– Zaraz, zaraz - zaproponowała grubaska, pochylając się i blokując mu przejście. - Nie chcemy u nas takich jak ty.

Indy korzystając z okazji, przedostał się do tylnych drzwi wagonu. Pchnął je i skoczył na znajdującą się za nim otwartą platformę. Na środku stał okazały instrument z perłową klawiaturą i rzędem błyszczących, napędzanych parą gwizdków. Przykucnął za nim i zobaczył, jak Fedora szarżuje na drzwi, z uczeponą u gardła brodatą kobietą, odpycha ją od siebie i skacze na platformę. Indy, chcąc się przytrzymać, chwycił dźwignię z boku instrumentu, ta ustąpiła pod naciskiem i instrument nagle ożył. Z rur buchnęła para i popłynęły dźwięki. Towarzysze Fedory, którzy zdążyli wcześniej przedostać się z samochodu na platformę, zatrzymali się, zatykając uszy, porażeni potworną kakofonią zgrzytów i pisków. Zachwiali się i omal nie wypadli z pociągu uderzeni nagłym podmuchem pary.

Indy w międzyczasie wspiął się na dach kolejnego wagonu i przeczołgał wzdłuż niego, aż dotarł do wjazdu. Otworzył pokrywę i zsunął się na pomost zawieszony pod sufitem. Kilka stóp poniżej ujrzał niezliczoną ilość kontenerów, jakby przystosowanych do hodowli rzadkich gatunków węży,

jaszczurek, aligatorów i krokodyli. To była prawdziwa Arka Noego gadziego świata.

Indy spojrział w głąb pojemników, jednocześnie zafascynowany i ogarnięty zgrozą. Ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął, to znaleźć się na dnie jednego z nich. Miał nadzieję, że tamci w jakiś sposób przeoczą właz i przejdą do następnego wagonu. Ale jak tylko o tym pomyślał, kłapa otworzyła się i Mieszaniec z Roscoe znaleźli się na pomoście.

*Co teraz?*

Indy popędził przed siebie, zastanawiając się, co może zrobić, gdy znajdzie się na końcu pomostu. Choćby nie wiadomo jak był odważny i silny, wiedział, że nie da rady obydwóm naraz. Do diabła, sam jeden Roscoe stanowiłby już duży problem. Był typem, który nie gra czysto - potrafiłby udać, że się poddaje, a potem skoczyć na plecy, gdy stanie się tyłem.

W dachu na końcu pomostu był kolejny właz. Super. Wyśliźnie im się z rąk, zanim zdążą go dopaść. To pestka. Ale zanim zrobił następny krok, powietrze przeszył metaliczny dźwięk. Pomost zaczął się chwiać. Spojrzął w górę przepełniony grozą niczym trującym jadem: ciężar trzech ludzi przekroczył wytrzymałość wiszącej konstrukcji - jedna z lin mocujących pomost do sufitu, zaczęła puszczać. Kładka osuwała się w dół, huśtając się na wszystkie strony i zagrażając zrzcuceniem ich w czeluść pełną oślizłych gadów.

Wszyscy trzej stanęli zmrozeni strachem, w obawie, że jeden fałszywy krok może zaprowadzić ich do piekła. Indy spojrzął do góry na właz. Był o krok od niego, a tuż obok otworu znajdował się żelazny uchwyt. Mógłby za niego złapać, podciągnąć się, otworzyć z wykopu kłapę i wywinąć się z powrotem na dach.

*I co dalej, mądralo?* Pozostali dwaj złodzieje prawdopodobnie już tam czekają, uzmysłowił sobie.

Nie wiedział, co robić, ale nie miał czasu do namysłu. Ugiął kolana i skoczył w stronę uchwytu. Jego palce musnęły go, ale nie zdołał się złapać. Tracąc poczucie równowagi, spadł, opierając cały ciężar na jednej nodze i chwytając się balustrady. Pomost rozkołysał się pod nim i usłyszał serię głośnych trzasków, gdy kilka lin pękało jednocześnie. Roscoe i Mieszaniec wrzasnęli, ale to po stronie Indy'ego pomost się zapadł. Chłopak runął na podłogę wagonu, uderzając z hukiem o drewnianą platformę.

Zamarł na moment. Bał się, że coś sobie złamał - nogę, rękę, może nawet skręcił kark. Ale gorsza była ciemność. Nie widział zupełnie nic. Strach podszedł mu do gardła i właśnie miał zmienić się w krzyk, gdy Indy zdał sobie sprawę, że spadając, zacisnął powieki. Zaśmiał się do siebie, ale gdy otworzył oczy, jego śmiech zamienił się w dziwny rozpaczliwy dźwięk, prawie rechot. Siedział oko w oko z olbrzymią anakondą.

Głowa zwierzęcia była tak ogromna, że wyglądała jak łeb tyranozaura. Długi węzowy język musnął policzek chłopca. Indy'emu ciarki przeszły po plecach. Przetoczył się na bok, stanął chwiejnie na nogach i zaczął się powoli cofać.

Bał się, że kiedy odwróci wzrok od anakondy, ta zaatakuje go. Nie patrzył pod nogi i jedna stopa nagle ześlizgnęła mu się z platformy. Zachwiał się i przewrócił do tyłu. Wylądował bezboleśnie, nie raniąc się, ale za chwilę pojął, gdzie jest - spadł do kontenera pełnego węży.

Kłębowisko wijących się gadów wciągało go jak ruchome piaski. Tylko że to było gorsze niż ruchome piaski, o wiele gorsze. Dusił się. Węże wysysały z niego powietrze, wysysały z niego życie. Wtem - gdy udało mu się na chwilę wynurzyć głowę z tego koszmaru - ujrzał Mieszanieca i Roscoe, usiłujących za wszelką cenę utrzymać się na rozbujanym pomoście.

Roscoe chwycił za nogę Mieszkańca, ale ciemnowłosy złoczyńca nie zamierzał zawracać sobie głowy dzieciakiem. Sięgnął do włazu, potrząsając nogą, by uwolnić się od Roscoe, który wrzeszczał jak oszalały, widząc paszczę jednego z krokodyli-ludożerców, kłapiących szczęką tuż pod nimi.

Za chwilę węże pochłonęły Indy'ego ponownie, odcinając mu widok. Nie poddawał się jednak. Walczył o życie. Węże kłębiły się pod nim i nad nim, nie był więc w stanie podnieść się na nogi. Pozostało mu tylko jedno wyjście - rozwalić ścianę pojemnika.

Bok kontenera - kopany uporczywie w jedno miejsce - zaczął pękać. Zbierając wszystkie siły, Indy uderzył nogą raz jeszcze. W tym momencie ściana ustąpiła i kłębiąca się masa wypadła, unosząc z sobą chłopca.

Wynurzył się, chwytając oddech. Strząsał węże z pleców, z nóg. Po tej przygodzie zmienił o nich zdanie. Znad głowy dobiegi go szczęk metalu i przekleństwa - dwóch złodziei próbowało uciec przez otwór włazu. Ale jego uwaga była w tej chwili skoncentrowana na klapie znajdującej się w podłodze, używanej prawdopodobnie podczas czyszczenia wagonu.

Indy pociągnął za uchwyt klapy. Huk dudniących o szyny kół wdarł mu się w uszy, a przed oczami zamajaczył rozmazany w biegu obraz podkładów kolejowych. Zawahał się - ojciec chyba by go zabił, gdyby wiedział, co zamierza. Nie dość, że wskoczył z konia prosto do pędzącego pociągu i wpadł do kontenera pełnego węży, to teraz chciał dokonać czegoś naprawdę niemożliwego.

Indy nie miał jednak ochoty pozostać w wagonie z węzami i aligatorami, a innego wyjścia nie było. Poza tym musiał jakoś uciec złodziejom.

Wziął głęboki oddech i wychylił głowę przez otwór. Zobaczył metalową oś biegnącą dołem wzdłuż wagonu. Wyciągnął rękę i dotknął. Była ciepła, ale nie bardzo gorąca i znajdowała się na tyle wysoko nad torami, by się pod nią zmieścić, o ile przylgnie do niej całym ciałem.

Jedyne dziesięć stóp! To była cała odległość, jaką musiał pokonać, czołgając się wzdłuż osi.

*Dziesięć stóp to nie tak dużo, prawda? Jestem w stanie pokonać dziesięć stóp. Wiem, że jestem w stanie* - powiedział sobie Indy.

Ostrożnie zaczął opuszczać się przez otwór, chwytając się osi najpierw rękami, potem obejmując ją ramionami i oplatając wokół niej nogi. Przesuwał się do przodu, wibrujący hałas rzucał nim na wszystkie strony, grożąc, że strząśnie go zaraz jak muchę.

*Cholera! Co robić teraz?*

Próbował się skoncentrować. Wiedział, że jeśli się skupi i zbierze wszystkie siły, będzie w stanie sobie poradzić.

*Uda się, uda* - powtarzał sobie, przesuwając się nad torami cał za całem.

Gdy dotarł do końca, zdał sobie sprawę, że nie wie, jak przedostać się dalej. Żeby sięgnąć przodu wagonu brakowało mu najwyżej stopy.

Jak długo zdoła utrzymać się tu, gdzie jest - już czuł ból w ramionach. Wibracje targały jego ciałem i przesywały go na wskroś.

Przypomniał sobie o krzyżu zatkniętym za pas. Jeżeli mu się teraz wyśliznie i wpadnie pod koła, cały jego wysiłek pójdzie na marne. Puścił się jedną ręką i ostrożnie sięgnął za siebie, w stronę przodu wagonu. Wymacał palcami dolną krawędź przedniej ściany, szukając czegoś, za co można chwycić. Ale nic takiego nie znalazł.

Wtedy pomyślał o kablu zabezpieczającym łączenie wagonów. *Gdzie on może być?* Wyciągnął rękę tak daleko, jak potrafił. Jego palce dosięgły czegoś, ale ześlizgnęły się. Spróbował znowu - tym razem udało się pochwycić kabel.

*Co teraz?*

Był rozciągnięty pomiędzy kablem a osią wagonu i musiał zdecydować - tu albo tu. Na chwilę sparaliżował go strach przed decyzją. *W którą stronę?*



*Czy to ma jakieś znaczenie?* Zamknął oczy, puścił oś drugą ręką i sięgnął na ślepo za siebie. Chwycił się kabla i przeciągnął nogi wzdłuż ostatnich cali osi. Na moment nogi zawisły mu w powietrzu, a on przesuwiał się dalej, cal za całem, utrzymując się jedynie na rękach. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą sprzęgło łączące wagony. Owinął wokół niego ramię, po czym zarzucił nogę, jak przy dosiadanu konia. Udało się! Jechał wierzchem na buforach jak na rumaku!

Przeczołgał się do przodu w stronę następnego wagonu. To było prawdziwe zoo na kółkach! W środku znajdowała się klatka z ogromnym bengalskim tygrysem. Sięgnął ku wysokiej poręczy, stając na sprzęgle i balansując rękami dla utrzymania równowagi. Zaczął przesuwac się po zewnętrznej stronie klatki, przywierając do krat. Zatrzymał się na chwilę, gdy poczuł, jak coś pełźnie mu po nodze. Z obrzydzeniem wyrzucił z nogawki węża, umocował na nowo krzyż za pasem i ruszył dalej.

Tygrys chodził tam i z powrotem, bacznie go obserwując. Indy spojrzał w jego stronę. Kiedy zmierzał ku przedniej części klatki, tygrys krążył coraz bliżej i bliżej. Indy przywarł na chwilę nieruchomo do krat z nadzieją, że ogromny kot zignoruje go; kontakt z pazurami tej kreatury byłby śmiertelny, nawet przez kraty.

Niestety, nie zdawał sobie do tej pory sprawy, że tuż za rogiem - w dosłownym znaczeniu - czyha nań kolejne niebezpieczeństwo. W kierunku frontu klatki, od drugiej strony, przemieszczał się Narowisty - był już tuż-tuż. Podobnie jak tygrys nie odrywał wzroku od swojej ofiary.

Indy wpatrywał się w tygrysa, próbując siłą woli utrzymać go na odległość, gdy nagle czyjaś dłoń schwyciła go za gardło.

– Mam cię! - wrzasnął Narowisty.

W tym momencie tygrys wystartował w stronę krat. Wyciągnął łapę i przejechał pazurami po ramieniu i plecach Narowistego, rozdzierając mu

kurtkę. Złodziej wrzasnął z bólu i zaskoczenia. Łapiąc się za krwawiące ramię, zachwiał się i wypadł z pociągu.

Indy zdążył zobaczyć, jak Narowisty turla się w dół z kolejowego nasypu, nim cios pięścią w żołądek zaparł mu dech. Zwinął się z bólu, próbując złapać oddech, pewien, że umiera. Odwrócił wzrok i za plecami ujrzął Roscoe.

– Hej, panienko!

Dzieciak uśmiechnął się szyderczo i ponownie się zamierzył.

Indy jednak zdążył nastąpić obcasem na stopę Roscoe. Uderzył go pięścią w oko i ugryzł w rękę. Dzieciak zawył z bólu, a wtedy Indy czmychnął na następny wagon - złapał się drabinki i wspiał na dach.

Roscoe szybko doszedł do siebie i zaklął szpetnie, rzucając się w pościg. Indy był już na górze, kiedy tamten chwycił go za kostkę. Chłopak przywarł do dachu pociągu i zaczęli się siłować, przetaczając się niebezpiecznie z jednego brzegu dachu na drugi.

Łomot kół przeszywał Indy'ego na wskroś. Nagle chłopiec zobaczył nóż w ręce Roscoe. Ostrze zaśniło w słońcu, gdy tamten uderzył. Indy przeturlał się momentalnie w bok, unikając spotkania ze śmiertelnoścym narzędziem. Zaczął się czołgać, ale Roscoe rzucił się za nim i chwycił go za nogę, gdy usiłował się podnieść.

Cokolwiek znajdowało się w wagonie pod nimi, musiało być ogromne: waliło od środka w ścianę wagonu, wprawiając go w kołysanie. Ale nie było czasu roztrząsać ten problem. Indy miał dość na głowie, starając się uniknąć śmierci.

– Dawaj krzyż! - wrzasnął Roscoe, tnąc nożem powietrze nad Indym. - Już!

Indy chwycił Roscoe za nadgarstek, próbując zmusić go do wypuszczenia noża.

Wtem przez drewniane listwy dachu przebił się róg nosorożca; minął głowę Indy'ego o milimetry. Chłopiec przetoczył się na drugą stronę, uwalniając nadgarstek Roscoe. Tamten rzucił się na niego, mierząc nożem w gardło. Indy odchylił głowę i ostrze przebiło drewno, tuż koło jego ucha.

Kiedy Roscoe usiłował uwolnić nóż, nosorożec zaatakował ponownie. Tym razem róg trafił dokładnie między nogi Indy'ego. Roscoe uwolnił nóż i wycelował nim w żołądek chłopca. Indy zobaczył połyskujące w promieniach słońca opadające ostrze. Oderwał nogi od podłoża i uderzył nimi w pierś Roscoe, odtrącając go w tył. Ten zachwiał się i zamachał rękami w powietrzu, chwycił równowagę, ledwie unikając upadku.

Indy przetoczył się na brzuch i odwrócił wzrok w stronę Roscoe - dokładnie w momencie, gdy ten ponownie zamierzył się nań nożem. Ostrze przeorałoby najprawdopodobniej jego twarz, gdyby nie nosorożec, który uderzył kolejny raz, przebijając rogiem dach pociągu obok głowy Indy'ego. Roscoe znów chybił.

Indy wspiął się z wysiłkiem na nogi i zobaczył zbiornik z wodą, stojący przy torach tuż przed nimi. Kran znajdował się nad torami, nad dachem pociągu. Chłopak wiedział już, jak się stąd wydostać. Pobiegł na skraj wagonu, oszacował dystans i wymierzył skok.

Trafił idealnie, chwytając dłońmi za wylot kranu, ale zawirował wraz z nim dookoła zbiornika. Zamknął oczy i kiedy rura nieco zwolniła, puścił ją. Opadł tylko kilka stóp w dół i zdał sobie sprawę, że wykonał pełen obrót. Był znów na dachu pociągu! Wylądował na górze innego wagonu, wpadając tym razem na Mieszkańca i ścinając go z nóg.

Indy zatoczył się do tyłu, oszołomiony tym, co się stało. Ale za chwilę wydarzyło się coś jeszcze gorszego - wpadł do środka wagonu przez otwór w dachu.

Chmura kurzu wzbijała się wokół niego, gdy uderzył o podłogę. Promienie słońca przebijały przez szpary w deskach, ale i tak zajęło mu dobrą chwilę, zanim jego oczy przywykły do panującego tu półmroku. Poczł ostry zwierzęcy zapach i skrzywił się. Zaraz też przed jego oczami pojawiło się źródło odoru - po przeciwnej stronie pomieszczenia powoli podnosił swe cielsko afrykański lew. Z całą pewnością zamierzał właśnie przetestować intruza, który tak niespodziewanie znalazł się na terenie jego legowiska.

Lew zaryczał, wprawiając w drżenie ściany wagonu. Kurz zawirował w promieniach słońca, a zwierzę zaczęło skradać się do Indy'ego jak do swojej ofiary.

– Hej, malutki - Indy wziął głęboki oddech, wycofując się do przeciwległego rogu.

Światło odbijało się od czegoś, co leżało na podłodze. To był krzyż, który najwyraźniej wypadł mu z za pasa podczas upadku i teraz leżał pod łapami lwa.

Indy poczuł za plecami ścianę. Oparł się o nią dłońmi, podczas gdy lew wciąż skradał się w jego stronę, gotowy wykonać śmiercionośny skok. Prawa dłoń chłopca wymacała na ścianie gwóźdź i pas skóry. Indy obejrzał się myśląc, że to znowu wąż. Ale to nie był wąż, tylko bicz - własność tresera lwa.

Chłopiec ostrożnie wziął do ręki narzędzie. Lew rozpoznał bat i wydal cichy pomruk. Indy odetchnął głęboko i uderzył biczem o podłogę. Rzemień rozplątał się w locie, opadł na ziemię nieporadnie, po czym odbił się i uderzył go w twarz, rozcinając policzek.

Lew warknął głośniej.

Indy podniósł bicz, zwilżył wargi i spróbował znowu. Tym razem bat zaciął z całej siły, tak jak trzeba, jego trzask rozległ się głośno jak w cyrku, kiedy treser krąży dookoła areny.

Lew ryknął, pacnął łapą powietrze i zaczął się cofać. Wiedział z doświadczenia, co oznacza taki trzask.

Indy roześmiał się, oszołomiony i zachwycony swoim wyczynem. Uderzył z bicia raz jeszcze i lew cofnął się parę kolejnych kroków. Indy zaczął iść w jego stronę, aż krzyż znalazł się w zasięgu jego ręki. Lew stał dziesięć stóp dalej. Indy schylił się powoli. Nie spuszczał ani na chwilę wzroku ze zwierzęcia, podniósł krzyż. Potem zrobił krok w tył, uświadamiając sobie, że jego ręce całe drżą, a pot leje mu się strumieniem po twarzy. Nabrał w płuca dusznego powietrza i odetchnął głęboko, dochodząc do siebie. *Co teraz? W jaki sposób się stąd wydostać?*

Podniósł głowę, szukając otworu, przez który wpadł do środka i napotkał wzrok Fedory. Ten uklonił się, uśmiechnął promiennie i wyciągnął do niego dłoń.

Decyzja zajęła mu kilka sekund. Wolał z dwojga złego stanąć twarzą w twarz z Fedorą, niż pozostać choćby minutę dłużej w klatce z lwem. Zarzucił koniec bicia w kierunku włazu. Fedora pochwycił go i zaczął powoli zwijać, podczas gdy Indy wdrapywał się po ścianie w górę. Spojrzał szybko za siebie i zobaczył, że lew podchodzi bliżej i gotuje się do skoku. Skoncentrował wszystkie siły, by jak najszybciej znaleźć się na górze.

Kiedy dotarł w końcu na skraj włazu, Fedora chwycił go za ramię i wyciągnął, stawiając ponownie na dachu. Indy opadł na kolana. Oddychał ciężko, był wykończony. Potyczka z lwem pozbawiła go sił do dalszej walki.

– Masz zdrowie, młody. Mówię poważnie - powiedział Fedora. Po czym wskazał na krzyż. - Ale to należy do mnie.

Indy podniósł wzrok i zobaczył, że Fedora nie jest sam. Mieszaniec i Roscoe również tu byli. Popatrzył na Fedorę.

– To jest własność Coronada.

– Coronado nie żyje. Podobnie jak wszystkie jego wnuki. - Fedora wyciągnął rękę. - No, chłopcze. Nic nie da się już w tej sprawie zrobić.

– Taaa. Trzeba zabulić - szczechnął Roscoe, łapiąc za krzyż.

Indy dalej trzymał kurczowo artefakt, nie chcąc się z nim rozstać. Nastąpiło coś w rodzaju zawodów w przeciąganiu liny. Nagle przez środek krzyża prześlizgnął się wąż, który wypełził z rękawa koszuli Indy'ego, po czym owinął się wokół dłoni Roscoe.

– Zdejmijcie to ze mnie - wrzasnął młodociany przestępca. Puścił krzyż i zaczął potrząsać ręką, aż wąż odczepił się i spadł. Pod nimi rozległ się ryk lwa. Indy skorzystał z chwilowego zamieszania, zanurkował między nogami Mieszkańca i rzucił się pędem w stronę następnego wagonu. Mieszaniec był gotów rzucić się za nim w pogoń, ale Fedora powstrzymał go.

– Zostań! W razie czego odetniesz mu drogę powrotną.

Odwrócił się i pobiegł za Indym.

Indy czmychnął w dół drabinką umieszczoną pomiędzy wagonami i znalazł się w przedziale garderobianym. W środku było mnóstwo dziwnych kostiumów i magicznych przedmiotów. Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby się ukryć. Usłyszał, jak Fedora schodzi po drabince i zniknął z pola widzenia.

Fedora wszedł do wagonu i zaczął lustrować pomieszczenie. Podeszedł do wielkiej czarnej skrzyni i zdjął z niej zasłonę. Jedna za drugą, cztery ściany skrzyni opadły na boki, ukazując pustkę.

Fedora uśmiechnął się gdy ujrzał wierzch innej, mniejszej skrzyni, w której coś się poruszało.

– Dobra, mały. Dość tego. Wyłaż!

Otworzył skrzynkę; wyleciały z niej gołębie, rozpierzchając się na wszystkie strony. Miał już powyżej uszu tego zuchwałego chłopaka. Zaczął przedzierać się przez kostiumy i magiczne przyrządy. Wziął do ręki różdżkę i chciał dźgać nią kąty, ale ta nagle zadrżała i zmieniła się w chusteczkę do nosa.

– Cholera. Co, do diabła?

Wtem ujrzał parę gołębi wyfruwającą przez rozhuśtane wiatrem drzwi przedziału. Zrozumiawszy, co się stało, ruszył pędem w stronę tylnej galerii. Kiedy dopadał celu, pociąg nagle zwolnił i Fedora ujrzał w oddali plecy chłopca, znikające w głębi ulicy skromnych drewnianych domów.

## Rozdział III.

### Wojna domowa

Bez tchu, ale wciąż ściskając w dłoni krzyż Coronada, Indy przekroczył próg domu. Zamknął po cichu drzwi na klucz i szybko pokonał odległość z kuchni do salonu, po czym wyjrzał przez okno. Ulica była pusta.

Pośpieszył przez korytarz i zanurkował w przeciwnym pokoju, skąd jeszcze raz wyjrzał na zewnątrz. Mrużąc oczy, wystawił głowę przez okno. Wciąż czuł w ustach smak pyłu. *Woda*, pomyślał. Zapragnął do bólu ogromnej szklanki pełnej lodowatej wody. Ale najpierw ważniejsze. Ojciec. Musiał natychmiast powiedzieć ojcu.

– Tato!

Nikt nie odpowiadał, ale Indy wiedział, że ojciec jest w swoim gabinecie. Od czasu, gdy zmarła jego matka, ojciec zdawał się żyć wyłącznie pracą, wiecznie zgarbiony nad starymi księgami i pergaminami. Dawne czasy stały się dlań bardziej realne niż terażniejszość.

*Wystarczy rzucić okiem na dom*, pomyślał Indy. *Wnętrze mówiło samo za siebie - ani śladu kobiecej obecności, żadnej miłej dla oka rzeczy, żadnych kolorów, wszędzie tylko książki i starocie.* Tylko Indy tu czasem sprzątał. Chwilami zdawało mu się, że ojciec porzucił życie na zawsze, ukrywając się przed światem w swoim gabinecie. To było jedyne miejsce, gdzie był sobą, gdzie istniał naprawdę.

Otworzył drzwi do gabinetu. Książki wysypywały się z półek, zalewając podłogę. Ściany były pokryte mapami dawnych krain oraz wizerunkami wspaniałych starych katedr i zamków. W rogu poniewierał się pordzewiały hełm, należący kiedyś do jakiegoś rycerza. Każda rzecz w pokoju miała swoją historię, nawet jeśli Indy nie wiedział, jaką. Wszystko to stanowiło



świadećstwo nieposkromionej pasji - odkrywania tajemników średniowiecznej Europy.

Indy odchrząknął.

– Tato!

Za ogromnym biurkiem z mahoniu siedział pogrążony w pracy jego ojciec - profesor Henry Jones. Wokół niego piętrzyły się stosy książek i papierów. Indy spojrzał na przygarbione plecy ojca, pragnąc, by ten coś powiedział, wykonał jakiś gest, dał znak, że wie o jego istnieniu. Był pewien, że ojciec go usłyszał, ale fakt, że się z nim nie wita, że nawet się nie odwrócił, oznacza, iż nie chce, by mu przeszkadzać.

Nigdy nie chciał.

Ale to było ważne. Indy podszedł do biurka, spojrzał na stare pergaminy, nad którymi pracował ojciec i powiedział:

– Tato, muszę z tobą pomówić.

– Wyjdź! - rzucił ojciec, nawet nie spojrzawszy na syna.

– Ale to bardzo ważne!

Henry nie przerywał zajęcia.

– Więc poczekaj! Policz do dwudziestu.

– Nie, posłuchaj...

– Juniorze! - ostrzegł Henry, zniżając głos i nadając mu ostrzegawczy ton.

Indy przełknął łzy podchodzące mu do gardła i zrobił posłusznie krok w tył. Wiedział, że denerwuje ojca swoją obecnością.

Niewiele mógł na to poradzić. Zaczął liczyć słabym głosem, patrząc zza pleców ojca na to, czym ten się zajmował.

Ujrzał na wierzchniej części pergaminu ilustrację czegoś, co przypominało okienny witraż przedstawiający kilka rzymskich cyfr. Ojciec przerysowywał ilustrację do swojego notesu.

– To także ważne. I nie da się tego przyspieszyć. Dziewięćset lat zajęło, zanim z grobowca świętej Zofii w Konstantynopolu trafiło na biurko jedyne go człowieka na świecie, który może odkryć jego tajemnicę.

– ...dziewiętnaście... dwadzieścia.

*To naprawdę ważne. Spójrz na mnie!*

Indy wyjął krzyż Coronada zza koszuli i zaczął mówić szybko i głośno.

– Byłem w jaskini z grupą skautów i...

– Teraz policz po grecku - rozkazał Henry, nadal nie podniósłszy głowy znad biurka.

*Nigdy mnie nie słucha.*

Indy nienawidził go za to.

Głośniej, rozgniewanym głosem zaczął liczyć po grecku. Wyobraził sobie, że każda cyfra jest przekleństwem, którym ciska w swojego upartego ojca.

Usłyszał silnik samochodu, zatrzymującego się przed domem. Wycofał się z gabinetu, wciąż licząc, i ujrzał wóz policyjny.

Co teraz? Zdał sobie sprawę, że jeśli ojciec zobaczy teraz policję, pomyśli, że Indy wpakował się w jakieś tarapaty. Nawet nie da mu czasu na wyjaśnienie. Znał to dobrze z autopsji.

Popatrzył w stronę gabinetu - na ojca wciąż zajętego pracą nad szkicem. Usłyszał, jak ten mówi sam do siebie:

– Może ten, który to iluminował, oświeci także i mnie...

Indy wstrzymał oddech, ostrożnie zamykając za sobą drzwi do gabinetu. Wsunął krzyż z powrotem pod koszulę, gdy drzwi wejściowe otworzyły się z impetem i do salonu wpadł przez nie słaniający się na nogach Herman.

– Przyprowadziłem go, Indy! Przyprowadziłem!

Drzwi otwarły się ponownie. Wszedł przez nie szeryf i rozejrzał się dookoła.

– Szeryfie! Było ich pięciu albo sześciu! Prawie mnie złapali, ale...

– Dobrze, synu - szeryf wyciągnął dłoń. - Czy masz to jeszcze?

– Tak, szeryfie. Tutaj.

Indy wyjął krzyż i wręczył go szeryfowi, który bez zastanowienia wziął go do ręki, nawet nie zadając sobie trudu, by mu się przyjrzeć. Oddając krzyż, Indy poczuł, że coś jest nie tak w zachowaniu szeryfa. Gdyby tylko wiedział, co on musiał przejść!

– Dobrze, chłopcze. Dobrze, bo prawowity właściciel powiedział, że nie wniesie skargi, jeżeli będziesz współpracował.

Indy otworzył oczy z niedowierzaniem. Szczęka mu opadła. Jego dłonie zacisnęły się w pięści.

– Skargę? O co tu chodzi?

W tym momencie wszedł Fedora i zdjął kapelusz. Skinął Indy'emu po przyjacielsku i poklepał Hermana.

– O kradzież - powiedział szeryf. - Są świadkowie - pięciu, czy sześciu.

Więc szeryf i Fedora byli w zмовie. Co jeszcze można zrobić? Prawnik nawet go nie wysłucha. Nie będzie go interesowało, co naprawdę się wydarzyło.

– I nie chcielibyśmy chyba, żeby twoja droga matka przewróciła się w grobie, prawda?

Szeryf podał krzyż Fedorze, który schował go do umieszczonej na biodrze skórzanej sakiewki. Kiedy szeryf wychodził, Indy spojrział przez okno i ujrzał kremowego sedana, tego samego, który ścigał go przez pustynię. Stał zaparkowany za samochodem szeryfa - pokrywała go warstwa pustynnego pyłu. Za kierownicą siedział, czekając cierpliwie, człowiek w kapeluszu panama.

Fedora zwlekał przez chwilę, po czym - gdy szeryfa już nie było - powiedział przyjacielskim, choć podszytym ironią, tonem.

– Tym razem przegrałeś mały, ale to nie znaczy, że musi tak być zawsze.

Zdjął kapelusz i bawił się nim przez chwilę. Potem zrobił krok w stronę chłopca i wyciągnął dłoń z kapeluszem, jakby chciał założyć go Indy'emu na głowę w geście szacunku i uznania. Ale powstrzymał się, gdy Indy rzucił:

– Krzyż Coronada ma czterysta lat i czeka go jeszcze długa droga. Mam zamiar być w pobliżu. Możecie na mnie liczyć.

Fedora uśmiechnął się, włożył Indy'emu na głowę kapelusz i skierował się do wyjścia.

– Przekażę szefowi - powiedział, śmiejąc się.

Zatrzymał się jeszcze raz w progu i spojrzał na chłopca.

– Nieźle sobie poradziłeś z tym batem dzisiaj, mały. Masz charakter!

Indy kopnął drzwi, zatraskując je za Fedorą.

Z ulicy dobiegł go jeszcze jego śmiech.

Podbiegł do okna i zobaczył, jak Fedora wślizguje się do kremowego sedana z krzyżem w dłoni. Widział jak podaje artefakt człowiekowi za kierownicą i patrzył, jak odjeżdżają.

Odzyska krzyż, przysiągł sobie, dotykając brzegu filcowego kapelusza. Zrobi to, choćby miało mu to zająć całą wieczność.

## Rozdział IV.

### Przemierzając Atlantyk

NA MORZU, 1938

Fale wysokie na trzydzieści stóp wdzierały się na pokład, zmywając wszystko, co nie zostało przywiązane. Deszcz siekł po niej ze wszystkich stron. Przerażliwie wył wiatr. Stara drewniana łajba trzeszczała, jakby za chwilę miała się rozlecieć na kawałki. To był paskudny dźwięk.

Indiana przywarł do skraju swej koi, pewien, że za moment fala roztrzaska statek, zabierając go ze sobą. Zamknął oczy i czekał, podczas gdy sztorm targnął łajbą na prawo, potem na lewo, i znowu na prawo. Za chwilę fala uderzyła od spodu, w ster. Potem trzasnęła w rufę. Krypa zakołysała się, zatrzęsała, uniosła się i opadła.

*Zaraz zwymiotuję.*

Ale dopiero gdy otworzył oczy, aż zaparło mu dech na widok gęstej jak smoła czerni wdzierającej się przez luk. Ściana wody natarła na burzę, zalewając iluminator, a siła uderzenia zrzuciła go z koi. Uderzył z hukiem o podłogę i przez chwilę leżał nieruchomo, starając się opanować mdłości.

*Wstawaj, facet! Rusz się!*

Jasne! Jego plan. Przecież miał do wykonania plan, czy nie?

Unióś się na rękach, potrząśnij głową, żeby zebrać myśli i rozejrzyj się za czymś stabilnym, czego można by się przytrzymać. *Na nogi, kolego. Szybko. Rusz się, dopóki kapitan jest na pokładzie.*

Tak, kapitan. Kapitan oraz krzyż. Zdobyć krzyż!

Przytrzymał się krawędzi koi i stanął na nogach. Jedną ręką zapiął guziki kurtki, drugą energicznie nasunął na głowę fedorę, upewnił się, czy bat z

byczej skóry jest zatknięty bezpiecznie u jego pasa, po czym ruszył chwiejnym krokiem w stronę drzwi.

*Dalej, kolego.*

Prawa, lewa, prawa. Super, bez dwóch zdań super. Miał zamiar przedostać się na pokład, a potem zejść do kajuty kapitana. Tam właśnie miał być krzyż.

Indy kupił bilet na ten statek, gdy tylko dostał cynk na temat Krzyża Coronada. Jakiś człowiek zadzwonił na uniwersytet, do jego biura i powiedział, że jeśli nadal jest zainteresowany artefaktem, powinien przyjechać do Lizbony, stolicy Portugalii. Kiedy Indy zaczął zadawać obcemu pytania, ten przedstawił mu dokładny opis mężczyzny, którego Indy widział tylko raz w życiu, będąc dzieckiem - człowieka, który był w posiadaniu krzyża i którego tropił od lat.

Nieznajomy zapytany, czego żąda za informacje, odpowiedział że szuka jedynie zemsty. Człowiek od krzyża był ponoć jego szefem i - jak się niedawno okazało - miał romans z jego żoną. Wiadomość, podobnie jak uzasadnienie, wydały się Indy'emu przekonujące, poza tym miał do wykorzystania trochę wolnych dni. Badania, jakie obecnie prowadził, nie były najwyższej wagi i to zabrzmiało dla niego jak zapowiedź od dawna wyczekiwanych wakacji. Kilka razy był niemal o krok od schwytania człowieka, którego cechą charakterystyczną stanowił kapelusz panama, ale ten wciąż wymykał mu się z rąk. Ostatni ślad po nim zaginął dobrych kilka lat temu.

Gdy Indiana dotarł do Lizbony, jego informator oznajmił, że krzyż zniknął i trzeba czekać na dalszy rozwój wypadków. Minęło osiem dni i Indy miał już zamiar poddać się i wracać do domu; rozpoczęły się już zajęcia w nowym semestrze. Wtedy informator skontaktował się z nim i

przekazał mu wieść, że krzyż zostanie wysłany następnego dnia statkiem handlowym do Stanów Zjednoczonych pod opieką kapitana.

Teraz Indy płynął tym statkiem i właśnie nadarzyła się pierwsza okazja, by przeszukać kapitańską kajutę. Przy takiej pogodzie było pewne, że kapitan jest na pokładzie.

*Pierwsza i być może ostatnia szansa, kolego.*

Otworzył z trudem drzwi i wiatr przeszył go na wylot. Naparł z całą mocą, siłując się z wichurą, jedną ręką przytrzymał kapelusz, drugą wspierał się o framugę.

Statek przechylił się w lewo - Indy zatoczył się wraz z nim, niemal tracąc równowagę. Musiał oderwać rękę od fedory, by chwycić się przeciwległej ściany i wtedy wichur wdarł się pod rondo kapelusza, zwiewając go z powrotem do kabiny. Indy zostawił go tam. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, zaczął przedzierać się pod wiatr w stronę pokładu.

Statek uniósł się na grzbiecie fali, jego sfatygowany kadłub zajęczał i zazgrzytał. Indy chwycił się relingu, woda wdarła się z rykiem na pokład, niemal odrywając jego dłonie od bariery. Wiatr wył potwornie. Słona woda wdzierła mu się do ust i oczu, odbierając prawie całkowicie zdolność widzenia.

Kapitan był na pokładzie. *Teraz albo nigdy.*

Brnął dalej. Sztorm rzucał statkiem jak kawałkiem drewna. Indy pomyślał o krzyżu. Jego obraz - jaśniejszy niż Merkury, gorętszy od słońca - rozjaśnił mu umysł. Zapomniał o wietrze, sztormie i wzburzonym morzu. Skoordynował ruchy z miotaną falą okrętem, jakby był jego nierozzerwalną częścią. Kroki miał bardziej stabilne, pewniejsze. Odnalazł w sobie nową siłę. Obraz krzyża wypełniał całkowicie jego wyobraźnię.

Zanim dostał się do kapitańskiej kabiny, był przemoczony do suchej nitki. Wyciągnął z kieszeni długie cienkie narzędzie, podobne do noża do

lodu, ale z bardziej plastycznego metalu; takim posługiwali się przestępcy, nie archeolodzy. Chwycił za klamkę i zacisnął na niej dłoń tak mocno, jak potrafił. Wepchnął koniec szpikulca w zamek, ale wtedy szarpnęło statkiem i Indy zamachał w powietrzu ręką jak dyrygent batutą. Ponowił próbę i tym razem ugodził się w nadgarstek.

*Do jasnej cholery! Potrząsnął ręką. Spokojnie. Spokojnie.*

Skoncentrował się do granic możliwości i w końcu trafił narzędziem w otwór zamka. Wepchnął je głębiej, ostrożnie przesuwając i poruszając w jedną i drugą stronę, aż w końcu zaskoczyło. Wziął głęboki oddech i ostrożnie przekręcił klamkę. Roześmiał się z radości, gdy drzwi stanęły otworem.

Gdy znalazł się wewnątrz, drzwi zatrzęsły się z hukiem, tłumiąc ryk burzy. Upewnił się, że jest sam i ruszył w stronę koi kapitana. Lampka na ścianie zamigotała, zgasła i statek przechylił się. Trzymał się brzegu koi, dopóki okręt nie wrócił do pionu.

Jego informator zapewniał, że kapitan będzie trzymał krzyż w okrętowym sejfie. Nie wiedział, gdzie znajduje się sejf, ale wręczył mu kawałek papieru z kombinacją cyfr. Kiedy Indy spytał go, skąd wziął szyfr, tamten uśmiechnął się i powiedział, żeby nie kusił losu.

Nie podobał mu się ten facet. Nie ufał mu. Ale to był jedyny ślad, na jaki od lat natrafił, a poza tym, kto powiedział, że trzeba lubić każdego, z kim się współpracuje? Biznes to biznes.

Teraz sprawdzi, na ile fortuna jest mu przychylna. Być może wszystko okaże się zwykłym oszustwem.

Włożył ręce pod materac i uniósł go. Sejf był tam (świetnie!), wmontowany w podłogę pod łóżkiem. Indy złapał za obudowę koi i odepchnął ją na bok.

Im dalej, tym lepiej.



Jeżeli szyfr nie zadziała, Indy nie będzie ani o milimetr bliżej krzyża, niż gdyby nie ruszał się z domu. Pokręcił tarczą w prawo i w lewo, próbując wyczuć mechanizm. Znal szyfr na pamięć - wykręcił pierwszą cyfrę, a potem pięć pozostałych.

Powoli pociągnął za rączkę. Sejf otworzył się. W środku było ciemno. Sięgnął ręką na oślep. Wyczuł kilka szkatulek, wypełnionych bez wątpienia kosztownościami. Jego palce wymacały stos papierów. Sięgnął pod nie i znalazł owinięty materiałem przedmiot - w kształcie krzyża!

Wyciągnął go, czując narastającą euforię. Rozwiązał sznur, którym rzecz była obwiązana, odwinął ją z sukna. To był Krzyż Coronada! Nie zapomniał jego piękna, ale widok drogiego artefaktu znów wprowadził go w osłupienie.

Czuł w dłoni jego chłód i ciężar. To było wspaniałe uczucie. Wetknął go pod kurtkę, za pas, prawie dokładnie w to samo miejsce, w którym ukrył go dwadzieścia sześć lat wcześniej.

Zamknął i zaszyfrował sejf, wepchnął łóżko na swoje miejsce. Kiedy znalazł się znowu na zewnątrz, z miejsca, w którym znajdował się krzyż - pod mokrą koszulą - zdawało się promieniować ciepło, bezpieczeństwo, siła. Był oszołomiony nagłym uczuciem ulgi, wyczerpania i triumfu. *Dwadzieścia sześć lat, draniu, pomyślał. Dwadzieścia sześć lat!*

Coś zazgrzytało jednak na dnie jego umysłu, coś nieuchwytnego, a ważnego. Próbował to zlokalizować, namierzyć, ale był zbyt zmęczony, a wiatr zagłuszał jego myśli. *Później, przypomni się samo.*

Podniósł głowę i natrafił na ponury wzrok zwalistego marynarza przypatrującego mu się z głębi korytarza. Gdy zobaczył drugiego mężczyznę stojącego po przeciwnej stronie, zrozumiał co się święci.

Frajer! Nie pomyślał, że to było zbyt banalne. Nie zastanowił się, skąd informator mógł mieć informacje. Wszystko było przecież tak cholernie

proste. To właśnie nie dawało mu spokoju.

Marynarze ruszyli na niego z dwóch stron. Zamierzył się pięścią, ale statek zakołysał, a on poleciał w tył, wpadając prosto w ramiona napastnika nadchodzącego z tyłu. Wykręcili mu ręce i pociągnęli w głąb korytarza, a potem na pokład. Wtedy z wilgotnego cienia wyłonił się trzeci, który wymierzył mu cios w żołądek.

Indy próbował odzyskać oddech. Poczuł, że traci równowagę. Jeden z napastników podniósł go i cisnął nim pod płócienny dach chroniący przed burzą. I wtedy Indy zobaczył go - tego drania, który go uderzył. Był nim człowiek przytrzymujący na głowie kapelusz panama, ten sam, który brał udział w grabieży przed laty, a teraz bez wątpienia stał za tym całym spiskiem. Był starszy, ale nawet w ciemności Indy widział jego lodowate niebieskie oczy połyskujące w mroku jak dwa księżyce.

– Świat jest mały, doktorze Jones.

– Zbyt mały dla nas dwóch. Widzę, że nie zmieniłeś stylu - skomentował Indy, spoglądając na kapelusz panama.

– Co za bystry obserwator! Zdaje mi się, że też gdzieś widziałem twoje ulubione ubranko. Ale przejdźmy do interesów!

Facet chwycił poły jego kurtki z taką siłą, jakby miał za chwilę rozerwać ubranie, sięgnął za pas i wyciągnął krzyż.

– Jak widzisz, to już drugi raz, kiedy odbieram ci moją własność, ale to nie zbieg okoliczności, że spotykamy się znowu.

– Wiem. Wrobiłeś mnie.

– Masz pecha, doktorze Jones.

Facet objaśnił, że był w pełni świadomy, iż Indy niezmordowanie poszukuje krzyża - ozdoby jego kolekcji. Kiedy jednak Wielki Kryzys uszczuplił jego finanse, zaczął szukać kupca. Jeden zaoferował taką sumkę, że mogła położyć kres jego ekonomicznym kłopotom. W czym tkwił

problem? Umowa zawierała warunek, że przed dokonaniem transakcji nieznośny doktor Indiana Jones musi zostać unieszkodliwiony.

– Tak więc postanowiłem zaaranżować spotkanie z tobą. Grałem uczciwie. Nawet dałem ci kolejną szansę, byś mógł sobie znowu ukraść krzyż - zaśmiał się. - Jaka szkoda, że dałeś się znowu złapać!

– Ten krzyż jest własnością muzeum.

– Podobnie jak i ty - spojrzal na marynarzy. - Wyrzucić go za burtę!

Pchnęli go przez rozkołysany pokład w stronę relingu. Kiedy mijali zestaw zbiorników paliwowych, podniósł się, używając ciał żeglarzy jak dźwigni, i wyłamał kopnięciem kłódkę na metalowej klamrze spinającej ze sobą beczki. Poprzewracały się i zaczęły się turlać po pokładzie we wszystkie strony. Indy władował łokcie w żołądki trzymających go z dwóch stron przerażonych mężczyzn i ruszył w stronę swego przeznaczenia, zdając się na ślepy los.

Panama zobaczył, że Indy biegnie za nim i rzucił się na drabinę prowadzącą na górę statku. Jednak zanim zdołał jej dopaść, wielki zbiornik z paliwem uderzył w ścianę, odcinając mu drogę. Za chwilę zaczął się toczyć w jego stronę. Mężczyzna uskoczył w bok, krzyż wysunął mu się z dłoni i zaczął się ślizgać po pokładzie.

Indy zanurkował za krzyżem, ale jeden z marynarzy zatarasował mu drogę i zamierzył się w jego głowę metalowym prętem. Jones zrobił unik w ostatnim momencie i zadał napastnikowi silny cios poniżej szczęki. Facet zachwiał się i przewrócił do tyłu - wpadając na falę, która wdarła się na pokład.

Indy dostrzegł krzyż kilka stóp dalej. Rzucił się w jego stronę, czołgając na brzuchu wzdłuż pokładu. Pochwycił artefakt dosłownie w momencie, kiedy kolejna fala wtargnęła na pokład, wciągając go pod wodę. Wynurzył się kilka stóp dalej i ujrzał toczący się w jego stronę ogromny zbiornik z

paliwem. Uskoczył, ale kosztem utraty równowagi, zanurkował i przeturlał się w bok, podczas gdy pojemnik przetoczył się z łoskotem koło niego.

Podniósł głowę i ujrzał kilka kolejnych pędzących ku niemu bek. Uskoczył w ostatniej chwili, niewiele brakowało... Wtedy obejrzał się i zobaczył zmierzającego w jego stronę marynarza, wymachującego nad głową okrętowym hakiem.

Odczepił od pasa bicz i wyrzucił dłoń przed siebie. Bat trzasnął z hukiem. Dosięgnął celu, owijając się marynarzowi wokół kostki. Indy pociągnął, a rozbujany statek dopełnił reszty - napastnik rąbnął jak długi o pokład.

Indy przerwał na chwilę, podziwiając swoje dzieło. W tym momencie na jego głowę spadła sieć i poczuł na sobie pięści faceta w kapeluszu panama. Ta czynność najwyraźniej sprawiała Panamie szczególną satysfakcję - okładał go z całej siły, raz za razem. Indy usiłował robić uniki, starał się odierać uderzenia i wywikłać jakoś z sieci, ale okazało się to ponad jego siły.

Wszystkie beczki, którym Indy zdołał zejść z drogi, kiedy toczyły się z lewej burty na prawą, zmieniły kierunek, gdy statek przechylił się na drugą stronę. Teraz mknęły z powrotem na niego, a w dodatku tym razem zmierzały w kierunku piętrzącej się obok sterty skrzynek z napisem - DYNAMIT! OSTROŻNIE! NIEBEZPIECZEŃSTWO!

Indy krzyknął, Panama odwrócił się, zobaczył nadciągającą beczkę i zrobił salto w bok. Indy rzucił się w przeciwnym kierunku, w ostatnim momencie unikając zderzenia z pojemnikiem.

Użył wszystkich sił, by wydostać się z sieci, ale krzyż zaplątał się w nią. Żeby uciec, musiałby go zostawić. Rozejrzał się i zobaczył kolejny zbiornik z paliwem toczący się prosto na dynamit.

Pozostało mu tylko jedno wyjście. Zrobił to. Skoczył przez burzę prosto w spienione morze. W momencie gdy uderzał o fale, eksplozja targnęła statkiem, rozwalając go w drobne ogniste kawałki.

Płonące szczątki spadały z nieba, wtapiając się w burzowy krajobraz, a to, co pozostało ze statku, za chwilę znalazło się pod wodą.

Ruch wody i wstrząs po wybuchu porwały krępującą jego ruchy sieć. Fale wciągały go pod powierzchnię, by po chwili wyrzucać w górę jak kawałek korka. Wciąż trzymał w dłoni krzyż. Kopał nogami zawzięcie, starając się utrzymać głowę nad powierzchnią wody.

Szukał czegoś, czego można by się uchwycić. Jego dłoń natrafiła na coś - to była kamizelka, jedna z okrętowych kamizelek ratunkowych! Włożył w nią najpierw jedno ramię, potem drugie.

Za chwilę ujrzał jeszcze coś wyglądającego znajomo. Sięgnął ręką, pochwycił i uniósł na wysokość twarzy porwane szczątki kapelusza panama.

W oddali zatrąbił amerykański frachtowiec. Indy zaczął machać ramieniem, chcąc zwrócić na siebie uwagę załogi i zaraz zdał sobie sprawę, że wywija krzyżem w powietrzu. Zastanowił się, jak, do cholery, się z tego wytłumaczy. *Jestem księdzem. Chronię krzyża. A krzyż chroni mnie.*

Cóż to zresztą, do diabła, ma za znaczenie? Miał ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. Do cholery, nie miał najmniejszego zamiaru się powstrzymywać. I - hurrra! - miał krzyż.

# Rozdział V.

## W kampusie

*NOWY JORK  
KILKA DNI PÓŹNIEJ*

Ciepłe wiosenne popołudnie wywabiało tłumy studentów z akademików i bibliotek. Młode kobiety w sukienkach do łydek i mężczyźni w krawatach spacerowali zadrzewionymi, brukowanymi alejkami, wzdłuż porośniętych bluszczem budynków. Pod pachą trzymali książki, za uszami ołówki, ale nikt z młodych ludzi nie wyglądał tak, jakby gdziekolwiek się śpieszył.

Pomiędzy studentami zaszybował czarny kruk, po czym wzbił się, lądując na parapecie okna na drugim piętrze. W budynku wykładowca w tweedowej marynarce i w drucianych okularach spojrzał przelotnie na ptaka za oknem i powrócił wzrokiem do swojej grupy. Studenci patrzyli z uwagą, czekając, aż podejmie przerwany wykład.

Pomimo profesorskiego uniformu, wykładowca miał w sobie coś niewytłumaczalnie szorstkiego - sprawiał wrażenie, że kiedy tylko zdejmie garnitur i krawat, i wyrusza na poszukiwanie starodawnych artefaktów, wszystko może się zdarzyć i prawdopodobnie naprawdę się dzieje. Ta otaczająca go aura tajemnicy, podobnie jak pewna nieśmiałość w sposobie bycia, przyciągała studentki, których było na jego wykładach wyraźnie więcej niż studentów. On zresztą nigdy specjalnie nad tym nie ubolewał.

Ci, którzy znali go lepiej, wiedzieli, że ma skłonność do umniejszania swych zasług. Być może dlatego, że wyczuwał gdzieś nad sobą cień swego ojca - sławnego znawcy średniowiecza - doktora Henry'ego Jonesa. Jakikolwiek zresztą był powód, człowiek ten miał zwyczaj mówienia o sobie i swojej karierze w sposób zdawkowy, za to wymawiając jedno

słowo, dawał do zrozumienia, używając innych sposobów - gestu, filuternego spojrzenia i przelotnego uśmiechu - że to, co powiedział, to tylko niewielka część historii.

Rozejrzał się po sali z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni.

– ...Tak więc, zapomnijcie o zaginionych miastach, egzotycznych podróżach i przemierzaniu świata wzdłuż i wszerz. Siedemdziesiąt procent całej archeologii jest wynikiem kopania w księgozbiorach lokalnych bibliotek. Badania naukowe i czytanie - oto klucz. Nie stać nas na to, by ufać mitologii, nie wyruszamy w podróżę na poszukiwanie skarbów i NIGDY nie podążamy za tajemniczym X na starych mapach! Zaginiona Atlantyda? Rycerze okrągłego stołu? To jedynie urocze, romantyczne brednie!

Przerwał na chwilę, czując ciężar inkrustowanego brylantami krzyża, spoczywającego w kieszeni marynarki. Rozejrzał się, podrapał za uchem i mówił dalej.

– Archeologia jest poszukiwaniem FAKTÓW, a nie PRAWDY. Jeżeli jesteście zainteresowani odkrywaniem prawdy, panie i panowie, dobrym początkiem będzie kurs filozofii u profesora Petermana.

Studenci wybuchnęli śmiechem, a profesor Indiana Jones spojrzał na ładną dziewczynę siedzącą w pierwszym rzędzie i uśmiechnął się. Odchrząknął.

– Za tydzień egiptologia. Początek prac nad wykopywaniem Naukratis przez Flindersa Petriego w 1885 roku. Moja sekretarka Irene dysponuje listą lektur na ten semestr. - Uprzedzając nalot studentów na podium, dodał:

– Jeżeli są jakieś pytania, zapraszam do mojego gabinetu.

Kiedy studenci opuścili salę wykładową, Indy spojrzał w stronę ostatniego rzędu, gdzie oczekiwał go Marcus Brody - dyrektor

prestizowego muzeum archeologicznego i wieloletni przyjaciel jego ojca. Zszedł z podium i skierował się w jego stronę.

Brody, na pierwszy rzut oka stuprocentowy Anglik, miotał się nieustannie pomiędzy rachunkami muzeum a humorami sponsorów. Mówił Indy'emu nieraz, że jest on dla niego jak światełko w tunelu: jedyny człowiek z zasadami gotowy walczyć z tymi, którzy widzą w dawnych artefaktach jedynie możliwość szybkiego zysku.

Brody miał twarz pooraną głębokimi zmarszczkami i bruzdami, z których każda miała swoją historię. Prawie zawsze wyglądał na zatroskanego i Indy jak zwykle miał ochotę poklepać go po ramieniu i zapewnić, że wszystko zmieni się na dobre.

– Marcus! - Indy uderzył się po kieszeni. - Mam to!

Oczy Brody'ego zapłonęły żywym blaskiem.

– Opowiadaj! Chcę wiedzieć wszystko!

– Chodź!

Kiedy opuścili salę i szli w głąb korytarza, Indy wyjął z kieszeni Krzyż Coronada i podał go Brody'emu.

– Naprawdę go zdobyłeś! Brawo! Jestem pod wrażeniem. Więcej niż pod wrażeniem. Jestem wniebowzięty!

– A myślisz, że jak ja się czuję? Czy wiesz, jak długo go ścigałem?

– Całe życie.

– Całe życie.

Powiedzieli to jednocześnie i obydwaj jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

– Dobra robota, Indy. Naprawdę. A teraz gadaj, jak tego dokonałeś.

Indy wzruszył ramionami.

– Nic wielkiego. Potrzeba było tylko trochę koleżeńskej perswazji, to wszystko.



– To wszystko? - Brody był sceptyczny.

– No, kiedy wyczerpały się przyjacielskie argumenty, trzeba było użyć nieco dyplomatycznych wykrętów.

– Rozumiem - Brody pokiwał głową. Było oczywiste, że chce usłyszeć więcej. Ale martwił się także, że może usłyszeć coś, co nie licowało ze standardami instytucji, którą reprezentował.

Nim jednak Indy zaczął opowieść, dwóch jego kolegów nagle wynurzyło się z głębi korytarza.

– Gdzie byłeś, Jones? - spytał jeden z nich. - Przerwa semestralna skończyła się tydzień temu.

Drugi wyciągnął w jego stronę ceramiczną boginię płodności.

– Spójrz tylko na to, Jones! Zdobyłem tę rzecz podczas wypadu do Meksyku. Pewnie będziesz potrafił określić datę powstania?

Indy obracał kawałek fajansu w dłoni. Kwaśny uśmiech wykrzywił mu usta.

– Data powstania?

Mężczyzna poprawił krawat i spojrzał niepewnie na Indy'ego. Potem, tonem udawanej pewności siebie, dodał:

– Zapłaciłem za to prawie dwieście dolców. Człowiek, od którego ją kupowałem, zapewniał, że pochodzi z czasów prekolumbijskich.

– Prepaździernikowych albo listopadowych. Trudno powiedzieć. Ale spójrzmy.

Zanim przerażony naukowiec zdążył wymówić słowo, Indy rozłupał figurkę na dwie części.

– Można stwierdzić po przekroju. Nie ma żadnej wartości.

– Żadnej wartości?

– Niestety - oddał wykładowcy obydwie części figurki i poszedł dalej wraz z Brodym.

– Powinienem im pokazać, jak wygląda prawdziwy artefakt - powiedział Brody, unosząc krzyż.

Indy wzruszył ramionami.

– Nie ma sensu.

Stali przed drzwiami gabinetu Indy'ego.

– Ta rzecz zajmie honorowe miejsce pośród naszych hiszpańskich zdobyczy - zapewnił go Brody.

– Świetnie. Sprawę mojego honorarium obgadamy później, przy szampanie.

– Kiedy możesz przyjść?

Indy pomyślał przez chwilę. Nie był jeszcze w swoim biurze i nie spojrzał nawet na stos papierów - roboty czekającej go po tygodniowej nieobecności.

– Niech będzie za pół godziny.

Brody uśmiechnął się, wsunął krzyż do teczki. Wychodząc, wciąż się uśmiechał.

Indy otworzył drzwi gabinetu i zrobił krok w tył. Korytarz biura był wypełniony po brzegi studentkami, które momentalnie go otoczyły.

– Profesorze Jones, czy mógłby pan...

– Doktorze Jones, potrzebuję...

– Zaraz. Ja byłam wcześniej. Profesorze...

Indy przepchał się do biurka swojej sekretarki.

Asystentka miała na imię Irene i wyglądała tak, jakby pozostawała w stanie szoku. Siedziała bez żadnego ruchu, nie zważając na ataki studentek. Dopiero kiedy zauważyła Indy'ego, momentalnie powróciła do świata żywych.

– Pan doktor Jones! Boże, tak się cieszę, że pan wrócił! Pańska poczta leży na biurku. Tutaj są wiadomości telefoniczne. Oto rozkład pana

spotkań. A te prace semestralne dalej nie zostały ocenione.

Indy skinął głową, zabrał papiery i ruszył do swojego gabinetu. Studentki wciąż czyniły wrzawę, starając się do niego dopchać.

– Doktorze Jones!

– Proszę poczekać, doktorze Jones. Moja ocena!

– Proszę mnie wysłuchać, doktorze Jones. Gdyby mógł mi pan poświęcić...

Indy podniósł dłoń i nagle tłum ucichł, słuchając z uwagą.

– Irene... Zrób listę. Spotkam się z każdym po kolei.

Irene przeniosła wzrok z Indy'ego na studentów. Horda momentalnie obiegła ją jak stado moskitów.

– Dobrze, spróbuję - mruknęła.

– Ja byłam pierwsza!

– Nie, ja byłam przed tobą!

– Ja na pewno byłam druga!

– Hej, patrz jak chodzisz!

Indy wymknął się do swego gabinetu i niecierpliwie przerzucił pocztę - wybór uczelnianych biuletynów, nowinki archeologiczne, ostatnie numery *Esquire'a* i *Colliersa* oraz gruba koperta z zagranicznym znaczkiem.

Patrzył przez chwilę.

– Hmm... Wenecja.

Próbował przypomnieć sobie, kogo zna w Wenecji. Zanim zdążył otworzyć kopertę, przez intercom wdarł się wysoki, rozsierdzony głos Irene.

– Panie doktorze, wygląda na to, że nie da się ustalić, kto był pierwszy i ja...

– Dobrze, dobrze - uciał. - Postaraj się zrobić, co się da. Za chwilę będę gotowy.

*Jak jasna cholera!*

Indy wsadził list do kieszeni garnituru, rozejrzał się szybko wokół, po czym otworzył okno i wyskoczył na zewnątrz. Nabrał głęboko w płuca późnopołudniowego wiosennego powietrza, zanim wykonał skok w przyległy ogród. Róże, gardenie, trawa. Było bosko.

– Przyjemny dzień - powiedział do siebie, opuszczając w ten sposób okolice swojego biura.

Szedł szybko i pewnie. Uśmiechał się, uradowany wolnością, lekceważąc wszelkie myśli dotyczące obowiązków. Po tym, co przeszedł, by odzyskać krzyż, należała mu się mała przerwa.

Jeżeli ktoś miał do niego o to jakieś pretensje - cóż, nigdy nie twierdził, że jest tak sumienny jak jego ojciec. Ale miał świadomość, że reputacja jego ojca to był miecz obosieczny: zapewniała mu pozycję na uniwersytecie, ale i czyniła z niego naukowca drugiej kategorii, który nigdy nie dorówna rodzicowi.

Może dlatego Indy nie chciał być tak odpowiedzialny i korzystał z każdej okazji, by się wymknąć. Na swój sposób chciał być w centrum uwagi. Skoro nie mógł dorównać ojcu jako wykładowca, starał się być mistrzem w pracy terenowej, obfitującej w niecodzienne wydarzenia.

Kiedy znalazł się na chodniku za budynkiem, na rogu kampusu, tuż przed nim stanął długi czarny sedan packard. Indy rzucił okiem do środka i miał zamiar iść dalej, kiedy tylne drzwi otworzyły się. Wyszedł przez nie człowiek ubrany w ciemny trzyczęściowy garnitur, na oczy miał opuszczone rondo kapelusza. Nie było sensu się zastanawiać, z kim ma się do czynienia. Od razu było widać, że to agent FBI.

– Doktor Jones?

Indy spojrzał na niego.

– Tak? Czy mogę w czymś pomóc?

– Musimy poważnie porozmawiać. Chcielibyśmy, żeby pojechał pan z nami.

Indy zawahał się, przyjrzawszy się bliżej mężczyźnie. Pod garniturem znajdowało się wybrzuszenie. *Świetnie. Tego mi właśnie trzeba.* Jakby na potwierdzenie jego domysłów, mężczyzna rozpiął marynarkę, ukazując przypiętą do ramion kaburę. Indy spojrział na broń, a potem na trzech siedzących w wozie mężczyzn. Wyglądali wszyscy identycznie, podobnie zresztą jak facet stojący przed nim.

Nie wiedział, czego chcą i nie był zainteresowany odkrywaniem tego sekretu.

– Nie bardzo mam w tej chwili czas - powiedział niepewnym głosem, zastanawiając się, jak stąd zniknąć.

– Nie ma się nad czym zastanawiać, doktorze Jones. Nalegamy, by pan pojechał z nami.

Następne pół godziny Indy spędził upchany na tylnym siedzeniu packarda pomiędzy dwóch masywnych członków eskorty. Przez pewien czas dopytywał się, o co w tym wszystkim chodzi, ale ci powiedzieli, że dowie się wkrótce. Kiedy rzucił uwagę na temat wiosennej pogody, facet po jego lewej coś burknął pod nosem, a drugi tylko patrzył przed siebie.

*Uroczą gromadka.*

Zdał sobie sprawę, że żaden z nich się przed nim nie wylegitymował. Odwrócił się do jednego z mężczyzn, pytając o jego identyfikator. Facet zachował się tak, jakby go nie słyszał.

– Jesteście federalnymi, chłopcy, tak?

– Jesteśmy doręczycielami - odpowiedział jeden, a reszta wybuchnęła śmiechem.

Indy roześmiał się także i zaczął niespokojnie wiercić. Sytuacja stawała się rzeczywiście szalenie zabawna.

## Rozdział VI.

### Tablica krzyżowca

Było prawie ciemno, kiedy packard stanął przed ekskluzywnym budynkiem przy Piątej Alei, z widokiem na Central Park. Indy wysiadł i został zaprowadzony do środka przez dwóch z obstawy. Przemieścili się błyskawicznie przez korytarz i wsiedli do prywatnej windy. Znaleźli się w eleganckim apartamencie. Indy był pod wrażeniem luksusowego wystroju pomieszczenia.

– Chodź - mruknął jeden z facetów. - Będiesz jeszcze miał możliwość podziwiać widoki.

Zaprowadzili go do luksusowego apartamentu w stylu art deco i zniknęli, pozostawiając w pokoju pełnym eksponatów o muzealnej wartości. Indy chodził tam i z powrotem, oglądając kolejno zabytkowe przedmioty. Ktokolwiek był właścicielem tego miejsca, niewątpliwie miał pieniądze i gust, z pewną przewagą tego pierwszego. Podniósł dzbanuszek z ceramiki z namalowanym wizerunkiem pawia. Rozpoznał w nim oryginalną rzecz pochodzenia starogreckiego, liczącą sobie ponad dwadzieścia pięć setek lat. Kolory były niewiarygodnie dobrze zachowane.

Inspekcja Indy'ego została przerwana - otwarły się drzwi i usłyszał ciche dźwięki fortepianu i rozmów. Zanim w drzwiach ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna w smokingu, Indy zdążył ujrzeć fragment przyjęcia. Nieznajomy miał kwadratową szczękę i rzednące blond włosy. Choć musiał mieć dobrze po pięćdziesiątce, jego sylwetka była szczupła i muskularna, jak u dużo młodszego człowieka. Miał w sobie coś królewskiego i kiedy przechadzał się po pokoju, Indy był pewien, że ma do czynienia z właścicielem apartamentu.

Skądś go znał, ale skąd? Już wiedział. To był jeden ze sponsorów muzeum archeologicznego. Indy widział go kilkakrotnie na imprezach związanych z działalnością muzeum i widział, jak Brody się z nim certolił. Nazywał się Walter... Walter Donovan. Tak, to on.

– Proszę zwrócić uwagę na oczy umieszczone na pawim ogonie - powiedział Donovan, wskazując na dzbanek, który Indy wciąż trzymał w ręku.

Indy ostrożnie odłożył drogocenny eksponat na swoje miejsce.

– Tak. Piękne.

– Wie pan, do kogo należały?

Indy uśmiechnął się.

– Oczywiście. Do Argusa - stuokiego potwora. Został zgładzony przez Hermesa, a Hera umieściła jego oczy na ogonie pawia.

Donovan przypatrywał mu się przez chwilę.

– Mogłem się domyślić, że wie pan to i owo o greckiej mitologii.

Indy wzruszył ramionami.

– Co nieco.

Studia nad greckimi mitami stanowiły zmoreń jego dzieciństwa, a oddawał im się na życzenie ojca. Z czasem nauczył się czerpać przyjemność ze zgłębiania niektórych opowieści, szczególnie tych o wyczynach Herkulesa, ale zawsze miał do ojca żal, że go do tego zmuszał. Nie da się jednak ukryć, że był zadziwiony, z jaką łatwością i siłą po trzydziestu latach powrócili do niego bohaterowie tych opowieści i ich przygody. Tak jakby czytał je przed tygodniem.

– Mam nadzieję, że miał pan przyjemną podróż, doktorze Jones - Donovan uśmiechnął się, emanując siłą i pewnością siebie. - Czy moi asystenci nie zaniepokoiili pana za bardzo?

Indy miał właśnie zamiar rzucić jakiś dowcip na temat tego, jak uroczo sobie gawędzili podczas podróży, ale wtedy Donovan wyciągnął dłoń i się przedstawił.

– Wiem, kim pan jest, panie Donovan - powiedział Indy, kiedy Donovan oswobodził jego dłoń z mocnego uścisku. - Pańskie datki na rzecz Muzeum Starego Świata przez te wszystkie lata były niezwykle hojne.

– Ach, dziękuję.

– Niektóre z okazów pana kolekcji są naprawdę wspaniałe - dodał Indy, rozglądając się.

*Tylko czego, do diabła, chcesz ode mnie?*

– Cieszę się, że pan zauważył.

Donovan podszedł do stołu, na którym znajdował się przykryty kawałkiem materiału przedmiot. Jeden z tych, których Indy nie zdążył obejrzeć. Donovan zdjął przykrycie, odsłaniając płaską kamienną tablicę o powierzchni około dwóch stóp kwadratowych.

– Chciałbym, doktorze, żeby zwrócił pan szczególną uwagę na to.

Indy podszedł bliżej i zobaczył wykute w tablicy litery i symbole. Wyjął z kieszeni okulary w drucianych oprawkach, wsunął je na nos i pochylił się nad artefaktem, studiując go z uwagą.

– Wczesnochrześcijańskie symbole. Gotyckie znaki. Bizantyjskie zdobienia. Połowa dwunastego wieku, jak sędzę.

Donovan skrzyżował na piersiach ramiona.

– Z naszych obliczeń wynika podobnie.

– Skąd pan to ma?

– Moi inżynierowie wykopali to z ziemi w górach na południu Ankary, szukając miedzi.

Przerwał na chwilę, egzaminując Indy'ego kątem oka.

– Czy może pan przetłumaczyć tę inskrypcję, doktorze?



Indy zrobił krok w tył z oczami utkwionymi w tablicę. Wyjaśnił, że tłumaczenie takiej inskrypcji jest niełatwe, nawet dla kogoś takiego jak on - specjalisty tego okresu historycznego i języków tamtych czasów.

– Próba nie strzelba - Donovan sięgnął do swych perswazyjnych talentów.

*Co, do diabła powinienem teraz zrobić?*

– Byłbym bardzo wdzięczny - dodał Donovan.

*Jasne, mogę się założyć, że byłbyś.*

Indy marszcząc brwi, wpatrywał się w inskrypcję. W końcu odchrząknął i zaczął wolnym, niepewnym głosem, jak dziecko, które dopiero uczy się czytać:

– „...wypije wodę, którą mu ofiaruję, powiedział Pan, będzie nosił w sobie źródło... tryskające wiecznym życiem. Niechaj zaprowadzą mnie na świętą górę... do miejsca, w którym mieszkają. Przez pustynię i górę... do Kanionu Półksiężycy, szerokiego jedynie na tyle, by pomieścić jednego człowieka. Do Świątyni Słońca, tak świętej, że stanie miejsca dla wszystkich...”

Indy podniósł wzrok i spojrzał z zaskoczeniem na Donovana. Nie zauważywszy na jego twarzy żadnej reakcji, wrócił do ostatniej linijki.

– „...gdzie kielich z krwią Jezusa Chrystusa, naszego Pana zamieszkał na wieki”.

– Święty Graal, doktorze - powiedział Donovan cicho, głosem przepełnionym czcią.

Najwyraźniej był pod wrażeniem tego, co Indy przeczytał.

– Kielich, używany przez Chrystusa podczas Ostatniej Wieczerzy. Naczynie, w które spłynęła krew z Jego boku podczas ukrzyżowania, powierzone świętemu Józefowi z Arymatei. Źródło niezwykłej mocy dla tego, kto je odnajdzie.

Indy potarł podbródek i spojrzał z wyrazem zwątpienia na Donovana.

- Słyszałem już wcześniej tę bajeczkę na dobranoc.
- Życie wieczne, doktorze - wymówił z naciskiem słowa, tak jakby Indy niedosłyszał. - Dar młodości dla każdego, kto napije się z Graala.

Donovan najwyraźniej przejął się dosłownym znaczeniem inskrypcji, nie biorąc pod uwagę mitologicznego kontekstu. Indy skinął głową, ale nie odezwał się słowem, nie chcąc zachęcać kolejnego człowieka do pogoni za czymś, co pochłonęło już mnóstwo istnień. Miał wystarczającą wiedzę o tym, jak poszukiwanie Graala doprowadzało do szaleństwa nawet najmocniej stąpających po ziemi uczonych.

- Chciałbym wskrzesić tę bajeczkę na dobranoc - ciągnął Donovan.
- Marzenie starego człowieka.
- Marzenie KAŻDEGO człowieka - poprawił Donovan. - Włącznie z twoim ojcem, z tego co mi wiadomo.

Na wspomnienie ojca Indy lekko zeszywniał.

– Historia Graala to jego hobby - powiedział spokojnie, starając się ukryć zażenowanie, które czuł zawsze, gdy wspomniano jednocześnie o Graalu i ojcu, jak o pasujących do siebie kawałkach łamigłówek.

– Więcej niż zwykle hobby - drażył Donovan. - Kierował katedrą średniowiecznej literatury w Princeton przez ponad dwa lata.

– Jest profesorem średniowiecznej literatury, którego studenci unikają jak ognia.

– Bądź sprawiedliwy. To jeden z największych na świecie znawców tematu świętego Graala.

Indy posłał Donovanowi kwaśne spojrzenie i miał właśnie zamiar coś odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się. Muzyka i strzępki rozmów wpadły do pokoju i obydwaj mężczyźni odwrócili się w stronę stojącej w progu dojrzałej kobiety w drogiej, wieczorowej sukni.

– Walterze, zanedbujesz gości - powiedziała kobieta, nie starając się nawet ukryć rozdrażnienia. Jej oczy prześlizgnęły się z męża na Indy'ego i z powrotem.

– Będę za chwilę, kochanie.

Indy spojrział z powrotem na tablicę, zdając sobie sprawę, że Donovan nie zamierza przedstawić go swojej żonie.

Pani Donovan westchnęła, dając do zrozumienia, że ma już sporą praktykę w takich sytuacjach i wróciła na przyjęcie, szeleszcząc suknią.

Wbrew swym sceptycznym komentarzom, Indy był oczarowany tablicą. Choć nigdy by się do tego nie przyznał, był prawie pewny, że tablica naprawdę jest tym, czym się zdaje. Sam fakt, że istnieje, był ważnym odkryciem. Nad tym, dokąd mogła zaprowadzić, nawet nie chciał myśleć.

Zapomniał zupełnie, w jaki sposób został zgarnięty z ulicy i dowieziony w to miejsce. To było bez znaczenia. Liczyła się tylko tablica i to, o czym mówił napis.

– Ciężko się oprzeć, prawda - rzucił Donovan, widząc zainteresowanie Indy'ego. - Miejsce, w którym pozostaje święty Graal, opisane ze szczegółami. Wprost niesamowite!

Indy wzruszył ramionami i powrócił do swojej sceptycznej, naukowej manieri, która przeważała w jego wykładach.

– Co w tym takiego niezwykłego? Tabliczka opowiadająca o pustyni, górach i kanionach. Na świecie jest mnóstwo pustyni: Sahara, Pustynia Arabska, Kalahari. I górskich pasm: Ural, Alpy, Atlas. Gdzie będzie pan szukał?

Po czym wskazał na wyraźny ubytek w zdobyczy.

– Może gdyby tablica była kompletna, można byłoby coś zrobić. Ale brakuje całej górnej części.

Donovan nie miał zamiaru tak łatwo się poddać. Działał tak, pomyślał Indy, jakby wiedział o czymś, o czym nie powiedział, a co było istotne.

– Mimo to, doktorze, poszukiwania Graala są w trakcie.

Indy zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Chce pan powiedzieć, że napis na tablicy został już wcześniej przetłumaczony?

Donovan skinął głową.

– Więc po co ściągnął mnie pan tutaj? Żebym potwierdził czyjąś opinię? Mogę oskarżyć pana o porwanie - Indy nadał swemu głosowi szorstki ton.

Donovan uniósł dłoń.

– Może pan, ale nie sądzę, żeby pan to zrobił. Zaraz wszystko wyjaśnię. Ale proszę pozwolić, że opowiem panu jeszcze jedną bajeczkę na dobranoc, doktorze. Po tym, jak Graal został powierzony Józefowi z Arymatei, zniknął i przez tysiąc lat nikt nie wiedział, co się z nim stało, aż został znaleziony przez trzech rycerzy podczas pierwszej krucjaty. Trzech braci, dokładnie rzecz biorąc.

– Znam także i tę historyjkę - przerwał Indy i sam dokończył opowieść. - Sto pięćdziesiąt lat PO znalezieniu Graala dwaj z trzech braci opuścili pustynię i rozpoczęli swą długą podróż do domu. Ale udało się tylko jednemu, który, zanim umarł z *prawdziwej* starości, podzielił się swoją wiedzą z pewnym franciszkaninem.

Donovan znów pokiwał głową, wyraźnie zadowolony, że Indy zna tę historię.

– Dobrze. Teraz proszę spojrzeć. Coś panu pokażę.

Przemierzył pokój i wrócił, trzymając w ręku wiekowy, oprawiony w skórę wolumin. Otworzył go ostrożnie. Strony były bardzo kruche.

– Oto manuskrypt tamtego franciszkanina. - Przerwał na chwilę, pozwalając, by jego słowa dotarły w pełni do słuchacza. - Nie wyjaśnia

lokalizacji Graala, ale rycerz obiecał, że zostały pozostawione dwa znaki, które pozwolą odnaleźć drogę.

Donovan wskazał na kamienną tablicę.

– To, doktorze, jest jeden z tych znaków. Istnienie tablicy potwierdza prawdziwość tej historii. Ale, jak zauważyłeś, jest ona niekompletna.

Mijały sekundy. Indy mógł jedynie je liczyć, czując jak jego ciało tężeje w oczekiwaniu na dalszy ciąg opowieści Donovana.

– Drugi ślad spoczywa w grobie wraz ze szczątkami drugiego rycerza. Lider naszego projektu, który spędził lata na zgłębianiu tego tematu, twierdzi, że grób znajduje się w Wenecji, we Włoszech.

– Co z trzecim bratem, tym, który pozostał na pustyni? Czy zakonnik wspomina coś o nim w manuskrypcie?

– Trzeci rycerz pozostał, by strzec Graala - Donovan ostrożnie zamknął zabytkowy manuskrypt. - Jak pan teraz widzi, doktorze, jesteśmy na drodze do rozwiązania wielkiej zagadki sprzed dwóch tysięcy lat. Dzieli nas już tylko krok od znalezienia Graala.

Indy uśmiechnął się.

– W takich chwilach grunt zazwyczaj usuwa się spod stóp.

Donovan wciągnął głośno powietrze i wypuścił je z westchnieniem, jakby chcąc pozbyć się czegoś, co utkwilo na dnie jego płuc.

– Trafił pan w samo sedno.

– Jak to?

– Natrafiliśmy na przeszkodę. Lider naszego projektu zaginął. Podobnie jak jego odkrycia. Dostaliśmy wiadomość od jego współpracownika, o nazwisku Schneider. Nie wiadomo, gdzie jest, ani co się z nim stało.

Donovan spojrział na zabytkowy manuskrypt, a potem znów na Indy'ego.

– Chciałbym, żeby pan podjął jego dzieło: odnalazł go i tym samym odnalazł Graal. Czy wyobraża pan sobie większe wyzwanie?

Indy uniósł w górę dłonie i pokręcił głową. Uśmiechnął się lekko, niepewnie. Wyzwania swoją drogą, głupota swoją. Poza tym, pomyślał racjonalnie, ma pewne zobowiązania wobec uniwersytetu. Nie może tak po prostu uciec, zwłaszcza że dopiero co wrócił spóźniony z innej drobnej eskapady.

– Źle pan trafił, panie Donovan. Dlaczego nie zwróci się pan do mojego ojca? Jestem pewien, że zafascynowałby się tablicą i byłby gotów zrobić wszystko, co w jego mocy.

– Już to zrobiliśmy. Pana ojciec jest tym, który zaginął.

# Rozdział VII.

## Notatnik

Indy pędził jak strzała wysadzonym drzewami bulwarem przez niegdyś dobrze znaną okolicę. Zakręcił ostro kierownicą swego forda coupe, skręcając z piskiem opon, omijając w ostatniej chwili człowieka, który przechodził przez ulicę.

– Indy, na Boga i przez wzgląd na moje biedne serce, zwolnij - krzyknął Brody, zajmujący miejsce pasażera.

Na następnej przecznicy Indy zjechał na bok i zaparkował na krawężniku. Spojrzał przez szybę w stronę domu, częściowo skrytego za parkanem i drzewami.

Budynek miał dwa piętra, mnóstwo okien i zadbany ogródek. Mógł należeć do zwyczajnej rodziny z dziećmi i zwierzętami domowymi, urządzającej sobie grilla w weekendy, rodziny, jakiej Indy nigdy nie miał. Nie wyglądał tak, jak wtedy gdy Indy mieszkał tu wraz z ojcem. Ale nadal wywoływał to samo uczucie - niepokoju, skrępowania - pomimo to, że Indy nie przekroczył jego progu od co najmniej dwóch lat.

Jednak jego stosunki z ojcem przestały w tej chwili mieć jakiegokolwiek znaczenie. Indy wyskoczył z forda i był w połowie drogi do drzwi, gdy dogonił go Brody, dysząc z wysiłku.

– Twój ojciec i ja byliśmy przyjaciółmi od zawsze - powiedział, marszcząc brwi. - Byłem świadkiem, jak dorastałeś. I widziałem, jak nastąpił między wami koniec. - Wspinał się po schodach na werandę krok w krok za Indym. - Nigdy nie widziałem, żebyś tak się martwił z jego powodu.

Indy przemierzył werandę długimi krokami.

– To uczoney. Mól książkowy, nie poszukiwacz przygód. Oczywiście, martwię się o...

Przerwał na widok uchylonych wejściowych drzwi. On i Brody spojrzeli po sobie, po czym Indy podszedł ostrożnie bliżej, spięty, czujny. Wyciągnął rękę w stronę drzwi i popchnął je lekko. Zazgrzytały. Powietrze, które omiotło jego twarz było chłodne - i puste.

– Tato!

– Henry! - zawołał Brody, wchodząc za Indym do środka.

Ich głosy rozeszły się echem po pomieszczeniu. Strach Indy'ego wzmógł się. Zawołał ojca jeszcze raz i pobiegł korytarzem, zaglądając do pustych pokojów, które nie zmieniły się wiele od czasu, gdy sprowadzili się tu z Utah, gdy miał piętnaście lat. Meble były nieco bardziej szykowne i w ogóle było wszystkiego WIĘCEJ, ale w powietrzu wisiała ta sama pustka i brak wyrazu, jak w tamtych latach, po śmierci matki.

Zegar tykał w ciszy. Brzęczała lodówka. Ta cisza drwiła sobie z niego. *Zniknął*, pomyślał Indy i odsunął zasłonę oddzielającą korytarz od salonu.

Skrzywił się momentalnie, a Brody w tym samym czasie krzyknął:

– Dobry Boże!

Pokój nie tyle został przeszukany, co wręcz splądrowany! Szuflady były wyciągnięte i rozrzucone po podłodze. Z półek zrzucano dosłownie wszystko. Materac z łóżka został porwany na strzępy i rozwleczony po pokoju. Książki, listy i koperty walały się wszędzie.

Indy stał bez ruchu, próbując natrafić wzrokiem na coś, co mogłoby stanowić jakąkolwiek wskazówkę.

Ukląkł i podniósł z ziemi album ze zdjęciami. Wypadło z niego kilka fotografii - zaczął wyciągać je spośród tych zgłiszczy, w końcu spojrzął na fotografię umieszczoną w honorowym miejscu albumu. Miody chłopiec obok starszego, niezwykle poważnego mężczyzny z brodą o pierwszych



oznakach siwizny. Mężczyzna i chłopiec stoją sztywno, w żadnym z nich nie ma ani śladu luzu - obydwaj wyglądają tak, jakby tylko marzyli, by znaleźć się gdzie indziej. I to właśnie, pomyślał, było sedno jego relacji z ojcem. Nigdy nie czuli się ze sobą dobrze. Teraz, kiedy te wszystkie wspomnienia powróciły, coś utkwilo Indy'emu w piersiach i zaczęło rosnać.

Zdjęcie zostało zrobione rok po śmierci matki. Ojciec był przez cały ten rok posepny - Indy wiedział, że rozmyślał wiele o kobiecie, która zbudowała kiedyś most pomiędzy nim a synem. Gdy umarła, most runął. Ojciec nigdy nie rozmawiał o niej z Indym. Kiedykolwiek Indy wspomniał choć słowem o matce, rzucał w jego stronę mrozące spojrzenie i zmieniał temat albo zlecał mu jakąś niewdzięczną robotę.

Potem zaczęło się zastraszanie. Pamiętał ciągle przypominanie, że nigdy nie dorośnie do pięć prawdziwemu mężczyźnie. Brakowało mu samodyscypliny, charakteru, inteligencji. Oczywiście, miał pewne wycucie co do osobliwości tego świata, przyznawał ojciec. Ale co to zmieniało? Wszystko, co potrafił, to wpadać w tarapaty.

Kiedy Indy był starszy, jego gniew i żal do ojca się wzmożyły. Któregoś dnia powiedział sobie, że jeszcze mu pokaże. Zostanie archeologiem, tak samo jak on, i to dobrym. Jego determinacja, by dorównać ojcu, zdawała się rosnać wprost proporcjonalnie do zatwardziałości starszego mężczyzny i jego uciążliwych uwag, że chłopiec nigdy nie będzie w stanie niczego w życiu osiągnąć.

Odgłosy kroków Brody'ego na schodach przywołały Indy'ego na powrót do rzeczywistości. Jego złe przeczucia zastąpiło ogromne poczucie winy za to, że kiedyś pragnął nigdy więcej nie zobaczyć ojca na oczy. Za to, że życzył mu śmierci. Pomimo bezwzględności ojca i niechęci, by okazać Indy'emu choć trochę serca, sprawy miały się inaczej teraz, kiedy zaginął.

W tym momencie nie było nikogo na świecie, kogo Indy pragnęłyby ujrzeć bardziej.

– W domu go nie ma - oznajmił Brody.

– Nie sądziłem, że będzie.

Na twarzy Brody'ego malowało się zmartwienie i troska.

– W co też ten stary głupiec znowu się wmieszał?

– Nie wiem. Ale cokolwiek to jest, nie da sobie z tym rady.

– Nie mogę uwierzyć, że Henry był w stanie wejść w układ z ludźmi, którym nie ufał. Zobacz - czytali nawet jego pocztę.

Indy spojrział na stos podartych papierów i kopert, i wtedy zdał sobie sprawę, że zapomniał o liście.

– Poczta. No właśnie, Marcus!

Sięgnął do kieszeni i wyjął wypchaną kopertę, którą dźwigał ze sobą, od kiedy opuścił gabinet. Spojrział na zagraniczny znaczek i pokiwał głową.

– Wenecja, Włochy. Jak mogłem być tak głupi!

Brody spojrział skonsternowany.

– O co chodzi, Indy?

Indy rozerwał kopertę i wyjął z niej niewielki notatnik. Szybko przerzucił kilka stron. Wyglądał na dziennik albo pamiętnik. Strona za stroną pokryty był ręcznym pismem i rysunkami.

Brody spojrział ponad ramieniem Indy'ego.

– To od Henry'ego?

– Tak. To dziennik ojca poświęcony sprawie Graala.

– Ale dlaczego wysłał go do ciebie?

– Nie wiem - Indy rozejrzał się jeszcze raz po pokoju i wrócił do dziennika. - Mam wrażenie, że to jest to, czego szukają. Chyba komuś na tym cholernie zależy.

Postukał lekko w skórzaną oprawę notatnika. *Zaufał mi. W końcu pokazał, że mi ufa, i że we mnie wierzy.*

– Czy mogę zobaczyć? - spytał Brody.

– Jasne. Jest w nim wszystko. Życie poświęcone w całości wiedzy i nauce.

Kiedy Brody przerzucał strony dziennika, bruzdy przecinające jego twarz pogłębiły się na chwilę.

– Te badania były jego pasją, Indy.

– Wiem. Ale czy wierzysz w tę bajkę, Marcus? Wierzysz, że Graal istnieje naprawdę?

Brody przerwał kartkowanie stron i wpatrzył się we wklejony do pamiętnika obrazek. Był na nim Chrystus na krzyżu oraz Józef z Arymatei, nabierający do złotego kielicha krwi ukrzyżowanego.

Uniósł wzrok znad ilustracji i powiedział z przekonaniem:

– Poszukiwanie Świętego Graala jest poszukiwaniem pierwiastka Bożego w każdym z nas.

Indy skinął głową, starając się ukryć zwątpienie, ale jego pobłażliwy uśmiech nie zdołał umknąć Brody'emu.

– Wiem, chcesz faktów, ale nie pomogę ci. W moim wieku muszę brać niektóre rzeczy na wiarę. Bardziej to czuję, niż mogę dać temu świadectwo.

Indy nie powiedział nic. Jego wzrok spoczął na obrazku na ścianie. Przedstawiał jedenastowiecznych krzyżowców spadających z wysokiej skały. Wszyscy lecieli w dół na spotkanie ze śmiercią - prócz jednego, szybującego bezpiecznie w przestworzach z Graalem w dłoniach.

Przypomniał sobie, jak ojciec zmuszał go do czytania *Parzivala* – opowieści o Graalu autorstwa Wolframa von Eschenbacha. Miał wtedy tylko trzynaście lat i trudno mu było wyobrazić sobie bardziej beznadziejny sposób spędzania letnich popołudni. W każdym razie trudno mu było sobie

to wyobrazić przed nadejściem następnego roku, kiedy ojciec kazał mu przeczytać tę historię jeszcze raz, tym razem w wersji staroniemieckiej. Później Wagner zrobił z tego operę (*Parsifal*), opartą na utworze Eschenbacha.

Każdego dnia ojciec odpytywał go z tej historii, chcąc mieć pewność, że Indy naprawdę ją zrozumiał. Kiedy nie potrafił odpowiedzieć na któreś z pytań, musiał wracać do czytania i przerabiać od nowa cały rozdział. Dla zachęty ojciec obiecał mu, że kiedy opanuje w całości dzieło Wagnera, dostanie nagrodę.

Indy zastanawiał się, jaki rodzaj nagrody ojciec może mieć na myśli. Miał nadzieję, że będzie to wycieczka do Egiptu połączona ze zwiedzaniem piramid, ewentualnie do Aten, by zobaczyć Panteon, albo może do Meksyku, na Jukatan, gdzie spoczywają ruiny państwa Majów. W ostateczności - uważał - zasługuje przynajmniej na wypad do stanowego muzeum, by obejrzeć mumie.

Okazało się jednak, że w nagrodę otrzymał książki z legendami o królu Arturze i Świętym Graalu. Najpierw - *Le Morte d'Arthur* sir Thomasa Malory'ego - musiał przeczytać ją w pierwszej kolejności po francusku, potem po angielsku. Później dostał w prezencie *Idylls of the King* lorda Tennysona. *Fajna nagroda*, myślał rozczarowany. Pomimo jednak nienawiści do trudnych lektur i cichego żalu do niegodziwości losu, nigdy nie zapomniał przygód rycerzy Parsivala, Gawaina i Feirifsa - bohaterów *Parzivala*, ani Artura, Lancelota i Merlina z arturiańskich legend. Szczerze mówiąc - w tej chwili zdał sobie z tego sprawę - te legendy wywarły wpływ na całe jego życie.

Ponieważ Indy nie odzywał się, Brody odchrząknął i dokończył:

– Jeżeli twój ojciec wierzy w istnienie Graala, ja wierzę także.

Indy nie był pewien, w co on sam wierzy, choć jedno wiedział na pewno - musi działać, trzeba podjąć jakieś kroki.

– Zadzwoń do Donovana, Marcus. Powiedz mu, że biorę bilet do Wenecji. Mam zamiar odnaleźć ojca.

– Dobrze. Powiem mu, że bierzemy dwa. Jadę z tobą.

Zajechali na lotnisko w spektakularnym stylu, na tylnym siedzeniu luksusowej limuzyny, w towarzystwie jej właściciela, Waltera Donovana. Indy wziął z pracy urlop na żądanie. Kiedy złożył wniosek, dziekan spojrział na niego spode łba. Jak w ogóle może zwracać się z prośbą o urlop w momencie, kiedy już opuścił tydzień semestru! Wtedy Indy wtajemniczył go w szczegóły sprawy - na wspomnienie jego ojca postawa dziekana momentalnie uległa zmianie. Pokiwał z powagą głową, zapatrzył się w okno i opowiedział Indy'emu swoją historię. Indy słyszał już tę opowieść, ale tym razem jej zakończenie niosło nieco inne przesłanie. Dotyczyło to incydentu, kiedy to pewien, zwykle gburowaty kolega doktora Henry'ego Jonesa urządzał wystawę swoich ostatnich archeologicznych odkryć. Na imprezę przybyło wielu archeologów i innych naukowców z kilku wschodnich uniwersytetów. Przyjechali nie dlatego, że podziwiali pracę tego człowieka, ale dlatego, że bali się go.

Kiedy nadszedł moment odsłonięcia najważniejszego eksponatu w całej kolekcji, Henry Jones wyszedł na środek salonu, zerwał nakrycie z ceramicznej figurki, która miała okazać się starsza niż wszystko, co w nowożytnych czasach zostało kiedykolwiek odkryte. Potem wziął figurkę do ręki i roztrzaskał ją o podłogę, oznajmiając, że jest fałszywa. Został natychmiast wyprowadzony przez ochronę, ale po zbadaniu dowodów, okazało się, że miał rację i tak skończył się terror tamtego złego profesora.

Dziekan odwrócił się od okna i spojrział Indy'emu w oczy.

– Tamten profesor był moim konsultantem i robił wszystko, by doprowadzić do wydalenia mnie z uczelni, bo nie zgadzałem się z jego ekspertyzami. Tak też twój ojciec niechybnie ocalił moją karierę. Tak, oczywiście, jedź i znajdź doktora Jonesa. Świat potrzebuje takich ludzi jak on!

W drodze na lotnisko Indy rozmyślał nad tym, co wiedział o zaginięciu ojca. Było w tym wszystkim wyjątkowo niewiele faktów. Jak sądził, to maniakalna żądza wiedzy o świętym Graalu pchnęła ojca do wyruszenia na tę nietypową ekspedycję. Biorąc pod uwagę jego wiek, najprawdopodobniej uznał, że to pierwsza i ostatnia szansa na znalezienie Graala i rozwiązanie zagadki, której poświęcił całe swoje życie.

*Cholerny opętany starzec!*

Gdyby tylko łączyły ich lepsze stosunki, nigdy by się to nie wydarzyło. Indy obwinił siebie. Zawsze miał złe nastawienie do wszystkiego, co łączyło się z jego ojcem. Ale teraz postanowił naprawić wszystko, co było złe i zaprowadzić ostatecznie porządek.

Kiedy limuzyna zatrzymała się przed wejściem na lotnisko, Donovan ścisnął dłoń Brody'ego.

– Powodzenia, Marcus.

*Tak jakby powodzenie miało tu cokolwiek do rzeczy,* pomyślał Indy.

– Dzięki, Walterze - Brody skinął głową nerwowo. - Czy kiedy przylecimy do Wenecji...

– Nie martw się o nic. Odbierze was doktor Schneider - zapewnił Donovan. - Mam w Wenecji apartament. Jest do waszej dyspozycji.

– Dziękuję, Walterze, to wspaniale.

Brody wysiadł z samochodu i Indy miał zrobić to samo, kiedy Donovan dotknął jego ramienia.

– Uważaj na siebie. Nie ufaj NIKOMU. Rozumiesz?

Indy napotkał jego spojrzenie.

– Zrobię wszystko, co będzie konieczne, żeby odnaleźć ojca.

Samolot szybował ponad chmurami, które drobnymi białymi cętkami przecinały jasne niebo. Pod nimi rozlewał się Atlantyk - olśniewająca blaskiem pustynia błękitu. Ale Indy nie dostrzegał żadnej z tych rzeczy. Przez całą podróż był pochłonięty studiowaniem notatnika.

Przedzierał się przez niego, czytając w skupieniu każdą stronę w poszukiwaniu jakichś wskazówek.

– Słowo *Graal* pochodzi od łacińskiego *gradualis*, co oznacza stopień - przeczytał na jednej z pierwszych stron. - Zagadka świętego Graala mówi o sześciu stopniach lub poziomach świadomości, z których każdy przedstawiony jest pod postacią innego zwierzęcia.

Symbolem pierwszego stopnia jest kruk - posłaniec Graala i palec Boży, który wprowadza w tajemnicę.

Drugi stopień to paw, który symbolizuje poszukiwanie nieśmiertelności. Pokazuje także prawdę o barwności i urokliwej naturze zagadki.

Trzeci stopień został wyrażony pod postacią łabędzia, ponieważ ten, kto poświęci się zagadce Graala, śpiewa łabędzią pieśń egoizmowi i zepsuciu. Żeby rozwiązać zagadkę, należy przezwyciężyć słabości umysłu i serca, wyjść poza własne uprzedzenia i sympatie.

Czwarty poziom wyznacza pelikan - ptak, który potrafi w krytycznym momencie żywić swoje młode mięsem wyrwanym z własnej piersi. Wskazuje na wagę poświęcenia i wolę zaryzykowania własnego życia dla dobra innych.

Na piątym miejscu jest lew - symbol władzy, potęgi i walki w imię wyższych celów.

Szósty - najwyższy poziom, opisany wizerunkiem orła, jest możliwy do osiągnięcia na samym końcu. Wtedy gdy poszukiwacz Graala zdobędzie siłę i wiedzę, potrzebną, by zrozumieć w pełni znaczenie swoich poszukiwań.

Indy podniósł wzrok znad lektury i spróbował zmienić pozycję na ciasnym siedzeniu. To było typowe zagranie ojca - mówienie za pomocą symboli i metafor. Był naukowcem i żył w świecie abstrakcji. Wydawało mu się, że notatnik zawierający informacje o świętym Graalu powinien być prawie tak samo niezwykły i mistyczny, jak sam Graal.

Ustęp o zwierzętach przypomniał mu o czymś, o czym od pewnego czasu nie myślał. W wieku osiemnastu lat wrócił na południowy zachód - pojechał na wyprawę w poszukiwaniu oświecenia, pod kierunkiem starego Indianina Navajo. Wspiął się na płaskowyż w Nowym Meksyku sam, bez zapasu pożywienia. Tam zbudował kryjówkę i czekał.

Indianin powiedział mu, że musi czekać, aż podejdzie do niego pierwsze zwierzę i od tej pory ono będzie jego obrońcą i strażnikiem duchowym. Minęły dwa dni. Jego żołądek był pusty, w gardle całkiem mu wyschło. Niczego bardziej nie pragnął niż zejść na dół i napić się wody. Wstał, podszedł na skraj wzgórza i spojrzał w dół. Co go opętało, żeby zdecydować się na coś tak szalonego?

Właśnie miał zamiar zejść w dół, kiedy wydało mu się, że słyszy głos starego Indianina, nakazujący mu zawrócić. Przestraszony, obejrzał się za siebie. Nie było tam nikogo. To głód i pragnienie powodują omamy, pomyślał. Ale zamiast zejść ze wzgórza, wrócił do swojej kryjówki.

Zrobił nie więcej niż dziesięć kroków, kiedy po niebie zaszybował orzeł, obniżając lot nad płaską skalistą powierzchnią. Majestatyczne stworzenie wylądowało z gracją na ścianie jego kryjówki. Odnalazł swojego obrońcę.



Kiedy opowiedział tę historię staremu Navajo, ten skinął głową i rzekł, że od tej pory orzeł zawsze będzie go prowadził.

Indy został wyrwany z zadumy w momencie, gdy dotknął go w ramię steward i spytał, czy ma ochotę czegoś się napić. Skinął głową i kiedy poprawiał się w fotelu, na przejście między rzędami wypadł z notatnika zwinięty kawałek papieru. Steward podniósł go i podał mu kartkę wraz z drinkiem. Indy postawił szklankę na tacy przed sobą i rozwinął papier.

To była odbitka - jak od razu się zorientował - tablicy Graala, którą widział u Donovana. Górna część kartki była pusta, jak gdyby czekała na wypełnienie treścią z zaginionej części.

– Spójrz, Marcus.

Podał kartkę Brody'emu i wtedy dopiero zorientował się, że jego partner śpi jak zabity. Zwinął papier z powrotem i zamierzał właśnie wsunąć go do dziennika, gdy zauważył szkic na stronie, na której pamiętnik się otworzył.

Rysunek przedstawiał witraż z wizerunkiem rycerza. Pod spodem widniało jedno słowo: WENECJA. Zastanawiał się przez chwilę, co to może oznaczać.

Rozwiązanie tej zagadki nie zabrało mu wiele czasu.

# Rozdział VIII.

## Rzymskie cyfry

WENECJA

– Ach, Wenecja - westchnął Indy, rozglądając się wokół, uśmiechając się do własnych myśli, sycąc oczy widokami.

Nie istniało drugie takie miejsce na ziemi. Wenecja była prawdziwym balsamem dla jego skołataney duszy. Kiedy wodnym tramwajem przemierzał z Brodym miasto, nagle gdzieś się ulotnił ponury nastrój, który nie opuszczał go od momentu, gdy dowiedział się o zaginięciu ojca.

Powietrze było przesycone słodkim zapachem wody, niebo nad głowami wyścielał delikatny błękit i Indy poczuł przypływ dobrego humoru. *Będzie dobrze*, powiedział sobie. Odnajdzie ojca. Musiał w to wierzyć, nie było innego wyjścia.

– Pomyśl tylko - odezwał się Brody. - Miasto zbudowane na lagunie, archipelagu stu osiemnastu wysp!

Indy przytaknął.

– I jeszcze jak zbudowane!

Wspaniałość Wenecji olśniewała. Miasto było perłą kultury i nauki, areną wielkiej historii i romantycznej fikcji oraz - bez wątpienia - nieprzeliczonych intryg i awantur.

Kiedy przybili do przystani, stan euforii opuścił Indy'ego w jednej chwili. Banda faszystów wlokła za sobą cywila. Na widok lodzi, człowiek podjął próbę ucieczki. Reakcja faszystowskich milicjantów była błyskawiczna i ostra. Zaczęli okładać mężczyznę pałami, kopali go ciężkimi buciorami. Człowiek jęczał, krzyczał i próbował wydostać się

spod ich ciosów. W końcu przewrócił się na bruk nieruchomy, z zakrwawioną twarzą.

Ta scena zirytowała Indy'ego wprost niewyobrażalnie. Był pewien, że zacierzowanie policjantów znacznie przekraczało ich kompetencje. Najwyraźniej czerpali przyjemność z tego, co robili - przypomniało mu to żeglarzy, z którymi zmierzył się na tamtej barce.

– Ach, Wenecja! - powtórzył.

Tym razem jednak jego głos był cięższy, bardziej ponury, pełen troski o to, co aktualnie dzieje się we Włoszech i w całej Europie. Faszyści i naziści sięją spustoszenie jak kontynent długi i szeroki. *Czy ktoś, do diabła, wie, kiedy się to wszystko skończy? Gdzie? Jak? I czy w ogóle?*

Ponury nastrój ogarnął go na nowo.

– Okropnie mnie denerwują takie sytuacje - powiedział Brody, kiedy znaleźli się w porcie. - Mam nadzieję, że nie natkniemy się w trakcie tej podróży na więcej scen przemocy.

Indy spojrzał na niego. Brody przybrał tradycyjny zmartwiony wyraz twarzy.

– Tak. Ja też.

Ale Indy czuł, że trudno będzie tego uniknąć.

Rozejrzeli się i Indy myślał, jak mają rozpoznać doktora Schneidera. Donovan nie opisał w żaden sposób wyglądu kolegi ojca. Powiedział jedynie, że będzie na miejscu.

– Może będzie miał przy sobie jakiś szczególny znak - zasugerował z nadzieją Brody.

Nagle z tłumu wyszła ku nim, uśmiechnięta kobieta. Była atrakcyjną blondynką o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i szczupłej sylwetce. Miała oczy w kolorze lazurytu - jasne i inteligentne.

– Doktor Jones?

– Tak - uśmiechnął się Indy. Schneider najwyraźniej przysłał po nich swoją sekretarkę i - jeżeli chodzi o niego - nie miał nic przeciwko temu.

– Wiedziałam, że to pan - jej maniere były bezwstydnie kokieterijne. -  
Ma pan oczy swojego ojca.

Pociągała go.

– A uszy matki. Reszta należy do pani.

Myślał, że się speszy. Nic podobnego. Roześmiała się - przejrzystym, cudownie brzmiącym, pełnym życia śmiechem. Przemknęło mu przez głowę, że to z niego się śmieje. *Co u licha, pomyślał. Czyżby to nie była szczególnie oryginalna puenta?* Co za różnica. Powiedziałby to jeszcze raz, byle tylko usłyszeć znowu ten śmiech.

– Jak widać, to co najlepsze, zostało już zajęte.

Indy roześmiał się, rozbawiony ripostą.

Kobieta obróciła się do Brody'ego.

– Marcus Brody?

– Zgadza się.

– Nazywam się Elsa Schneider.

Indy'emu zrzędała mina.

Brody bezskutecznie próbował zamaskować zaskoczenie.

– Ach, pani Schneider! Rozumiem.

Uścisnął jej wyciągniętą dłoń. Odchrząknął i spojrzał na Indy'ego z nadzieją, że może ten podejmie konwersację, po czym spojrzał ponownie na kobietę.

– Miło panią poznać. Walter nie... To znaczy...

Uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

– Tak myślałam. Walter lubi zaskakiwać. Taki typ.

Wkroczyli na pusty plac Świętego Marka i Elsa zmieniła temat, przechodząc od razu do rzeczy.

– Ostatni raz widziałam pana ojca, gdy byliśmy w Bibliotece św. Marka. Właśnie teraz tam idziemy. Był bardzo bliski znalezienia grobu tego rycerza. Nigdy nie widziałam, żeby był tak podekscytowany. Zachowywał się jak uczeń. Był przekonany, że w grobie jest mapa, prowadząca do Graala.

Doktor Henry Jones - profesor Attyla - podekscytowany jak uczeń? Indy nigdy nie miał okazji poznać go z tej strony.

– Nigdy nie był podekscytowany, nawet gdy był uczniem.

Może praca z Elszą Schneider doprowadziła ojca do pomieszania zmysłów, pomyślał Indy. On sam nie mógł oderwać od niej oczu i musiał przyznać, że czuje pewne podniecenie. Gdy szli wzdłuż kanału, zobaczył sprzedawcę kwiatów, wyciągnął rękę i wyjął z tylnego bukietu czerwony goździk. Sprzedawca był zajęty klientem i nie zauważył jego błyskawicznego gestu.

Z uśmiechem wręczył kwiat Elsie.

– Fraulein, czy pani pozwoli?

Spojrzała na kwiat, potem podniosła wzrok na Indy'ego.

– Zazwyczaj nie pozwalam.

– Ja także zazwyczaj nie.

Patrzyła na niego przez chwilę.

– W tym wypadku pozwolę.

– Będzie mi szalenie miło.

Wzięła goździk od Indy'ego.

– Już mi smutno. Do jutra zwiędnie.

– Jutro ukradnę dla pani nowy. To wszystko, co mogę obiecać.

Roześmiała się znowu, tym pięknym, perlistym śmiechem, który Indy tak pragnął usłyszeć. Zaczął znowu coś mówić, ale Brody nagle mu przerwał.

– Nie znoszę się wtrącać, ale jesteśmy tu z pewnego powodu.

– Oczywiście - powiedziała Elsa poważnym głosem i sięgnęła do swojej torebki. - Mam zamiar coś wam pokazać. Jak już mówiłam, zostawiłam doktora Jonesa pracującego w bibliotece. Wysłał mnie do działu map po dawny plan miasta. Kiedy wróciłam, już go nie było, podobnie jak wszystkich dokumentów. Poza jednym.

Wyjęła kawałek papieru i popatrzyła - najpierw na Marcusa, później na Indy'ego. Znalazłam to przy jego krześle.

Indy wziął od niej kartkę i rozwinął. Były na niej tylko rzymskie cyfry: HI, VII i X.

Indy zaczął główkować nad tym zagadkowym przekazem.

Elsa wyciągnęła dłoń w rękawiczce w prawą stronę.

– Oto biblioteka.

Pokonali frontowe schody i Elsa wprowadziła ich do środka. Buty zastukały o wypolerowaną marmurową posadzkę. *To jest takie miejsce,* pomyślał Indy, *w którym zaczynasz mówić szeptem, tonem pełnym czci.*

– Przez cały tydzień szukałam tych cyfr - wyszeptała Elsa. - Trzy, siedem i dziesięć. Nie wydaje się, żeby nawiązywały do Biblii. Sprawdziłam wszystkie kombinacje rozdziałów i wersów Ewangelii.

Indy spojrzał na sufit zawieszony pięćdziesiąt metrów nad jego głową i na zdobione imponującymi witrażami ściany. Biblioteka była wielka i ciemna, na tyle duża, że można było się w niej zgubić.

Może ojciec wciąż gdzieś tu jest, tak zaabsorbowany jakimś przedpotopowym manuskrytem, że nawet nie wie o swoim zaginięciu.

– Teraz szukam w średniowiecznych *Kronikach* Jeana Froisarta - ciągnęła Elsa. - W tej bibliotece jest kopia oryginalnego tekstu. Być może trzy, siedem i dziesięć oznaczają numery woluminów.

Indy skinął głową. Był pod wrażeniem biblioteki, ale jednocześnie czuł się w niej jakoś nieswojo, wiedząc, że to z tego miejsca zniknął jego ojciec.

Była w tym wszystkim pewna ironia. Przypomniawszy sobie, jak profesor Jones robił mu wykłady na temat bibliotek. *Skarbnice ksiąg, Juniorze. Im więcej czasu spędzisz w bibliotece, tym będziesz mądrzejszy.*

Ojciec tkwił w bibliotekach, pogrążony w księgach, ale tym razem z pewnością nie pogrążył się sam. Indy był tego pewny. Ojciec musiał działać pod przymusem, nie z własnej woli. Nie był typem kogoś, kto ucieka od problemów. Był na to zbyt uparty.

Przeszli pomiędzy dwoma masywnymi granitowymi filarami i wkroczyli do sali z rzędami wysokich regałów pełnych książek. Elsa zaprowadziła ich w róg sali i zatrzymała się przy stole - wyciągnęła rękę i pogładziła z czułością leżące na nim drogocenne, oprawione w skórę woluminy.

– Oczy pani błyszczą - zauważył Indy.

– Takie miejsca wzruszają mnie niemal do łez. Każda pojedyncza księga to prawie świętość, jak cegła w świątyni całej naszej historii.

– Tak. Lubię dobrą książkę - zażartował Indy.

– Powiedziałbym nawet, że tu jest jak w kościele - dodał zgodnie Brody.

– W tym wypadku to prawie dosłowna prawda. Jesteśmy na świętej ziemi. To kiedyś była kaplica franciszkańskiego klasztoru.

– Elsa wskazała na kilka marmurowych filarów. - Te kolumny zostały zwiezione jako łupy po zniszczeniu Bizancjum podczas wypraw krzyżowych.

Indy zauważył kolumny, ale właściwie bardziej był zainteresowany znajdującym się powyżej stołu oknem. Był na nim witraż przedstawiający rycerza krucjaty. Obszedł stół, by przyjrzeć się bliżej, po czym zwrócił się do Elsy.

– Czy to przy tym stole widziała pani ostatnio mojego ojca?

Skinęła głową, wskazując na jeden z końców stołu.

– Siedział tutaj. Teraz sobie przypominam. Muszę sprawdzić w rejestrze zaginionych. Zostawiłam im zdjęcie Henry’ego. Powiedzieli, że będą mieć sprawę na oku.

W momencie, gdy Elsa znalazła się poza zasięgiem wzroku, Indy chwycił Brody’ego za ramię i wskazał na witraż.

– Marcus, widziałem już wcześniej to okno.

Brody zmarszczył brwi.

– Gdzie?

Indy wyjął notatnik i otworzył go na stronie ze szkicem, na który zwrócił uwagę podczas lotu.

– Tutaj.

Brody spojrział na szkic, potem na okno i znowu na szkic, i pokiwał powoli głową.

– Dobry Boże, Indy. To to samo.

– Czy widzisz to, co ja?

– Tak, rzymskie cyfry są częścią wzoru na witrażu.

– Tacie chodziło o coś tutaj.

Brody oddał notatnik Indy’emu.

– Tak, ale o co? Wiemy, skąd pochodzą cyfry, ale nie wiemy, co znaczą.

Indy zobaczył podchodzącą do nich Elbę i wetknął dziennik z powrotem do kieszeni.

– Ojciec przysłał mi notatnik z jakiegoś powodu. Tak więc dopóki nie dowiemy się, z jakiego, myślę, że powinniśmy zachować go dla siebie.

– Jasne - zgodził się Brody.

Elsa pokręciła głową.

– Ani śladu - zmarszczyła lekko brwi, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. - Wyglądacie tak, jakbyście o czymś wiedzieli. Co to takiego?



– To naprawdę takie oczywiste? - spytał Indy.

Rozglądał się uważnie po ścianach i sufitach. Gdzieś tu w pobliżu musi być rozwiązanie - był tego pewien. Jeszcze w życiu niczego nie był tak pewien.

Brody wskazał na okno.

– Trzy, siedem, dziesięć. Oto i źródło rzymskich cyfr.

– O Boże, rzeczywiście!

– Tata nie szukał KSIĄŻKI, ale grobu rycerza. Szukał samego grobu.

Elsa w jednej sekundzie pobladła.

– Co masz na myśli?

– Nie rozumie pani? Grób jest gdzieś w bibliotece. Powiedziała pani, że wcześniej tu był kościół.

Wzrok Indy'ego spoczął na jednej z marmurowych kolumn.

– Tu - wskazał palcem kolumnę i poszedł w jej stronę, a Brody i Elsa pośpieszyli za nim.

– Trzy - Indy wskazał na rzymskie cyfry wyryte w filarze i uśmiechnął się triumfalnie. - Założę się, że wszystkie są ponumerowane. Rozdzielmy się. Poszukajmy pozostałych - siódmej i dziesiątej.

Rozeszli się w różne strony, każdy w stronę jednej z kolumn. Chwilę później Brody skinął na Indy'ego. Znalazł VII.

Szukali dalej, ale nikt z nich nie mógł odnaleźć ostatniej cyfry - X.

Spotkali się ponownie w środku sali, mniej więcej w połowie drogi między kolumną z numerem III a kolumną z numerem VII.

– Cholera, to musi być gdzieś tu - mruknął Indy. - Musi tu być, jestem tego pewien.

Podszedł do schodów prowadzących na chór, wspiął się na górę i spojrzał w dół, mając nadzieję, że szersza perspektywa pomoże mu w odnalezieniu wyjaśnienia. Rzucił wzrokiem tylko raz - tak oczywiste nagle

się to okazało. Brody i Elsa stali na wymyślnie zaprojektowanej posadzce, na której znajdował się ogromny znak X, widoczny jedynie z górnej perspektywy.

– X wytycza cel - powiedział głośno, szeroko się uśmiechając.

Zszedł pośpiesznie w dół i znalazł centralną płytę, na której krzyżowały się ramiona cyfry X. Wyjął nóż i zaczął podważać płytę.

– Co pan robi? - wyszeptała Elsa i rozejrzała się nerwowo dookoła, by sprawdzić, czy ktoś nie widzi, jak szalony obcokrajowiec zrywa podłogę świątyni.

– Mam zamiar odnaleźć grób tego rycerza - słowa precyzyjnie się ze świstem przez zaciśnięte zęby, gdy Indy zmagał się z płytą. - Co pani o tym sądzi?

Płyta pękła z trzaskiem, odsłaniając szeroki na dwie stopy kwadratowy otwór, potwierdzający odkrycie Indy'ego. Zimne powietrze i wilgotny, zjełczały zapach wydobyły się z wnętrza ciemnej dziury.

Indy podniósł wzrok na Elbę i Brody'ego i uśmiechnął się promiennie.

– Bingo!

## Rozdział IX.

### Grób rycerza

– Nie zawiodłeś mnie, doktorze Jones - powiedziała Elsa, odgarniając do tyłu kosmyk jasnych włosów. - Jesteś wielki jak twój ojciec!

– Poza tym, że on zaginął, a ja nie.

Indy spojrział w dół, w głąb czarnej dziury, wyjął z kieszeni monetę i wrzucił ją w otwór. Po sekundzie dotarł do niego cichy plusk. Dno znajdowało się jakieś sześć stóp poniżej.

– Wracam za chwilę.

Miał zamiar spuścić się w dół, kiedy Elsa dotknęła jego ramienia.

– Damy przodem, doktorze Jones. Proszę mi pomóc.

Indy przechylił swoją fedorę, będąc pod wrażeniem kobiecej odwagi. Usiadła na skraju, spuściła nogi w otwór, po czym odwróciła się i spojrzała na niego.

– Gotowa - oznajmiła.

Wyciągnęła ręce nad głowę. Chwycił jej dłonie, a ona odbiła się od brzegu podłogi. Na chwilę zawisała w ciemności, potem Indy powoli opuszczał ją, aż nakazała, by ją puścił. Usłyszał, jak po chwili opada na podłogę.

Indy spojrział przez ramię na Brody'ego.

– Zostań na straży, Marcus.

Brody skinął głową.

– Zasunę z powrotem płytę, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Dobry pomysł - sięgnął do kieszeni po dziennik i wyjął z niego złożony kawałek papieru. Włożył go za koszulę i podał notatnik Brody'emu. - Miej na to oko.

– Jasne.

Indy spojrział w głąb otworu, po czym powiedział jeszcze do Brody'ego:

– Będę wkrótce. Mam nadzieję.

Skoczył do dziury. Pokrywa zasunęła się z powrotem nad jego głową. W jednym momencie ciemność otoczyła go ze wszystkich stron.

Z góry dobiegł regularny odgłos kroków. *Co, do diabła, robi ten Marcus, bierze lekcję tańca?*

– Elsa? - wyszeptał.

Zapaliła zapalniczkę - wątyły żółty ogienek zamigotał w ciemności jak jakiś dziwny gatunek owada. Wyteżył wzrok i zobaczył, że ona również wpatruje się w niego intensywnie.

– Słyszałaś to? - spytał.

– Co?

Popatrzył w górę, nie wiedząc - zawracać czy iść dalej. Być może bibliotekarz albo nawet policja znalazła Brody'ego dłubiącego przy płycie posadzki. Jeżeli teraz wyjdą, mogą już nigdy nie mieć drugiej szansy na znalezienie rycerza i drugiego znaku.

– To na pewno nic takiego.

Wziął od Elsy zapalniczkę.

– Chodź. Zróbmy, co mamy zrobić.

Było chłodno i cicho, a w powietrzu unosił się zapach podobny do odoru wilgotnych skarpet. Posuwali się korytarzem o kamiennych ścianach, Indy osłaniał dłonią płomyk zapalniczki. Urządzenie nie dawało za wiele światła i co chwilę musiał rozglądać się na wszystkie strony i wyteżać wzrok, by dostrzec, co znajduje się przed nimi.

Zatrzymał się i wpatrywał przez moment w wyrzeźbioną w ścianie niszę. Podszedł kilka kroków, nie wierząc w pierwszej chwili w obraz, który objawił mu się w migotliwym świetle. Przybliżył zapalniczkę i przyjrzał się

uważniej łypiącej nań czaszce i poczeriałym resztkom szkieletu, przykrytego gnijącymi pozostałościami płótna.

– Chyba odkryliśmy katakumby - dobiegł go z tyłu głos Elsy. - Pod drugą ścianą jest jeszcze jeden.

Indy spojrział przez ramię.

– Super. Lepiej chodźmy dalej. Nie sędzę, żeby któryś z tych przyjemniaczków był naszym legendarnym rycerzem.

Poszli przed siebie, mijając kilka kolejnych podobnych miejsc pochówku, gdy nagle Elsa wskazała na znaki wyrzeźbione w ścianie przy jednym ze szkieletów.

– Spójrz. Pogańskie symbole. Czwarty albo piąty wiek.

Indy podniósł zapalniczkę i podszedł bliżej, by przyjrzeć się znakom.

– Fakt. Jakies sześćset lat przed wyprawami krzyżowymi.

– Chrześcijanie zaczęli kopać takie korytarze i komory grobowe wieki później - dodała Elsa.

Miała rację i Indy powiedział jej to.

– Jeżeli rycerz z pierwszej krucjaty jest pochowany gdzieś tutaj, oto gdzie go znajdziemy.

Skierowali się dalej w głąb tunelu.

– My także odbywamy rodzaj krucjaty, nieprawdaż? - głos Elsy był cichy i poważny.

*Nieźle, pomyślał. Traktowała tę całą historię z Graalem tak samo poważnie jak mój ojciec.*

– Tak jakby. Myślę, że można tak to nazwać. - Przerwał. - Weź mnie za rękę.

– Dlaczego?

*Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie, pomyślał, ale cholera z tym.*

– Nie chciałbym się przewrócić.

Roześmiała się, jej palce dotknęły jego palców, a on objął jej dłoń.

Korytarz wił się w lewo przez jakieś kolejne sto jardów, po czym przeszedł w szerszą i bardziej wilgotną komorę katakumb. Wkrótce brnęli zanurzeni po kostki w wodzie - ciemnej i mulistej.

Indy zauważył, że woda miejscami wydyma się, tworząc na powierzchni bąble. Zanurzył palce i skleił je ze sobą.

– Ropa naftowa. Mógłbym wykopać tu studnię i nie skalać się więcej pracą do końca życia.

– Indy, patrz! - Elsa wskazała na kolejny znak na ścianie. - Menora. W dziesiątym wieku w Wenecji powstało wielkie żydowskie getto.

– To znaczy, jak sądzę, że jesteśmy na dobrej drodze.

Elsa zatrzymała się przed kolejnym wyrzeźbionym symbolem.

– Tego nie rozpoznaję.

Indy przestudiował rysunek i wiedział po chwili, co oznacza. Nie tylko widział go wcześniej, ale w dodatku przemierzył za tym pół świata, niejedną raz ledwie uchodząc z życiem.

– To Arka Przymierza.

– Jesteś pewien?

Spojrzał na nią, na jego ustach zagościł lekki uśmiech.

– Absolutnie.

Szli dalej przed siebie. Korytarz znowu się zwęził. Indy zatrzymał się. Usłyszał jakąś szamotaninę i piskliwy dźwięk. Podniósł zapalniczkę.

– Szczury.

Dwa, trzy, cztery. Nic wielkiego. Kiedy przechodził obok nich, zobaczył jeszcze kilka, a potem jeszcze. Były ich dziesiątki - skakały całymi stadami z gzymsów do wody. Podszedł ostrożnie kawałek dalej i zobaczył, że woda wręcz kotłuje się od szczurów. Zastanowił się. Były ich setki, może tysiące - ocean szczurów zalewał korytarz przed nimi.

Zrobiło się niewesoło.

Odwrócił się i popatrzył na Elbę. Migotliwe światło i cienie tańczyły na zmianę na jej twarzy. Rysowało się na niej obrzydzenie, ale nie przesadne, za co był jej wdzięczny. Zaproponował, żeby wspięli się na gzyms, na co skwapliwie przystała.

Na wilgotnej, śliskiej półce skalnej z trudem utrzymywali równowagę - posuwali się krok za krokiem, trzymając się za ręce, z plecami przyklejonymi do ściany. Pod nimi kotłowała się rzeka popiskujących szczurów, od czasu do czasu Indy zrzucał je nogą z gzymsu. Ostatecznie nie były to węże. Od chwili, gdy Indy jako dzieciak wpadł do pojemnika z węzami, czuł do nich awersję. Kilka lat temu, podczas wyprawy w poszukiwaniu Arki Przymierza został uwięziony w węzowisku i do tej pory śniło mu się to po nocach.

Przesuwając się wzdłuż skalnego wyłomu, poczuł nagłe uderzenie adrenaliny. Niebezpieczeństwo wywoływało u niego dwa skrajne uczucia - strach i podniecenie. Ścisnął dłoń Elsy i uśmiechnął się do siebie. Jeżeli chodzi o spacer po oślizłych, doszczętnie opanowanych przez szczury katakumbach, to nie można było znaleźć lepszego towarzysza niż Elsa Schneider. Była bystra, cudowna i nie wyglądała na bardziej wytrąconą z równowagi aniżeli on sam. Podobało mu się to. Co więcej, zdawał sobie sprawę, że takie wspólne doświadczenie zbliża ludzi i zaczynał cieszyć się na myśl, w jaki sposób ich znajomość może się rozwinąć - o ile oczywiście uda im się wyjść cało z tej wycieczki.

Spotkania z pięknymi kobietami w egzotycznych, pełnych niebezpieczeństw okolicznościach nie były chlebem powszednim w jego profesji. Studentki z jego wykładów na uniwersytecie nie zasługiwały na szczególną uwagę. Ale może jeszcze kiedyś napisze książkę, dzięki której

jego najbardziej intrygujące terenowe znajomości zmienia się w niezwykłą, poruszającą opowieść.

Korytarz skręcił i przeszedł w wielką salę zalaną czarną, słoną wodą, ale jak się okazało, nie było w niej szczurów. Ich oczy zdążyły przyzwyczać się do ciemności i Indy nie musiał już używać zapalniczki. Stanęli na chwilę, wpatrując się w środek pieczary. Na kamiennej platformie wystającej ponad poziom wody znajdowało się kilka starych trumien. *Ołtarz wyspowy* - pomyślał Indiana.

Przeszli, brodząc, w kierunku trumien. Gnijąca woda stawała się głębsza z każdym krokiem. Sięgała im już do kolan, a od celu dzieliło ich jeszcze jakieś pięćdziesiąt stóp.

– Idź za mną. Ostrożnie - nakazał Indy. - Dno jest śliskie.

W momencie gdy to powiedział, stracił równowagę i osunął się na kolana.

– Teraz rozumiesz, co mam na myśli?

Wstał, uśmiechając się zażenowany, po czym zrobił krok w przód i nagle woda sięgnęła mu do piersi.

– To tylko woda. Chodź!

Przesuwali się ostrożnie przed siebie, woda sięgała Elsie do ramion.

– Jeśli zrobi się jeszcze głębiej - Elsa ostrzegła go - wchodzę ci na plecy.

– Jasne. W porządku. A na czyje plecy mam wejść ja?

Wczołgali się na wystającą platformę i w jednej chwili zapomnieli o wodzie i szczurach. Stali się na powrót dwojgiem naukowców, badających średniowieczne, bogato rzeźbione trumny, wykonane z dębu i spięte ze sobą mosiężnymi grawerowanymi kłamrami.

– To musi być jeden z tych - powiedział Indy.

– Ten - wskazała Elsa.



Indy skinął głową. Nie był pewien, czy ma rację, ale ona zdawała się pewna.

– Nie wierzysz mi? Spójrz na mistrzostwo, z jakim zostały wykonane te rzeźby. Zrobił je ktoś, kto wierzył, że Bóg i piękno to jedno - powiedziała, przesuając delikatnie dłonią po trumnie.

Indy pochylił się i spróbował unieść wieko. Elsa przyłączyła się do niego. Wieko zatrzeszczało, ześliznęło się z trumny i uderzyło o kamienną platformę.

Indy zajrzał do środka i zobaczył pordzewiały pancerz zbroi i kunsztownie rzeźbioną tarczę. Przednia część hełmu była uniesiona i z wnętrza spojrzwały na niego oczodoły czaszki.

– To jest nasz rycerz - oświadczyła Elsa. - Popatrz na zdobienia tarczy. Takie same były na tablicy Donovana.

Indy był wniebowzięty. Chwycił Elbę za ramię i zawołał podekscytowany.

– Tarcza jest drugim znakiem. Znaleźliśmy ją!

– Szkoda, że on nie może tego zobaczyć.

– Kto, Donovan?

– Nie, jasne, że nie. Twój ojciec!

Indy rozejrzał się i spróbował wyobrazić sobie swojego ojca w tym miejscu. Nie był w stanie. Dla ojca ideał wyprawy stanowiły biblioteki.

– Tak, byłby do głębi wstrząśnięty!

Pochylił się nad trumną i starł warstwę kurzu i rdzy z rycerskiej tarczy. Pomimo euforii, w jakiej się znajdował, wspomnienie przeszłości i ciężkich relacji z ojcem, powróciło na nowo.

– Nigdy by tu nie dotarł. Nienawidzi szczurów. Przerażają go na śmierć - przypomniał sobie zdarzenie z dzieciństwa. - Wierz mi, wiem, co mówię.

Mieliśmy kiedyś jednego w piwnicy i zgadnij, kto musiał zejść i go zabić?  
Z wyrazami szacunku - niżej podpisany, w wieku zaledwie sześciu lat.

Indy sięgnął za koszulę i wyjął papierową odbitkę tablicy krzyżowca.  
Rozwinął ją i przyłożył do tarczy. Brakująca część była tu!

- Pasuje idealnie! Mamy ją!
- Skąd to masz?
- Tajemnica zawodowa.
- O, myślałam, że jesteście partnerami.

Powiedziała to urażonym tonem i Indy, który zaczął robić odbitkę brakującej części tablicy, przerwał na chwilę, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Nie tak szybko, Elso. Dopiero co się poznaliśmy.

Wrócił do swojej pracy nad kopiowaniem tarczy.

– To nie czas na rywalizację, doktorze Jones. Twój ojciec zaginął.  
Całkiem możliwe, że jest w poważnym niebezpieczeństwie, a tu...

Indy nagle wyprostował się w napięciu.

- Zaczekaj!

To nie jej słowa spowodowały, że nagle na nią krzyknął. Rozejrzał się i przechylił głowę, nasłuchując. Coś było nie tak. Usłyszał w oddali pisk, który zaczął zbliżać się i narastać. Znowu szczury.

Wtedy ujrzał biegnącą wzdłuż ścian katakumb płomienną poświatę. Za chwilę pojawiły się szczury. Tysiące szczurów kłębiło się w wąskim korytarzu, pędząc w panice w stronę komory, a potem kamiennej platformy.

W ciągu sekundy szczury osaczyły platformę i trumny. Wtedy Indy zobaczył, przed czym uciekały w takim popłochu. Z korytarza wytoczyła się ogromnych rozmiarów płomienna kula podsycana ropą i wysysająca z powietrza tlen. Nieposkromiona bestia, unicestwiająca wszystko na swej drodze. Ogień zaczął rozprzestrzeniać się w komorze i mknął w ich stronę.

Elsa krzyknęła.

Indy zatknął za koszulę papier z kopią tarczy, oparł się plecami o ołtarz i natarł stopami na trumnę. Ta przetoczyła się z łoskotem po kamiennej platformie i spadła z hukiem do wody. Zatonęła na chwilę, by zaraz wynurzyć się na powierzchnię.

– Skacz - krzyknął Indy.

Przez moment Elsa stała bez ruchu. Indy chwycił ją za rękę i szarpnął za sobą. Uderzyli w wodę, milimetry od przewróconej do góry dnem trumny. Języki ognia lizały powierzchnię wody i masy skwierczących w ogniu wyjących szczurów. Indy przyciągnął trumnę.

– Pod spód! Szybko! Zapas powietrza.

Elsa zawahała się; Indy położył dłoń na jej głowie, wepchnął ją pod wodę i wciągnął pod trumnę. Wynurzyła się w powietrznej komorze, dławiąc się i kaszląc, odgarnęła włosy z twarzy, by móc widzieć. Ponownie zaparło jej dech, gdy stanęła oko w oko z potworną rozkładającą się czaszką rycerza, którego zbroja została przymocowana do trumny.

Indy wynurzył się przy niej, skrzywił na widok czaszki i szarpnął za zwłoki. Oderwał je w końcu od trumny i wepchnął pod wodę. Jednak w zbroi zebrał się zapas powietrza i przerażająca twarz wychynęła ponownie na powierzchnię, łypiąc na nich ślepo.

– Precz! - Indy walnął czaszkę pięścią jak młotem, wbijając ją ponownie pod wodę. Kopnął zbroję i wtedy truchło wreszcie odpłynęło.

Temperatura rosła. Setki szczurów wdrapywały się na powierzchnię trumny. Drapanie ich pazurów i nieustający wrzask tworzyły ogłuszający hałas. Trumna kołysała się we wszystkie strony i w końcu zaczęła tonąć pod szczurzym ciężarem. Kilka szczurów wynurzyło się pod powierzchnią trumny, wyjąc i piszcząc.

– Indy. Boże!

Elsa uderzyła pływające w jej stronę zwierzę, potem strąciła inne, które wskoczyło jej od tyłu na plecy. Zdawały się być wszędzie, przerażone gryzły wszystko, na co natrafiły. Indy nokautował z pięści jednego szczura za drugim. Na głowę zaczął im spadać deszcz trocin, gdyż gryzonie rozpaczliwie usiłowały przegryźć trumnę, by dostać się pod spód. Jeden wpadł przez wygryzioną dziurę, zaraz po nim zaczęły wpadać następne.

Część szczurów została zaatakowana przez ogień i wpadała z sykiem do wody. Wnętrze trumny wypełnił swąd spalonych gryzoni. Gorąc nie do zniesienia wypełniał komorę i wysysał z niej zapas powietrza. Indy zaczął kaszleć i przecierać pięściami oczy.

Elsa krzyczała zaatakowana przez szczury.

*To musi się kiedyś skończyć. Musi,* próbował przekonywać siebie Indy.

– Trumna się pali - wrzasnęła Elsa.

– To szczury - powiedział Indy, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko. Wiedział jednak, że ich sytuacja jest rozpaczliwa.

– Umiesz pływać?

– Austriacka drużyna pływacka. Olimpiada letnia w 1932. Srebrny medal w wolnym stylu na pięćdziesiąt metrów.

– Zwykle *tak* lub *nie* wystarczyłoby w zupełności. Weź głęboki oddech. Musimy przepłynąć pod ogniem.

Nabrali powietrza w płuca i zanurkowali. Płynąc, Indy zastanawiał się, w którym miejscu wybuchł ogień. Może przyczyną był płomień zapalniczki. Ale nie, zauważyliby dużo wcześniej.

Trzydzieści sekund. Co, jeśli ktoś szedł za nimi. Co stało się w takim razie z Brodym?

Czterdzieści pięć sekund.

Indy wyczuł boczną ścianę. Zobaczył blade światło i skierował się w jego stronę.

Minuta. Światło przebijało przez znajdujący się w ścianie otwór.

Zatrzymał się i obejrzał na Elbę. Strumień światła musi prowadzić na zewnątrz. Tylko czy zdołają przejść przez otwór? Podpłynął i pokonawszy niecałe pięćdziesiąt stóp w górę, znalazł wylot. Przebijał przez niego promień światła, szyb kanału miał średnicę mniej więcej szerokości jego ramion.

Odwrócił się jeszcze raz do Elsy i wskazał na wylot kanału, nakłaniając ją, by płynęła. Potrząsnęła głową i dała mu gestem znak, by zrobił to pierwszy.

Indy nie miał zamiaru się spierać. Był pod wodą od co najmniej półtorej minuty albo i dłużej, i czuł, że płuca za chwilę mu pękną. Wybił się z całej siły, wystrzelił w górę i jego głowa wynurzyła się na powierzchnię. Nabral chciwie haust powietrza. Jeszcze nigdy nic tak wspaniale mu nie smakowało.

Za moment Elsa wynurzyła się obok niego. Ku jego zaskoczeniu nawet nie wyglądała na zdyszana.

Indy spojrzał w górę. Dwadzieścia stóp dzieliło ich od dziennego światła. Indy wsparł się plecami o jedną stronę szybu, nogi oparł na przeciwległej i tym sposobem zaczął wspinać się w górę.

Elsa poszła w jego ślady.

– Nie spadnij na mnie - zawołała.

– Nie miałem takich planów.

Spojrzał w dół tylko raz. Elsa wyglądała jak jakiś dziwny krab, pełznący pod nim, jej jasne włosy były mokre i zmierzwione. Poczwała na sobie jego wzrok i podniosła głowę. Uśmiechnęła się, Indy również roześmiał się cicho i skoncentrował na wspinaczce.

Kiedy dotarł na szczyt, pchnął z jednej strony kratę studzienki. Ta podniosła się odrobinę, po czym opadła z powrotem. Spróbował jeszcze raz

bez większego sukcesu. Zobaczył nad sobą czyjeś stopy i krzyknął. Jakiś człowiek spojrział w dół i Indy zawołał do niego, by odciągnął kratę.

Nieznajomy spełnił jego prośbę i podał mu rękę.

Gdy znalazł się na zewnątrz, rozejrzał się i sięgnął w głąb kanału, wołając do Elsy, by schwyciła jego dłoń. Zrobiła to i Indy wyciągnął ją na chodnik.

Mężczyzna spojrział na nich i spytał po włosku, czy wszystko u nich w porządku.

Elsa odpowiedziała przekonującym tonem, że mają się świetnie.

Indy rozejrzał się ponownie. Byli na rogu placu Świętego Marka, tuż obok kawiarnianego ogródka, z którego ludzie gapili się na nich i rozmawiali ze sobą podekscytowanym tonem. Indy uśmiechnął się szeroko na widok tej isticie pocztówkowej sceny.

– Ach, Wenecja!

Jego dobry humor jednak wkrótce prysnął.

## Rozdział X.

### Śmiercionośni agenci

Indy przeniósł wzrok z kawiarnianej klienteli na mężczyznę, który pomógł mu wydostać się ze studzienki. Chciał mu podziękować, kiedy zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. W przeciwieństwie do wszystkich dookoła, mężczyzna nie zwracał na nich uwagi. Stał wpatrzony w gmach biblioteki. Indy powędrował za jego wzrokiem i zobaczył czterech innych ludzi biegnących w ich stronę. Pierwszy miał na głowie fez. Drugi odbezpieczał karabin maszynowy.

– Hej, hej!

Nagle szczegóły zaczęły łączyć się w całość - hałas, który Indy usłyszał po tym, jak Brody zasuwiał płytę, tajemniczy pożar, w końcu kierunek, z którego nadciągali ci ludzie. Indy'ego tknęło nagłe przecucie, że on i Elsa są ścigani. Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w stronę Wielkiego Kanału.

Elsa biegła za nim, ociągając się - nie wiedziała, co myśleć o tym nagłym zrywku Indy'ego.

– Co robimy? Oszalałeś?

Szarpnął jej dłoń.

– Mamy towarzystwo.

Odwróciła się i pognęła pędem za nim.

– Masz rację.

Indy wskoczył do motorówki. Próbował ruszyć. Silnik zawarczał i zgasł.

– Szybciej, Indy. Są prawie...

Spróbował jeszcze raz i silnik zapalił. Gdy wrzucił bieg łodzią ostro zarzuciło i Elsa krzyknęła.

Indy dodał gazu i odwrócił się - w samą porę, by uniknąć ciosu pięścią. Jeden z napastników zdążył wskoczyć na pokład w momencie, gdy motorówka odbijała od brzegu. Łódź skręciła gwałtownie, podczas gdy mężczyźni wymieniali ciosy. Elsa przeczołgała się pomiędzy nimi, chwyciła za ster i wykręciła ostro, ledwie unikając zderzenia z kilkoma gondolami. Gondolierzy przerwali śpiewanie i zaczęli wygrażać w ich stronę pięściami. Jedna z gondol wywróciła się uderzona gwałtowną falą wywołaną pędem motorówki.

– Przepraszam - zawołała Elsa.

Indy toczył walkę z nieznajomym na pokładzie rozpędzonej motorówki. Dostał potężny cios w żołądek i zwinął się wpół. Napastnik wstał, żeby dokończyć dzieła, ale Indy uderzył pierwszy. Trafił go prosto w szczękę, wyrzucając za burtę. Zatarł ręce, żeby uśmierzyć ból. Wolałby zostawić nieznajomego na pokładzie, mógłby wtedy zadać mu kilka pytań, ale cóż - tamten najwyraźniej nie chciał współpracować.

– Mam nadzieję, że panujesz nad tym - krzyknął do Elsy.

– Nie jestem pewna.

Para wyścigowych łodzi motorowych pędziła w ich stronę z oszałamiającą prędkością. Indy przeczołgał się w kierunku steru.

– Pozwól, że cię wyręcę.

– Poczekaj, muszę...

Podniósł wzrok i szczęka mu opadła. Płynęli prosto na ogromny parowiec. Kadłub statku dryfował w kierunku doku i był już coraz bliżej nabrzeża.

– Zwariowałaś? - krzyknął. - Nie w środek!

Ale do Elsy dotarły tylko fragmenty jego słów.

– W środek? Zwariowałaś?



Indy potrząsnął głową, zdezorientowany. Zrobił kolejny krok w stronę steru, ale Elsa już obrała straceńczy kurs na lukę pomiędzy parowcem a dokiem. Zamachał rękami jak oszalały.

- Nie! Elsa, powiedziałem - DOOKOŁA!
- Powiedziałeś W ŚRODEK!
- Nie powiedziałem!

W tym momencie nie miało to już znaczenia. Kadłub statku i bok doku były tuż przed nimi - jak ściany wąwozu. Indy kucnął, złapał burłę motorówki i zacisnął powieki w oczekiwaniu na uderzenie. Usłyszał przeszywający zgrzyt metalu. Ale wciąż byli cali. Otworzył oczy i spojrzał za siebie. Za nimi właśnie jedna z innych łodzi uderzyła w kadłub.

Indy odetchnął z ulgą. Ale moment później zobaczył, jak inna łódź wyłania się zza odległej burty parowca.

- Daj mi to - powiedział, przejmując ster. - Przerażasz mnie.

Zablokował z całej siły ster, skręcając ostro w prawo, by zmylić pościg, ale łódź za nimi również wykonała gładki manewr i nadciągała pędem z lewej strony.

– Dobra, panowie - powiedział Indy przez zaciśnięte zęby. - Zobaczymy, co potraficie.

Szarpnął ster w lewo, mając nadzieję przyprzeć drugą łódź do brzegu kanału. Nagle jednak usłyszeli trajkotanie karabinu maszynowego i od burty odbiły się odłamki.

- Jasne, wszystko jasne.

Indy momentalnie zmienił kurs, płynąc zygzakiem przed łodzią napastników. W końcu karabin zakrzuszył się i umilkł.

Indy chwycił za swój pistolet i wystrzelił w stronę motorówki, wykorzystując czas, kiedy przeciwnicy pozostawali bez amunicji.

- Indy, patrz!

– Co?

Elsa wskazała ręką w prawo. Zmierzali wprost w stronę obracających się ostrzy ogromnej śruby na rufie kolejnego parowca.

Napastnicy zmniejszyli dystans. Jeden z mężczyzn trzymał wycelowany w nich karabin maszynowy. Drugi za sterem, wstał i uśmiechnął się do Indy'ego szeroko. Był śniady, pod czterdziestkę, miał wąsy i czarne kręcone włosy wystające spod fezu. Ciemne oczy o niesamowitym wyrazie zdawały się przewiercać Indy'ego na wylot. Łódź nieznajomych uderzyła w nich, spychając bliżej kręcącej się w miejscu śruby.

Indy czuł się tak wyczerpany, że ledwie był w stanie myśleć. Rozwiązał starożytny kod, stoczył walkę ze szczurami w oślizgłym kanale, znalazł rycerza od Graala i ledwie uszedł z życiem przed szalejącym ogniem. Teraz jeszcze nieoczekiwana pogoń i niebezpieczna walka na wodzie. Gdy znalazł się oko w oko z nieznajomym, zwyczajnie chciał wiedzieć, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi.

Wtedy przypomniał sobie o Brodym.

– Co zrobiłeś mojemu przyjacielowi w bibliotece?

Człowiek zaśmiał się, jego oczy wyglądały teraz jak dwa bezkresne czarne oceany.

– Twój przyjaciel jest bezpieczny. Martw się lepiej o siebie.

Indy odwrócił się i zobaczył, że znosi ich coraz bliżej śruby.

– Kim jesteś i czego chcesz?

– Mam na imię Kazim i szukam tego samego, co ty, przyjacielu.

– Dziękuję, nie potrzebuję przyjaciół twojego pokroju. Nie wiem, o czym mówisz.

– Och, myślę, że wiesz, doktorze Jones.

Łódź rozkołysała się na falach wzburzonych ruchem śruby. Indy odwrócił się do Elsy i dał jej oczami znak, że czas działać.

– Dość gładzenia - wrzasnął Kazim, przekrzykując huk śruby. - Więcej szczęścia w kolejnym życiu!

Gestem nakazał swojemu uzbrojonemu towarzyszowi, by ich zastrzelił.

Elsa przeskoczyła na drugą łódź, odwracając na moment uwagę posiadacza broni.

Indy również skoczył, podbijając od spodu lufę karabinu, który wystrzelił w powietrze. W trakcie walki o przejęcie kontroli nad karabinem, silnik łodzi nagle zapalił.

Motorówka wyrwała gwałtownie do przodu i Indy stracił równowagę. Wypadł za burtę, pociągając za sobą mężczyznę z karabinem. Zostawił tamtego i popłynął najszybciej jak mógł, by nie dać się wciągnąć pod noże. Przerażony strzelec zaczął w panice wzywać pomocy.

Indy'ego dobiegł głośny chrzęst. Druga łódź została wessana pod wodę, z ogłuszającym trzaskiem śruba parowca siekała ją jak kawałek balsy, zarzucając strzępami łodzi powierzchnię wody.

Kazim rozkołysał motorówkę, na której stał, podprowadzając ją najbliżej parowca. Indy podpłynął do niej, a Elsa przechyliła się przez burtę i wyciągnęła do niego rękę.

Mężczyzna od broni miał mniej szczęścia. Już rzucał się w musującym wirze wodnym kilka stóp od tnących ostrzy. Zawołał jeszcze raz do Kazima, ale było za późno. Indy obejrzał się dokładnie w momencie, kiedy tamtego wciągnęło pod śrubę.

Woda nagle spieniła się i wypełniła czerwienią. Kazim wrzucił bieg i łódź wyrwała w przeciwnym kierunku, uchodząc przed siłą wiru. Płynął zygzakiem, próbując strząsnąć Indy'ego. Ale Elsa trzymała kurczowo jego rękę, ciągnąc go do czasu, aż złapał drugą dłoń za krawędź burty. Wtedy, w ostatnim przyptywie energii podciągnął się z wody i opadł ciężko na dno łodzi, z trudem łapiąc oddech.

Podniósł głowę i zobaczył, jak Kazim próbuje naładować broń, jednocześnie sterując łodzią. Przeczłgał się do przodu i rzucił na ster, powodując obrót łodzi o sto osiemdziesiąt stopni i zwrot na nowo w kierunku parowca.

– Indy, płyniemy znowu na...

Zanim Elsa zdążyła dokończyć, Indy wyłączył zapłon, wyciągnął klucz i zacisnął palce na gardle mężczyzny.

– Dobra, Kazim, czas na małą pogawędkę.

Poluzował uścisk na gardle Kazima i ten zaczął mówić, jękając się.

– Ty niemądry człowiek - próbował nadać swojemu głosowi spokojny i dumny ton. - Co robisz, doktorze Jones? Zwariowałeś?

– Gdzie jest mój ojciec?

– Puść mnie, proszę.

– Gdzie-jest-mój-ojciec?

– Jeśli nie przestaniesz, doktorze Jones, obydwaj zginiemy. Płyniemy prosto pod parowiec.

Indy usłyszał odgłos tnących wodę ostrzy. Nawet nie spojrzał w tamtą stronę. Oczy miał szeroko otwarte, a ton jego głosu zabrzmiał histerycznie.

– Dobrze, zginiemy!

– Moja dusza jest na to przygotowana, doktorze Jones. - Głos Kazima stał się czysty i spokojny. - Ale co z twoją? Czy twoja dusza jest gotowa, doktorze?

Indy chwycił Kazima za koszulę.

– To twoja ostatnia szansa, do cholery!

Koszula Kazima rozdarła się, odsłaniając tatuaż na piersi z wizerunkiem chrześcijańskiego krzyża, który zwęzła się w dół jak ostrze pałasza.

Mężczyzna spojrzał na Indy'ego spokojnie, niewzruszony.

– Co to ma być? - spytał Indy.

Kazim podniósł wysoko głowę.

– Stary symbol rodzinny. Moi praszczurowie byli książętami imperium, które rozciągało się od Maroka po Morze Kaspijskie.

– Chwała Allahowi - powiedział cicho Indy.

– Dziękuję i niech Bóg ma w opiece także i ciebie. Ale ja miałem na myśli chrześcijańskie imperium Bizancjum.

Indy uśmiechnął się szeroko.

– Jasne. A dlaczego próbowałaś mnie zabić?

Elsa dotknęła jego ramienia.

– Indy, ty z kolei zabijesz nas wszystkich, jeśli zaraz stąd nie odpłyniemy.

– Poczekaj - przerwał rozdrażnionym tonem. - Mów, Kazim. To zaczyna być ciekawe.

– Tajemnica Graala pozostawała bezpieczna przez tysiąc lat. Przez cały ten czas Bractwo Miecza Krzyżowego było gotowe na każde poświęcenie, by ją chronić.

– Bractwo Miecza Krzyżowego? - Elsa zdawała się nie pamiętać o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazła; ciekawość okazała się silniejsza.

Oczy Indy'ego zwęziły się, gdy przyjrzał się jeszcze raz tatuażowi na piersi Kazima. Za moment natrafił na jego spojrzenie. Ryk ostrzy stał się tak głośny jak wtedy, gdy znalazł się w wodzie. Łodzią zarzuciło.

– Zapytaj siebie samego, po co ci szukanie Chrystusowego kielicha. Dla jego chwały czy dla twojej - powiedział Kazim.

– Nie przyjechałem po kielich Chrystusa. Przyjechałem odnaleźć ojca.

Kazim skinął głową i spojrzał ponad ramieniem Indy'ego na parowiec.

– W takim razie niech Bóg ci sprzyja w twoim poszukiwaniu. Twój ojciec jest w zamku Brunwald na austriacko-niemieckiej granicy.

Indy odepchnął Kazima gwałtownie i wcisnął klucz w zapłon.

Przekręcając go, poczuł na plecach krople wody rozpylane w powietrzu przez olbrzymią śrubę parowca. Silnik zawarczał i zgasł.

– Włączaj się! No już!

Indy spróbował jeszcze raz. Tym razem silnik zwiększył obroty, przywracając łódź do życia i udało im się uskoczyć dosłownie w ostatniej sekundzie - jeszcze moment i ostrza przeżuwałyby kadłub motorówki.

– Jesteś nieobliczalny! - krzyknęła Elsa, jej śliczna twarz poczerwieniała jak poparzona słońcem.

– O mało nas nie zabiłeś!

Uśmiechnął się.

– Wiem. Ale dostałem to, czego chciałem. Spytaj Kazima, gdzie go podrzucić.

Indy był już myślami daleko stąd.

# Rozdział XI.

## Apartament Donovanana

Po gorącej kąpieli, jedzeniu i dziewięciu godzinach snu, Indy był gotów obejrzeć mieszkanie Donovanana, które ten odstąpił im na czas pobytu w Wenecji. Mieszkanie to za mało powiedziane - to miejsce było w rzeczywistości pałacem.

Sklepione sufity, podłogi z grubych marmurowych płyt. Zabytkowe wyposażenie wart fortunę. Na zewnątrz rozciągał się dziedziniec, było kilka balkonów, a w środku co najmniej tuzin pokoi.

Na ścianach wisały najwspanialsze obrazy szesnastowiecznych weneckich artystów: Veronesego, Tintoretta i Tycjana.

Indy zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że większość z tych obrazów została namalowana w celu podniesienia *ego* szesnastowiecznej arystokracji popisującej się przed odwiedzającymi dygnitarzami bogactwem, wszystko po to, by podkreślać swój niezależny stan. Uśmiechnął się na myśl, że Donovan został ulepiony z tej samej gliny, dwudziestowieczny patrycjusz.

Owszem, to wszystko robiło wrażenie, ale wyglądało nazbyt pretensjonalnie w prywatnym mieszkaniu. Wiele z tych dzieł powinno znajdować się w muzeum, gdzie mogłoby podziwiać je wielu ludzi. Było to nawet nieprzyzwoite, że tak wiele piękna zarezerwowano tylko dla nielicznych, którzy przekroczą próg tego mieszkania.

Poszedł do biblioteki. Na każdej z czterech ścian od podłogi do sufitu piętrzyły się półki. *Nieźle*, pomyślał. Jego ojcu na pewno by się tu spodobało. Rozejrzał się wśród książek i wybrał wolumin zatytułowany *Oceana - Wspólnota Narodów* autorstwa Jamesa Harringtona. Wydanie

było oryginalne, z 1656 roku. Przekartkował książkę, która otwierała się na zaznaczonej stronie i przeczytał zdanie opisujące Wenecję: *Nie przydarzył się nigdy dotąd żadnej wspólnotcie narodów tak niezmqcony spokój, stałość i pokój jaki w Wenecji jednej panował.*

– Dobrze - zaśmiał się gorzko Indy.

Spokój, pokój - sprawy przybrały nieco inny obrót w ciągu trzech kolejnych stuleci. Przywołał w pamięci obraz trzech brutalnych faszystów. Potarł z roztargnieniem jedno z potłuczonych żeber, starając się nie myśleć o własnych, dalekich od atmosfery sielanki przygód, których doświadczył w tym mieście.

Może zresztą miasto pozostawało nadal spokojne dla niektórych ludzi, ale on się do nich z pewnością nie zaliczał.

To był jego drugi dzień w Wenecji; on, Elsa i Brody wciąż dochodzili do siebie po wydarzeniach poprzedniego dnia. Brody miał na głowie guz wielkości kurzego jaja, w miejscu gdzie wymierzono mu cios. Indy miał obolałą szczękę i żebra - pozostałość po ciosach pięścią. Elsa z kolei cierpiała z powodu pogryzienia (niewielkiego, na szczęście) przez szczury i lekkiego poparzenia ramienia podczas pożaru w katakumbach.

Indy był pod dużym wrażeniem, że nie wspomniała słowem na temat swoich ran, aż do momentu, gdy odnaleźli Brody'ego, błakającego się w amoku po bibliotece i trafili w końcu razem do mieszkania Donovana. Dzisiaj chodziła zadumana i patrzyła na niego tak, jakby chciała mu o czymś powiedzieć. Ale za każdym razem, gdy próbował zagaić rozmowę, znajdowała wymówkę.

– Indy!

W drzwiach biblioteki pojawił się Brody, jedną ręką przytrzymując na głowie okład z lodem, w drugiej ściskając pomięty kawałek papieru.

– Jak głowa, Marcus?



– Teraz, jak to zobaczyłem, lepiej. Prawie wyszło. Powinieneś rzucić okiem.

Indy nigdy nie widział Brody'ego w stanie takiej euforii. Marcus wpadł do biblioteki i rozłożył papier na masywnym stole z mahoniu. Była to pozostałość z odbitki rycerskiej tarczy. Papier był wysmarowany i wyblakły po kąpieli w tunelu, ale wciąż cały. Teraz, kiedy wysechł, Indy stwierdził, że odbitka jest dość czytelna.

– Wiemy, że brakującą częścią tablicy Graala jest nazwa miasta, prawda? Indy przytaknął.

Brody wskazał na zabytkowe liternictwo i Indy pochylił się, by lepiej widzieć. Ale Brody nie był w stanie się powstrzymać.

– Widzisz, to Alexandretta.

– Jesteś pewien?

– W stu procentach.

Indy podszedł do regału i grzebał wśród książek, aż znalazł atlas.

– Co robisz? - spytał Brody.

– Szukam mapy okręgu Hatay.

Indy wiedział, że rycerze pierwszej krucjaty oblegali Alexandrettę ponad rok i że miasto zostało w wyniku tego doszczętnie zniszczone. Potem na jego zgliszczach, na wybrzeżu Hatay powstało miasto Iskenderun. Znalazł stronę, której szukał i postukał w nią palcem.

– Patrz, Marcus. To tu. Pustynia i łańcuch górski. Dokładnie tak, jak opisuje tablica Graala. Gdzieś w tych górach musi być Kanion Półksiężycy - przerwał, studiując dalej mapę. - Tylko gdzie? W tych górach, dobrze, ale GDZIE?

– Twój ojciec wiedziałby - powiedział Brody cicho.

– Wiedzialby?

– Pozwól mi spojrzeć do notatnika.

Indy podał mu dziennik.

Twój ojciec WIEDZIAŁ. Znał wszystko oprócz nazwy miasta, od którego trzeba zacząć. Narysował mapę, tyle że bez nazw. Oto ona!

Położył notatnik na stole i otworzył na mapie naszkicowanej na dwóch stronach ołówkiem. Indy rzucił na nią okiem w trakcie lotu, ale że nie było żadnych nazw, nic mu to nie powiedziało.

Indiana przesuwiał palcem po szkicu.

– Henry prawdopodobnie zbierał to do kupy ze stu różnych źródeł przez ostatnie czterdzieści lat.

– Co to przedstawia? - spytał Indy, choć powoli zaczynał już rozumieć.

– Szlak prowadzi dokładnie na wschód, za miasto, przez pustynię i do oazy. Później skręca na południe w kierunku rzeki, która płynie w stronę górskiego pasma, tu, i wpływa do kanionu. Ale ponieważ nie znał nazw, nie wiedział, o KTÓRE miasto, o KTÓRĄ pustynię i o KTÓRĄ rzekę chodzi.

Teraz już wiedzieli. Ojciec wykonał naprawdę niezłą robotę.

– Jestem pewien, że ilość naniesionych tu szczegółów jest wystarczająca, by odnaleźć to miejsce. Indy, ja mam zamiar tego dokonać. - Brody popatrzył na Indy'ego, był w stanie prawdziwej euforii po tym odkryciu. - Mam nadzieję, że pójdziesz ze mną.

Indy pokręcił głową i zamknął notatnik.

– Muszę odszukać ojca. Z samego rana wyjeżdżam do Austrii.

Brody pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Oczywiście. O czym ja myślę? Lepiej będzie...

– Nie. Ty jedź, Marcus. Ja... My dołączymy do ciebie.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Brody milczał przez chwilę, jak gdyby zastanawiał się, czy podjął słuszną decyzję. W końcu ożywił się.

– Cóż, zostało nam jeszcze parę godzin w Wenecji. Wykorzystajmy to! Zwiedziłbym z rozkoszą Gallerię dell'Accademia. Mają tam najwspanialszą kolekcję weneckiego malarstwa, jaka istnieje. Chodźmy, co?

– Jesteś pewien, że czujesz się na siłach?

Brody zdjął z głowy okład z lodem.

– Czuję się świetnie. Czy wiesz, że w tej kolekcji jest *Burza* Giorgionego, *Legenda o świętej Urszuli* Carpaccia i *Ofiarowanie Dziewicy* Tycjana? Jest tam wszystko - Brody tryskał entuzjazmem. - Od pierwszych czternastowiecznych mistrzów do największych dzieł z połowy osiemnastego stulecia.

Indy wzruszył ramionami.

– Dobra, chodźmy. Zapytam Elbę, czy do nas dołączy.

Elsa najwyraźniej nie miała ochoty. Wyglądało na to, że cierpi z powodu spóźnionego szoku czy czegoś takiego - wstrząsu wywołanego wcześniejszymi burzliwymi wydarzeniami. A może wpadła w depresję - sprawiała takie wrażenie, jakby to, że udało im się przeżyć, jakoś ją zdołowało.

– Chyba odpuszczę sobie galerię - powiedziała w końcu. - Pójdę kupić coś na obiad. Mam nadzieję, że nie macie mi za złe?

– Nie pragniesz towarzystwa? - Nie miałby nic przeciwko temu, by spędzić resztę popołudnia sam na sam w jej towarzystwie, podczas peregrynacji Brody'ego po weneckich muzeach. Może nawet pomóc przy obiedzie.

Pokręciła przecząco głową.

– Idź z Marcusem. Spotkamy się w domu.

*To tyle, jeśli chodzi o romantyczny obiad, pomyślał, i poszedł się ubrać.*

Pięć minut po opuszczeniu apartamentu Indy z Marcusem znaleźli się na Ponte dell'Academia, drewnianym moście nad Wielkim Kanałem. W Wenecji było czterysta mostów, ale tylko trzy z nich przecinały Wielki Kanał. Ten został zbudowany w czasach wielkiego kryzysu i ponoć był tymczasową budowlą.

Zatrzymali się na górze. Po lewej stronie widok rozciągał się aż do bazyliki Świętego Marka - jedenastowiecznej budowli z okresu Bizancjum. Zewnętrzna część świątyni pochodziła z trzynastego wieku i pamiętała czasy złupienia imperium w trakcie czwartej krucjaty. Po prawej stał Palazzo Balbi - pałac, na którego dachu wznosiły się obeliski.

– Przemyslałem to, Marcus. Nie podoba mi się pomysł twojej samotnej wyprawy.

– Indy, jestem przekonany, że twój ojciec by tego chciał. Jeżeli będziemy zwlekać, ci niebezpieczni ludzie z dziwnego braterstwa mogą nas ubiec i kto wie, co stanie się ze świętym Graalem.

– Nie mogę cię zatrzymać. Ale zanim wyjedziesz, skontaktuj się z Sallahem. Niech spotka się z tobą w Iskenderun.

Brody przytaknął. Sallah był ich starym przyjacielem. Kiedy Indy przemierzał Egipt tropem Arki Przymierza, Sallah uratował mu życie niejedyn raz. Teraz wiedział, że będzie się czuł nieco spokojniejszy o Brody'ego jeżeli Sallah będzie z nim.

Spędzili dwie następne godziny, spacerując po salach Accademii. Brody był pełnym entuzjazmu i znającym się na rzeczy przewodnikiem. Objąśniał szczegółowo symbolikę kolejnych dzieł. Zaznaczył, że okres renesansu był dla weneccjan pewnego rodzaju paradoksem. W przeciwieństwie do pozostałej części Włoch, miasto nie posiadało rzymskiego dziedzictwa. Powstało na styku kultur pomiędzy wschodem a zachodem, antykiem a średniowieczem, Wenecja zachowała swoje tradycje z wczesnej ery

chrześcijańskiej. W efekcie renesans był raczej adaptacją stylu i myśli niż odrodzeniem. A jednak to Wenecja wyprodukowała najlepsze z dzieł włoskich tego okresu.

Indy'ego ciekawiły te historie, jednak nie był tak ogarnięty pasją jak Brody. Zawsze powtarzał studentom, że istnieje pewien pomost między sztuką i archeologią, z tą jednak różnicą, że dla tej drugiej szczątki zakonserwowanego kału mogą być tak samo interesujące i cenne jak malowana ceramika lub finezyjnie zdobione złoto.

Pod koniec drugiej godziny Indy widział, że Brody jest już zmęczony; przypomniał mu, że rana na jego głowie jest wciąż świeża i że powinien odpocząć.

– Czuję się dobrze, Indy. To tylko drobne wstrząśnienie mózgu i lekki ból głowy. Jutro będę jak nowy.

Ale zgodził się, że pora wracać.

Kiedy zbliżali się do mieszkania, Indy poczuł narastający niepokój. Jakby ktoś wbijał mu w kark tuziny maleńkich igiełek. Lata doświadczeń nauczyły go nie bagatelizować tego uczucia. To był rodzaj intuicji, która niejednokrotnie wyratowała go z opresji.

Podświadomość i tym razem go nie zawiodła. Drzwi były lekko uchylone. Spojrzał do środka, po czym ostrożnie wszedł do mieszkania i rozejrzał się.

– Elsa - zawołał niepewnie.

Jego głos odbił się w ciszy pustym echem.

– Elsa! - tym razem krzyknął podniesionym głosem.

Dalej nie było odpowiedzi.

*Tak samo, jak z ojcem.* Ciarki przeszły mu po plecach.

– Sprawdzę w kuchni - powiedział Brody.

Indy popędził w stronę swojej sypialni i otworzył na oścież drzwi. Pokój został splądrowany. Materac leżał na podłodze, szuflady były opróżnione.

*O, Boże. Co się z nią stało?*

Pośpieszył korytarzem do pokoju Elsy. Zatrzymał się, wziął głęboki oddech i przekręcił klamkę. Ktoś przekopał także i jej pokój. Intruz wyrzucił rzeczy z jej szuflad, pozrywał ubrania z wieszaków, zdarł prześcieradła z materaca.

*Ale gdzie, do diabła, była ona?*

Wyszedł z pokoju i usłyszał daleki, przytłumiony głos. Poszedł, skradając się, w głąb korytarza. Głos stał się głośniejszy, wyraźniejszy. To był kobiecy głos - śpiew dobiegający z łazienki.

Uchylił lekko drzwi.

– Elsa?

– Cześć, Indy.

Leżała w wannie pełnej piany i uśmiechała się do niego szeroko. Bąbelki otaczały jej szyję jak naszyjnik z przezroczystych pereł. Z piany wynurzyło się gładkie białe ramię.

– Mój drogi. Niektórzy próbują odpocząć.

Wycofał się, z uczuciem ulgi, że nic się jej nie stało. Niech się jeszcze nacieszy kąpielą.

– Zaraz wychodzę - zawołała za nim.

Wrócił do swojego pokoju i spojrzał na krajobraz po bitwie. Ten ktoś, kto przetrząsał mieszkanie, musiał zostać przyłapany, gdy Elsa wróciła z zakupów i pewnie ukrywał się gdzieś do momentu, kiedy weszła do łazienki. Wtedy ptaszek wyfrunął.

Począł do chwili, gdy usłyszał śpiew Elsy w korytarzu. Popatrzył na zegarek, szacując, kiedy zmieni ton melodii.

Krzyknęła, a on uśmiechnął się. Czekał, aż przybiegnie do jego pokoju. Usłyszał kroki. Otworzył szeroko drzwi. Miała na sobie płaszcz kąpielowy, jej włosy były jeszcze mokre.

Wyglądała na zupełnie wytrąconą z równowagi.

– Indy, mój pokój...

– Tak, mój także.

Pokręciła głową.

– Ale czego szukali?

– Tego.

Wyjął z kieszeni dziennik i rzucił nim o stół.

– Notatnik Graala twego ojca. Miałeś go przy sobie.

– Yhyyyy.

– Nie powiedziałeś - pokręciła głową. - Nie ufasz mi.

Nad ramieniem Elsy Indy dostrzegł, jak Brody zerka do pokoju i dał mu znak, że wszystko w porządku. Brody, czując, że sprawy przybierają osobisty obrót, wycofał się czym prędzej.

– Nie znałem cię - spojrzał w jej łagodne błękitne oczy. Miał ochotę dotknąć palcem jej wydatnych ust. Chryste, naprawdę trudno było się jej oprzeć. - Albo może chciałem poznać cię lepiej.

– Podobnie jak ja - jej głos stał się lekko chropawy. - Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłam.

– Czy zdarza ci się to często.

– Nie. Nigdy. To słodkie uczucie.

Przybliżył się do niej i dotknął jej twarzy.

– Nie ufaj mu, Elsa.

– Co masz na myśli?

– Przeżyliśmy razem niebezpieczeństwo. Ledwie wyszliśmy z tego z życiem. To dlatego.

– Tak?

Uśmiechnęła się nieśmiało, a Indy pochylił się nad nią, dotknął jej podbródka, uniósł go i delikatnie ją pocałował. Jej usta miały lekki posmak pasty do zębów. Podobał mu się zapach mydła na jej skórze. Przysunęła się do niego blisko, pocałował ją mocniej, na co odpowiedziała namiętnie.

– Zaopiekuj się mną, Indy - zaszeptała, poczuł na swoim uchu jej ciepły oddech.

Jego dłonie zawędrowały do paska od jej szlafroka.

– Wczoraj potrafiłaś zaopiekować się sama sobą całkiem nieźle - jak na historyka sztuki.

– Co ty wiesz o historykach sztuki, doktorze Jones? Chyba że wiesz?

– Wiem, co lubię.

– Cieszę się z tego, Indiano Jonesie.

Chwyciła go z tyłu za włosy i przyciągnęła jego twarz do swojej. Całowała go długo i namiętnie. Jej pocałunek był tak silny, że Indy ranił wargi o własne zęby. Starł kroplę krwi wierzchem dłoni.

– Jesteś nieobliczalna.

– Może. Podobnie jak i ty.

Jej oczy błyszczały. Oddychała ciężko, czekając na jego ruch. Uśmiech nadał jej ustom nowy kształt. Jej włosy uniósł lekko wieczorny wiatr, który wtargnął przez okno. Za oknem brzmiał śpiew gondoliera.

– Ach, Wenecja - powiedział półgłosem Indy i zamknął drzwi sypialni.



## Rozdział XII.

### Zamek Brunwald

*AUSTRIA/NIEMCY*

Wynajęty mercedes-benz sunął serpentynami austriackich Alp. Gdy wyruszyli, niebo było czyste, gładkie, niemal błękitne. Ale późnym popołudniem, gdy on i Elsa zbliżali się do niemieckiej granicy i terenów zamku Brunwald, na horyzont wspięły się burzowe chmury, a w dali przetoczył się grzmot.

*Doskonały dzień na towarzyską wizytę*, pomyślał Indy, rzucając okiem na Elbę.

Patrzyła prosto przed siebie. Jej jasne włosy były związane z tyłu, gasnące światło ślizgało się po wysokich kościach policzków, wydatnych ustach, prostym nosie - w tej chwili zaróżowionym na czubku z zimna. Powrócił myślami do ich namiętnego wieczoru w Wenecji i wyciągnął rękę, by dotknąć jej karku. Miała chłodną i suchą skórę - odwróciła głowę, uśmiechając się z roztargnieniem, jakby była myślami gdzie indziej.

*Gdyby było już po tym wszystkim*, pomyślał, *on i Elsa mogliby...* Właściwie nie wiedział. Mógłby o czymś pomyśleć. Zadawała mu pytania o uniwersytet, instytut archeologii i historii sztuki, dając do zrozumienia, że być może miałyby ochotę go odwiedzić - kto wie, co mogło się zdarzyć.

Zaparkował na dziedzińcu. Za przednią szybą wyrosła twierdza - surowa i niegościnna. Ciemne okna na górnych piętrach nie zdradzały niczego, zamek był niedostępny jak skalna ściana. Zastanawiał się, gdzie może być pokój ojca. Czy w ogóle miał coś takiego jak pokój? Może tkwił w lochu, zakuty w łańcuchy. Może nawet nie żył.

Nie. To zła myśl.

To nie był czas na złe myśli. Nie miał pojęcia, skąd się dowiedzieć, gdzie przetrzymywany jest ojciec, a tym bardziej w jaki sposób może go stąd wyciągnąć. A może w ogóle go tu nie ma. Może to był tylko zwykły wybieg ze strony Kazima, mający odwrócić jego uwagę od świętego Graala.

– No to jesteście - powiedział cicho. Poczuł znajome mrowienie z tyłu szyi, ostrzegające go przed niebezpieczeństwem. Tak, jego ojciec tu był. Z całą pewnością.

– Imponujący, nieprawdaż? - powiedział Elsa.

– Wiesz coś o tym miejscu?

– Jest w posiadaniu rodziny Brunwald od wielu pokoleń. Mają duże wpływy w tym regionie, ale nie są szczególnie lubiani.

Indy zauważył staw obok zamku, nad jego lustrem szybował samotny łabędź. Jego długa szyja układała się w pełen gracji luk, a śnieżnobiałe pióra zdawały się iluminować na tle czarnych wód jeziora. Przypomniał sobie o łabędziu z notatnika ojca. Symbolizował jeden z poziomów świadomości w poszukiwaniach Graala i miał coś wspólnego z przełamywaniem słabości umysłu i serca.

Elsa była jego słabością. Zaspokoił swoje pragnienie jak człowiek, który po dniach spędzonych na pustyni bez wody odnalazł w końcu oazę. Wziął ją zachłannie, a ona spełniła każde jego marzenie. Po co miałby on, albo ktokolwiek inny, chcieć przewycięzać takie pragnienia?

– O czym myślisz? - spytała.

– A, o niczym.

– Tak, założę się - powiedziała łagodnie.

Zmarszczył brwi, niezadowolony, że jego uczucia są tak łatwo czytelne.

Elsa odgarnęła włosy z ramion zdecydowanym ruchem. Indy odebrał to jako rodzaj odprawy albo może sygnał, żeby wziąć się do rzeczy. Sięgnął na tylne siedzenie po bykowiec, momentalnie koncentrując myśli na celu wizyty. Przywiązał bicz do pasa, wysiadając z samochodu.

– Co zamierzasz? - spytała, gdy skierował kroki w stronę zamku.

– Nie wiem. Coś wymyślę.

Zapukał do drzwi i czekał. Niebo przecięła oślepiająca strzała błyskawicy. Niemal natychmiast po tym rozległ się grzmot i zaczęło padać. Połyskujące krople osiadały na dobrze skrojonym płaszczu Elsy.

– Pożycz mi swój płaszcz.

– Zimno ci? - spytała kpiąco.

– Mam pewien pomysł.

Zrzuciła płaszcz, a on czym prędzej zarzucił go sobie na ramiona, zakrywając skórzaną kurtkę i bat, zanim ciężkie drewniane drzwi otworzyły się z hukiem.

– Tak?

W drzwiach ukazał się umundurowany kamerdyner. Z jego tonu bił taki chłód, że z powodzeniem mógłby zmrozić owocową galaretkę.

Indy przyjął wyniosłą pozę angielskiego arystokraty i spojrzał z góry na kamerdynera z odpowiednią arogancją.

– Wolniej się nie dało? Miałeś zamiar trzymać nas na tych schodach cały dzień? Jesteśmy kompletnie przemoczeni!

Mówiąc to, Indy torował sobie drogę, przepychając się obok przerażonego lokaja, ciągnąc za sobą Elsę. Kichnął.

– O, proszę! Złapałem katar!

Wysiąkał głośno nos w chustkę. Elsa patrzyła w zdumieniu na całe to przedstawienie.

– Czy jest pan umówiony? - Głos kamerdynera pozostał mroźny i oschły.

– Przestań łaskawie zwracać się do MNIE tym tonem, drogi przyjacielu, tylko leć i powiedz baronowi, że przyjechał lord Clarence Chumley z asystentką obejrzyć gobeliny.

– Gobeliny?

Indy zwrócił się do Elsy:

– Moja droga, ten człowiek jest chyba niedorozwinięty. Myślisz, że nie dosłyszał, co powiedziałem?

Odwrócił się z powrotem do lokaja i powiedział:

– To jest zamek, tak? Czy są w nim gobeliny?

– Tak, to jest zamek. Są w nim gobeliny, a jeśli ty jesteś angielskim lordem, ja jestem Jesse Owens.

– Jak śmiesz! - zawołał Indy napuszonym angielskim falsetem i powalił oziębłego służącego jednym mocnym ciosem w szczękę.

Kamerdyner uderzył bezwładnie o kamienną posadzkę jak nakręcana zabawka, której mechanizm się wyczerpał. Indy zatarł dłonie.

– Co za tupet! - Nadal mówił podniesionym głosem angielskiego lorda. - Słyszałaś, w jaki sposób ze mną rozmawiał, kwestionując moje maniery, mój honor, mój dobry smak?!

Elsa śmiała się i kręciła głową z niedowierzaniem, pomagając mu zaciągnąć lokaja do narożnej szafy.

– Niewiarygodne! Bardzo przekonujące, milordzie.

Indy porzucił swoją pozę, chwycił Elsę za rękę i pociągnął ją wzdłuż szerokiego, sklepionego korytarza.

– Dobra, przejdźmy do rzeczy.

Zdjął płaszcz, kiedy szli pośpiesznie przez hol. Elsa założyła go z powrotem i zaczęła mówić coś szeptem, ale Indy przytknął palec do ust, nakazując jej milczenie.

Dobiegły ich głosy.

Dali nura do alkowy, gdzie schowali się za potężną rzeźbą. Zobaczyli mijającą ich parę umundurowanych nazistowskich żołnierzy. Jeden z nich śmiał się głośno z czegoś, co powiedział drugi - jego głos popłynął echem wzdłuż korytarza.

– SS-mani, powinienem się być domyślić - wyszeptał Indy do Elsy, gdy tamci zniknęli.

Wyśliznęli się ze swojej kryjówki i poszli dalej korytarzem.

– Jak myślisz, gdzie mogą trzymać tatę?

– W lochu?

– Bardzo śmieszne. - Dziwnie podobne do tego, co sam pomyślał przed chwilą.

W korytarzu pojawił się służący, pchający przed sobą wózek z pozostałościami po uczcie. Indy i Elsa ukryli się za schodami i patrzyli. Nie jedli od ładnych paru godzin i ich oczy zaświeciły się na widok resztek na platerach. Indy przycisnął rękę do żołądka, by powstrzymać go przed burczeniem. Zastanawiał się, czy to był obiad ojca. Miał taką nadzieję. Przynajmniej nie przymiera głodem w tej niewoli.

Ukryli się pod schodami. Indy chciał zyskać na czasie, by rozeznac sytuację. Potrzebował informacji, ilu ludzi było w zamku, jakie panowały tu porządki, o ile w ogóle były jakieś, a jeśli tak, to w jaki sposób mógłby je wykorzystać.

Usłyszał grzmot pioruna i deszcz siekący w okno nad ich głowami.

Elsie zaburczało w brzuchu.

Żołądek Indy'ego zareagował podobnie.

Spojrzeli na siebie i roześmiali się cicho.

Indy wsłuchał się w odgłos kroków na schodach. Na dół schodził służący z tanią tacą, eskortowany przez uzbrojonego niemieckiego

żołnierza. Na tacy stała metalowa miska z aluminiową, przytwierdzoną łańcuchem łyżką.

Obiad ojca właśnie ich minął.

– No, TO mi bardziej wygląda na więzienne menu - wyszeptał Indy, gdy tamci dwaj zniknęli z pola widzenia.

– Tak, obawiam się, że to prawda.

Czas było wziąć się do roboty, wyszli ze swojej kryjówki i ruszyli po schodach. Ale gdy tylko znaleźli się na piętrze, pojawiło się więcej nazistów. Tym razem Indy i Elsa ukryli się za masywnym filarem i poczekali, aż przebrzmiał głośny stukot żołnierskich butów.

Kiedy dotarli na kolejne piętro, niedaleko uchyliły się drzwi - ze środka dobiegły głosy. Indy zerknął przez szparę - naziści byli zajęci przeglądaniem dzieł sztuki. *Zagrabione łupy* - pomyślał.

Hitler usiłował zgromadzić tyle europejskich dzieł sztuki i zabytkowych przedmiotów, ile tylko mógł, ale nie wyłącznie przez wzgląd na wartość starożytnych skarbów. Indy zdawał sobie doskonale sprawę, że Hitler interesuje się szczególnie zbieraniem przedmiotów magicznych, które, jak wierzył, mogą przyczynić się do wzrostu jego mocy i, co za tym idzie, poszerzenia granic imperium.

To właśnie naziści próbowali przeszkodzić Indy'emu w poszukiwaniu Arki Przymierza. Gdy tylko ją odnalazł, od razu natknął się na bandziorów Fuhrera, którzy chcieli, by mu ją odebrać. Nie mógł pojąć motywów postępowania Hitlera, dopóki sam nie doświadczył mocy Arki - czegoś, czego nie potrafił do tej pory wyjaśnić. Ostatecznie udało mu się dowieźć Arkę do Stanów, gdzie bezcenny i tajemniczy przedmiot skonfiskowali biurokraci. Teraz, jak sądził, czeka ukryty gdzieś w jakimś zakurzonej magazynie.

Słyszał także, że Hitler poszukuje starożytnej dzidy, która przedziurawiła bok Jezusa Chrystusa. Bez wątpienia wódz Trzeciej Rzeszy z chęcią położyłby łapę także na kielichu, w którym znajdowała się krew Jezusa. I to była przyczyna, dla której jego ojca trzymano w niewoli.

Poszli cicho wzdłuż korytarza. Na jego końcu znajdowało się troje drzwi. Indy obejrzał je wszystkie po kolei, po czym wskazał palcem wejście po lewej.

– Te.

– Skąd wiesz? - wyszeptła Elsa.

Wskazał na drut pod napięciem.

– Ponieważ tylko tu są druty. Muszę znaleźć jakąś inną drogę. Odszedł kawałek, analizując sytuację, po czym spróbował otworzyć przylegające drzwi.

Nacisnął klamkę - były zamknięte. Sięgnął do torby przy pasie i wyjął swoje narzędzie do awaryjnego rozpracowywania zamków. Wydało się, że minęło całe życie, od kiedy wypróbował go na drzwiach kapitana statku w celu dostania się do sejfu z Krzyżem Coronada. W rzeczywistości było to niespełna dwa tygodnie temu. Wśliznął długi, cienki szpikulec do zamka, ruszał nim przez moment, po czym przekręcił klamkę. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Pokój był słabo oświetlony i pusty, nie licząc łóżka i kredensu. Gdy tylko Elsa weszła do środka, zamknął drzwi.

– Co to było? - spytała, gdy chował z powrotem do kieszeni swój rekwizyt włamywacza.

– Tajemnica zawodowa.

– Och, myślę, że nie zdradzasz jej także swoim studentom - powiedziała z udawanym zdumieniem.

– Tylko najlepszym - odrzekł i podszedł do okna.

Podniósł zasłonę, potem okno i wystawił głowę na zewnątrz. Było prawie ciemno. Deszcz siekł go po twarzy i moczył mu włosy. Zamrugął, by lepiej widzieć. Pod oknem przyległego pokoju był szeroki parapet. Kończył się kilka stóp stąd.

Indy poluzował bicz.

– Co zamierzasz zrobić? - spytała Elsa.

– Wziąć prysznic.

Elsa patrzyła przez chwilę na okno.

– Nie mówisz chyba, że...

Zobaczył, jak Indy odwija bykowiec z pasa.

– Nie wierzę.

– Zobacz sama, to małe piwo.

Wychylił się przez okno i zarzucił bicz na wystający z muru nad przyległym oknem gargulec.

To był idealny strzał. Bicz owinał się wokół grubej szyi potwora. Indy szarpnął mocno, upewniając się, czy da radę utrzymać na tym swój ciężar.

Przerzucił nogę przez futrynę okna i odwrócił się do Elsy.

– Poczekaj tutaj. Nie będę długo.

– Indy, to szaleństwo. Nie mogę...

– Podniósł rękę.

– Nie martw się. To dziecinada. Zaraz będę z powrotem.

Indy wyfrunął przez okno, jego nogi zadyndały w powietrzu.

Miał rację. Skok był banalnie prosty, jednak nie wziął pod uwagę jednej rzeczy. Deszcz przemoczył parapet i jego nogi nie utrzymały się na śliskiej powierzchni. Jedna stopa zjechała, kolano ugięło się i na chwilę utracił równowagę. Przytrzymał się jednak bata, odzyskując pewność postawy.

Teraz musiał znaleźć sposób, by otworzyć okiennice zaciągnięte na szyby. Szarpnął, ale trzymały mocno. Miał zamiar ponowić próbę, gdy



usłyszał hałas. Zobaczył dwóch nazistowskich strażników, robiących obchód z psami i latarkami.

Znaleźli lokaja.

Strumień światła omiótł ścianę zamku, zmierzając w jego kierunku. Indy przyłgnął do niszy okiennej i zamarł w bezruchu. BAT. Powinien go rozwinąć, ale było już za późno. Promień prześliznął się po nim. Czekał, wstrzymując oddech. Wtedy usłyszał, jak naziści idą dalej. *Nie zauważyli.*

Wsunął palce pomiędzy okiennice i szarpnął tak mocno, jak mógł. I tym razem ani drgnęły. Próbował użyć ramienia, ale nie mógł odnaleźć odpowiedniego punktu podparcia.

*Dobra, pomyślał. Trzeba przedsięwziąć bardziej zdecydowane kroki. Ale* musiał wybrać odpowiedni moment. Kiedy pojawiła się błyskawica, policzył sekundy, zanim rozbrzmiał huk grzmotu.

Począł, aż następne wyładowanie rozjaśni niebo. Chwycił za bykowiec obydwoma rękami i odepchnął się od muru, odliczając po cichu. Tym razem interwał był o sekundę dłuższy, co oznaczało, że burza zaczyna się cofać. Podwinął nogi w locie, po czym wystawił je do przodu, uderzając obunóż w szybę. Uderzenie było ściśle skoordynowane z wystrzałem pioruna.

Wpadł do środka, lądując na kolanach i dłoniach. Stał na nogi, rozglądając się dla orientacji. W momencie gdy stwierdził, że ojca nie ma w zasięgu wzroku, coś ciężkiego uderzyło z głuchym trzaskiem w tył jego głowy.

Indy zachwiał się i osunął na jedno kolano. Ogłuszony, poczuł jak obraz zaciera mu się przed oczami. Rozejrzał się bezradnie, a wtedy z cienia wynurzyła się postać.

– Junior!

– Tak, sir! - odpowiedział odruchowo w sposób, jaki pozostał mu z dzieciństwa. Rozcierał obolałe miejsce, wpatrując się w ojca.

– To ty, Junior!

Indy'emu rozjaśniło się w głowie. Zdenerwował się.

– Przestań mnie nazywać w ten sposób!

– Co, do jasnej cholery, tu robisz?

Indy zastanowił się, czy jego ojciec nie postradał zmysłów pod wpływem jakichś nazistowskich sztuczek.

– A jak myślisz? Przybyłem, żeby cię stąd wyciągnąć.

Henry spojrział na swoją dłoń, nagle wytrącony z równowagi i zaniepokojony tym, co zobaczył.

– Poczekaj chwilę.

Indy, przestraszony, wstrzymał oddech i rozejrzał się.

– O co chodzi?

– Późny czternasty wiek. Dynastia Ming - mruknął Henry pod nosem.

Indy zmarszczył brwi, gdy zdał sobie sprawę, że całe to halo dotyczyło rozbitego wazonu, który ojciec trzymał w dłoni.

– To łamie mi serce! - wykrzyknął.

– I rozbija głowy - rzucił Indy. - Uderzyłeś mnie tym!

Ze wzrokiem utkwionym w wazon, Henry ciągnął:

– Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Indy nie zrozumiał ojca, który wciąż mówił o rozbitej porcelanie.

– Zapomnij o tym. Już w porządku.

– Dzięki Bogu.

Henry odetchnął nagle z ulgą, przestudiowawszy rozbity koniec naczynia.

– To podróbka! Zobacz, rzuć okiem, można stwierdzić po...

– ...przekroju - powiedzieli jednocześnie.

Spojrzeni na siebie i uśmiechnęli się.

– Przepraszam za twoją głowę - powiedział Henry, nieco zmieszany, jak gdyby dopiero teraz zauważył swojego syna. - Myślałem, że jesteś jednym z nich.

– ONI wchodzą drzwiami - zauważył Indy. - Nie muszą używać do tego okna.

– Słuszna uwaga, ale lepiej dmuchać na zimne. Tym razem ja byłem w błędzie. Ale, na Boga, miałem rację, wysyłając ci notatnik. Czułem, że coś się święci. Dostałeś go?

Indy skinął głową.

– Dostałem i zrobiłem z niego użytek. Znalazłem wejście do katakumb. Henry wyraźnie się podekscytował.

– Przez bibliotekę. Znalazłeś je?

– Tak.

Indy uśmiechnął się, uszczęśliwiony, że był w stanie zaimponować czymś ojcu.

– Wiedziałem. - Henry zacisnął z wrażenia pięść. - Po prostu wiedziałem! I grób sir Richarda?

– Także.

Henry'emu zapało dech.

– Naprawdę tam jest! Widziałeś go?

– Raczej to, co z niego zostało.

Głos Henry'ego przeszedł w pełen ekscytacji szept i zadrzał w oczekiwaniu.

– A tarcza? Inskrypcja na tarczy sir Richarda?

Indy skinął ponownie, odczekał chwilę, w końcu odpowiedział jednym słowem.

– Alexandretta.

Henry wyglądał teraz tak, jakby naprawdę postradał zmysły. Odszedł krok w tył, pocierając dłonią brodę, analizując to, co usłyszał. Zamyślony, wymamrotał do siebie:

– Alexandretta, oczywiście. Była na szlaku pielgrzymki ze wschodniego Imperium - spojrzał ponownie na Indy'ego z radosnym wyrazem na twarzy.  
- Juniorze...

Indy skrzywił się. Miał ochotę złąć ojca za uporczywe nazywanie go imieniem z dzieciństwa, ale wiedział, że nie czas na to.

Henry kontynuował:

– Dokonałeś tego.  
– Nie, ty tego dokonałeś, tato. Czterdzieści lat badań i wnikliwych studiów.

Oczy Henry'ego rozblęły. Utkwił wzrok w jakimś punkcie nad głową Indy'ego.

– Gdybym mógł być tam z tobą... - zwrócił oczy z powrotem na syna. - Jak wyglądał?

– Były tam szczury.  
– Szczury? - Henry nagle jakby stracił zainteresowanie dla szczegółów wyprawy.

– Tak. Duże.  
– No tak.  
– Jak już jesteśmy przy szczurach... jak ci naziści cię tu traktują.  
– Nieźle, jak dotąd. Dali mi jeszcze jeden dzień, zanim zdecyduję się mówić, później ma być gorzej. Ale ja nie mam zamiaru pisać ani słowa, Juniorze. Zrozumiałem, że jeśli umrę, ty przejmiesz moje dzieło. Wiedziałem, że mogę liczyć na ciebie i na to, że będziesz trzymał tę książkę tak daleko od wszystkich nazistów świata, jak to tylko możliwe.

Dłoń Henry'ego odruchowo powędrowała w stronę kieszeni. Jego palce odnalazły zarys dziennika. *Wiesz co, tato? Ona nie jest tak znowu daleko stąd.*

– Tak sędzę - poczuł się nagle nieco niezręcznie. - Lepiej będzie, jak stąd wyjdziemy...

Głośny huk uciszył go. Indy odwrócił gwałtownie głowę w stronę drzwi, które otwarły się na oścież i wmaszerowało przez nie trzech hitlerowców. Dwóch trzymało wycelowane w nich karabiny. Trzeci był oficerem SS.

– Doktor Jones! - wrzasnął oficer.

– Tak - Indy i Henry odpowiedzieli jednocześnie.

– Konfiskuję natychmiast tę książkę.

– Jaką książkę - spytali obydwaj naraz.

Oficer odwrócił się do Indy'ego z szyderczym uśmiechem.

– Tę, którą masz w kieszeni.

Henry zaśmiał się szczerze, a Indy pomyślał: *Boże, chyba padnę.*

– Ty palancie! Myślisz, że mój syn byłby takim idiotą, żeby wieźć dziennik z powrotem do miejsca, skąd... - Henry przerwał i powoli spojrzał na Indy'ego. - Nie zrobiłeś tego, prawda, Juniorze?

Indy uśmiechnął się z trudem.

– Nooo...jak by to...

– Zrobiłeś? - zagrzemiał Henry.

– Ta rzecz jest...

– Zrobiłeś! O, mój Boże!

– Czy możemy pomówić o tym później, tato? Nie sędzę, żeby teraz był...

– Powinienem był ją wysłać braciom Marx - Henry gotował się ze złości.

Indy uniósł dłoń.

– Tato, proszę, uspokój się.

– Myślisz, że po co wysłałem to do domu? - wskazał na nazistów - Żeby nie wpadło w ICH ręce!

– Przyjechałem, żeby cię ocalić - powiedział Indy niepewnie, omiatając spojrzeniem karabiny maszynowe.

– A kto przyjedzie ocalić ciebie? - wrzasnął Henry, jego twarz stanęła w ogniu.

Dalsze wypadki potoczyły się tak błyskawicznie, że Indy dopiero po fakcie zorientował się, co zrobił. Jego oczy zapłonęły, nozdrza zafalowały z wściekłości. Popatrzył na ojca takim wzrokiem, jakby zamierzał mu przyłożyć pięścią, co okazało się na tyle przekonujące, że Henry uskoczył w tył, uprzedzając atak. Zamiast tego Indy wyciągnął rękę i wyrwał karabin jednemu z zaskoczonych rozwojem sytuacji strażników. Błyskawicznym kopnięciem skierował lufę drugiego karabinu w powietrze. Kule zasypały sufit.

Chwilę później palec Indy'ego nacisnął na spust karabinu.

– Mówiłem ci już - wrzasnął, podczas gdy trzej naziści zatoczyli się pod wystrzałem i osunęli na podłogę. - Nie mów na mnie Junior!

Henry patrzył z niedowierzaniem, jak naziści wykrwawiają się na śmierć. Był zszokowany i przerażony.

– Zobacz tylko, co zrobiłeś! Zabiłeś ich!

Indy złapał go za ramię i wypchnął z pokoju. Położył rękę na klamce sąsiedniego pokoju, gdzie czekała Elsa i przekręcił ją.

– Nie mogę uwierzyć w to, co zrobiłeś - zaszeptał Henry ochrypłym głosem, jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - Zabiłeś tych ludzi!

Indy stanął w drzwiach.

– A co, do cholery, sądzisz, oni mieli zamiar zrobić z NAMI?!

Ojciec zmarszczył brwi, jakby usiłował usprawiedliwić w myślach wybuch agresji swego syna. Indy otworzył drzwi i podniósł rękę, by dać

znać Elsie, że czas spływać. Jego ręka zamarła w powietrzu. Stał twarzą w twarz z kolejnym wyznawcą Hitlera. Jego muskularne ramię otaczało talię Elsy jak gruby wąż. W drugiej ręce trzymał przyciśniętego do jej szyi lugera.

– Koniec zabawy, doktorze Jones.

Wielki facet. Dowódca. Kwadratowa szczeka, małe ciemne oczy, jak u owada. Chodząca definicja słowa brutal, bez dwóch zdań.

– Rzuć broń! Już! - nakazał. Jego akcent był przyciężkawy, ale nie niezdamy. - O ile nie chcesz zobaczyć, jak twoja przyjaciółka umiera.

– Nie słuchaj go - powiedział Henry.

– Rzuć pistolet - zażądał tamten.

– Nie! - krzyknął Henry. - Ona jest z nimi!

– Indy, proszę - prosiła Elsa. Jej oczy były szeroko otwarte ze strachu.

– To nazistka - oponował Henry.

– Co?

Indy pokręcił głową, zdezorientowany. Nie wiedział, co robić. Spojrzał na Elbę, potem na ojca. Przekrzykiwali się nawzajem.

– Zaufaj mi - wrzeszczał Henry.

– Indy, nie - błagała Elsa.

– Zabiję Fraulein - wycedził pułkownik przez zaciśnięte zęby.

– To już - powiedział Henry.

– Nie strzelaj - krzyknął Indy.

– Nie zrobi tego - odpowiedział Henry.

– Indy, proszę - jęczała Elsa. - Proszę, zrób, co on karze.

– Na Boga, nie słuchaj jej - wydarł się na syna Henry.

– Dość. Dziewczyna zginie - pułkownik przytknął mocniej lufę pistoletu do szyi Elsy.

Elsa wrzasnęła z bólu.

– Zaczekaj!

Indy rzucił karabin na podłogę i kopnął go w ich stronę.

Henry jęknął.

Pułkownik puścił Elbę i popchnął ją w kierunku Indy'ego. Indy pochwycił ją w ramiona i mocno uściskał, gdy ona ukryła twarz na jego piersi.

– Przepraszam, Indy.

Uspokajał ją.

– W porządku.

– Tak mi przykro.

Jej dłoń wśliznęła się do kieszeni jego płaszcza i wyjęła z niej notatnik.

Uśmiechnęła się smutno.

– Ale powinieneś być słuchać ojca.

– Nigdy mnie nie słuchał - powiedział Henry rozdrażnionym tonem -  
Nigdy!



## Rozdział XIII.

### Zdradzony

Elsa odsunęła się od niego i powróciła do nazistowskiego oficera. Indy stał oszołomiony, oniemiały, gotując się z gniewu na widok obrzydliwego uśmiešku pułkownika i wyrazu słodkiej niewinności w oczach Elsy. Miał ochotę złapać ją za ramiona i potrząsać, dopóki nie wyjaśni mu wszystkiego. Musiał wiedzieć, dlaczego.

Ale pułkownik uniósł ostrzegawczo broń i Indy został tam, gdzie był, patrząc jedynie w oszołomieniu. *Jak mogłaś mi to zrobić?* - przemówił do niej w myślach.

Uśmiechnęła się nieznacznie, jak gdyby usłyszała. Indy w końcu odwrócił wzrok i spojrzał na ojca.

I zaraz tego pożałował.

Wyraz twarzy Henry'ego mógł obracać w pył kamienie. *Nic dziwnego, że nadal mówi na mnie Junior.* Indy był tak wstrząśnięty rozwojem wydarzeń, jak ojciec chwilę wcześniej, gdy on dziesiątkował wrogów w pokoju obok.

– Wy dwaj lepiej chodźcie z nami. No, już!

Ton głosu Elsy był ostry i zimny, należał do obcej mu kobiety. Nawet jej twarz wyglądała teraz inaczej, nie tak, jak ją zapamiętał:

szczęka stała się bardziej kanciasta, zacięta, skóra bledsza, bezkrwista jak porcelana, a oczy zmieniły się w kostki lodu, nigdy nie topniejące.

Pułkownik dźgnął pistoletem powietrze i Indy rzekł:

– Tak, lepiej chodźmy.

– Jakbyśmy mieli jakiś wybór - zamruczał ojciec oskarżycielskim tonem.

Kiedy pod bronią prowadzono ich przez zamek, Indy widział, jak w ojcu narasta wstręt. Promieniował z niego jak żar albo jakiś odór. Weszli do dużego baronowskiego pokoju na drugim końcu tego samego piętra.

Ściany zdobiły zabytkowe arras i średniowieczne zbroje. W ogromnym kominku trzaskał i posykiwał ogień, rzucając cienie, które wirowały na ścianach i suficie. Owiął go przez moment zapach skóry Elsy, gdy ta przysunęła się do niego na chwilę, ustępując drogi dwóm hitlerowskim strażnikom.

Żołnierze związali im z tyłu ręce. *Z pewnością nie stroją sobie żartów*, pomyślał Indy, krzywiąc się, gdy sznur wgryzł się boleśnie w jego nadgarstki. Kiedy strażnicy zajęci byli przy sznurze, a Elsa naradzała się cicho z Voglem, Indy rozglądał się ukradkiem, rozeznając sytuację. Było tu kilka okien, ale znajdowali się na trzeciej kondygnacji. Poza tym, dopóki będą mieć związane ręce i ta banda będzie ich pilnować, ich szanse na ucieczkę są marne. *Tak czy inaczej*, myślał, *nie zaszkodzi potrenować wyobraźnię*.

Kiedy zabrakło mu konceptów, wrócił myślami do Elsy i wyobrażał sobie, co chciałby jej zrobić, gdy będzie już wolny. Patrzył jak Elsa idzie przez pokój w stronę fotela z wysokim oparciem, stojącego naprzeciw kominka. Zatrzymała się i wyjęła dziennik. Dopiero kiedy sięgnęła po niego czyjaś dłoń, Indy zorientował się, że ktoś siedzi w fotelu.

Spojrzał w stronę Henry'ego i ostrożnie przesunął się bliżej niego.

- Skąd wiedziałeś, że jest nazistką? - spytał szeptem.
- Mówi przez sen.
- CO? - Indy odwrócił się gwałtownie w stronę ojca. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że... że ty i ta... ta kobieta...
- Cisza! - wrzasnął Vogel.

*Elsa i mój stary ojciec...*

Kawałki układanki zaczęły do siebie pasować. Elsa przeszukała jego pokój w Wenecji, pragnąc odnaleźć dziennik, a potem doprowadziła do podobnego stanu swój własny, pozorując włamanie.

*A ja dałem się na to nabrać!*

– Ja jej nie zaufałem. Dlaczego ty to zrobiłeś? - zamruczał Henry, przeginając głowę w jego stronę.

Człowiek siedzący do tej pory w fotelu podniósł się i odpowiedział na pytanie zadane przez Henry'ego:

– Bo nie posłuchał mojej rady. Dlatego.

Indy otworzył usta ze zdumienia na widok Waltera Donovana, zmierzającego w ich stronę krokiem tak dostojnym i arystokratycznym jak to pomieszczenie. Jezu! Nie mógł w to uwierzyć.

– Czy nie mówiłem ci, żebyś nie ufał nikomu, doktorze Jones?

– Donovan uśmiechnął się łagodnie, kartkując od niechcienia dziennik.

Indy'emu nie przyszła na myśl żadna błyskotliwa odpowiedź - w ogóle się nie odezwał. To ten człowiek poinformował go o zaginięciu ojca i powiedział, że w Wenecji będzie na niego czekać doktor Schneider - to ten skończony łajdak stał za tym wszystkim. Cokolwiek by powiedział, niczego by to nie zmieniło.

Wszystko działo się tak szybko. W ciągu kilku minut został zdradzony przez Elbę i przez Donovana. Jakby tego było mało, dowiedział się, że Elsa poszła do łóżka z jego własnym ojcem, który niechcący o mało nie rozwalił mu głowy wazonem.

Henry prychnął z oburzeniem, po chwili jednak odezwał się głosem starego, zmęczonego człowieka:

– Źle cię osądziłem, Walter. Wiedziałem, że sprzedałbyś własną matkę za etruski wazon. Nie sądziłem jednak, że jesteś w stanie sprzedać swój kraj i duszę tej bandzie szaleńców.

Donovan zignorował tę uwagę. Fałda na jego czole pogłębiła się, gdy coraz szybciej przerzucał kartki dziennika. Coś ewidentnie mu nie pasowało.

– Doktor Schneider!? - wyjąkał.

Elsa popędziła mu z pomocą.

– O co chodzi?

Donovan uniósł w górę dziennik i potrząsnął nim przed jej twarzą.

– Ta książka zawierała mapę. Mapę bez nazw, ale z precyzyjnie naniesionymi trasami z nieznanego miasta do sekretnego kanionu świętego Graala.

– Tak - przyznała. - Znanego jako Kanion Półksiężycy.

– GDZIE jest mapa?

Elsa wzruszyła ramionami i spojrzała nieco niepewnie. Sądziła, że mapa jest w dzienniku. Donovan, z twarzą poczerwieniałą ze złości przeniósł wzrok z Elsy na Indy'ego.

– Dobra, gdzie brakujące strony? Musimy je mieć!

Henry spojrzał na Indy'ego, zdziwiony i mile zaskoczony.

Indy uśmiechnął się z wyższością.

– Marnujesz czas, pytając go. Nie powie. I nie musi. To absolutnie oczywiste, gdzie znajdują się te strony.

Uśmiechnęła się do Indy'ego tryumfalnie i odwróciła do Donovana.

– Ma je Marcus Brody.

Henry zacisnął powieki, jakby nie chcąc dopuścić do siebie tego, co przed chwilą usłyszał. Kiedy otworzył je znowu, zwrócił się do Indy'ego:

– Marcus? Wciągnąłeś w to biednego Marcusa? Mój Boże, Junior, on się do tego nie nadaje!

– Znajdziemy go - powiedział Donovan, ignorując ich.

– Nie bądź taki pewny - zawołał do niego Indy. - Ma dwa dni przewagi nad tobą, a to więcej niż potrzeba.

Donovan przerwał, rozważając to, co usłyszał. Indy brnął dalej:

– Marcus ma przyjaciół w każdym mieście i wsi stąd aż do Sudanu. Mówi w dziesięciu językach i zna miejscowe obyczaje. Będzie chroniony. Niewidzialny. Nigdy więcej go nie zobaczysz. Przy odrobinie szczęścia już mógł odnaleźć święty Graal.

Henry uśmiechnął się.

– Jestem pod wrażeniem - zamruczał. - Obyś się nie mylił.

Donovan podszedł do Indy'ego i przypatrywał mu się, jakby szukał rysy na dziele sztuki.

– Doktorze Jones, jaka szkoda, że pan nie dożyje chwili rozwiązania tej zagadki. Żaden z was nie dożyje.

Sposób, w jaki Donovan na niego spojrział, wywołał u Indy'ego wrażenie, że tamten wie o nim coś więcej, niż powinien. Może się kiedyś wygadał? Przeszło mu przez głowę, czy Donovan nie miał przypadkiem czegoś wspólnego ze sprawą Krzyża Coronada. Przypomniał sobie, że tamten człowiek w kapeluszu panama mówił, że nabywca zamierzał go zamordować. Może celem było nie tylko powstrzymanie go przed odnalezieniem krzyża, ale także przed szukaniem ojca. Potem jednak, gdy sprawy przybrały niepomysłny obrót - gdy dziennik zniknął, a jemu udało się przeżyć - plan uległ modyfikacji.

Ale to były tylko spekulacje. Był pewien, że gdyby nawet zapytał, Donovan zaprzeczyłby, iż wie cokolwiek na ten temat. Ten człowiek był zbyt dumny, by przyznać, że dał się komuś przechytrzyć.

– O czym pan myśli, doktorze Jones?

Indy odwrócił się i nadal milczał.

Donovan zwrócił się do swoich goryli:

– Brać ich.

Indy i Henry zostali związani plecami do siebie na dwóch krzesłach i zostawieni pod strażą dwóch masywnej postury nazistowskich wartowników. Przeniesiono ich do innej komnaty zamku, z ciężkimi, sięgającymi podłogi zasłonami w oknach, blokującymi dopływ wilgotnego nocnego powietrza. Podobnie jak w sali, w której pastwił się nad nimi Donovan, także tu jedną ze ścian zdominował niebywałych rozmiarów kominek. Ale tu nie tlił się żaden radosny płomień - w pomieszczeniu panował mrok i chłód.

Tkwili tak związani przez kilka godzin, zanim wróciła Elsa i Donovan. Donovan po niemiecku zapytał strażników, czy jeńcy dobrze się sprawowali.

– Naprawdę musimy tak tu siedzieć związani? - protestował Henry, gdy strażnik odpowiedział Donovanowi, że więźniowie byli cały czas na miejscu. - Jesteśmy dżentelmenami, nie kryminalistami.

Donovan zaśmiał się.

– Widziałem dzieło rąk twego syna na górze. Nie nazwałbym tego typowym dla dżentelmenów zachowaniem. A ty co o tym sądzisz, Henry?

– Jesteś ostatnim, który może osądzać, Walter, biorąc pod uwagę towarzystwo, w którym się obecnie obracasz.

Donovan skrzyżował ramiona.

– To już nie potrwa długo, wkrótce żaden z was nie będzie musiał siedzieć tu związany. Zaraz będzie po wszystkim.

Indy'emu nie spodobał się ten ton. Nie spodobał mu się też zdławiony chichot Donovana, jakby ktoś przejeżdżał po czymś walcem - to był chory dźwięk, który uświadomił mu, że Donovan, na swój sposób, pasuje do

nazistów. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak ten człowiek wdaje się w pogaduszki z Hitlerem na temat relikwii i antyków, ich wartości i funkcji.

Indy przeniósł uwagę na Elbę. Pozostawała w cieniu, daleko z boku. Było akurat tyle światła, że mógł zobaczyć jej oczy - wpatrzone w niego. Pomyślał, że wygląda na smutną, wycofaną, jakby żałowała tego, co zrobiła. Ale może zdawało mu się tylko, bo chciał, żeby tak właśnie było. Poza tym dlaczego właściwie ON miał się przejmować tym, co ona czuje. Oszukała go. Wykorzystała. Zdradziła. I spała z jego ojcem.

Więc niech nie lubi siebie za to.

Drzwi otworzyły się i Indy usłyszał głos pułkownika Vogla.

– Doktor Schneider, wiadomość z Berlina. Musi pani natychmiast wracać. Jutro wiec pod Instytutem Kultury Aryjskiej.

– I?

– Proszono o pani obecność na trybunie - odchrząknął. - Przy samej mównicy.

– Dziękuję, Herr pułkowniku.

Jej wzrok prześliznął się po Indym, po czym odwróciła się, zwracając do Donovana:

– Spotkamy się w Iskenderun, jak tylko będę mogła się wyrwać.

Donovan wręczył jej dziennik.

– Weź to ze sobą. Dla nas bez mapy nie ma żadnego znaczenia, a oni będą widzieli, że robimy postępy. Zanieś to do Muzeum Reichu. Sprawimy im miły upominek.

Vogel stanął pomiędzy Donovanem a jeńcami.

– Pozwól mi ich zabić. Unikniemy kolejnych takich przykrych wypadków, jak ten na górze.

– Nie - zaproponowała Elsa. - Będą nam jeszcze potrzebni, jeśli nie uda się nam przechwycić utraconych stron od Brody'ego.

Donovan zawahał się. Przyjrzał się Indy'emu i jego ojcu, jakby byli interesującymi i być może cennymi antykami. Zwrócił się do Vogla:

– Trzeba stosować się do zaleceń pani doktor. Poczekamy. Potem daję ich tobie.

Pułkownik zmarszczył brwi.

Popatrzył chłodno na Indy'ego i ukłonił się Donovanowi bez słowa. Było jasne jak słońce, że natychmiast chciał ich zabić. Najwyraźniej bardziej był zainteresowany ukaraniem sprawców śmierci swoich ludzi niż poszukiwaniem Graala.

– Chodźmy - powiedział Donovan i podszedł do kominka. Wszedł do niego i otworzył ukryte drzwi. Vogel i strażnicy podążyli za nim. Donovan przepuścił ich przed sobą i obejrzał się na Elbę.

– Wchodzisz?

– Muszę załatwić parę spraw, zanim wyjadę. Będę za chwilę.

Donovan skinął wyrozumiale i uśmiechnął się do Indy'ego i jego ojca, jakby byli starymi kumplami albo kolegami z pracy. *To wariat*, pomyślał Indy, patrząc jak Donovan znika w kominku.

Elsa patrzyła w tamtą stronę, dopóki nie była pewna, że wszyscy wyszli. Potem odwróciła się do Indy'ego z wyrazem twarzy idealnie naśladowującym tamten, z ich najintymniejszych chwil w Wenecji. *Co ona knuje, do jasnej cholery?*

Odwrócił wzrok.

– Indy, powód, dla którego powstrzymałam pułkownika przed zabiciem cię, był inny niż podałam.

Wzniósł oczy i uśmiechnął się.

– Serio? Musisz być pierwszą dobrą nazistką, o której słyszę?

– Nie patrz na mnie w ten sposób. Obydwoje pragniemy odnaleźć święty Graal. Zrobiłabym wszystko, żeby tego dokonać, tak samo jak ty!



– Niemiło, że tak pani myśli, pani doktor - jego głos był tak bezbarwny jak zwietrzała woda sodowa.

Dotknęła ręką jego twarzy, ale odwrócił się gwałtownie. Elsa pochyliła się nad nim i powiedziała cicho, omiatając ciepłym oddechem jego ucho i policzek:

– Wiem, że jesteś zły i czuję się winna. Ale muszę ci wyznać, że nigdy nie zapomnę, jak cudownie było nam razem.

Jej skóra wydzielala lekki zapach mydła i perfum, i przywodziła na myśl wspomnienia, o których wolałby nie myśleć.

Henry, który nie mógł dojrzeć nic z tego, co robiła Elsa, ale słyszał wszystko, co mówiła, odpowiedział, jak gdyby zwracała się do niego:

– Tak. Było cudownie. Wielkie dzięki.

Elsa zignorowała go.

– Indy, musisz zrozumieć moje położenie.

Indy miał ochotę napluć jej w twarz, ale zamiast tego skinął układowie, w nadziei, że łyknie haczyk i poluzuje sznur, pomagając im w ucieczce.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go namiętnie, głaszcząc dłonią po głowie.

– Doktor Schneider!

Elsa stanęła na baczność i odwróciła się w stronę kominka. Z sekretnych drzwi wyłonił się Vogel.

– Tak, Herr pułkowniku?

Odwróciła głowę, ale wciąż stała tyłem do hitlerowca.

– Czeka na panią samochód.

– Dziękuję.

Uśmiechnęła się do Indy'ego i odgarnęła włosy z policzka.

– Tak się żegnają Austriacy.

Elsa podeszła do Vogla.

– Jestem gotowa.

Wśliznęła się w drzwi za kominkiem.

Tym razem pułkownik został za nią z tyłu. Podeszedł do Indy'ego miarowym, marszowym krokiem. Jego usta wykrzywił szyderczy uśmiech.

– A oto, jak żegnają się Niemcy, doktorze Jones!

– Wyciągnął pięść i wymierzył Indy'emu cios w szczękę. Mocny. Głowa odskoczyła w tył, krew puściła mu się z nosa i z kącika ust. Vogel odwrócił się na pięcie i zniknął w kominku.

Indy zamrugał oczami, starając się dojść do siebie.

– Wolę technikę austriacką - wymamrotał.

– Przestań gadać! - wkurzył się Henry. - Muszę pomyśleć.

– O, to wspaniale. A w czasie, gdy będziesz myślał, spróbujmy jeszcze raz poluzować te więzy, co? Musimy dopaść Marcusa, zanim ubiegną nas hitlerowcy.

– Zdawało mi się, że mówiłeś, jakoby Marcus miał dwudniową przewagę, i że wmiesza się w tłum i zniknie.

– Żartujesz sobie? Zmyśliłem to! Znasz Marcusa. Zgubił się kiedyś we własnym muzeum!

Henry zaklął pod nosem.

– Rewelacja! Nie dość, że ten potwór Vogel aż się pali, żeby nas zabić, to jeszcze skazaliśmy na śmierć Marcusa i oddajemy święty Graal w ręce hitlerowców!

– Coś trzeba wymyślić, nie? - powiedział Indy, zmagając się z linami.

Teraz ojciec zaczął ciągnąć ze swojej strony. Ale im mocniej obaj ciągnęli, tym węzły silniej się zaciskały, a lina wrzynała im się głębiej w nadgarstki.

W końcu dali ramionom odpocząć. Tak było lepiej. Mniej bolało. Jednak siedzenie tu niczym dwie mumie nie miało szans zmienić ich opłakanego

położenia.

Krew kapiała Indy'emu z nosa na górną wargę i dalej na podbródek. Szczęka zdrętwiała mu z jednej strony. Swędział go nos i drżały nadgarstki. Głowa zdawała się pękać w szwach.

*Myśl. Myśl.*

Za drzwiami wyjściowymi i tymi za kominkiem prawdopodobnie tkwili na posterunku nazistowscy strażnicy. Ale teraz to już się nie liczyło. Wiedział, że musi być jakiś sposób, żeby wypłatać się z tych więzów. Cóż, kiedy nie był w stanie nic wymyślić!

Cisza w pokoju wydawała się rozciągać stąd aż do jutra. Czyżby ojciec zapadł w sen? Nagle Henry przesunął się na krześle i odchylił do tyłu głowę, aż ta zderzyła się z głową Indy'ego.

– Junior, co się stało z tym krzyżem, za którym goniłeś tyle czasu?

Krzyż Coronada stanowił czuły punkt w jego relacjach z ojcem od czasów, gdy był dzieckiem. Henry nie uwierzył nigdy w opowieść, że Indy odebrał krzyż złodziejom i udało mu się donieść go do domu, a potem utracił cenną rzecz na nowo. Indy poprzysiągł ojcu, że odzyska krzyż, choćby miało mu to zająć całe życie. Przez wszystkie te lata ojciec traktował tę historię jako temat do żartów. Kiedy chciał zdenerwować Indy'ego, pytał go, gdzie jest krzyż.

Indy zazwyczaj gotował się ze złości i mówił, że to nie jest ani trochę bardziej zabawne niż pościg ojca za Świętym Graalem. Tym razem miał lepszą odpowiedź.

– Przekazałem go Marcusowi do jego muzeum, zanim opuściliśmy Nowy Jork. W końcu go odzyskałem - powiedział pozbawionym emocji głosem. - Tak jak obiecałem.

Henry milczał przez moment. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał pojednawczo.

– Marcus był bardzo zainteresowany twoimi poszukiwaniami. Mogę sobie wyobrazić, jaką radość sprawiło mu twoje osiągnięcie. Jednak teraz... Teraz, jeśli Donovan go schwyta, nigdy nie będzie miał okazji pokazać tego krzyża światu.

– To w tej chwili najmniejsze z jego zmartwień.

*I ostatnie z moich.* Pomyślał, żeby powiedzieć ojcu o swoich domniemaniach na temat Donovana i krzyża. Ale to może poczekać. W tej chwili musiał znaleźć wyjście z ich fatalnego położenia.

Donovan i pułkownik Vogel stali przy grobli w podziemnym magazynie, wewnątrz góry pod zamkiem. Patrzyli, jak Elsa odjeżdża służbowym nazistowskim samochodem. Drugi służbowy samochód właśnie przy nich zaparkował i Donovan miał zamiar usiąść na tylnym siedzeniu; zatrzymał się jednak jeszcze, by zamienić ostatnie słowo z Voglem.

– Znajdziemy Brody'ego. Nie ma problemu. Teraz idź i ich zabij.

## Rozdział XIV.

### Palące pragnienia

Indy'ego nagle olśniło. Przyszedł mu do głowy pomysł, jak wydostać się z lin.

*A niech to! Przez cały czas miałem tę rzecz w kieszeni i w ogóle sobie tego nie uświadamiałem.*

Jak mógł być tak tępy? Gdyby nie miał związanych rąk, dałby sobie po głowie.

– Tato, czy mógłbyś sięgnąć do kieszeni mojego płaszcza?

Henry zaniepokoił się.

– Po co?

– Po prostu zrób to.

– No dobra, już dobra.

Indy skręcił swoje prawe biodro tak blisko zasięgu dłoni ojca, jak tylko pozwoliły mu na to więzy. Zajęło kilka minut, zanim Henry dosięgnął szczytu kieszeni. W końcu, po kolejnej partii gimnastyki, jego palce wśliznęły się do środka.

– Czego szukam?

– Amuletu przynoszącego szczęście.

– Jak dla mnie, wygląda na zapalniczkę.

Indy nie odpowiedział, czekając, kiedy ojciec załapie jego plan.

– Jasne! Junior, jesteś geniuszem!

Indy płonął z niecierpliwości.

– Tato, spróbuj przepalić liny, dobrze?

Henry majstrował przy zapalniczce, zaklął, gdy nie otworzyła się i spróbował jeszcze raz.

Indy, poirytowany, powiedział:

– Tylko nie upuść jej, tato. Proszę.

– Zaufaj mi, Junior. Skąd masz zapalniczkę? Przecież nie palisz.

– To Elsy. Zapomniałem jej oddać po przygodzie w katakumbach.

Po kolejnej próbie wieko zapalniczki otworzyło się z trzaskiem. Henry pstryknął zawór. Indy poczuł iskry, ale zapalniczka nie zapaliła się.

– Do jasnej cholery - narzekał Henry. - Myślę, że brakuje płynu.

Super!

– Proszę, zadziałaj! - Henry potrząsnął zapalniczką, spróbował jeszcze raz. - Jest! Udało się!

Indy zaraz poczuł ogień na swoich palcach.

– Tato, masz spalić linę, nie moją rękę.

Przez kilka następnych minut Henry trzymał zapalniczkę przy linie. W pewnym momencie płomień zgasł i Henry walczył od nowa, zanim ponownie nie odpalił urządzenia.

Indy'ego bolały już plecy od pozostawania w niewygodnej pozycji. Zaciśnął zęby i usiłował nie ruszać rękami. Odór palonej liny wypełnił powietrze.

Kiedy sznur w końcu zaczął się tlić, Indy usłyszał, jak Henry przeklął.

– Co się stało? - spytał.

– Upuściłem ją.

Indy wyciągnął rękę, ale nie był w stanie zobaczyć, gdzie spadła zapalniczka. Wiedział, że jedynym wyjściem było przewrócenie krzesła. Musieli skoordynować ruchy. Powiedział tylko: - Jesteś gotowy?

Henry nie odpowiadał.

– Tato!

– Junior, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

Indy błędnie zinterpretował przeproszający ton ojca.

– Nie czas teraz na sentymenty, tato. Oszczędź sobie, dopóki się stąd nie wydostaniemy, dobra?

Nagle wyczuł charakterystyczny zapach.

– Co jest, do cholery, coś się pali.

– To właśnie chciałem ci powiedzieć. Yyy... Podłoga płonie.

– CO? - Indy skręcił głowę najdalej jak mógł i zobaczył języki ognia.

– Dobra, ruszaj się. Rozkołysz krzesło. Rób to, co ja.

Przesuwali się powoli w poprzek pokoju, z dala od płonącego dywanu. Krzesła szurały o podłogę i były bliskie wywrócenia się.

– W stronę kominka!

– Kołysali się i podskakiwali z krzesłami, zmierzając w stronę jedyne bezpiecznego miejsca w pokoju.

Ogień za nimi rozprzestrzenił się błyskawicznie, mknąc w ich stronę wzdłuż chodnika.

Indy pocierał nadgarstki, starając się wyswobodzić z więzów. Zachwiali się w stronę kominka, niemal wywracając krzesła. Indy zatoczył nogą w powietrzu, trafiając przez przypadek na dźwignię, otwierającą sekretne drzwi. Podłoga kominka przekręciła się jak obrotowa tarcza i znaleźli się w pomieszczeniu bazy łączności.

Czterech nazistów ze słuchawkami na uszach siedziało za ogromnym pulpitem pełnym tarcz, przycisków i przyrządów pomiarowych. Siedzieli odwróceniem plecami do Indy'ego i Henry'ego i w pierwszym momencie ich nie zauważyli.

– Nasza sytuacja nie uległa poprawie - Henry wyraził swoje myśli szeptem, jednak jego głos i tak okazał się zbyt głośny.

Jeden z hitlerowców odwrócił się i zamarł zaskoczony widokiem dwóch ludzi na krzesłach przywiązanych do siebie plecami.

Henry jęknął.

– I co teraz, Junior. Masz jeszcze jakieś świetne pomysły?

Indy rozejrzył się szaleńczo za dźwignią, która mogłaby ich stąd zawrócić. Radiooperator już wstawał z krzesła i zawiadamiał pozostałych o sytuacji. Indy zauważył dźwignię dokładnie przed sobą i wyciągnął nogę. Urządzenie było zbyt wysoko..

– Odepchnij się stopami! - krzyknął.

Naparł tułowiem do przodu tak silnie i szybko, jak tylko zdołał. Uderzył głową w dźwignię. Podłoga odwróciła się z powrotem, dokładnie w momencie, gdy radiowiec wyciągnął rewolwer i oddał kilka strzałów.

Kule zadzwoniły o zamykające się drzwi.

Indy i Henry wpadli z przysłowiowego deszczu nie tyle pod rynnę, co prosto do ognia. Dywan, zasłony i meble - wszystko płonęło.

Gęsty dym wgryzał się w oczy, ogień pożerał już sufit. Indy zaczął kaszleć - ledwie mógł oddychać.

– Chyba już lepiej było tam - wrzasnął Henry, przekrzykując ryk ognia.

Indy nie zamierzał marnować oddechu na odpowiedź. Pracował nad nadpaloną liną wokół swoich nadgarstków, aż wreszcie więzy puściły. Zsunął się z krzesła i szybko rozplątał liny krępujące Henry'ego.

Rozejrzył się pośpiesznie. Dojrzał w górze komina kratę i sprawdził ją dłonią. Kominek zaczął się znowu obracać.

– Szybko, tędy.

Stanął na jednym z krzeseł, złapał za kratę i podciągnął się do góry. Wcisnął się pomiędzy ściany kominka, sięgnął w dół i chwycił ojca za ramię. Wciągnął go, nim czterech radiooperatorów wpadło do płonącego pomieszczenia.

Naziści wyciągnęli broń. Popatrzyli na puste krzesła i przez chwilę się naradzali. Potem dwóch z nich wróciło do bazy komunikacyjnej. Pozostali dwaj osłonili oczy i ruszyli ostrożnie w stronę płomieni.



Indy wiedział, że on i Henry nie mogą siedzieć dłużej w kominie. Pomijając już to, że znajdowali się w niewygodnej pozycji, było im nie do zniesienia gorąco. Po minucie radiooperatorzy wrócili z bazy do płonącego pokoju. Gdy tylko wyszli z niszy kominka, Indy i Henry zeskoczyli na dół.

Zaraz potem Indy pociągnął za dźwignię. Gdy zaczęli się obracać, zauważył, że drzwi do pomieszczenia otwierają się i na ułamek sekundy mignęła mu zmartwiła z zaskoczenia twarz pułkownika Vogla.

Płomienie zwabione podmuchem powietrza z korytarza buchnęły w twarz hitlerowca. Pułkownik cofnął się gwałtownie przed atakiem ognia i dymu.

– Stój! - wrzasnął jeden z nazistów, gdy Indy i Henry znikali za ścianą kominka.

– Chyba mają zamiar wkrótce tu wrócić - ostrzegł Henry, gdy znaleźli się po drugiej stronie.

– Jasne. Jasne.

Indy roztrzaskał drewniany stołek o podłogę, odłamując od niego nogę.

Ściana zaczęła się otwierać w momencie, gdy sięgnął ponad głowę i walnął nogą od krzesła w mechanizm sterujący jej ruchem. Drzwi zatrzymały się, otwarte jedynie na milimetry. Radiooperatorzy utkwili wewnątrz płonącego pokoju.

Henry wpatrywał się w drzwi, słuchając ich krzyków. Indy miał świadomość, że ojciec jest przerażony. Trudno. W przeciwnym razie to oni musieliby umrzeć. Taka była rzeczywistość. Zabić albo zginąć.

Odwrócił się i rozejrzał za drogą ucieczki. Musiało być jakieś inne wyjście, kolejne sekretne drzwi, okno albo co innego. Opukiwał ścianę w poszukiwaniu pustego dźwięku.

– Nie znajdziesz wyjścia w TEN sposób - poradził Henry. - Usiądźmy i zastanówmy się.

– Usiąść? - Indy otworzył szeroko oczy. - Oszalałeś?

– Nie panikuj. Często okazuje się, że jeśli tylko usiądę spokojnie, bez nerwów, rozwiązanie samo przychodzi mi do głowy.

Henry opadł na wyściełaną kanapę. Gdy to zrobił, ta poruszyła się nieznacznie i zaczęła pochyłać w przód, pociągając za sobą kawałek podłogi.

Indy rzucił się na kanapę, zdając sobie sprawę, że ojciec właśnie znalazł wyjście.

– Rozumiem, co miałeś na myśli - krzyknął, gdy zjeżdżali pochylnią kilkaset stóp w dół. Znaleźli się wewnątrz ogromnej groty, przykrywanej podziemne jezioro. Grota najwyraźniej została zaadaptowana przez nazistów na magazyn.

Pośpieszyli w kierunku składu potężnych skrzynek transportowych.

– Jesteśmy w górze pod zamkiem - wyszeptał Henry.

Indy obejrzał zestaw kanonierek, łodzi motorowych i statków dostawczych.

– Świetnie. Znowu łódki.

Odczekali, aż przeszedł nazistowski patrol, po czym wskoczyli do jednej z łodzi. Indy zapalił silnik w momencie, gdy Vogel pojawił się w doku.

Na odgłos silnika pułkownik zatrzymał się i spojrzał w stronę łódki. Wraz z kilkoma nazistami rzucili się w stronę jednej z motorówek. Chwilę później jego łódź wystartowała z doku za uciekinierami.

Indy i Henry zdążyli już porzucić łódź i przywłaszczyli sobie motocykl z przyczepą. Indy wskoczył za kierownicę, a jego ojciec wtłoczył się na siedzenie niewielkiej przyczepki.

– Chcesz powiedzieć, że tak wygląda twój zwykły dzień? - krzyknął Henry, gdy mknęli z rykiem silnika wzdłuż doku.

– Ten jest lepszy niż zazwyczaj - odkrzyknął Indy, dając gazu w kierunku kręgu światła, który - miał nadzieję - był wyjściem z tunelu. Gdyby okazało się inaczej, nie wiedziałby, co zrobić dalej.

Niewykluczone, że już nic.

Droga lądowa i wodna zbiegły się ze sobą u wylotu zatoczki. Z łodzi obok zaterkotały karabiny maszynowe.

– Padnij! - wrzasnął Indy do ojca, który bez szemrania zastosował się do jego instrukcji.

Indy zanurkował głową najniżej jak mógł, by nie stracić kontroli nad pojazdem i za chwilę wypadli w jasne poranne światło. Droga skręciła ostro i wkrótce kanał i śmiertelne zagrożenie pozostały daleko w tyle.

Indy spojrzał na Henry'ego, który wynurzył głowę z przyczepki.

– To, co? Zaczęliśmy właśnie nowy dzień!

Gdy dopadli do skrzyżowania, ujrzeli drogowskaz: na prawo droga na Budapeszt, na lewo - na Berlin. Indy zwolnił przed rozstajem i skierował pojazd w prawą stronę.

– Zaczekaj! - krzyknął Henry. - Stój!

– O co chodzi? - Indy zahamował i spojrzał na ojca.

Henry nadal rozpaczliwie nakłaniał Indy'ego do postoju, więc zjechali w przydrożne krzaki, by uchronić się przed wzrokiem ewentualnych ciekawskich.

Indy zsiadł z motocykla i rozprostował się, podczas gdy Henry usiłował wydostać się z przyczepy.

– Co miały znaczyć te wymachy rękami?

– Zawracaj! Musimy jechać do Berlina.

Indy wskazał przeciwny kierunek.

– Ale Brody jest TAM, tato!

– A mój dziennik TAM! - odpowiedział Henry, wyciągając kciuk w drugą stronę.

– Obejdziemy się bez niego.

– A właśnie, że nie! Nie wyrwałeś wszystkich potrzebnych stron, Juniorze.

Spiorunował Indy'ego wzrokiem.

– Dobrze, mów. O co chodzi?

– Ten, kto znajdzie Święty Graal, musi stawić czoło jeszcze jednemu wyzwaniu - wykazać się zabójczym sprytem.

– Masz na myśli pułapki?

Osiem lat temu natrafiłem na wskazówki, które pomogą nam bezpiecznie przez nie przejść. Były w *Kronikach świętego Anzelma*.

– Nie opowiadaj, że nie znasz ich na pamięć?

– Zapisałem je w notatniku, więc nie musiałem obciążać nimi pamięci.

Indy usłyszał ryk silnika i spojrzał na drogę - dwóch hitlerowców na motocyklach właśnie brało zakręt na Budapeszt.

– Ściga nas gestapo i połowa wermachtu, a ty chcesz zawracać i lądować się prosto w paszczę lwa?

– Tak. Jedyne, co się dla mnie liczy, to Święty Graal.

– Co z Marcusem?

– Marcus mnie zrozumie. Jestem o tym przekonany.

Indy przewrócił oczami. Słyszał tę litanię tyle razy, że mógł recytować ją przez sen.

– Naukowcy! Pycha i chciwość! Boże!

Henry wymierzył mu cios w policzek. Uderzenie nie było silne, ale zaskoczyło Indy'ego. Powiedział to żartem, ale jego ojciec najwyraźniej wziął to za obrazę. Indy dotknął policzka i spojrzał z marsową miną.

– To za bluźnierstwo - warknął Henry. - Nic nie zostało ci w głowie z lektury *Parzivala*? Nie wyniosłeś nic z nauk Richarda Wagnera i Wolframa von Eschenbacha? W rękach rycerza sir Parzivala Graal jest świętym talizmanem, lekarstwem na wszystkie choroby. Ale gdy wpadnie w niepowołane ręce Klingsora, staje się narzędziem czarnej magii.

Spojrzał na Indy'ego z wyższością.

– Poszukiwanie Graala to nie archeologia. To walka ze złem. Jeśli naziści użyją go do swych haniebnych celów, ziemią zawładnie armia ciemności - Henry utkwiał w Indym ciężkie spojrzenie. - Zrozumiałeś, co powiedziałem?

W świecie ojca mitologia zdominowała rzeczywistość. Jedna z drugą były nierozzerwalnie związane. Henry żył wśród mitów.

– Nigdy nie rozumiałem tej twojej obsesji. Podobnie jak mama.

Tym razem Indy spojrzał butnie na ojca. Wspomnienie o matce stanowiło wyzwanie. Po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat usłyszał, jak Henry podejmuje ten temat.

– Ona rozumiała. Aż za dobrze. To dlatego, że nie chciała, bym się o nią zamartwiał, trzymała swą chorobę w tajemnicy. Aż do chwili, gdy jedyne, co mogłem dla niej zrobić, to ją opłakiwać.

Ich oczy spotkały się i przez kilka chwil Indy czuł, że są sobie równi. Nareszcie ojciec zdecydował się rozmawiać z nim o matce i zwierzyć się ze swoich uczuć, wyznając w dodatku winę. Samo tylko wspomnienie o niej zaleczyło stare rany.

Indy położył dłoń na ojcowskim ramieniu.

– Jedźmy! Najwyższy czas ruszać do Berlina, staruszk.

## Rozdział XV.

### Berlińskie fajerwerki

Szaleńczy, rytmiczny łopot flag, sztandarów i transparentów z wizerunkiem swastyki odzwierciedlał rosnącą gorączkę nieprzebranego tłumu. W centrum wiecu płonęło ognisko, karmione wysokim na dziesięć stóp stosem książek. Zgromadzeni wokół ognia studenci i członkowie hitlerowskiej partii podsycali płomienie, dorzucając wciąż kolejne egzemplarze. Było wśród nich wiele klasycznych dzieł, uznanych przez nazistów i ich sympatyków za bluźniercze bądź obrażające patriotyczne uczucia.

Indy pomaszerował w stronę placu, zapinając po drodze bluzę nazistowskiego munduru, o kilka numerów za dużego. Gdy przybyli do Berlina, jeździli dopóty, dopóki nie znaleźli umundurowanego hitlerowca, który oddalił się od swojej jednostki. Henry udał chorego i zwałił się na chodnik w odległości kilku stóp od żołnierza. Kiedy ten zatrzymał się, by sprawdzić, co się dzieje, Indy podbiegł i poprosił, by pomógł mu przenieść ojca w jakieś spokojne miejsce. Gdy weszli do bramy budynku, Indy ogłuszył nazistę uderzeniem w tył głowy i zdjął z niego mundur.

Henry, ubrany nadal po cywilnemu, pośpieszył za Indym, gapiąc się na kłębiący się wokół tłum.

– Mój chłopcze, jesteśmy pielgrzymami na sprofanowanej ziemi.

– Tak, co gorsza to prawdziwe życie, nie tylko film - odpowiedział Indy, wskazując głową filmującego wiec kamerzystę.

Indy stanął nagle jak wryty, wpatrując się przed siebie, w stronę podium.

– O co chodzi? - spytał Henry.

Indy kiwnął głową w kierunku platformy. Zajmowali ją wysocy rangą urzędnicy Trzeciej Rzeszy, patrzący w dół na mrowie ludzi niczym członkowie rodziny królewskiej na wiwatujący tłum. Wśród nich były dwie znajome twarze: Adolf Hitler i doktor Elsa Schneider.

– O, Boże - jęknął Henry. - Po prawej ręce samego diabła. Czy teraz już wierzysz, że to nazistka?

Indy nie odpowiedział. Torował sobie drogę przez tłum, podchodząc najbliżej jak mógł do platformy. Henry podążał za nim jak cień.

Obok kamerzysty, usiłującego sfilmować Hitlera, Elzę i całą resztę naczelnego dowództwa, stała kobieta, będąca najwyraźniej reżyserem, gdyż wciąż krzyczała i machała rękami w stronę podium, starając się skierować na siebie uwagę oficjeli. Wokół panował taki hałas i zamieszanie, że ciężko jej było nad tym zapanować.

– Jeden krok w przód, Mein Fuhrer - zawołała po niemiecku.

Hitler zrobił krok w tył.

– Dobrze. Tak lepiej, tak lepiej. Wszyscy pozostali - krok w tył!

Tłum zrobił jednak krok do przodu i Hitler znów zniknął z pola widzenia.

Pani reżyser wyciągnęła ręce i pokręciła głową.

– Proszę! Błagam! Zasłaniacie Fuhrera.

Indy zaśmiał się do siebie.

– Wygląda na to, że lepiej znam niemiecki niż naczelne dowództwo - rzucił do ojca, który wymusił na nim naukę kilku obcych języków, zanim Indy skończył osiemnaście lat, co jako chłopiec miał mu za złe, a teraz docenił. - Dziękuję - dodał, trącając ojca delikatnie łokciem w bok.

Henry prychnął.

– TERAZ to mi dziękuję. TERAZ mnie słucha.

Indy zaśmiał się.

Tłum zaczął się rozpraszać i Indy przeciskał się przez chmarę nazistów unoszących w górę pochodnie. Fanatycy odepchnęli go, ale udało mu się utrzymać obojętny wyraz twarzy. Ominął platformę i wmieszał się między nazistowskich oficerów i ich służbowe limuzyny. Rozglądał się wokół w topniejącym z wolna tłumie i wreszcie dostrzegł kroczącą samotnie Elbę. Jej włosy były gęste i lśniły w słońcu złotym blaskiem.

Henry szedł z tyłu, utrzymując dyskretną odległość. Zgodził się, że to Indy powinien rozmówić się z Elbą. Umówili się za pół godziny przy jednym z końców platformy.

Indy przyśpieszył kroku, zachodząc Elbę od tyłu. Zwolnił, wymijając ją, pozwalając, by oddaliła się na tyle od pozostałych, aby nikt nie był w stanie ich usłyszeć.

– Fraulein doctor!

– Indy - zatkało ją.

Jego głos był cichy i nieustępliwy, wzrok twardy i bezlitosny.

– Gdzie to jest?

– Szedłeś za mną.

Powiedziała to w taki sposób, że zastanowił się, czy aby wciąż nie jest dla niej pociągający. Tak jakby jej uczucia ciągnęły w jedną stronę, a rozum i obowiązek w drugą - niestety, śmiertelną dla niego i jego ojca.

Dotknęła dłonią jego twarzy, jej usta rozchyliły się lekko, a oczy zalśniły.

– Tęskniłam za tobą bardzo, Indy.

Odrzącił dłoń Elsy i przebiegł rękami po jej ciele, przeszukując kieszenie płaszcza.

– Potrzebuję tego. Gdzie to jest?

Ton głosu Indy'ego i brutalność w jego zachowaniu przywróciły Elbę do rzeczywistości. Przez moment miał wrażenie, że zacznie błagać go, by jej



przebaczył. Jej usta zadrżały, twarz zdawała się za chwilę rozpaść na drobne cząstki. Ale w jednej sekundzie wszystko uległo zmianie. Widział tę nagłą przemianę na własne oczy - coś, co zaszło gdzieś głęboko w jej wnętrzu. Jej odpowiedź była chłodna i szorstka.

– Wszystko jest tam, gdzie było, gdy patrzyłeś ostatnim razem.

Indy kontynuował przeszukiwanie, ignorując jej uwagę. Przeciągnął dłonią wzdłuż jej nóg i wyczuł coś. Rozejrzał się szybko, podciągnął w górę sukienkę i wydobyl notatnik, który miała przywiązany do nogi.

– Przepraszam za kłopot.

Elsa pokręciła głową, zdezorientowana gwałtownością jego zachowania.

– Nie rozumiem Indy. Wróciłeś po książkę? Dlaczego?

– Mój ojciec nie chciał, żeby została spalona na jednym z twoich przyjęć.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Tak o mnie myślisz? Ze jestem jedną z nich?

– Nie wiem, dlaczego miałbym sądzić inaczej - odrzekł chłodno.

– Wierzę w Graal, nie w swastykę.

– Tak - wskazał palcem za siebie w stronę podium. - I stoisz w jednym szeregu z wrogiem wszystkiego, co wiąże się z Graalem. Kogo obchodzi, w co ty wierzysz.

– Ciebie - rzuciła.

Ręka Indy'ego wystrzeliła w górę i schwyciła ją kurczowo za gardło.

– Wystarczy, że ścisnę.

– Wystarczy, że krzyknę.

To był pat, Indy znał to dobrze. Miłość i nienawiść, tam i z powrotem - przeciąganie liny. Ona wiedziała, że on nie spełniłby swojej groźby, podobnie jak on wiedział, że Elsa nie zacznie krzyczeć. Mimo wszystko jej urok i fascynujący wygląd działały nań tak silnie jak wcześniej.

Indy puścił ją i zrobił krok w tył. Spojrzeli na siebie i w tym spojrzeniu było wszystko - historia dwojga kochanków, poróżnionych na skutek okoliczności, na które nie mieli wpływu. Ale z drugiej strony Indy czuł, że obydwójce działali z własnego wyboru.

– Indy! - zawołała.

Zrobił jeszcze jeden krok w tył, po czym obrócił się na pięcie i odszedł. Znalazł ojca czekającego przy podium.

– Chodźmy. Spadajmy stąd.

– Masz to? - spytał Henry.

– Tak. Mam.

– Świetnie! W jaki sposób wydarłeś to tej hitlerowskiej dziwce?

Ten komentarz wkurzył go. Z jakiegoś powodu czuł się zobowiązany jej bronić. Właśnie miał napaść na ojca za wulgarny epitet, kiedy zdał sobie sprawę, że tłum, przez który się przebijają, składa się z Hitlera i jego świty. Fuhrera okrzykiwały jakieś pięćdziesięcioro dzieci, wyciągając w jego stronę książki z prośbą o autograf.

Hitler zatrzymał się, by je podpisać, po czym spojrzał na Indy'ego, który znacznie górował wzrostem nad młodzieżą. Ich oczy spotkały się tylko na ułamek sekundy, ale Indy zdążył wyczuć emanującą od Hitlera siłę. Po raz pierwszy zrozumiał, na czym polega jego charyzma i skąd bierze się gorliwość jego zwolenników. Ale wiedział również o koszmarze hitlerowskiego reżimu, spustoszeniach i cierpieniu, jakie niósł za sobą, potworności tego, jaki chaos mógł jeszcze wywołać na świecie.

Czar prysnął, gdy Hitler wyjął dziennik z rąk Indy'ego, by złożyć na nim swój podpis. Otworzył go, zanim Indy zdołał zareagować; jęk ojca z tyłu był wyraźnie słyszalny. Hitler podpisał dziennik i zwrócił go Indy'emu.

Indy szybko wszedł w rolę. Zaszurał obcasami i zsalutował, wyciągając przed siebie ramię. Jednocześnie w sekrecie dał upust swojemu

sprzeciwowi wobec tego pokazu służalczości. Schował drugą rękę za plecy i uczynił palcami niegrzeczny gest.

Chwilę później Hitler zniknął na tylnym siedzeniu czekającej na niego limuzyny i tłum studentów zaraz się rozpiezchł. Jednak bezpośrednia konfrontacja Indy'ego z Hitlerem wywołała wrogość ze strony innych nazistów, którzy byli świadkami incydentu. Jeden z nich - oficer SS, którego obfite ciało spowijał długi płaszcz - został z tyłu, by wyżyć się na niższym rangą żołnierzu.

– Czego tu szukasz? - zapytał Indianę z twardym niemieckim akcentem.  
- To zastrzeżony teren. Wracać na swoje stanowisko! Już!

Indy stanął na baczność i uniósł rękę, wykonując ponownie gest *Heil Hitler*. Gdy zorientował się, że nikogo nie ma w pobliżu, odciągnął ramię w tył, zwinął dłoń w pięść i wyrzucił oficera w twarz.

Henry jęknął ponownie.

– Teraz zrobimy to, co ja powiem - oświadczył Indy swemu ojcu.

– To znaczy?

– Wyjeżdżamy z Niemiec.

Indy zatrzymał się przy głównym terminalu berlińskiego lotniska i zaparkował motocykl. Poprawił na sobie płaszcz, który zdjął wcześniej z przygrubego oficera SS.

– Jeżeli już nie możesz powstrzymać się od grabienia ludzi z odzieży - powiedział Henry, gdy wkroczyli na płytę lotniska - dlaczego nie znajdziesz kogoś w swoim rozmiarze?

– Pomyślę o tym następnym razem.

Stanęli w kolejce przy jednej z bramek i czekali, by kupić bilety.

– Przy odrobinie szczęścia za godzinę opuścimy ten kraj i dołączymy jutro do Marcusa - powiedział z przekonaniem Indy.

– No, nie! - Henry wskazał w kierunku kasy biletowej. Każdy z kupujących był przesłuchiwany przez agentów gestapo.

– Tak - Indy wziął Henry'ego pod ramię i wyprowadził z kolejki. Przeszli jakieś sześć kroków, gdy natknęli się na kolejne kłopoty. Terminal przemierzał miarowym krokiem pułkownik Vogel, stary znajomy.

Podnieśli obydwaj kołnierze płaszczy i opuścili na oczy daszki czapek, po czym szybkim krokiem oddalili się od niego. Indy spojrzał szybko przez ramię i zobaczył, jak Vogel pokazuje agentom gestapo zdjęcie.

– To raczej nie rodzinny portret - mruknął do siebie i wraz z Henrym opuścili terminal. Przyległy budynek także należał do lotniska, ale był mniejszy, nowszy i udekorowany w kwiecistym stylu art deco.

Skierowali się do lady i stanęli w kolejce pośród kilku dobrze ubranych kobiet i mężczyzn. Pierwsza klasa - pomyślał Indy.

– Dlaczego tutaj? - spytał Henry.

– Bo tu nikt nie sprawdza.

Kolejka przesuwiała się powoli. Minuty wlokły się w nieskończoność. Indy wciąż rozglądał się dookoła, ścisnęło go z nerwów w żołądku. Nienawidził tego. Nienawidził czekać biernie na rozwój wypadków. Wolał już stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem.

Zaczął przygniatać go wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Starł się skierować spojrzenie w dół, na swoje buty. Za moment podniósł wzrok i rozejrzał się ponownie - powoli, niczym znużony pasażer, rozmyślający o tym, jakie dostanie miejsce, kiedy skończy się odprawa. Aby powstrzymać się przed ciągłym zerkaniem na boki, zajął się czytaniem napisu na płycie przytwierdzonej do pobliskiego słupa. Tabliczka upamiętniała słynny lot zeppelinu „Hindenburg” w dniach 9-11 sierpnia 1936 roku z Lakehurst w New Jersey do Friedrichshafen w Niemczech - światowy rekord: lot trwający czterdzieści dwie godziny i pięćdziesiąt trzy minuty.

Znowu utkwiał wzrok w podłodze, przebijając nerwowo palcami. W końcu nie wytrzymał i jeszcze raz z uwagą rozejrzał się po terminalu. Tęga kobieta stojąca w sąsiedniej kolejce zaczęła się w niego wpatrywać. Odwrócił się i przeczytał ostatnie zdanie z tablicy: Certyfikat Międzynarodowej Konfederacji Lotniczej.

– Co ty wyprawiasz? - warknął Henry.

Indy podniósł głowę i stwierdził, że stoją już przy kasie. Kupili bilety na najbliższy lot. Idąc w stronę drzwi terminalu, Indy spytał ojca, czy wie dokąd lecą.

Henry przewrócił oczami, jakby to było idiotyczne pytanie, ale ku zdumieniu Indy'ego odpowiedział:

– Szczerze mówiąc, nie. A ty się orientujesz?

Cóż, to nie miało szczególnego znaczenia w tej chwili. Najważniejsze było wydostać się z tego kraju. Indy obejrzał swój bilet.

– Ateny. Nie na tyle blisko Iskenderun, żeby przejść spacerkiem, ale tak czy inaczej właściwy kierunek.

– Ateny, oczywiście - powtórzył Henry z zadowoleniem. - Rzeczy zaczynają przybierać właściwy obrót.

Indy zatrzymał się, patrząc na swój bilet - dotarło do niego, że nawet nie spytano ich w kasie dotarło do niego dokąd chcą lecieć.

– Hej, tato!

Henry poszedł dalej i nie usłyszał go. Indy pośpieszył za nim. Wyszli na płytę lotniska. Przed nimi stał samolot do Aten.

– Nieźle, nieźle - powiedział Henry.

Przed ich oczami, na pasie kołowania, stał zeppelin wysoki na ponad dziesięć pięter i długi na dwa boiska do piłki nożnej. Nie tylko nie pofatygowali się sprawdzić, dokąd jest lot, ale także żaden z nich nie zorientował się, że będą lecieć na pokładzie sterowca. Podchodząc do

schodów prowadzących na pokład, wymienili szybkie spojrzenia. Obydwaj byli pod wrażeniem rozwoju sytuacji.

– Hej, spójrz tylko na to - Indy wskazał dwa dwupłatowce zawieszane na dużych hakach pod pokładem zeppelinu. - Chciałbyś się przelecieć którymś z nich?

Odpowiedź Henry'ego nie pozostawiała wątpliwości.

– Nie dzięki - odpowiedział zdecydowanie.

Znaleźli wolny przedział i rozsiedli się wygodnie, podczas gdy samolot przygotowywał się do startu. Indy zatonął głęboko w fotelu, założył ramiona na piersi i odetchnął z ulgą.

– Udało się, tato.

Henry wyciągnął chusteczkę i otarł pot z czoła.

– Kiedy będziemy w górze, a Niemcy zostaną za nami, dołączę do świętowania sukcesu.

Indy spojrzał przez okno.

– Wyluzuj. Za parę godzin będziemy w Atenach, w drodze do Iskenderun i do Marcusa. Oprzyj się wygodnie i podziwiaj widoki.

Ledwie skończył mówić, przed jego oczami wyrosły dwie znajome postacie, przecinające szybkim krokiem pas kołowania - Vogel w asyście agenta gestapo, którego Indy widział wcześniej na lotnisku. Jego ciało stało się ciężkie jak z ołowiu, gdy uświadomił sobie, że wchodzi na pokład.

Zdał sobie sprawę, że jednak nie będzie tak lekko, jak myślał.

# Rozdział XVI.

## Akrobaci

– Poczekaj tu - polecił Indy ojcu.

Opuścił w pośpiechu przedział, zanim Henry w jakikolwiek sposób zareagował. W głowie zakotłowało mu się w poszukiwaniu planu działania. Jediną jego przewagą było to, że wiedział o obecności Vogla na pokładzie. Nie miał jeszcze pomysłu, jak wykorzystać tę wiedzę, ale był pewien, że coś wykombinuje, zanim będzie za późno. Skoro udawało się do tej pory, czemu nie miałyby się udać teraz?

Poczuł się jak kot, który żyje dziewięć razy. Dziewięć. Czy jeszcze coś pozostało w zapasie?

Ledwie wydostał się z przedziału, gdy zobaczył Vogla zmierzającego korytarzem prosto w jego stronę. Rzucił się w kierunku drzwi z napisem „Dla personelu”. Gdy pułkownik przeszedł, Indy usłyszał, jak steward mówi do niego, że zeppelin gotuje się do startu i pasażerowie powinni zająć miejsca. Indy uchylił lekko drzwi i ujrzał Vogla wchodzącego za dwoma spóźnialskimi do przedziału, który właśnie przed chwilą opuścił.

– Boże! - wyszeptał, zastanawiając się, co zrobi teraz jego ojciec.

Zanim Indy zdołał wykonać jakikolwiek ruch, drzwi otworzyły się i wszedł przez nie steward, niemal się z nim zderzając.

– Co pan tu robi? - spytał głośno po niemiecku. - To pomieszczenie dla personelu, nie widzi pan? Zaraz startujemy. Proszę...

Indy wskazał na sufit i steward spojrział w górę. Gdy to zrobił, Indy znokautował go szybkim ciosem w szczękę. Nie lubił napadać na niewinne osoby, ale biorąc pod uwagę, że Vogel siedział kilka metrów dalej, nie było czasu na sentymenty.

W przeciwieństwie do kamerdynera, steward jedynie zatoczył się krok w tył. Nie chcąc go zranić, Indy wymierzył zbyt słaby cios. Steward posłał Indy'emu zdumione spojrzenie i sam zamierzył się na niego pięścią. Indy odparował cios i uderzył mężczyznę w policzek, tym razem mocniej. Steward osunął się nieprzytomny na podłogę.

Kiedy kilka minut później zeppelin oderwał się od pasa startowego, Indy wrócił do przedziału, w którym siedział ojciec. Miał na sobie uniform stewarda. Tym razem wypożyczony strój leżał jak ulał.

– Bilecik, proszę. Poproszę pana o bilecik - powiedział po niemiecku.

Henry wychylił się znad gazety i jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy ujrzał Indy'ego w roli kontrolera. Indy skinął głową, kiedy ojciec podał mu bilet.

– Pański bilet - zwrócił się z kolei do Vogla i wyciągnął dłoń.

Pułkownik podniósł wzrok i rozpoznał Indy'ego. Sięgnął po broń. Indy chwycił go jednak za rękę i wyciągnął z fotela. Wyrwał mu z dłoni lugera i - z pomocą ojca - wypchnął Vogla przez okno zeppelinina.

Pozostali pasażerowie zerwali się z miejsc, zaskoczeni i przerażeni agresywnym zachowaniem stewarda z zagranicznym akcentem.

Indy uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Nie miał biletu.

Pasażerowie przedziału, wszyscy jak jeden mąż wyciągnęli w jego stronę bilety.

Zbierając je, Indy wyjrzał przez okno, by zobaczyć Vogla podnoszącego się z ziemi i patrzącego w górę za odlatującym zeppelinem.

– Następnym razem nie próbuj lecieć na gapę - krzyknął do niego Indy.

Opuścił przedział i dał nura z powrotem do pomieszczenia dla załogi. Zastanowił się, co robić dalej. Vogel nie był sam.

Po kilku minutach w korytarzu pojawił się agent gestapo.



Zatrzymał się kilka kroków od drzwi pomieszczenia dla załogi. Wyglądał na zmartwionego i niezadowolonego i nie trzeba było być geniuszem, by odgadnąć przyczynę jego nastroju. Żałosny frajer nie dość, że nie odnalazł Indy'ego i jego ojca, to teraz jeszcze stracił z pola widzenia Vogla.

Indy wyjrzał z pomieszczenia dla personelu i dotknął jego ramienia. Właśnie miał zamiar rozprawić się z agentem za pomocą kolby pistoletu, gdy z przedziału obok wynurzył się jeden z pasażerów, który był świadkiem zajścia z Voglem. Indy poprosił agenta gestapo o okazanie biletu.

– Nie potrzebuję biletu - rzucił tamten.

Pasażer minął ich, zmierzając w stronę łazienki.

– Będiesz tego żałował - wymamrotał do agenta.

– Ma rację - powiedział Indy, wymierzając agentowi lugerem cios w tył głowy. Mężczyzna przewrócił się. Indy wciągnął go do kantorka załogi, skonfiskował pistolet i otworzył drzwi do magazynu we wnęce pomieszczenia. W środku związał agenta i zakneblował.

– Nowe towarzystwo - zaanonsował, wpychając go w kąt.

Steward zdążył się już ocknąć i jęczał poprzez knebel. Indy pomachał mu przed oczami lufą pistoletu i tamten natychmiast ucichł.

Indy zobaczył wiązkę drutów wystających z pudełka i wyrwał je, zorientowawszy się, że to nadajnik radiowy. Wychodząc, zobaczył zawieszoną na haku skórzaną kurtkę. Wyglądała jak jego własna. Nie mógł się powstrzymać, by ją przymierzyć.

Pasowała jak ulał.

W pomieszczeniu barowym zeppelinu Indy podsłuchał, jak pewien as lotnictwa przeżywa na nowo swoje śmiałe wyczyny z pierwszej wojny światowej, wspomagając się rekwizytami - parą modeli samolotów. Kilku

zafascynowanych słuchaczy stawiało mu kolejkę za kolejką i historie obfitowały w coraz bardziej niezwykle szczegóły.

Przybył steward, niosąc drinki dla Indy'ego oraz jego ojca, siedzących kilka stolików od mocno już wstawionego asa. Obydwaj pili napoje bezalkoholowe - nie byli pewni, czy koszmar z nazistami skończył się na dobre. Jeżeli tak - świetnie. Gdyby jednak pojawiły się kolejne kłopoty, musieli zachować trzeźwość umysłu.

Henry był tak zaabsorbowany notatnikiem, że nawet nie zauważył, jak postawiono przed nim drinka. Studiował strony poświęcone śmiertelnym pułapkom strzegącym Graala. Od czasu do czasu mruczał coś pod nosem i cała ta sytuacja nasunęła Indy'emu wspomnienia z dzieciństwa - o ojcu pogrążonym w pracy nad rozwiązaniem spraw rodem z pradawnych czasów. *Są rzeczy, pomyślał, które nie zmieniają się nigdy.*

Indy wyjrzał przez okno i obserwował przepływające obok zeppelinów pogodnie kępki chmur. Zastanawiał się, co robi teraz Elsa i czy o nim myśli. Pomimo to, że stała tam, na podium, obok Hitlera, Indy w skrytości wierzył, że najważniejszy jest dla niej Graal - obsesja, którą był w stanie zrozumieć, gdyż Elsa miała coś wspólnego z jego ojcem. Jednak nie był w stanie zaakceptować jej związku z człowiekiem, będącym być może najohydniejszą kreaturą chodzącą po ziemi od czasów Dżyngis-chana.

Odwrócił się, porzucając sekretne tęsknoty. Spojrzał na dziennik i skupił się na notatkach w średniowiecznej łacinie poczynionych drobnym pismem ojca. Na otwartej stronie widniały trzy diagramy, których sensu zupełnie nie pojmował. Jedyne, co do niego docierało, to umieszczone pod nimi podpisy. Pierwszy diagram nosił nazwę *Wahadło*, drugi - *Brak*, a pod trzecim figurował napis *Niewidzialny most*.

Właśnie miał zamiar poprosić ojca o wyjaśnienie tych znaczeń, gdy Henry spojrzał na niego.

– Dzielenie z tobą przygód to interesujące doznanie.

– To nie jedyna rzecz, która nas podzieliła - odpowiedział Indy, wracając myślami do Elsy. - A tak przy okazji, co takiego ONA mówiła przez sen?

– Mein Fuhrer.

– Myślę, że to wiele wyjaśnia.

Pomyślał jeszcze raz o ostatnich chwilach spędzonych z Elsą w Berlinie. Zaufał jej, a tymczasem...

– Rozczarowany, co? To piękna kobieta, a ja jestem takim samym człowiekiem jak każdy inny mężczyzna - powiedział Henry.

– Tak. Podobnie jak ja.

Henry uśmiechnął się, jakby wspominając własne przeżycia z Elsą.

– Było, minęło. Wypijmy za to.

Uniósł w górę szklanekę, a Indy zrobił to samo. Stuknęli się.

– Tak, było, minęło.

Henry odchrząknął i wyprostował się.

– No to wracamy do pracy.

Pochylił się nad dziennikiem i zaczął czytać:

– Są trzy zadania. Pierwsze: Oddech Boga - jedynie pokorny może przez niego przejść. Drugie: Słowo Boże - należy kroczyć w imię Pana. Trzecie: Boska Droga - jedynie skacząc z paszczy lwa, można udowodnić, czy jest się godnym.

– Co to znaczy?

– Henry postukał palcem w notatnik.

– Mam nadzieję, że się dowiemy, gdy będziemy na miejscu.

Słońce przedarło się poprzez chmury, rzucając promień przez okno i dzieląc stół na dwie równe części: światło i cień.

Gdy Indy sięgał po drinka, zwrócił uwagę, że promień przesuwają się po powierzchni stołu jak wskazówka zegara. Zapatrzył się, zafascynowany

tym zjawiskiem. Nagle zrozumiał, co to oznacza.

– Tato?

– Co takiego?

– Zawracamy. Lecimy z powrotem do Niemiec.

Wstali momentalnie ze swoich miejsc i skierowali się do części służbowej. Drzwi do magazynu były rozwalone, a agent gestapo i steward zniknęli. Indy rozejrzał się i stwierdził, że druty nadajnika radiowego wróciły na swoje miejsce, przytwierdzone za pomocą taśmy.

– Cholera!

– Oj, Juniorze. Chyba mamy kłopoty.

– Widzę, widzę. Nie musisz mi mówić - powiedział Indy, zastanawiając się, co teraz robić.

– Nie to miałem na myśli. Zapomniałem zabrać dziennik z baru.

– CO?

Henry uśmiechnął się niewyraźnie i wyjąkał:

– Tak, obawiam się, że tak.

*Nieźle, tatusiu.*

– Dobra, zostań tu. Zaraz wracam.

Indy rzucił się w głąb korytarza, w kierunku baru. Waśnie otwierał drzwi, gdy usłyszał głosy i zatrzymał się w pół drogi. Zerknął do środka i zobaczył agenta wraz z kilkoma członkami załogi, stojących nieopodal stołu, który Indy i Henry przed chwilą opuścili. Dziennik leżał na nim, ale nikt z nich go dotąd nie zauważył.

Agent zwrócił się głośno do wszystkich:

– Uwaga! Na pokładzie są szpiedzy. Każdy lojalny wobec Fuhrera, Rzeszy i Niemiec natychmiast za mną!

Zblazowani pasażerowie unieśli wzrok, po czym wrócili do swoich rozmów i koktajli, ignorując rozkaz agenta. Jedyнным, który usłuchał, był as

z pierwszej wojny, który wstał z trudem z barowego stołka i zatoczył się do przodu.

Indy wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Podniósł kołnierz skórzanej kurtki i wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa. Siąkając, wszedł do baru z twarzą utkwioną w chustce. Usłyszał, jak agent wydaje rozkazy.

– Ty! - wskazał palcem Indy’ego - idziesz z nami. Szukamy amerykańskich szpiegów.

Indy przycisnął do nosa chustkę.

– Jestem przeziębiony - powiedział po niemiecku. - Przykro mi.

Sięgnął dłonią za siebie i wsunął do kieszeni notatnik. Zdał sobie sprawę, że obok agenta stoi ubrany w podkoszulek steward, którego wcześniej znokautował. Gdy ten zauważył Indy’ego, jego twarz zmieniła się w jeden wielki znak zapytania.

– Idę sprawdzić w swoim przedziale - powiedział Indy i ruszył w stronę drzwi.

– To on! - wrzasnął steward. - Zatrzymać go!

Ale Indy był już za drzwiami i rzucił się pędem przez korytarz.

Wpadł do służbówki, szukając ojca.

– Tato, gdzie jesteś?

Henry wytknął głowę z przechowalni.

– Masz go?

– Tak, ale obawiam się, że mam jeszcze dużo innych spraw na głowie.

Indy pośpiesznie rozglądał się po pomieszczeniu, szukając kryjówki. Spojrzał na sufit.

– Mamy kłopoty?

– Nie większe niż zwykle.

Przysunął sobie krzesło, stanął na nim i podniósł się w górę, chwytając za krawędź luku. Wyciągnął rękę, żeby pomóc ojcu.

– Tylko nie znowu komin - narzekał Henry.

Indy pomógł mu wyjść na górę przez otwór. Wypełzli na dach i znaleźli się w brzuchu zeppelinu.

Jego kadłub był uwiązany do skomplikowanej metalowej konstrukcji, której boczne ramiona łączył ogromny, wypełniony helem zbiornik, utrzymujący pojazd w locie.

Henry zamarł w zachwycie i strachu. Indy rzucił okiem w dół luku i zobaczył, że agent i steward spoglądają w górę. Złapał ojca za ramię i popędzili razem wzdłuż jednego z wąskich bocznych ramion.

Ale nie byli wystarczająco szybcy.

Agent wyciągnął z kabury niewielki pistolet i wycelował nim w Indy'ego. Miał właśnie wystrzelić, gdy steward wyciągnął szybkim ruchem rękę.

– Nein! Nein!

Indy odwrócił się i zobaczył, że steward pokazuje na zbiornik i wymachuje histerycznie ramionami.

Konstrukcja, na której znajdował się wraz z ojcem, kończyła się parą drzwi w zewnętrznej części kadłuba. Za plecami Indy usłyszał tupot nóg uderzających o metalową podłogę. Otworzył jedno z drzwi i chwycił się framugi, uderzony ostrym podmuchem wiatru. Przed nim rozciągało się błękitne niebo i białe chmury.

Kilka stóp poniżej wisiały dwupłatowce uczone na hakach do metalowego szkieletu. Indy wskazał bliższy, na którego kadłubie wymalowany był pelikan z rozłożonymi szeroko skrzydłami.

– Złaź, tatko. Lecimy na wycieczkę.

Henry patrzył z przerażeniem, jak Indy wychodzi na zewnątrz samolotu.

– Nie wiedziałem, że potrafisz pilotować samolot.

*Pilotować tak. Lądować nie.*

– Lecimy.

Henry odważył się opuścić zeppelin, schodząc po metalowej drabince do dwupłatu. Indy patrzył na to trwożliwie, po czym odwrócił wzrok. Gdyby ojciec teraz spadł, nie byłby w stanie nic zrobić. Nie chciał na to patrzeć.

Odwrócił się w końcu i zobaczył, że Henry'emu udało się bezpiecznie zasiąść w samolocie. Zaczął schodzić za nim, gdy poczuł, jak agent gestapo chwyta go za ramię i próbuje wyciągnąć z powrotem w górę. Wywinął się i odepchnął go. Miał zamiar dalej schodzić, ale wtedy na drabinie pojawił się steward, wyciągnął ramię i owinął je wokół szyi Indy'ego.

Indy uczeplił się drabiny i - ku swemu zaskoczeniu - ujrzał, jak ojciec wspina się do nich. Henry chwycił stewarda za kołnierzyk na karku i pociągnął go z całej siły. Indy wyrwał się z objęć mężczyzny.

Steward puścił szczebel i runął w dół, machając gwałtownie rękami w poszukiwaniu czegoś, czego można by się było pochwycić. Złapał za jedną z rozperek nad hakiem łączącym samoloty. Zamachał nogami w powietrzu.

Indy spojrzał na ojca w zdumieniu.

– Patrz, co zrobiłeś! - krzyknął.

Henry zszedł do tylnego kokpitu a Indy pokonał kilka ostatnich stopni drabiny i zajął miejsce z przodu. Znalazł starter i uruchomił go. Śmigło zawarczało i obudziło się do życia.

Gdy Indy szukał dźwigni zwalniającej hak, Henry coś wykrzyknął. Indy odwrócił się gwałtownie i zobaczył w drzwiach nad sobą agenta, celującego w niego z pistoletu.

Gestapowiec strzelił, ale chybił - przeszkodził mu porywisty wiatr. Indy znalazł dźwignię i opuścił ją, zwalniając dwupłat.

Oderwali się gwałtownie od zeppelina, zostawiając za sobą agenta i dyndającego w powietrzu członka załogi.

Indy zatoczył koło i zobaczył asa lotnictwa z pierwszej wojny, przedostającego się na zewnętrzną balustradę zeppelinu i schodzącego w dół do drugiego dwupłata. Dał znak agentowi gestapo, by do niego dołączył.

Agent, naśladując Henry'ego, zszedł z balustrady i wskoczył do tylnego kokpitu. Upadł ciężko, tak ciężko, że jego stopy przebiły od spodu kadłub i połowa jego ciała zawisała w powietrzu pod pokładem samolotu.

As lotnictwa nie zarejestrował tego faktu i uwolnił pojazd z haków. Był tak pijany, że zapomniał wcześniej uruchomić silnik. Samolot momentalnie spadł w dół. Indy wiedział, że nawet światowej klasy as, z całym swoim doświadczeniem, nie da rady uruchomić w takim momencie silnika.

Niespełna minutę później samolot uderzył w bok góry, wypluwając płomień i własne szczątki.

Indy miał plan, by oddalić się tak daleko od Niemiec, jak tylko będzie w stanie unieść ich dwupłat i tak blisko Iskenderun, jak tylko się da. Nie miał zamiaru lądować. Postanowił, że zrobi to raczej w szczerym polu niż na lotnisku, by uniknąć w ten sposób niepotrzebnych pytań. Ostatnią rzeczą, jakiej chcieli, było zwracanie na siebie uwagi i ściągnięcie nazistów kolejny raz na swój trop.

Usłyszał, że ojciec coś do niego woła. Odwrócił się i zobaczył, jak Henry wystawia do góry kciuk, a potem opuszcza go w dół. Uśmiechnął się z zadowoleniem i również wyciągnął w jego stronę kciuk uniesiony w zwycięskim geście. Jednak Henry pokręcił głową.

W końcu Indy zrozumiał. Jego ojciec wskazywał na coś i wykrzykiwał słowa, których Indiana nie słyszał. To, co jednak do niego dotarło, zabrzmiało jak ryk i wycie jednocześnie. Nie widział ponad sobą nic, ale dźwięk stał się głośniejszy, przesywający. Odwrócił jeszcze raz głowę.



Z chmur wystrzeliły dwa meserszmity i przecięły pędem niebo. Indy i Henry zanurkowali w dół na swoich miejscach, gdy usłyszeli wycie mknących w ich stronę myśliwców.

– Odpal karabin - wrzasnął Indy.

Henry zaczął majstrować przy broni, próbując odkryć tajemnicę jej działania. Indy odwrócił się i wskazał na broń.

– Pociągnij za dźwignię, a potem naciśnij spust.

Niewielka prędkość samolotu i jego mały rozmiar działały na ich korzyść. Mknące pędem meserszmity nie mogły w nich trafić, przeleciały ze świstem, tracąc ich z oczu. Indy wiedział, że aby zawrócić, muszą pokonać wiele mil. Ale wiedział również, że piloci na pewno odnajdą ich następnym razem.

Przy drugiej mijance Henry skierował karabin na jeden z myśliwców. Nacisnął spust i po raz pierwszy wystrzelił. Karabin wypluł naboje z taką siłą, że Henry'ego prawie wyrwało z siedzenia. Meserszmity uskoczyły w lewo i Henry zaczął zataczać koła seriami z karabinu. Wciąż strzelał, chybiając celu, aż w końcu niechcący trafił w tylny statecznik własnego samolotu.

– Cholera!

– Trafili w nas? - wrzasnął Indy.

– Tak jakby - odkrzyknął Henry.

Indy spojrział w tył na ustrzelony ogon samolotu, potem na ojca i serce podeszło mu do gardła. *Niedobrze, staruszku. Naprawdę niedobrze.*

– Synu, tak mi przykro. Jesteśmy zgubieni.

Indy usiłował zapanować nad gwałtownie schodzącym w dół samolotem.

– Trzymaj się! Lądujemy.

Pięćset stóp poniżej Indy zobaczył brukowaną alejkę. To była ich ostatnia deska ratunku, zresztą nie mieli tak naprawdę wyboru, gdyż samolot kierował się właśnie w tamtą stronę. Indy zrobił wszystko, co było w jego mocy, by ustabilizować dwupłat i polecieł w dół na łeb na szyję.

Samolot wymknął się spod kontroli i rąbnęli o parking przydrożnej tawerny.

Indym zarzuciło potężnie, ale udało mu się wydostać z samolotu. Pomógł wsiąść Henry'emu.

– W porządku, tato?

– Tak mi się wydaje - odpowiedział Henry, gdy oddalali się chwiejnym krokiem od samolotu.

Indy wiedział, że muszą stąd zniknąć najszybciej, jak się da. Zauważył klienta restauracji, wjeżdżającego samochodem i pomachał do niego. Kiedy mężczyzna wysiadł, Indy wskoczył błyskawicznie za kierownicę. Okrążył parking, zahamował przed Henrym i wcisnął pedał gazu.

Właściciel samochodu rzucił się za nimi w pościg, krzycząc i wymachując pięścią. Za moment dotarło do nich wycie meserszmitów i ogień karabinów. Indy zobaczył przez tylną szybę, jak właściciel wozu uskakuje z drogi i toczy się do rowu, gdy myśliwce faszerowały kulami zaparkowane samochody.

Indy zwolnił i chwycił mocno kierownicę. Skoncentrował się na drodze, podczas gdy Henry obejrzał się w panice.

– Czy aby na pewno jesteśmy już bezpieczni?

– Mam taką nadzieję.

Indy usłyszał za sobą charakterystyczne wycie meserszmita i spojrzął w boczne lusterko. Jeden z myśliwców mknął prosto na nich.

– Cholera!

– Co się dzieje?

Kule zadzwoniły o dach samochodu, cudem omijając Indy'ego i jego ojca. Gdy myśliwiec odlatywał, promienie światła słonecznego wdarły się do środka wozu przez podziurawiony dach.

– Dobry Boże! - wymamrotał Henry. - Zabierz mnie z powrotem do Princeton. - Tu się nie da żyć.

Indy'emu włosy zjeżyły się na głowie na zawodzący dźwięk kolejnego meserszmita.

– Leci następny.

Wtedy Indy zauważył wykuty w ścianie góry tunel. Nacisnął pedał gazu i pomknął w tę stronę. Jednak myśliwiec był już przy nich, ogłuszając ich terkotem serii z karabinów.

Wjechali do tunelu.

– Zostańmy tu - zaproponował Henry.

Ale i tu nie byli bezpieczni. Chwilę później usłyszeli ogłuszający huk. meserszmit nie zdołał wyhamować na czas. Walnął w otwór tunelu, skrzydła w zderzeniu ze ścianą góry oderwały się, a kadłub potoczył w głąb tunelu jak kula wzdłuż lufy pistoletu. W górę wzbiły się iskry, gdy rozbity myśliwiec ścinał chodnik i boki tunelu. Za moment kadłub stanął w płomieniach.

Z tyłu wyrosła ognista kula, doganiając ich. Indy docisnął gaz do dechy, zwiększając szybkość do granic wytrzymałości. Pochylił się do przodu, jakby ten ruch mógł w jakiś sposób przyśpieszyć auto. Chwycił kierownicę tak mocno, że pobielały mu dłonie.

W momencie, gdy kula ognista była o cale od nich, samochód wyleciał z tunelu. Indy skręcił gwałtownie na pobocze, walcząc o utrzymanie kontroli nad pojazdem. Płonący kadłub wystrzelił tuż za nimi, uderzył w drzewo i eksplodował.

Indy wyjechał z powrotem na drogę. Samochód wpadł w poślizg i zarzuciło nim w stronę ściany ognia i gryzącego dymu. Indy błyskawicznie skręcił kierownicę, oczy rozszerzyły mu się, serce waliło w piersi jak oszalałe.

Henry wyglądał jakby był bliski zawału.

– Bliżej już nie podejda.

– Nie licz na to - powiedział Indy, patrząc w stronę kolejnego meserszmita mknącego z wyciem w ich stronę.

Myśliwiec rzucił bombę. Ekspłodowała na drodze tuż przed samochodem, chybiając zaledwie o kilka stóp. Indy z całej siły skręcił kierownicę w prawo. Samochód wjechał z impetem w barierkę, miażdżąc ją doszczętnie i wypadł z drogi. Na kilka sekund znaleźli się w powietrzu. *Wszystko skończone*, pomyślał Indy, zaciskając powieki.

Samochód, równie szybko jak wyleciał z drogi, tak szybko wylądował z hukiem, zapadając się w miękki piasek opuszczonej śródziemnomorskiej plaży. Wydostali się z auta. Indy trzymał się za głowę, bo uderzył się w kierownicę podczas upadku. W promieniu kilku mil nie było nikogo. Na plaży królowało stado mew, zamieniające piasek w śnieżnobiałe pole piór.

Indy usłyszał znowu śmiercionośny dźwięk. Odwrócił się i zobaczył lecącego w ich stronę meserszmita. Ojciec i syn spojrzeli na siebie bez słowa. Nawet nie myśleli o ucieczce. Nie było dokąd uciekać.

Indy sprawdził broń. Magazynek był pusty.

Myśliwiec leciał nisko, niespełna sto stóp nad plażą.

Nagle Henry zerwał się i pobiegł w stronę stada mew, machając rękami. Zachowywał się jak szaleniec, krzyczał, wył.

Mewy masowo oderwały się od plaży, tysiące przerażonych ptaków wzleciały w górę w momencie gdy meserszmit zawył nad ich głowami, a karabiny zaczęły wypluwać kule, ryjąc plażę i wzbijając tumany piasku.

Myśliwiec wleciał w chmurę mew. To była masakra. Ptaki wpadały pod obracające się śmigła. Czerwono-biała maź z piór i krwi pokryła przednią szybę samolotu i zapchała silnik.

Meserszmit przestał strzelać. Jego silnik zadławił się. Samolot ucichł i zniknął za nasypem.

Po chwili ciszę rozdarła eksplozja. W oddali uniosły się płomienie i dym.

Indy osunął się na piasek, całkowicie wycieńczony.

Henry wrócił do niego i usiadł obok.

– Przypomniałem sobie Karola Wielkiego: Niechaj za wojsko służą mi kamienie, drzewa i ptaki na niebie.

Indy popatrzył przed siebie na płonący myśliwiec.

– Stare, ale jare.

# Rozdział XVII.

## Przeciwstawne siły

*HATAY*

W tym samym dniu, kiedy Indy i Henry uciekali z Niemiec, Marcus Brody przyjechał pociągiem do Iskenderun. Był wyczerpany i marzył o powrocie do domu, do Nowego Jorku, w bezpieczne progi swojego muzeum. Problemy, którym stawiał czoła w codziennym życiu były niczym w porównaniu do przeżyć tej wyprawy. I kto wie, przez co jeszcze przyjdzie jemu i Sallahowi przejść.

Oczywiście, jeżeli w ogóle zdoła odnaleźć Sallaha.

Marcus miał tu być dzień wcześniej, ale wsiadł w Wenecji w zły pociąg i zanim się zorientował, był już w Belgradzie. Tam stracił kolejny dzień na poszukiwaniach właściwego pociągu. Jechał bez przerwy cały dzień, noc i połowę kolejnego dnia. W końcu dotarł na miejsce. I wtedy zdał sobie sprawę, jak arogancka i nierealna była jego obietnica znalezienia Świętego Graala.

Pocierając piekące oczy, przedzierał się przez tłum Turków i Arabów na peronie. Ciało w powiewnych szatach zlewały się w jednolitą masę. Wszyscy zdawali się być częścią jakiejś wielkiej tajemnej organizacji i tylko on jeden, Marcus Brody był sam, dezorientowany i jakby wyjęty z kontekstu.

Potarł ponownie drgające powieki. Pragnął ponad wszystko gorącego prysznic, czegoś dobrego do jedzenia i jakichś dwudziestu godzin snu.

Był zdenerwowany i przygnębiony, bo zawiódł Indy'ego i Henry'ego. Powinien znaleźć już Graal albo przynajmniej być o krok od tego.

Tymczasem nie mógł nawet znaleźć Sallaha. Cóż, był uczonym i dyrektorem muzeum, nie geografem ani odkrywcą.

A już z pewnością nie poszukiwaczem przygód.

Potrzebował przewodnika.

– Panie Brody! Marcus Brody!

Podniósł wzrok zdumiony i zobaczył Sallaha lawirującego w tłumie. Poczul taką ulgę na widok znajomej twarzy, że zapagnął rzucić się Sallahowi na szyję. To była rzecz, której nigdy, przenigdy nie uczyniłby w Nowym Jorku ani w swoim rodzinnym Londynie.

– Och, stary, jak dobrze cię widzieć!

*Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrze.*

Podali sobie dłonie, po czym Sallah mocno go uściskał. Brody poklepał starego druha po plecach, a on zarumienił się i uśmiechnął z zakłopotaniem, speszony publiczną wylewnością.

– Marcus, co się z tobą działo? - Sallah objął Brody'ego i przyglądał mu się z uwagą. - Czekałem na ciebie. Martwiłem się.

Sallah był zwalistym mężczyzną niedźwiedziej postury, z czarnymi włosami i oczami, o charakterystycznych śródziemnomorskich rysach. Jego głęboki baryton i tubalny śmiech uspokoiły Brody'ego, podobnie jak zasłużona sława lojalnego towarzysza. Był to bowiem człowiek znany z niezwykłego poświęcenia dla przyjaciół i z zacieklej wrogości do każdego, kto wchodził im w drogę.

– Trochę pobłądziłem. Czy Indy już tu jest?

Sallah pokręcił głową.

– Nie. Myślałem, że przyjedzie z tobą.

Brody poczuł się nieco lepiej. Jeszcze nie wszystko było stracone.

– Ma małą obsuwę.

– A, obsuwę - Sallah roześmiał się. Podniósł bagaż Marcusa z taką łatwością, jakby nic nie było w środku. - Typowe niedopowiedzenie w angielskim stylu - dodał z uśmiechem.

Opuścili dworzec i znaleźli się na placu targowym. Handlarze krzyczeli i wymachiwali towarami ze swoich straganów. Zapachy dojrzałych owoców i warzyw piekących się w gorącym słońcu przyprawiały Brody'ego o zawrót głowy. Miał wrażenie, że znalazł się na jakiejś odległej planecie i zatęsknił do spokoju i samotności w swoim muzeum, do spokoju i chłodu zabytkowych przedmiotów, które zwykły go otaczać. *To wszystko tutaj, pomyślał, to nie mój świat, nie mój styl.*

Sallah objaśnił, że wszystko, o czym rozmawiali przez telefon, jest gotowe i że oczekuje z niecierpliwością podróży do Kairu.

– Jak tylko będziemy... - przerwał w pół zdania. Dwóch zbirów w trenczach zablokowało im drogę.

– Dowody, proszę - powiedział jeden z nich złowieszczym tonem i wyciągnął rękę.

– Do...wody? - odpowiedział zdziwionym głosem Sallah. Dał znak Brody'emu, żeby uciekał.

Sam zwrócił się do tamtych:

– Chętnie bym spełnił waszą prośbę, ale tu istna pustynia. Do jakiej wody? Zresztą kąpałem się w zeszłym tygodniu.

Brody zmarszczył brwi.

– O co tu chodzi?

– Uciekaj! - tym razem wrzasnął Sallah.

Brody zakręcił się w miejscu, ale nawet nie zdołał zrobić kroku, gdy jeden z mężczyzn chwycił go za kołnierz. Sallah wyciągnął w stronę zbirów pięści. Rozgorzała walka. Tłum rzucił się w popłochu do ucieczki,



przewracając stragany - owoce i warzywa spadały na ziemię i toczyły się we wszystkie strony.

Zwoje kosztownego jedwabiu i kolorowej bawełny walały się w błocie.

Brody torował sobie drogę przez wzburzony, hałaśliwy tłum. Zastanawiał się, jak mógłby pomóc Sallahowi, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nie był na tyle silny, by kogoś obezwładnić i, ostatecznie, Sallah *kazał* mu uciekać. Przeciskał się wśród straganów, sprzedawców i w końcu schronił się w pobliskiej bramie. Widział stąd walkę i zobaczył, jak Sallah wpada na wielbłąda. Zderzenie ogłuszyło go na wystarczająco długą chwilę, by zbiry zdążyły się na niego rzucić. Ale Sallah szybko się pozbierał i trzepnął wielbłąda w nos. Rozdrażniona bestia szarpnęła głową i splunęła siarczyście na twarz jednego z bandytów. Sallah rzucił się do ucieczki, a Brody zaczął wymachiwać ramionami, mając nadzieję, że tamten go zauważy.

Sallah uniósł dłoń i przyzywał go gestem do siebie, wskazując palcem ciemne, skryte za zasłoną wejście na podjeździe.

– Tam! Szybko!

Brody nie miał szczególnej ochoty na chowanie się w tym miejscu, ale Sallah wciąż krzyczał. Opuścił więc swoją kryjówkę i wbiegł na podjazd. Wśliznął się za opuszczoną zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Dopadli Sallaha. Rzucili się nań jak zwierzęta, okładając pięściami i krótkimi pałkami. A Sallah nawet nie stawiał oporu. Wciąż machał do Brody'ego jak oszalały i wykrzykiwał coś, czego tamten nie był w stanie zrozumieć.

Na pomoc zbirom przyszło kilku nazistowskich żołnierzy. Brody zdawał sobie sprawę, że Sallah jest bez szans. Wahał się, co zrobić - chciał pomóc przyjacielowi, ale wiedział, że będzie w walce bezużyteczny. Nie mógł dłużej na to patrzeć. Schował się za zasłonę i rozejrzał wokół. Zanim zorientował się, gdzie jest, usłyszał dźwięk zatraskującej się za nim

metalowej klapy. Siedział w przyczepie ciężarówki z czerwono-czarnym symbolem nazistowskim.

Sallah podniósł głowę. Był ranny, krwawił, jego nozdrza wypełniał piasek i kurz. Zbrodniarze zmyli się, ale dostali to, czego chcieli. Brody nie zrozumiał go i pobiegł prosto w łapy nazistów, zamiast uciekać jak najdalej od nich. A teraz ciężarówka zniknęła, unosząc ze sobą Marcusa.

Dzień później na dziedzińcu pałacu w Iskenderun zasiadł na tronie sułtan regionu. Tron był purpurowy, z wysokim oparciem, dzięki czemu sułtan wydawał się większy niż w rzeczywistości. Sułtan był człowiekiem dystyngowanym, o spojrzeniu, które potwierdzało królewskość. Bujna jedwabista broda miała biały kolor i sięgała mu do piersi. Siedział w purpurowym płaszczu haftowanym z przodu i na rękawach złotą nicią, ramiona zdobiły strojne epolety. Opasany był szeroką złotą-czerwoną szarfą, zaś na głowie miał płaski kapelusz dopasowany do reszty stroju.

Otaczała go służba, a człowiek stojący u jego stóp był Amerykaninem, którego sułtan nieraz spotykał wcześniej podczas swoich rozlicznych podróży.

– W czym mogę panu pomóc, panie Donovan? Jak mówiłem podczas naszego ostatniego spotkania, nie jestem zainteresowany sprzedażą żadnego z dzieł sztuki.

Donovan złożył ukłon.

– Rozumiem. Jednak tym razem ja mam coś, co chciałbym zaprezentować Waszej Wysokości.

Wręczył sułtanowi brakujące strony notatnika.

– Te strony pochodzą z dziennika profesora Henry’ego Jonesa. Zawierają mapę określającą szczegółowo miejsce, w którym znajduje się

Święty Graal.

Sułtan bez większego zainteresowania przeleciał mapę wzrokiem. To, że Graal znajduje się na jego terenie nie zaskoczyło go. Nic zresztą jak dotąd nie było w stanie go zaskoczyć. Od chwili, gdy jako dziecko zdał sobie sprawę, że urodził się w bogatej, potężnej rodzinie - na ziemi, gdzie większość ludzi przychodziła na świat w skrajnej nędzy - wiedział, że jest uprzywilejowany i uznawał to za zrządzenie boskie.

Zwinął mapę i niedbałym gestem zwrócił ją Donovanowi.

– Skąd pan ją ma?

Donovan odwrócił się i wskazał na grupę ludzi stojącą przy wejściu na dziedziniec. Wśród nich była Elsa Schneider, kilku hitlerowców i Marcus Brody. Brody'ego pilnowali strażnicy.

– Człowiek w środku jest wysłannikiem doktora Jonesa. Dostał te strony od jego syna.

– I co miał zamiar z nimi uczynić?

– Schwytaliśmy go w Iskenderun. Przybył tu, by ukraść Graal z terytorium Waszej Wysokości.

– Rozumiem.

Graal nie miał dla sułtana większego znaczenia. Słyszał o nim, rzecz jasna, był również świadom istnienia legendy, jakoby posiadał on wielką moc. Ale nie wierzył w przesady - sądził, że jest to kolejny zabytkowy przedmiot, którego przeznaczeniem było znaleźć się w muzeum lub w czyjejś prywatnej kolekcji. Był nowoczesnym człowiekiem bardziej zainteresowanym nowinkami techniki, przedmiotami obdarzonymi realną, użyteczną mocą.

Ale orientował się również w sprawach podaży i popytu. Zdawał sobie świetnie sprawę, że Donovan był osobiście zainteresowany Graalem. A im więcej było zainteresowanych, tym wartość nabywcza towaru wzrastała.

Sułtan wiedział, gdzie było jego miejsce w tej rozgrywce - to on miał decydujący głos. Jeśli więc Donovan miał zamiar jechać na pustynię i odnaleźć ten stary puchar - musiał za to słono zapłacić. Nie było co do tego wątpliwości.

– Co zatem zamierzasz? - spytał, jak gdyby nie było to dlań oczywiste.

Donovan odchrząknął.

– Jak widzisz, Panie, Graal jest już niemal w naszych rękach. Jednakże nie ośmielimy się wkroczyć na twoją ziemię bez twego przyzwolenia ani przywłaszczyć sobie twojej własności bez sowitej zapłaty.

Sułtan spojrział na Donovana.

– Cóż więc mi oferujesz?

Donovan odwrócił się i przywołał gestem nazistowskich żołnierzy.

– Kufer, proszę.

Dwóch z nich przytaszczyło potężny kufer i złożyło go u stóp sułtana.

Donovan nakazał im otworzyć skrzynię.

Otworzyli kluczem zamek i podnieśli wieko. Ponieważ sułtan nie uczynił żadnego ruchu, Donovan nakazał żołnierzom wypakować skrzynię. Przez kilka kolejnych minut żołnierze prezentowali władcy wiele złotych i srebrnych przedmiotów: kielichy i świeczniki, misy, talerze i puchary, rozmaitych rozmiarów cenne szkatuły, miecze oraz noże.

– Te kosztowności, Wasza Wysokość, są darem najświetniejszych rodzin z całych Niemiec.

Sułtan wstał ze swojego miejsca i minąwszy bez zainteresowania skrzynię z darami, skierował się w stronę zaparkowanego na dziedzińcu nazistowskiego samochodu i zaczął go oglądać ze wszystkich stron.

– Daimler-Benz 320L - uniósł maskę i lustrował silnik. - No, no, 3,4 litra, 120 koni mechanicznych, sześć cylindrów, pojedynczy gaźnik typu solex. Do setki rozpędza się w piętnaście sekund.

Odwrócił się do Donovana, który podszedł do niego z uśmiechem.

– Nawet kolor mi odpowiada.

Donovan szybko ocenił sytuację: sułtana nie zadowoli samo złoto i srebro, a ponieważ potrzebowali jego przychylności, nie było wyjścia. Jednak zawsze mógł się jeszcze targować.

– Kluczyki, Wasza Wysokość, są w stacyjce, do twojej dyspozycji. Samochód jest twój, podobnie jak kosztowności. Chciałbym jedynie prosić o zasilenie naszego oddziału twoimi ludźmi i sprzętem.

Sułtan uśmiechnął się przychylnie.

– Dostaniecie wielbłądy, konie, uzbrojone wojsko, zapasy żywności, samochody terenowe. I czołg.

Donovan skłonił się, usatysfakcjonowany przebiegiem transakcji.

Elsa ruszyła pośpiesznie przez dziedziniec w jego stronę.

– Nie mamy czasu do stracenia. Jestem pewna, że Indiana Jones i jego ojciec są już w drodze.

Wydarzenia na sułtańskim dworze nie uszły uwadze innej zainteresowanej Graalem strony. W krużganku dziedzińca stał mężczyzna, który o mały włos nie zabił Elsy i Indy'ego w Wenecji, ten sam, od którego Indy dowiedział się o miejscu pobytu swego ojca.

Kazim wśliznął dłoń pod tunikę i przejechał palcem po wytatuowanym na piersi mieczu w kształcie krzyża. Póki żyje, nikt nie zabierze Świętego Graala z jego miejsca.

Pociąg przybył do Iskenderun o świcie. Pomimo wczesnej pory peron był pełen podróżnych. Indy rozejrzał się. Miał nadzieję zobaczyć oczekującego ich Marcusa, ale wiedział, że to mało prawdopodobne. Nawet jeżeli byłby w Iskenderun, nie miał przecież pojęcia, kiedy się zjawią.

Henry najwyraźniej myślał o tym samym.

– Ciekawe, czy znajdziemy Marcusa.

– Ani śladu... Patrz!

Indy wskazał na krępą brodatą postać przepychającą się ku nim poprzez tłum.

– Indy! - ryknął Sallah. - Nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłem!

Pochwycił Indy'ego w ramiona, unosząc go w górę.

Postawił go po chwili z powrotem na ziemi i zwrócił się do Henry'ego.

– Ojciec?

– Dlaczego... yyy... Tak.

– Syn bardzo podobny do pana, sir! Pański chłopak jest błogosławieństwem mego życia! To wspaniały facet.

Zarzucił Henry'emu ramiona na szyję. Henry nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi i jak ma się zachować.

– Tak się cieszę, że cię poznałem!

Indy zauważył guzy i siniaki na twarzy Sallaha.

– Co ci się, do cholery, stało? Wyglądasz, jakby skopał cię po twarzy wielbłąd.

– Coś w tym stylu. Wkrótce wszystko ci opowiem.

Indy zmarszczył brwi, bojąc się zadać następne pytanie.

– Sallah, gdzie Marcus?

– Nie możemy tutaj rozmawiać, Indy - wyszeptał Sallah, przyspieszając kroku. - Szybko. Do samochodu - wskazał na zdezelowanego i pokrytego kurzem auta coupe.

Gdy znaleźli się w samochodzie, Sallah odpalił silnik i pojazd ruszył energicznie. Po chwili mknęli przez zatłoczone, wąskie ulice, wśród zwierząt i aut, rowerów i wozów oraz tłumu przechodniów.

Sallah trąbił, dodawał gazu, zmieniał biegi i gwałtownie kręcił kierownicą.

Henry zaniemówił z przerażenia, chwycił się kurczowo podłokietników na tylnym siedzeniu, pewien, że za chwilę wyrzną w jakiś samochód albo ruszą przez tłum, zabijając każdego na ich drodze.

W końcu odzyskał głos i pochylił się do przodu.

– Proszę - wychrypiał. - Proszę, zwolnij. Przeżyłem w trakcie tej podróży tyle szalonej jazdy, że wystarczy mi do końca życia.

– Przepraszam, ojcie Indy’ego.

Sallah machnął ręką i wychylił głowę przez okno.

– Zabieraj stąd tę kozę! - wrzasnął na jakiegoś przechodnia.

Koza zeszła z drogi, pomknęli dalej pędem i Sallah odwrócił się do Indy’ego.

– Wracając do Marcusa - było ich zbyt wielu, żeby dać im radę.

– Uważaj! - ryknął Henry z tylnego siedzenia.

Sallah zahamował ostro i zaklął siarczyście na widok blokującej im drogę furmanki.

– Usuń wielbłąda! - krzyknął, wystawiając głowę przez szybę. Człowiek zignorował go, więc Sallah objechał wóz i dodał gazu.

Wrócił do tematu:

– Możesz wywnioskować z wyglądu mojej twarzy, że zrobiłem, co mogłem. - Uniósł w górę posiniaczoną pięść. - Ale nie tylko mnie się dostało.

– Co z Brodym?

– Wyruszyli dzisiaj przez pustynię, żeby zdobyć poparcie i eskortę od sułtana. Obawiam się, że wzięli pana Brody’ego ze sobą.

Henry pochylił się gwałtownie w stronę przedniego siedzenia.

– To znaczy, że mają mapę i są już w drodze. Dopadną Graala przed nami.

– Uspokój się, tato. Dogonimy ich - zapewnił Indy.

Jednak sam martwił się, że przybędą za późno - i dla Marcusa, i dla Graala.

– W tym wyścigu nie przyznaje się srebrnego medalu, synu. Henry nagle zmienił poglądy na temat jazdy Sallaha i klepnął go mocno w plecy.

– Szybciej. Jedź szybciej, proszę.

Sallah uśmiechnął się, wcisnął klakson i wystawił głowę przez okno.

– Wy ślepi otomańscy sprzedawcy szmat. Z drogi!

Henry opuścił tylną szybę i dołączył do Sallaha.

– Pirat drogowy! Rozejść się!

Indy'ego ogarnęła melancholia. Wiedział, że gdy Donovan i jego hitlerowski gang zdobędą pewność, że są na dobrej drodze do Graala, życie Marcusa przestanie się dla nich liczyć.

– Mamy szansę ich schwytać?

Sallah uśmiechnął się znacząco.

– Od czego są skrótty?

Nacisnął klakson, pokręcił głową i zaklął w trzech językach. Odwrócił się do Indy'ego.

– Przekonasz się.



# Rozdział XVIII.

## Konfrontacja

Marcus Brody wytknął głowę przez właz czołgu z pierwszej wojny światowej i popatrzył na prażące słońce. Wytarł czoło chustką i mruknął.

– Wściekłe nazistowskie psy.

Pokonywali pustynny kanion, który wyglądał jak ostatnie miejsce na ziemi. Dla Brody'ego, wielkomiejskiego szczura, to był koniec świata. Jałowy, paskudny i uciążliwie gorący. Jak na ironię, ta koszmarna, opuszczona ziemia miała szansę stać się prawdziwym końcem jego własnego świata.

– Masz ochotę przepłukać gardło, Marcus?

Na dźwięk głosu Donovan Brody odwrócił głowę. Śladem czołgu podążał kabriolet, w którym siedział Donovan, Elsa Schneider - ta zdrajczyni - oraz nazista, do którego zwracała się *per* pułkownik Vogel. Za samochodem podążała reszta karawany: wielbłądy dźwigały na grzbietach żołnierzy prywatnej armii sułtana, z których każdy był ubrany w luźny pustynny strój i uzbrojony w miecz i karabin. Luzem szły konie, jechał samochód dostawczy, niemiecki sedan, jeep i dwa opancerzone transportery ciężarowe, wypełnione po brzegi nazistowskimi żołnierzami.

Donovan z uśmiechem podał Marcusowi manierkę z wodą. Brody wolałby zdecydowanie napluć mu w twarz, niż przyjąć jego pomoc. Ale ponieważ nie miał już w ustach ani kropli śliny, wziął do rąk naczynie i napił się. Zatrzymali się na chwilę w oazie kilka godzin temu, ale od tego czasu Marcus zdążył wysuszyć się na wiór. Słońce zmieniło wnętrze czołgu w piekarnik, a pod samym włazem było jak w gotującym się kotle.

Woda popłynęła wzdłuż jego gardła - nie pamiętał, kiedy ostatnio coś mu tak smakowało. Odetchnął, po czym ponownie przyłożył menażkę do ust i wziął głęboki łyk.

Donovan wyciągnął rękę po naczynie, najwyraźniej zaniepokojony, że Brody może znacznie uszczuplić ich zapasy.

– Według twojej mapy, Marcus, zostało nam jedynie jakieś trzy albo cztery mile od największego odkrycia w dziejach historii.

Brody otarł usta wierzchem dłoni, rozważając rzucenie draniowi menażki w twarz. Wiedział jednak, że ten ruch jeszcze bardziej zredukowałby jego własne szanse na przeżycie tej eskapady.

Toteż zwyczajnie rzucił manierkę do jego rąk.

– Igrasz z mocami, których nie jesteś w stanie pojąć, Walterze.

Donovan zaczął coś mówić na temat mocy, ale nagle przerwał.

Brody podążył za jego wzrokiem. Gdzieś w oddali, wśród wzgórz, coś jakby mignęło. Miał dobre przeczucie, co to może być. Donovan pewnie też.

Źródłem błysku była lornetka, przez którą Indy obserwował przesuającą się wzdłuż koryta kanionu karawanę. Sallah i Henry stali po jego bokach, a samochód z prowiantem był zaparkowany w cieniu głazu jakieś trzydzieści jardów za nimi.

– Mają czołg... z sześćofuntowym działem. Widzę Brody'ego. Wygląda nieźle.

Henry osłonił dłonią oczy.

– Uważaj, żeby cię nie wypatrzyli.

– Jesteśmy poza zasięgiem ich wzroku.

– W tym momencie ujrzeli błysk - to czołg wypalił z działa w ich stronę. Indy padł na ziemię i osłonił głowę rękami. Pozostali dwaj zrobili to samo.

Pocisk przeleciał koło nich ze świstem i wybuchł w pobliżu. Posypały się na nich pozostałości samochodu Sallaha.

Sallah jęknął.

– To był samochód mojego szwagra.

– Strzał w dziesiątkę! - krzyknął pułkownik Vogel. Chodźmy po ciała.

Elsa niepewnie przytknęła do oczu lornetkę. Z jednej strony miała ochotę rzewnie zapłakać na myśl, że Indy może już nie żyć. Ale z drugiej odczuła ogromną ulgę: jeżeli nie żyje, nastąpi koniec jej rozterek. Mogła skoncentrować się na Graalu i zapomnieć o walce z samą sobą. Odkąd spotkała Indy'ego, czuła się jakby mknęła emocjonalnym roller coasterem. W jednej chwili nienawidziła go, by za moment nie wyobrazić sobie bez niego życia. Jeżeli Indy nie żyje, ona wkrótce o wszystkim zapomni.

Jej prawdziwą miłością, powtarzała sobie, jest Graal. Mężczyźni i polityka były na dalszym planie. Będzie szła za Donovanem, ale tylko do pewnego momentu. Potrzebowała go, by dostać się do Graala, ale później jakoś będzie musiała odebrać mu święty kielich. Obietnice, jakie niosła ze sobą ta relikwia były zbyt cudowne, by odpuścić. Zdobędzie ją albo umrze w walce o nią.

Kiedy przybyli na miejsce wybuchu, okazało się, że nie ma ciała. To dziwne, ale Elsa poczuła się z tego powodu lepiej. Więc Indy żył.

Gdy Vogel pośpiesznie organizował akcję pościgową, Donovan podszedł do Elsy.

– Może to nawet nie był Jones.

– Nie, to on. Jest gdzieś w pobliżu - odwróciła się, czując, że są obserwowani. - Na pewno. Czuję to.

Donovan najwyraźniej również to czuł. Rozejrzał się niespokojnie, po czym polecił jednemu z żołnierzy, by zabrał Brody'ego do czołgu. Zwrócił

się ponownie do Elsy.

– W tym skwarze bez środka transportu już są na dobrą sprawę martwi.

Nagle rozległ się huk. Od sąsiedniej skały odbiła się rykoszetem kula, a odgłos strzałów wypełnił powietrze. Donovan rzucił się w popłochu w poszukiwaniu kryjówki, zapominając o Elsie. Pomknęła za nim, bardziej wściekła o to, że Indy może do niej strzelać, niż że Donovana obchodzi jedynie jego własny tyłek.

– To Jones! - krzyknął Donovan. - Widziałem, miał przy sobie pistolety.

Gdy rozległy się strzały, Indy tkwił ukryty za masywnym kamieniem. Widział Elsę i Donovana, biegnących w poszukiwaniu kryjówki i miotających kule żołnierzy.

Wymienił z ojcem i Sallahem zdumione spojrzenia. Kto strzelał?

– Chodźmy. Rzucimy okiem - powiedział Indy.

Opuścili kryjówkę i wdrapali się na skałę z widokiem na chaotyczne widowisko, w którym hitlerowcy i sultańscy żołnierze wymieniali strzały z niewidzialnym wrogiem, ukrytym w jaskini wykutej w ścianie kanionu. Sallah spojrział przez lornetkę, po czym podał ją Indy'emu.

Jakaś postać wynurzyła się z ciemnego wnętrza groty. Indy dostrzegł, że mężczyzna ma na koszuli jakiś symbol - krzyż zwężający się ku dołowi jak ostrze pałasza. Człowiek wyszedł śmiało na otwartą przestrzeń, igrając ze śmiercią. Indy przyjrzał się jego twarzy i rozpoznał go. To był Kazim.

A więc jednak Bractwo Krzyża Mieczowego było czymś więcej niż tylko mitomańskim wymysłem jednego fanatyka.

Indy oddał Sallahowi lornetkę i zaczął naradzać się z Henrym. W końcu wszyscy trzej uknuli plan. Henry wyszedł z kryjówki i ruszył w stronę czołgu, w którym tamci trzymali Brody'ego.

W tym samym czasie Indy i Sallah zaczęli się czołgać na skraj pośpiesznie zaimprovizowanego obozowiska Donovan.

Ze swojej pozycji widzieli konie i Indy wybrał już sobie jednego. Czekali na właściwy moment, by rzucić się pędem przez otwartą przestrzeń.

– Spójrz - powiedział Sallah, wskazując na ścianę kanionu. Kazim opuścił skalny otwór i oddawał strzały, przeskakując z kamienia na kamień.

– Teraz - powiedział Indy i dał Sallahowi znak.

Byli w połowie drogi między skałami i końmi, gdy jeden ze strzelających hitlerowców odwrócił się, by załadować broń. Dostrzegł ich i właśnie zamierzał ostrzec pozostałych, gdy Kazim ruszył przed siebie i strzelił, zabijając żołnierza.

Kazim zakręcił się niebacznie, strzelając jak wariat, gdzie popadnie, aż został ścięty gradem kul.

Gdy Donovan popędził do niego, Indy i Sallah dali nura w stronę koni. Kazim leżał jakieś pół tuzina stóp stąd.

– Kim jesteś? - spytał rannego Donovan.

– Wysłańcem Boga. Dla niegodziwców Kielich Życia zawiera wieczne potępienie.

To były ostatnie słowa Kazima.

W tym momencie z jaskini rozbrzmiały kolejne wystrzały i Donovan, na widok pyłu wzniesionego przez kule tuż u swych stóp, poderwał się do ucieczki.

Indy i Sallah wdrapali się na grzbiety koni i odjechali niepostrzeżenie pośród strzelaniny.

Zamknięty w czołgu Brody rozpływał się z gorąca. Został pozostawiony sam sobie i szukał mechanizmu uruchamiającego silnik. Nie był pewien,

czy zdoła zgłębić tajniki prowadzenia tego pojazdu, jednak wiedział, że musi go uruchomić. Usłyszał, jak kłapa otwiera się i szybko odskoczył w tył.

– Marcus?

Głos brzmiał znajomo. Spojrzał zdziwiony w górę i zanim zdążył odpowiedzieć, zobaczył stopę Henry'ego.

Zszedłszy do środka, Henry uśmiechnął się do Brody'ego i zacytował tekst starego toastu uniwersyteckiego klubu:

– Geniusz Restauracji....

– ...sprzyja naszej reanimacji! - dokończył Brody.

Rzucili się sobie w ramiona.

– Wierzę, że nie masz mi za złe tej niezapowiedzianej wizyty? - powiedział Henry i roześmiał się.

– Ani trochę. Cieszę się, że widzę cię żywego, stary druhu. Co tu porabiasz?

– To misja ratunkowa, dobry człowieku. Myślałeś, że wpadłem na herbatkę, czy co?

– Trochę się spóźniłeś.

Nagle do czołgu zeskoczył jeden z nazistów i wycelował w mężczyznę lugera. Dołączyło do niego dwóch następnych hitlerowców, za którymi wpadł Vogel.

– Obszukać go - rozkazał.

Jeden z hitlerowców zrewidował Henry'ego, ale jedyną bronią, jaką znalazł, był słynny dziennik. Vogel był w stanie furii. Zamachnął się i uderzył Henry'ego w twarz.

– Co jest w tej książce? Co jest takiego w tej twojej małej żalosznej książeczce?

Henry nie odpowiedział i Vogel zdzielił go jeszcze raz po twarzy.

– Mamy mapę. Twoja książeczka jest bezużyteczna. A jednak odbyłeś całą długą drogę do Berlina, żeby ją zdobyć. Chcę wiedzieć, o co w tym chodzi, doktorze Jones.

Henry milczał jak mumia i Vogel trzasnął go w twarz po raz trzeci.

– Co ukrywasz? Co jest takiego w notatniku, co rozumiesz TY, a my nie?

Henry spojrział na Vogla wzrokiem płonącym nienawiścią.

– W notatniku jest o tym, że książki służą do czytania, a nie do tego, by tacy kretyni jak ty je palili.

Vogel uderzył go znowu, tym razem mocniej, aż Henry’ego zarzuciło w tył.

– Mają twojego ojca - powiedział Sallah, podając Indy’emu lornetkę. Widziałem żołnierza wchodzącego za nim do czołgu.

Indy zaklął. Nie powinien był słuchać ojca. Trzeba było samemu pójść po Brody’ego, a końmi zająć się później. Spojrział na czołg, potem odwrócił się w stronę Donovana i reszty żołnierzy, którzy wciąż zajadłe walczyli z pozostałymi członkami bandy Kazima.

– Chodźmy po nich zanim będzie za późno.

– Herr pułkowniku!

Jeden z żołnierzy, który usiadł na miejscu operatora czołgu, dał znak Voglowi, by ten zajął miejsce obserwacyjne. Vogel wyjrzał na zewnątrz i zobaczył Indy’ego i Sallah’a nadciągających konno w chmurze pyłu. Odwrócił się do nazistów pilnujących Marcusa i Brody’ego.

– Jak tylko się ruszą, zastrzel ich obu.

Wydał rozkaz, by przygotować działo do strzału.

– Uważaj, Indy! Będą strzelać! - krzyknął Sallah.

Indy zauważył jak sześćofuntowa lufa czołgu obraca się w ich kierunku. Nagle zdał sobie sprawę, że atak na czołg nie jest chyba rewelacyjnym pomysłem. Ściągnął gwałtownie cugle i ruszył w przeciwną stronę - jak najdalej.

Sallah pędził za nim, wrzeszcząc, ile sił w płucach:

– Mądry ruch, Indy. Z końmi na czołgi to kiepski układ. Zgadzam się całkowicie.

Uciekali zygzakiem przez pustynię, podczas gdy czołg ruszył za nimi w pościg, grzmocąc z działa raz za razem. Kule jednak szczęśliwie ich omijały - po każdej kolejnej eksplozji Indy i Sallah wynurzali się z chmury pyłu cali i zdrowi.

Indy odwrócił się: czołg ich doganiał. W ich stronę ruszył także niewielki niemiecki sedan z dwoma żołnierzami w środku. Dwóch z nich to mało, żeby go powstrzymać - Indy przyjął tę myśl za pewnik.

Wtedy działo znowu wystrzeliło, tym razem o milimetry mijając Indy'ego.

– A niech to!

– Niewiele brakowało - krzyknął Sallah. - Jeśli chcesz żyć, raczej przyśpiesz.

Sallah pognał do przodu, ale Indy'ego zaczęła już irytować ta cała zabawa. Zmarszczył brwi, spojrzął za siebie i zdał sobie sprawę, że tylko lufa w całym tym ciężkim czołgu może się w miarę szybko poruszać. To podsunęło mu do głowy pewien pomysł.

Pociągnął za cugle i zawrócił konia. Czołg zawrócił za nim, ale znalazł się na drodze małego sedana wiozącego dwóch nazistów. Kierowca samochodu próbował wykręcić, ale Vogel go nie widział - poświęcił się w całości celowaniu z działa w Indy'ego.



Z przeszywającym zgrzytem metalu o metal sedan został najechany z boku i dostał się pod gąsienice. Kolidacja spowodowała nie tylko zatrzymanie czołgu, ale również zablokowanie wjazdu i wieżyczki armatniej.

Indy tymczasem zatrzymał konia. Pochylił się i zgarnął ze skały ciągnącej się wzdłuż kanionu naręcze kamieni, po czym popędził konia. Pognął w kierunku bocznej strony czołgu, wetknął w środek lufy kilka kamiennych odłamków po czym pokierował konia tak, aby znaleźć się dokładnie na celowniku.

– Mam go!

Henry poderwał głowę, usłyszawszy podekscytowany wrzask Strzelca. Wiedział, kogo nazista ma na myśli.

– Dobra, zastrzel go - wydał rozkaz Vogel.

– Nie! - wrzasnął Henry i rzucił się na artylerzystę. Ale strażnik zablokował mu drogę, pchnął go na ścianę kabiny i wycelował mu lugera pomiędzy oczy. W tym czasie żołnierz skierował lufę na Indy'ego i strzelił. Jednak działo wystrzeliło prosto w twarz artylerzysty. Zanim uderzył o podłogę, już nie żył.

Wnętrze czołgu wypełnił dym. Henry oraz pozostali zaczęli się dusić. Vogel przeszedł przez ciało zmarłego, sięgnął w górę i otworzył pokrywę, by wypuścić dym.

– Odpalić działo - wrzasnął do kierującego pojazdem, sam nie mając zamiaru ryzykować.

Henry złapał Brody'ego za ramię i przeczołgali się razem pod wjazd. Henry miał właśnie zamiar wstać i wspiąć się na zewnątrz, gdy wpadł na strażnika. Mężczyzna przyłożył Henry'emu pistolet do czoła.

Kierowca sedana zginął, ale pasażer przeżył wypadek i usiłował wydostać się przez brezentowy dach: naciął tkaninę i wyszarpnął dziurę. Gdy wystawił głowę, spojrział prosto w wylot sześćofuntowej lufy.

W tym momencie działo wystrzeliło, unicestwiając wszystko, co znalazło się na jego drodze i unosząc szczątki sedana na jakieś sześćdziesiąt pięć jardów w powietrzu.

Indy czekał za czołgiem. Gdy wybuch zmiotł sedana, zobaczył Sallaha mknącego galopem w jego stronę. Grad samochodowych szczątków spadał na ziemię wokół niego. Jego koń wierzgnął i Sallah spadł na ziemię.

Zaraz jednak dosiadł z powrotem wierzchowca, rzucił okiem na czołg i pomknął w przeciwną stronę.

Indy pomyślał, że już nadużył pomocy Sallaha.

Pozbawiony się samochodu, czołg potoczył się dalej przed siebie.

Vogel przejął kontrolę nad lufą i obrócił ją, szukając Indy'ego. Ale wieżyczka była w stanie zatoczyć łuk maksymalnie o dziewięćdziesiąt stopni. Vogel był pewien, że Indy schował się za czołgiem i że jeżeli drugi jeździec dołączył do niego, mogą razem próbować dostać się do środka.

Jeżeli się odważą, zastrzeli starego Jonesa na jego oczach.

Ale potrzebował posiłków. Złapał za mikrofon radia i przywołał Donovana.

– Zapomnij o tamtych świrach na wzgórzu - rzucił krótko. -  
Przyprowadź wojsko. Natychmiast!

Zapadła chwila ciszy, po czym Donovan warknął:

– Chcesz mi powiedzieć, że nie uporałeś się z głupim Jonesem, mając do dyspozycji czołg?!

Vogel wściekł się i wycedził przez zęby.

– Jeszcze nie.

Spojrzał nad wieżyczką, ponownie szukając wzrokiem Indy'ego. Zobaczył po lewej stronie wejście do wąskiego odgałęzienia wąwozu i zaświtała mu w głowie pewna myśl. Uśmiechnął się z zadowoleniem do siebie i nakazał kierowcy skręcić w tamtą stronę.

Wcisnął jeszcze raz włącznik radia.

– Zanim tu będziesz, uporam się z Jonesem, wedle twojego życzenia.

Wjechawszy do parowu, skręcił lufę najmocniej, jak mógł. Wycelował ją w skalną ścianę i czekał na odpowiedni moment. Po chwili spostrzegł wystający nad ścianą głaz i skorygował cel. Oddał salwę dokładnie w tę stronę, powodując zejście kamiennej lawiny.

Uśmiechnął się. *To by było na tyle, Jones.*

## Rozdział XIX.

### Jeden przeciwko wielu

Chwilę przed zejściem skalnej lawiny Indy wstrzymał konia, szukając kamieni. Miał w planie ponownie zatkać lufę, w nadziei, że odniesie to taki sam skutek, jak poprzednio. Gdy Vogel otworzy wąż, by pozbyć się ze środka dymu, mógłby go obezwładnić i przejąć czołg. Proste, o ile Vogel da się tak łatwo nabrać.

Ale czołg skręcił i wjechał do wąskiego parowu, a on wciąż nie mógł znaleźć odpowiednich kamieni. Natrafiał na małe kamyczki albo potężne głązy. Albo za małe, albo dwa razy większe od średnicy lufy. Na dodatek, skręcając w odnogę stracił z oczu Sallaha, który uciekł poza zasięg lufy. Teraz Sallah pewnie nie będzie wiedział, co stało się z nim i z czołgiem.

Indy skoncentrował się na przeszukiwaniu gruntu. *Kamienie. Muszę znaleźć kamienie.*

Właśnie wtedy działo wystrzeliło w skalną ścianę i po chwili w jego stronę potoczyło się więcej kamieni, niż mógł sobie zamarzyć. Wstrzymał gwałtownie konia, zawrócił i pognął w kierunku wyjścia z wąwozu. Kamienie spadały ze wszystkich stron. Miał dużo szczęścia, uchodząc stamtąd z życiem.

Gdyby jechał za czołgiem, już by nie żył. Bez dwóch zdań.

Ale teraz miał na głowie kolejny problem. Trasa od strony wąskiej odnogi została odcięta. W tej sytuacji, żeby dostać się do czołgu, musiał cofnąć się i obejść kanion dookoła, a na to trzeba było poświęcić cenny czas, być może kilka godzin.

Nie miał tyle czasu.

Wtedy dostrzegł alternatywną trasę. Lawina miała swoje dobre strony - uformowała bowiem nowy wyboisty szlak wzdłuż zbocza klifu.

Czas na górską wycieczkę.

Pojechał stromą dróżką najszybciej jak mógł, manewrując pomiędzy odłamkami skał. Stwierdził z zadowoleniem, że nie dość, iż zdoła przemierzyć tędy kanion, to w dodatku odnalazł skrót. Wkrótce dojrzał z góry czołg. Minął go, zastanawiając się, w jaki sposób pokonać drogę w dół, kiedy niespodziewanie jego dobra passa się skończyła. Szlak kończył się ślepią skalną ścianą.

Spojrzał na dno wąwozu - czołg toczył się wolno. Albo musi zawrócić albo... Zeskoczył z siodła i - uprzedzając wątpliwości - podbiegł na brzeg skały i skoczył. Trafił nogami w opancerzony pojazd i opadł na kolana. Udało się - ale co dalej?

Czołg minął kanion i na prawo znowu ukazała się bezkresna pustynia. Indy obejrzał się i zobaczył tuman kurzu wznoszący się tuż nad ziemią. Zmrużył oczy w jaskrawym świetle. To był jeep, zbliżający się do nich z dużą szybkością. Za nim nadciągały z oddali dwie ciężarówki wypełnione nazistowskim wojskiem.

Towarzystwo się zjeżdżało.

– Witaj na pokładzie, Jones.

Odwrócił się i zobaczył wystawioną przez luk twarz Vogla. Jego spojrzenie przeszywało Indy'ego na wskroś. Wytrzymał ten świdrujący go nienawiścią wzrok i postanowił nie odwracać głowy, lecz dać sobie szansę na wygraną w tym turnieju na miny.

Nagle poczuł na karku znajome mrowienie, sygnalizujące niebezpieczeństwo. Odwrócił się i zobaczył czołgającego się w jego stronę żołnierza. Pojął, że Vogel starał się odciągnąć jego uwagę, podczas gdy

żołnierz przechodził z jeepa na czołg i właśnie wskakiwał na niego jak pająk, obezwładniając go.

Indy usiłował się uwolnić, ale jego policzek został przyciśnięty do gorącego metalu. Ta pozycja pozwoliła mu zaobserwować jadący obok wojskowy transporter. Konwój żołnierzy przeskoczył na czołg, niczym piraci na galeon. Szanse nie były wyrównane.

Indy odepchnął żołnierza i usiłował wyrwać mu z dłoni pistolet. Przetoczyli się po powierzchni czołgu i Indy przycisnął nazistę do pancerza i wykręcił mu rękę, ale lufa pistoletu znalazła się przy głowie Indy'ego. Naparł całą siłą na broń i odwrócił ją w stronę żołnierza.

Zbierając wszystkie siły, ścisnął dłoń przeciwnika. Kula samobójczego strzału przeszła gardło mężczyzny, przechodząc następnie przez żołądek innego i kończąc w pachwinie trzeciego nazisty. Trzy ciała spadły na ziemię, tworząc bezładny stos po jednej ze stron gęsto zaludnionego czołgu.

Ubyło trzech, przybyło jednak wielu następnych. Indy zobaczył, jak Vogel wyłania się z otworu i przyłącza do okrążających Indy'ego żołnierzy.

– Świetnie, mój chłopcze. Załatw ich wszystkich!

Indy najpierw usłyszał głos swego ojca, a potem zobaczył go, wynurzającego się przez otwór wjazdu. Sięgnął po bykowiec przywiązany u biodra, jednak zdał sobie sprawę, że jest za mało miejsca, aby go użyć. Jednak z drugiej strony brak przestrzeni działał na jego korzyść. Żołnierze nacierali nań ze wszystkich stron, wymachując nożami i pistoletami, ale on był ruchomym celem. Uchylił się przed ostrzem noża, które mignęło przy jego boku i utkwilo w udzie innego nazisty. Uderzony w szczękę, wykonał obrót, wykopując nóż z dłoni kolejnego, który spadł z czołgu na ziemię. Trzeci żołnierz strzelił w jego stronę i, chybiając celu, trafił swojego. *Kilku kolejnych mamy z głowy.*

– Załatw ich, Juniorze! - dopingował Henry.

W tym momencie Indy'ego zalała krew. Niedośłownie. Zawrzało w nim jak po zastrzyku adrenaliny, wyrzucił przed siebie pięść, prosto w szczękę kolejnego żołnierza. Ten zatoczył się i wpadł na innego hitlerowca - obydwaj spadli z czołgu. Indy potraktował z kopniaka kolejnego, który poleciał do przodu, zabierając ze sobą następnego - uderzyli o ziemię tuż przed bieżnikiem gąsienicy i za chwilę zostali zmiażdżeni.

Indy, wciąż gotując się z wściekłości, spojrzął w stronę luku.

– Nigdy więcej nie nazywaj mnie Juniorem!

Gdy tylko wyrzekł te słowa, Vogel zamachnął się łańcuchem i owinał nim dwukrotnie ramiona Indy'ego. Ciało Jonesa przeszył piekielny ból - przewrócił się na kolana, jednak zachował przytomność umysłu. Poszukał wzrokiem lugera pozostawionego przez pierwszego żołnierza i kopnął go w stronę wjazdu. To był wykop, którego nie powstydziliby się gwiazda futbolu. Pistolet prześliznął się wzdłuż pancerza czołgu, wpadając prosto w rękę Henry'ego.

Indy podniósł się i stanął twarzą w twarz z Voglem i jeszcze jednym, ostatnim już żołnierzem. Wciąż był spętany łańcuchem, ale mógł ruszać rękami, a żaden z jego przeciwników nie był uzbrojony. Uśmiechnął się dzielnie do Vogla. Uporawszy się z tamtymi wszystkimi, był pewien, że ci dwaj to pestka.

Ale Vogel odwzajemnił uśmiech i za chwilę Indy zobaczył powód jego buty. Do czołgu podjeżdżał właśnie drugi opancerzony transporter wiozący chmarę wojska. Zdecydowanie za wielu, cholera zbyt wielu, nawet na pół tuzina Jonesów.

Henry schwycił posłaną przez Indy'ego broń. Brody ostrzegł go krzykiem, żeby uważał. Jones usłyszał głuchy odgłos, gdy jego przyjaciel

upadał na podłogę. Strażnik owinał ramiona wokół bioder Henry'ego i zaczął ściągać go w dół.

– Puszczaj! - krzyknął Henry.

Gdy tamten nie posłuchał, Henry postanowił nie cackać się z nim dłużej.

– Ostrzegalem.

Zdzielił go przez głowę kolbą pistoletu i strażnik runął na podłogę obok Brody'ego. Henry wspiął się na pancierz czołgu z zamiarem udzielenia Indy'emu pomocy i wtedy zobaczył transporter. Nie było szans, żeby pokonali w dwójkę taką horde. Potrzebowali pomocy i to konkretnej.

Henry zanurkował z powrotem do środka i rzucił się do wieży strzelniczej, podczas gdy znokautowany strażnik stawał chwiejnie na nogach. Henry skierował lufę na transporter i rozpaczliwie szukał spustu. Oprzytomniały strażnik szarpnął go jednak za ramię i odciągnął od wieżyczki.

Brody podpełzł do nich na czworakach, podcinając strażnika. Henry rzucił się z powrotem na wieżyczkę. Wycelował ponownie w nadciągający transporter i wystrzelił pocisk.

Nieźle mu poszło, jak na amatora - trafił prosto w bak i transporter eksplodował.

Wybuch zmiotł Indy'ego, Vogla i ostatniego żołnierza ze szczytu czołgu. Żołnierz upadł na ziemię, ale Indy i Vogel spadli na gąsienicę. Błyskawicznie przejechali na niej do przodu. Niewiele brakowało, żeby zostali zmiażdżeni, jednak jakimś cudem przetoczyli się na podstawę lufy.

Vogel kopnął Indy'ego, strącając go z wąskiej krawędzi z powrotem na bieżnik. Indy złapał lufę i oplótł wokół niej ramiona. Zamachał nogami nad brzegiem gąsienicy, chroniąc się przed upadkiem.

Vogel podpełzł do przodu, mierząc stopami w jego dłonie.



Wewnątrz kabiny strażnik uniósł Brody'ego i rzucił nim brutalnie o przegrodę oddzielającą wieżyczkę od pozostałej części pomieszczenia. Brody uderzył o nią głową i osunął się na podłogę na pół przytomny, próbując walczyć z ciemnością ogarniającą go niczym senny koszmar. Ledwo zdawał sobie sprawę, że strażnik kieruje na niego lugera. Zamknął oczy, nie chcąc widzieć tego, co za chwilę miało się zdarzyć. Czekał na strzał. I na śmierć.

Henry skoczył strażnikowi na plecy, wykręcając mu rękę. Broń wypaliła i kula odbiła się kilkakrotnie rykoszetem od ścian kabiny. Nagle czołg wykonał niekontrolowany skręt, ponieważ kierowca, trafiony śmiertelnie kulą, upadł czołem na stery.

Henry walczył ze strażnikiem. Z trudem łapał oddech. Potężne ramię prześladowcy zaciskało się na jego szyi. Henry chwycił oburącz drugą rękę strażnika, usiłując odwrócić od siebie lufę. Rozpaczliwie walczył o utrzymanie świadomości, *jeżeli zemdleję, to będzie koniec*.

Brody'ego obudziła siła uderzenia, gdy czołg wjechał na skałę. Czuł się jak zmartwychwstały. Jego ciało przeszywał w kilkunastu miejscach świdrujący ból, a głowa pulsowała jakby utkwiała w niej dzida. Ale podniósł się i ujrzał zmagania Henry'ego ze strażnikiem. Kopnął w dłoń nazisty i pistolet wypadł na podłogę.

Czołg uderzył w kolejną skałę i Brody przewrócił się.

– Kto tym kieruje? - wymamrotał.

Gdy Brody wykopał pistolet z ręki żołnierza, Henry sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu wiecznego pióra. Drugą ręką trzymał strażnika, który teraz usiłował się wyrwać i odzyskać broń. Znalazł pióro i zaczął raz za razem dźgać nim żołnierza, ale ten zdawał się nawet tego nie czuć. Henry'emu w końcu udało się zdjąć zakrętkę, uniósł rękę i zacisnął dłoń na piórze. Atrament chlusnął strażnikowi w oczy.

Mężczyzna wrzasnął i zatoczył się w tył, unosząc ręce do oczu. Henry wziął głęboki oddech, po czym walnął zszokowanego strażnika pięścią w twarz. Nazista upadł na twarz, tracąc przytomność.

– Pióro jest potężniejszym orężem od miecza - zapiał Henry i pomógł Brody'emu stanąć na nogi.

Ten truizm nie miał wiele wspólnego ze studiami nad starożytnością, ale adrenalina i tak wzburzyła krew w żyłach Henry'ego.

Wspięli się przez właz na szczyt czołgu. Henry spojrzał w bok i zobaczył Vogla i swojego syna splecionych w śmiertelnym uścisku na krawędzi działa. Obaj tkwili w okowach łańcucha.

Głowa Indy'ego zwieszała się o milimetry nad bieżnikiem czołgu.

Henry wychylił się ostrożnie, zdecydowany zrobić wszystko, co w jego mocy, by ocalić syna. Nigdy wcześniej nie podejrzewał siebie o taką determinację. Najwyższy czas zrekompensować Indy'emu ojcowskie zaniedbania. A kiedy to się wreszcie skończy, stanie przed nim i wyzna mu swoje winy, tak jak powinien uczynić wiele lat temu.

*Jestem drętwym zawziętym staruchem, którego sztywne zasady nigdy nie przyniosły ci nic dobrego.*

Najwyższy czas, by się do tego przyznać, zdecydował.

Po tym, jak strzępy rozsadanego wybuchem samochodu o mało go nie zabiły, Sallah popędził konia z dala od zasięgu działa. *Stawanie w szranki z*

*czołgiem to niedorzeczność* - powtarzał sobie raz za razem. *Ale gdzie jest Indy?* Zniknął i czołg, i on. Sallah zawrócił i zdezorientowany ujrzał wąwóz zasypany lawiną kamieni. W obawie, że Indy utknął gdzieś tam uwięziony, przeszukał osuwisko.

Pewien, że Indy'ego tu nie ma, wycofał się i zauważył w oddali czołg. Zbliżając się do niego, poczuł, że coś jest nie tak. Czołg zmierzał pędem w stronę urwiska oddalonego o niecałe dwieście jardów. Sallah spiął konia i pogalopował w kierunku opancerzonego pojazdu. Dopadłszy celu, zobaczył Brody'ego uczeptionego szczytu czołgu.

– Skacz! - krzyknął. - Skacz, człowieku!

Brody usłyszał ostrzegawczy krzyk Sallaha.

Poderwał się i rozejrzał wkoło. Wtedy dopiero zobaczył przepaść. Przeczółgał się na wieżyczkę od strony galopującego Sallaha.

– Powiedziałem, skacz! - ryknął tamten.

Przygotowując się na najgorsze, Marcus wykonał skok. Ledwie dosięgnął konia i wisząc w powietrzu, schwycił kurczowo szyję Sallaha. Ten sięgnął za siebie, sadzając niezdare w siodle.

– Trzymaj się, Marcus.

– Z drugiej strony! - krzyknął Brody. - Są po drugiej stronie!

Indy i Vogel byli nadal szepieni łańcuchem. Tkwili w impasie - gdyby jeden spadł, pociągnąłby za sobą drugiego.

W końcu Indy zauważył przepaść. Zbliżali się do niej, brakowało niespełna stu jardów. *Kto, do cholery, prowadzi ten czołg?*

Usiłował zerwać z siebie łańcuch, podczas gdy Vogel, który także zobaczył urwisko, gotował się do skoku. I wtedy, ku swemu wielkiemu

zdziwieniu, Indy ujrzał ojca, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd i złapał Vogla za nogę.

Vogel szarpnął się kopiąc Henry'ego w twarz. Ten zatoczył się i upadł na bieżnik. Na widok ojca leżącego na gąsienicy, Indy zareagował natychmiast. Odpiął bicz i zarzucił go w stronę Henry'ego. Bat owinął się idealnie wokół jego kostki w momencie, gdy Henry spadał pod czołg.

Indy zebrał resztki sił i zwijał bat kawałek po kawałku, wciągając Henry'ego z powrotem wzdłuż bieżnika, niczym uczeptioną spławika ogromną rybę.

Sallah popędził konia w tamtą stronę.

– Szybko, Indy! Z czołgu!

Indy spojrzał na niego.

– Tutaj! Pomóż mi!

Indy podał mu bat.

Sallah schwycił go, zawracając konia i odskoczył od czołgu.

Henry spadł na ziemię i potoczył się w kurzu ciągnięty za koniem. Sallah miał zamiar zsiąść i mu pomóc, gdy zobaczył Indy'ego z Voglem biegnących na tył czołgu. Splątani łańcuchem, jednocześnie zeskokczyli na ziemię. Jednak koniec łańcucha uczeplił się nadbudowy maszyny i ciągnął obu w stronę urwiska.

– O, nie! Indy! - krzyknął Sallah.

W akcie ostatecznej desperacji Indy zdołał uwolnić ramiona z okowów łańcucha. Ale teraz łańcuch owinął się wokół jego nogi. Indy rozerwał spodnie i zsunął je z bioder, a następnie z kolan. Był jak cyrkowy magik, wykonujący budzącą grozę sztuczkę, igrając ze śmiercią. Ale to nie był trik.

Obok niego wrzeszczał Vogel, zmagając się z łańcuchem.

Indy już niemal uporał się ze spodniami, kiedy czołg dotarł do krawędzi klifu i spadał ze skały, niknąc w gardzieli wąwozu.

Elsa ujrzała w oddali wznoszący się nad wąwozem pióropusz czarnego dymu. Opuściła lornetkę i nakazała kierowcy uruchomić silnik sedana.

– Z czołgiem koniec - powiedziała do Donovanana. - Z całą resztą też.

– Co z Voglem?

– A co by miało z nim być, Herr Donovan - odpowiedziała krótko, pozbawionym emocji głosem.

Zdążyła otrząsnąć się już ze swoich emocjonalnych rozterek. Teraz liczył się Graal. Nie mogła oczekiwać, że Indy wyjdzie z tego żywy, a nawet jakby wyszedł, to co? Co to mogło zmienić?

Nic.

Donovan skinął i usiadł w samochodzie obok Elsy.

– A więc to nam dwojgu zostało przeznaczone odnaleźć Graal.

Elsa milczała, zapatrzona w dal, kontemplując zjawisko pomarszczonego upałem pustynnego piasku. *Nie żyje. Indy nie żyje. Nie istnieje nic, tylko Graal.*

– Sprawdź, czy wszystko jest gotowe - powiedziała w końcu. - Czas wrócić do pracy.

Henry popatrzył w dół na płonące szczątki czołgu, walcząc z ogarniającą go falą rozpacz. Był cały pokiereszowany, posiniaczony, poturbowany. Ale to nie miało teraz żadnego znaczenia. Utracił swego jedyne syna, utracił go, nie zdążywszy nawet odkupić swoich win ani nadrobić jakoś tych wszystkich lat nieporozumień.

– Muszę pójść za nim - powiedział Sallah. - To mój przyjaciel.

Skierował się w stronę klifu, ale Brody położył mu dłoń na ramieniu, powstrzymując go.

– To nie ma sensu, Sallah.

Wielki człowiek osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Henry przeniósł wzrok z Sallaha na Brody'ego, nie wiedząc, co powiedzieć, niezdolny pogodzić się ze swoim smutkiem ani nawet go pojąć.

Brody próbował go pocieszyć. Objął ramieniem plecy Henry'ego w wyrazie współczucia. Henry wybuchnął płaczem. Wokół nich wznosił się kurz. Pałace słońce lało się z nieba strumieniami.

*Nigdy go nawet nie przytuliłem, pomyślał nieszczęśliwy Henry. Nigdy nie powiedziałem mu, że go kocham.*

Ogłuszony i zszokowany Indy podniósł się z kupy gruzu. Trzymał w dłoni spodnie rozdarte od pasa do kostek. Resztki nogawek były owinięte wokół butów.

Dołączył do innych i utkwiał wzrok w szczątkach na dnie urwiska. Po chwili, jeden za drugim, zaczęli zauważać jego obecność. Najpierw Brody, potem Sallah, na końcu Henry.

Indy pokiwał głową i gwizdnął cicho.

– Tym razem naprawdę niewiele brakowało.

– Junior! - wrzasnął Henry i zarzucił Indy'emu ręce na ramiona, obejmując go z całej siły. - Myślałem, że cię utraciłem - powtarzał w kółko, plotąc coś o miłości.

Musiała minąć dobra chwila, nim Indy pozbierał myśli na tyle, by zdać sobie sprawę, że jego ojciec przytula go i mówi mu, że go kocha. To było coś, czego nie słyszał od tak dawna. Właściwie w ogóle sobie nie przypominał, żeby ojciec kiedykolwiek mówił mu to albo żeby go przytulał.

Przytulił go mocno, gwałtownie, jak mały chłopiec pałający ślepą miłością do ojca.

– Ja też myślałem, że cię utraciłem - wyszeptał.

Brody był poruszony tym nagłym aktem pojednania, ale Sallah wyraźnie poczuł się zdezorientowany.

– Junior? Jaki Junior?

Indy zrobił głupią minę. Nie był w nastroju, by rozmawiać na TEN temat. Odszedł na bok i usiłował założyć na siebie to, co zostało z jego spodni.

Henry odpowiedział:

– To jego imię. Nazywa się Henry Jones, Jr.

– Podoba mi się Indiana - powiedział Indy stanowczo.

– Indiana daliśmy na imię psu. Ciebie ochrzciliśmy Henry, Jr.

Brody uśmiechnął się, a Sallah aż się zakrztusił.

– Psa? - wykrzyknął.

Nawet Indy nie mógł dłużej powstrzymać się od uśmiechu.

– Bardzo miło wspominać tego psa.

Sallah roześmiał się w głos i klepnął Indy'ego po plecach z taką siłą, że spodnie znów znalazły się na poziomie jego kostek.

# Rozdział XX.

## Szlak

Popołudniowe słońce paliło nagie skały. Elsa zamknęła oczy, starając się opanować irytację. Donovan doprowadzał ją do furii. Dawała sobie już radę z wieloma aroganckimi, apodyktycznymi mężczyznami, którzy traktowali ją jak maskotkę, a nie naukowca, ale Donovan był z nich najgorszy. Nawet sam Fuhrer, ze wszystkimi swoimi dziwactwami, potrafił docenić jej intelektualne walory.

– To tutaj - powiedziała, wskazując kamienną ścianę przed nimi.

– Tu nic nie ma - odpowiedział Donovan bezdusznym protekcyjnym tonem.

– Sprawdziłam dokładnie punkt po punkcie, Walter - odpowiedziała spokojnie. Jeżeli mapa jest dokładna, sekretny kanion znajduje się dokładnie za tą ścianą. Poszukajmy tam.

Donovan wzruszył ramionami.

– Sprawdziliśmy wszystkie możliwości. Tam nie ma żadnego wejścia. To lita skała.

Donovan, pomimo niezwykle wysokiego mniemania o sobie, nie był zbyt pomocny. *Wolałby z pewnością zlecić znalezienie Graala komuś innemu, a potem go ukraść*, pomyślała.

– W takim razie, jak sądzę, sami musimy zrobić sobie przejście.

– W jaki sposób proponujesz to zrobić?

– Jak widać, nie miałeś wiele do czynienia z materiałami wybuchowymi.

Utkwił w niej spojrzenie tak lodowate, że nawet żar pustyni nie miał przy nim szans.

– Nie przypominam sobie, żebym miał.



*Nic dziwnego.* Wyszła z auta i skierowała się w stronę samochodu zaopatrzeniowego. Poczwała na plecach jego wzrok. *Niech się martwi,* pomyślała, *bardzo dobrze.* Zaprowadzi go do Graala i w odpowiednim momencie zacznie działać. Zdobędzie Graal albo umrze. Amen.

Indy, podobnie jak jego trzej towarzysze, miał na głowie kapelusz owinięty białym materiałem i próbował się oswoić z jazdą na wielbłądzie. To nie było to samo co jazda konna, nawet na grzbiecie słonia podróżowało się zupełnie inaczej. Góra, dół, góra, dół nierównym kłusem - Indy nie mógł złapać rytmu i pomyślał, że trzeba chyba odebrać pustynne, koczownicze wychowanie, aby kiedykolwiek poczuć się swobodnie na grzbiecie wielbłąda.

Białe płótno i kapelusz łagodziły nieco skutki niesłabnącego upału, ale nie mogły zaspokoić jego pragnienia. Myślał o wodzie, butlach wody, niekończącej się chłodnej rzece. Wyobrażał sobie, że zanurza się w basenie, że wkłada stopy w zimne, mokre błoto.

Sallahowi udało się odzyskać konia Indy'ego i wszyscy czterej - po dwóch na jednym koniu - wracali do miejsca, gdzie ostatnio widzieli karawanę Donovana. Ludzi nie było, ale znaleźli ciężarówkę, kilka pozostawionych samym sobie wielbłądów i nawet parę manierek wody.

Indy nalegał, żeby jego ojciec i Brody zostali i poczekali, a on i Sallah dogoniliby Donovana na koniach. Ale Marcus i Henry nawet nie chcieli o tym słyszeć; przekonywali, że mają się jak najlepiej i mogą jechać dalej.

– Wszyscy mogą wziąć wielbłądy - powiedział Henry.

Zabawili tu tylko krótką chwilę. Pośród porzuconych ubrań Indy znalazł dla siebie parę spodni oraz okrycia głowy dla wszystkich. W końcu wsiedli na wielbłądy i ruszyli przez pustynię.

Bez mapy nigdy nie byliby w stanie zlokalizować miejsca, w którym znajduje się Graal, pomyślał Indy. Na szczęście trasę wytyczał ślad, pozostawiony przez karawanę. Indy podejrzewał, że Donovan i Elsa uważali ich za zmarłych, nie byliby bowiem tak beztroscy i nieuważni. Niech więc pozostaną w słodkiej nieświadomości. Dla Indiany być może to właśnie stanowiło najmocniejszy punkt jego planu.

Uwagę Indy'ego przyciągnął odległy odgłos eksplozji.

– Co to było? - spytał Brody.

– Sekretny kanion! - zawołał Henry. - Znaleźli go!

Indy przypomniał sobie słowa z tablicy krzyżowca.

*Przez pustynię i górę... do Kanionu Półksiężycy, szerokiego jedynie na tyle, by pomieścić jednego człowieka. Do Świątyni Słońca, tak świętej, że stanie miejsca dla wszystkich...*

Popędził wielbłąda.

– Szybciej!

Na miejscu wybuchu ujrzeli rozrzucone głazy i otwór w skale, prowadzący do wąskiego wąwozu. Jego ściany były wysokie i strome, w kolorze ochry. Indy podał kompanom manierkę. Wszyscy byli zmęczeni, zgrzani i obolali, ale wiedzieli, że nie mają czasu do stracenia. Henry jechał przodem. Był bez marynarki, koszulę miał rozpiętą przy kołnierzyku, a kapelusz naciągnięty głęboko na oczy. Nie wyglądał w tej chwili na naukowca - badacza średniowiecznych dziejów, stwierdził Indy. Raczej na podstarzałego poszukiwacza przygód, podążającego za swoim najskrytszym pragnieniem, przeżywającego właśnie najdonioślejszą chwilę życia.

Gdy Henry wjechał do wąwozu, jego wielbłąd zatrzymał się, parsknął i próbował zawrócić. Henry przeklął bestię i uderzył ją dłonią w zad, zmuszając w końcu do dalszej drogi.

Wszyscy doświadczyli podobnego oporu, wjeżdżając za Henrym gęsiego do kanionu. Zwierzę Brody'ego okazało się bardziej uparte od pozostałych i w końcu Indy musiał zsiąść i pociągnąć go za sobą. Gdy weszli w końcu do wąwozu, zwierzęta uspokoiły się. Tym razem to ludzie poczuli się niepewnie, z dala od swego świata.

Im głębiej szli, tym wąwóz stawał się węższy, a jego ściany bardziej strome. To było niesamowite miejsce, zbyt nieruchome, zbyt napięte, zbyt gorące. Odgłos wielbłądzich kroków odbijał się echem od ścian. Indy pomyślał, że dziwnie brzmi ten dźwięk, ale nie umiał odgadnąć, dlaczego.

Powietrze było rozrzedzone, jak gdyby znaleźli się na wysokościach.

Indy był oszołomiony i czuł rytmiczne pulsowanie z tyłu głowy. Światło w tym miejscu także było inne, mniej ostre. Z obu stron oblewało złotem surowe ściany kanionu.

Nie podobało mu się tu, nie pasowała mu atmosfera tego miejsca. Nikomu z nich nie pasowała - oprócz Henry'ego. Był największym optymistą z całej ich grupy. Nic dziwnego - projekt, któremu podporządkował całe swoje życie, miał się ziścić. Graal jeszcze nie był w jego rękach, ale już wystarczająco blisko, by marzyć, że tak jest.

– Marcus - powiedział - jesteśmy niczym czterej bohaterowie legendy o Graalu. Ty jesteś Percival - święte niewiniątko. Sallah jest Borselem - zwyczajnym człowiekiem. Mój syn to Galahad - mężny rycerz. A jego ojciec to stary bojownik Lancelot, od którego odwrócono się, ponieważ był niegodzien. Jak być może ja.

– Ja jestem raczej starym opojem, który najchętniej wróciłby bezpiecznie do domu z odrobiną szkockiej pod ręką - odpowiedział Brody.

Trzymał się kurczowo siodła i rozglądał niepewnie, niepokój rysował się w każdym zagłębieniu jego twarzy.

Ale Henry zdawał się go w ogóle nie słuchać. Kiwał głową do własnych myśli, medytując nad swoimi porównaniami. W pewnym momencie zwrócił się do Indy'ego:

– Pamiętaj jednak, że to Galahadowi udało się osiągnąć cel, kiedy jego ojciec zawiódł.

*Cudownie, pomyślał Indy. Akurat tego wolałbym uniknąć.*

– Nawet nie wiem, jak wygląda Graal, tato.

– Nikt nie wie - odrzekł Henry. - Tylko ten, kto jest godzien, może poznać Graal.

Jak król Artur i Excalibur. Jakby to wszystko było tylko wspaniałą przygodą, a nie śmiertelnie niebezpiecznym przedsięwzięciem. Indy'ego denerwowało to wszystko. W umyśle jego ojca już zostali wyniesieni do rangi krzyżowców.

Podczas gdy Henry wypatrywał niecierpliwie celu podróży, Indy utkwiał wzrok w pustynnym pyle. Nie musieli już jechać śladami opon, ale te ślady - o centymetry od każdej z kamiennych ścian - nie pozwalały zapominać, że nie są sami.

– Patrz! - krzyknął Sallah, wskazując na coś.

Zatrzymali się. Wąski kanion przechodził w rozległą, otwartą przestrzeń, przypominającą cyrkową arenę. W jednej z odległych ścian wyrzeźbiona była imponująca grecko-rzymska fasada. Szerokie stopnie prowadziły w górę na podest z masywnymi kolumnami otaczającymi wejście do jakiejś ciemnej komnaty. *Świątynia Słońca* - pomyślał Indy.

– Chodźmy! - powiedział z zapalem Henry.

Wielbłądy zamarudziły znowu, ale mężczyźni spięli je ostro; niechętnie pokłusowały naprzód, przez otwartą przestrzeń, zatrzymując się u stóp schodów do świątyni. Indy rzucił ukradkowe spojrzenie na ojca - na jego twarzy malował się dziecinny zachwyty. Indy także był podekscytowany tym

widokiem, jednak nie do tego stopnia, co ojciec. Radość bila od Henry'ego niczym ogromna fala. Zdawało się, że można jej dotknąć. To było zaraźliwe.

– Porażające - powiedział Brody.

– Boskie - wymamrotał Sallah.

Indy czuł to samo. Wobec tak monumentalnej budowli, nietrudno było wyobrazić sobie, że zbudowały ją istoty o nadludzkiej sile i wielkości.

Na dłuższą chwilę zamarli u wylotu schodów. Jak gdyby świątynia rzuciła na nich czar. W końcu Indy poczuł jednak, że czar pryska. Spojrzał na ziemię i zobaczył za sobą ślady pojazdów. Co więc mogło się z nimi stać?

Słońce wisiało nisko tuż nad ścianą areny. Ujrzał wśród cieni zarys transportera, ciężarówki, samochodu i kilku koni.

Wskazał w stronę świątyni.

– Chodźmy. Zobaczmy, co się dzieje. Tylko cicho.

Poszedł pierwszy, za nim ruszyli Henry, Sallah i Brody. Powoli wchodzili schodami w kierunku wejścia. Na górze Indy spojrzął za siebie, upewniając się, czy wszystko w porządku. Potem wszedł do środka.

Trwało chwilę, zanim jego oczy przywykły do ciemności. Ale wtedy zobaczył, że ktoś przed nim stoi - ubrany w zbroję rycerz, gigantyczna postać pokroju Herkulesa; dwa, a może nawet trzy razy od niego większa. Indy uśmiechnął się szeroko, gdy zrozumiał, że to tylko wielka kamienna rzeźba rycerza. Świątyni strzegły identyczne posągi kamiennych wojowników, między którymi znajdował się pierścień potężnych filarów. Indy odetchnął i zaczął się przyglądać rycerzom. Nagle z wnętrza świątyni dobiegł jakiś dźwięk. Indy stanął na baczność, mięśnie napięły mu się jak struny i zadrżał nerwowo. Z wrażenia zapomniał przez chwilę, że gdzieś przed nimi są Donovan i Elsa.

Gestem nakazał pozostałym, by szli za nim tak cicho jak to tylko możliwe. Prześlizgiwali się od jednego filara do drugiego, aż podeszli na tyle blisko, by zobaczyć, co dzieje się w centrum świątyni.

Po stopniach kamiennych schodów, prowadzących do wrót w tylnej ścianie świątyni wchodził ostrożnie żołnierz sułtańskiej armii. Na dole stali Donovan, Elsa, kilku nazistów i pozostali żołnierze sułtana.

Elsa. Indy popatrzył na nią. Zauważył, z jaką uwagą obserwuje wchodzącego na górę żołnierza.

Na pewno myślała, że Indy jest już martwy. Był tylko jednym z wielu mężczyzn w jej życiu. Porzucony, zapomniany. Bez względu na to, co mówiła, było oczywiste, że jej prawdziwą miłością jest Graal i wszystko, co z nim związane. Mężczyźni liczyli się dla niej jedynie jako narzędzia do osiągnięcia celu.

To nie miało sensu. Musiało być jeszcze coś, czego nie dostrzegął. I to było prostsze niż się wydawało. Może naprawdę uwierzyła w legendę. Może była rzeczywiście przekonana, że puchar jest źródłem nieśmiertelności.

A Donovan? Rozmawiali na temat mitu. Czy naprawdę w niego wierzył? Najwyraźniej tak, bo raczej nie narażałby życia po to tylko, by zdobyć kolejny przedmiot do kolekcji. Pracował z Elsą, ale nie zamierzał dopuścić jej do Graala. Indy był tego pewien.

Spojrzał na żołnierza, który zbliżał się do szczytu schodów i wtedy zobaczył ciało. Kilka stopni wyżej leżał inny żołnierz sułtańskiej armii, a obok jego zwłok było coś jeszcze. Indy pochylił się, chcąc sprawdzić, co to takiego.

– O, Boże.

To była głowa żołnierza.

– Dalej - nalegał Donovan. - Idź dalej. - Jesteś już prawie u celu.

Elsa pokręciła głową.

– To nie może być prawda.

Żołnierz zatrzymał się jeden stopień poniżej ciała swego towarzysza.

– Dalej! - krzyknął Donovan.

Mężczyzna zrobił kolejny krok. Ostatni. Przez świątynię przetoczył się głośny świszczący dźwięk niczym nagły podmuch wiatru. Głowa żołnierza, równo odcięta, upadła na schody i potoczyła się w podskokach do Donovana i Elsy.

Wskazany przez Donovana żołnierz podbiegł i zabrał głowę, odwrócił się i rzucił ją w stronę kryjówki Indy'ego i pozostałych. Głowa zatrzymała się kilka stóp przed nimi. Usta były otwarte, na twarzy malował się śmiertelny strach.

Indy odwrócił się.

– Oddech Boga - powiedział cicho Henry.

W pierwszym momencie Indy nie zrozumiał, co Henry miał na myśli, ale zaraz przypomniał sobie o trzech próbach opisanych w notatniku. Oddech Boga. Jak nazywały się dwie pozostałe? Nie mógł zebrać myśli. Sięgnął do kieszeni po dziennik. Wciąż tam był. Jeszcze się może przydać. A teraz trzeba było znaleźć sposób, by wyminąć Donovana i jego świtę.

– Helmut, następny ochotnik - Donovan wydał rozkaz jednemu z nazistowskich strażników, by wyznaczył kolejnego żołnierza.

Hitlerowiec wskazał jednego, ale ten potrząsnął głową i zaczął się cofać.

– Nie, nie! - krzyczał, próbując się uwolnić z uścisku nazistów. Pchnęli go do przodu i wszedł roztrzęsiony na pierwszy stopień. Odwrócił się - w oczach miał paniczny strach. Nazista o imieniu Helmut wyciągnął lugera i wycelował go w żołnierza.

Ten niechętnie obrócił się i rozpoczął śmiertelną wspinaczkę na szczyt.

Kątem oka Indy dostrzegł, jak Brody odwraca przerażony wzrok, nie chcąc oglądać kolejnego aktu dekapitacji. On także nie chciał patrzeć na tę jatkę. Czuł się jak widz w rzymskim Koloseum, ale nie miał pojęcia, co mógłby teraz zrobić.

Potrzebowali jakiegoś planu działania, ale...

Brody dotknął jego ramienia.

– Indy...

Bruzdy na jego twarzy były tak głębokie, że wyglądały jak cienie. Indy przyłożył palec do ust i wtedy zobaczył to, co Brody Kilka kroków przed nimi stał nazista, celując w nich z broni.

– Raus! Raus! - krzyknął, wymachując karabinem.

Za chwilę otoczyło ich trzech innych uzbrojonych w karabiny hitlerowców. Musieli ukrywać się przy wejściu i prawdopodobnie widzieli ich, wchodzących do świątyni. Naziści przeszukali wszystkich; Indy'emu i Sallahowi skonfiskowali pistolety.

Popchnęli ich na środek sali, wprost pod karabiny żołnierzy sułtańskiej armii. Elsa odwrócił się i spojrzała na Indianę. Jej usta zdawały się nieznacznie drżeć. Donovan podszedł do nich, szerokim uśmiechem starając się ukryć zdziwienie. Zachowywał się tak, jakby wpadli do niego na obiad starzy kumple, a on pełnił honory domu.

– O, Jonesowie! Chodźcie, chłopaki... Ani trochę za wcześnie. Prosimy, prosimy. Pomożecie nam trochę. Tak się cieszę, że jesteście wśród żywych.

– Nigdy nie zdobędziesz Graala - wybuchnął Henry. - To wykracza poza twój rozum i możliwości.

– Nie bądź tego taki pewny, doktorze Jones! - wycodził Donovan. - Nie jesteś jedynym specjalistą od Graala na świecie.

Nakazał nazistom wprowadzić ich na schody. Zostali popchnięci i ustawieni w linii obok sułtańskich żołnierzy, *Jak tarcze na strzelnicy*,



pomyślał Indy.

Elsa odstąpiła od reszty żołnierzy i podeszła do Indy'ego.

– Nie sądziłam, że cię jeszcze kiedyś zobaczę.

– Jestem jak lewe pieniądze. Zawsze wracam do właściciela.

Donovan położył dłoń na ramieniu Elsy.

– Doktor Schneider, proszę się odsunąć. - Powiedział to lekceważącym tonem, jakby nie uważał jej za swoją partnerkę. - Zrobić miejsce dla Indiany.

Elsa zignorowała jego polecenie i nie ruszyła się z miejsca. Wpatrywała się w Indygo, jakby nie mogła uwierzyć, że naprawdę istnieje.

Indy odwrócił wzrok. To nie był czas na odnawianie starych znajomości, a już zwłaszcza z nią.

– Doktor Jones zdobędzie dla nas Graal - powiedział Donovan.

Indy spojrział na ciała pozbawione głów i roześmiał się. Trzeci żołnierz zatrzymał się w połowie schodów i zaczął schodzić w dół.

– Uważasz, że to śmieszne? Masz szansę przejść do historii. Jak ci się uda, oczywiście. Co o tym myślisz, doktorze Jones?

– Przejść do historii jako kto, Donovan? Jako nazistowski pacholek, jak ty?

Donovan przyglądał mu się przez moment - Indy nie był pewien - rozbawiony czy zły. Za chwilę uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby Indy był dzieckiem, które powiedziało jakieś głupstwo.

– Naziści - rzucił. - Twój wzrok niezbyt daleko sięga.

Indy nie zawracał sobie głowy odpowiedzią.

– Naziści chcą się wpisać w legendę o Graalu i zdobyć świat - mówił dalej Donovan. - Proszę bardzo. Doktor Schneider i ja chcemy tylko Graala, pucharu, który daje życie wieczne. Hitler może zabierać sobie swój świat, ale nie odbierze nam Graala.

Podszedł bliżej do Indy'ego, wysuwając kwadratową szczękę.

– Będę pił swoje zdrowie, kiedy on będzie bawił w krainie wiecznych łowów.

Wyciągnął z kieszeni pistolet i wycelował go Indy'emu między oczy. Zrobił krok w tył.

– Graal należy do mnie, a ty go dla mnie zdobędziesz!

Indy uśmiechnął się, udając obojętność.

– Nie zapomniałeś przypadkiem o doktor Schneider?

– Zła odpowiedź. To ona wróci do mnie z Graalem.

Indy powędrował wzrokiem ku Elsie, która stała kilka kroków za Donovanem. Jej twarz była jak maska - piękna, gładka, zagadkowa.

Donovan podniósł pistolet.

– Ruszać się!

Indy wskazał na broń.

– Zastrzelenie mnie nie przyniesie ci wiele korzyści.

Donovan wiedział, że to prawda. Milczał przez chwilę. Popatrzył na Henry'ego, a potem ponownie zwrócił się do Indiany. Na jego twarz wypełził niewyraźny uśmiech.

– Wiesz, co, doktorze Jones? Zgadzam się z tobą całkowicie. Masz absolutną rację.

Odwrócił wzrok z powrotem w stronę Henry'ego, w niego celując z pistoletu.

– Nie! - krzyknęli jednocześnie Indy i Elsa.

Ale Donovan strzelił z bliska w żołądek Henry'ego.

Henry objął dłońmi brzuch. Zachwiał się i spojrzał na Indy'ego.

– Tato!

Elsa rzuciła się w jego stronę. Donovan chwycił ją i odepchnął.

– Trzymaj się z daleka.

Henry upadł Indy'emu w ramiona. Sallah i Brody podbiegli, gdy Indy delikatnie kładł ojca na ziemi. Sallah wziął w dłonie głowę rannego, a Brody padł na kolana obok niego.

Indy zdarł z ojca koszulę - otwarta rana utrudniała mu oddychanie. Brody podał Indy'emu chusteczkę, a on przyciskał ją do rany, próbując powstrzymać krwawienie. Wtedy zobaczył, że kula przeszła ciało ojca na wylot. Łagodnym głosem mówił mu, że wszystko będzie dobrze, naprawdę, i modlił się, żeby jego słowa brzmiały przekonująco.

– Wstawaj, Jones - rzucił Donovan.

Indy, ziejący nienawiścią, poderwał się gwałtownie, podczas gdy Brody wziął w ramiona Henry'ego. W pierwszym odruchu chciał rzucić się Donovanowi do gardła, ale zawahał się, gdy tamten uniósł pistolet.

– Umierając, niewiele mu pomożesz - Donovan wycelował broń w serce Indy'ego. - Lecznicza moc Graala jest w tej chwili jedyną rzeczą, która może uzdrowić twojego ojca. - Przerwał. - Masz wątpliwości? Nadeszła chwila, by odpowiedzieć sobie na pytanie, w co się wierzy.

Henry jęknął i zakaszłał.

– Indy! - krzyknął Sallah. - Źle z nim!

Indy odwrócił się i ponownie uklęknął przy ojcu. Brody wyszeptał, że Henry jest w fatalnym stanie. Indy kiwnął głową. Wiedział o tym, nie był ślepy.

– Graal to jego jedyna szansa - powiedział Donovan, rozciągając usta w uśmiechu, pewien, że Indy podejmie wyzwanie. Nie miał zresztą innego wyjścia.

Indy spojrzał na Brody'ego.

– On ma rację. Graal może go ocalić, Indy. Wierzę w to. Ty też musisz.

W innych okolicznościach Indy być może wyśmiałby te słowa. Ale to był jego ojciec. I umierał. Skinął Brody'emu i sięgnął po dziennik. Miał

zamiar wstać, gdy Henry chwycił go za rękę.

– Pamiętaj... Oddech Boga.

– Pamiętam, tato. I zdobędę Graala. Dla ciebie.

# Rozdział XXI.

## Trzy próby

Indy ścisnął w dłoniach dziennik i spojrzał ostrożnie w górę schodów, na portal wieńczący mroczny korytarz. Wziął głęboki oddech i powoli przekroczył dwa ciała bez głów.

W połowie drogi zatrzymał się.

Ciszę rozdarł dźwięk wystrzałów. To strzelali sułtańscy żołnierze. Hałas rozległ się echem po świątyni. Donovan nakazał żołnierzom go zastrzelić, jeżeli spróbuje uciekać. Najwyraźniej słuchali jego rozkazów.

Indy otworzył dziennik. Trudno było coś zobaczyć w tym świetle, ale musiał jakoś znaleźć sposób, by przejść przez tę bramę - Oddech Boga. Jego ojciec leżał na ziemi, wykrwawiając się. Musiał mu pomóc. Musiał zdobyć Graala najszybciej, jak tylko się da.

Realnie rzecz biorąc, wiedział, że żaden starożytny kielich nie jest w stanie uleczyć rany po kuli, ale teraz ten pogląd stracił ważność. Napotkał już tyle dziwnych rzeczy w swoim życiu, że zdołał pojąć, iż rzeczywistość nie zawsze jest taka, jak się wydaje. Być może lecznicza moc Graala nigdy nie zostanie udowodniona i nigdy już nie będzie przedmiotem naukowych badań, ale chciał wierzyć, że jest inaczej. I zamierzał to sprawdzić.

Zrobił dwa kolejne kroki. Usłyszał, jak ojciec woła coś do niego. Odwrócił się i zobaczył jego wpatrzone w siebie błyszczące oczy. Słuchał - ojciec powtarzał niewyraźnie w kółko jedną frazę.

– Jedynie pokorny może przejść. Jedynie pokorny może przejść. Jedynie pokorny może przejść.

Indy powtórzył cicho te słowa i ostrożnie pokonał resztę schodów. Zwłoki leżały o krok przed nim. Góra schodów była skąpana we krwi.

Zrobił kolejny krok w stronę bramy, a potem jeszcze jeden. Zobaczył korytarz. Zatrzymał się, czując, że jest o milimetry od podzielenia losu żołnierzy.

– Pokorny. Jedynie pokorny może przejść.

Powtarzał to jak mantrę i za każdym powtórzeniem czuł się coraz bardziej świadomy tego, co go otacza, tego, że Graal nie jest zwyczajnym przedmiotem i że pragnienie jego ojca jest teraz jego pragnieniem. Wspomnił słowa ojca, gdy szli przez kanion. To Galahad dotarł do celu.

Zobaczył olbrzymią pajęczynę rozpiętą w świetle bramy przed sobą. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Żaden z jego poprzedników nie dotarł dalej. Indy wiedział, że ODDECH BOGA - czymkolwiek był - leży pomiędzy nim a pajęczyną.

– Tylko pokorny może przejść. Pokorny... Pokorny. Pokorny.

Podjął następny krok, ale zatrzymał się z nogą uniesioną w powietrzu. Pokorny. Pokorny człowiek pada przed Bogiem na kolana. Klęka.

Postawił stopę z powrotem na ziemi i padł na kolana. Zaraz po tym usłyszał nad głową głośny świst i instynktownie przetoczył się do przodu. Przez chwilę leżał na brzuchu, potem odwrócił się wolno na plecy. Spojrzał w górę i wtedy to zobaczył - ostre jak brzytwa trójczłonowe wahadło wciąż wydawało złowrogi pomruk tuż nad nim. Wahadło było przywiązane do pary drewnianych kół umocowanych w centrum kamiennego łuku. Uruchamiało się prawdopodobnie pod wpływem ruchu powietrza, wywołanego przez najdrobniejszy ruch - na przykład wchodzącego człowieka.

Wahadło musiało tu być od wieków, a mimo to działało doskonale, jak zaklęte. Na ten temat Indy co nieco wiedział. Trwało wieki, zanim coś na tej pustyni uległo rozkładowi. Widział odnalezione pod pustynnym

piaskiem tysiącletnie ciała. Wyglądały prawie jak żywe - skóra wciąż była nietknięta, a odzież w świetnym stanie - jakby dopiero co wyszła spod igły.

Indy zobaczył linę zwisającą z jednego z kół i przetoczył się w bok. Złapał linę i zrobił pętlę nad jedną ze szprych najbliższego koła. Mechanizm został unieruchomiony.

Udało się, zrobił to. Stał w bramie, pajęczyna wplątała się w jego ubranie. Dał znak Brody'emu i Sallahowi, że wszystko w porządku. Zobaczył, jak Elsa uśmiecha się do niego. Chyba się ucieszyła. Im dłużej był żywy, tym bliżej Graala.

– Prawdziwa miłość - powiedział do siebie, ociekającym ironią głosem.  
Natrafił na wzrok Donovana. Potarł kark i odwrócił się.

Brody delikatnie dotknął ramienia Henry'ego.

– Zrobił to, staruszk. Indy to zrobił.

Henry pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Brody zauważył, jak wiele wysiłku kosztował go ten nieznaczny gest. Za chwilę Henry wymruczał coś pod nosem.

Brody popatrzył na Sallaha, który wciąż trzymał w dłoniach głowę Henry'ego.

– Co powiedział?

Sallah pokręcił z z troskaniem głową.

– Bredzi z bólu i utraty krwi.

Henry powiedział coś z wysiłkiem jeszcze raz i tym razem do Brody'ego dotarło kilka z jego słów.

– W alfabecie łacińskim zaczyna się od...

– Co? - Brody pochylił się nad nim nisko i słuchał.

– ...od „I”.

– W alfabecie łacińskim zaczyna się od „I” - powtórzył Brody.

– Dobrze, ale co?

Pokręcił głową, zmieszany, dochodząc do wniosku, że Sallah ma rację. Henry bredził.

Spojrzał w górę, życząc Indy’emu szczęścia. Wtedy zobaczył, że po schodach wchodzi za nim Elsa i Donovan.

– Nieszczęśni intryganci. Odrażający - zamruczał pod nosem. Henry nagle podniósł się nieznacznie i powiedział chrapliwym głosem:

– Słowo Boże... Słowo Boże...

– Nie, Henry Spróbuj nie mówić - powiedział Brody.

Spazm bólu przeszył ciało Henry’ego i Brody przestraszył się, że to już koniec.

– Słowo Boże - wychrypiał Henry. Odprężył się trochę, ponieważ ból na chwilę zelżał. - Jehowa - powiedział. Po łacinie pisze się przez „I”.

Jego ciałem wstrząsnął kolejny atak bólu.

– O, Jezu! - jęknął, łapiąc z trudem oddech.

Sallah położył mu rękę na ramieniu i spojrzał w górę schodów.

– W porządku, Henry.

Indy zapalił zapałkę, zbliżył ją do notesu i przetłumaczył łacińskie zdanie: *Druqa próba. Słowo Boga. jedynie w imię Pana kroczył będzie.*

Zapałka zgasła.

Indy rozejrzał się w ciemnościach, zastanawiając się, co mogą znaczyć te słowa.

Miał nadzieję, że kiedy dotrze do zasadzki, zdąży ją rozpoznać, nim będzie za późno. Jednak poprzednim razem było łatwiej - zanim sam podjął wyzwanie, zostały dokonane dwie próby. Tym razem widział przed sobą tylko ciemność.



– *Należy kroczyć w imię Pana* - powtórzył, zastanawiając się nad znaczeniem słów. - *Słowo Boga. Słowo Boga. Co to może znaczyć?*

Zaświecił drugą zapałkę i przeczytał resztę. *Kroczył będzie śladem słowa. W imię Boże. Jehowa.*

Usłyszał hałas, odwrócił się i zobaczył za sobą Donovana i Elbę. Stali tuż przed wejściem, czekając na jego kolejny ruch.

Pasożyty, pomyślał.

– Nie przeszkadzaj sobie, doktorze Jones - powiedział Donovan drwiąco. - To dopiero początek wyprawy.

Indy powiedział sobie, że jedyny powód, dla którego tu jest, to ojciec. To nie miało nic wspólnego z Donovanem. Ani z Elbą.

Odwrócił się i poszedł przed siebie korytarzem, aż dotarł do brukowanej szachownicy. *Bruk*. Pamiętał to słowo z notatnika, było na stronie z diagramem. *Wahadło. Bruk*. I coś o jakimś moście.

Zapalił kolejną zapałkę i przewracał strony dziennika. Nagle zdał sobie sprawę, że na diagramie była szachownica. Podniósł zapałkę, by lepiej przyjrzeć się posadzce. Tak samo jak w diagramie, na każdym z kamieni widniała litera. *Słowo Boga. Kroczył będzie śladem Słowa Boga. W imię Boże. Jehowa.*

Wyciągnął stopę przed siebie i postawił ją ostrożnie na kamieniu z literą „J”. Jego noga zapadła się i omal nie stracił równowagi. Wyciągnął nogę i wtedy poczuł, że coś pełźnie po jego kostce. Potrząsnął odruchowo nogą, strząsając z niej czarnego, włochatego pająka wielkości pięści. Paskudne stworzenie umknęło wzdłuż korytarza i chwilę później Indy usłyszał krzyk Elsy.

*Ze szczurami pod biblioteką radziła sobie lepiej*, pomyślał Indy.

Spojrzał raz jeszcze na diagram i pokręcił głową z dezaprobatą, zorientowawszy się, gdzie popełnił błąd. *Dobra. Obudź się. Skup się.*

*Przecież to nie po angielsku. Po łacinie „Jehowa” pisze się przez „I”.*

Zaświecił zapałkę i rozejrzał się szybko po układzie kamieni. Wymawiając głośno litery jedna za drugą, przeskakiwał z kamienia na kamień. Kiedy wylądował na „O”, pośliznął się i jego stopa zahaczyła o „P”. Kawałek podłogi natychmiast się zapadł. Indy zachwiał się, ale odzyskał równowagę i przeszedł dwa kolejne kroki. Jest. Udało się.

Obejrzał się i zobaczył, że Elsa i Donovan podchodzą do szachownicy. Nie zamierzał dawać im żadnych wskazówek, ale Elsa już odgadła rozwiązanie, podsłuchawszy jego słowa i podpatrzywszy, w jaki sposób omija pułapkę.

Uśmiechnęła się i poszła jego śladem. Wyglądało to, jakby grała w klasy.  
– I-E-H-O-W-A. Jehowa.

Indy zdjął z kapelusza pajęczynę, odwrócił się i poszedł dalej. Za plecami usłyszał, jak Donovan, idący krok w krok za Elsą, wola do niej, żeby nie traciła Indy’ego z oczu.

Sallah widział, że z Henrym jest coraz gorzej. Nie mówił już nic i przestał się ruszać. Jego oddech był płytki, prawie niesłyszalny.

Sallah wymacał puls, potem popatrzył na Brody’ego i pokręcił głową.

– Obawiam się, że...

– Nie, on nie może umrzeć - powiedział Brody. Spojrzał na schody. - Idę za Indym. Trzeba go pośpieszyć. Nie ma czasu do stracenia.

Sallah patrzył za nim. Pomyślał, że Brody jest w nie lepszym stanie umysłu niż Henry.

– Ojczy Indiany. Zostań z nami jeszcze trochę. Twój syn zaraz wróci. Zaraz wróci.

Wzniósłszy oczy do nieba, odmawiał cicho modlitwę.

Kiedy skończył, usłyszał głos. To był Henry. Sallah pochylił się nad nim, dziękując Bogu, że tak szybko wysłuchał jego prośb.

– Ojcie Indy’ego. Co powiedziałeś?

– Musisz wierzyć, chłopcze... Musisz wierzyć. Musisz wierzyć... Wierzyć... Musisz wierzyć.

Indy stanął na skraju przepaści, przywierając plecami do skalnej ściany. Korytarz nagle się skończył. Przed nim rozciągała się otchłań w kształcie trójkąta, a na ścianie skalnej ponad nią wyrzeźbiona była głowa lwa.

*Boska Droga.*

Indy popatrzył w górę, zobaczył lwia głowę i spojrzął do notatnika.

*Tylko skok z głowy lwa udowodni, czy jest godzien.*

Popatrzył w otchłań, potem na skalną rzeźbę. Nie, było zbyt głęboko, żeby skoczyć. Nikt nie był w stanie czegoś takiego przeżyć.

Później pomyślał o stronie z diagramami i odszukał ją. Wahadło. Bruk. Niewidzialny most.

Trzeci diagram miał podłużny kształt i naniesiono nań kilka wykropkowanych linii. Studiował przez chwilę szkic, po czym zatrzasnął notatnik.

To bezużyteczne. Nie wierzył w istnienie niewidzialnych mostów.

– Indy!

Odwrócił się na dźwięk głosu Brody’ego, dobiegający z korytarza.

– Marcus? - odkrzyknął.

– Indy, musisz się pośpieszyć.

Oparł głowę o skalną ścianę i zamknął oczy. Mógł zawrócić. Mógł. Wrócić i zobaczyć śmierć swojego ojca. Albo skoczyć, mając nadzieję. Nawet, gdy nie było żadnej nadziei. Stało mu nagle przed oczami wspomnienie z dzieciństwa. Miał dziesięć lat i był z ojcem (przeszło mu

przez głowę. *Jak, do cholery, to możliwe, że życie przechodzi mi przed oczami, skoro nawet jeszcze nie skoczyłem.*

Na dziesiąte urodziny ojciec podarował mu łuk i strzały i umieścił na podwórku cel.

– Stań za linią Junior i ćwicz, a kiedy trafisz w środek tarczy, przyjdź i mi powiedz. Tylko nie oszukuj. Stój za linią.

– Tak, sir.

Był szczęśliwy, podekscytowany i ponad wszystko pragnął zadowolić ojca. Ćwiczył całe popołudnie, ale ani razu nie udało mu się utrafić w środek tarczy. Co drugi raz w ogóle nie trafiał w tarczę i musiał szukać utraconych strzał w krzakach i odległych częściach podwórka.

Słońce wisiało już nisko, gdy ojciec pojawił się ponownie.

– I jak, Junior?

– Nie potrafię, tato - miał oczy pełne łez. Był zły i sfrustrowany. - Nie potrafię trafić w środek. To za daleko.

– Nie, Juniorze. To nie za daleko. Twój problem tkwi w tym, że nie wierzysz. Jak uwierzysz, uda ci się. UWIERZ, JUNIORZE. WYSTARCZY UWIERZYĆ.

Rzucił drwiąco, że wiara w niczym mu, jak dotąd, nie pomogła. Ojciec wyciągnął palec w jego stronę.

– Nie staraj się wyrosnąć na cynika, Juniorze. Cynik to tchórz, który nigdy nigdzie nie dociera.

Indy opuścił łuk i utkwiał wzrok w środku tarczy, powtarzając sobie, że może to zrobić. Podniósł łuk, ale poczuł nawrót zwątpienia. Opuścił go ponownie.

Wierzę. Wierzę. Wierzę, że potrafię. Zrobię to. Potrafię trafić w sam środek. Wierzę. Zrobię to.

I trafił.

Indy otworzył oczy. Wspomnienie było tak wyraźne, jakby miał nadal dziesięć lat i wciąż tam był. Spojrzał w przepaść. Kiedy dorósł, wytłumaczył sobie to doświadczenie zbiegiem okoliczności. Ale teraz nie było czasu, by kwestionować moc wiary. Muszę uwierzyć. To jedyna droga. Mogę to zrobić. Wierzę w to.

Schował dziennik i skoncentrował się na przeciwległej ścianie, powtarzając sobie raz za razem, że wierzy. *Jak nie uwierzę, nie skoczę. Skoczę, jak uwierzę.*

Odsunął od siebie wątpliwości, skoncentrował się i powtarzał w myślach, że wierzy. Aż poczuł, jak gdzieś w jego wnętrzu rzeczywiście zaczyna powoli kiełkować ziarno wiary. Oddychał coraz głębiej i szybciej. *Mogę to zrobić, tato. Mogę to zrobić. Zrobię to.*

Kucnął nad brzegiem przepaści. Zbierając wszystkie siły, odepchnął się i skoczył jak lew.

To był niezły skok, najlepszy, na jaki było go stać. Ale, oczywiście, za krótki. Przepaść była zbyt szeroka.

Przygotował się na śmierć. Ale nie umarł. Wylądował, spadając na dłonie i kolana.

Spuścił wzrok i zobaczył, że znajduje się na skalnej półce, kilka stóp poniżej korytarza. Ale jak to się stało, że jej wcześniej nie zauważył? Musiała tam przecież być przez cały czas. Spojrzał niepewnie za siebie, próbując oszacować odległość z perspektywy przeciwległej ściany. Wtedy zobaczył w układzie kamieni coś niezwykłego. To było genialne. Półka skalna była idealnie w tym samym kolorze, co kamienie leżące sto stóp poniżej. Z perspektywy sąsiedniej ściany wyglądało to tak, jakby nic tu nie było. Perfekcyjny kamuflaż.

Roześmiał się w głos. Uwierzył i dokonał rzeczy niemożliwej. *Niewidzialny most.* Gdyby nie uwierzył, że tego dokona, nie skoczyłby i

nigdy nie odnalazłby mostu.

Staął, drżąc jeszcze i spojrzął przed siebie. Zobaczył Elbę i Donovana, wpatrujących się weń ze zdumieniem.

Zachichotał, wiedząc, że z ich perspektywy wygląda, jakby wisiał w powietrzu.

Ostrożnie poszedł wzdłuż półki; wznosiła się łagodnie, prowadząc aż do głowy lwa. Znalazł się dokładnie naprzeciwko utworzonej przez skalną szczelinę lwiej paszczy.

Wtedy przypomniał sobie, że lew był jednym z symboli poszukiwaczy Graala. Piąty poziom świadomości. Był znakiem przywódców, podbojów i realizacji wyższych celów.

Przeszedł pomyślnie wszystkie trzy próby - tym samym osiągnął wyższy cel. Teraz był gotów na ostateczne starcie - odnalezienie Świętego Graala. Miał jednak przeczucie, że największe wyzwanie jest wciąż przed nim.

## Rozdział XXII.

### Trzeci rycerz

Zanim wszedł w skalną szczelinę, obejrzał się jeszcze raz za siebie i zobaczył Elbę, rzucającą na dół kamienie i żwir.

Bystra kobieta. Inteligentna i niebezpieczna.

W miarę, jak szedł przed siebie, korytarz zwężał się i opadał. Indy uderzył głową o sufit i otarł sobie ramię o ścianę. W końcu zaczął się czołgać, ale to też nie pomagało - wciąż uderzał o coś głową.

*Chryste, jeżeli zrobi się jeszcze ciasniej, będę musiał uwierzyć, że jestem królikiem.*

Ciemność otuliła go niczym gruby płaszcz. Jego dłonie szukały drogi, macając na ślepo mrok. Obawiał się, że gdy dojdzie do końca, będzie tam tylko skalna ściana. Co wtedy? Nie pokonał tych wszystkich śmiertelnych pułapek po to, żeby na końcu okazało się, że nie ma żadnego Świętego Graala, a jedynie ślepy korytarz. Nie było czasu na żarty. Jego ojciec umierał.

Uderzył czołem o ścianę i, obawiając się najgorszego, wyciągnął przed siebie rękę. Wyczuł kontur ściany i zdał sobie sprawę, że korytarz nie kończy się, lecz zakręca. Przesunął się powoli do przodu i zauważył blade światło.

Podczołgał się kolejnych dziesięć stóp. Tym razem wyraźniej zobaczył przed sobą światło i przyspieszył. Światło stało się mocniejsze, bardziej jaskrawe. Zmrużył oczy, porażony ostrym blaskiem. Przepchnął się przez wąski otwór i wyszedł z tunelu. Wokół niego zawirowało słodkie, wonne powietrze. Jego oczy wkrótce przyzwyczyły się do dziennego światła.

Otrzeptał z ramion pył i wyprostował się. Był wewnątrz kolejnej świątyni, mniejszej niż tamta. Jego uwagę przyciągnął stojący w centrum ołtarz przybrany w fioletowe płótno, na którym stały dziesiątki kielichów w najróżniejszych kształtach i rozmiarach. Niektóre były złote, inne srebrne, część zdobiły drogie kamienie, inne były skromniejsze. Ale wszystkie błyszczały oszałamiająco w jasnym świetle i Indy patrzył jak urzeczony na cudowne zjawisko.

Wiedział, że dotarł do celu.

Podszedł bliżej, by się lepiej przyjrzeć i wtedy zobaczył stojący nieco z boku kolejny, mniejszy ołtarz. I jeszcze coś. Przed ołtarzem, odwrócona do niego plecami klęczała postać w tunice i kapturze z kolczugi.

Indy podszedł jeszcze kilka kroków. Drobne, kościste dłonie mężczyzny były złożone, a głowa pochylona w pokornej modlitwie. Skóra na palcach była cienka jak papier, przezroczysta i ledwie przykrywała kości. Promień słońca oświetlał wyhaftowany na tunice znak krzyża.

Indy zrozumiał, że patrzy na trzeciego rycerza - brata, który pozostał, by strzec Graala.

Przechylił się i spojrzał na twarz rycerza. Miał oczy zamknięte, a spieczona usta rozchylone lekko, jakby właśnie zamierzał coś powiedzieć. Miał gęste, białe brwi i wydatny nos. Ciało było wysuszone i zniszczone przez czas i pustynię, jednak wciąż zachowane w niezwykłym stanie, o wiele lepszym niż makabryczne szczątki jego brata w weneckiej katakumbie.

Indy pochylił się jeszcze niżej i zmarszczył brwi. Przez chwilę miał wrażenie, że powieka rycerza drga. Potem uśmiechnął się i pokręcił głową. Na ołtarzu naprzeciw paliła się świeca, rzucając na twarz zwodnicze refleksy.

Indy podniósł głowę. *Świeca. Kto ją zapalił?*



Rozejrzał się po wnętrzu świątyni, zastanawiając się, czy ktoś go w tej chwili obserwuje.

– Więc kto zapalił świecę, przyjacielu?

Rycerz odwrócił głowę.

Indy odskoczył, wstrząśnięty.

– Co, do cholery...

Patrzył w niemym szoku, jak rycerz powoli wstaje i unosi oburącz olbrzymi miecz. Ostrze załśniło w powietrzu, zanim Indy w ogóle zorientował się, o co chodzi. Rycerz zamachnął się mieczem szybko, zręcznie - szczyt ostrza naciął przód koszuli Indy'ego i odciął od pasa torbę, która ześliznęła się na ziemię. Indy odskoczył, gdy rycerz podniósł miecz jeszcze raz. Tym razem jednak broń okazała się za ciężka. Rycerz stracił równowagę i przewrócił się w tył, na ołtarz. Dźwięk metalu wypełnił salę, gdy miecz uderzał o kamienną podłogę.

Indy podszedł do rycerza i pomógł mu się podnieść. Krzyżowiec był stary, była od niego jednak wyjątkowa witalność, która nadawała jego oczom ognisty blask. Otworzył usta, ale nie dobiegły z nich żadne słowa. Zdawało się, że nie bardzo wie, jak mówić. W końcu wydał z siebie cichy jęk.

– Wiedziałem, że przyjdiesz - powiedział, lustrując Indy'ego od stóp do głów i porównując z obrazem w swoim umyśle. - Ale siła mnie opuszcza. Szybko się męczę.

– Kim jesteś? - spytał z trudem Indy.

– Wiesz, kim jestem. Ostatnim z trzech braci, którzy zaprzysięgli, że odnajdą i będą strzec Graal.

– To było ponad osiemset lat temu.

– Długo czekałem.

Indy uśmiechnął się pobłaźliwie. Starzec na pewno cierpiał na demencję.

– Kiedy więc była pierwsza krucjata?

Indy pomyślał, że rycerz nawet nie dosłyszał jego pytania. Jednak ten po chwili odpowiedział:

– Roku Pańskiego 1095. Proklamowana przez papieża Urbana II na Radzie w Clermont.

– Jak długo trwały krucjaty?

Rycerz spiorunował go wzrokiem, co przypomniało Indy'emu ojca.

– Wciąż trwają. Ostatni krzyżowiec stoi przed tobą.

Indy skinął głową. Nie miał czasu, by dłużej go przesłuchiwać. Trzeba było działać. Jeżeli ten facet naprawdę jest krzyżowcem i wciąż żyje, Graal jest w stanie ocalić jego ojca.

Usłyszał głosy dobiegające z tunelu i właśnie zamierzał się odwrócić, gdy rycerz szarpnął za brzeg jego fedory.

– Dziwna zbroja.

Przejechał palcami po bykowcu.

– Niezupełnie jestem rycerzem.

– Czekałem na rycerza.

Indy wzruszył ramionami.

– Zostałem wybrany jako najdzielniejszy i najbardziej godzien - powiedział rycerz. - Przypadł mi w udziale honor strzeżenia Graala, dopóki inny godny rycerz nie przybędzie i nie pokona mnie w pojedynku. - Podniósł rękojeść miecza. - Przekazuję go tobie, któryś mnie rozgromił.

– Posłuchaj, pozwól mi wyjaśnić. Potrzebuję tylko pożyczyć od ciebie Graal. Mój ojciec...

– Przymknij się, Jones.

Indy, wzburzony, obejrzał się i zobaczył przeciskającego się przez otwór tunelu Donovana, celującego w niego z pistoletu.

– Nie ruszaj się - Donovan rozejrzył się dookoła, zobaczył ołtarz z kielichami i skierował się w tę stronę. Z tunelu wyłoniła się Elsa i szybko do niego dołączyła.

Donovan spojrział na rycerza, wciąż trzymając Indy'ego na celowniku.

– Dobra, który to?

Rycerz zrobił krok naprzód i zlustrował Donovana.

– Nie jestem już strażnikiem Graala - wskazał ręką Indy'ego. - On jest tym, który musi przejść próbę. Nie mogę ani pomóc, ani przeszkodzić.

Donovan uśmiechnął się do Indy'ego.

– Myślisz, że mnie to przed czymś powstrzyma?

– Tylko mądrze wybierz - poradził rycerz. - Prawdziwy Graal daje bowiem życie, fałszywy zaś je zabiera.

Indy spojrział na Donovana i odwzajemnił uśmiech.

– Wybieraj, życzę szczęścia.

Elsa podeszła bliżej ołtarza.

– Widzisz to? - spytał Donovan zduszonym głosem.

– Tak.

– Który z nich?

Elsa ostrożnie podniosła lśniący kielich, inkrustowany mieniącymi się kamieniami. Donovan momentalnie wyrwał go z jej rąk i podniósł do światła.

– Tak. Piękniejszy niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem. I należy do mnie.

Indy oczekiwał, że Elsa zaprotestuje, ale nie zareagowała. Twarz rycerza była nieprzejednana, nie zdradzała nic.

Donovan ujrzał chrzcielnicę i podszedł do niej z pucharem. Elsa poszła za nim.

Indy wiedział, że według legendy, ten kto napije się z Graala, osiągnie nieśmiertelność.

Donovan nadal nie mógł wyjść z podziwu nad pięknem naczynia.

– To z pewnością puchar Króla Królów. Teraz należy do mnie.

Napełnił kielich wodą i uniósł go w górę jedną ręką. Spojrzał triumfalnie na Indy'ego i rycerza. W drugiej ręce wciąż trzymał pistolet, ale z podniecenia zapomniał o celowaniu nim w Indy'ego.

– Życie wieczne - pił długo i łapczywie. Później odjął kielich od ust, zamknął oczy i na jego twarzy pokazał się błogi uśmiech.

To był dobry moment, żeby rzucić się na niego i odebrać mu siłą Graal. Coś jednak nakazało Indy'emu cierpliwie czekać na rozwój sytuacji. Niedługo czekał.

Nagle oczy Donovana otwały się szeroko, a dłoń, w której trzymał kielich, zaczęła gwałtownie drżeć. Zgiął się wpół i upadł na chrzcielnicę. Jego twarz wykrzywił ból. Ciało przeszył spazm. Donovan upuścił na ziemię pistolet.

Z wielkim wysiłkiem odepchnął się od chrzcielnicy i zatoczył w stronę ołtarza. Zatrzymał się kilka kroków przed nim, nie będąc w stanie wykonać dalszego ruchu.

– Co-się-ze-mną-dzieje? - wydyszał ciężko.

Jego rysy zmieniły się w makabryczną maskę. Kości policzkowe wyostrzyły się. Skóra wyschła i zwiędła. Gdy odwrócił się do Elsy, wyglądał jak starzec. W dłoni wciąż trzymał puchar. Oczy zapadły mu się w głąb twarzy jak dwa suche kamienie.

Rzucił się na Elsę, wbijając dłonie w jej ramiona.

– Co-się-dzieje?

Elsa krzyknęła i próbowała go od siebie odepchnąć, podczas gdy powtarzał wciąż na nowo to samo pytanie, ale jego głos stał się teraz

słabszy, a ciało starzało się w coraz szybszym tempie. Jego włosy urosły długie - białe i kruche. Twarz zapadła się, skóra zaczęła schodzić z niej płatami.

– Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie - szeptał. Szarpnął głową; odpadła część skóry.

Elsa wrzasnęła z przerażeniem.

Donovan przyłożył ręce do twarzy. Mlecznobiała katarakta pokryła jego oczy. Resztki skóry stały się brązowe i łykowate, zwisały płatami z jego twarzy.

W końcu osunął się na ziemię - tysiącletni poczerniały szkielet.

Indy odwrócił się do Elsy i odepchnął ją od wciąż jeszcze wijących się resztek ciała. Kopnął tę kupę kości i szmat, a wtedy szkielet Donovana zadygotał, przewrócił się i zmienił w garstkę pyłu.

Elsa przyłgnęła do Indy'ego, schowała twarz w jego koszuli i szlochała, podczas gdy przez świątynię przemknął lodowaty wichur. Indy spojrzał nad ramieniem Elsy, szukając wzrokiem kupki popiołu, która dopiero co była Donovanem. Gdy wreszcie Elsa uspokoiła się trochę, Indy zostawił ją i odwrócił się do rycerza z niemym pytaniem na twarzy.

– Źle wybrała - powiedział rycerz i wzruszył ramionami, jakby nie miał zupełnie nic wspólnego ze śmiercią Donovana. Ostatecznie uprzedzał go.

Indy spojrzał przelotnie na Elsę, podniósł pistolet, który upuścił Donovan i wetknął go za pas. Pośpieszył w stronę ołtarza. Pomyślał o ojcu umierającym, cierpiącym i wykrwawiającym się na śmierć. Stanął przed rzędem pucharów, wziął głęboki oddech i spróbował się skoncentrować. Ogarnęło go uczucie niezwyklej świadomości. Zakręciło mu się w głowie. Zamknął na chwilę oczy i mówił sobie, że może to zrobić, jest w stanie wybrać właściwy kielich, ten jedyny, który uratuje życie jego ojcu.

Otworzył oczy i, spojrzawszy na kolekcję mieniących się, wysadzanych drogimi kamieniami pucharów. Jeden kielich różnił się od pozostałych. To był zwyczajny puchar, niezbyt ciekawy.

Indy nie wiedział dlaczego, ale właśnie ten wydał mu się prawdziwy. Podniósł go i przyjrzał się bliżej. Właściwie nie wiedział, co chciał zobaczyć. Z pewnością nie spodziewał się etykiety potwierdzającej autentyczność.

– Czy to ten? - spytała Elsa.

– Jest chyba tylko jeden sposób, żeby sprawdzić.

Indy podszedł szybkim krokiem do chrzcielnicy. Nabrał trochę wody, wziął głęboki oddech i upił drobny łyk. Czekał, co się wydarzy, być może w ciągu ostatnich sekund jego życia. Nie czuł nic - żadnej różnicy, nie było ani lepiej, ani gorzej.

Wtedy nagle obraz rozmył mu się przed oczami i zawirowało mu w głowie. Zamrugał i zacisnął mocno powieki. Boże, czyżby wybrał źle?

O dziwo, zdał sobie sprawę, że dalej widzi. Ale to był inny rodzaj widzenia. Puchar w jego dłoniach rósł i zmieniał kształty: wyrastały mu skrzydła, głowa, dziób. To był orzeł, który rozłożył szeroko masywne skrzydła i odleciał. Orzeł z jego wizyjnej wyprawy i ostatni poziom świadomości.

– Indy!

Na dźwięk głosu Elsy Indy drgnął i potrząsnął głową. Wciąż trzymał w dłoniach puchar. Popatrzył na Elbę. Z pytającego wyrazu jej twarzy można było wywnioskować, że najwyraźniej nie podzieliła jego doświadczenia.

Spojrzał na rycerza, który uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Wybrałeś mądrze.

To zapewnienie stanowiło dla Indy'ego wystarczającą gwarancję. Nie czekał ani chwili dłużej. Wrócił czym prędzej do tunelu i czołgał się tak

szybko, jak potrafił, balansując ostrożnie napełnionym wodą pucharem. Martwił się, by nie uszkodzić Graala o ściany albo sufit tunelu i, oczywiście, obawiał się, czy zdąży wrócić na czas... Kiedy tunel w końcu osiągnął ludzkie wymiary, Indy wstał i rzucił się biegiem przed siebie.

Zwolnił, gdy dotarł do skalnej półki nad przepaścią. Tym razem była zabrudzona i wyraźnie widoczna. Zdał sobie sprawę, że nie był to jedynie występ skalny, ale naprawdę most łączący dwie głowy lwa nad przepaścią. Więc powrót będzie banalnie prosty. Wszedł szybko na most, trzymając przed sobą Graal.

Spieszył się bardzo, myśląc o ojcu i zapomniał o ostrożności. Był w połowie drogi, gdy jego noga trafiła na kamień i ześlizgnęła się. Zachwiał się niebezpiecznie, omal nie wypuszczając z dłoni Graala. Kiedy już prawie udało mu się odzyskać równowagę, pośliznął się na drugiej nodze i wylądował bezceremonialnie na siedzeniu. Jakimś cudem z kielicha zostało uronionych jedynie kilka kropeł. Indy wstał ostrożnie i - tym razem zachowując uwagę - dotarł na drugą stronę.

Brody stał na szczycie schodów i spoglądał nerwowo to na Sallaha i Henry'ego, to w głąb mrocznego korytarza. Indy'ego wciąż nie było, a Brody wiedział dobrze, że Henry już długo nie pociągnie.

– Marcus!

Obejrzał się, spojrzął na korytarz i zobaczył Indy'ego, idącego pośpiesznie w jego stronę z pucharem w dłoni. Oczy miał szeroko otwarte, a twarz mu płonęła. Indy minął Marcusa i pośpieszył w dół.

Brody miał zamiar zrobić to samo, kiedy o mało nie zderzył się z Elszą, która wyłoniła się niespodziewanie z korytarza. Gdy udało mu się dotrzeć na dół, Indy klęczał już przy ojcu, otoczony przez sułtańskich żołnierzy. Marcus przecisnął się przez tłum. Żołnierze stali i patrzyli w kompletnym osłupieniu.

Brody kucnął i pomógł Sallahowi przytrzymać głowę Henry'ego. Indy zbliżył kielich do jego ust. Henry był tak słaby, że nie mógł nawet otworzyć oczu. Indy przechylił puchar, ale woda polała się strużką wzdłuż kącika ust Henry'ego.

– Pij, tato, proszę, pij.

Marcus patrzył z niepokojem na Indy'ego i widział rozpacz na jego twarzy. Pochylił się i pomógł mu rozchylić wargi rannego. Wyczuł, że jego gardło porusza się. Przełknął kilka łyków. Z całą pewnością.

Indy usunął zaimprovizowany opatrunek z ran Henry'ego i wylał na nie nieco wody. Zaraz potem przytknął ojcu puchar do warg i wlał do gardła więcej płynu.

Czekali.

Indy był pewien, że oddech ojca pogłębia się. Pochylił się i posłuchał bicia jego serca. Rytm był wyraźny i miarowy. Henry zdrowiał.

Nagle otworzył oczy. Skupił wzrok najpierw na Sallahu, później na Brodym, w końcu na Indym. Wreszcie na Świętym Graalu.

Indy uśmiechnął się: jego ojciec jest uratowany. Zapewne nigdy nie będzie w stanie przekonać swoich sceptycznych kolegów z uczelni, że woda ze starego kielicha uzdrowiła jego ojca. Pojawi się za to mnóstwo nowych wątpliwości i kontrowersji na temat tego, czym naprawdę jest Święty Graal.

Ale co z tego? On już wiedział. I to się teraz liczyło. Zobaczył i doświadczył na własnej skórze piękna i mocy Graala. Zrobiwszy to, sam przeszedł drogę od cynizmu, przez wątpliwości, aż do przebudzenia. Cel został osiągnięty i tym samym Ostatnia Krucjata dobiegała końca.

– Wyzdrowiejesz, tato. Wierzę w to. Wiem.



# Rozdział XXIII.

## Koniec krucjaty

Dłoń Henry'ego zadrżała, sięgając po Święty Graal, ale tym razem z powodu ekscytacji, a nie słabości. Jego twarz odzyskała barwę, a oczy były szeroko otwarte, czyste, świadome.

Rana po postrzale została na nowo opatrzona, ale przestała już krwawić i nie wyglądało na to, by sprawiała Henry'emu ból. Z pomocą Sallaha był w stanie unieść się na łokciach.

Gdy Indy z dumą podał ojcu Graal, za jego plecami rozległ się głośny brzęk. Obejrzał się błyskawicznie i zobaczył, jak żołnierze z armii sułtana rzucają broń i wycofują się. Ciekawość przemieniła się w strach. Nie mieli ochoty walczyć z czarnoksiężnikiem, który na ich oczach dokonał aktu cudownego uzdrowienia. Jeden za drugim opuszczali w popłochu świątynię.

Dwóch nazistowskich żołnierzy natychmiast rzuciło się w pościg, krzycząc i wygrażając. Ale tamci uciekali, ignorując groźby. Sallah czym prędzej wykorzystał tę sytuację i rzucił się ukradkiem do najbliższej porzuconej strzelby. Uniósł ją, zakręcił magazynkiem i nakazał nazistom opuścić broń.

– *Die Gewehr herunter* - powtórzył, gdy się zawahali.

– Róbcie, co każe - warknęła Elsa.

Wahali się jeszcze przez krótką chwilę, wreszcie odłożyli broń i unieśli ręce w górę.

Sallah nie zdawał sobie jednak sprawy, że został jeszcze jeden nazista, ukrywający się kilka kroków za plecami Elsy. Gdy żołnierz sięgnął po broń,

Indy złapał Sallaha za nogi i powalił na ziemię. Nazista odwrócił się i wycelował pistolet w Indy'ego, ale Elsa wykopała mu pistolet z dłoni.

Indy uniósł się na kolanie, zdumiony i skonsternowany tym, co zrobiła. Nazista wykorzystał ten moment i uderzył go pięścią w szczękę, ale Indy zmarszczył brwi, chwycił nazistę i oddał cios, silny i celny. Żołnierz upadł na ziemię i zwinął się z bólu. Indy wstał i uśmiechnął się do Elsy. Nie wiedział, co o niej myśleć. Z jednej strony niecznie go zdradziła, ale teraz, na dobrą sprawę, ocaliła mu życie.

– Uwaga! Za tobą!

Indy odwrócił się w samą porę, by zablokować ramię tego samego, co poprzednio hitlerowca, który tym razem ruszył na niego z długim nożem. Sallah rozkazał żołnierzowi rzucić nóż. Ten spojrział na wycelowaną w niego strzelbę, potem na twarz Sallaha i wypuścił z dłoni broń.

Indy chwycił nazistę.

– Wracaj do swoich kumpli - pchnął go w kierunku pozostałych dwóch hitlerowców.

Powrócił wzrokiem do ojca i zobaczył, że siedział już o własnych siłach, ściskając w dłoniach Graal. Indy właśnie miał zamiar zapytać go, jak się czuje, ale wzrok Henry'ego był utkwiony w punkt za nim. Ojcu błyszcząły oczy, a na twarzy malował się ekstatyczny wyraz.

*O co chodzi tym razem?*

Indy odwrócił się i zobaczył stojącego na schodach strażnika Graala.

– Znam cię - zawołał Henry do rycerza. - Tak, znam cię na pewno.

– Z którejś z wojen?

– Nie, z ksiązek. Jesteś trzecim rycerzem, tym, który został, by strzec Graala. Ale czegoś tu nie rozumiem. Miałeś przecież Graal. Dlaczego więc jesteś taki stary?

Rycerz pokonał pozostałe stopnie schodów.

– Wiele razy upadała moja dusza i nie mogłem wtedy pić ze świętego pucharu, więc starzałem się, o rok każdego dnia, gdy nie piłem. Ale teraz mogę odejść z honorem, gdyż temu oto dzielnemu błędnemu rycerzowi przypadło w udziale mnie zastąpić.

Indy z rosnącym niepokojem przeniósł wzrok z rycerza na ojca.

– Tato, to nieporozumienie. Ja naprawdę nie...

– On nie jest błędnym rycerzem. To mój zbłąkany syn, który prowadził życie grzesznika - zakpił Henry. - Niegodzien jest honoru, którym go obdarzasz.

Indy kiwnął pokornie głową.

– Tak, grzesznika.

– Całkowicie niegodzien. Synu, zrób coś szlachetnego i pomóż wstać ojcu.

Henry odłożył puchar i oparł się na ramieniu Indy'ego.

– Naprawdę tego chcesz, tato?

– Czuję się bardzo dobrze.

Brody podparł Henry'ego z drugiej strony i obydwaj z Indym pomogli mu wstać. Indy miał nadzieję, że ten nagły powrót do zdrowia nie był jedynie chwilowym efektem wywołanym widokiem Graala i wiarą w cud. Pragnął, by lekarstwo działało naprawdę.

– Zobacz tylko - Henry skulił się na moment, potem stanął odważnie wyprostowany. - Nie było tak źle.

– Czy naprawdę jesteś zdrowy, tato?

Henry spojrzał na syna z taką miną, jakby Indy wciąż był małym dzieckiem zadającym niemądre pytania. Zdjął ramiona z pleców pomocników.

– Ile razy ci mówiłem, Juniorze, że to wiara kreuje rzeczywistość. Uwierzyłem - WIEDZIAŁEM - że Graal może mnie uzdrowić i tak się

stało. Stało się.

Po tym wszystkim, co spotkało go dzisiejszego dnia, Indy nie zamierzał niczego już podawać w wątpliwość. Pomyślał o słowach tamtego starego Indianina, któremu niegdyś opowiedział historię z orłem: *Teraz już wiesz, że masz w sobie siłę, by zdobyć wszystko to, czego szukasz, nieważne jak trudne stanowiłoby to wyzwanie.*

Orzeł i Święty Graal, rycerz i Indianin. Wszystko się ze sobą łączyło i mieszało jednocześnie. Ale jego ojciec żył i teraz byli ze sobą tak blisko, jak nigdy dotąd. Patrzył, jak rycerz zbliża się i patrzy Henry'emu w twarz.

– A więc to ty, bracie? Ty jesteś tym rycerzem, który mnie oswobodził?

– Niestety, nie. Jestem tylko naukowcem.

Rycerz wskazał na Brody'ego.

– Czy więc to ty, bracie?

– Ja? Jestem Anglikiem.

Rycerz rozejrzał się, skonsternowany, i podszedł do Sallaha, który zgromadził na boku grupę nazistów i trzymał ich wciąż na celowniku. Położył dłoń na ramieniu Sallaha, najwyraźniej pewny, że wreszcie odnalazł swojego następcę.

– O, dobry rycerzu! Witaj w krainie snów.

Sallah skłonił się w stronę starszego człowieka.

– Tak. Snów. Spij dobrze, rycerzu.

Indy pochylił się i zebrał rzeczy Henry'ego - kapelusz, krawat, zegarek. Zamarł, gdy zobaczył kątem oka, jak Elsa zbliża się powoli w stronę Graala. Nagle rzuciła się pędem ku kielichowi, chwyciła go i podniosła w górę, wpatrując się weń jak w transie. Utkwiła wzrok w pucharze z taką siłą, że Indy zrozumiał, iż nie liczy się dla niej nic więcej na świecie. Ani on. Ani Fuhrer. Nikt. Graal był dla niej wszystkim.

Tok myśli Indy'ego został zaburzony przez starego rycerza, który stanął przed nim i powiedział cicho:

– Po co przybyli ci wszyscy dziwni rycerze, skoro nikt nie chce stanąć ze mną w szranki?

Pokręcił głową, zdziwiony i odszedł.

– Po TO, głupcze! - odpowiedziała Elsa.

Przycisnęła kielich do piersi i ruszyła do wyjścia ze świątyni.

Indy zamierzał rzucić się za nią w pościg, kiedy ona nagle stanęła i odwróciła się. Była kilka stóp od bramy świątyni, ledwie widoczna w późnym popołudniowym świetle. *Najwyraźniej zdała sobie sprawę, pomyślał, że sama nie wróci przez pustynię.*

– Zdobyliśmy go! Chodź! Ruszajmy!

– Nie! - krzyknął rycerz. - Graal nigdy nie opuści tego miejsca. Nigdy!

Popatrzył na Henry'ego i Indy'ego.

– Tylko w tym miejscu może dać nieśmiertelność.

Henry spojrzał na Elbę.

– Posłuchaj go. On wie. Graal utraci swoją moc, gdy opuści świątynię. Zostanie jedynie starym bezwartościowym przedmiotem.

– Nie wierzę mu!

– Nie wolno ci przekroczyć pieczęci - ostrzegł rycerz.

Elsa obróciła się i ostentacyjnie zrobiła kilka kroków w kierunku wyjścia.

– Drogo za to zapłaci - powiedział rycerz cicho.

– Poczekaj - krzyknął Indy, ruszając w jej stronę. Miał jeszcze świeżo w pamięci obraz Donovana. - Zaczekaj Elsa. nie ruszaj się!

Zbliżała się do przytwierdzonej do podłogi wielkiej metalowej pieczęci, ale nie zwracała na to uwagi. Była nie tylko zniewolona, ale wręcz obezwładniona mocą Graala. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Elsa! - znalazł się przy niej w samą porę i złapał ją za rękę. Spojrzała na niego tymi swoimi niewiarygodnie niebieskimi oczami i poczuł ucisk w okolicy klatki piersiowej.

– Jest nasz, Indy - wyszeptała. - Nasz. Nie rozumiesz? Twój i mój. Nic innego się nie liczy. Donovan nie żyje. Nie oddamy Graala w ręce Fuhrera.

Indy pokręcił głową.

– Musi zostać tutaj - powiedział.

Z nagłą, niespodziewaną siłą wyrwała się z jego uścisku. Przycisnęła do siebie Graal, jak dziecko przyciska wypchane zwierzątko, i przeszła przez pieczęć do wyjścia.

Świątynia zatrzęsała się pod wpływem dudniącego, podobnego do wybuchu odgłosu, który dobiegł sprzed wejścia. Ściany kanionu zadrżały. Zaczął sypać się z nich kurz i kamienie. Elsa obróciła się przerażona i przebiegła kilka kroków z powrotem do środka świątyni. Indy odskoczył w momencie, gdy ziemia rozstała się pod jej stopami. Obrócił się i zobaczył jak jeden z masywnych kamiennych rycerzy drży. Filary zakołysały się, poluzowany kawał głazu oderwał się i spadł, zmieniając się w pył u jego stóp.

Henry schował głowę w ramionach, próbując ochronić się przed spadającymi kamieniami. Brody stracił równowagę i upadł na kolana. Sallah chwycił ich obu za ramiona i odciągnął z miejsca, gdzie właśnie walił się jeden z filarów. Rycerz tymczasem umknął w górę schodów, w kierunku korytarza i swojej kryjówki.

Indy gestem pośpieszył pozostałych do wyjścia. Odwrócił się i zobaczył Elbę. Patrzyła szerokimi z przerażenia oczami na jedną z rozkołysanych kamiennych kolumn. Ziemia zatrzęsała się znowu i Elsa straciła równowagę. Upadła, wypuszczając z dłoni Graal.

Puchar potoczył się po posadzce i w tym momencie w podłodze pojawiła się rysa, która pobiegła ku umieszczonej w centrum świątyni pieczęci. Elsa wstała z trudem. Jej nogi jednak znalazły się po dwóch stronach powiększającej się szczeliny.

Pęknięcie szło wzdłuż schodów prowadzących do kryjówki. Rycerz przewrócił się, upadł do tyłu i potoczył po schodach w dół. Podłogę świątyni przecięło kolejne pęknięcie, krzyżując się z pierwszym. Henry leżał na ziemi nieruchomo jak jeden z filarów. Brody zachwiał się także i padł obok niego. Sallah i Indy stanęli bez ruchu, nie wiedząc, dokąd uciekać. Za ich plecami rycerz mozolnie czołgał się w górę schodów.

Naziści pobiegli do wyjścia i przeskakiwali pęknięcie, na którym siedziała okrakiem Elsa. Nagle szczelina zapadła się z jednej strony, pociągając ją w przepaść.

Niektórym hitlerowcom prawie udało się wydostać z rozpadliny, ale w końcu ześlizgiwali się po kolei i spadali w otchłań. Ich ostatnie krzyki wybrzmiewały w czeluści.

Elsa uczepliła się dłonią wystającego głazu. Widziała pod sobą Graal, leżący na wystającym kamieniu, poniżej pęknięcia. Zamiast starać się wspinać w górę i uciekać jak najdalej od przepaści, oderwała dłoń od krawędzi i sięgnęła w dół, w stronę kielicha.

Indy popędził jej na pomoc. Położył się na brzuchu, wyciągając do niej ramiona i wołając w desperacji, by chwyciła się jego rąk. Podpełzł ostrożnie i złapał kurczowo jej dłonie w rękawiczkach. Pociągnął ją w górę ze wszystkich sił, ale to nie wystarczyło - sam zaczął się osuwać w przepaść.

– Junior! Junior! - wrzasnął Henry.

– Indy! - ryknął Sallah.

Gdy Indy wyciągał Elbę w górę, wyrwała z jego uścisku jedną dłoń i sięgnęła w dół. Graal podskakiwał na brzegu rozpadliny pod wpływem wstrząsów. Koniuszki jej palców dotknęły go, ale nie była w stanie pochwycić kielicha.

– Elsa! - krzyknął Indy. - Wolną ręką uchwycił się skały.

– Mogę go dosięgnąć - wyszeptała ochryłym głosem. - Mogę.

Indy czuł, jak jej dłoń wyslizguje się z jego uścisku. Elsa wyciągnęła drugą dłoń w kierunku Graala i już prawie go miała, gdy rękawiczka ześlizgnęła się z jej palców. Trzymali teraz oboje za jej dwa końce, ich palce nie dotykały się już. Rękawiczka rozciągnęła się i zaczęła trzeszczeć.

– Indy! - krzyknęła ochryłym głosem. - Nie puszczaj! Proszę!

Rękawiczka rozdarła się.

– Elsa!

Oderwał rękę od skały i zanurkował, by chwycić za jej nadgarstek, ale było za późno. Elsa wpadła w przepaść, krzyk odbił się echem od ścian świątyni.

Indy rozpaczliwie wbił ręce w ziemię, bo czuł, jak sam osuwa się w czarną otchłań. Wtedy czyjeś ręce wczepiły się w jego nogi jak imadło.

– Indy! - wrzasnął Sallah. - Trzymam cię. Wyciągam cię!

– Poczekaj! - Sięgnął ręką po Graal, ale brakło mu kilku milimetrów. - Opuść mnie trochę niżej.

– Opanuj się, Indy - jęknął Sallah, próbując ze wszystkich sił uratować przyjaciela.

– Odrobinę niżej - wyjęczał Indy.

– Nie, Indy. Nie. Proszę!

– Junior, natychmiast na górę! - rozkazał Henry.

– Mogę go dosięgnąć. Mogę go mieć.

– Indiana!



To był pierwszy raz, kiedy ojciec nazwał go tym imieniem.

– Opuść sobie - powiedział spokojnie Henry.

Indy porzucił Graal i zaczął z pomocą Sallaha wspinać się z powrotem do góry. Żwir i kamienie, które obsuwały się spod jego dłoni, zasypywały kaskadami święty puchar. Spojrzał w dół dokładnie w momencie, gdy naczynie ześliznęło się ze skalnej krawędzi i spadło, śladem Elsy, w czarną czeluść.

Sallah wy dostał Indy'ego z rozpadliny. Indiana położył się na brzuchu, oddychając ciężko i wbił wzrok w przepaść, która pochłonęła Elsę i Graal. Gdyby zrobił to, co jego ojciec, gdyby po prostu kazał jej zostawić Graal, mógłby ją uratować.

Henry zacisnął dłoń na jego ramieniu. Powiedział nagłym głosem:

– Chodźmy! Szybko! Musimy się stąd wydostać.

Indy skinął głową, podniósł z ziemi kapelusz, spojrzął za siebie ostatni raz i wstał.

Sallah poszedł przodem.

– Gdzie Marcus? - wrzasnął na alarm Henry.

– Tutaj - odpowiedział Brody gdzieś z boku.

Coraz więcej kamieni odrywało się od ścian i zasypywało świątynię. Indy starał się zrzucić z siebie winę, uporać się z natrętną myślą, że gdyby działał bardziej zdecydowanie, gdyby zrobił inaczej, mógłby uratować Elsę. Ostatecznie był jej to winny. Ocalała mu życie. A on ją zawiódł.

Ale wiedział i to, że ona sama też była winna swojej śmierci.

Nie chciała wracać bez Graala. Musiał odpuścić sobie winę i ratować własne życie. W jakiś sposób czuł, że ona również chciałaby tego.

Nagle zauważył, że jego ojciec wpatruje się w stronę schodów. Indy powędrował za jego wzrokiem i zobaczył rycerza stojącego bez ruchu na

górze, kilka stóp od rozpadliny. Wokół niego spadały kamienie i wznosiły się tumany pyłu, ale on zdawał się być zupełnie nieobecny.

Unióś prawą dłoń w pożegnalnym geście. Jak gdyby chciał dać znać, że Ostatnia Krucjata dobiegła końca i Graal jest bezpieczny. Indy rozumiał ten gest. Zdał sobie bowiem sprawę, że Święty Graal jest czymś więcej niż zabytkową relikwią. Był czymś więcej niż drogą do wiecznego życia i źródłem cudownego uzdrawiania.

Indy zakosztował łyk nektaru z kielicha i zrozumiał.

To była droga do osiągnięcia wyższego stanu świadomości, która istniała w nim i w każdym, kto jej szukał. Teraz, przyrzekł sobie Indy, zrobi wszystko, co w jego mocy, by wykorzystać wiedzę, którą posiadał.

Henry odwzajemnił uśmiech rycerza i skłonił się.

– Tato!

Indy pociągnął ojca za ramię, ponagłając go, by przyśpieszył kroku. Wokół nich spadał grad ciężkich kamieni i waliły się masywne filary. Ściany trzęsły się, a z otwartych czeluści buchał dym. Ale Indy wiedział, że przeżyją. Dokonali już tak wiele - są w stanie pokonać tych kilka ostatnich kroków.

– Henry, Indy! Szybciej! - krzyknął Brody, siedzący już w siodle przed wejściem do świątyni. - Wiem już, jak jechać! Bierzcie konie i za mną!

Brody spiął konia, wyskoczył do przodu, okręcił się wokół własnej osi i ruszył gwałtownie w ich stronę, o mało co nie tratując Sallaha. Marcus szarpnął się niezręcznie w siodle, ale w końcu poskromił zwierzę i pogalopował wzdłuż kanionu.

Henry pokręcił głową i wskoczył na konia.

– Lepiej nie traćmy go z oczu. Zgubił się kiedyś we własnym muzeum.

– Wiem.

Henry spojrzał na Indy'ego.

– Ty pierwszy, Juniorze!

– Tak, sir - odpowiedział z uśmiechem Indy.

Nie miało już żadnego znaczenia, jak nazywał go ojciec. Misja została wypełniona, wyprawa zakończyła się sukcesem.

Dla Henry'ego i przede wszystkim dla Indy'ego.

Indy popędził konia i puścił się w galop za Brodym.